

GRAHAM MASTERTON

POGRZEBANI



O książce

SZÓSTA KSIĄŻKA Z KATIE MAGUIRE

W tej części Irlandii przeszłości nie da się pogrzebać...

W 1921 roku w robotniczej dzielnicy Cork znika bez śladu czteroosobowa rodzina. Dziewięćdziesiąt lat później robotnicy remontujący dom na przedmieściu znajdują pod podłogą zmumifikowane zwłoki kobiety, mężczyzny, dwójki dzieci i psa.

Katie Maguire, choć wie, że sprawcy tej zbrodni już od dawna nie żyją, podchodzi do śledztwa z takim samym zaangażowaniem jak do innych. Mimo że jej większym zmartwieniem jest w tym momencie piekielnie groźny szef gangu zajmującego się przemytem. A przełożeni chcą zamieść tę starą historię pod dywan, obawiając się - słusznie zresztą - że rozgrzebywanie jej może odgrzać polityczno-religijne waśnie i zebrać krwawe żniwo.

Przeciwnikami Katie są nie tylko przestępcy - ma ich również w policji i musi odkryć, kto z jej kolegów jest przyjacielem, kto wrogiem, a kto zdrajcą. Jeśli się pomyli, zapłacą za to jej najbliżsi.

GRAHAM MASTERTON

POGRZEBANI

Z angielskiego przełożył
GRZEGORZ KOŁODZIEJCZYK



Wydanie elektroniczne

GRAHAM MASTERTON

Popularny angielski pisarz. Urodził się w 1946 r. w Edynburgu. Po ukończeniu studiów pracował jako redaktor w miesięcznikach, m.in. „Mayfair” i w angielskim wydaniu „Penthouse’a”. Autor licznych horrorów, romansów, powieści obyczajowych, thrillerów oraz poradników seksuologicznych. Zdobył Edgar Allan Poe Award, Prix Julia Verlanger i był nominowany do Bram Stoker Award. Debiutował w 1976 r. horrorem **Manitou** (z ekranizowanym z Tonym Curtisem w roli głównej). Jego dorobek literacki obejmuje ponad 80 książek – powieści i zbiorów opowiadań – o całkowitym nakładzie przekraczającym 20 milionów egzemplarzy, z czego ponad dwa miliony kupili polscy czytelnicy. Wielką popularność pisarza w Polsce, którą często odwiedza, ugruntował cykl poradników seksuologicznych, w tym wielokrotnie wznawiane **Magia seksu i Potęga seksu**. W ostatnim czasie Graham Masterton skupił się na kontynuacji cyklu kryminałów z Katie Maguire, do którego należy sześć powieści: **Białe kości, Upadłe anioły, Czerwone światło hańby, Uznani za zmarłych, Siostry krwi i Pogrzebani**.

www.grahammasterton.co.uk
www.grahammasterton.blox.pl

Tego autora

Sagi historyczne

WŁADCY PRZESTWORZY

IMPERIUM

DYNASTIA

Rook

ROOK

KŁY I PAZURY

STRACH

DEMON ZIMNA

SYRENA

CIEMNIA

ZŁODZIEJ DUSZ

OGRÓD ZŁA

Manitou

MANITOU

ZEMSTA MANITOU

DUCH ZAGŁADY

KREW MANITOU

ARMAGEDON

Wojownicy Nocy

ŚMIERTELNE SNY

POWRÓT WOJOWNIKÓW NOCY

DZIEWIĄTY KOSZMAR

Katie Maguire

BIAŁE KOŚCI

(książka wcześniej ukazała się pt. KATIE MAGUIRE)

UPADŁE ANIOŁY

CZERWONE ŚWIATŁO HAŃBY

UZNANI ZA ZMARŁYCH

SIOSTRY KRWI
POGRZEBANI
Inne tytuły
STUDNIE PIEKIEŁ
ANIOŁ JESSIKI
STRAŻNICY PIEKŁA
DEMONY NORMANDII
ŚWIĘTY TERROR
SZARY DIABEŁ
ZWIERCIADŁO PIEKIEŁ
ZJAWA
BEZSENNI
CZARNY ANIOŁ
STRACH MA WIELE TWARZY
SFINKS
WYZNAWCY PŁOMIENIA
WENDIGO
OKRUCHY STRACHU
CIAŁO I KREW
DRAPIEŻCY
WALHALLA
PIĄTA CZAROWNICA
MUZYKA Z ZAŚWIATÓW
BŁYSKAWICA
DUCH OGNI
ZAKŁĘCI
ŚPIĄCZKA
SUSZA
SZKARŁATNA WDOWA

Tytuł oryginału:

BURIED

Copyright © Graham Masterton 2015

All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2017

Polish translation copyright © Grzegorz Kołodziejczyk 2017

Redakcja: Katarzyna Kumaszewska

Zdjęcie na okładce: Silas Manhood

Projekt graficzny okładki: Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

ISBN 978-83-6578-113-0

Wydawca

WYDAWNICTWO ALBATROS SP. Z O.O.

(dawniej Wydawnictwo Albatros Andrzej Kuryłowicz s.c.)

Hłonda 2a/25, 02-972 Warszawa

www.wydawnictwoalbatros.com

[Facebook.com/WydawnictwoAlbatros](https://www.facebook.com/WydawnictwoAlbatros) | [Instagram.com/wydawnictwoalbatros](https://www.instagram.com/wydawnictwoalbatros)

Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Przygotowanie wydania elektronicznego: Ewa Szałańska, 88em.eu

Spis treści

[Rozdział 1](#)
[Rozdział 2](#)
[Rozdział 3](#)
[Rozdział 4](#)
[Rozdział 5](#)
[Rozdział 6](#)
[Rozdział 7](#)
[Rozdział 8](#)
[Rozdział 9](#)
[Rozdział 10](#)
[Rozdział 11](#)
[Rozdział 12](#)
[Rozdział 13](#)
[Rozdział 14](#)
[Rozdział 15](#)
[Rozdział 16](#)
[Rozdział 17](#)
[Rozdział 18](#)
[Rozdział 19](#)
[Rozdział 20](#)
[Rozdział 21](#)
[Rozdział 22](#)
[Rozdział 23](#)
[Rozdział 24](#)
[Rozdział 25](#)
[Rozdział 26](#)
[Rozdział 27](#)

[Rozdział 28](#)
[Rozdział 29](#)
[Rozdział 30](#)
[Rozdział 31](#)
[Rozdział 32](#)
[Rozdział 33](#)
[Rozdział 34](#)
[Rozdział 35](#)
[Rozdział 36](#)
[Rozdział 37](#)
[Rozdział 38](#)
[Rozdział 39](#)
[Rozdział 40](#)
[Rozdział 41](#)
[Rozdział 42](#)
[Rozdział 43](#)
[Rozdział 44](#)
[Rozdział 45](#)
[Rozdział 46](#)
[Przypisy](#)

Książkę tę poświęcam pamięci mojego przyjaciela
Andrzeja Kuryłowicza
10 kwietnia 1954 – 21 marca 2014
Odszedłeś od nas w pierwszy dzień wiosny
Chan eil saoi air nach laigh leòn
Irlandzkie porzekadło: Nawet bohatera można zranić

Rozdział 1

– Włazisz czy nie włazisz, ty durny kabanie?! – zawołał Declan.

Było jednak oczywiste, że Christy ani myśli podejść bliżej. Stał na progu, jego czarno-brązową sierść skołtunił deszcz; Declan nigdy nie widział go tak zalęknionego. Pies patrzył szeroko otwartymi ślepiami, a jego nos drgał; co jakiś czas przekrzywiał łeb, jakby usiłował zajrzeć w głąb przedpokoju i przez drzwi salonu. Jak gdyby wiedział, że jest tam coś budzącego strach.

– Declan, kuźwa! – krzyknął ze środka Colm. – Przestałbyś wreszcie dyskutować ze swoim kundlem o pogodzie i pomógł mi przy tym cholernym kominku.

– Tłuk z ciebie, Christy, tyle ci powiem. Chcesz tu zostać i moknąć, proszę bardzo, twój wybór. Ale jak kipniesz na zapalenie płuc, nie miej do mnie pretensji.

Zostawił psa i wszedł do saloniku; Colm właśnie oderwał od ściany obudowę kominka z brązowych kafelków i pomagając sobie łomem, próbował ją odwlec dalej. Powietrze w malutkiej izbie wypełniał pył, a zasłane okruciami zaprawy deski skrzypiały mu pod butami.

– Nigdy się tak nie zachowywał. – Declan uniósł łopatę i wcisnął ją w szparę po drugiej stronie kominka. – Wygląda, jakby się czegoś złąkł, wiesz? Może jakiś duch tu siedzi.

– Wcale by mnie to, kuźwa, nie zdziwiło – rzucił jego kolega, szarpiąc mocno łomem to w jedną, to w drugą stronę. – Ten starszy facio, co był właścicielem, znaleźli jego trupa na dole przy schodach, tak mi powiedziała ta dziewczyna od Sherry’ego Fitzgeralda. O swojego kota się potknął, tak mówiła. Kark sobie

skręcił, jakby to była łądyga, i leżał tu przez miesiąc, zanim go znaleźli.

Colm oceniał, że remont całego domu zajmie im co najmniej dwa tygodnie. Był to nieduży budynek przy Millstream Row w Blarney, jeden z jedenastu szeregowców zbudowanych w latach sześćdziesiątych XIX wieku dla przędzarzy wełny z zakładu Mahony'ego.

Poprzedni właściciele, mimo że mieszkali w nim od 1952 roku, odnowili go tylko raz, kładąc na ścianach brudnobrązową tapetę w kwiatowy wzór. W 1964 postawili parterową przybudówkę na tyłach, w której znalazło się miejsce dla wanny i pralki dwukomorowej, lecz było to ich jedyne ustępstwo na rzecz modernizacji.

Po śmierci owdowiałego właściciela domek sprzedano za sto dwadzieścia trzy tysiące euro parze młodych profesjonalistów, dla których miało to być pierwsze własne lokum.

Stękając niczym dwa wieprzki pędzone kijami na targowisko, Declan i Colm wytaszczyli obudowę kominka na dwór. Christy wciąż tam siedział i mókł na deszczu, a gdy usuwał im się z drogi, otrząsnął się zaciekle.

– Wariat jesteś, wiesz? – powiedział Declan, kiedy razem z kolegą dźwignęli kominek i z ogłuszającym hukiem wrzucili go do pustego kontenera stojącego przy wąskiej drodze. – Może byś tak wszedł do środka i osuszył się, co?

Schylił się i złapał Christy'ego za obroź, lecz gdy usiłował pociągnąć go do domu, zwierzę się zaparło i warknęło. Declan szarpnął mocniej, ale usztywnione łapy szurnęły o mokry chodnik i szcęknał, sygnalizując, że nie chce przekroczyć progu.

– No patrz na niego. – Colm się uśmiechnął. – Chyba trafiłeś z tym duchem. Co, Christy? Widzisz tam ducha w środku? Hu-huuu!

– Może zwęszył jakiś smród, który mu się nie podoba, zdechłego szczura czy coś – myślał głośno Declan. – Większość ludzi o tym nie wie, ale taki kerry beagle ma lepszy węch niż posokowiec.

– Niby tak, ale daj spokój. Ile w nim jest z kerry beagle’a, a ile z kundla przybłądy, z którym matka zaciążyła, kiedy właściciel odwrócił głowę?

– Możesz se gadać, mądralo, ale ten koleś wyczuje, jeśli ktoś pierdnie w Limerick, przysięgam na Boga – odparował Declan. – Zwęszy gotujące się mięso, zanim gaz zapalisz.

Szarpnął jeszcze raz obrozę Christy’ego, lecz pies warknął i obnażył zęby, więc Declan dał za wygraną.

– Dobra, postawiłeś na swoim. I tak ci się kąpiel należała. Mężczyźni weszli do domu. Musieli teraz zerwać deski z podłogi w saloniku, gdyż nowi właściciele chcieli ją pokryć ręcznie drapanym wiktoriańskim dębem.

Colm zapalił papierosa i wziął trzy głębokie sztachy, po czym zgasił go palcami i zatknął niedopałek za ucho. Ujął łom i podważył nim listwę pod oknem, a potem wziął ją na ramię i wyniósł do kontenera. Declan tymczasem schylił się i chwycił odsłonięty koniec biegnącej środkiem pokoju deski; pociągał raz po raz, aż wyrwał gwoździe z legarów, szarpnął ją do góry i upuścił z trzaskiem.

Zdążył przywyknąć do tego, że pod deskami starych domów zalegają śmieci pozostawione przez budowlańców, a oprócz tego szkielety szczurów i myszy. Pewnego razu w Saorstát znalazł czarną blaszaną puszkę z trzydziestoma funtami wyemitowanymi przez Wolne Państwo Irlandzkie, poczerniałą harmonijkę ustną oraz kartę walentynkową z dedykacją „Dla najdroższej Muirgheal”.

W tym domu jednak między legarami leżało kilka rozrzuconych starych łachów: męski garnitur, bordowa sukienka, dziewczęcy fartuszek i różowe śpioszki. Wszystkie wyblakły, straciły barwę i pokryła je gruba warstwa miękkiego szarego kurzu, można więc było tylko zgadywać, jak długo tam leżały.

Oderwał następną deskę, a potem przy wtórze pisków gwoździ jeszcze jedną; już zabierał się do czwartej, kiedy dostrzegł dłoń wystającą z zielonego męskiego okrycia.

Długo wlepiął w nią wzrok i miał wrażenie, że kurczy mu się skóra na głowie. Ręka była sucha jak papier i niemal całkowicie płaska, ale wiedział, że jest to bez wątpienia ludzka kończyna. Niektóre kłykcie przebiły się przez wysuszoną skórę, ale wszystkie paznokcie pozostały, jakkolwiek czas nadał im barwę bursztynu.

Uklęknął, żeby przyjrzeć się dokładniej znalezisku, lecz nie zdobył się na to, by go dotknąć. Wyciągnął tylko rękę i delikatnie dotknął materiału, spod którego sterczało. Nie było wątpliwości: w rękawie tkwiły dwie patykowate kości przedramienia.

– Jezu miłosierny – szepnął.

Oddychał mocno przez nos, serce mu łomotało. Puścił rękaw i ostrożnie poklepał wierzch marynarki, jakby go otrzepywał. Wyczuł pod spodem twarde zaokrąglone kości klatki piersiowej.

Usiadł na piętach. Święta Mario, Matko Boska, jeśli w marynarce jest facet, to co jest w sukience? I w dziecięcych ubrankach?

Wciąż kucając, przesunął się bokiem do miejsca między dwoma sąsiednimi legarami, w którym spoczywała pomięta bordowa sukienka z guzikami do samego dołu. Zawahał się, bo wydało mu się niestosowne, że dotknie kobiety bez jej zgody, nawet jeśli od dawna nie żyła. W końcu jednak wyciągnął dłoń i delikatnie nacisnął materiał. Pod ufarbowanym płótnem wyczuł żebra; spoczywały jednak luźno, jakby oddzieliły się od kręgosłupa.

A więc to nie były ubrania... to były ludzkie ciała. Przed wielu, wielu laty ktoś musiał je ułożyć twarzami do ziemi i gwoździami przybić nad nimi deski. Declan nie oderwał jeszcze tylu desek, by móc zobaczyć barki i głowy, lecz doszedł do wniosku, że ukryto tam nieliczną rodzinę, składającą się z ojca, matki, córki i małego dziecka.

Wstał i otarł ręce o kurtkę z czarnego dżinsu. W tej samej chwili do pomieszczenia wszedł Colm, zapalając na nowo papierosa.

– O Jezu, ale zacina – odezwał się z głową do połowy skrytą w dymie. Zerknął na przerwę między deskami i ściągnął brwi. – Co to, kuźwa, jakieś stare łachy tam leżą?

– Nie żadne stare łachy, chłopak, tylko zwłoki. Mężczyzna, kobieta i dwoje dzieciaków, na to wygląda.

– No, chyba jaja sobie robisz – powiedział Colm, lecz kiedy kolega wskazał na suchą dłoń mężczyzny, nachylił się i spojrzał, mrużąc oczy jak krótkowidz. – Ożeż w mordę.

– Wydaje mi się, że ich zamordowano.

Colm przekroczył lukę między deskami i przykucnął, żeby zerknąć na głowy.

– Tego nie wiesz na pewno. Mogli umrzeć na gripę albo coś w tym rodzaju. Ludziska padali kiedyś jak muchy, wszyscy, bez różnicy. Najmłodsza siostra mojego staruszka umarła na wiatrówkę, jak miała tylko trzy lata. – Wyprostował się i skinieniem głowy wskazał ciała. – Może rodziny nie stać było na pogrzeb.

– E, weź przestań. Nawet jak cię nie stać na pogrzeb, nie zakopujesz, kuźwa, swoich najbliższych pod podłogą twarzami do gruntu.

– No, nie wiem. Mojego wujka Patricka pochowali tak, że leżał na lewym boku. Tak sobie zażyczył w testamencie. Serio. Powiedział, że kiedy pochowają obok ciocię Saoirse, chce na nią patrzeć.

– Że niby co, miał oczy jak rentgen? – spytał Declan. – Przez trumny widział?

– Nie marudź, przecież on nie żył – obruszył się Colm. – Romantyczny facet był, jarzysz?

– Romantyczny? Raczej mu odwaliło, i to na ostro. No, pomóż mi szarpnąć resztę tych desek.

Wspólnie zerwali wszystkie deski z podłogi w salonie i wynieśli je do kontenera. Skończywszy, stanęli i w milczeniu patrzyli na zwłoki spoczywające między legarami. Przestało padać i spomiędzy chmur wyjrzało srebrzyste słońce;

pomieszczenie wypełniło bezbarwne światło i widok przypominał prześwieconą fotografię.

Mężczyzna leżał najdalej od okna; lewa ręka tkwiła przy jego boku, prawa była zgięta, opierało się na niej jego czoło. Włosy zgęstniały od kurzu, ale nadal były kasztanowe i kędzierzawe. Kobieta miała proste, długie czarne włosy spięte brązową spinką. Dziewczynka – kasztanowe kręcone, związane wstążkami w kucyki. Ciemna kępka włosów maleństwa wyglądała jak czupryna skrzata.

– Och, aż się serce ściska – powiedział Declan.

Przy wtórce okropnych piskliwych zgrzytów podważyli ostatnie dwie deski. Przestrzeń między legarami wypełniał kłęb gęstych szarych włosów, które w pierwszej chwili można było wziąć za palto lub włochaty pled. Colm podważył go łopata, a następnie usiłował podnieść. Wtedy jednak pled miękko się rozleciał i jedna połowa z głuchym stuknięciem spadła na ziemię. Colm od razu upuścił drugą, ponieważ obaj zorientowali się, że to, co odkryli, nie było płaszczem czy pledem, lecz zasuszonymi ciałami dwóch młodych irlandzkich glen of imaal terrierów.

– A to są psiaki tej rodziny, idę o zakład – powiedział Declan. – Jezu, ten ktoś nikomu nie przepuścił, no nie? Aż dziw, że złotej rybki nie ma.

Włosy dorosłych były gęste i zakurzone, więc nie od razu było wiadomo, co ich spotkało, lecz po głowach niemowlęcia i dziewczynki Declan i Colm zorientowali się, w jaki sposób rodzina zginęła. Wszyscy otrzymali jeden postrzał w tył głowy, nawet szczenięta.

Declan się przeżegnał.

– Lepiej dzwoń na policję – zwrócił się do kolegi.

Ten skinął głową i wyjął z kieszeni koszuli telefon komórkowy. To, co odkryli, do głębi nimi wstrząsnęło. Członkowie tej przysypanej kurzem rodziny jak gdyby spali, niczym postacie z baśni. Declan zdziwił się, że ich widok go nie przestraszył, a tylko zasmucił. Zdawało mu się, że ich znał, mimo że prawdopodobnie złożono ich pod deskami na długo, nim się

urodził. Nie cuchnęli – w każdym razie on tego nie wyczuwał – lecz Christy na pewno wywęszył zapach rozłożonych ludzkich zwłok, nawet jeśli miały dziesiątki lat, i dlatego nie chciał wejść do domu. A może jest psim medium i kolega miał rację, wspominając o duchu. A raczej o duchach w liczbie mnogiej.

Colm dodzwonił się pod numer 112.

– Zgadza się – mówił. – Millstream Row, Blarney. Tak, tuż za fabryczką. Łatwo znajdziecie, bo dokładnie naprzeciwko stoi zielony kontener od O’Briena, średniej wielkości. Nie, nic nie będziemy dotykali. Nie. Jeżeli jacyś są, to muszą mieć teraz ze sto dziesięć lat, więc nie wydaje mi się. Nie. Dzięki.

Kiedy skończył, wyszli przed dom. Colm wyjął paczkę papierosów i poczęstował kolegę. Zapalili i stali obok kontenera.

– Powiedzieli ci, kiedy będą? – spytał Declan.

– Za piętnaście minut, nie wcześniej. Posterunek Gardy na placu jest teraz nieobsadzony.

– Co im tam gadałeś, że ktoś ma sto dziesięć lat?

– Gość przy centralce zapytał, czy ten, kto ukrył ciała, może się jeszcze czaić gdzieś w okolicy. Wiesz, chodziło mu o to, czy nic nam nie zagraża, skoro odkryliśmy jego robotę.

– Józefie święty, a powiadają, że to kryminaliści są tępi.

– Nie, to nie jego wina, nie mówiłem mu, jak stare są te ciała. No bo nie wiemy, ile mają lat. Powiedziałem tylko, żeśmy znaleźli parę osób i że wyglądają na zastrzelonych.

– Więc jesteś trzy razy bardziej tępą niż on. Tych ludzi ktoś zastrzelił w czasach, kiedy jeszcze nie wynaleziono karabinów.

W zwykłych okolicznościach przekomarzali by się dalej, lecz teraz zapadli w milczenie, kurzyli papierosy i przytupywali nogami, żeby się rozgrzać. Christy, mimo że nadal się trząsał, stał przed otwartymi drzwiami i zaglądał do domku, przekrzywiając z ciekawością łeb; prawie jakby oczekiwał, że ktoś zawoła go ze środka.

Po paru minutach zza zakrętu obok przędzalni wynurzył się rozpędzony biały radiowóz z migającymi niebieskimi światłami.

Tuż za nim sunął drugi, a dalej jechał niebieski ford focus. Drzwi zaczęły trzaskać jedne po drugich.

– Zdajesz sobie sprawę, że będziemy we wszystkich gazetach – powiedział Declan, kiedy zbliżyło się do nich dwóch mundurowych.

– Byleby tylko mojego adresu, kuźwa, nie wydrukowali – odparł Colm. – Bo nie chciałbym, żeby ta dupiasta Blathnaid zaczęła mnie ścigać o alimenty.

Rozdział 2

Detektywi Aislin O'Connell i Gerry Barry siedzieli w budce na pchlim targu Matki Jones od samego otwarcia i zarobili dotąd sześćdziesiąt siedem euro za dwie lampy stołowe nie od pary, trzy sukienki balowe, różowy gorset i plik starych numerów „Ireland's Own”.

Było kwadrans po trzeciej, a Denny Quinn, podejrzewany o przestępstwo młody mężczyzna, na którego czekali, wciąż się nie pokazał. Detektyw O'Connell znalazła czas na to, by pomalować paznokcie turkusowym lakierem, detektyw Barry zaś pięć razy wychodził na York Street, żeby zapalić; obojgu przyszło na myśl, że ich informator albo się pomylił, albo wodził ich za nos. Ostatnio coraz częściej dostawali fałszywe cynki i wyglądało to tak, jakby ktoś rozmyślnie trwonił ich czas.

W pewnej odległości od straganu, w ukrytym zaułku Little William Street, obok biegnącej stromo York Street, stał radiowóz z dwoma mundurowymi; detektyw Barry utrzymywał z nimi łączność za pomocą nadajnika radiowego i słuchawki w uchu. Z początku kontaktowali się regularnie, lecz w miarę upływu czasu coraz częściej słyszał ich ziewanie i skargi, że chce im się sikać.

Barry zerknął na zegarek.

– Siedzę tu i czuję się jak ćwok. Zakład, że gość się nie pojawi.

Wyglądał młodo jak na detektywa, aż zbyt młodo; miał zaczesany do góry czub blond włosów jak komiksowy Tintin i płaski nos. Niewiele od niego starsza detektyw O'Connell była niewysoka, pulchna, miała ciemne włosy, ładną twarz w kształcie

serca oraz usta, których jasna czerwień kojarzyła się z kolorem wstążki na prezencie urodzinowym.

To właśnie wygląd tych dwojga skłonił detektyw nadkomisarz Maguire do wybrania ich do tej operacji. Mieli wyglądać jak typowi kramarze w hali targowej Matki Jones, młodzi i hipisowaci; dzięki temu mogli obserwować obiekt, nie budząc podejrzeń, że są policjantami, a później podejść do niego tak, by nie od razu go spłoszyć. Oczywiście pod warunkiem, że ten w ogóle się tu zjawi.

O'Connell rozpostarła palce, żeby spojrzeć z podziwem na swoje paznokcie.

– Może transport nie dotarł – zasugerowała. – Albo ktoś dał im znać.

– Jasne, zawsze jest taka możliwość – odparł Barry. – Owszem, kazaliśmy celnikom przymknąć oko, ale skoro Billy Duffy wiedział, że fajki nadchodzą, i znał termin, to nie mów mi, że nie wiedziała o tym cała zgraja innych szumowin. Może dorwali je ci z Óglaigh na hÉireann, zanim Quilty je odebrał. A może go po prostu oskubali.

– Daj spokój, musiałyby im odwalić – zaproponowała detektyw O'Connell. – Wkurzyć Bobby'ego Quilty'ego, Jezu! To tak, jakby zapytać: „Hej, kolego, może zechciałbyś mi wpakować kulkę między oczy?”

– Bo ja wiem... Ten Brendan Ó Marcaigh, myślę, że on nie cacka się z nikim ani niczym. Kiedyś pogonił go pitbul, a on złapał go za ogon i rozwalił mu łeb o latarnię.

– No pięknie.

Czekali jeszcze pół godziny. Na pchli targ przychodziło coraz więcej klientów, którzy krążyli między pomalowanymi na żółto, różowo, zielono i niebiesko żelaznymi słupami i wśród straganów. Barry spojrzął na koleżankę i uniósł brwi, ale nic nie musiał mówić, bo dla obojga było jasne, że choć klienci biorą do rąk wazon, lalki i stare płyty winylowe, udając, że oglądają, żaden nic nie kupi.

Tuż po szesnastej w słuchawce Barry'ego odezwał się głos:

– Quinn przyjechał. Właśnie wysiadł przed halą.

Kilka sekund później Denny Quinn wszedł z dwiema wypchanymi czarnymi foliowymi torbami na śmieci. Był chudy jak tyczka i blady na twarzy, jego czoło usiane było czerwonymi bliznami po ospie. Wyglądał inaczej niż na ostatnio zrobionym zdjęciu policyjnym: jego rude włosy, ogolone po bokach, tworzyły czub jak u papugi; w obu uszach nosił złote ćwieczki, miał także kilka złotych łańcuszków i ciężką bransoletkę identyfikacyjną, również ze złota. Był w czerwonej koszulce z napisem *Cork GAA*, workowatych szarych spodniach i białych tenisówkach.

– Dresiarz we własnej osobie – rzekł Barry.

– Nareszcie – rzuciła O’Connell. – Billy Duffy mógł nam powiedzieć, kiedy gość się zjawi. Na pewno wiedział. Oni wszyscy tutaj wiedzieli. Fiut jeden.

– E, weź przestań. Billy Duffy nie umie jednocześnie myśleć i mówić, przecież wiesz.

Denny bez wahania przemykał między słupami, kierując się do tylnej części hali, gdzie było puste stanowisko ze stolikiem ze sklejki i krzesłem. Rzucił czarne torby na ziemię, pchnął je stopą pod stół, a następnie usiadł i otarł dłonią nos.

Prawie natychmiast sześciu czy siedmiu klientów szperaczy zaczęło lawirować ku niemu. Różnili się od siebie: kobieta w średnim wieku z atramentowoczarnymi włosami, ubrana w ciasny zielony top z satyny; trzydziestoparoletni mężczyzna z ciemną brodą, w szarym garniturze od Marksa & Spencera; starszawy pan z włosami poprzetykanymi siwizną, w okularach z ciemnymi oprawkami i z zaczerwienionym nosem; dziewczynka w wieku szkolnym w obcisłych czarnych legginsach, z długimi ciemnymi włosami i oczami podkreślonymi czarną kredką. Była również kobieta w granatowym kombinezonie sieci sklepowej Dunne’s Stores oraz tęgi mężczyzna w dżinsowej kurtce poplamionej farbą, bez przednich zębów, wyglądem przypominający polskiego budowlańca.

Pani w średnim wieku powiedziała coś do Denny'ego, po czym wyjęła portfel i wręczyła mu pięćdziesiąt euro w zwiniętych banknotach. Denny odchylił się na krzesełku, wcisnął pieniądze do kieszeni dresu, a następnie sięgnął do jednej z czarnych toreb i wyciągnął dwie żółte paczki z dwustoma papierosami. Kiedy położył kartony na stole i je pchnął, detektyw O'Connell uniosła iPhone'a i marszcząc brwi, zaczęła stukać w ekranik, jakby pisała wiadomość tekstową; w rzeczywistości nagrywała transakcję.

Dziewczyna z podmalowanymi na czarno oczami zapłaciła handlarzowi dwadzieścia pięć euro; dała mu pomiętego dziesiątaka i garść bilonu. Dostała za to jeden żółty karton, który wsunęła do podłużnej torby i zarzuciwszy sobie ją na ramię, szybkim krokiem wyszła z hali.

Detektyw Barry nachylił się do koleżanki.

– Jeszcze jedna sprzedaż i powinno wystarczyć – powiedział cicho, patrząc w drugą stronę, tak by Denny nie zorientował się, że o nim mowa. – Przy jednej mógłby utrzymać w sądzie, że zrobił komuś przysługę. Może nawet z dwóch by się wytłumaczył. Ale trzy to już prawidłowość.

Detektyw O'Connell nie odezwała się, tylko nagrywała dalej; trzydziestoparolatek z ciemną brodą dał sprzedawcy co najmniej dwieście euro w dwudziestakach.

– Jestem pewny, że kojarzę tego facia – odezwał się Barry. – On chyba pracuje w biurze obrotu nieruchomościami przy Marlborough Street... Jak ta firma się nazywa? Callaghan Screws albo coś w tym guście... Tak czy siak, wygląda na agenta od nieruchomości.

Sprzedawca wyjął cztery żółte kartony i położył je na stole. Detektyw O'Connell chciała wstać, lecz Barry ją powstrzymał.

– Jeszcze nie. Zaczekaj, aż koleś weźmie to do ręki.

Trzydziestoparolatek z brodą wyjął z kieszeni kurtki zwiniętą torbę z Tesco i rozprostował ją. Gdy tylko ją uniósł, detektyw Barry powiedział:

– Już. Idziemy. Byle spokojnie. – Do mikrofonu zaś rzucił: – Teraz go zgarniamy, dobra?

Dwoje policjantów wstało i wolno ruszyło w stronę wnęki w tylnej części hali, udając, że rozmawiają. Denny nawet ich nie zauważył, kiedy się zbliżali. Był na wpół odwrócony; właśnie obsługiwał starszego pana z potarganymi siwiejącymi włosami, noszącego okulary w grubych oprawkach.

Barry wsunął rękę pod kurtkę z tyłu i dotknął przyczepionych do paska kajdanek.

– Dobra, więc teraz tak, jak ćwiczyliśmy – powiedział do koleżanki, kiwając głową i uśmiechając się, jakby opowiadał żart, który wczoraj usłyszał. – Ja go łapię i obrączkuję, ty wygłaszasz pouczenie i ruszamy do drzwi. Musimy go stąd zabrać szybko, tak żeby nikt nie zajarzył, co jest grane, dopóki nie będziemy daleko.

Detektyw O’Connell uśmiechnęła się.

– Jestem z tobą, Gerry, nie bój nic.

Byli już prawie przy wnęcie, Denny tymczasem grzebał w jednej z czarnych toreb; chciał wyjąć następne kartony papierosów. Trzydziestoparoletni agent nieruchomości z brodą odszedł od stoiska i właśnie wpychał ostatni karton do torby z Tesco. Kiedy mu się to udało, uniósł głowę, zobaczył Barry’ego i jego twarz się rozjaśniła.

– Patrzcie, umarli zmartwychwstają! – Wyszczrzył zęby w uśmiechu. – Co pan tu porabia, detektywie Barry? Skradzionych rzeczy pan szuka, tak?

Denny obrócił się momentalnie i zobaczył Barry’ego i O’Connell, którzy zmierzali ku niemu między straganami. Zerwał się nagle, jakby siedział na sprężynie.

– Detektywie, udało wam się przyskrzynić tego typka, który kradł depozyty? – spytał agent, nie zdając sobie sprawy, co się dzieje, i wciąż się uśmiechając. Barry rzucił się ku Denny’emu, ten jednak pchnął agenta nieruchomości w klatę piersiową, tak że ten się zatoczył i wpadł bokiem na wystawę pełną książek, płyt i używanych torebek.

– Hej, co jest, kurwa?! – krzyknął, lecz gdy odzyskiwał równowagę, Barry odepchnął go w drugą stronę i mężczyzna runął, strącając z regału wazon i sześcioczęściowy serwis do herbaty. Na ziemię posypał się deszcz kawałków porcelany i fioletowego potpourri.

Denny zrobił unik i czmychnął między słupy, jednocześnie przewracając w stronę Barry’ego krzesła antyki i kopiąc kartonowe pudła. Figurki religijne, popielniczki i inne bibeloty poleciały na posadzkę. Właściciele straganów pokrzykiwali z oburzeniem, lecz nie rozumieli, co się dzieje, i żaden nie próbował powstrzymać sprawcy zamętu.

Detektyw O’Connell nie rzuciła się w pogoń za Denny, tylko ruszyła od razu w stronę wyjścia, żeby odciąć mu drogę ucieczki. Kiedy zbliżał się do drzwi, pchnął stojak obwieszony używanymi płaszczami i kapeluszami i wszystko upadło przed Barrym. Odwrócił się i zobaczył O’Connell, która zagradzała mu wyjście na ulicę, stojąc z rozpostartymi ramionami niczym bramkarz na boisku.

Barry przeskoczył stojak z ubraniami.

– Przystopuj, chłopak! Jesteś zgarnięty!

Denny zatrzymał się z uniesionymi rękami, lecz głowę trzymał opuszczoną i stał plecami do detektywa.

– Odwróć się! – rozkazał Barry. – Ręce przed siebie.

– Niby za co? – spytał chłopak. – Nic nie zrobiłem. Sprzedałem znajomym parę szługów, to wszystko.

– Powiedziałem: odwróć się i wyciągnij ręce.

Chłopak zaczął się obracać, lecz gdy Barry podchodził do niego z kajdankami, okręcił się ku detektyw O’Connell. Bez chwili zawahania chwycił ją lewą ręką za włosy, a jego prawa ręka śmignęła ukosem obok jej twarzy. O’Connell w pierwszej chwili nie wiedziała, co się stało, lecz raptem z jej lewego policzka trysnęła jasnoczerwona krew. Wciągnęła powietrze i uniosła rękę; krew zalała jej nadgarstek i przemoczyła rękaw jasnoniebieskiej bluzki. Policjantka zatoczyła się w tył i opadła na kolana.

Barry złapał Denny'ego za rękę, ale ten zdołał ją wyrwać i wypadł przez otwarte drzwi na York Street.

Detektyw kucnął obok koleżanki i otoczył ją ramieniem. Przyciskała dłoń do policzka, spomiędzy jej palców kapłała krew. Mimo to machnęła wolną ręką.

– Leć za nim, na litość boską! – wykrztusiła.

Z głębi hali nadbiegały dwie kobiety, żeby udzielić jej pomocy, więc Barry zostawił ją i wyskoczył na zewnątrz. Spojrzał w lewo, lecz Denny nie biegł w górę do Wellington Road; poza tym z powodu stromizny nie zdołałby dotrzeć na sam szczyt wzniesienia. Musiał więc skręcić w prawo i pobiec MacCurtain Street.

Barry dobiegł do rogu ulicy i znów rozejrzał się w prawo i w lewo. Między przechodniami na MacCurtain mignęła mu czerwona koszulka Denny'ego; chłopak akurat mijał sprintem tawernę Dana Lowery'ego; zmierzał do Brian Boru Street. Tym sposobem dostanie się do mostu Brian Boru i na drugą stronę rzeki Lee, a jeśli dotrze do śródmieścia, łatwo wmiesza się między ludzi robiących zakupy w piątkowe popołudnie i umknie pogoni. Barry ruszył za nim biegiem, wywołując przez radiotelefon dwóch mundurowych, którzy czekali na Little William Street.

– Quinn zaatakował detektyw O'Connell i nam prysnął. Zwiewa teraz MacCurtain, kieruje się ku wschodowi.

Zrobił jeszcze kilka kroków i usłyszał jęk włączanej syreny policyjnej. Mam cię, Denny, pomyślał. Kiedy jednak dotarł do pomalowanego na niebiesko budynku LeisurePlex na rogu Brian Boru, dźwięk syreny wciąż dochodził z daleka. Odwrócił głowę i zobaczył, że zza zakrętu wyjechało na York Street musztardowe volvo i zatrzymało się. York Street była jednokierunkowa, więc kierowcy volva najwyraźniej chodziło o to, by radiowóz nie mógł zjechać i skręcić w MacCurtain.

Barry spojrział na wprost i zobaczył, że Denny przecina jezdnię przy St. Patrick's Quay i zmierza do mostu Brian Boru.

– Coś was zatrzymało? – spytał przez radio. – On już się przedostaje na drugą stronę rzeki. Nie chcę, żeby wsiąkł na dworcu autobusowym albo w centrum handlowym.

– Jakiś burak zatarasował nam ulicę i nie chce, kurde, ustąpić. Mulliken wysiadł, mówi mu, żeby się przesunął, ale tamten kłóci się jak jasny gwint.

– O Jezu, aresztujcie go. Albo zepchnijcie z drogi. I zorientujcie się, czy na Pana są jacyś mundurowi, którzy mogą mi dać wsparcie. No już, migiem! Widziałeś Denny’ego. Nosi koszulkę Rebel County i szare spodnie od dresu. Kudły mu sterczą jak grzebień u koguta.

Ulicą sunęły samochody, a piesi mieli czerwone światło, lecz detektyw Barry wkroczył na jezdnię i zygzakiem pokonał St. Patrick’s Quay. Zatrąbił na niego autobus i dwa auta osobowe.

– Chcesz się zabić, fiucie?!

Denny był już prawie w połowie mostu, ale zwolnił; wyraźnie brakowało mu tchu w płucach. Barry natomiast nigdy nie był w lepszej formie; kiedy tylko mógł, grał w futbol irlandzki i regularnie ćwiczył w siłowni. Oceniał, że nawet jeśli radiowóz nie nadjedzie w ciągu trzech lub czterech minut, i tak ma spore szanse na to, by dogonić Denny’ego, zanim ten dotrze do dworca lub centrum handlowego Merchants Quay. A wtedy go capnie i dokopie mu za to, że ciachnął nożem Aislin. Zawsze może się powołać na to, że musiał użyć siły, bo podejrzany stawiał opór.

Chłopak tymczasem doszedł do krańca mostu, lecz Merchant Quay jechało tyle samochodów, że stał na krawężniku i nie mógł przejść na drugą stronę. Barry musiał ominąć dwie kobiety z wózkami i bardzo otyłego mężczyznę na wózku inwalidzkim obwieszonym torbami na zakupy, ale był już pewny, że ma Denny’ego. Ponieważ jednak patrzył przed siebie, nie zwrócił uwagi na srebrnoszarego land rovera, który sunął pomału mostem, dotrzymując mu kroku i blokując samochody, które za nim jechały.

Na sześćdziesięciometrowym moście pieszych oddzielały od jezdni stalowe poręcze i masywne elementy konstrukcyjne

mostu, który pierwotnie podnosił się, żeby mogły pod nim przepływać statki. Jednakże stalowe poręcze nie biegły do samego końca. Kiedy Barry dotarł na drugą stronę i poręcze się skończyły, silnik land rovera nagle ryknął. Z głośnym łoskotem przedniego zawieszenia wdarł się na chodnik, skręcił i uderzył w niego, przygniatając go do balustrady.

Barry miał wrażenie, że tuż za jego plecami eksplodowała bomba i go rozerwała. Land rover zgruchotał mu nogi i rozłupał miednicę. Mimo że nie jechał szybciej niż pięć kilometrów na godzinę, przygwoździł go do balustrady z takim impetem, że brzuch pękł, wnętrzności wylały się na niebiesko-białe żelazne belki i zawisły zwojami nad płynącą w dole rzeką.

Detektyw był tak oszołomiony, że prawie nic nie czuł, a kiedy samochód cofnął i zjechał na jezdnię, z posępną zaciekłością chwycił się górnej balustrady. Nie mogę spaść, myślał. Jeśli wypadnę za barierkę, umrę. Widział rzekę i budynki, most Świętego Patryka, niebieskie letnie niebo i chmury. Słyszał szum jadących pojazdów i krzyk kobiety. Co mam teraz zrobić? – zastanawiał się. Wtedy usłyszał, że ktoś się do niego odzywa, a gdy zdołał odwrócić głowę, zobaczył, że obok stoi mężczyzna z siwymi włosami i zaczerwienioną twarzą. Wydzielał mocny odór stęchłego piwa.

– Tylko spokojnie, chłopcze – powiedział nieznajomy, ale jego głos był bardzo stłumiony. – Wszystko będzie cacy i w ogóle, tylko się nie ruszaj. Ktoś zadzwonił już po karetkę, dobra? Żebyś tylko się nie ruszał.

Raptem niebo zaczęło ciemnieć.

– Jest noc? – wyszeptał detektyw Barry. – Tak jakoś mnie wykończyło. Chyba się muszę położyć.

Rumiany mężczyzna złapał go pod pachą, żeby pomóc mu ustać na nogach.

– Będzie cacy i w ogóle, tylko się nie ruszaj. Wplątałeś się w barierkę jakby, rozumiesz? Jeśli się ruszysz, rozerwiesz się na kawałki.

Barry zamknął oczy. Nie wiedział, czy umarł, czy tylko śpi, słyszał jednak głosy i samochody, doszedł więc do wniosku, że nie może być martwy.

Większość głosów dobiegała z bardzo daleka, lecz nagle usłyszał kogoś, kto mówił mu prosto do ucha; czuł jego oddech.

– Synu, nazywam się ojciec O’Flynn, jestem z kościoła Świętej Trójcy.

– Nie daj mu uciec, ojczy – powiedział detektyw Barry i z obu kąćków jego ust wysączyła się krew.

Poczuł, że jego czoła dotykają śliskie palce. Usłyszał słowa ojca O’Flynna:

– Przez to święte namaszczenie niech Pan w swoim nieskończonym miłosierdziu wspomóż cię łaską Ducha Świętego. Pan, który odpuszcza ci grzechy, niech cię wybawi i łaskawie podźwignie.

Usłyszał także syreny. Rewelacja. Wsparcie wreszcie dotarło.

– Nie pozwólcie mu uciec – powtórzył. – Jest już teraz po drugiej stronie ulicy. Denny Quinn. Koszulka Rebel County. Nie pozwólcie mu uciec.

Rozdział 3

Katie właśnie zbierała papiery, które były jej potrzebne na naradzie połączonej komisji policyjnej hrabstwa, kiedy detektyw O'Donovan zapukał w półotwarte drzwi i wszedł. Był zarumieniony i spocony, spod jego koszuli wylewał się różowy brzuch.

– Przed chwilą dzwonił funkcjonariusz Brophy – oznajmił. – Gerry Barry został uderzony przez samochód na moście Brian Boru.

– O Boże... – Katie upuściła teczkę na biurko. – Coś poważnego?

– Brophy wciąż tam jest – odparł O'Donovan. – Mówi, że jakiś kierowca nagle wjechał na chodnik i wbił go w barierkę przy krawędzi mostu. Zajmują się nim sanitariusze, ale wielkich nadziei nie ma.

– No to jedźmy tam od razu – rzuciła, podeszła do wieszaka i zdjęła z niego jasnozielony żakiet. – Co z Aislin? Odniosła jakieś obrażenia?

– O ile wiem, nie była z nim. Zdaje się, że Denny Quinn prysnął, a Gerry ścigał go pieszo.

– Dlaczego pieszo? Mieliśmy tam wóz ze wsparciem, prawda?

– Nie do końca wiem dlaczego. Brophy coś mówił, że ich przyblokowano, ale nie znam szczegółów.

– A ten samochód, który go rąbnął?

– Land rover. Brophy ma opis, ale numerów nikt nie spisał.

Krocząc zwawo korytarzem, Katie natknęła się na komendanta Denisa MacCostagáina, który wychodził ze swojego

gabinetu. Bez marynarki, w koszuli, z szelkami, jak zwykle miał minę nieszczęśliwego wujka.

– A, Kathleen, więc jedzie pani na Merchants Quay. Michael Pearse wysłał już wsparcie i zadzwonił do szefa sekcji technicznej Billa Phinnera. Straszna rzecz się stała, straszna. Módlmy się do Boga, żeby ten młody chłopak przeżył.

– Będę pana informowała – zapewniła Katie.

Detektyw O'Donovan nacisnął już przycisk windy i trzymał drzwi. Zjechali w milczeniu na parter i ruszyli w stronę parkingu. Poranna ulewa minęła i choć jezdnie lśniły od wody, niebo było bezchmurne; z południowego zachodu wiał lekki wiatr. Katie słyszała dwoje małych dzieci, które ze śmiechem biegły ulicą.

– Stawiam sto do jednego, że to sprawka zbirów Quilty'ego – powiedziała, gdy mknęli Eglinton Street. – Albo nawet jego osobiście. Od początku mówiłam, że nie damy rady go zastopować, jeżeli nie dobierzemy mu się do skóry.

– Jasne, całkowicie się z panią zgadzam – przytaknął O'Donovan. – Kłopot tylko w tym, że ciężko będzie go skazać. Żaden dealer nie będzie przeciwko niemu zeznawał, no nie? Wybór jest prosty: albo przestrzelą ci kolana, albo będziesz zgarniał sześćset jojo na tydzień. Jeśli o mnie chodzi, to wiem, na co bym się zdecydował.

Clontarf Street, ulica prowadząca do mostu Brian Boru, była jednokierunkowa, ale ją zamknięto, więc jadąc pod prąd, w trzy minuty dojechali do Merchants Quay. Stało tam pięć radiowozów zaparkowanych pod różnymi kątami, a także karetką i ford ranger, pojazd szybkiego reagowania straży pożarnej. Na chodnikach zebrali się gapie; Katie widziała w dali, obok dworca autobusowego, nadjeżdżający wóz stacji RTÉ.

Przeszła na drugą stronę ulicy. Detektyw Barry leżał na noszach, twarz miał zakrytą maską tlenową, jeden z dwóch klęczących obok niego sanitariuszy trzymał rurkę kroplówki. Trzech funkcjonariuszy i strażak zasłaniali go niebieskim parawanem przed wiatrem i spojrzeniami stojących nieopodal

ludzi. Parawan trzepotał jednostajnie, ale poza tym panowała niemal kompletna cisza.

– Detektyw nadkomisarz Maguire – przedstawiła się Katie. Drugi z sanitariuszy wstał. Był to mężczyzna w średnim wieku z trójkątnymi workami skóry pod oczami, która przypominała cienki papier; jego tęczyówki miały bardzo jasną, zieloną barwę. – Jakże on ma szansę?

– W okolicy zera, tak bym to określił – odparł. – Rozległe zmiżdżenie obu nóg i miednicy, brzuch pękł i otworzył się pod wpływem uderzenia. Robiliśmy wszystko, co w naszej mocy, żeby włożyć wnętrzności na miejsce i jakoś nad tym zapanować, ale nie widzę dla niego szans. Powiem pani szczerze, nie mogę wyjść z podziwu, że nadal z nami jest. Tam stoi ksiądz, udzielił mu namaszczenia, więc od tej strony chłopak wszystko ma załatwione.

– Czy on jest w ogóle przytomny? Usłyszy mnie, jeśli się do niego odezwę?

Sanitariusz pokręcił głową.

– Podaliśmy mu piętnaście miligramów morfiny, kiedy strażacy oddzielali go od barierki. Można będzie z nim porozmawiać, kiedy środek przestanie działać, tyle że on już wtedy najpewniej nie będzie żył.

Katie spojrzała na niebiesko-białą balustradę. Trzy pionowe sztaby przecięto na wysokości ludzkiego brzucha, na odchodzących na boki prętach widać było rdzawą krew. Dwaj strażacy pakowali hydrauliczne narzędzie tnące, które stosowali zwykle do wyciągania zabitych i rannych ofiar wypadków samochodowych.

– Zabierzemy go teraz do kliniki – oznajmił sanitariusz. – Już tam dzwoniliśmy, że go przywieziemy, mówiliśmy, w jakim jest stanie, chirurdzy będą czekali. Wozilo się już takich, co pukali do nieba bram, a oni wychodzili po paru tygodniach zdrowi jak psiska.

Katie schyliła się nad detektywem Barrym. Jego jasne włosy zlepiała krew, ale pod maską tlenową widać było coś w rodzaju

uśmiechu. Wiedziała, że silna dawka morfiny często wywołuje przyjemne sny, nawet kiedy człowiek kona.

– Niech cię Bóg ma w opiece, Gerry – powiedziała i przeżegnała się.

Gdy ratownicy medyczni dźwignęli nosze i odnieśli ранego do karetki, do Katie podszedł funkcjonariusz Brophy, potężny barczysty mężczyzna w żółtej kamizelce odblaskowej; miał czoło neandertalczyka i spłaszczony nos boksera. Jego twarz była poszarzała i pełna napięcia; Katie miała wrażenie, że mężczyzna lada chwila się rozpłacze.

– Quilty dostał cynk o tym, co kombinujemy, pani nadkomisarz, bez dwóch zdań. Jego ludzie na pewno kręcą się po terenie i mają oko na dealerów. Denny Quinn dał w długą, ale jak tylko ruszyliśmy za nim z Mullikenem, jakiś samochód skręcił w York Street i nas przyblokował.

– W jaki sposób Quinn się wymknął? Ktoś stał na czatach i go ostrzegł?

– To oczywiście możliwe, ale detektyw O’Connell mówiła, że jeden klient na pchlim targu rozpoznał Barry’ego akurat w chwili, kiedy mieli skuć Quinna, i wtedy wszystko szlag trafił. Próbowwała zatrzymać Quinna, ale on ciachnął ją w twarz czymś ostrym i dał nogę. Tylko tyle z siebie wydusiła. Mulliken odwiózł ją do Miłosierdzia.

– A ten samochód, który was przyblokował?

– To było volvo. Mamy wszystkie dane, Mulliken spisał nazwisko i adres kierowcy. Może robi dla Quilty’ego, a może tylko był bezczelny.

– No dobrze, Brophy, dzięki – powiedziała.

Mostem nadjeżdżała biała furgonetka ekipy technicznej, a za nią nieoznakowana zielona toyota. Wysiadł z niej Bill Phinner, szef sekcji, i podszedł do Katie. Był chudy, miał zapadnięte policzki i spiczasty nos; kojarzył jej się zawsze z doktorem Van Helsingiem z filmów o Drakuli, jakby posiadał całą wiedzę naukową potrzebną do chwytania wampirów, i irytował się, że nie może jej wykorzystać.

– Co z detektywem Barrym? – spytał, kierując wzrok na lukę w metalowej balustradzie wyciętą przez strażaków.

– Źle – odparła Katie. – Nie sądzę, by przeżył.

Bill Phinner spojrział w dół. Ślady czarnych opon land rovera były wyraźnie widoczne w miejscu, w którym wóz skręcił z jezdni i sforsował krawężnik.

– W jakim on jest wieku?

– Dopiero co obchodził dwudzieste piąte urodziny. Jeden z moich najbystrzejszych.

– To zawsze przytrafia się tym najbystrzejszym, prawda?

Trzech techników w białych kombinezonach przemierzało ulicę, niosąc aparaty i metalowe skrzynki ze sprzętem do pobierania próbek.

– Tam leżą kawałki pomarańczowego plastiku – poinformowała ich Katie. – Mogą pochodzić z pojazdu, który uderzył detektywa.

– Aha, zbierzemy je tak czy owak. Jeśli wóz uderzył w barierkę, mógł zostawić na niej trochę lakieru. Jakiego typu to był pojazd? Wie pani?

– Land rover. Funkcjonariusz Brophy ma opis naocznego świadka. Numerów jednak nie zanotowano.

– Szkoda. Wie pani, ile land roverów jest zarejestrowanych w Irlandii? Sześć tysięcy trzysta dziewięćdziesiąt. Zakładając, że nie sprzedano żadnego nowego od kwietnia.

Podszedł detektyw O'Donovan, który zdążył przesłuchać naocznego świadka i pomówić ze strażakiem kierującym akcją oddzielania Barry'ego od balustrady.

– Nie ma wątpliwości, że to było rozmyślne działanie – powiedział. – Pięciu świadków mówi, że land rover toczył się mostem bardzo wolno, jakby śledził naszego człowieka. Raptem przyspieszył i wjechał prosto w niego. Zdaniem strażaków, nie było próby hamowania. Trzech świadków twierdzi, że był srebrnoszary, dwóch, że złoty. Jeden mówi, że jechało nim tylko dwóch ludzi, inni byli pewni, że z tyłu siedział trzeci.

– No to i tak mamy nadzwyczajną zgodność zeznań – zauważył Bill Phinner. – Zwykle świadomie przysięgają, że był to czerwony zielony niebieski biały nissan ford opel, kombi sedan, a jechało nim trzech czarnych Chińczyków, piegowatych rudawych szatynów.

– Ale chcieli go zabić – stwierdziła Katie. – I to właśnie mnie martwi. Chodziło tylko o szmugiel papierosów, ale teraz sprawa jest na zupełnie innym poziomie.

Rozdział 4

Detektyw Barry był już na sali operacyjnej, kiedy Katie przyjechała do kliniki uniwersyteckiej. Wysłała detektyw Padragain Scanlan do Szpitala Miłosierdzia, żeby porozmawiała z detektywem O'Connell i zorientowała się, co właściwie zaszło; być może zauważyła jakieś istotne szczegóły, ale zapomniała o nich z powodu szoku, którego doznała po tym, jak rozcięto jej twarz. Detektywa sierżanta Begleya i detektywa Dooleya skierowała na pchli targ, żeby przesłuchali świadków, których uda im się znaleźć, oraz skonfiskowali to, co pozostało z papierosowej kontrabandy Denny'ego Quinna.

Detektyw O'Donovan pojechał do komendy przy Anglesea sprawdzić, czy kamery monitoringu uchwyciły obraz samochodu, który uderzył policjanta i uciekł; miał także pomóc w zorganizowaniu poszukiwań land rovera i Denny'ego Quinna. Katie kazała mu też dowiedzieć się, gdzie w czasie wypadku przebywał Bobby Quilty, ale w taki sposób, by go nie zaalarmować. Wprawdzie detektyw Barry został z premedytacją uderzony przez samochód, kiedy ścigał jednego z dealerów Quilty'ego, lecz nie było dowodów na to, że Quilty jest za to odpowiedzialny bezpośrednio bądź pośrednio. Katie wolała nie skłaniać go do wzmożonej czujności.

Była gotowa czekać w szpitalu tyle czasu, ile chirurdzy będą potrzebowali na ocalenie Barry'emu życia. Należał do piątki młodych detektywów, o których zwerbowanie bardzo zabiegała; jego cenila szczególnie. Niektórzy starsi policjanci nazywali ich „działwą Katie” i wyśmiewali ich brak doświadczenia. Młodzicy mieli jednak dużo energii i otwarte umysły, świetnie posługiwali

się komputerami i już zdołali rozwiązać szereg poważnych spraw związanych z hakerstwem i oszustwami internetowymi, w tym skomplikowaną operację, której celem było zagarnięcie ponad dwóch milionów euro z konta towarzystwa ubezpieczeniowego Permanent TSB.

Siedziała w poczekalni na beżowej kanapie naprzeciwko pani z włosami ufarbowanymi na rudo, wydającej z siebie odgłosy przypominające miauczenie kota, który chce, żeby go wypuścić do ogrodu. Kobieta raz po raz wycierała nos coraz cieńszą chusteczką.

– Dobrze się pani czuje? – zagadnęła ją Katie. – Mam tutaj świeże chustki, proszę.

Tamta z wdzięcznością przyjęła od niej całe opakowanie.

– Chodzi o moją córkę Sháunę – odparła, pociągając nosem. – Rano przedawkowała i teraz lekarze robią wszystko, żeby ją odratować. Czekam na informację.

– Straszne. Czy pani córka miała depresję?

– Dręczono ją, ale nie wiem wszystkiego. Prześladowali ją w szkole, bo była wyższa od innych dziewcząt, jakieś trolle nie dawały jej spokoju w intersieci, czy jak to się nazywa. Okaleczała się i tak dalej, ale wszystko to przede mną ukrywała. Co ze mnie za matka, skoro nie miałam pojęcia, że córka tnie sobie ręce i myśli o samobójstwie?

– Ależ to nie pani wina – zapewniła ją Katie. – Jestem funkcjonariuszką Gardy i wiele razy miałam z tym do czynienia. Dziewczęta w jej wieku często czują się brzydkie i do niczego, zwłaszcza kiedy ich tak zwane koleżanki się na nie uwezczą.

Kobieta pokręciła głową.

– Święta Mario, Matko Boża, co ja zrobię, jeśli ona umrze? Jej ojciec zmarł dwa lata temu, Sháuna była jego skarbem, złotkiem. Jak się zjawi w niebie, a piętnaście lat dopiero ma, co on sobie o mnie pomyśli?

– Jak się pani nazywa? – spytała Katie.

– Brenda. Brenda Molony.

– Proszę mi dać swój adres. Kiedy pani córka wydobrzeje, przyślę do pani detektywa, żeby zajrzał do jej komputera. Namierzy tych łobuzów i postawi im szlaban.

– Jeśli wydobrzeje. Powiedzieli, że połknęła całą fiolkę paracetamolu.

– Wydobrzeje. Zmówię za nią modlitwę do świętego Benedykta.

Oczy Brendy napełniły się łzami.

– Och, dobra z pani kobieta, dziękuję. Proszę, oddaję chusteczki.

Katie uśmiechnęła się i pokręciła głową.

– Niech je pani zatrzyma. Myślę, że przydadzą się pani bardziej niż mnie.

Do poczekalni weszła pielęgniarka.

– Pani Molony? – odezwała się cicho. – Córka jest już przytomna. Chce pani wejść i ją zobaczyć?

– Powodzenia – rzuciła Katie do kobiety, która podążyła za pielęgniarką. Tamta nie mogła mówić, ale machnięcie jej ręki wyrażało podziękowanie, rozpacz i lęk lepiej niż wszelkie słowa. Katie wiedziała dokładnie, co czuje Brenda Molony.

Otworzyła laptop i zaczęła przeglądać statystyki, które zamierzała przedstawić komisji policyjnej hrabstwa. Skupiona na tym, nie zauważyła młodej kobiety z krótko ostrzyżonymi blond włosami, która weszła do poczekalni i usiadła blisko niej. Dopiero kiedy poczuła perfumy, oderwała wzrok od ekranu. Znała tylko jedną osobę, która używała Miracle Lancôme'a.

– Kyna. – Uśmiechnęła się i odłożyła komputer na bok. – Co tutaj robisz?

Detektyw sierżant Ni Nuallán straciła prawie dwanaście kilogramów wagi po tym, jak pięć miesięcy temu ją postrzelono, i jej twarz nadal była chuda. Miała sińce pod oczami, a jej kości policzkowe były ostrzej zarysowane, lecz dzięki temu jeszcze bardziej niż kiedyś przypominała elfa. Katie pomyślała, że mogłaby należeć do baśniowego plemienia Aes Sidhe.

– Byłam na prześwietleniu, potem doktor Kashani mnie zbadał – odparła. – Pielęgniarka powiedziała mi, że tu jesteś. Mówiła, że jakiś detektyw został ciężko ranny, ale nie wiedziała który.

– Gerry Barry. Wjechał w niego land rover na moście Brian Boru i przygniół do barierki.

– Matko Boska. Specjalnie?

– Jesteśmy tego prawie pewni. Modłę się, żeby z tego wyszedł, ale lekarze nie dają dużych nadziei. Jego rodzina jedzie tutaj z Tipperary.

– Wiadomo, kto mógł to zrobić?

– Nie wiem na pewno, ale nie zdziwiłabym się, gdyby maczał w tym palce Bobby Quilty.

– Quilty, ten gnój! Własną matkę by przejechał, gdyby miała parę euro w torebce.

Katie ujęła ręce Kyny. Nadgarstki były cienkie jak patyki, więc szpitalny identyfikator i zegarek wisiały na nich luźno.

– Dobrze się już czujesz? Żałuję, że nie mogłam cię odwiedzić w zeszłym tygodniu. Miałam urwanie głowy z powodu tych podpalonych ciężarówek z Irish Water i sprawy Cronina. Wyglądało to tak, jakby ludzie podkładali ogień pod wszystko, co ich rozzłości.

– O, ogólnie czuję się super. Doktor Kashani martwił się, bo miałam niski poziom cukru i trudności z oddychaniem, ale mówi, że żołądek prawie do końca się zagoił i nie muszę się martwić.

– Ale nie zmieniłaś zdania? – spytała Katie.

– W kwestii powrotu? Nie. Myślałam o tym, tak jak prosiłaś, ale nie tylko moje ciało odniosło obrażenia, Katie. – Stuknęła się palcami w czoło. – Wszystko przepadło, cała moja pewność siebie. Boję się nawet wyjść na pocztę. Przedwczoraj czekałam w kolejce w sklepie, a jakiś palant się na mnie gapił tak spod oka, wiesz? A ja nie mogłam się powstrzymać... myślałam: a jeśli on należy do gangu, rozpoznał mnie i zaraz kropnie?

– Mogłabym ci załatwić pomoc psychologiczną. Jestem pewna, że to z czasem przejdzie.

Kyna wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się.

– Za dużo komplikacji, Katie, utrata pewności siebie to jedno. Są jeszcze moje uczucia do ciebie. Będzie lepiej, jeśli rozejrzę się za innym zajęciem. Umiesz śpiewać, wiedziałas o tym?

– Nie, skąd. Serio?

– O, tak. Śpiewałam kiedyś w grupie Foggy Dew w Temple Bar. Stale mi powtarzali, że powinnam to robić zawodowo. Kiedyś ci zaśpiewam. *One Morning in Autumn*, tylko dla ciebie.

– Chyba wiesz, jak będę za tobą tęskniła, kiedy naprawdę postanowisz odejść. Poza wszystkim, nie znam nikogo, kto by wyciągał zeznania od opryszków tak jak ty. Zadurzają się w tobie i gotowi są przyznać się, że obrabowali bank, tylko po to, by ci zaimponować, nawet jeśli nie mają z tym nic wspólnego.

Kyna milczała, więc po chwili Katie zapytała:

– Wrócisz do Dublina?

Dziewczyna skinęła głową. Katie rozumiała, co Kyna czuje. Była udręczona. Jeśli kiedyś w pełni dojdzie do siebie, fizycznie i psychicznie, będzie jej potrzebna pociecha ze strony bliskich, żeby na jakiś czas zapomnieć o szarych chodnikach Cork, szarej wodzie rzeki Lee, pistoletach i ludziach, którzy tak się rwą, by naciskać spusty.

Kyna opuściła głowę, a Katie, wciąż trzymając ją za rękę, nachyliła się i ucałowała ją w czubek głowy.

Do poczekalni wszedł chirurg w czepku, fartuchu i chodakach. Zdjął czepkę i z posępną miną zbliżył się do policjantek. Miał smutne wyłupiaste oczy boston teriera i Katie zastanawiała się, czy już się z nimi urodził, czy zrobiły się takie za sprawą tragedii, które oglądały. Miał ciemną karnację i był nieogolony.

– Detektyw nadkomisarz Maguire? – odezwał się, po czym odchrząknął.

Katie już chciała wstać, ale się powstrzymała. Wiedziała, że usłyszy złą wiadomość, a przez cały dzień nie jadła i nie chciała zemdleć.

Chirurg przysiadł obok niej.

– Jestem doktor Walid. Razem z całym zespołem robiliśmy wszystko co w naszej mocy, żeby uratować życie detektywa Barry’ego. Niestety, zmarł pięć minut temu. Obrażenia, których doznał, były zbyt wielkie.

– Rozumiem – powiedziała.

Na długą chwilę zapadła cisza.

– Przykro mi – odezwał się w końcu lekarz. – Jeśli chce go pani zobaczyć, jest teraz w sali rekonwalescencji. Tak, wiem, to niestosowna nazwa wobec takich okoliczności. Później zostanie przewieziony do kostnicy. Przypuszczam, że będzie pani prosiła, by urzędowy patolog zbadał szczątki.

– Tak, owszem. Jego rodzina jest już w drodze tutaj i niedługo się tu zjawi. Czy on nadaje się do tego, żeby go zobaczyli?

– Oczywiście zrobimy co się da, żeby wyglądał odpowiednio.

Po wyjściu doktora odwróciła się do Kyny.

– Zaczekam tutaj na bliskich Gerry’ego. Będiesz wolna wieczorem? Chyba przyda mi się ktoś, komu będę się mogła wypłakać w rękaw. Mimo że to między innymi z twojego powodu chce mi się płakać.

Kyna delikatnie wysunęła palce z dłoni Katie, ujęła jej twarz i pocałowała ją w usta.

– Zadzwoń. Znasz to powiedzenie. Ramię, w które można się wypłakać, jest lepsze niż pieniądze znalezione na drzewie.

– Co to znaczy?

– Nie wiem, Katie. Naprawdę nie wiem. Zaczynam wątpić, czy w ogóle coś rozumiem.

Rozdział 5

Dochodziło wpół do dziesiątej, kiedy dotarła na Anglesea. Gdy matka i dwaj bracia detektywa Barry'ego przyjechali o szóstej do szpitala, Katie najdelikatniej usiłowała im opowiedzieć, jak zginął; tłumaczyła, że szok spowodowany obrażeniami sprawił, że ich syn i brat nie cierpiał bardzo.

Kobieta nie była w stanie wydusić słowa. Ścisnęła w dłoniach chusteczkę i wpatrywała się w Katie, jakby błagała ją, by przyznała, że kłamie, że jej syn wcale nie zginął, tylko po prostu śpi. Starszy z braci stał za matką z rękami na jej ramionach, a łzy spływały mu po twarzy i kapały na jej włosy.

Katie powiesiła żakiet i usiadła przy biurku. Była wykończona, miała ochotę zostać na noc w komendzie i zadzwonić do nowych sąsiadów, Tierneyów, z prośbą, żeby nakarmili Barneya, jej setera irlandzkiego. Wcale nie chciało jej się jeść, ale zdawała sobie sprawę, że powinna coś przekąsić; pewnie zejdzie na dół do bufetu i poprosi, żeby przygotowali jej porcję zupy z soczewicy i kanapkę z szynką.

Przeglądała akta, które dla niej zostawiono, kiedy w drzwiach ukazał się inspektor O'Rourke z tabletem. Był to niski tęgi mężczyzna o zaczerwienionej twarzy; w koszuli z rękawami zakasnymi aż do bicepsów wyglądał tak, jakby gotów był dać wycisk każdemu, kto go zirytuje.

– Francis, wciąż pan tu jest? – odezwała się Katie. – Myślałam, że jutro wcześniej rano wybiera się pan do Kinsale.

– Bo tak miało być, pani nadkomisarz. Ale coś wypłynęło i pomyślałem, że na panią zaczekam i wyjaśnię, w czym rzecz. Nie chciałem pani przeszkadzać w szpitalu.

– Ach tak, dziękuję. Przyjechała rodzina Gerry’ego i nie było nam wesoło, pewnie pan sobie wyobraża. No więc, co się stało?

– Do tej pory trzymaliśmy to w kompletnej tajemnicy, bo sprawa jest delikatnej natury. Może mieć oddźwięk polityczny, rozumie pani?

– Nie bardzo.

– Dzisiaj rano dwóch gości remontowało domek tuż za przędzalnią wełny w Blarney i kiedy podnieśli deski z podłogi w salonie, znaleźli szczątki całej rodziny: ojca, matki, dwojga dzieci, były nawet dwa psy. Ciała były praktycznie zmumifikowane.

– Matko Boska. Wiadomo, jak umarli?

– Wszystkich zabito strzałami w tył głowy. Nawet niemowlę i psy. Dlatego pomyślałem, że sprawa może mieć oddźwięk polityczny. Mogły to być wprawdzie jakieś gangsterskie porachunki, ale nie wydaje mi się to prawdopodobne wobec faktu, że wykonano egzekucję na całej rodzinie.

– Kogo pan tam pchnął?

– Dwójkę z pani dziatwy, Markeya i Ó Doibhilina. Przesłuchali tych dwóch gości, którzy natknęli się na zwłoki, i wszystkich sąsiadów, a domek zapieczętowali. Technicy pojedą tam jutro z samego rana, bo wydaje mi się, że nie ma powodu do większego pośpiechu. Ó Doibhilin przysłał mi zdjęcia i sądząc po fasonie ubrań i stanie szczątków, powiedziałbym, że rodzina leżała pod tą podłogą dobre pięćdziesiąt lat, może nawet dłużej.

– Co nie umniejsza tragedii – zauważyła Katie. – Wymordować całą rodzinę, dzieci... o Jezu. Można by się spodziewać, że ktoś odnotował ich zniknięcie, zwłaszcza w takiej małej miejscowości jak Blarney.

– Jasne – zgodził się z nią O’Rourke. – To jedno z pierwszych pytań, które będziemy stawiali. Ale jeżeli ciała spoczywały tam tak długo, to jeden problem z głowy, prawda? Dla nas w każdym razie. Tego, kto ich zabił, prawie na pewno nie ma już wśród żywych.

– Prawdopodobnie. Ale i tak musimy się dowiedzieć, kim byli i jak zginęli. Jedno powiem panu na pewno, doktor Reidy nie będzie zadowolony. Wie pan, jakie są koszty badania patologicznego dawnych zwłok, a zdaje się, że już przekroczył tegoroczny budżet. Wyłożył siedmiocyfrową sumę, kiedy latem ubiegłego roku wykopali tę kobietę na bagnach w Mayfield. Badania kosztowały mnóstwo forsy i okazało się, że ona leżała tam od epoki żelaza.

– Mimo wszystko nie uważam, żeby identyfikacja była bardzo trudna – powiedział O'Rourke. – Te szeregowie domki zbudowano specjalnie dla robotników z przędzalni Martina Mahony'ego, więc są szanse, że ojciec rodziny był tam zatrudniony, może nawet matka.

– Ale przędzalnia zaprzestała działalności w latach siedemdziesiątych, prawda? Czy ktoś wciąż trzyma rejestr osób, które tam pracowały?

– W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym trzecim zakład przeszedł w zarząd komisaryczny i zdaje się, że kiedy go zamknięto, ostatniemu pracownikowi kazano spalić w piecu wszystkie dokumenty firmy. On jednak postanowił je zachować dla potomności wraz z próbkami wełny, a na łożu śmierci przekazał je w darze Towarzystwu Historycznemu Blarney, i oni nadal je mają. Już się z nimi kontaktowaliśmy. Powiedzieli, że chętnie nam dopomogą. Chyba się trochę zabałaganili, ale przeszukają swoje archiwa i spróbują znaleźć to, o co nam chodzi.

– Ma pan zdjęcia, które przysłał Ó Doibhilin? – spytała Katie.

– A tak, pewnie. – O'Rourke stuknął palcem w tablet, po czym zmarszczył czoło, stuknął raz jeszcze i podał przełożonej. Detektyw Ó Doibhilin zrobił kilkanaście zdjęć zwłok spoczywających między legarami, w różnych ujęciach; były wśród nich zbliżenia uschniętej dłoni mężczyzny oraz głów wszystkich czterech ofiar z wyraźnie widocznymi ranami wlotowymi.

Katie przyjrzała im się dokładnie.

– No, nie wiem – odezwała się po chwili. – Trudno jest stwierdzić na pewno, kiedy zostali zabici, w każdym razie nie na podstawie oględzin ubrań, bo są bardzo pospolite. Fason dziecięcych ubrań wskazywałby jednak, że jest to pierwsza połowa lat dwudziestych. Może trochę wcześniej, sądząc po tych sznurowanych bucikach.

– Moim zdaniem to jest tysiąc dziewięćset dziesiąty albo coś koło tego – powiedział inspektor O'Rourke. – Ale jak pani zauważyła, mieli na sobie bardzo pospolitą odzież, bo zapewne pracowali w przędzalni i nie było ich stać na najnowszą modę, nawet jeśli ją znali. Prawdopodobnie nosili latami te same rzeczy, aż się przetarły, więc mogę się mylić o dekady. Mój staruszek chodził w tych samych sztruksowych spodniach przez trzydzieści lat. Kiedy umarł, mama przysięgała, że w nocy słyszy, jak chodzą same po domu.

– Jutro rano pojedę do Blarney i rzucę okiem na te ciała – oznajmiła Katie. – Miał pan całkowitą rację, zachowując ciszę wokół tej sprawy. Nie chcę, żeby to się rozniosło, dopóki nie poznamy więcej szczegółów. Wie pan, jacy są ludzie w Cork, na punkcie przeszłości są o wiele bardziej drażliwi niż na punkcie teraźniejszości.

– Jasne, że wiem – odparł O'Rourke. – Teściowa do dzisiaj opowiada, jak to w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym piątym zapłonął stary budynek opery, a ona stała ze swoim ojcem na deszczu i patrzyła, jak wypala się aż do fundamentów. Niewielu ludzi miało wtedy telewizory.

– To samo jest z moim ojcem – podchwyciła Katie. – Nie może przestać gadać o Coal Quay za starych czasów. Ale wróćmy do Gerry'ego. Czy O'Donovan odtworzył już zapis z monitoringu?

– Tak, ja też go obejrzałem. Widać, jak Denny Quinn wypada zza rogu MacCurtain, a Barry biegnie za nim. Zaraz potem zza zakrętu wyjeżdża land rover, bardzo wolniutko, jakby go śledził. Quinn pokonuje most, ale w połowie zwalnia i Barry zaczyna go dopędywać. Land rover toczy się tuż za Barrym. Można dojrzeć dwóch gości, którzy w nim siedzą, ale obaj są w ciemnych

okularach, a słońce odbija się w przedniej szybie, więc nie da się zobaczyć wyraźnie ich twarzy. Widać, że kierowca nosi czarną koszulkę z napisem *Cork Hurling*, ale to wszystko.

– Numer tablicy?

Inspektor O'Rourke pokręcił głową.

– Ukradziona. Jakies pół roku temu wzięta od hondy civic zarejestrowanej na nauczyciela muzyki z Carrigaline.

– A sam moment uderzenia i ucieczka?

O'Rourke znów pokręcił głową.

– Tak się pechowo złożyło, że akurat wtedy, gdy samochód uderzył w Barry'ego, przejeżdżała wielka ciężarówka firmy John O'Donovan Haulage. Kiedy ciężarówka przejechała, widać tylko, jak land rover cofa z chodnika, a potem rwie ile wlezie Clontarf Street. Później jakiś starszy gość podszedł, żeby udzielić Barry'emu pomocy, ale na tym koniec.

– Ustaliliście, jaki to był model land rovera?

– Discovery TDV6 5E, prawdopodobnie z dwa tysiące czwartego lub piątego roku. Kolor się nie zgadza, ale wóz był pewnie przelakierowany. Sprawdziliśmy oczywiście w rejestrze zaginionych pojazdów i w naszej bazie skradzionych pojazdów, ale na razie nic.

– A zwracaliście się do wydziału rejestracji pojazdów i kierowców w Coleraine? I w Cardiff?

– Tak, oczywiście, ale na próżno. Kontaktowałem się też z Knock Road, bo Quilty pochodzi z Armagh. Bez obawy, nie wymieniłem jego nazwiska ani w żaden sposób nie dałem do zrozumienia, że podejrzewamy go o współudział.

– Dobrze się pan spisał – pochwaliła inspektora Katie i wstała.

– Chyba zejść teraz do bufetu. Skończył pan już na dzisiaj?

– Powinienem, bo moja staruszka mnie zakatrupi. Jej siostra dzisiaj przychodzi z mężem na kolację, i żona jest wściekła, że próbowałem się wymówić. Powiem pani szczerze, że wolałbym być tutaj niż tam. Jej szwagier pracuje w radzie hrabstwa i nic, tylko gada o niekończącej się walce z nielegalnym wyrzucaniem śmieci. Każdego by tym zamęczył.

Katie się uśmiechnęła. Francis O'Rourke był zaprawionym w służbie, nieugiętym funkcjonariuszem z dwudziestotrzyletnim doświadczeniem, lecz ona widziała na własne oczy, kto egzekwuje prawo w tej rodzinie, i z całą pewnością była to Maeve.



Było już bardzo późno i w bufecie dyżurowała zaledwie jedna kucharka; mogła zaproponować tylko krem porowoziemniaczany oraz paszteciki z serem, ale Katie była zbyt zmęczona, żeby iść do restauracji. Poza tym nie czuła głodu. Kiedy tak siedziała przy stoliku obok okna i jadła, wciąż miała przed oczami detektywa Barry'ego, który uśmiechał się pod maską tlenową. Jego ciało było straszliwie zdruzgotane, a on mimo to śnił przyjemne sny.

Zupa była gęsta, z mnóstwem pieprzu, taka jaką gotowała w domu. Katie zdążyła zjeść zaledwie trzy czy cztery łyżki, gdy zabrzączał iPhone i zobaczyła, że ma wiadomość tekstową.

Wracasz dzisiaj do domu? Jestem na zewnątrz. Czekam na ciebie. Kocham cię i chcę pomówić. J.

Powoli opuściła łyżkę. Nie mogła uwierzyć własnym oczom. Dotąd była pewna, że John już nigdy się do niej nie odezwie. Dowiedziawszy się o tym, że po flircie z byłym sąsiadem zaszła w ciążę, z wściekłości przedarł na pół jej portret, który malował, i wypadł z domu jak burza. Stało się to przed Bożym Narodzeniem i od tej pory nie odpowiedział na żaden z jej SMS-ów i telefonów. Nawet nie wiedziała, czy nadal przebywa w kraju.

Miała wrażenie, że podłoga usuwa jej się spod nóg jak w czasie trzęsienia ziemi. Nie wiedziała, czy powinna mu odpisać. Kochała go głęboką miłością i między innymi dlatego tak długo zwlekała, zanim powiedziała mu, że spodziewa się dziecka innego mężczyzny. Przecież raz już ją zostawił, wyjechał, żeby pracować w Ameryce, i właśnie wtedy wdała się w krótki romans z sąsiadem. Ten mężczyzna już nie żył, a ona poroniła. Czyżby John się o tym dowiedział?

Kucharka wyszła zza bufetu i zbliżyła się do Katie.

– Zupa w porządku, proszę pani? – spytała z zatroskaną miną.
– Tak, tak, bardzo smaczna – odparła Katie i uniosła iPhone’a.
– Dostałam niesłychanie ważną wiadomość, to wszystko.
Normalka w tej robocie.

Kucharka, młoda pulchna dziewczyna, nie miała więcej niż dziewiętnaście lat. Za długą grzywkę upinała różową spinką z plastiku, brwi były niewydepilowane, a gładka buzia z dziecięcym tłuszczykiem wydawała się jeszcze nietknięta rozczarowaniem, żalem ani zdradą – ani miłością, która nieoczekiwanie zmienia się w gorzką niechęć. Jeśli w ogóle zdążyła już kogoś pokochać. Czy Katie była w stanie wytłumaczyć takiej osobie, dlaczego nagle odstawiła zupę?

Przeczytała ponownie wiadomość od Johna. Kusilo ją, by po prostu skasować SMS-a, ale nagle przyszło jej na myśl, że byłoby to małostkowe. Po chwili zastanowienia napisała: *Dzisiaj nie ma mnie w domu. Jutro jestem po uszu zapracowana. Ale możemy się spotkać w barze Hayfield Manor ok. szóstej.*

Długo wpatrywała się w tekst, zanim go wysłała. Wybrała pięciogwiazdkowy Hayfield Manor, gdyż wewnątrz było ciemne i dyskretne; istniało małe prawdopodobieństwo, że zobaczy ją tam któryś z kolegów lub bandziorów rezydujących na stałe w Cork. Ale czy chciała jednocześnie przypomnieć Johnowi, co porzucił? W zeszłym roku spędzili tam bardzo kosztowny i romantyczny wieczór, żeby uczcić jej urodziny.

Wzięła głęboki oddech i nacisnęła Wyślij.

Rozdział 6

Gdy nazajutrz rano przyjechała do Blarney, dwie białe furgonetki sekcji technicznej stały już jedna za drugą na Millstream Row za kontenerem na odpady budowlane; były tam także trzy radiowozy i dwa nieoznakowane fordy mondeo. Musiała zaparkować na samym końcu szeregu, obok muru z szarego kamienia, który otaczał hotel Blarney Woollen Mills. Po zamknięciu firmy Mahony'ego w 1973 budynek stał opuszczony, lecz dwa lata później był pracownik zakładu, Christy Kelleher, zgromadził wystarczającą ilość kapitału i urządził tam największy sklep z typowo irlandzkimi produktami w tej części kraju, a później również hotel.

Lekko mżyło, ale od czasu do czasu zza chmur błyskało srebrne słońce, była więc nadzieja na pogodniejsze popołudnie. Mimo to Katie włożyła czarną kurtkę przeciwdeszczową ze spiczastym kapturem; John mówił zawsze, że wygląda w nim jak Fuamnach, bogini czarownica. A ona przypomniała mu, że Fuamnach zamieniła drugą żonę swojego męża w kałużę, później w robaka, na koniec zaś w pięknego motyla, który wymknął mu się z rąk i odleciał.

Detektyw Ó Doibhilin zauważył jej przybycie i czekał przy drzwiach. Był to rosły, poważnie wyglądający i przystojny młody mężczyzna, mimo że twarz miał bardzo pociągłą; z jej powodu koledzy nadali mu przydomek Koń. Kiedy szedł korytarzem, drażnili się z nim, śpiewając piosenkę grupy Rubberbandits *Koń za drzwiami*.

Katie już z daleka widziała migające wewnątrz domu flesze aparatów używanych przez techników; przypominały błyski

letniej burzy. Dwaj członkowie ekipy naciągali ciemnozieloną plandekę na kontener i zawiązywali ją sznurami.

– Jak idzie? – spytała.

– Pomału – odparł Ó Doibhilin. – Bill Phinner mówi, że zwłoki są kruchutkie, więc wyciągniecie ich tak, by nie rozleciały się na kawałki, potrwa dni. Uważa, że patolog powinien zbadać je na miejscu, nim zostaną przeniesione, żeby nie doszło do zniszczenia dowodów, na przykład rozerwania skóry czy przemieszczenia kości.

– Hm, z samego rana dzwoniłam do biura patologa. Przyślą tutaj urzędującego zastępcę, doktor Kelley.

– No, ale proszę wejść, pokażę pani – powiedział detektyw i wprowadził Katie frontowymi drzwiami do wąskiego przedpokoju, w którym ledwie się mieściła dwójka funkcjonariuszy ubranych w bufiaste kamizelki odblaskowe oraz technik w białym kombinezonie.

Katie wiedziała, czego się spodziewać, lecz kiedy weszła do pokoju i ujrzała zwłoki leżące twarzami do ziemi między legarami podłogowymi, z ubraniami i włosami przysypanymi cienką warstwą pyłu, ogarnął ją taki smutek, jakiego rzadko doświadczała na widok ciał ofiar niedawnych morderstw. Widywała już całe martwe rodziny, które zginęły w zderzeniach na autostradzie N20 albo uległy zatruciu tlenkiem węgla w domkach letniskowych w West Cork. Mimo że nie знаła jeszcze tożsamości ofiar, nabrała przekonania, że inspektor O'Rourke miał rację, twierdząc, iż zabójstwo miało charakter polityczny. Była to nie tylko tragedia ojca i matki rodziny oraz ich dwojga dzieci, lecz również część składowa smutnego wątku historii Irlandii.

Krocząc ostrożnie po belkach i nielicznych deskach podłogowych, zbliżyła się do miejsca po przeciwnej stronie saloniku, gdzie Bill Phinner pokazywał nowicjuszowi, jak pobierać próbki z wyblakłej brązowej sukienki, w którą ubrana była zabita kobieta.

– Kamień by się rozplakał, prawda? – odezwał się, nie spoglądając na Katie. – Nieważne, jak dawno to było, ktoś wszedł pewnego dnia do tego domu i zastrzelił wszystkich, jednego po drugim, a my nawet nie wiemy, w jakiej kolejności. Modłę się do Boga, żeby najpierw zabił rodziców. Nikt nie chciałby patrzeć, jak giną jego dzieci.

– Facet z Towarzystwa Historycznego Blarney przegląda archiwa – powiedział stojący przy drzwiach detektyw Ó Doibhilin. – Ale mówi, że nie ma w nich żadnego porządku, więc nadal je przesiewa i nie znamy jeszcze nazwiska tej rodziny. Ale staruszka dwa domy dalej sądzi, że nazywali się Langtry, bo jej matka o nich mówiła.

– Langtry... rozumiem. Czy jej matka wspomniała o tym, że nagle zniknęli?

– Tak, owszem. Powiedziała, że kiedyś bawiła się z małą Langtry, ale pewnego dnia ją wołała, a małej już nie było. Tylko tyle pamięta, choć słyszała, jak ktoś mówił, że całą rodziną wyjechali do Ameryki.

– No to mamy pełną jasność, że nie wyjechali – stwierdził Bill Phinner, ponurym wzrokiem lustrując zwłoki leżące u jego stóp.

– Czy ta staruszka powiedziała, kiedy mniej więcej ci Langtry'owie zniknęli?

– Nie, daty nie umiała mi podać.

– Ile ona ma lat?

– Siedemdziesiąt pięć, może pod osiemdziesiątkę.

– To by znaczyło, że urodziła się w latach czterdziestych. To małeństwo tutaj ma pewnie siedem, może osiem lat, bo trzeba uwzględnić to, że w tamtych czasach dzieci nie były dobrze odżywione, więc nie rosły takie duże jak teraz. Przypuśćmy, że kiedy matka staruszki bawiła się z tą małą, były z grubsza w tym samym wieku, i założmy, że miała dziewiętnaście, dwadzieścia lat, kiedy wydała staruszkę na świat. To by znaczyło, że zabójstwa dokonano w latach dwudziestych albo jakoś tak.

Katie uklękła, żeby dokładniej przyjrzeć się zwłokom.

– Wydaje mi się, że ma pan rację. Francis O'Rourke pokazał mi zdjęcia, które wczoraj zrobiliście, i pomyślałam, że ubrania wyglądają na lata dwudzieste. Oczywiście ustalimy datę precyzyjnie, jeśli towarzystwo historyczne znajdzie tych ludzi w swoich archiwach.

Dotknęła delikatnie fartuszek dziewczynki.

– Zakładając, że to jest rodzina Langtrych. Bo z tego, co wiemy do tej pory, wygląda na to, że ci Langtry'owie wymordowali inną rodzinę i ukryli ją pod podłogą, i właśnie dlatego wynieśli się do Ameryki.

– Pani nadkomisarz ma bardzo bujną wyobraźnię – zauważył Bill Phinner. – Powinna pani pisać powieści detektywistyczne.

– Dopóki nie będę znała wszystkich faktów, Bill, muszę brać pod uwagę wszystkie możliwości.

– Zabieramy deski do laboratorium. Są na nich ciemne plamy, być może plamy krwi, możemy wykonać testy DNA.

– Przeczytałam raport, który napisał pan w zeszłym roku o badaniach DNA. Ale po dziewięćdziesięciu latach? Czy to się da zrobić?

– Powinno. Pamięta pani tę sprawę w Togher, dotyczyła właściciela sklepu rowerowego, którego oskarżono o to, że zadźgał nożem własną żonę?

– Oczywiście. Znalazł pan plamy krwi na nogach łóżka i udowodnił pan, że krew należała do niej. Ale te plamy nie miały więcej niż piętnaście lat, prawda?

– Owszem, ale jeśli znajdziemy na deskach plamy krwi, mam sporą nadzieję, że uda nam się zrobić profilowanie DNA, nawet jeśli są o wiele starsze. DNA to coś szalenie trwałego. W każdym badaniu, które robiliśmy w zeszłym roku, plamy krwi pochodziły z przedawnionych spraw, ponad dwudziestopięcioletnich, a w osiemdziesięciu dwóch procentach uzyskaliśmy wyniki pozytywne. Takie same testy przeprowadzimy na tych deskach.

– No dobrze, życzę powodzenia. Musimy wiedzieć na pewno, co to za rodzina, nawet jeśli nigdy się nie dowiemy, kto zabił tych ludzi i dlaczego.

– Zaczniemy od porównania za pomocą elektroforezy. Dzięki tej metodzie zdołano zidentyfikować plamy krwi w Kosowie. Minęło ponad półtora roku od masakry, krew wsiąkła w glebę, a specjaliści i tak zdołali ustalić nazwiska większości ofiar. I zidentyfikowali zwłoki młodego wspinacza w Nowej Zelandii, mimo że zaginął przed czterdziestoma dwoma laty.

– Gdyby tylko plamy krwi umiały mówić, powtarzał mój ojciec – powiedziała Katie. – No i zdaje się, że umieją.

– O, nie tylko plamy krwi. Nasienie i wydzielina pochwowa, też gadają jak najęte.

Jakbym nie wiedziała, pomyślała Katie; nasunęło jej się skojarzenie z Johnem i Davidem Kane'em, który ją zapłodnił, chociaż przysięgał, że jest po wazektomii. Wydaje nam się, że wędrujemy przez ten świat, nie pozostawiając śladu swojej bytności, ale każdy z nas zostawia za sobą trwałe dowód, codziennie, wszędzie, gdzie się znajdziemy. Krew, skóra, pot i odciski palców, włosy i ślina. Nawet wydychane powietrze mówi, gdzie byliśmy.

– No dobra, Bill, niech pan to rozgryza. Ja pójdę i utnę sobie pogawędkę ze staruszką dwa domy dalej. – Odwróciła się do detektywa Ó Doibhilina. – Przedstawi mnie pan jej? Czasem kobieta powie drugiej rzeczy, które nie przyjdą jej na myśl, kiedy rozmawia z mężczyzną.

– Miło mi to od pani słyszeć – odparł Ó Doibhilin bardziej do siebie niż do niej.

Podeszli do domu i zadzwonili. Drzwi otworzył chłopczyk z włosami piejącymi z tyłu głowy; w ręce trzymał do połowy zjedzoną kanapkę z dżemem.

– Co słyszać, cwaniaku? – zagadnął go detektyw. – Mogę jeszcze pogadać z babcią?

– Babciu! – krzyknął malec z pełnymi ustami. – Babciu, to znowu gliny!

Po dłuższej chwili zjawiała się drobniutka kobiecina w długim ciemnozielonym zapinanym swetrze. Była prawie tak malutka jak chłopiec, miała kręcone siwe włosy przebarwione z przodu

na pomarańczowo od nikotyny i pomarszczoną twarz nałogowej palaczki z długim stażem. W dłoniach ścisnęła mocno duże szklane koraliki, jak gdyby stanęło przed nią dwoje wampirów, a naszyjnik był krucyfiksem.

– Powiedziała ci wszystko, co pamiętam – rzuciła, po czym zakaszła raz i drugi.

– Wiem, dziewczyno – odparł detektyw Ó Doibhilin. – I szczerze ci jestem zobowiązany. Ale to jest detektyw nadkomisarz Maguire, chciała tu przyjść i zobaczyć cię osobiście, żeby okazać wdzięczność za pomoc, której nam udzieliłaś.

– Och? – powiedziała kobieta takim tonem, jakby spodziewała się dostać od Katie jakąś nagrodę.

– Mogę wejść do środka i pomówić z panią? – zapytała Katie.

– Powiedziałał temu facjowi wszystko, co pamiętam.

– Wiem. Ale byłabym wdzięczna, gdyby wróciła pani do tego raz jeszcze. Może jest jakiś szczegół, który się pani przypomni.

Kobieta wzruszyła ramionami.

– No dobra. – Wsunęła rękę do rozciągniętej kieszeni swetra i wydobyła pomięty banknot dziesięć euro. – Micky, skoczyłbyś do SuperValu i przyniósł mi dwadzieścia carrollsów? A jak już kupisz, to pamiętaj, żeby wrócić. Reszta dla ciebie.

– Reszty nie będzie, babcia, one podrożały.

Staruszka cmoknęła, sięgnęła jeszcze raz do kieszeni i dała mu pięćdziesiąt centów.

– Ach, te ceny fajek teraz, aż się płakać chce.

Katie uśmiechnęła się ściśniętymi ustami, lecz nic nie powiedziała. Z powodu ceny papierosów zabito detektywa Barry'ego.

Chłopiec pobiegł, wciąż trzymając w dłoni kanapkę z dżemem, a jego babcia otworzyła drzwi i szurając nogami, weszła do małego salonu.

– No dobrze, sama to dalej pociągnę – powiedziała Katie do Ó Doibhilina.

– Jest pani pewna? – zapytał, nawet nie próbując ukryć ulgi.

– Niech pan już idzie – odparła i podążyła za gospodynią.

Salonik wyglądał ponuro, ściany były oklejone tapetą w wyblakłe brązowe róże. Sufit pokryty fakturowanym tynkiem także zbrązowiał od dymu tytoniowego. Wykładzina miała barwę zgniłych wodorostów, prawie taką samą jak sweter, który kobieta miała na sobie; leżały na niej luźne kawałki wykładziny, żeby za bardzo się nie ścierała. Nad kominkiem wisiał portret papieża, a trójwymiarowy wizerunek Jezusa znalazł miejsce nad gablotą zapełnioną porcelanowymi pieškami i dzbankami z poczerńałego srebra.

Katie usiadła naprzeciwko gospodyni na dużym fotelu wyściełanym śliskim brązowym tworzywem.

– Nie wiem, jak się pani nazywa.

Kobieta pogrzebała w pełnej szklanej popielniczce, aż znalazła na wpół wypalonego papierosa. Zapaliła go, zaciągnęła się głęboko, a potem wypuściła nosem dwie bliźniacze smugi dymu podobne kształtem do zwierzęcych kłów.

– Nora. Nora O’Neill.

– Mieszka pani tutaj całe życie?

Staruszka połknęła dym, więc odpowiedź zaczęła od pokręcenia głową.

– Sprowadziłam się tu z powrotem, kiedy umarł mój mąż Bryan – odparła ściśniętym głosem. – Ach, mówię pani, to był szok, jak szybko on odszedł. To był rak panchromatyczny. W jednej chwili je serdelki, a w następnej puka do nieba bram. To było w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym dziewiątym. Potem umarła moja mama, więc jestem tu teraz sama.

– A chłopiec?

– Och, Micky. Zajmuję się nim, kiedy jego mama idzie do pracy. Jest kelnerką w Muskery Arms, to niedaleko, po drugiej stronie placu. Nicpoń z niego, ale wszystko by dla mnie zrobił. Nie jestem jego prawdziwą babcią, ale tak mnie nazywa.

– Pani mama bawiła się z dziewczynką od Langtrych.

– Tak jest. Aideen miała na imię. Mama często zastanawiała się, dlaczego oni tak nagle zniknęli, nawet się z nikim nie pożegnali. Jednego dnia są, następnego ich nie ma. No i teraz już

wiemy dlaczego, Boże miej w opiece ich dusze. Oczywiście nie tylko moja mama bawiła się z Aideen. Babcia była najlepszą koleżanką mamy Aideen, Radhy.

Nora wyssała papierosa aż do filtra, a potem go zgmiotła.

– A pani ma dzieci? – zapytała. – To musi być okropnie trudne, mieć dzieci przy takim zawodzie.

– Owszem, ale nie, nie mam dzieci – odparła Katie. – Miałam synka Seamusa, ale zmarł, kiedy miał zaledwie rok. Śmierć w kołysce.

– Przykro mi to słyszeć. Spróbuje pani jeszcze raz? Młoda pani jeszcze jest, no nie? Dzieci przynoszą tyle światła w życiu. Widzi pani swoje dzieci... Wie pani, o czym mówię? Widzi pani swoje dzieci i myśli, przynajmniej coś zrobiłam z tymi latami, które mi Bóg dał, a nie tylko paliłam fajki, grałam w bingo i oglądałam telewizję.

– Pewnie, że chciałabym mieć drugie dziecko – przyznała Katie. – Ale w tej chwili jakoś nie mam partnera.

– Ale nosi pani obrączkę.

Katie uniosła lewą rękę.

– Byłam mężatką. Już nie jestem. Zdaje się, że noszę ją jako pamiątkę. No, wie pani, tak dla przypomnienia, żeby tego drugi raz nie robić, a jeśli już, to bardzo ostrożnie.

Nora grzebała znowu w popielniczce, lecz nagle przestała.

– Skoro mowa o pamiątkach, mama przekazała mi jedną, którą dostała od babci. Mówiła, że dała ją jej Radha Langtry, nie w prezencie, ale na bezpieczne przechowanie. Oczywiście kiedy zniknęli tak nagle, babcia ją zatrzymała, bo nie wiedziała, co z nią począć. Radha kazała jej przyrzec, że nikomu nie ujawni, że ją ma, nigdy, i babcia dotrzymała słowa aż do dnia śmierci.

– Ma ją pani jeszcze? – zapytała Katie.

– Jest na górze, na samym dnie szafy. Od lat o niej nie myślałam.

– Co to właściwie jest?

Nora wstała i strzepnęła popiół ze spódnicy.

– Pokażę, jeśli chwilę pani zaczeka.

Katie została w saloniku, a ona weszła schodami na górę, cały czas pokaszując. Policjantka usłyszała skrzypienie jej stóp na podłodze sypialni, a później trzaśnięcie drzwi szafy. Modliła się, żeby Nora nie zabawiła długo na górze. Dym, który został w saloniku, nie pozwalał oddychać; trudno jej było sobie teraz wyobrazić, dlaczego paliła, kiedy była nastolatką.

Po chwili usłyszała, że gospodyni, kaszłąc, zmierza schodami w dół. Zatrzymała się w korytarzu.

– Czego on się tak grzebie, ten Micky? Chłopak jest powolny jak ślimak.

Weszła do saloniku i podała Katie małe tekturowe pudełeczko z wieczkiem przewiązaniem starą gumką. Wierzch pudełka miał niespełna dziesięć centymetrów kwadratowych. Było pożółkłe i ze starości wytarte na krawędziach.

– Pani otworzy – zachęciła Nora. – Sama pani zobaczy. Dla mnie to nic. Trzymałam tylko dlatego, że babcia obiecała Radhie Langtry, że to przechowa.

Katie zerwała gumkę i ostrożnie uniosła wieczko. Wewnątrz znajdowała się owinięta w serwetkę brązowa odznaka z tarczą herbową. Na górze widniała kula ziemską w otoczeniu pszczół, samą zaś tarczę zdobił statek pod żaglami. Po lewej stronie stała antylopa heraldyczna z łańcuchem na szyi, a po prawej znajdował się lew strażnik. Pod tarczą umieszczono maksymę *Concilio et Labore*, a niżej napis *Manchester*.

Pod odznaką tkwił zwinięty karteluszek. Katie rozłożyła go i zobaczyła, że jest na nim wiadomość spisana wyblakłym granatowym atramentem.

Moja Droga, to ochraniało mnie w każdej bitwie. Oby zawsze chroniło Ciebie. Twój na wieczność Gerald.

– Co to według pani znaczy? – chciała wiedzieć Nora. – Wygląda, jakby Radha miała wielbiciela, nie sądzi pani? I to brytyjskiego żołnierza.

Katie starannie odłożyła na miejsce kartkę i odznakę.

– Tak, to możliwe. Ale najpierw czeka nas dużo poszukiwań. Na kartce nie jest wymienione imię Radha, więc to wcale nie musiało być jej, mogła to trzymać na prośbę przyjaciółki. Czy mogłabym to od pani wypożyczyć? Wystawię pani pokwitowanie i będziemy o tę rzecz bardzo dbali.

Nora machnęła ręką.

– Może sobie pani to zatrzymać, jeśli pani chce. Trafi znowu do szafy i będzie tam leżało, póki nie umrę.

– Mimo to dam pani pokwitowanie – oznajmiła Katie. – Muszę także mieć pani pisemne poświadczenie, że przedmiot należy do pani i że odziedziczyła go pani po matce.

Drzwi się otworzyły i ukazał się Micky z lizakiem sterczącym z ust. Wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów Carroll's i podał ją Norze. Ta odwinęła celofan paznokciem podobnym do szponu, wyjęła papierosa i zapaliła, nim Katie zdążyła pochwalić Micky'ego za to, że tak szybko dobiegł do placu i wrócił.

Wyjęła notes i długopis i wystawiła gospodyni pokwitowanie; napisała także krótką notkę z informacją, że odznaka należy do Nory, i o tym, w jaki sposób weszła w jej posiadanie.

– Nie będzie z tego jakichś kłopotów, co? – zapytała gospodyni, kiedy Katie otworzyła drzwi. – Nagle poczułam w kościach, że wynikną z tego kłopoty.

– Proszę się nie obawiać – uspokoiła ją Katie. – I dziękuję za pomoc. Może się okazać bardzo cenna.

Kiedy jednak zmierzała do domku, w którym znaleziono zabitą rodzinę i w którym nadal migąły flesze aparatów, naszło ją dojmujące przeczucie, że Nora miała rację. Że byłoby lepiej, gdyby odznaka pozostała na dnie szafy, dopóki nie odejdą w niepamięć wszystkie zadawnione animozje mieszkańców Cork – czyli pewnie na zawsze.

Rozdział 7

Jechała samochodem na Anglesea, kiedy zadzwonił detektyw O'Donovan i poinformował ją, że znaleziono land rovera; wóz stał na końcu krótkiej odnogi trasy między Frenchfurze i Boycestown na południowy wschód od Carrigaline.

– Był spalony do cna, więc kryminolodzy nie będą z niego mieli wiele pożytku, ale tamte ćwoki zostawiły tablice i dzięki temu wiemy na pewno, że to ten samochód uderzył Gerry'ego. Sprawdziłszy w rejestrze pojazdów i jest prawdopodobne, że zginął sześć tygodni temu z farmy w Tassagh, tuż na południe od Armagh. Właściciel zgłosił kradzież w Newtownhamilton, tamtejsza policja odszuka raport i przyśle mi go w PDF-ie.

– Boże, ta sprawa z minuty na minutę coraz bardziej cuchnie Bobbym Quiltem – powiedziała Katie.

Kiedy tylko dotarła do swojego gabinetu, zadzwoniła do Eithne O'Neill, asystentki Billa Phinnera z sekcji technicznej. Eithne specjalizowała się w identyfikacji zwłok, które uległy rozkładowi, zostały zmiażdżone lub pokiereszowane do tego stopnia, że nie sposób było ich rozpoznać; jedną z metod, którą stosowała, była analiza i datowanie precjozów, które denaci mieli na sobie.

Katie właśnie zdejmowała wieczko z kubka cappuccino, kiedy Eithne weszła do jej gabinetu; miała zaczerwienione policzki, a jej twarz wyrażała rozdrażnienie. Była ładną dziewczyną, ale tego ranka nie nałożyła makijażu i miała potargane włosy.

– Eithne, jesteś cała roztrzęsiona – zagadnęła Katie. – Wszystko gra?

Dziewczyna wyjęła z kieszeni zwiniętą chusteczkę i wytarła nos.

– Tak się składa, że niezupełnie. Dopadło mnie letnie przeziębienie, a one są zawsze gorsze od zimowych. Czuję się jak mały szpital, prawdę mówiąc.

– Powinnaś iść do domu, zagrzać sobie mleka z cukrem i położyć się do łóżka.

– Nie mogę, za bardzo jestem zajęta. Muszę przejrzeć ponad dwadzieścia testów DNA.

– Nic się nie martw, pogadam z Billem i dopilnuję, żeby cię zwolnił na parę dni. Ale jeśli dasz radę, byłabym ci wdzięczna, gdybyś zechciała na to zerknąć.

Podawała specjalistce puzderko z odznaką. Ta otworzyła je i dokładnie się przyjrzała.

– To jest odznaka z czapki brytyjskiego żołnierza – oznajmiła.
– Oczywista sprawa, bo nosi napis Manchester.

– Możesz określić wiek?

– Nie od ręki. Jest dość stara, to jasne, ale dokładnej daty nie podam, dopóki nie sprawdzę w źródłach. Ale to może być łatwiejsze, niż się wydaje, bo sporo brytyjskich regimentów zmieniało odznaki, łączyło się ze sobą albo były rozwiązywane, zwłaszcza po pierwszej wojnie światowej.

– Więc można szacować, że pochodzi z początku lat dwudziestych ubiegłego wieku?

– Sprawdzę i pani powiem, to nie powinno długo zająć. Mam wykaz chyba wszystkich odznak wojskowych, jakie w ogóle istniały.

– Jest tam także liścik. Może ustaliłabyś jego wiek. Jestem raczej pewna, że pochodzi z tego samego okresu co odznaka, ale chcę mieć pewność, szczególnie po tej aferze z obrazem Yeatsa.

W marcu pewien marszand z Cork sprzedał pejzaż morski jako autentyczne dzieło Jacka Butlera Yeatsa. Nabywca zapłacił blisko pięćdziesiąt tysięcy euro, lecz później nabrał podejrzeń i złożył zawiadomienie na policji. Marszand przedstawił list napisany rzekomo przez Yeatsa, w którym artysta wspomina

o tym obrazie, lecz Eithne, korzystając z analizatora widma, udowodniła, że podpis był dobrą, acz nie perfekcyjną podróbką.

– Oczywiście, że pani pomogę. Zbadam tę odznakę spektrometrem.

– Dzięki – powiedziała Katie. – I koniecznie pamiętaj, żeby się wykurować.

Po wyjściu Eithne zabrała się do przeglądania notatek i teczek, które zostawiono jej na biurku. Zaraz jednak wyprostowała się na krześle i zaczęła patrzeć przed siebie, na niczym nie skupiając wzroku. Wciąż stał jej przed oczami uśmiech Gerry'ego i mimo woli czuła się odpowiedzialna za jego śmierć.

Od początku twierdziła kategorycznie, że próby ukrócenia przemytniczej działalności Bobby'ego Quilty'ego, polegające na aresztowaniu dealerów, są marnowaniem czasu i środków. Większość z nich była niepełnoletnia i nie można ich było postawić przed sądem; Quilty zaś szmuglował takie ilości papierosów, że utrata paru set kartonów nie stanowiła dla niego żadnego problemu. Przed dwoma miesiącami porzucił pięć załadowanych ciężarówek, bo zorientował się, że skarbówka przyczepiła do nich urządzenia naprowadzające.

Przejrzała większość papierów, zaginając rogi tych raportów, które chciała przeczytać dokładniej. Następnie dopiła kawę, wyszła z gabinetu i ruszyła korytarzem do komendanta MacCostagáina.

– Tak, o co chodzi?! – zawołał, gdy zapukała.

W jego głosie dało się słyszeć zniecierpliwienie, lecz gdy Katie weszła, stał przy oknie i patrzył na siąpiący deszcz.

– Ach, to ty, Katie.

– Dzwonił przed chwilą Patrick O'Donovan. Znaleźli land rovera, który wjechał w Gerry'ego, stał pod Boycestown. Był doszczętnie spalony, ale numery rejestracyjne się zgadzają. Jakies sześć tygodni temu ukradziono go z farmy w Armagh.

– Hm, to już coś na początek. – Komendant odwrócił się od okna. – Wydasz komunikat dla prasy?

– Nie, jeszcze nie teraz. Chcę zachować ciszę i poczekać, aż komenda policji północnoirlandzkiej przyśle nam wykaz wykroczeń związanych z tym samochodem i będziemy mieli więcej dowodów wskazujących, kto mógł go ukraść.

– To będzie Quilty albo któryś z jego gnojów, założę się.

– Oczywiście. Ale nie możemy jeszcze udowodnić powiązania, a jeśli wydamy komunikat, Quilty się zorientuje, że wiemy. Na razie chcę, o ile to możliwe, potrzymać go w niepewności co do naszych działań. Niech wierzy, że wyszedł z tego na czysto.

– Ach, ten Quilty. Czasem żałuję, że nie możemy wysłać paru mundurowych, żeby go zawlekli w ciemną uliczkę i wykopali z niego bebechy. Pamiętaj, ja tego nie mówiłem.

– Więc jakie są teraz nasze plany? – zapytała Katie. – Nie chcę, żeby zginął ktoś jeszcze z moich ludzi, choćby nie wiadomo ile papierosów było szmuglowanych.

– Przed chwilą dzwonił O'Reilly. Chce jutro rano zorganizować ogólną naradę poświęconą zwalczaniu przemytu papierosów.

– Oby w takim razie miał jakieś błyskotliwe pomysły, bo do tej pory nasze wysiłki nie dały żadnego efektu. Właściwie to sytuacja nawet się pogorszyła. Bobby Quilty rechocze z nas, aż mu się uszy trzęsą.

– Katie, to nie jest takie proste. Prawo nie zabrania palić papierosów, to nie to samo co szprycowanie się narkotykami.

– Oczywiście, ale władze też nie ułatwiają nam sprawy. Ilekroć podnoszą cenę tytoniu, więcej palaczy sięga po fajki z kontrabandy i nabija portfel Quilty'emu. Widział pan statystyki, które rano nadeszły od producentów papierosów?

Komendant MacCostagáin skinieniem głowy wskazał teczkę na biurku.

– Nie, jeszcze nie widziałem – odparł dziwnie smutnym głosem. – Jakoś nie było czasu.

– Ja dopiero przed chwilą przeczytałam. Wynika z nich, że od zamknięcia poprzedniego budżetu odsetek nielegalnych papierosów wypalanych w Irlandii skoczył do trzydziestu dwóch procent. Nie wiem, w jaki sposób oni to liczyli, ale wynika z tego,

że prawie co trzeciego papierosa wwieziono do Irlandii bez opłaty celnej.

– Całkowicie podzielam twoje zdanie – przyznał komendant. – Ale rząd ma do czynienia z naciskiem środowisk propagujących zwalczanie nowotworów, prawda? Poza tym, mimo że się do tego otwarcie nie przyznaje, potrzebuje funduszy. To będzie jednak cholernie trudne, dobrać się wprost do Quilty’ego. Sama dobrze wiesz, że on ma w kieszeni zastęp polityków z Północy i z Południa, a oprócz tego wielu sympatyków wśród miejscowej ludności.

Katie w pełni zdawała sobie sprawę, jak trudno będzie rozbić imperium tytoniowe Quilty’ego. Wiedziała, że olbrzymie zyski z przemytu przeznacza na finansowanie nowego rozłamowego ugrupowania, które przyjęło nazwę Autentycznej IRA. Podobnie jak Prawdziwa IRA, Nowa IRA i OnH, organizacja ta zaciekle sprzeciwiała się porozumieniu wielkopiątkowemu i uważała, że Tymczasowa IRA wykazuje zbyt małą agresywność w kontynuowaniu walki o niepodległość Irlandii. Media nazwały go szefem sztabu Autentycznej IRA, on jednak zawsze się od tego odżegnywał i mówił, że jest zwolennikiem „Irlandii jako jednego kraju, takiego, jaki Bóg stworzył i jakiego zawsze pragnął, bo kto my, kurwa, jesteśmy, żeby się stawiać Bogu?”.

Tak brzmiało jego polityczne usprawiedliwienie przemytu papierosów, choć sam nieźle na nim zarabiał. Z raportu komendy policji Irlandii Północnej, który Katie niedawno otrzymała, wynikało, że w ciągu półtora roku wzbogacił się o niemal trzydzieści milionów euro. Miał takie ilości gotówki, że zakopywał ją w beczkach.

– No cóż, wierzę, że Jimmy O’Reilly opracował nową strategię – powiedział MacCostagáin. – Moim zdaniem wszystko to jest sranie w banię, przepraszam za słownictwo.

– Chciałabym także przekazać panu najnowsze informacje o ludzkich szczątkach, które odkryto w Blarney – powiedziała Katie.

– No tak, rodzina znaleziona pod podłogą. Rozumiem, że sporo czasu tam leżeli.

– Z najdokładniejszych jak dotąd szacunków wynika, że od początku lat dwudziestych. Ale doktor Reidy przysyła Mary Kelley, żeby je przebadala, a nie ma nikogo lepszego, jeśli idzie o patologię historyczną. Pamięta pan zwłoki tego chłopczyka, które znaleziono wepchnięte do komina w Macroom? To jedna ze spraw, którą prowadziła.

– Owszem, zgadza się. Były świetnie zachowane, prawda? Sądzono więc, że leżał tam od paru miesięcy, a ile to było faktycznie? Osiemdziesiąt lat, jeśli mnie pamięć nie myli.

Katie właśnie zamierzała powiedzieć komendantowi o odznace z napisem *Manchester*, on jednak odwrócił się raptem do okna i nacisnął palcami powieki, jakby nagle rozboleła go głowa. Zawahała się.

– Źle się pan czuje, jeśli wolno spytać?

MacCostagáin pokręcił głową, ale nie odpowiedział.

– Mam przyjść później? – zapytała. Widziała wyraźnie, że komendantowi coś dolega.

Pociągnął nosem i zaczerpnął głęboko tchu, a potem wyjął z kieszeni chusteczkę. Dotknął nią oczu, po czym odwrócił się do Katie, wykrzywiając wargi w smutnym uśmiechu.

– Przepraszam, ale mam rocznicę po prostu. Mówią, że trzeba czterech lat, by przeboleć żal, ale pięć już minęło i boli tak samo. Wybacz. Nie powinienem cię obciążać swoimi smutkami, prawda? Ani nikogo innego. To nieprofesjonalne, co?

– Pana żona – domyśliła się Katie i komendant skinął głową. – Wiem, jak się pan czuje. Ja też straciłam bliskich. I chyba, niestety, ma pan rację. Nie sposób tego przeboleć ani w cztery lata, ani w czterdzieści; myślę, że nigdy. To jest ból, który nigdy nie mija.

MacCostagáin stał dłuższą chwilę w milczeniu, a potem pociągnął nosem i szybkim ruchem złożył dłonie.

– No, opowiedz mi coś jeszcze o tych zwłokach w Blarney. Francis mówi, że wolisz nie informować mediów, bo może się

okazać, że tych ludzi zamordowano z pobudek politycznych.

– Musimy to brać pod uwagę – potwierdziła Katie i opowiedziała mu o odznace i liście. – Nie chcę, żeby dziennikarze snuli dzikie spekulacje, to wszystko. Najpierw ustalmy, kim byli ci zamordowani ludzie, i przynajmniej wyróbmy sobie jakiś pogląd co do przyczyn egzekucji. Bo nie można wykluczyć, że zginęli wskutek waśni osobistych lub zatargów o charakterze biznesowym, tego jeszcze nie wiemy. Owszem, zamordowano ich niemal sto lat temu, ale jeśli zbrodnia miała tło polityczne, to sam pan wie, że to będzie jak wetknięcie kija w gniazdo os.

– Tak, masz rację – zgodził się MacCostagáin. – Dla niektórych buntowników sto lat to prawie jak wczoraj po południu. – Zamilkł na chwilę, po czym dodał: – A co z pogrzebem detektywa Barry’ego? Udało ci się już pomówić z jego bliskimi?

– Chcą prywatnego pogrzebu. Powiedziałam im, że możemy załatwić ceremonię państwową, ale oni wolą bardzo spokojny pochówek. Zgadzą się na udział kolegów z policji, ale nie chcą przedstawienia.

– No dobrze. – Komendant westchnął i usiadł przy biurku z jeszcze bardziej żałobną miną. – Mogę to zrozumieć. To okropnie dziwne uczucie kogoś stracić, prawie takie samo jak przy narodzinach pierwszego dziecka. Niby człowiek powinien chcieć wykrzyczeć to wszystkim, ale tak nie jest, w każdym razie nie na początku. Chce to zachować dla siebie.

– Wiem. – Czekala jeszcze chwilę, ale komendant milczał i nie uniósł głowy, więc wyszła z gabinetu i zamknęła cicho drzwi.



Wróciwszy do siebie, zastała inspektora O’Rourke’a, który na nią czekał i rozmawiał z żoną przez telefon komórkowy.

– Tak, Maeve. Rozumiem, tak. Nie, nie zapomnę. Tak zrobię. Muszę już kończyć. Tak. – Zakończył połączenie i zwrócił się do Katie: – Przepraszam, ale właśnie odbierałem rozkazy od administracji podomkowej.

Dała znak gestem, żeby się nie przejmował.

– Zgadnie pani, kogo przywlekliśmy dosłownie pięć minut temu? Denny’ego Quinna, a jakże. Dwaj policjanci go wypatrzyli, jak przejeżdżał mostem Shaky w drodze powrotnej do Blackpool. Jest na dole w sali przesłuchań z detektywami Begleyem i Dooleyem.

– Aresztowali go?

– Tak, pod zarzutem napaści, i usłyszał już pouczenie. Ale na razie nic nie powiedział, tylko ściemnia i kluczy.

Oboje zeszli do sali przesłuchań. Denny Quinn siedział rozparty na beżowym krześle z plastiku, błędząc wzrokiem dookoła; omijał jedynie detektywa sierżanta Begleya i detektywa Dooleya, którzy siedzieli po przeciwnej stronie stołu. Jego koguci czub opadł na bok, na lewym policzku miał puchnący czerwony siniak.

Dooley wstał, ustępując miejsca Katie, i przysunął drugie krzesło O’Rourke’owi. Denny zerknął przelotnie na Katie, później na sufit i przeciwległą ścianę, a następnie skierował wzrok na swoje buty.

– Denny – odezwała się.

Nie odpowiedział, tylko zabębnił palcami o stół.

– Denny, mówię do ciebie – podjęła Katie. – Rozumiesz, dlaczego się tu znalazłeś, prawda?

Chłopak ściągnął brwi.

– Jakaś zaszara mysz musi być w tej kanciapie. W każdym bądź razie słyszę, kurwa, jak popiskuje.

Umiesz mówić, pomyślała Katie. Głos Danny’ego ciągle jeszcze pobrzmiwał niekontrolowanymi tonami późnej fazy dojrzewania, głębokie pomruki przechodziły nagle w falset.

– Denny, wpadłeś w poważne kłopoty – oznajmiła. – Złapano cię na pchlim targu w trakcie handlowania nielegalnymi papierosami, które przemycono do kraju bez uiszczenia należnego podatku. Nie podporządkowałeś się wezwaniu policji i napadłeś na funkcjonariuszkę, możemy cię też oskarżyć o współudział w zamordowaniu policjanta.

Nagle zamrugał.

- O, sorki. Do mnie żeś nawijała?
- W tym pomieszczeniu nie ma innego aresztanta.
- Czyli do mnie nawijałaś.
- Tak.
- Zwisa mi to – rzucił Denny. – Żadne prawo nie zakazuje handlować szlugami.
- Prawo zakazuje napadać i okaleczać funkcjonariuszy.
- Skąd miałem, kurwa, wiedzieć, że była gliniarą? Nie mignęła mi blachą, nie powiedziała, co z niej, kurwa, za jedna. Myślałem, że to jakaś popaprana stara dziwka, że chce mnie obedrzeć ze złotych łańcuszków.
- Poinformowano cię, że jesteś aresztowany.
- Nie słyszałem, żeby ktoś to mówił.
- Czemu w takim razie uciekałeś?
- Na herbatkę się spieszyłem. Mama by mi nie dała spokoju, gdyby herbata wystygła.
- Poważnie? Mam ci uwierzyć, że nie byłeś świadomy, że funkcjonariusze policji aresztują cię za handel nielegalnymi papierosami?
- Nie wiedziałem, że są nielegalne. To były po prostu szlugi.
- Marki Jin Ling? Wiesz, skąd pochodziły, prawda? – odezwał się detektyw sierżant Begley.
- Pojęcia, kurwa, nie mam. Nie jaram, tak się składa, więc nie odróżniam szluga od szluga.
- Z Rosji pochodzą, dla twojej wiadomości. Wyrabia się je specjalnie dla przemytników. Przeważnie zawierają chemikalia przemysłowe, azbest, ludzkie odchody, a także tytoń.
- Ja ich palić nie chciałem, więc co mnie to, kurwa, obchodzi? Żadne szlugi zdrowiu nie służą, tak czy siak.
- Poza tym chcesz, żebym uwierzyła, że nie zdawałeś sobie sprawy, że detektyw, który cię aresztował, podjął za tobą pościg? Biegł zaledwie parę metrów za tobą na MacCurtain Street i na moście Brian Boru.
- Denny wolno pokręcił głową.

– Pojęcia nie miałem, paniusiu. Możesz sobie wierzyć, w co ci, kurwa, pasuje, ale to jest najszczęśliwsza boża prawda. Wcale nie wiedziałem, że mnie aresztowali, i nie wiedziałem, że ktoś mnie goni.

– Gdzie mieszkasz?

– Dobrze, kurwa, wiecie, gdzie jest moja chata. Władza ciągle tam zachodzi, więc mamuśka myśli, czyby jej za czynsz nie podliczyć.

– Tak dla porządku, Denny. Powiedz, gdzie mieszkasz.

– O’Connell Street, Watercourse Road, Blackpool. Zaraz za sklepem Galvin’s Carry-Out.

– Więc jeśli byłeś spóźniony na herbatę, dlaczego uciekałeś w przeciwnym kierunku?

– Okręzną drogę wybrałem i tyle w tym temacie. Musiałem sobie apetyt podostrzyć, bo mamuśka nie jest za dobrą kucharką. Trzeba z głodu zdychać, żeby żreć ten szajs, który ona upichci.

Katie wzięła głęboki oddech.

– Kto ci dał papierosy, które sprzedawałeś?

– Nikt mi nie dawał. Jeden koleś w pubie mi je sprzedał. Ale jak mówię, sam nie palę, no to pomyślałem, że je opchnę.

– Co za koleś? Jak się nazywa?

– Skąd mam, kurwa, wiedzieć? Jeden koleś po prostu.

– W którym pubie?

Denny pokręcił głową.

– No, kurwa, nie pamiętam, bo jak? Uwalony wtedy byłem.

– Dlaczego kupiłeś od niego papierosy, skoro sam nie palisz?

– Nie wiem. Chciałem koleśowi pomóc. Mówił, że kasy niby potrzebuje.

– Więc to nie Bobby Quilty dał ci te papierosy?

– Kto?

– Bobby Quilty.

– Nie słyszałem o gościu, co się tak nazywa, nigdy.

Katie wypytywała go jeszcze przez dwadzieścia minut, lecz rozmowa kręciła się wkoło, padały wciąż te same zaprzeczenia

i te same nic nieznaczące odpowiedzi. Wreszcie wstała, skinęła głową inspektorowi O'Rourke'owi i wyszli.

– No to żegnam paniusią! – krzyknął za nią Denny. – Miło się nawijało! I powodzenia życzę!

– Mamy go za napaść na Aislin, ale nie widzę szansy, by inne zarzuty się utrzymały – powiedziała Katie. – To, co sprzedawał, to nie była heroina albo koka.

– Koka? – powtórzył O'Rourke. – Ja to bym najchętniej zrobił temu małemu fiutowi kuku na łbie.

Rozdział 8

Katie spóźniła się ponad pół godziny na spotkanie z Johnem w Hayfield Manor. Dzwoniła do niego i wysyłała SMS-y z informacją, że dojedzie z opóźnieniem, ale nie odpowiadał na nie i nie odbierał telefonu. A kiedy zaparkowała przed hotelem, nigdzie nie było widać jego samochodu.

Weszła do lokalu, przemierzyła lobby i znalazła się w barze. Imprezowali tam miejscowi biznesmeni, którzy najwyraźniej zjedli dobry lunch, a resztę popołudnia spędzili na picciu. Dostrzegła radnego hrabstwa; siedział przy butelce białego wina z piersiastą młodą brunetką w czerwonej sukience, która zgodnie z wiedzą Katie nie była jego żoną. Uniósł głowę i na jej widok od razu zasłonił twarz dłonią, jakby to gwarantowało nierozpoznawalność. Lecz Johna nigdzie nie było.

Usiadła przy oknie. Podszedł do niej ktoś z obsługi i zapytał, czego się napije; odparła z uśmiechem, że na razie wstrzyma się z zamówieniem, bo na kogoś czeka. Po pięciu minutach wysłała kolejnego SMS-a; napisała, że jest już na miejscu, ale on znów nie odpowiedział. Biznesmeni wydzielali się i salwami śmiechu zagłuszali jej myśli. Odczekała jeszcze pięć minut, wstała i wyszła. Było jasne, że John się nie zjawi. Może wcale nie zamierzał. Może odezwał się tylko po to, by ją ukarać. Sprawiałaś mi zawód, Katie. Teraz ja zawiodę ciebie. Jeśli na tym polegał jego zamysł, to był idiotycznie małostkowy, jedyne, co się Johnowi udało, to zmarnotrawić jej czas.



Była prawie za dziesięć ósma, kiedy dojechała do Carrig View. Ujście rzeki miało kolor szerniałej stali, na niebie wzbierały

chmury o barwie sińców. Na noc zapowiadano deszcz, lecz do rana miało się przejaśnić. Liczyła na to. Od tygodni nie wyszła z Barneyem na naprawdę długi spacer, a sama też potrzebowała się przewietrzyć, rozruszać i absolutnie o niczym nie myśleć.

Przed domem zobaczyła ogromnego czarnego nissana navareę, który stał dwoma kołami na chodniku. Domyśliła się, że ktoś przyjechał w odwiedziny do Tierneyów. Powinna do nich pójść i powiedzieć, że gość prawie nie zostawił przejścia; co mogło być problemem zwłaszcza dla starego pana O'Hallorana, który jeździł wózkiem inwalidzkim. Było jednak późno, a Katie czuła się zmęczona i nie chciała niepokoić sąsiadów, tym bardziej że sami zaproponowali, że będą karmić i wyprowadzać Barneya, ilekroć ona późno wróci z miasta.

Skręciła na podjazd i zaskoczył ją widok mocno zbudowanego mężczyzny w jasnozielonym garniturze, który stał na ganku i palił papierosa. Wysiadła i ruszyła schodami w górę, on tymczasem zaciągnął się ostatni raz, po czym pstryknął niedopałek na trawnik.

– Cóż za nieoczekiwana wizyta – odezwała się, usiłując nadać głosowi spokojny, opanowany ton.

Mężczyzna wypuścił dym kątem ust. Wyglądał tak, jakby nie miał szyi i jego głowa mogła w każdej chwili stoczyć się z barków. Włosy miał krótko ostrzyżone po bokach w stylu Kim Jong-una, oczy zaś przypominały główki od szpilki. Pod marynarką nosił różowo-niebieską koszulę w kwiaty; trzy guziki na górze były odpięte i spomiędzy pół sterczały siwe kędziory wyglądające jak włochate kwiatostany krzewów.

Katie weszła na najwyższy stopień. Trzymała w rękach klucze, ale nie zrobiła ruchu, by otworzyć drzwi.

– I co słyhać u pani detektyw nadkomisarz? – zagadnął chrapliwym głosem.

– Jakoś żyję, panie Quilty. Mogę spytać, co pan robi przed moim domem?

– Przyszedłem z wizytą towarzyską po prostu – odparł Bobby Quilty. – Maguire nie pofatygowwała się do góry i tak dalej.

– Ja wybiorę się do pana tylko w jednym celu, a mianowicie, żeby pana zgarnąć.

– Ej, po co od razu tak ostro. Żyj i daj żyć innym, zawsze to powtarzam.

– Powiedz pan to rodzicom detektywa Barry’ego. Ciekawe, czy się z panem zgodzą.

Quilty skrzywił się i podrapał po karku.

– Słyszałem o tym, bo kto by nie usłyszał? Ale niech pani nawet nie próbuje mnie oskarżać. Nie miałem z tym nic wspólnego.

– A świnię mają skrzydła i na nich latają. Oczywiście, że pan nie miał. Coś mi się jednak zdaje, że czas już na pana, hm? Nie wiem, czego pan tu szuka, ale nie jest pan mile widziany.

Bobby Quilty wyjął następnego papierosa i zapalił; najwidoczniej nie zamierzał jeszcze odchodzić. W takich chwilach Katie była zadowolona, że czuje na biodrze ciężar rewolweru Smith & Wesson Airweight.

– No, pani nadkomisarz, skoro jest jasne, że nie zaprosi mnie pani na kieliszeczek, powiem od razu, po co przejechałem taki kawał drogi. Otóż ja prowadzę biznes, który jest ludziom bardzo potrzebny, o czym świetnie pani wie, i tak naprawdę nie robię nikomu krzywdy. Powiedziałbym nawet, że dzielnie i dobrze służę społeczeństwu i powinno mi się przyznać order, zamiast nasyłać na mnie psy.

Katie była zmęczona i zaczynała się niecierpliwić.

– Nie będę z panem dyskutowała o popularności tanich papierosów. Ale każde państwo potrzebuje podatków, a import i sprzedaż tytoniu bez uiszczania opłat celnych jest wbrew prawu.

Ani słowem nie wspomniała o tym, że dużą część zysków Quilty przeznacza na finansowanie aktów terrorystycznych. W ścisłej współpracy z G2, Dyrektoriatem Wywiadu w Naas, jej ekipa zgromadziła masę obciążających dowodów przeciwko Autentycznej IRA: nagrań z podsłuchów telefonicznych, nagrań

wideo i zeznań świadków. Katie nie zamierzała jednak choćby w minimalnym stopniu ujawniać mu, ile wie.

– Pańska działalność jest niezgodna z prawem i jak tylko będę gotowa, aresztuję pana i oskarżę – oznajmiła. – Może pan być pewien, że zrobię to niespodziewanie, więc nie będzie pan miał szansy czmychnąć przez granicę.

Quilty wypuścił długą smugę dymu.

– E, no wiem, że za to pani płacą i nie pani ustala przepisy. Więc nie ma w tym nic osobistego. Ale proszę o rozsądek, pani nadkomisarz. Pani i ja możemy spokojnie uprawiać swoje poletka i sobie nawzajem nie dokuczać.

– Detektyw Barry zginął, bo z premedytacją uderzono go samochodem i zmiążdżono, panie Quilty. Może się pan zdziwi, ale bardzo mi to dokuczyło.

– Och, jestem pewny, że to był wypadek. I wcale nie musiało do niego dojść. No bo po co właściwie gonił takiego chudzielca jak Denny Quinn?

– Dlaczego właściwie pan tu jest, panie Quilty? – zapytała Katie. – Wie pan, że nie przestanę ścigać pana i pańskich dealerów.

– A gdybyśmy zawarli pakt? No wie pani, coś w rodzaju porozumienia wielkopiątkowego, taki układ Quilty-Maguire.

Kiedy to wypowiadał, jego głos zabrzmiał niczym donośny szepet i Katie poczuła, że zaswędziała ją skóra na nadgarstkach. Tak jakby mówił: „Zachowajmy to między sobą, zgoda?”. Brzmiało to jak nieprzyzwoita propozycja.

– Proszę wybaczyć, ale nie jestem otwarta na żadne układy, zwłaszcza z panem.

– Wiem, że jest pani kobietą, która byle czego się nie złąknie – powiedział Quilty. – Czytałem w gazecie o pani i tych zakonnicach. Trzeba mieć twardy kark, żeby postawić się Kościołowi. Ach, ci księża, napędzają mi większego stracha niż O’Flynnowie. Dlatego wiedziałem, że idąc na rozmowę z panią, muszę mieć jakąś kartę atutową.

Katie stała w miejscu bez słowa, obserwując Quilty'ego, który palił papierosa. Barney musiał ją usłyszeć i zwęszyć przez drzwi, bo drapał pazurami i zawodził. Na pewno nie rozumiał, dlaczego pani nie wchodzi do domu. Korciło ją, żeby się odezwać i go uspokoić, ale wyglądałoby to jak oznaka słabości i zdenerwowania, a w obliczu Quilty'ego chciała sprawiać wrażenie nieugiętej.

– Powiem pani, jaką mam kartę atutową – odezwał się. – Zasadniczo to nie jest karta, tylko facet, taki jeden cwaniak, John Meagher. Pani dobry przyjaciel, z tego, co wiem, w każdym razie kiedyś nim był.

Katie zadrżała, jakby ktoś chlusnął jej lodowatą wodą za bluzkę.

– John?

– No właśnie. Chodzi o to, że go mamy. Jest naszym... no... gościem, można powiedzieć.

– Porwaliście go, to mi pan mówi? Ale nic mu nie zrobiliście, prawda?

– E, nie, co też pani, koleś ma się super. Ale tak, mamy go i trzymamy w takim miejscu, że nie znalazłaby go pani przez rok albo i dłużej. No więc w tej kwestii już się rozumiemy. Bo nie chciałyby pani, żeby mu się coś złego przydarzyło, prawda? Ja też nie, broń Boże.

– Wie pan, ile dostanie pan za to w sądzie? – zachnęła się Katie; była zła i wystraszona, jej głos drżał. – Porwanie i groźba zadania obrażeń fizycznych. Nawet jeśli włos mu z głowy nie spadnie, czeka pana minimum dziesięć lat. Jeśli go pan zrani, osobiście pana zabiję.

– Nie boję się, pani nadkomisarz – odparł Bobby Quilty. – Jak wspomniałem, prowadzę tylko działalność usługową na rzecz społeczeństwa, a jeśli pozwoli mi pani robić to dalej i nie będzie bruździła, pani John będzie miał wikt i opierunek. Chwilunię go tylko potrzymamy, żeby zapewnić sobie pani współpracę. Ale jeśli zacznie pani znowu gonić moich dealerów albo przyklepać

nadajniki do moich ciężarówek, nie gwarantuję, że koleś zostanie w jednym kawałku. Rozumiemy się?

– Skąd mogę wiedzieć, że naprawdę go macie?

– Pomyślałem o tym. – Quilty wyjął z kieszeni marynarki srebrną bransoletkę. Wysunął rękę w stronę Katie, ona jednak w pierwszej chwili się nie poruszyła. – No, przecież wie pani, co to jest. Wystarczy spojrzeć na grawerunek.

Katie niechętnie wyciągnęła rękę i Quilty położył jej bransoletkę na dłoni. Nie musiała patrzeć, by wiedzieć: to była srebrna bransoletka, którą dała Johnowi, kiedy wrócił z Ameryki i z nią zamieszkał. Miała wygrawerowane paszcze bestii skopiowane z Kielicha z Ardagh, na wewnętrznej stronie widniał napis *Grá agus dea-fhortún, K.*

– No dobrze – rzuciła. – Ale to nie dowód, że John jest żywy i cały.

– A, trafna uwaga, ale musi pani uwierzyć mi na słowo. Bo po co miałbym mu robić krzywdę, skoro chcę z panią zawrzeć układ?

– Mogłabym pana aresztować tu i teraz.

– No to już, niech mnie pani zgarnie. Ale wszystkiego się po prostu wyprę, a w tym ogródku chyba nie roi się od świadków, prawda? Jest jeszcze jedna rzecz, którą powinna pani wziąć pod uwagę. Którą to mamy godzinę? Moi wspólnicy wiedzą, gdzie jestem, i jeśli nie wrócę do jedenastej, pani dawny kochaś zapłaci bardzo bolesną cenę za każdą minutę mojego spóźnienia. Posuwała pani kiedyś ślepego?

Katie milczała. Bobby Quilty miał rację: nawet gdyby go aresztowała i postawiła zarzuty, nie udowodniłaby w sądzie, że jej groził. Poza tym nie miała wątpliwości, że zrani Johna, i to dotkliwie, jeśli ona nie przystanie na jego żądania. W zeszłym roku pewien siedemnastolatek z Gurrabraher dał cynk o transporcie papierosów Quilty'ego i dwa dni później znaleziono go przed kościołem Świętej Trójcy przy Father Matthew Quay; tkwił nadziany klatką piersiową na ogrodzenie i wciąż żył. Na czole miał wypalone słowo „Kabel”.

– Niech pan odejdzie, panie Quilty. Jeśli pan myśli, że będę jeszcze choćby przez chwilę słuchała pańskiego gadania, to doczeka się pan czegoś innego.

– Bez paniki, już się zmywam. Ale jeszcze jedno pani powiem. Jak do mnie dojdzie, że szepnęła pani komuś choćby słowo o naszej małej umowie, nawet tatusiowi, pani John będzie cierpiał, klnę się na Boga.

– Mojego ojca proszę w to nie mieszać – ostrzegła Katie.

– Nie, pani nadkomisarz, to pani ma nie mieszać w to ojca. I swoich koleśki psów. To jest sprawa tylko między panią i mną, jasne? A, jeszcze jedno: przed północą Denny Quinn ma być znów na ulicy.

Po tych słowach podszedł do drzwi, uniósł klapkę na listy i wdmuchnął do środka dym.

– Masz, kundlu! Żebyś nikomu nie gadał, że nie dałem ci się sztachnąć moim szlugiem! Dopilnujesz, żeby pani trzymała gębę na kłódkę, tak? Nie chcemy, żeby coś niemiłego spotkało wujka Johna, co?

Barney warknął, lecz Bobby Quilty opuścił klapkę, uniósł rękę do ust i posłał Katie szyderczego całusa.

– Super się z tobą gadało, pani nadkomisarz. I super, żeśmy doszli do korzystnego dla obu stron porozumienia. Prawdziwa z pani królowna wśród kobiet, bez dwóch zdań!

Minął ją z uśmiechem na twarzy, wciągając brzuch, żeby jej nie potrącić. Katie nie odwróciła się, kiedy schodził na dół i jego kroki zachrzęściły na żwirze podjazdu; potem usłyszała, jak zapala silnik pick-upa i odjeżdża. Dopiero wtedy otworzyła drzwi i weszła. Barney najwyraźniej wyczuł, że dzieje się coś złego, bo węszył, fukał i okrążał ją, młóćąc ogonem w grzejnik.

– Wszystko w porządku, piesku, nie stresuj się – mówiła, pociągając go lekko za uszy, żeby się uspokoił. Czuła smród papierosa Quilty’ego i zrobiło się jej niedobrze. – To była zwykła szumowina, nie warto się nakręcać.



Weszła do salonu i zapaliła światło, ale nie włączyła telewizora tak jak zwykle. Czowała się wstrząśnięta do głębi i kompletnie bezbronna, nigdy czegoś takiego nie doświadczyła. W ciągu minionych dwóch lat miała do czynienia z kilkoma poważnymi porwaniami; sprawcy grozili, że okaleczą lub zabiją uprowadzonych, ale zawsze udawało jej się zachować profesjonalny dystans. Teraz jednak chodziło o Johna, i choć ją rzucił, nadal go kochała i drżała na myśl, że może zostać oślepiiony lub w inny sposób okaleczony, albo zabity.

Popatrzyła na mały kwadratowy zegar na półce z książkami. Było dopiero pięć po ósmej, a jej zdawało się, że rozmawiała z Quiltem co najmniej pół godziny. Stała pośrodku saloniku, ścisnęła w dłoni bransoletkę. Wiedziała dokładnie, jaki tryb postępowania należy wybrać. Powinna niezwłocznie skontaktować się z inspektorem O'Rourkem i resztą ekipy i zlecić, by dowiedzieli się, kiedy i gdzie uprowadzono Johna oraz gdzie jest przetrzymywany. Byłoby to jednak niesłychanie ryzykowne. Ani przez sekundę nie wątpiła, że Quilty, zwiastując, że złamała ich „pakt”, kazałby okaleczyć lub zamordować Johna, choćby po to, by udowodnić, że trzyma ją w rękę i że nie wolno z nim zadzierać.

Darzyła zaufaniem swoich detektywów, lecz nie mogła całkowicie wykluczyć, że Bobby Quilty ma w kieszeni jednego lub dwóch funkcjonariuszy z komendy. Nawet ci *gardai*, którzy odsłużyli pięć lat, przynosili do domów niespełna 30 tysięcy euro rocznie, a wiedziała, że wielu ma poważne kłopoty z zadłużeniem.

Barney spoglądał na nią i z głębi jego gardła wydobywał się chrapliwy odgłos. Trzeba go było nakarmić, a później wyprowadzić na spacer. Ale jak Katie miała spacerować z psem, wiedząc, że John jest trzymany jako zakładnik, a ona nie robi nic, by zainicjować akcję ratunkową?

Podeszła do lustra wiszącego nad kominkiem i popatrzyła na siebie, jakby odbicie było drugą – spokojniejszą – Katie, która zna

odpowieź na to pytanie. Ciemnorude włosy były w nieładzie, potargane, a oczy spuchnięte, jakby dopiero co się obudziła.

Musisz to rozegrać bardzo, bardzo ostrożnie, powiedziała do siebie. Jesteś rozgniewana. Boisz się. Ale nie decyduj się na coś, czego możesz później żałować. Bobby Quilty nie zrobi krzywdy Johnowi, jeśli będzie myślał, że tańczysz, jak ci zagra, bo wie, że jeśli Johnowi spadnie włos z głowy, spuścisz na niego psy.

Uniosła bransoletkę i dokładnie się jej przyjrzała. Była lekko skrzywiona, jak gdyby bez odpinania ściągnięto ją siłą z nadgarstka Johna. Ciekawe, dlaczego ją nosił. Czyżby nadal kochał Katie, mimo że od niej odszedł?

Starannie położyła bransoletkę na gzymsie nad kominkiem, obok zdjęcia w srebrnej ramce, które powinna była zdjąć, ale tego nie zrobiła. John stał na tej fotografii obok ciągnika na rodzinnej farmie Meagherów, rozebrany do pasa, mrużąc jedno oko przed słońcem. Był wysoki, miał kędzierzawe ciemne włosy, a zarost na jego klatce piersiowej układał się w krzyż. Zawsze mu mówiła, że przypomina greckiego boga. I tak jak grecki bóg, był zazdrosny i władczy. Ostatecznie z tego właśnie powodu rozpadł się ich związek: bo Katie nie chciała być kontrolowana przez żadnego mężczyznę, nawet takiego, którego kochała.

Mimo to kobieta w lustrze już zaczynała obmyślać plan, jak uratować go z rąk Quilty'ego. Był niekonwencjonalny, a oprócz tego bardzo odbiegał od przyjętych metod postępowania. Był też raczej niezgodny z prawem, lecz być może dawał największą szansę na ocalenie Johna, a jednocześnie rozbicie przemytniczego imperium Quilty'ego.

Usiadła na końcu skórzanej kanapy i wzięła telefon. Operatorce na Anglesea zajęło parę minut odnalezienie inspektora O'Rourke'a, jednak w końcu odebrał.

– Przepraszam panią. – Mówił z pełnymi ustami. – Właśnie przyniosłem sobie kanapkę.

– W porządku. Wszyscy musimy jeść. Jak tam u was idzie?

– Jest postęp w sprawie tych zwłok z Blarney. Po pani wyjściu zadzwonili do nas z Towarzystwa Historycznego. Z całą

pewnością mieszkała w tym domu rodzina o nazwisku Langtry, aż do lutego tysiąc dziewięćset dwudziestego pierwszego. Mężczyzna miał na imię Stephen, więc powinniśmy go namierzyć dzięki dokumentom w publicznych archiwach.

– Świetnie. Doktor Kelley powinna przyjechać jutro po południu, więc może uda się w ciągu paru dni dokonać bezspornej identyfikacji. Nadal chcę zachować ciszę wokół tej sprawy. Reporterzy jeszcze tam nie weszli?

– Na razie nie. Pewnie zajęli się głosowaniem nad prawem gejów do zawierania małżeństw i tym zamieszaniem wokół liczników wody.

– No dobrze. A teraz niech pan posłucha: dzwonię w związku z Dennym Quinnem. Chcę, żeby go pan zwolnił.

Nastąpiła chwila ciszy.

– Zwolnić go? – spytał w końcu inspektor. – Dobrze usłyszałem? Jutro po południu ma się stawić w sądzie. A jeśli weźmie i pryśnie?

– Po prostu niech go pan zwolni. Wycofujemy zarzuty.

– Co takiego? Z całym szacunkiem, pani nadkomisarz, ale on handlował nielegalnymi fajkami i rozciął policzek detektyw O’Connell. I nie zapominajmy, że Gerry Barry zginął, kiedy próbował go aresztować.

– Wiem, Francis. Ale proszę mi uwierzyć, mam bardzo ważny powód, żeby go wypuścić.

– A wolno wiedzieć, co to za powód?

– Nie, jeszcze nie teraz. Powiem panu, jak tylko będę mogła, a wtedy przyzna pan, że to było słuszne.

Znowu nastąpiła cisza, tym razem dłuższa.

– Proszę o tym z nikim nie rozmawiać – odezwała się w końcu Katie. – Jeśli ktoś zapyta, dlaczego go wypuszczamy, powoła się pan na niewystarczające dowody. Jutro będę rozmawiała z komendantem MacCostagáinem, ale to bardzo ważne, żeby o tej sprawie było jak najciszej. Na razie poprzestańmy na tym, że jest to kwestia życia i śmierci.

– No dobrze – odparł inspektor O'Rourke, choć jego głos wciąż zdradzał niepokój. – Zrozumiałem.

Rozdział 9

Nazajutrz rano awaria ciężarówki przewożącej samochody osobowe spowodowała trzykilometrowy korek na autostradzie N25, a lało tak, że Katie musiała nastawić wycieraczki na najwyższe obroty, by cokolwiek widzieć. Do komendy dojechała dopiero o ósmej trzydzieści pięć, zaniepokojona i zirytowana.

Czekał na nią detektyw „Koń” Ó Doibhilin. Stał i uśmiechał się wyczekująco, podczas gdy ona zdejmowała przemoczoną kurtkę bogini-czarownicy; usiadła przy biurku i pobieżnie zerknęła na teczkę, wiadomości i listy, które dla niej zostawiono.

– Tak, Michael? – odezwała się, jakby dopiero teraz zauważyła jego obecność.

– Nareszcie skontaktował się ze mną członek Towarzystwa Historycznego Blarney, Douglas Pike.

– Tak, wiem. Inspektor O’Rourke dzwonił do mnie wczoraj wieczorem.

– Znalazł odpisy starych list pracowników zakładu Mahony’ego sięgające aż do tysiąc dziewięćset któregoś roku. Są wszystkie nazwiska, wysokość uposażeń i miejsca zamieszkania. Powiedział, że rodzina Langtrych wprowadziła się na Millstream Row w kwietniu tysiąc dziewięćset szesnastego. Przenieśli się tam z Dripsey. Stephen Langtry obsługiwał maszynę w przędzalni wełny w Dripsey, ale z jakiegoś powodu zrezygnował z pracy i przeprowadził się do Blarney. Lepsze pieniądze najprawdopodobniej, tak przypuszcza Douglas Pike. Mieszkali w Blarney aż do drugiego tygodnia lutego tysiąc dziewięćset dwudziestego pierwszego roku.

– Ale ten gość z Towarzystwa Historycznego nie wiedział, co się z nimi stało?

– Pojęcia nie miał, że wszyscy zostali zastrzeleni i pochowani pod podłogą.

– Nie zdradził mu pan tego?

– No oczywiście, że nie, skąd. Ale gdyby wiedział, powiedziałby mi na pewno. Wie o Blarney wszystko: kto utopił psa w tysiąc dziewięćset trzydziestym siódmym, bo psisko czekało i nie dawało w nocy spać, a kto wygrał konkurs na najlepszy chleb z rodzynkami w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym pierwszym. Niczego mi nie oszczędził. Myślałem, że będę tkwił przy telefonie całe popołudnie, ale...

Ó Doibhilin uniósł notes.

– Chyba na coś trafiłem. Ten facet powiedział mi, że część rodziny Langtrych wciąż mieszka w Dripsey, w Model Village. Namierzyłem tam dwie osoby i próbowałem się do nich dodzwonić, ale nikt nie odebrał, więc kopnę się tam jeszcze przed południem i spróbuję ich zlokalizować. Pojedzie ze mną Tyrone z sekcji technicznej, żeby pobrać próbki DNA.

– Dobra robota, Michael – pochwaliła Katie. – Jeśli ustalimy jednoznacznie, kim oni są, łatwiej nam będzie dowiedzieć się, kto ich zabił. Świetnie. Dziękuję.

Skupiła uwagę na papierach, lecz naraz zdała sobie sprawę, że Ó Doibhilin wciąż stoi w tym samym miejscu. Uniosła głowę.

– Tak? Coś jeszcze?

– Nie, w zasadzie nie. Tylko że nigdy nie miałem do czynienia z taką sprawą... No wie pani, że zbrodnią popełnioną tak dawno temu. To prawie dziewięćdziesiąt pięć lat.

– Hm, ja też nie. Chyba że liczyć tę kobietę, którą wykopano na bagnie w Mayfield.

– Tak się zastanawiałem, dlaczego prowadzimy to dochodzenie. No bo sprawcy, kimkolwiek byli, musieli już dawno umrzeć. A wie pani, mnie się zdaje, że i tak jesteśmy zawałeni robotą.

– Oczywiście ma pan rację – potwierdziła Katie. – Proszę mi wierzyć, nie daję tej sprawie zbyt wysokiego priorytetu. Ale sprawiedliwości trzeba uczynić zadość, nawet jeżeli jest dawno po czasie. Można popełnić zbrodnię i tak ją zataić, że nikt się o niej nie dowie, dopóki sprawca nie umrze. Ale każdy zabójca powinien wiedzieć, że pewnego dnia ktoś zdemaskuje zbrodnię, które popełnił, i jego nazwisko okryje się hańbą.

– No, chyba że tak – przyznał detektyw.

– Weźmy na przykład Sonny’ego O’Neilla. To on zastrzelił Michaela Collinsa w Béal na Bláth w tysiąc dziewięćset dwudziestym drugim, ale nie wiadomo tego na pewno aż do lat osiemdziesiątych, kiedy otwarto akta. O’Neill dawno nie żył, ale dla nas i tak było ważne wiedzieć, że to on oddał tamten feralny strzał, nieważne, czy uważa się go za bohatera, czy zbrodniarza. Wie pan, o co mi chodzi? To, co stało się w latach dwudziestych, wciąż wzbudza oddźwięk, nawet dzisiaj, prawda?

Detektyw Ó Doibhílin skinął głową raz i drugi.

– Tak, racja. Owszem, kapuję – powiedział i wyszedł z gabinetu.

Katie siedziała kilka minut przy biurku i zastanawiała się nad swoimi słowami; miała nadzieję, że nie za bardzo upodobniła się do swojej starej nauczycielki historii, panny Mulvaney, której dziadka zastrzelono w Croke Park w krwawą niedzielę w 1920 roku i która nikomu nie pozwalała o tym zapomnieć.

Czuła się roztrzęsiona i wyczerpana. Całą noc nie zdołała zmrużyć oka, martwiła się o Johna i myślała, jak ocalić go przed Quiltem. Zastanawiała się, co powiedzieć rano na naradzie operacyjnej dotyczącej procedury przemytniczego i jak odnieść się do zmiany strategii po morderstwie detektywa Barry’ego. Aż do tej pory, otwarcie i nierzadko gniewnie występując przeciwko zastępcy komendanta Jimmy’emu O’Reilly’emu, przekonywała, że powinni celować w Quilty’ego, zamiast marnować cenny czas i środki budżetowe na uganianie się za jego drobnymi dealerami i mrówkami. Narada nie będzie łatwa. Teraz, kiedy Johna wzięto na zakładnika i zagrożone było jego życie, Katie musiała znaleźć

sposób na wycofanie się ze swojej argumentacji, tak by nie stracić autorytetu i wiarygodności, a nade wszystko twarzy.



Narada rozpoczęła się z piętnastominutowym opóźnieniem; wszyscy zgromadzeni w sali konferencyjnej wiercili się i spoglądali na zegarki, mimo że na ścianie wisiał duży zegar. Nadkomisarz Pearse toczył z kimś ostrą kłótnię za pośrednictwem tabletu, a komendant MacCostagáin siedział z naburmuszoną miną. Katie zajęła miejsce blisko detektywa Markeya i usłyszała, jak ten chrapliwym szeptem mówi, że komendant wygląda jak buldog zlizujący siki z pokrzyw.

Wreszcie do sali wszedł zastępca komendanta Jimmy O'Reilly i widać było, że jest w złym humorze; jego przerzedzone siwe włosy były posmarowane brylantyną i zaczesane do tyłu, oczy jak zawsze patrzyły nieruchomo. Miał na sobie granatowy mundur galowy; Katie przypomniała sobie, że rano brał udział w oficjalnym spotkaniu z nową minister do spraw sprawiedliwości i równości, Mary Brennan. A nie lubił, kiedy mu przypominano, że ktoś stoi nad nim w hierarchii, zwłaszcza jeśli tą osobą była kobieta.

Za O'Reillym, trzymając pod pachą wypchaną teczkę z papierami, podążał jego osobisty asystent James Elvin. Był to bardzo przystojny młody mężczyzna z modnie uczesanymi blond włosami, w eleganckim szarym garniturze; zastępca komendanta miał wiecznie skrzywioną twarz, James tymczasem zawsze się uśmiechał kącikiem ust. Kiedy Katie spotkała go pierwszy raz, żałowała, że nie jest o dziesięć lat młodsza.

Komendant MacCostagáin podniósł się i odchrząknął.

– Zanim zaczniemy, chciałbym, żebyście wszyscy wstali na dwie minuty i w ciszy złożyli hołd detektywowi Geraldowi Barry'emu, który oddał życie w trakcie pełnienia służby.

Bez wyjątku spełnili polecenie. Niektórzy się przeżegnali, a prawie wszyscy zamknęli oczy albo utkwili wzrok w podłodze. Katie nie zamknęła oczu, bo wiedziała, że jeśli to zrobi, znów

zobaczy uśmiech detektywa i będzie sobie zadawać pytanie, o czym śnił, kiedy umierał.

Po chwili usiedli, a Jimmy O'Reilly nadal sztywno stał. Zwracał się do ponad sześćdziesięciu detektywów, mundurowych i techników policyjnych, lecz jego spojrzenie znieruchomiło na zegarze zawieszonym na ścianie po przeciwnej stronie sali. Przemówił monotonnym, ledwo słyszalnym głosem, jakby wbrew własnej chęci odczytywał kartę dań w restauracji komuś, kto zapomniał okularów.

– Dzień dobry. Przemyt tytoniu. Punkt pierwszy. Strategia. Uważam, że musimy się pogodzić z tym, że to częściowo, jeśli nie całkowicie, sposób, w jaki wyobrażaliśmy sobie naszą rolę w walce z przemymem wyrobów tytoniowych, doprowadził do tragicznego wydarzenia, jakim była strata detektywa Barry'ego.

Po tych słowach zrobił bardzo długą pauzę i Katie już myślała, że zapomniał, co ma dalej mówić albo nawet gdzie się znajduje i że przemawia. Rozległo się kaszlanie, szuranie nogami; ktoś donośnie kichnął.

W końcu jednak O'Reilly znów zaczął mówić, tym samym jednostajnym tonem:

– Punkt numer dwa. Oczywiście potwierdzamy, że przemyt i sprzedaż bezcłowego tytoniu organizowany jest przez gangi przestępcze i że nasz wywiad wykazał w sposób bezsporny, iż niektóre spośród tych gangów kierują swoje dochody na działalność polityczną, na przykład na finansowanie Autentycznej IRA. Wykroczenie, jakim jest unikanie opłat celnych od wyrobów tytoniowych, nie stanowi jednak samo w sobie bezpośredniego zagrożenia dla porządku publicznego.

Zamilkł ponownie i oblizał usta koniuszkiem języka niczym jaszczurka, która połknęła muchę.

– Punkt numer trzy. Detektyw Barry to pierwsza i jak dotąd jedyna śmiertelna ofiara przemytu tytoniu w Cork, ale jest to jedna ofiara za dużo. Nie chciałbym widzieć dalszych ofiar śmiertelnych, ani wśród funkcjonariuszy Gardy, ani wśród cywilów, nie z powodu wykroczenia, które w zasadzie ma

charakter finansowy. Nie będę ani przez chwilę udawał, że palenie jest nieszkodliwe ani że opieka zdrowotna dla palaczy nie stanowi poważnego obciążenia dla budżetu rządowego, lecz palenie w przeznaczonych do tego miejscach nie jest samo w sobie przestępstwem. Potwierdzam, że unikanie podatków od wyrobów tytoniowych pozbawia rząd tak potrzebnych dochodów, ale myślę, że powinniśmy zadać sobie pytanie, jaką część odpowiedzialności ponosi rząd, który ulega naciskom lobby antyrakowego i ustala ceny detaliczne papierosów na tak wysokim poziomie, najwyższym w Europie. Według mnie Garda Síochána powinna zostawić ściganie przemytu wyrobów tytoniowych i egzekwowanie cła w całości służbie skarbowej, wyjątkiem powinny być tylko te sprawy, w których w grę wchodzi użycie przemocy lub groźba jej użycia i nielegalne wytwórnice. Poza tym, śledzenie dochodów i konfiskatę zysków z przemytu wyrobów tytoniowych powinniśmy zostawić Biuru Aktywów Przestępczych.

Zrobił kolejną pauzę i znów oblizał usta.

– Odbyłem szczegółowe konsultacje z komendantem MacCostagáinem i jego zastępcą i doszliśmy do szerokiego porozumienia. Po niedawnych cięciach budżetowych nasz wydział obarczono zwiększoną liczbą zadań, natomiast funkcjonariuszy do ich realizacji i pieniędzy na to przeznaczonych mamy mniej. Stało się jasne, że nasze wysiłki w celu rozbicia gangów przemytniczych metodą aresztowania drobnych dealerów wcale nie okazują się skuteczne. Jak tylko aresztujemy jednego, w tym samym miejscu kilka minut później pojawia się następny, a kiedy konfiskujemy towar, gang po prostu dostarcza nową, większą, jego partię. To jest jak ucinanie łba hydrantowi.

– Hydrze – poprawiła go cicho Katie, choć nie miała pewności, czy ją słyszy.

Jimmy O'Reilly spojrział wreszcie na słuchaczy, lecz jego pozbawiona wyrazu twarz świadczyła, że jest zdecydowany i że nikt mu się nie sprzeciwi.

– Podsumowując, proponuję, żebyśmy zmienili strategię, przestali dokonywać aresztowań dealerów i w przyszłości jedynie wspierali skarbówkę i Biuro Aktywów Przestępczych, kiedy te instytucje się do nas zwrócą. Czy ktoś ma jakiś pogląd na tę kwestię? Detektyw nadkomisarz Maguire, pani zawsze miała dużo do powiedzenia na temat kontrabandy tytoniowej.

Katie nie bardzo wiedziała, co odpowiedzieć, ale odczuwała głęboką ulgę. Dzięki ci, święty Rafaelu, myślała. Święty Rafael był patronem kochanków i w nocy zmówiła do niego modlitwę, prosząc go o bezpieczeństwo dla Johna.

Nawet jej do głowy nie przyszło, że O'Reilly zamierza przerwać działania Gardy wymierzone w szmuglerów papierosów. Zaledwie przed trzema tygodniami udzielił wywiadu „Irish Times” i zapowiedział, że dalej będzie „nieubłaganie” ścigał gangi tytoniowe. Po tym, co Katie usłyszała od niego dzisiaj, nie musiała już wymyślać fikcyjnych powodów, dla których zwolniła z aresztu Denny'ego Quinna i zawiesiła śledztwo przeciwko Quilty'emu.

Mimo to miała świadomość, że wzbudziłaby podejrzenia, gdyby zapowiedzianą przez O'Reilly'ego zmianę strategii przyjęła ze zbytnim entuzjazmem. Dla nikogo na Anglesea nie było tajemnicą, że ona i zastępca komendanta głównego nie darzą się sympatią ani na gruncie osobistym, ani zawodowym.

– No cóż, nie mogę powiedzieć, że całkowicie zgadzam się z pana propozycją. Martwi mnie zwłaszcza to, że młodzi ludzie są kuszeni przez szmuglerów do udziału w zorganizowanej przestępczości i że z czasem skłoni ich to do popełniania poważniejszych wykroczeń.

Jimmy O'Reilly nie patrzył na nią, lecz na resztę zgromadzonych; chciał się zorientować, jak zareagują.

– Oddaję pani sprawiedliwość i przyznaję, że rozumiem te wątpliwości. Generalnie rzecz biorąc, uważam jednak, że rozwiązanie tego akurat problemu możemy zostawić opiece społecznej, co, gwoli ścisłości, przeważnie i tak już robimy. Jeżeli sądy nie chcą skazywać piętnastolatków za to, że sprzedają

nielegalne papierosy, dlaczego my mamy się fatygować i ich aresztować, a później męczyć się z procedurą prawną? Niepotrzebnie angażuje to funkcjonariuszy, którzy mogliby ścigać złodziei samochodów, alfonsów, handlarzy narkotyków i jeszcze gorszych przestępców.

Katie uniosła obie ręce, jakby nie znajdowała kontrargumentów.

– Dobrze więc. Moja ekipa ma teraz roboty po uszy w związku z paroma poważnymi śledztwami, to fakt, i dzięki zmianie strategii na pewno będziemy mieli więcej czasu. W takim razie... no cóż, przerwijmy na parę tygodni obserwację dealerów i zobaczymy, jak to się dalej potoczy.

– Czyli zgadza się pani ze mną? – Usta O'Reilly'ego skrzywiły się w grymasie, który był prawie uśmiechem. – To byłby pierwszy raz. A detektyw Barry? Wyobrażam sobie, że to dochodzenie będzie pani prowadziła dalej?

– Oczywiście, chociaż nie przebiega zgodnie z moimi oczekiwaniami. Nie ma dowodów rzeczowych ani zapisu z kamer monitoringu, co pozwoliłoby zidentyfikować kierowcę, który uderzył naszego kolegę, nie zgłosił się też na razie żaden świadek, ale to nie jest dla mnie niespodzianką.

Zauważyła, że detektyw sierżant Begley wierci się na krześle i patrzy na nią, marszcząc czoło. Wczoraj po południu oznajmiła mu z całą stanowczością, że dowie się, kto zabił Gerry'ego, nawet gdyby miała na to poświęcić resztę życia. A tymczasem to właśnie Bobby Quilty lub ktoś z jego gangu był najbardziej podejrzany, ona zaś próbowała sprawić wrażenie, że nie ma wielkich nadziei na to, że któregoś z nich aresztuje.

Może popadam w paranoję, myślała. Może nie ma na tej sali nikogo, kto natychmiast po zakończeniu narady skontaktuje się z Quilty'ym i przekaże mu, co przed chwilą powiedziałam. Ale jak to możliwe, by Quilty zareagował tak błyskawicznie, kiedy próbowaliśmy aresztować Denny'ego Quinna na pchlim targu, jeśli wcześniej nie wiedział, że Denny jest pod obserwacją?

Nie miała wątpliwości, że informacja jakoś dotrze do uszu Quilty'ego, a im mniej poczuje się zagrożony, tym John będzie miał większą szansę na przeżycie.



Zapinała kurtkę, kiedy do drzwi gabinetu zapukał detektyw Ó Doibhilin. Trzymał stare zielone pudełko od butów.

– O, wrócił pan. Jak poszło? Niestety, trochę się spieszę. Mam się z kimś spotkać i już jestem dziesięć minut spóźniona.

– Mówiąc szczerze, pani nadkomisarz, właściwie nie wiem, co mam.

– To znaczy? Udało się panu znaleźć kogoś z rodziny Langtrych?

Ó Doibhilin postawił pudełko na rogu biurka Katie i wyjął notes.

– Owszem. Właściwie to dwie osoby. Najbardziej bezpośrednim potomkiem był Dermot Langtry, trzydzieści dziewięć lat, zamieszkały z żoną i trojgiem dzieci w O'Mahoney Terrace w Model Village. Jest właścicielem firmy malarsko-remontowej.

– Dobrze – odpowiedziała Katie, starając się nie zdradzać głosem zniecierpliwienia. – Co go łączy ze Stephenem Langtrym?

– Jego pradziadek, Colm Langtry, był młodszym bratem Stephena Langtry'ego.

– A druga osoba?

– Kuzyn Dermota Langtry'ego, Ronan Fitzgerald. Czterdzieści dwa lata, żonaty, bezdzietny. Pracuje jako księgowy w firmie Crowley and McCarthy w Macroom. Mieszka tuż za zakrętem, w Radharc Na Chroisigin.

– Czy któryś z nich wie coś o nagłym zniknięciu rodziny Langtrych?

– Nie Ronan Fitzgerald, bo on przydał się tylko jako dawca próbki DNA. Ale Dermot Langtry tak, i właśnie dlatego jestem taki skołowany.

– Z jakiego powodu?

– Bo zdaje się, że Langtry’owie pewnego dnia wyjechali, nie informując o tym żywej duszy, dokładnie tak, jak nam prawiała tamta staruszka. Nie powiedzieli rodzinie, nie powiedzieli żadnemu z przyjaciół. Stephen Langtry nie powiadomił nawet szefa w fabryce, że odchodzi. Dom został opróżniony, zniknęły wszystkie meble. Ale jakieś cztery miesiące później pradziadek Dermota dostał od brata kartkę z Ameryki. Stephen pisał, że rodzina osiedliła się w stanie Nowy Jork, że pracuje w przędzalni Glenside Woollen Mills i że wszystko jest wspaniale.

– A wyjaśnił, dlaczego w taki sposób spakowali manatki, nikomu nic nie mówiąc?

– Kartka jest tu, w pudełku, pani nadkomisarz. Jest także parę listów, ale jeszcze nie zdążyłem ich przeczytać. W sumie pięć listów i jednaście kartek pocztowych. Ostatnia jest datowana w Boże Narodzenie tysiąc dziewięćset dwudziestego trzeciego roku. Od tej pory rodzina Langtrych w Dripsey nigdy więcej nie dostała wiadomości od Stephena. Nie mogli do niego odpisać i zapytać, gdzie przebywa, bo nigdy nie podał pełnego adresu. Na listach napisano tylko Nowy Jork i podano daty.

– Ale na pewno zostały wysłane z Ameryki?

– Niech pani sama rzuci na nie okiem. – Detektyw naciągnął na dłoń czarną gumową rękawiczkę, uniósł wieczko pudełka i wyjął kopertę z adresem nagryzmołonym wyblakłym fioletowym atramentem; był do niej przyklejony szereg równie wyblakłych znaczków za dziesięć centów z podobizną prezydenta Hayesa i dwa brązowe za cztery centy z uśmiechniętą Marthą Washington.

Katie dostrzegła w pudełku kilka kartek pocztowych. Niektóre były ręcznie pokolorowane, lecz większość stanowiły sepiowe fotografie wysokich budynków i zatłoczonych ulic z mnóstwem mężczyzn w słomkowych kapeluszach oraz kobiet w sukienkach do kostek.

– Ma pan rację, Michael, można się w tym pogubić. Jeśli Langtry’owie zostali zastrzeleni i leżeli pod podłogą w Blarney, to

jak mogli wysyłać pocztę z Ameryki? Te listy i kartki z całą pewnością wyglądają na autentyki, prawda?

– Zabiorę je do laboratorium i każę zbadać – odparł Ó Doibhilin. – Niestety, nie mamy zweryfikowanych próbek pisma Stephena Langtry’ego do porównania. Tak czy inaczej, Tyrone wziął próbkę DNA od Dermota Langtry’ego i dziś albo jutro powinien nam podać wynik.

– Dobrze. Doktor Kelley przyjeżdża około piętnastej i uda się prosto do Blarney, więc jutro może będziemy mogli zabrać stamtąd zwłoki. Nie chciała, żebyśmy ich dotykali, wołała je zbadać na miejscu, bo w transporcie mogą się rozsypać na kawałki. Przykro mi, że muszę zakończyć naszą rozmowę, ale naprawdę już na mnie czas.

Ruszyła szybkim krokiem, zapinając po drodze kurtkę, a detektyw podążał korytarzem tuż za nią z pudełkiem od butów pod pachą.

– Powiem pani prawdę – odezwał się, kiedy naciskała przycisk windy. – Pamięta pani, jak pytałem, dlaczego identyfikujemy ciała tych ludzi, dlaczego chcemy się dowiedzieć, kto ich zabił, mimo że to się stało tak dawno temu? Teraz rozumiem, co pani miała na myśli. Znaczący... naprawdę pojąłem. Musimy to wiedzieć, prawda? Jest nam to potrzebne. No bo ja sam chcę się dowiedzieć. Ktoś to zrobił, gdzieś na cmentarzu leży facet, który zastrzelił ojca, matkę, ich dwoje maluchów i psy. Chcę stanąć nad jego mogiłą i powiedzieć mu, że nie uszło mu to na sucho, mimo że jest nieboszczykiem.

Rozdział 10

Johna obudziły głosy mężczyzny i kobiety, którzy się kłócili. Potem rozległo się głucho łupnięcie i kilka następujących po sobie łomotów, tak jakby przewrócił się jakiś mebel.

– Ty brudna szmato jedna! – ryknął mężczyzna z wyraźnym akcentem z Armagh. – Latawica pieprzona! Trzeba z tobą zrobić porządek! Kopa w zęby dać, żeby ci, kurwa, do gardła wleciały, ty latawico!

Kobieta coś odkrzyknęła, ale John nie zrozumiał jej słów. Po następnym uderzeniu zaczęła głośno płakać.

– Przestań gębę krzywić, bo naprawdę ci ją skrzywię! – wrzasnął mężczyzna, ona jednak dalej szlochała i zawodziła.

John usiadł powoli, z bólem. Był cały poobijany i łupało mu w głowie. Miał opuchnięte lewe oko i ledwo nim widział, bolała go także kość policzkowa.

Rozejrzał się. Pomieszczenie było ciasne i duszne, w oknie wisiała fioletowa bawełniana zasłona, tak że nie mógł wyjrzeć; słyszał jednak krople deszczu stukające z rzadka w szybę. Musiał to być kiedyś pokój dziecięcy, bo na ścianach pełno było rakiet kosmicznych, latających talerzy i planet; stała także biała komódka z nalepkami przedstawiającymi uśmiechnięte samochody i samolociki. Wąskie łóżko miało sosnowe wezłowie, także oklejone nalepkami; poplamiony materac cuchnął moczem. Fioletowy dywanik był dziurawy i zżarty przez mole, a płyta drzwi była rozpołowiona tak, jakby ktoś usiłował kopniakami otworzyć je z zewnątrz.

Kobieta wreszcie przestała płakać. John usłyszał, że mężczyzna mówi do niej coś, co zabrzmiało pojednawczo, lecz

ona wrzasnęła:

– Wynocha, czubku pieprzony!

Jasno pamiętał, że wyruszył z domu przyjaciela, Petera Doody’ego, w Knocknadeenly, w którym mieszkał od czasu, kiedy opuścił Katie; potem wjechał Summerhill do miasta. Skręcił z Western Road w Donovan Road, zmierzając do hotelu Hayfield Manor. Młoda kobieta z wózkiem dziecięcym wyszła na jezdnię prosto przed samochód, a kiedy cofnęła się raptownie, wózek się przewrócił. John zatrzymał się i wysiadł, żeby sprawdzić, czy dziecko nie ucierpiało, a potem wszystko znikło.

Bardzo ostrożnie dotknął tyłu głowy. Kręcone czarne włosy zlepły się i czuł dużego krwaka. Domyślił się, że został czymś bardzo mocno uderzony i stracił przytomność. Ale na tym nie koniec: czuł w ustach dziwny gorzki smak, jakby wypił jakieś lekarstwo.

Wstał i zdołał zrobić dwa chwiejne kroki, a później podłoga się zakołysała i musiał z powrotem usiąść na łóżku. W głowie dudniło mu jeszcze mocniej i miał wrażenie, że z ledwością oddycha.

Już miał podjąć drugą próbę, kiedy usłyszał, że klucz obraca się w zamku i drzwi się otwierają. Do pomieszczenia wcisnęło się dwóch mężczyzn. Jeden miał ogromny brzuch wylewający się z nad paska, twarz podobną do świńskiego ryja i włosy ogolone po bokach w stylu, który północni Irlandczycy nazywają „na żywca”. Drugi był chudzielcem, miał kępki siwych włosów i szerniałe zęby; jego szyję zdobiły wytatuowane kobiece ręce ułożone tak, jakby go dusiły. Obaj palili papierosy. W sąsiednim pokoju John dostrzegł tę samą młodą kobietę, która zastąpiła mu drogę z dziecięcym wózkiem. Miała włosy ufarbowane na blond i ogromne piersi prężące się pod ciasną zieloną koszulką z wizerunkiem Bono; koło ust widać było bordowy siniec.

– W porządziu, dryblasie? – zagadnął brzuchacz. – Jak leci?

– Coś ty za jeden, u diabła? – spytał John. – Co mi zrobiliście? I gdzie jestem?

– Bobby Quilty się nazywam, a to mój posługacz Chisel. Proszę o wybaczenie z powodu dyskomfortu. No, ale wiesz, jak się kto spoufała z psami, musi za to zapłacić.

– Co? Jezus, o czym ty mówisz?!

– O tobie i tej smakowitej detektyw nadkomisarz Maguire, o tym mówię.

– A co jej do tego?

– Ty i ona jesteście jakby skumani, no nie?

– Co to, u diabła, ma wspólnego z tobą? Coś ty za jeden?

– Już ci mówiłem, dryblasie. Bobby Quilty. Czy twoja ekslalnica nigdy o mnie nie wspomniała? Powiedzmy, że jestem przed-się-burca, jeden z najlepszych tu, w Cork.

– Nadal nie mam pojęcia, o czym gadasz.

Quilty zaciągnął się głęboko i dmuchnął Johnowi dymem prosto w twarz; ten musiał zamknąć mocno oczy i odwrócić głowę.

– Daj luz w gaciach, dryblasie, to się dowiesz, o czym gadam. Od miesiący twoja pani detektyw Maguire wtykała paluchy w moją przed-się-burczą działalność. Łeb mnie od tego, kurwa, rozboleł. Więc żeby ją przekonać, że ma mi dać spokój, postanowiłem zdobyć coś w rodzaju atutu negocjacyjnego, a tym niby-atutem jesteś ty. Nie będę się nad tym rozwodził i powiem krótko, że doszliśmy jakoś do porozumienia.

– Jakiego porozumienia?

– Zgaduj-zgadula. A jak ci się widzi? Ona nie wcina mi się w biznes, tobie nie dzieje się krzywda. Ale jeśli będzie mi się dalej naprzykrzać, zgarniać ludzi, którzy dla mnie robią, no to cóż... nie mogę zagwarantować, że Bóg cię zachowa. W każdym bądź razie nie w jednym kawałku.

– Chyba ci rozum odebrało – odparł John. – Nie myślisz poważnie, że ona da ci spokój tylko dlatego, że wzięłaś mnie na zakładnika?

– Przyszło mi to do głowy. – Quilty znów się zaciągnął, ale tym razem wydmuchnął mocno dym do góry i na boki.

– Detektyw nadkomisarz Maguire i ja nie jesteśmy już nawet razem – oznajmił John. – Rozeszliśmy się jeszcze przed Bożym Narodzeniem.

– Ale wczoraj wieczorem mieliście się spiknąć, co?

– Skąd, do cholery, o tym wiesz?

– E, to moja sprawa, a ty sobie kombinuj. Ale powiedzmy, że w Cork nie dzieje się nic, o czym Bobby Quilty nie byłby powiadomiony.

– Więc jak długo zamierzasz mnie tu trzymać? – spytał John. Tamten wzruszył ramionami.

– Tak naprawdę to przyznam ci się, że nad tym nie deliberowałem. Ale powiedzmy, że muszę mieć pewność, że twoja ekszlala dotrzyma obietnicy.

– Myślę, że jej nie doceniasz, i to grubo – odparł John. – Ona jest o wiele bardziej oddana prawu niż mnie. Zerwała ze mną, bo chciałem, żeby odeszła z Gardy. Cokolwiek mi zrobisz, i tak cię będzie ścigała. Taka już jest.

– No to musimy poczekać i zobaczyć, co nie? – Bobby Quilty się uśmiechnął. – Znaczący ja zobaczę, ale jeśli ona nie uszanuje naszego porozumienia, bardzo możliwe, że ty nie zobaczysz. Ale nie bój nic. Mam jeszcze starą laskę taty i puszkę białej farby.

Chisel także wyszczerzył swoje poczerniałe zęby.

– Rozgość się jakoś, John – poradził Quilty. – Sorcia poda ci później herbatę i parówki. Może być?

Rozdział 11

Kyna Ni Nuallán czekała na Katie w niewielkiej wnęce tuż za drzwiami baru Henchy's w St Luke's Cross. Siedziała w kącie, plecami do witrażowego okna, i mimo że było ciemno, miała duże ciemne okulary Chanel. Na głowie zawiązała pirackim sposobem czarną jedwabną chustę, a kołnierz jej czarnej nylonowej kurtki był podniesiony.

– Nie poznałabym cię, gdybym nie wiedziała, że to ty – powiedziała Katie, zdejmując kurtkę i siadając obok Kyny.

– Mówiłaś, że trzeba zachować dyskrecję. Napijesz się czegoś?

– Obaliłabym podwójną wódkę, ale filiżanka kawy będzie super.

Kyna uniosła rękę.

– Declan! – zawołała do młodego brodatego barmana. – Będziesz tak miły i podasz koleżance kawę?

– Znasz go? – zdziwiła się Katie. – Myślałam, że nigdy tu nie byłaś.

– Bo nie byłam. Ale zaczął do mnie uderzać, jak tylko weszłam. Powiedział, że jestem pierwszą laską, która postawiła tu stopę od Dnia Paddy'ego.

Katie uśmiechnęła się. Kyna była bardzo ładną blondynką, przypominającą trochę elfa. Nawet koledzy detektywi usiłowali się do niej przystawiać. Zwykle nie uświadamiali sobie, że mężczyźni ani trochę jej nie interesują, w każdym razie nie w sensie erotycznym. Katie nie było jednak do śmiechu.

Poprosiła Kynę o spotkanie, bo potrzebowała jej pomocy. Nie знаła drugiej osoby, do której mogła się zwrócić z taką prośbą i obdarzyć ją zaufaniem. Ponieważ to, o co zamierzała prosić,

mogło się okazać skrajnie niebezpieczne. Kyna omal nie poświęciła życia, biorąc na siebie pocisk przeznaczony dla Katie, i ta zaczynała się zastanawiać, czy nie oczekuje zbyt wiele, prosząc o to ponownie.

Właśnie z powodu zagrożenia wyznaczyła spotkanie w tym lokalu. Znajdował się niespełna pięć minut drogi na północ od centrum miasta, na szczycie Summerhill, ale nie bywali tu gangsterzy Quilty'ego ani inne lokalne opryszki; nie przychodził także nikt, kto mógłby rozpoznać Katie. Mimo to Katie włożyła fioletowy beret i prawie całkowicie schowała pod nim swoje rude włosy.

– No więc o co chodzi? – spytała Kyna. – Chciałam jechać jutro do Dublina i rozejrzeć się za mieszkaniem. Zostało mi jeszcze prawie pół roku wynajmu tego w Cork, ale w zeszłym tygodniu poznałam studentkę, która rozpaczliwie potrzebuje lokum, mogłabym je podnająć.

Barman podał Katie kawę i dwa ciasteczka na spodku.

– O Bobby'ego Quilty'ego – odparła, gdy się oddalił. – Porwał Johna i mówi, że go okaleczy, jeśli dalej będę mu przeszkadzała w jego szmuglerskim biznesie.

Kyna spojrzała na nią, wstrząśnięta i zdumiona.

– Johna? Znaczy... twojego Johna? Myślałam, że całkowicie zniknął z pola widzenia. Nie wyjechał znowu do Stanów?

– Być może... Tak, wyjechał. Ale teraz jest tutaj, w Cork. – Katie wyjęła z kieszeni grawerowaną srebrną bransoletkę i położyła ją na stole. – Podarowałam mu ją, kiedy wrócił zeszłego roku. Bobby Quilty mi ją dał jako dowód, że naprawdę go ma.

– O Jezusie – westchnęła Kyna. Oddała bransoletkę Katie i ścisnęła jej dłoń. – Na pewno strasznie się zamartwiasz. Powiedziałaś komuś z komendy?

Katie pokręciła głową.

– Jeszcze nie. Oni by chcieli natychmiast wkroczyć do akcji. W każdym razie Denis MacCostagáin by tego chciał. Nie toleruje, kiedy ktoś zastrasza funkcjonariuszy. Ale jeśli do Quilty'ego dotrze najmniejszy sygnał, że dalej go tropimy, Bóg jeden wie, co

może zrobić Johnowi. Jestem pewna, że to on zabił Gerry'ego Barry'ego... on sam albo zlecił to któremuś ze swoich zbirów. I to z jakiego powodu? Dla kilkudziesięciu kartonów rosyjskich papierosów. Nie sądzę, by miał jakiegokolwiek skrupuły przed zabiciem Johna. A potem wyrzuciłby jego ciało w takim miejscu, że nigdy bym go nie znalazła.

Kyna długo patrzyła na nią w milczeniu.

– Czy ty go nadal kochasz? – zapytała w końcu.

– Johna? Miłość nie ma tu nic do rzeczy. To człowiek, a Quilty grozi, że go okaleczy lub zamorduje.

– Daj spokój! To się zdarza prawie codziennie, prawda? Znaczący porwania, szantaże. Ale nie pamiętam, żebyś kiedyś przystopowała dochodzenie tylko dlatego, że kogoś wzięto na zakładnika. Robiłaś coś przeciwnego. Ścigałaś sprawców do upadłego.

– Oczywiście – potwierdziła Katie. – Ale przeważnie polegało to na tym, że jeden bandzior porwał drugiego, bo ten zagrażał jego brudnym interesom. John nie jest jednak przemytnikiem, handlarzem narkotyków czy alfonsiem, który podbiera prostytutki innemu alfonsowi. On jest całkowicie niewinny. Jego jedyna zbrodnia polegała na tym, że był ze mną związany.

Kyna jakiś czas trzymała dłoń Katie, a potem ją puściła.

– Pij kawę, bo ci wystygnie.

– Byłoby inaczej, gdybym wiedziała chociaż z grubsza, gdzie Quilty go przetrzymuje – powiedziała Katie. – Moglibyśmy zrobić nalot. Byłoby to ryzykowne, ale przynajmniej istniałaby szansa, że wydostaniemy go stamtąd w całości.

– Nie znamy nikogo, kto byłby gotów sypnąć Quilty'ego? – spytała Kyna. – Może Barty McGee? Gdyby nie on, nic byśmy nie wiedzieli nawet o połowie jego przekrętów.

– Wątpię, by Barty zechciał jeszcze z nami rozmawiać. Quilty dał mu wybór: albo wyjedziesz z kraju i nigdy nie wrócisz, albo ci usmażę jaja i dam do zjedzenia. Tak w każdym razie Barty przedstawił to Dooleyowi.

– No więc co zamierzasz?

– Hm... niebo się nade mną ulitowało. Po śmierci Gerry’ego Jimmy O’Reilly postanowił zawiesić śledztwo przeciwko Quilty’emu i zostawić sprawę skarbowce. Mówi, że nie chce narażać życia kolejnych funkcjonariuszy z powodu drobnych wykroczeń, ale podejrzewam, że mocno przegiął z tegorocznym budżetem i chce w ten sposób zaoszczędzić kasy. W każdym razie pomodliłam się do świętego Rafaela i chyba mnie wysłuchał, bo nie musiałam stawać przed połową komendy i wymyślać kulawych wymówek na to, że odczepiamy się od Quilty’ego.

– Do świętego Rafaela?

– To patron zakochanych.

– Więc nadal go kochasz? Johna. Wiesz, że święty Rafael jest również patronem obłędu i sennych koszmarów? A także krótkowzroczności.

– Aleś ty się katechizmu wykuła.

Kyna spojrzała na nią z przelotnym, smutnym uśmiechem.

– Nie, ale nie tak dawno o nim czytałam, bo chciałam sprawdzić, czy pomoże mi zdobyć serce mojej idealnej partnerki.

Katie napiła się kawy i przełamała ciastko imbirowe, ale go nie zjadła.

– Oficjalnie dalej jesteś na zwolnieniu lekarskim – powiedziała. – Nie musisz robić tego, o co cię poproszę, jeśli nie będziesz chciała. To nie będzie niesubordynacja. A ja nie pomyślę o tobie nic złego.

– Chyba się domyślam, o co chodzi – odparła Kyna.

– Na pewno tak, ale wierz mi, gdyby istniał inny sposób, tobym nie prosiła. Nie będę udawała, że to nie będzie niebezpieczne, zwłaszcza jeśli ktoś cię rozpozna. Ale nie mieszkasz w Cork bardzo długo i nie brałaś udziału w śledztwach dotyczących przemytu czy unikania cła od wyrobów tytoniowych lub alkoholowych. Ani tych, które miały związek z Autentyczną IRA.

– Jest wiele sposobów, które mogę wykorzystać do kamuflażu. Mogę ufarbować włosy, miałam je już w najróżniejszych

kolorach, kiedyś nawet były zielone jak koniczyna! Ale dobrze mi też w czarnych. I mogę się ubrać tak, że będę wyglądała o wiele młodziej. Bardzo wąskie dżinsy, dużo bransolet i naszyjników, mam już tatuaż na ramieniu, mogę nim zaświecić.

– Masz tatuaż? Jaki?

– Lirę. Poetka Safona grała na lirze, dlatego wybrałam ten instrument.

– Dobrze – rzuciła Katie. To nie była właściwa chwila, by rozważać wszystkie możliwe konsekwencje. – Jeśli możesz to dla mnie zrobić, skontaktuję się jutro z tobą, prawdopodobnie, i powiem ci, gdzie znajdziesz któregoś z dealerów Quilty’ego. Są coraz bezczelniejsi, nie kryją się z tym, że sprzedają papierosy, więc nie powinno być trudno któregoś zlokalizować. Ale, jak mówiłam, nie musisz w to wchodzić. Nie chcę, żebyś znowu ucierpiała.

– Pani detektyw nadkomisarz Maguire, jestem funkcjonariuszką policji, wiem, co mi grozi. Nie jestem stuprocentowo przekonana, że to właściwy sposób, by uratować Johna, ale jeśli ty tego chcesz, zrobię to.

– No więc, jak byś się do tego zabrała? Nie możemy zgarnąć Quilty’ego, bo nie mamy przeciwko niemu dowodów, a nawet gdybyśmy go wzięli na przesłuchanie, adwokaci go wyciągną w pięć minut. A on by dopilnował, by Johna spotkało coś strasznego. Zagroził, że go oślepi.

Kyna znów ujęła jej rękę.

– Powiedziałam, że to zrobię, i tak będzie.

Katie wyjęła z kieszeni różowego iPhone’a w neonowym różowym etui.

– Weź to. Należało do jednej z dziewcząt, którą zgarnęliśmy podczas nalotu na salon masażu przy Princess Street. Jeżeli Quilty każe sprawdzić twój telefon, jest w nim tyle numerów alfonsów, dealerów i innych szemranych typów, że dwa razy zapełniłoby się nimi stadion Páirc Uí Chaoimh. Zmieniłam numer zapisany pod nazwą „Mama”, wstawiłam numer swojej komórki,

więc jeśli każe ci zadzwonić do matki, żeby się upewnić, że jesteś tą, którą udajesz, będziesz mogła to zrobić.

– A kogo udaję?

– Sheelagh Danehy z Mount Nebo Avenue w Gurra. Ostatnio byłaś w ośrodku pomocy wychowawczej dla nastolatek w liceum w North Pres. Przechodziłaś odwyk, ale nic to nie dało, a podczas terapii na zajęciach z malarstwa wylałaś jakiejś dziewczynie wiadro farby na głowę i cię wywalili. Resztę na pewno jakoś zaimprovizujesz.

– Postaram się. W szkole zawsze byłam dobra w grze na dwie strony, ale oczywiście nigdy nie spodobał mi się żaden chłopak. Kiedy szłam korytarzem, niektórzy podśpiewywali „Kyna, Kyna, nietykalska wagina”.

Katie się uśmiechnęła.

– Jestem pewna, że umiesz zagrać dziwkę, jeśli się postarasz.

Przez kolejnych dwadzieścia minut tłumaczyła Kynie, jak może przeniknąć w szeregi tych, którzy realizują działalność przemytniczą Bobby’ego Quilty’ego. Wkrótce po wstąpieniu do policji Katie ulokowano jako agentkę pod przykryciem w gangu handlarzy narkotyków w Togher i wiedziała, jak trudno jest się opędzić przed zakusami seksualnymi niektórych mężczyzn.

– Robiłam to z facetami – rzuciła Kyna; ciemne okulary nie pozwalały ocenić wyrazu jej twarzy. – Czasem dlatego, że byłam ululana. A przeważnie z litości.

– Nie przejmuję się samym szmuglem papierosów – powiedziała Katie. – To mnie nie obchodzi, podobnie jak związki Quilty’ego z Autentyczną IRA. Ani to, że prawdopodobnie jest odpowiedzialny za zabicie Gerry’ego. W każdym razie jeszcze nie teraz. Chcę się tylko dowiedzieć, gdzie trzyma Johna.

– Wiem. – W głosie Kyny pobrzmiwał smutek.

Katie nie przytuliła jej, kiedy się rozstawały na chodniku przed barem, choć chętnie by to zrobiła. Nadal padało i nikogo nie było w pobliżu, ale wołała nie ryzykować, że ktoś je zobaczy. Zmierzając do samochodu, zauważyła, że z okna punktu bukmacherskiego obserwuje je młody mężczyzna o bladej

twarży. Pomyślała, że bardzo by się zdziwił, gdyby weszła do środka i zapytała go, jakie są szanse na to, że John ujdzie z życiem.

Rozdział 12

Katie skierowała się prosto do Blarney. Doktor Kelley wyznaczyła spotkanie przy Millstream Row, żeby nie jechać do śródmieścia, a później znów wracać. Musiała wziąć ze sobą mnóstwo sprzętu specjalistycznego, więc wraz z asystentką postanowiła przyjechać z Dublina samochodem, a nie pociągiem. Zajęło jej to z powodu pogody prawie trzy godziny. Powiedziała, że chce zacząć najprędzej jak to możliwe.

Millstream Row została odcięta i wyznaczono objazd przez Sunberry Heights, mimo że ruch był znikomy. Zmoknięty funkcjonariusz w mundurze odpiął taśmę, żeby Katie mogła wjechać i postawić samochód za dwoma radiowozami; były również dwie furgonetki, kombi sekcji technicznej oraz duży niebieski van transit, którym zapewne przyjechała doktor Kelley.

Katie zastała ją w saloniku, który był tak jasno oświetlony reflektorami, że musiała unieść rękę i osłonić oczy. Doktor Kelley klęczała po drugiej stronie pomieszczenia i odcinała próbki włosów z głowy zmumifikowanego mężczyzny. Była niską tęgą panią, a w kombinezonie sprawiała wrażenie jeszcze tęższej. Miała krągłą twarz z podwójnym podbródkiem, okrągłe okulary i krzaczaste męskie brwi. Mimo to Katie pomyślała, że gdyby je wydepilowała, nałożyła trochę pudru i umalowała usta szminką, mogłaby wyglądać całkiem fajnie i pociągająco, trochę jak dziecięca lalka, która urosła.

– Jak idzie? – zapytała.

Bill Phinner, który stał obok doktor Kelley, klepnął ją w ramię, a wtedy uniosła głowę i zobaczyła Katie.

– Zaraz do pani podejść, dwie sekundy. – Starannie włożyła próbkę włosów do przezroczystej foliowej torebki strunowej. Wstała i okrążywszy pokój, ściągnęła lateksową rękawiczkę i podała Katie dłoń. – Mary Kelley – przedstawiła się żywym, pełnym entuzjazmu głosem. – Widziałam panią w kwietniu na sympozjum patologicznym na Uniwersytecie Dublińskim. Bardzo, bardzo chciałam pogadać o tej kobiecie z bagien w Mayfield, ale osaczył mnie śmiertelnie nudny biochemik z Nigerii, a kiedy skończył mnie raczyć anegdotami o wirusie Ebola, pani już się ulotniła.

– Mogła pani do mnie zadzwonić w dowolnym czasie.

– Otóż właśnie czas to coś, czego nigdy nie mam. Byłoby to błogosławieństwo, powiem pani, gdyby ludzie w Irlandii przestali tak gremialnie umierać w nietypowych i niewyjaśnionych okolicznościach, bo moja głowa mogłaby w końcu kiedyś odpocząć. A teraz nadarzyła się ta nieszczęsna rodzina, która odeszła z tego świata, zanim ktokolwiek z tu obecnych się urodził.

– Ja bym wskazała początek lat dwudziestych – powiedziała Katie. – Sęk w tym, że nie mamy pewności co do tego, kim ci ludzie naprawdę byli. Archiwa świadczą o tym, że w tysiąc dziewięćset dwudziestym pierwszym mieszkała w tym domu rodzina Langtrych i nagle zniknęła, nie informując nikogo o swoim wyjeździe. Parę miesięcy później zaczęli przysyłać listy i kartki pocztowe z Ameryki, ze stanu Nowy Jork, więc może po prostu prysnęli przy blasku księżyca. Ale jeśli tak było, to kim są ci tutaj, kto ich zastrzelił i dlaczego?

– Jutro rano powinniśmy mieć wyniki badań DNA – odezwał się Bill Phinner. – Więc przynajmniej będziemy wiedzieli, czy byli spokrewnieni z rodziną Langtrych z Dripsey.

– I jutro rano wywieziemy stąd zwłoki – oznajmiła doktor Kelley. – Kiedy znajdą się w kostnicy, będę mogła przeprowadzić dokładne badania i określić, w jakim byli wieku, co sprawiło, że tak wyschli, a także na jakie cierpieli choroby i jaki był ostatni posiłek, który spożyli.

– Kiedy Mary ich stąd usunie, będziemy mogli zbadać pociski – wtrącił Phinner. – To być może pozwoli ustalić, z jakiej broni ich zabito, ale szanse znalezienia jej są właściwie zerowe.

Doktor Kelley odwróciła się do asystentki, drobnej młodej kobiety, której wygląd sugerował, że jest w połowie Chinką.

– Masz już wszystkie zdjęcia, Annie? W takim razie możemy zacząć z rentgenem.

Asystentka poszła do vana i wróciła po kilku minutach z szarym przenośnym urządzeniem rentgenowskim oraz tabletem do wyświetlania obrazu. Katie widziała już, jak działają ręczne skanery, ale nigdy nie była świadkiem ich zastosowania na miejscu zbrodni. Wykorzystują one technologię refleksyjną i pozwalają wykrywać nie tylko metal, kości, lecz także materiały organiczne, takie jak narkotyki, materiały wybuchowe, a nawet plastikowe pistolety wykonane za pomocą drukarek 3D.

– To jest lampa rentgenowska, lecz poziom radiacji jest tak niski, że nie musimy stosować osłon – wyjaśniła doktor Kelley. – Powiem wam, że jest to moim zdaniem skarb, istne cudo, ale nie było tanie. Kosztowało pięćdziesiąt tysięcy euro i dlatego doktor Reidy nie chciał, żebym wiozła to urządzenie pociągiem. Wie, jak mam z pociągami, i co potrafię w nich zostawić. W pociągu z Ballinasloe zapodziałam czaszkę, która miała tysiąc pięćset lat, i pojechała sama aż do Tullamore.

– Co pani robi po zakończeniu prześwietleń? – chciała wiedzieć Katie.

– Owiniemy każde ciało w folię i zabezpieczymy specjalną konstrukcją tak, żeby je unieruchomić i jak najmniej uszkodzić. Kiedy już się znajdą w kostnicy, odpowiednio ułożone, będziemy je mogli rozebrać i wykonać pełny skan komputerowy i badanie metodą radiowęglową.

– Proszę więc robić swoje – powiedziała Katie. – Ma pani mój numer. Proszę dzwonić, gdyby cokolwiek było potrzebne. Nocuje pani w Clarion, prawda? Mają tam dobrą restaurację, jeśli lubi pani kuchnię azjatycką. Zjadłabym z panią kolację, ale, niestety, mam masę papierkowej roboty i muszę nadgonić.

– Nie szkodzi – odparła doktor Kelley. – Annie jest bardzo dobrą kompanią. Wybrałam Clarion, bo wiedziałam, że tamtejsza kuchnia przypadnie jej do gustu.

Prawda była taka, że Katie niemal uporała się z papierkową robotą, ale często bywała z Johnem w restauracji Kudos i zdawała sobie sprawę, że nie będzie miała chęci na jedzenie ani tam, ani w żadnym innym lokalu.

Jakiś czas przyglądała się, jak Annie pieczołowicie prześwietla zwłoki dziewczynki, a następnie pomachała Billowi Phinnerowi i wyszła z domu w padający deszcz. W połowie drogi do samochodu zauważyła, że nieco dalej przy ulicy parkuje wóz transmisyjny stacji RTÉ; dostrzegła również Fionnualę Sweeney z programu *Nine o’Clock News*, która stała obok taśmy policyjnej i dzierżyła mikrofon tak, jakby trzymała znicz olimpijski.

– Pani detektyw nadkomisarz! – krzyknęła z daleka dziennikarka. – Pani Maguire! Może mi pani poświęcić jedną minutę?

Katie machnęła ręką w jedną i w drugą stronę, sygnalizując, że nie ma czasu, po czym otworzyła drzwi samochodu. Ale zanim zdążyła wsiąść, reporterka zawołała:

– Langtry!

Katie zamknęła drzwi i podeszła do taśmy. Fionnuala miała rudawe włosy i bladą cerę, ale mogłaby wzbudzić zainteresowanie mężczyzn, którym podobają się syreny, zwłaszcza że jej włosy lśniły od kropel deszczu. Operator kamery stał tuż za jej lewym ramieniem, a na widok zbliżającej się Katie zgasił papierosa w palcach i wetknął go sobie za ucho.

– Ponoć pod podłogą tego domu, który jest remontowany, znaleziono zwłoki.

– Nie mogę tego teraz skomentować, Fionnualo.

– Moje źródło podaje, że rodzina nosiła nazwisko Langtry i zniknęła w tysiąc dziewięćset dwudziestym pierwszym. Ojciec, matka, dwoje dzieci, a nawet psy.

– Od kogo pani to wie?

– Pani detektyw wybaczy, ale nie wolno mi ujawniać źródeł. Ale chodzi o rodzinę Langtrych, prawda? Wszyscy zostali zastrzeleni?

– Czy dowiedziała się pani tego od pani O’Neill?

– Przepraszam, ale jak już mówiłam, nie wolno mi ujawniać moich źródeł.

Katie wzięła głęboki oddech i odwróciła głowę. Nie chciała zrażać Fionnuali, ponieważ często potrzebowała wsparcia jej stacji, kiedy chodziło o to, by nagłaśniać apele o zgłaszanie informacji dotyczących napadów rabunkowych, zaginionych dzieci bądź gromadzenie relacji naocznych świadków tragicznych wypadków drogowych. Z drugiej zaś strony, od samego początku czuła, że do tej sprawy trzeba podchodzić z maksymalną ostrożnością. Nie wymordowano całej rodziny bez powodu, a już zwłaszcza w tysiąc dziewięćset dwudziestym pierwszym roku, dlatego przed udzieleniem mediom jakiegokolwiek komentarza chciała poznać ten powód.

Może przesadzała, lecz z doświadczenia wiedziała, że sprawy powiązane z historią bardzo szybko wymykają się spod kontroli, nawet jeśli chodziło jedynie o zadawnione urazy rodzinne. Zaledwie przed trzema tygodniami prowadziła tego rodzaju sprawę: pewien rolnik z Curraheen omal nie zginął z ręki sąsiada z powodu sięgającego sześćdziesięciu lat wstecz sporu o piętnaście i pół metra kwadratowego łąki.

Odwróciła się do dziennikarki.

– Mogę pani wyjawic jedynie tyle, że w trakcie odnawiania domu przy Millstream Row znaleziono kilka ludzkich ciał. Są obecnie badane przez zastępczynię głównego patologa, doktor Mary Kelley, która specjalizuje się w patologii historycznej. Podjęliśmy taką decyzję, gdyż na miejscu odnieśliśmy wrażenie, że zwłoki leżały ukryte bardzo długi czas.

– W tysiąc dziewięćset dwudziestym pierwszym roku zniknęła nagle rodzina o nazwisku Langtry zamieszkała przy Millstream Row. Czy to ta sama?

– Pobraliśmy próbki DNA, ale jak dotąd nie ustaliliśmy w sposób jednoznaczny tożsamości tych osób. Na razie nie mamy pewności, kim są, kiedy zginęły i w jaki sposób. Jak tylko będę miała większą wiedzę, oczywiście państwa poinformuję.

– Ale to mogą być Langtry’owie, tak? – dociekała dziennikarka.

– Już pani mówiłam, Fionnualo: w tym momencie nie jesteśmy tego pewni.

– Ale zginęli od strzałów?

– Nie mogę tego skomentować, dopóki doktor Kelley nie zakończy pełnego badania ciała.

– Ile czasu to zajmie?

– Tyle, ile będzie trzeba. To na razie wszystko, co mam do powiedzenia.

– Czy Radha Langtry miała romans z brytyjskim żołnierzem? Uważa pani, że rodzina mogła zostać rozstrzelana właśnie z tej przyczyny?

Katie korciło, by pójść prosto do domu Nory O’Neill, chwycić ją za pomarszczoną szyję i trząść, aż babę zemdli.

– Nie mam na ten temat nic do powiedzenia, Fionnualo – ucięła. – Jak dotąd nie ustaliliśmy tożsamości tej rodziny, a nie zamierzam wymyślać szalonych teorii o tym, w jaki sposób i dlaczego jej członkowie zginęli, dopóki nie poznam wszystkich faktów. To będzie długie i uciążliwe śledztwo, a całej prawdy być może nigdy nie poznamy, ale mogę obiecać, że gdy tylko czegoś się dowiemy, podzielimy się z państwem tą wiedzą.

Rozdział 13

Mijały godziny, ale John mógł tylko zgadywać, ile ich było, bo porywacze zerwali mu z ręki zegarek, podobnie jak grawerowaną bransoletkę, którą dostał od Katie. W końcu, krzywiąc się z bólu, ułożył się na boku, po czym wstał. Zachwiał się i zrobił krok w stronę okna. Najpierw złapał się tyłu łóżka, a potem sięgnął ręką do gałki najwyższej szuflady w komodzie. Szuflada niespodziewanie się wysunęła i omal nie poleciał do tyłu, lecz w szufladzie coś było i zaklinowała się. Stał nieruchomo, nabierając małe hausty powietrza, a później zatoczył się do okna i chwycił parapetu.

Kiedy pierwszy raz się obudził, na dworze była już szarówka, może z powodu padającego deszczu; teraz uniósł tanią bordową zasłonkę i zobaczył, że jest ciemno i palą się lampy uliczne. Znajdował się na piętrze z widokiem na małe obmurowane podwórze z rowerem i zielonymi pojemnikami na śmieci. Klamki okna nie dało się poruszyć, ale po chwili zmagania podciągnął ją i pchnięciem otworzył okno; było jednak zabezpieczone kablem i ustąpiło tylko na jakieś dwadzieścia centymetrów.

Na tle nieba, w odległości zaledwie pół kilometra, dostrzegł wieżyczki katedry Najświętszej Maryi Panny i świętej Anny. Wygiął szyję w bok i przycisnął głowę do szyby.

– Au, szlag. Au! – jęknął cicho, bo poczuł ból w miejscu, gdzie miał krwiaka.

Dostrzegł wieżę Shandon Bells z tarczami zegarów i kopułą w kształcie pieprzniczki oraz wiatrowskaz w formie łososia. A to oznaczało, że jest w Blackpool, na północny wschód od

śródmieścia, przy Leitrim lub Pine Street. Gdyby udało mu się wydostać z tego domu, bez trudu znalazłby ratunek. Mógłby nawet dotrzeć pieszo, a właściwie dokuścić na Anglesea, do Katie.

Spojrzał w dół na podwórze. Pokój mieścił się wprawdzie na piętrze, lecz tuż pod oknem biegł ukośny dach, prawdopodobnie była w nim ubikacja lub pralnia. John pomyślał, że gdyby zdołał zdjąć z okna kabel zabezpieczający, jakoś dostałby się na dół. Był mocno potłuczony i w głowie dudniło mu przy każdym uderzeniu serca, ale miał dużo sił i był w dobrej formie. Po tym, jak przestał pracować na gospodarstwie zmarłego ojca, w miarę możliwości dotrzymywał Katie towarzystwa na jej treningach kickbokserskich, a później, kiedy od niej odszedł i przeprowadził się do Knocknadeenly, uprawiał jogging. Właśnie w trakcie biegania w zeszłym tygodniu, pod wiszącym nisko szarym niebem, za jedyne towarzystwo mając wrony siedzące na drutach telefonicznych, nagle sobie uprzytomnił, jak bardzo tęskni za Katie. Miał świadomość, że bardzo ją zranił. O to mu przecież chodziło, kiedy ją porzucił. Kiedy jednak tak stał między żywopłotami na pustej drodze, zdyszany i spocony, pojął, że z powodu zazdrości cierpi pewnie bardziej niż ona. Katie nie była wprawdzie tak twarda, jak sądziła większość ludzi, ale umiała zostawiać przeszłość za sobą.

Puścił zasłonkę i dowlókł się do łóżka. Usiadł i przez chwilę nasłuchiwał. Do jego uszu dochodził stłumiony odgłos telewizora na dole, ale nie było słyhać ludzkich głosów. Przy odrobinie szczęścia zdoła wygramolić się oknem, nie robiąc za dużo hałasu, zanim Bobby Quilty i Chisel zauważą jego zniknięcie.

Wstał, przemierzył pokój i przycisnął ucho do drzwi. Usłyszał końcowy motyw muzyczny *Fair City*, musiało więc być wpół do dziewiątej. Zdawało mu się, że słyszy warczący głos Quilty'ego, a potem jego szorstki, nieprzyjemny śmiech, lecz później słyhać było tylko, że ktoś przełącza pilotem kanały telewizyjne.

No dobra, powiedział sobie, jeśli teraz nie pójdziesz, możesz nie dostać następnej szansy, zwłaszcza jeżeli Katie ma w nosie, co

z tobą będzie. Kto zresztą mógłby mieć jej to za złe?

Dobrnął do okna, przytrzymując się znów tyłu łóżka, a następnie komody. Zerknął do wnętrza otwartej do połowy szuflady i zobaczył, co ją zablokowało. Była zavalona różnymi rupieciami: długopisami, światełkami na choinkę, kluczami do walizek i rolkami taśmy klejącej; były też okulary przeciwsłoneczne z jednym szkłem i kalendarzyk na 1996 rok. Jednak tym, co ją zaklinowało, był śrubokręt z czerwoną rączką, skierowany ku górze, tak że końcówka wbiła się w ściankę ramy.

John szturchnął szufladę i pchnął ją w głąb komody, a następnie wsunął rękę i wyjął śrubokręt. Dokładnie tego potrzebowałem, pomyślał. Istnieje więc jakiś Bóg. Albo przynajmniej święty patron tych, których życie znajduje się w niebezpieczeństwie, bo nie mają przy sobie odpowiednich narzędzi.

Uniósł zasłonę, otworzył okno tak daleko, ile ustąpiło, i zaczął odkręcać koniec kabla zabezpieczającego. Wkręty były krzyżakowe i śrubokręt był do nich odrobinę za duży, John musiał go więc ustawiać pod kątem. Wreszcie jednak zdołał poluzować oba na tyle, żeby móc je wykręcić palcami. Gdy kabel zawisł luźno, John mógł otworzyć okno do końca. Nadal padało, lecz czuł zapach świeżego powietrza, rzeki, spalin i wolności.

Chwycił się ramy okiennej i dźwignął do góry; jęknął przy tym z bólu i omal nie odgryzł sobie języka. Przycisnąwszy klatkę piersiową do krawędzi parapetu, uświadomił sobie, że ludzie Quilty'ego złamali mu co najmniej dwa żebra; ból był potworny. Nie mógł oddychać, jego usta napełniły się śliną i krwią; na chwilę ogarnęła go pokusa, by puścić się, położyć na podłodze i zrezygnować z wszelkich prób ucieczki.

No, nie dam rady, nie wytrzymam. Za bardzo boli. Potem jednak pomyślał: Jeśli już ci to zrobili, to co zrobią, jeżeli Katie nie przestanie ich ścigać? Słyszałeś, co mówił Bobby Quilty, groził, że cię oślepi. A to miał być dopiero początek.

Nie wiedział, jak długo tak tkwił z głową i barkami wychylnymi z okna, mrużąc oczy przed deszczem, który pluł

mu w oczy. W końcu jednak zebrał całą siłę woli i podciągnął się wyżej. Ból był nie do wytrzymania, gorszy niż wszystkie, jakich do tej pory doświadczył; czuł, jak zebra mu trzeszcza. Rozpłakał się jak dziecko i mimo woli pomyślał o matce, o tym, jak go pocieszała, kiedy potknął się na drodze wysypanej żużlem i obtarł kolana. Niemal słyszał jej miękki kojący głos, czuł zapach jej perfum, kiedy go przytulała. Matka była jednak teraz w domu opieki i cierpiała na demencję, a on był tutaj, do połowy za oknem, i nic nie mogło odwrócić biegu czasu.

Nie poddasz się. Ból to iluzja. Sposób, który twoje ciało wykorzystuje, by się zabezpieczyć, ale twoje ciało nie wie, co ci zrobi Bobby Quilty, że zada ci ból nieskończenie większy niż ten, który teraz cierpisz.

Spróbował unieść prawą nogę, żeby oprzeć kolano na parapecie. Pozwoliłoby mu to wywindować lewą nogę, a wtedy będzie mógł się podnieść albo wytoczyć przez okno; to drugie było bardziej prawdopodobne. Jeśli spadnie, to trudno. Ale przynajmniej ucieknie.

Za pierwszym razem po prostu nie zdołał zebrać tyle siły, żeby kolano dosięgło krawędzi parapetu. Jeszcze mocniej ścisnął dłońmi obie strony ramy okna i wypchnął się kilka centymetrów dalej.

O Boże, nie dam rady. Tak, dasz radę. Boże, proszę, nie dam rady. Tak, dasz radę. Musisz.

Zrobił sobie parosekundowy odpoczynek, czuł dudnienie krwi w uszach. A potem znów uniósł nogę, tym razem wolniej, ale nadal nie mógł sięgnąć nią do wysokości parapetu i musiał ją opuścić.

Dasz radę. Musisz. Musisz się stąd wydostać.

Jęcząc przez nos z bólu i wysiłku, podjął trzecią próbę i wreszcie zdołał podciągnąć się na parapet najpierw prawym kolaniem, a zaraz potem lewym.

Święta Mario, Matko Boża, proszę, daj mi to przetrwać. Jeśli to jest kara za to, że porzuciłem Katie, gdy mnie potrzebowała, godzę się z tym. Ale niech to się już skończy.

Trzymał kurczowo obiema rękami ramę okna, wychylając się najdalej, jak to było możliwe. Podobnie robił w dzieciństwie: klękał na parapecie w domu rodziców na wsi, wpatrywał się w nocne niebo i wyglądał aniołów, mimo że nigdy wcześniej ich nie widział. Dzisiejszej nocy także się nie pokazali.

Okno było za małe, a jego ból zbyt wielki, by John zdołał obrócić się i opuścić na dachówki. Musiałby wyjść głową do przodu, a potem jakoś się zsunąć i zgramolić na pochyły dach; później mógłby tylko liczyć na to, że rynna nie biegnie za wysoko nad ziemią.

Dobrze, pomyślał, choć bolało go tak bardzo, że z ledwością mógł w ogóle myśleć. Doliczysz do pięciu, a potem rzucisz się w dół i niech cię Pan Bóg ma w swojej opiece.

Wychylił się jak najdalej, aż dotknął czubkami palców pasa mokrej ołowianej blachy w miejscu, gdzie dachówki stykały się pod kątem ze ścianą. Już miał rzucić się z parapetu, gdy usłyszał, że drzwi pokoju się otwierają.

– Chisel! – wrzasnęła Sorcia. – Chisel, kurwa, facet jak nic wyłazi przez okienko! Chisel!

John w tym momencie wydostał się z okna na dachówki, lecz zamiast ześlizgnąć się brzuchem po dachu, przekoziółkował na plecy, rozbijając dachówki, a następnie zsuwał się dalej pod kątem czterdziestu pięciu stopni, gorączkowo szukając rękami jakiegoś oparcia. Nagle dotarł do rynny i chciał się jej złapać, ale była zardzewiała i miała ostrą krawędź, więc tylko się skaleczył i oderwał rynnę od dachu. A potem wraz z kawałem zardzewiałego metalu zleciał na ziemię.

Nie było wysoko, niespełna dwa i pół metra, ale w tym miejscu znajdowała się klatka dla królików i sterta starych podwójnych okien z szybami. Spadł twarzą w dół, zbił czołem szybę i prawie zmiażdżył klatkę; królik musiał się ratować ucieczką w drugi koniec. John legł na ramach okiennych, przytomny, ale niezdolny do ruchu. Był za bardzo potłuczony, a poza tym druciana siatka z klatki zaplątała mu się w sweter.

Jego nozdrza wypełnił kwaśny odór wilgotnej trawy i króliczych odchodów.

Próbował unieść głowę, lecz krew spłynęła mu do oczu i musiał mrugać zaciekle, nim coś zobaczył. Czuł się pogruchootany, strzaskany na drobne kawałki, jakby każda kość oddzieliła się od drugiej, a wszystkie ścięgna się porozrywały. Nie obchodziło go, czy zostanie w tym miejscu, czy nie; ubranie było już mokre od deszczu. Johnowi ciekło z nosa i zaczął się trząść.



Usłyszał, że ktoś otwiera drzwi, rozległy się kroki. Zdołał unieść głowę i zobaczył, że Bobby Quilty i Chisel stoją na podwórzu; końcówki ich papierosów się jarzyły.

– No, czysty zajob – powiedział Quilty. Przykucnął obok Johna i pokręcił głową. – Księżyc ci druciki we łbie poprzepalał czy co? Patrz, w jakim ty jesteś, kurwa, stanie.

John milczał i zamknął oczy.

– Nie zabiłeś się, co? – spytał Quilty. – Jezu, czubek z ciebie, jakich mało. Mam cię zachować w jednym kawałku, taka była, kurwa, umowa. Gdyby twoja ekslala zobaczyła, w jakim teraz jesteś stanie, zgarnęłaby mnie bez zastanowienia. Coś ty sobie, kurwa, myślał, wyłaząc przez to okienko?

– Mam nadzieję, że nie rozgniół De Valery. – Chisel, osłaniając oczy, zajrzał do wnętrza połamanej króliczej klatki.

– Jakby cię, kurwa, w ogóle obchodził ten zakichany królik – odparował Quilty. – W ogóle u niego nie sprzątasz? Kiedy ostatnio zajrzałem, w klatce było tyle bobków, że bidula prawie się dusiła pod sufitem.

Chiselowi udało się otworzyć drzwiczki klatki. Królik przycupnął na mokrym sianie, z uszami daleko w tyle i różowymi oczami, które otworzyły się szeroko ze strachu; żył jednak i nie był poturbowany.

– Maryjo i Józefie święty, pomożesz mi dźwignąć tego pacana i wnieść na górę? – powiedział Quilty.

Chisel niechętnie zamknął drzwiczki. Nie było łatwo podnieść Johna z klatki i okien, bo stracił przytomność. Na dodatek

druciana siatka mocno wkręciła się w jego sweter. Quilty uporał się z nią po dwóch czy trzech minutach szarpaniny.

– Oczom nie wierzę! To jest, kurwa, totalnie porypane. A ty co się tak, kurwa, kręcisz jak pijany pierd? Łap go pod pachy i do góry.

– Zobacz, co się, kurwa, z klatką porobiło – odparł Chisel. – A jak De Valera wyjdzie?

– Jeśli będzie miał choć ciut szczęścia, złamasie, wyleci prosto na ulicę i rozpląszczy go autobus. Lepsze to, niż się pląszczyć na własnej kupie. A teraz dźwigaj, dobra?

– Jezu, on waży z tonę – poskarżył się Chisel, gdy unieśli Johna i szurając nogami, szli do otwartych tylnych drzwi.

– To co byś chciał zrobić, zostawić go tu na noc? Deszcz leje. Przeziębni się, no nie, i wykituje na zapalenie płuc, a wtedy co z naszą kartą atutową?

Chisel trzymał Johna pod pachami, Quilty zaś niósł jego nogi tak, jakby pchał taczkę; wnieśli go do domu i z trudem wdrapali się po schodach. Sorcia stała na podeście, a oni sapali, stękali i przeklinali; wreszcie zdołali go wtaszczyć do pokoju i rzucili go na materac, aż ugięły się sprężyny. John otworzył na chwilę oczy, a potem znów je zamknął. Odzyskał przytomność, ale bolało go tak bardzo, że nie był w stanie myśleć.

– Ani słowa – zwrócił się Quilty do Sorcii.

– Gdzież bym śmiała – odparła dziewczyna. – Chciałam tylko zapytać, co zrobicie, żeby znowu nie prysnął. Na przykład co będzie, jak wszyscy położymy się spać? Bo jeśli myślisz, że przez całą noc będę go pilnowała, to się mylisz.

– A jak ty się nie przymkniesz, dostaniesz jeszcze raz w papę, i tyle.

Sorcja wzruszyła ramionami.

– Tak tylko pytałam, no nie? Po co się wściekać.

Bobby Quilty odwrócił się i spojrzał na Johna.

– Hm, może nie masz samego siana w łepetynie. – Myślał przez chwilę, pocierając się po brzuchu, jakby zjadł coś

niestrawnego. – Chisel? Masz jeszcze te wkręty, którymi reperowałeś przyczepę?

– A do czego ci one?

– Pytam, czy wciąż je masz?

– Taak, no chyba. Pewnie leżą gdzieś na dnie skrzynki z narzędziami. Bo co?

– A wiertarkę też tu jeszcze masz?

– No mam. Co ci chodzi po głowie?

– Wiesz co, Chisel? Żyłoby mi się o wiele łatwiej, gdybyś nie zadawał tylu głupich pytań. Zejdź na dół i przynieś tu te wkręty razem z wiertarką i wiertłem.

– Jaki rozmiar wiertła?

– Taki, żeby wywiercić dziurki na wkręty, tłułu. Jeszcze coś?

John usłyszał tupanie Chisela po schodach. Minęło kilka minut, w tym czasie Bobby Quilty i Sorcia coś między sobą szeptały. Nie były to czułe szepty; raczej zacięta cicha sprzeczka, której nie miał usłyszeć ani on, ani Chisel. Kiedy ten wbiegł hałaśliwie na piętro, Quilty powiedział już wyraźnie:

– Zrób to jeszcze raz, ty brudna mendo, a cię kurwa zakatrupię, zobaczysz.

Gdy Chisel wszedł do pokoju, John leżał nieruchomo i nie otwierał oczu. Tylko w ten sposób mógł wytrzymać ból i nie pokazywać Quilty'emu, jak bardzo się boi. Nigdy w życiu nie był tak przestraszony, nawet po tym, jak poznał Katie i napadnięto na farmie jego z matką i omal ich nie zabito. Wtedy tętniła w nim adrenalina, teraz leżał całkowicie bezradny, zdany na łaskę Quilty'ego. Domyślał się, że tamci dotkliwie go zranią.

Nagle poczuł, że ktoś łapie go za kostkę lewej nogi i ściąga but, a następnie skarpetę. Zaraz potem zrobiono to samo z prawym butem i skarpetą. Przez cały czas Quilty i Chisel nie odezwali się ani słowem.

– Nie mogę na to, kurwa, patrzeć – oznajmiła Sorcia i John usłyszał, jak zbiega szybko po schodach.

Dziny Johna podciągnięto do połowy łydek, złapano go mocno za kostki i przyciśnięto bosą lewą stopę do oparcia łóżka.

Wiedział, że to Bobby Quilty go trzyma, bo czuł na skórze jego duży grawerowany sygnet.

Dało się słyszeć stuknięcie, jakby wkładano wtyczkę do gniazdko w ścianie, i nagle rozległ się wysoki gwizd wiertarki elektrycznej. Potem John poczuł ból w lewej stopie. Był tak intensywny, że podskoczył na materacu i głośno wrzasnął.

– Jezu! – powiedział Quilty. – Zamknij się, dobra? Bo się drzesz jak baba, która rodzi dorosłą świnię!

John niemal w hysterii usiłował wyrwać nogę, lecz chwyt tamtego był o wiele za mocny. Spojrzawszy w dół, zobaczył, że Chisel wierci krwawą dziurę w górnej części jego stopy. Czuł, jak wiertło rozrywa kości, a potem skórę stopy i wbija się w drewnianą deskę łóżka.

– Aaaaaaaaaaaaa! – ryknął. – Nie! Przestań! Nie! Nie rób tego! Nie-nie-nie-aaaaaaaaaaaaaa!

Quilty i Chisel spojrzeli na siebie i wzruszyli ramionami. Ten drugi przewiercił tył łóżka i wyciągnął wiertło, którego końcówka była jeszcze gorąca, i John podskoczył, kiedy dotknęła ciała.

Spokojnym ruchem, jakby robił to codziennie w swojej pracy zawodowej, Chisel wyjął z kieszeni brudnej dżinsowej kurtki piętnastocentymetrowy wkręt ze stali nierdzewnej. Nałożył na nią szeroką podkładkę, żeby John nie zdołał zerwać z niej stopy. Następnie wsunął wkręt w dziurę, którą wywiercił w stopie Johna, i w otwór w tyle łóżka. John leżał na materacu z zamkniętymi oczami i trząsał się, a Chisel splunął na nakrętkę i nasunął ją na koniec wkrętu. Przekręcił ją ręką, a później wziął z podłogi klucz i obrócił nakrętkę trzy lub cztery razy tak, żeby nie można jej było poluzować bez użycia klucza.

John tracił przytomność i ją odzyskiwał, jak gdyby walczył w nocy na morzu o to, żeby nie utonąć. Szok po przewierceniu stopy był tak przytłaczający, że mózg Johna chciał wciągnąć go w ciemność i odciąć wszelkie doznania, jednakże ból ponownie wydobywał go na powierzchnię. Znowu widział twarz matki i słyszał jej głos. No już dobrze, no już, to tylko zadrapanie! Zaraz będzie po bólu!

Bobby Quilty chwycił go za prawą kostkę jeszcze mocniej niż przedtem lewą, a Chisel zaczął przewiercać stopę. Słyszał było, jak wiertło rozszarpuje skórę i mięsień, a potem rozległ się dziwny zgrzytliwy odgłos, kiedy omsknęło się po kości. John chciał zmówić modlitwę, kiedy przebiło stopę, i wbiło się w deskę, ale mózg nie podsunął mu słów, które ułożyłyby się w sensowną całość. John czuł jedynie swąd palącego się drewna i mięsa, a potworny ból nie pozwolił mu nawet krzyczeć, a co dopiero się modlić.

Skończywszy wiercić otwór w prawej stopie, Chisel także i ją przykręcił do oparcia łóżka. Obie nogi Johna były teraz przyśrubowane.

– No i super jest – stwierdził Quilty. – Teraz już nie wyleziesz przez okienko, chyba że, kurwa, razem z łóżkiem.

– A jak będzie musiał się wysrać? – dociekał Chisel.

– Ale z ciebie niedojda. No jak ci się zdaje? Odkręcimy śrubki i będzie mógł sam podreptać do sracza. Skończy spuszczać bobki i przykręcimy go od nowa. – Zilustrował swoje słowa ruchem naśladowującym obracanie klucza.

– Och, teraz już kapuję! – odrzekł z podziwem Chisel. – I muszę ci to przyznać, Bobby, zarąbiście żeś to wykombinował. Dokładnie to samo Rzymianie zrobili Jezusowi, jak Go przybili do krzyża, tylko to tutaj jest bardziej zarąbiste, bo Rzymianie użyli gwoździ, no nie? Więc Jezus nie mógł zejść z krzyża i się odesrać, a później znowu wleźć na górę. A Rzymianie chyba i tak by Mu nie dali, co nie?

Bobby Quilty przez chwilę nic nie mówił, tylko stał nad Johnem, oddychając przez zakatarzony nos. John otworzył na chwilę oczy i spojrzał na niego, a później znów je zamknął, bo zemdłał. Kiedy oprzytomniał, nie wiedział, czy to wszystko mu się śni, czy mężczyzna z krągłą twarzą i fryzurą Kim Jong-una nie jest przypadkiem postacią z dziecinniej rymowanki. *Pan z Księżycy z góry wnet hyca.*

– Wiesz ty co, Chisel? – odezwał się Quilty. – Gdybym dostawał dziesięć euro za każdym razem, jak powiedziałeś coś

sensownego, to już bym był, kurwa, bankrut.

Rozdział 14

Nazajutrz rano była ciepła letnia pogoda, olbrzymie białe chmury piętrzyły się nad Cobh niczym hiszpańska armada pod pełnymi żaglami. Katie znów źle się spało, wstała więc wcześniej z łóżka i zabrała Barneya na spacer aż do klubu tenisowego i krykietowego Rushbrooke.

Barney znał dobrze trasę i zwykle wysforowywał się pięćdziesiąt lub sześćdziesiąt metrów, by z wywieszonym jęzorem czekać na panią na rogach kolejnych ulic. Dziś jednak musiał wyczuć jej niepokój, bo trzymał się bardzo blisko; co jakiś czas unosił łeb i spoglądał na nią, jakby chciał zasygnalizować, że nie zostawi jej daleko w tyle.

Kiedy znalazła się na Grove Garden, usłyszała z iPhone'a melodyjkę *Buile Mo Chroi* – „rytm mojego serca” – którą bardzo lubiła jej mama i na dźwięk której zawsze zaczynała pląsać po kuchni.

– Dzień dobry pani. Mówi detektyw O'Mara.

– Dzień dobry, Bryan. Jak idzie?

– Zlokalizowaliśmy jednego z handlarzy Quilty'ego. Siedzi w drzwiach sklepu tekstylnego w Savoy Centre, tego które zamknięto, więc go nie widać w kamerach monitoringu. Nie wiem, jak długo tam będzie, ale ma ze sobą trzy albo cztery torby fajek. Przyniósł sobie nawet składane krzeselko, jakby na wakacjach był.

– Dziękuję, Bryan. Proszę zrobić notatkę i umieścić w aktach sprawy.

– Nie chce pani, żeby go zgarnąć?

– Nie. Wie pan, w jaki sposób teraz postępujemy.

– Mam nie informować skarbówki, nic?
– Nie. Proszę go po prostu zostawić. W jakim jest wieku?
– Ma wąsik, ale nie zdziwiłbym się, gdyby urwał się ze szkoły na wagary.

– No i widzi pan. Jest nieletni, więc nie ma powodu go zgarniać. Będę na komendzie przed jedenastą, to pogadamy.

Od razu zadzwoniła do Kyny. Barney stał cierpliwie u jej nogi, kiedy czekała, aż tamta odbierze. Już myślała, że się nie doczeka, gdy usłyszała:

– Katie, co się stało? Dopiero się obudziłam. Którą mamy godzinę?

– Wpół do dziewiątej. Przepraszam. Późno się położyłaś?

– Źle spałam, to wszystko. Stale męczy mnie ten koszmar.

– Co ci się śni? Jak cię postrzelono?

– To chyba musi się z tym wiązać. Ciągłe słyszę głosy ludzi, którzy rozmawiają o mnie w innych pomieszczeniach, idę się dowiedzieć, co mówią, i wtedy drzwi się zatrzaszczają, na górze, na dole, wszędzie.

– Dzwonił do mnie przed chwilą detektyw O'Mara – oznajmiła Katie. Martwiła się o Kynę, która dalej cierpiała z powodu stresu pourazowego, ale nie chciała się wdawać w interpretowanie jej snów, zwłaszcza o tak wczesnej porze. A przede wszystkim wolała nie usłyszeć czegoś, co odwiódłoby ją od zamiaru wysłania Kyny na poszukiwanie Johna. Na stres można zaradzić terapią. Ślepotą, odcięcie kończyny lub śmierć są nieodwracalne.

– Jeden z dealerów Quilty'ego rozłożył kram w Savoy Centre.

Pewnie liczy na wczesną klientelę, ludzi idących do pracy.

O'Mara nie wiedział, ile czasu handlarz zamierza tam spędzić, ale mówił, że ma kilka toreb papierosów.

– Dobra. Trochę potrwa, zanim wcisnę się w legginsy, zrobię coś z włosami i upacykuję się, ale dotrę tam najprędzej jak się da. Zadzwonię, jeśli dealera już nie będzie. Zadzwonię tak czy inaczej.

– Dzięki, Kyno. Ale, na miłość boską, uważaj na siebie.

– Znasz mnie.

– Otóż to. Właśnie dlatego się martwię.



Katie nalala wrzątku do kubka z kawą i zaraz potem odebrała wiadomość tekstową od doktor Kelley. Cztery zmumifikowane ciała wywieziono już z domu przy Millstream Row i złożono w kostnicy kliniki uniwersyteckiej. Szczątki psów zostały wysłane do patologa weterynaryjnego przy Vicar's Road.

Odstawiła kawę do zlewu i poszła do garderoby w sypialni, żeby wziąć fioletowy żakiet. Barney podążył za nią, licząc na drugi tego dnia spacer, ona jednak weszła do pokoiku dziecięcego Seamusa i wyjęła z komody rewolwer; wtedy zorientował się, że pani idzie do pracy, i stał w drzwiach salonu, cierpliwie czekając, aż Katie wyjdzie.

– W porządku, Barns – powiedziała, drapiąc go za uszami. – Nie będę długo, a jak szczęście dopisze, przyniosę ci na kolację coś specjalnego.

Kiedy weszła wahadłowymi drzwiami do kostnicy, czekał już tam na nią detektyw „Koń” Ó Doibhilin.

– Dzień dobry, pani nadkomisarz – przywitał ją. Raz po raz przełykał ślinę, która napływała mu do ust. Jego głos dziwnie bulgotał. – Zwłoki już tu są, wszystkie, doktor Kelley przystąpiła do pracy.

Katie zobaczyła ciało mężczyzny rozłożone na stole ze stali nierdzewnej i zrozumiała, dlaczego Ó Doibhilinowi zbiera się na mdłości. Z denata zdjęto wszystkie ubrania i wysłano na badania do laboratorium sekcji technicznej. Doktor Kelley była w fartuchu i miała na oczach plastikowe okulary; pochylona nad zwłokami, przecinała mostek za pomocą piły akumulatorowej. Narzędzie wydawało wysokotonowy wizg; Katie zacisnęła zęby.

Gdy ruszyła w stronę patolog, ta wyłączyła piłę, zsunęła maskę chirurgiczną i uśmiechnęła się.

– A, pani detektyw! Pomyślałam, że dobrze będzie wcześniej zacząć. Fascynujące, nie uważa pani? Od lat nie natrafiłam na denata w takim stanie. Całkowicie zaschnięty, jak suszona

wędlina. To skutek stałego przepływu powietrza pod podłogą domu i ciepła, które tam panowało.

Skóra mężczyzny była silnie rozciągnięta i wyglądała, jakby szkielet obleczono próżniowo w przezroczystą żółtą folię; niektóre żebra i kości palców przebiły się przez nią. Doktor Kelley wyczesła z kręconych brązowych włosów większość kurzu, lecz twarz robiła groteskowe wrażenie. Lewa strona spłaszczyła się i oko było do połowy zamknięte, ale po prawej stronie czoło było wybrzuszone, usta zaś, ściągnięte w dół, układały się w jakby szydery uśmiech.

– Strzelono mu w tył głowy około siedem centymetrów za lewym uchem – oznajmiła doktor Kelley. – Pocisk odbił się rykoszetem od wnętrza czaszki i nie ma otworu wylotowego, więc po otwarciu jej będę go mogła wyjąć. Wygląda także na to, że denat został mocno pobity, bo ma pęknięty obojczyk i kilka złamanych żeber. Oczywiście nie sposób stwierdzić, czy stało się to przed czy po tym, jak go zastrzelono, ale logicznie rzecz biorąc, nie byłoby sensu bić trupa.

Ciała kobiety i dwojga dzieci spoczywały na wózkach przy ścianie, nasunięto na nie zielone prześcieradła. Katie podeszła i uniosła płachtę osłaniającą kobietę. Zapewne była ładna za życia, ale strzał w tył głowy zdeformował jej twarz. Wyglądało, że w chwili oddawania strzału klęczała, gdyż pocisk wszedł w czaszkę od góry, przeniknął do jamy zatokowej i utkwiał w górnej części podniebienia twardego. Nozdrza były uniesione niczym ryj świni, usta zaś podwinięte, jak gdyby śpiewała lubieżną piosenką albo chciała pokazać, że jest do głębi zde gustowana tym, co ją spotkało.

Spojrząwszy na dziewczynkę i niemowlę, Katie miała pewność, że tej nocy będzie miała koszmarne sny. Obie twarzyczki pękły od kul, które wpakowano im w tył głów, bardziej więc przypominały wielkie zaschnięte chryzantemy, niż ludzkie oblicza. Jedyne drobniutkie zuchwy ukryte wśród płatków zdradzały, że są to dzieci.

Doktor Kelley podeszła i stanęła obok Katie, która wpatrywała się w chłopczyka.

– Co za człowiek mógł coś takiego zrobić bezbronnemu dziecku! Biedna kruszyna. Nie przeżył nawet roku.

Katie opuściła prześcieradło i przeżegnała się. Mimo woli myślała o Seamusie, który umarł w łóżeczku; on jednak przestał po prostu oddychać.

– Prawie żałuję, że zabito ich tak dawno temu – powiedziała. – Tak bardzo bym chciała dowiedzieć się, kto to zrobił, i doprowadzić do jego ukarania.

– Czas nie czeka dla nikogo, nawet dla nas – odparła doktor Kelley. – Wybaczy pani, że wrócę do sekcji. Na pojutrze mam wyznaczoną autopsję w Mid-West w Limerick i chciałabym jak najprędzej dokończyć wszystko tutaj.

– Będzie pani w stanie określić, od jak dawna oni nie żyją? – zapytała Katie.

– Z dokładnością do kilku lat. Na pewno da się stwierdzić, czy urodzili się przed początkiem prób nuklearnych w tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym, bo jeśli po, to będą ślady izotopu węgla C czternaście. Spodziewam się, że sporo pomoże mi skład treści żołądkowej. Całkowite zasuszenie zwłok utrudnia jednak sprawę. Myślę, że najlepszych wskazówek dostarczą ubrania: fason, rodzaj tkaniny i barwniki. Oraz zapisy w aktach i zdjęcia, które uda się pani znaleźć.

– Hm... jak pani wie, otrzymaliśmy bardzo obszerną dokumentację wskazującą, kim mogli być ci ludzie, ale zawiera ona dużo sprzeczności. Dzięki pani badaniu powinniśmy przynajmniej móc stwierdzić, czy to jest rodzina Langtrych, czy nie.

Doktor Kelley nałożyła maskę i ponownie włączyła jazgotliwą piłę. Katie patrzyła na nią chwilę, po czym zerknęła na zegarek. Zastanawiała się, czy Kyna zdołała nawiązać kontakt z dealerem papierosów Quilty'ego w Savoy Centre.

– Chodźmy – zwróciła się do detektywa Ó Doibhilina. – Myślę, że obojgu nam przyda się łyk świeżego powietrza.



Katie nie poszła do swojego gabinetu, tylko złożyła wizytę w laboratorium sekcji technicznej. Na autostradzie N20 przed Mallow doszło do poważnej kolizji, toteż w laboratorium zastała tylko Eithne, Billa Phinnera i jego nową asystentkę. Białe bawełniane rolety były opuszczone, bo mocno świeciło słońce; w powietrzu unosiła się ostra woń kwasu solnego. Eithne siedziała na ławce przy oknie i nalewała zlewką jasnozielony płyn do probówek, nowa asystentka natomiast, marszcząc czoło, przyglądała się plątaninie wzorów chemicznych na ekranie komputera.

Katie podeszła do Eithne i patrzyła przez chwilę.

– Myślałam, że weźmiesz chorobowe.

Dziewczyna pokręciła głową, wyjęła chusteczkę i otarła nos.

– Dzisiaj nie czuję się najgorzej, dziękuję, pani nadkomisarz. Poza tym jest dużo roboty. Zamierzałam później wybrać się do pani na górę.

– Co tam robicie? – spytała Katie, skinieniem głowy wskazując probówki.

– Między innymi z tego powodu miałam do pani zajrzeć. – Eithne wyciągnęła rękę i ujęła szklaną retortę do połowy napełnioną płynem. Unosiły się w niej, niczym wodorosty, nasączone włókna wełny.

– To jest próbka ze spodni znalezionej mężczyzny. Ufarbowano je za pomocą rozpuszczalnego w wodzie barwnika anionowego, który był stosowany do prawie wszystkich elementów odzieży przed rokiem tysiąc dziewięćset dwudziestym. Później korzystano częściej z barwników zawieszinowych, ponieważ coraz więcej producentów odzieży stosowało octany, a te są hydrofobowe.

– I co nam to mówi?

– Dla dokładnego datowania niewiele. Ludzie trzymają ubrania przez lata, nawet dziesiątki lat, zwłaszcza jeśli są mniej zamożni. Wskazuje to jednak, że spodnie prawdopodobnie zrobiono przed tysiąc dziewięćset dwudziestym pierwszym, więc

jest bardzo możliwe, że mężczyzną był albo Stephen Langtry, albo inny facet, którego zabito w domu Langtrych przed ich zniknięciem. Oczywiście robię także badania ubrań kobiety i dzieci. Tak czy owak, dzisiaj po południu spodziewamy się wyników badań DNA, które powinny potwierdzić tożsamość ofiar w jedną lub drugą stronę.

– Udało się coś ustalić na podstawie odznaki i listu?

Eithne zsunęła się ze stołka i przeszła na drugą stronę pomieszczenia. Przyniosła odznakę z napisem *Manchester*, którą Katie dostała od Nory O'Neill, oraz koszulkę foliową z liścikiem od Geralda.

– Porównałam tę odznakę wojskową ze zbiorami źródłowymi. Nosili takie żołnierze Regimentu Manchesterskiego do roku tysiąc dziewięćset dwudziestego drugiego, kiedy to dowódca zawniósł do głównej rady wojskowej, żeby zmieniono je na lilię.

– Dlaczego to zrobił?

– Żołnierze nie mieli poczucia, że odznaka kojarzy się z wojskiem, zwłaszcza ci, którzy pochodzili z Manchesteru. Nie podobało im się to, że dokładnie taką samą nosi byle robotnik z magistratu. No, wie pani, śmieciarze, poborcy czynszu i dróżnicy.

– Więc przynajmniej wiemy, z jakiego okresu pochodzi odznaka.

– Otóż to. A w tysiąc dziewięćset dwudziestym pierwszym kompania C Regimentu Manchesterskiego stacjonowała w koszarach w Ballincollig, zaledwie dziesięć kilometrów od Blarney. Nawet w tamtych czasach można było pokonać tę odległość w niespełna kwadrans. Może w pół godziny, jeśli się jechało dorożką.

Katie znów poczuła się nieswojo na myśl o politycznych konsekwencjach śledztwa. Od czasów szkolnych wiedziała, że w latach dwudziestych ubiegłego stulecia kompania C Regimentu Manchesterskiego zapisała się czarnymi literami w dziejach kampanii niepodległościowej w Cork. W czasie wojny

z Brytyjczykami IRA zaplanowała zasadzkę na patrol wojskowy przejeżdżający przez Dripsey. Wojskowi zostali jednak ostrzeżeni przez bogatą mieszkankę miasta, panią Mary Lindsay z Leemount House, która zdecydowanie opowiadała się za lojalistami.

Późnym popołudniem dwudziestego ósmego stycznia 1921 roku siedemdziesięciu żołnierzy z kompanii C Regimentu Manchesterskiego otoczyło bojowników IRA, którzy uczestniczyli w zasadzce, i pojmało ośmiu z nich. W procesie sądowym pięciu uznano za winnych i skazano na śmierć.

W odwecie IRA porwała panią Lindsay i jej szofera Jamesa Clarka i zagroziła, że w razie wykonania wyroków oni także poniosą śmierć. Władze zignorowały groźbę; pięciu członków IRA zostało rozstrzelanych przez pluton egzekucyjny, a ciała pochowano na terenie więzienia Cork Gaol. Dwanaście dni później pani Lindsay i jej szofer zostali zastrzeleni, zwłoki spalono i zakopano daleko w górach. Następnego dnia spalono Leemount House.

Pan O'Sullivan, nauczyciel, z którym Katie miała historię, podchodził do kwestii niepodległości Irlandii z wielką pasją. Zabrał nawet klasę na wycieczkę pod pomnik bojowników IRA, który wzniesiono w Godfrey's Cross. Wyraźnie pamiętała ten dzień, nie z powodu opowieści o zasadzce, lecz dlatego, że padał ulewny deszcz, a ona upuściła do kałuży kanapki z serem, które naszykowała jej mama.

– A list?

– Autentyczny, bez cienia wątpliwości. Przebadałam papier i atrament, są autentyczne. Na papierze są rysy świadczące o tym, że odznaka była nim owinięta przez bardzo długi czas.

– Dobrze, Eithne. Dziękuję. Teraz pozostaje nam tylko dowiedzieć się, kim był ten Gerald. W Regimentzie Manchesterskim powinni mieć archiwum. Powiem Ó Doibhilinowi, żeby się z nimi skontaktował.

Eithne wytarła znowu nos.

– Jeśli wolno mi zauważyć, pani nadkomisarz, to śledztwo trochę chyba panią niepokoi.

– Owszem – przyznała Katie. – Jestem pewna, że w końcu się dowiemy, co spotkało tę rodzinę, ale, niestety, to nie zamknie sprawy. Zawsze mam złe przeczucia, kiedy zaczynamy grzebać w przeszłości. Nie dlatego, że nie powinniśmy tego robić, bo uważam, że to nasz obowiązek. Sęk w tym, że bez względu na to, co odkryjemy, ktoś poczuje się dotknięty, nawet po tylu latach. To gwarantowane, zawsze.



Zmierzając korytarzem do swojego gabinetu, Katie zerknęła na iPhone'a, ale wciąż nie było wiadomości od Kyny. Powiedziała sobie, że nie ma powodu do obaw, że dziewczyna jest opanowaną, świetnie wyszkoloną policjantką i nie pozwoli sobie na głupi błąd, który ją zdradzi. Ale przecież zależało od niej życie Johna. Katie nie była w stanie wyobrazić sobie, jak by się czuła, gdyby został oślepiiony, okaleczony lub zamordowany.

Nie umiała też sobie wyobrazić, jak uporałaby się z emocjami, gdyby coś złego spotkało Kynę. Już gnębiło ją poczucie winy, że zwróciła się do niej z tego rodzaju prośbą, ale nie przyszedł jej do głowy żaden inny sposób, by dowiedzieć się, gdzie John jest przetrzymywany. Organizowanie nalotów na domy, mieszkania i lokale, w których Bobby Quilty prowadził swoją działalność, byłoby zbyt niebezpieczne, a szansa na to, że w którymś znajdzie się Johna, wydawała się znikoma. Podejrzewano, że jest właścicielem lub najemcą wielu nieruchomości, o których policja nie miała pojęcia. Po zasadzce w Dripsey brytyjskie wojsko urządziło w okolicy Inniscarry wielką akcję poszukiwania pani Lindsay i jej szofera, lecz ich nie znaleziono, gdyż bojownicy IRA przynosili więźniów z jednego domu do innego.

Ledwie Katie usiadła przy biurku, do drzwi zapukał detektyw sierżant Begley. Jego twarz wyrażała zdenerwowanie. Ciasna niebieska koszula miała półokrągłe plamy potu pod pachami, a ciemnoczerwone szelki zsunęły mu się z ramion i wisiały z tyłu niczym szeleczki niemowlęcia.

– Co słyhać, Sean? – zagadnęła go Katie, otwierając puszkę dietetycznej coli, którą ze sobą przyniosła.

– Proszę spojrzeć, w jakim jestem stanie – odparł detektyw. – Zobaczyłem panią przez okno na parkingu i popędziłem, ale zniknęła pani, zanim panią dogoniłem. Jezus Maria, pocę się jak ksiądz na placu zabaw.

Zrobił pauzę, żeby złapać tchu, po czym zapytał:

– Oglądała pani serwis informacyjny *One o’Clock News*, prawda?

– Nie, byłam na dole w laboratorium, chciałam zobaczyć, co Eithne ziałała z dowodami, które przywieźliśmy z Blarney. Ta brytyjska odznaka wojskowa z pewnością pochodzi z początku lat dwudziestych, list miłosny, który był razem z nią, także. Ubranie zabitego mężczyzny również jest prawdopodobnie z tego okresu.

– Pani znajoma Fionnuala Sweeney z RTÉ wie o tych zwłokach tyle samo co my, jeśli nie więcej. Jest pewna, że to rodzina Langtrych; powiedziała to bez najmniejszych wątpliwości, podała nawet imiona ofiar: Stephen, Radha, imiona dzieci także wymieniła.

– Matko święta – jęknęła Katie. – To ta baba, ta Nora O’Neill jej wszystko wypaplała, na bank. Bardzo prawdopodobne, że to jest rodzina Langtrych, ale nie mamy pojęcia, w jaki sposób Stephen Langtry przysyłał kartki z Ameryki, skoro już nie żył. I oczywiście nadal czekamy na wyniki badań DNA.

– Och, to jeszcze nie wszystko – relacjonował Begley. – To się pani spodoba, proszę słuchać.

– No, słucham.

– Według miejscowej legendy pani Langtry miała romans z oficerem armii brytyjskiej.

– Hm, to niewykluczone... Zwłaszcza jeśli uwzględnimy odznakę i list, a także jego treść. Ale na razie są to tylko spekulacje. Nawet nie wiemy na pewno, czy te przedmioty były jej własnością.

– Ach nie. Legenda mówi, że Stephen Langtry należał do IRA i zachęcał żonę, żeby romansowała z brytyjskim oficerem i wyciągała od niego tajne informacje, zwłaszcza te, które dotyczyły ruchów patroli. Oficer zwiedził się jednak, że ona jest słodką przynętą, i pewnej nocy brytyjscy żołnierze zjawili się w domu i rozstrzelali całą rodzinę.

Katie siedziała i z niedowierzaniem kręciła głową.

– Fionnuala zapewne nie wyjawiała, od kogo usłyszała tę rzekomą miejscową legendę? I czy sprawdziła, czy jest w niej choć szczypta prawdy?

– Nie, nic więcej nie dodała. Była też migawka z panią, miała pani mocno zafrasowaną minę i powiedziała „Bez komentarza”. A Mathew McElvey z biura prasowego komendy palnął swoją dyżurną wymówkę: „Śledztwo jest w toku, więc nie mogę państwu przekazać wyczerpujących informacji”. Później nadali materiał, w którym przedsiębiorstwo Irish Water ostrzega osoby mieszkające w domach, w których są ołowiane rury, że mogą być one trujące.

– O Jezusie, mam nadzieję, że jest taka rura w domu Nory O’Neill. Wyobraża pan sobie, jaki hałas się teraz podniesie?

– Nie wyobrażam sobie – odparł detektyw sierżant Begley. – Ale mój dziadek mówił zawsze, że nie ma gorszej zdrady niż ta, którą ktoś popełnił wobec ciebie, a ty nawet o tym nie wiesz.

Rozdział 15

Był to dzień wypłaty, więc St Patrick's Street roiła się od ludzi robiących zakupy. Kyna zaparkowała samochód po północnej stronie mostu i przeszła przez rzekę. Ranek był ciepły, więc woda cuchnęła mocniej niż zwykle; pod jej powierzchnią Kyna dostrzegła ławicę barwen, które chciwie żerowały u wylotu rury. Nasunęły jej się słowa piosenki grupy Boys of Fair Hill: „Cuchnie na moście Świętego Patryka, że też Ojciec Mathew nosa nie zatyka”.

Zagwizdano na nią trzy razy, kiedy mijała pomnik Ojca Mathew, zmierzając do Savoy Centre. Krótkie blond włosy potraktowała żelem i miała na sobie różową koszulkę z dużym dekoltem i drukowanym napisem *Kłopoty* na piersiach, obcisłe czarne dzinsy oraz czarne szpilki. Kreacji dopełniał czerwony cień wokół oczu, ogromne kółka w uszach i co najmniej sześć bransolet na każdej ręce; poza tym spryskała się zbyt obficie perfumami.

W Savoy Centre było kiedyś kino, ale w 1975 roku zostało zamknięte i powstało tam centrum handlowe ze sklepami takimi jak Champion Sports i Hickey's Fabrics oraz z kawiarnią. W wejściu stał puciołowaty chłopiec z potarganą czupryną, około dziewięcioletni, który powinien być w szkole. Rozglądał się w jedną i drugą stronę, jakby na kogoś czekał; Kyna domyśliła się, że stoi na czatach i wypatruje stróżów prawa.

Bez trudu znalazła dealera papierosów. Siedział w drzwiach sklepu Erin Linens, którego szyby oklejono stronicami zeszlotygodniowego numeru „Echa”; na okazałej tablicy widniał napis *Likwidacja Wyprzedaż*.

Detektyw O'Mara poinformował ją, że chłopak jest młody, sypnął mu się już wprawdzie wąsik, lecz jego wygląd sugerował, że pewnie chodzi jeszcze do gimnazjum. Miał krótkie ciemne włosy z dwoma wygolonymi pasmami po bokach i mlecznobiałą pryszczatą twarz. Nosił cielistoróżową koszulkę, bardzo obcisłe granatowe dżinsy i tenisówki Nike.

U jego stóp leżały trzy duże czarne torby na śmieci, dwie zmięte i puste, trzecia była do połowy zapełniona czerwono-białymi kartonami papierosów West.

Kyna podeszła prosto do niego.

– Co tam masz, młody? – zapiąła z akcentem z Mayfield.

– Dwadzieścia pięć jojo za dwie setki – odparł. – Kup cztery i dostaniesz za osiem dych.

– To ile ci bulą?

Zamrugnął, jakby nie zrozumiał pytania.

– Przecież mówię, dwadzieścia pięć jojo za pakę. Ile chcesz?

Uniósł karton z dwiema setkami papierosów. Kyna zauważyła na boku ostrzeżenie *Rauchen kann tödlich sein*. Westy produkowano w Niemczech, karton kosztował tam pięćdziesiąt cztery euro. W Irlandii cena wyniosłaby sto euro.

– Nie mówiłam, że chcę kupić – sprostowała. – Chcę wiedzieć, ile zarabiasz na sprzedaży.

– Że co? – prychnął chłopak. – Co ci, kurwa, do tego? Chcesz te szlugi, czy nie chcesz?

– Już ci powiedziałam, ćwoku, że nie chcę – odparowała Kyna z taką samą złością jak on. – Szukam zarobku; zobaczyłam cię i pomyślałam sobie: to dziecinna zabawa. Lepsze to niż obciążanie starym brudnym łajzom na dworcach autobusowych.

Chłopak rozejrzał się w lewo i w prawo.

– Ja niby nic nie wiem. Mam z nikim nie gadać, jarzysz?

– E, daj spokój. – Oparła się o futrynę i zatrzepotała rzęsami. – Nie mów mi, że nie zależy im na tym, żeby wystrzałowe laski opychały ich szlugi. Założę się, że bym sprzedała dziennie dwa razy tyle co ty. A trzy razy tyle, gdybym założyła bardzo krótką kieckę. Cztery razy tyle, gdybym nie włożyła majtek.

– No... – Chłopiec się zawahał.

Kyna czytała w jego myślach tak wyraźnie, jakby na czole wyświetlała mu się treść SMS-a. Bobby Quilty stale szukał młodych ludzi do sprzedaży szmuglowanych papierosów na ulicach, zwłaszcza nienotowanych przez policję. Kyna wiedziała od innych szkolnych dealerów, że prawdopodobnie odpaliłby chłopakowi co najmniej pięćdziesiąt euro, gdyby mu ją przyprowadził.

Handlarz wyjął z kieszeni telefon komórkowy i wystukał numer.

– Ger? Tu Benny – odezwał się po kilku sekundach. – Nie, spoko, wszystko gra. Jeszcze z jakieś pół godziny. Słuchaj, jest tu jedna lala, chce sprzedawać szlugi. Taa. No, taa. Nie. Nie. Pasowna jest. Taa. No dobra, w porzo. Dobra, jasne.

Rozłączył się i powiedział:

– Jest w Long Valley, siedzi w barze po lewej, jak wejdiesz. Łatwo go poznasz. Nosi biały kapelusz z czarną opaską, ciemne okulary i ma siwe włosy związane w kucyk. Ma na imię Ger.

– Dobra, dzięki, Benny – powiedziała Kyna. Puściła do niego oko i lubieżnie oblizwała usta. – Chyba powinnam ci się jakoś odwdzięczyć, co?

Pryszczata twarz chłopaka zaczerwieniła się i z ulgą spojrział na młodą kobietę podchodzącą z wózkiem, w którym wiozła dwie małe dziewczynki; na stopniu wózka stał w chwiejnej pozycji mały chłopczyk.

– Daj nam dwie paczki, kochany, co? – odezwała się, otwierając portmonetkę. – Albo lepiej od razu trzy.

Benny gmerał w foliowej torebce, Kyna tymczasem ruszyła do miejsca, w którym zaczynała się St Patrick's Street. Chłopak przy wejściu do centrum wciąż stał na czujce i z nudów dłużył ukradkiem w nosie.

– Złota tam szukasz? – spytała go Kyna.

– E, weź się odpieprz – odparł, mimo to wyjął palec z nosa i pstryknął ugniecioną kulkę na chodnik.



Ger wyglądał dokładnie tak, jak go opisał Benny. Kyna weszła do Long Valley, tradycyjnego pubu urządzonego w staroświeckim stylu, mieszczącego się przy Winthrop Street, i od razu go zauważyła; siedział na stołku barowym niczym wielki podstarzały sęp, który sfrunął z przestworzy.

Zgodnie ze słowami Benny'ego, miał na głowie kapelusz, tyle że biały to on był kiedyś, zanim się upaprał i poplamił. Ger nosił obwisłą czarną marynarkę z szerokimi ramionami i kieszeniami, które były obciążone bilonem i nie wiadomo czym jeszcze, i spodnie typu chinos w kolorze malinowym, o parę centymetrów za krótkie, odsłaniające posiniaczone białe łydki.

Kyna podeszła do baru i bez słowa stanęła tuż za mężczyzną. Zbliżył się do niej barman w białym rzeźnickim fartuchu.

– Ale skończyłaś już osiemnaście lat, co, kwiatek?

– Spokojna głowa, Séan, ona jest ze mną – powiedział Ger głębokim szeptem.

– O, to wszystko jasne – odparł barman. – W takim razie co podać?

– Kopparberg Mixed Fruit, jeśli ten pan chce mnie ugościć – odparła Kyna. Musiała się wczuć w sposób myślenia Sheelagh Danehy i zażyczyć sobie drinka, który tamta uważała za wyrafinowany.

– Ile naprawdę masz lat? – spytał Ger, wciąż się nie odwracając.

– Dziewiętnaście. – Wątpiła, czy Ger jej uwierzy, jeśli poda młodszy wiek.



Okręcił się na skórzanym stołku i jego spodnie wydały odgłos podobny do pierdnięcia. Ogromne ciemne okulary nie pozwalały ocenić wyglądu jego twarzy, ale miał haczykowaty nos Dickensowskiego Fagina, policzki z głębokimi bruzdami i usta z opadającymi kącikami, które znamionowały nieufność. Jego podbródek pokrywały dziobate białe wypryski. Cuchnął stęchłym piwem, czosnkiem i jeszcze czymś nieświeżym.

– Jak ci na imię?

– Sheelagh. Z literą „g”.

– Coś jak w szlag?

Kynie trudno było odgadnąć, jak by zareagowała prawdziwa Sheelagh, lecz doszła do wniosku, że tamta przywykła zapewne do o wiele gorszych porównań i puściłaby to mimo uszu.

– Przyjaciele mówią do mnie Sidhe. A czasem Pixie.

– No dobra, Sidhe. Czemu tak ci zależy, żeby sprzedawać nasze szlugi?

– Chodzi mi tylko o trochę wolnej kasy, no nie. To wszystko. Straciłam robotę w Coqbull, bo powiedzieli, że nie traktuję z szacunkiem klientów. No, a przecież to jest tylko, kurwa, zwykły bar z hamburgerami, więc czego oni chcą? Ukłonów i dygnięć? Powiedziałam jednej babce, że będziemy jej musieli policzyć za nocleg, bo jak wtrząchnie jeszcze jednego burgera, to jej przez drzwi nie przepchniemy. Wkurzające, no nie?

– Jest dużo innych posad – zauważył Ger.

– O, tak, szczególnie dla dziewczyny, którą wywalili ze szkoły bez świadectwa. Na przykład na zmywaku u O’Briena albo masowanie starych pierdzieli z finiszem? Próbowалаm niby jednego i drugiego, ale larwa by się porzygała.

Ger łyknął trochę piwa i otarł usta wierzchem dłoni.

– U nas nie popracujesz, jak się nie nauczysz trzymać gęby na kłódkę. Tyle ci powiem od razu, dziewczyno.

– Głupia nie jestem. Wiem, że sprzedajecie szlugi po tanioci. Handlowалаm kiedyś dropsami u jego gościa, był zachwycony, że tak szybko je opycham. Nieźle zarabiałam, chciał mnie przyjąć na pełny etat i poszłabym do niego, ale wziął i rozwalił się autem na śmierć.

– Jak on się nazywał, ten gość?

– Nie żyje już, więc mogę mówić, ale gdyby żył, to nigdy bym ci nie powiedziała. Czyli nie musisz mnie uczyć, żebym trzymała gębę na kłódkę, wielkie dzięki. Kenny O’Flynn się nazywał.

Ger milczał przez chwilę, a potem klepnął się w lewe przedramię.

– Kenny miał tatuaż, tu, w tym miejscu. Pamiętasz jaki?

– No pewnie. Taki jakiś węzeł celtycki, a dookoła był napis *Níl mícheart dearmad riamh*. – Jak bym mogła zapomnieć, pomyślała Kyna. Przesłuchiwała Kenny’ego O’Flynna trzy razy po tym, jak go aresztowano za handel D2PM i kokainą w nocnych klubach i dyskotekach w Cork, a nawet przed bramą kolegium katolickiego przy Western Road.

– No dobra, więc go znałaś – rzucił Ger. – W takim razie może znajdziemy dla ciebie plac. Teraz trzeba tylko sprawdzić, czy Dużemu wpadniesz w oko.

– Kto to jest Duży?

– Niedługo się dowiesz. On rządzi całym interesem. Więc uwierz mi, lepiej mu nie podpadać.

Zostali w Long Valley jeszcze dwadzieścia minut, dopijali swoje drinki. Ger chyba uwierzył, że jest tą, za którą się podaje, mimo to wypytywał ją o rodzinę, dom, gdzie dokładnie mieszka przy Mount Nebo Avenue i dlaczego narobiła sobie kłopotów w szkole. Kyna odbyła szkolenie z technik przesłuchań w Templemore i Katie zawsze imponował jej dar perswadowania podejrzanym, by sami się obciążali. Kyna musiała jednak przyznać, że Ger umiał zadawać podchwytliwe pytania.

– O, tak. Miałem kiedyś kumpli na Mount Nebo Avenue. Chodziliśmy żłopać do takiego lokalu na Gurra Avenue... Jak on się nazywa?

– Top of the Hill – odparła Kyna. – Łaziłam tam, jak miałam szesnaście lat i chciałam się napić cydru.

– Top of the Hill, zgadza się – potwierdził Ger. – A jak miał na imię ten łysy barman, co to zawsze gapił się na człowieka tak, jakby patrzył na kołosa stojącego obok?

– Nie wiem. Nie pamiętam żadnego łysego barmana.

Ger uniósł palec.

– Punkt dla ciebie, dziewczyno. Mój błąd. To był Kevin z Flying Bottle w Knocka. Swivel na niego wołali, z powodu patrzalek. Chodziło mi o Swivela.

Rozdział 16

Wreszcie wyszli z Long Valley; Ger przeszedł z Kyną na drugą stronę ulicy i zaprowadził ją na Pembroke Street, gdzie za pocztą główną na miejscu dla niepełnosprawnych stało jego volvo w kolorze musztardowym. Za wycieraczką nie było niebieskiej karty, jaką legitymują się inwalidzi, lecz na widok Gera parkingowy odwrócił się i wolno ruszył w przeciwnym kierunku.

– Wsiadaj – nakazał Ger, otwierając drzwi po stronie pasażera. Kyna posłusznie spełniła polecenie i zapięła pas. Wnętrze samochodu zasłane było pustymi plastikowymi butelkami i zmiętymi numerami „Irish Racing Post”, z popielniczki wysypywały się niedopałki.

– Najpierw pojedziemy po Benny’ego, a potem zasuwamy do Dużego – wyjaśnił Ger. – Przypuszczam, że nie masz innych zobowiązań.

– Potrzebuję kasy, nie? – Kyna spoglądała z nadąsaną miną w boczne okno. Na Parnell Place musiała jednak odwrócić głowę i do połowy zasłonić twarz, bo na rogu stał detektyw Dooley i rozmawiał z dwoma mundurowymi; rozpoznałby ją momentalnie. Jak by się wytłumaczyła z tego, że wystrojona jak dziwka wozi się po mieście z jednym z najgorszych bandziorów w Cork?

Zatrzymali się przed Savoy Centre i dłubiący w nosie wartownik wszedł do środka po Benny’ego. Chłopak wrzucił czarne foliowe torby do bagażnika volvo i wsiadł z tyłu.

– No i co tam, Benny? – zagadnął go Ger, wytrząsając sobie papierosa z paczki i zapalając, nim odjechał.

– Zostały tylko dwie sztangi Afri Rot, nikt ich nie chciał.

– Niektórzy ludziska to tępaki! Mówiłeś im, że „rot” to po szkopsku „czerwony”?

– No nie, nie mówiłem, bo sam nie wiedziałem. Myślałem, że trochę zalatują i dlatego są takie tanie.

– Jezu, ale mnie osłabiasz. – Ger westchnął. – Czy ci rano, kurwa, zanim cię tu wyrzuciłem, nie mówiłem, co to znaczy?

– Taa, ale myślałem, że sobie jaja robisz.

Ger jechał stromo pod górę Summerhill, a następnie, obok wysokich kamiennych murów Middle Glanmire Road, odbił ku wschodowi. W końcu skręcił w zaułek, przy którym stało sześć dużych nowiutkich willi. Przed ostatnią parkowały trzy pojazdy: czarny pick-up nissan navara, lśniący czerwony jaguar XF R oraz audi A3.

Zatrzymał samochód za jaguarem, wysiadł i otworzył Kynie drzwi.

– Tylko pamiętaj, co ci mówiłem, dziewczyno. Postaraj się ucieszyć Dużego, więc poskrom swoją bezczelność. A jak będzie chciał, żebyś coś dla niego zrobiła, cokolwiek, to po prostu, kurwa, to zrób i nie zadzieraj nosa.

Posłała mu pogardliwe spojrzenie, lecz nic nie odpowiedziała. Wraz z Bennym ruszyli za Gerem między samochodami, weszli na podjazd domu i ganek w greckim stylu. Ger nacisnął dzwonek i drzwi prawie natychmiast otworzyła wysoka chuda kobieta z kasztanowymi włosami upiętymi w nierówny kok. Była w krótkiej letniej sukience z wielkimi plamami czerwonych maków.

– Matko święta – westchnął Ger. – Margot, wyglądasz jakby autobus po tobie przejechał.

– Weź przestań, co? – odcięła się kobieta. – Wczoraj ją kupiłam na Opera Lane. Wiesz, ile kosztowała?

– Nawet mi nie mów. Nie jestem w nastroju, żeby się litować, nie dzisiaj. Na pewno będzie super wyglądała, jak tylko spierzesz tę krew.

Kobieta poprowadziła przybyszów na tyły domu, gdzie było patio; spacerował po nim Bobby Quilty; miał na sobie krzykliwą

żółtą koszulę z palmami i wizerunkami hawajskich dziewcząt oraz krótkie szerokie spodnie khaki. Właśnie kogoś obsztorcowywał, pokrzykując z mocnym akcentem z Armagh. Był w czerwonych klapkach i Kyna zauważyła, że długie paznokcie zawinęły mu się na końcach palców. Może ma za duże brzuszysko i nie daje rady się schylić i ich obciąć, pomyślała; jednak wielkość siedziby i stojące przed nią auta dobitnie świadczyły o tym, że stać go na zapłacenie za pedikiur.

– Nie wciskaj mi takich pierdół, cieniasie jeden! – krzyczał. – Jak na mój gust, zwinąłeś kasę, a ja chcę ją mieć z powrotem najpóźniej w poniedziałek rano. Pożałujesz tego, zobaczysz, ty i rodzina, co ją zostawisz. Jaki napis dać na nagrobku?

Wetknął iPhone'a do kieszeni szortów i zlustrował Kynę spojrzeniem od góry do dołu.

– Ger? Co to za jedna? Chyba ci mówiłem, żebyś tu nie sprowadzał ze sobą swoich wywłok.

Słowa „ze sobą” wypowiedział tak, jakby kichnął.

– Ona jest w porządku, Bobby. Ma na imię Sheelagh. Chce zarobić na sprzedaży szlugów, i tyle.

Quilty wyjął z kieszeni koszuli paczkę papierosów i zapalił jednego złotą zapalniczką, po czym wydmuchnął dym.

– Wiesz, że dobrze nie płacimy, skarbie. Sprzedasz dwieście szlugów za dwadzieścia pięć euro i dostajesz dwa euro pięćdziesiąt centów, na tym koniec. Wystrzałowco wyglądasz, dziewczyno. Możesz zarobić kupę kasy na wiele innych sposobów, a napracujesz się znacznie mniej.

– Tak, wiem, panie Duży – odparła Kyna. – Już próbowałam. I aż mnie skręcało, jeśli mam być z panem szczerą.

– Mów mi Bobby, do kurwy nędzy – warknął Quilty.

Zapisał jego telefon, ale on, spojrzawszy na ekran, skrzywił się i wepchnął go z powrotem do kieszeni. Zerknął na Kynę, mrużąc jedno oko, do którego wleciał dym z papierosa zwisającego z jego warg; było oczywiste, że przypadła mu do gustu.

– Ger, Benny, idźcie i załadujcie jeszcze trochę szlugów – polecił. – Jest dobry dzień na spacer z psem, w południe w Peace

Park będzie pełno spacerowiczów.

– Może bym z nimi pojechała, zobaczę, co i jak – zaproponowała Kyna.

– Nie, nie, ty idziesz ze mną. Muszę ci zrobić odprawę, zanim pójdziesz opychać szlugi. Jest dużo różnych numerów takich i siakich, muszę cię wprowadzić... rozumiesz, o co mi biega.

Ger parsknął dziwnie, jakby się śmiał, i pokręcił głową.

– Wszystko gra? – zapytał go Quilty. – Później się spikniemy, tak?

– Dobra, Bobby – odparł Ger; położył rękę na ramieniu Benny'ego i prawie go pchnął.

Kyna zobaczyła po chwili, że stoją w korytarzu i rozmawiają z Margot, a następnie cała trójka zniknęła z pola widzenia.

– No, skarbie, chodź do środka, pokażę ci teraz parę sztuczek – powiedział Bobby Quilty.

– A czego tu się uczyć? – zapytała. – Wystarczy siedzieć i sprzedawać szlugi.

Zacisnął dłoń na jej prawym łokciu niczym metalową kłamrę i skierował ją do drzwi.

– O, nie, moja droga, to wcale nie jest takie proste. Musisz mieć w telefonie numery stałych klientów, trzeba im puścić cynk, kiedy przychodzi nowa dostawa, oni muszą wiedzieć, gdzie i kiedy je będziesz sprzedawała. Oczywiście opchniesz masę przygodnym klientom, ale ponad połowę towaru będą zamawiali z góry.

– Przecież w sklepach też je sprzedajecie, nie? Dlaczego stali klienci nie chodzą do sklepów?

– Gliny robią, kurwa, naloty na sklepy i to jest problem. Sklepy to łatwy cel, rozumiesz, bo gliny mogą ściągnąć psy, a one wywęszą wszystkie szlugi, które sklepikarz może odłożyć na tyłach, w suficie albo jeszcze gdzie indziej. Poza tym sklepikarze są w takim wieku, że można ich zawlec przed sąd. Mówiłaś, że ile masz lat, skarbie?

– Dziewiętnaście – odparła Kyna. – No, prawie dziewiętnaście.

Prowadził ją za łokieć korytarzem z białą wykładziną; doszli do podnóża schodów. Aż do samej góry wisiały tam reprodukcje obrazów Jacka Vettriana, przedstawiające pary tańczące w deszczu na plaży, nagie kobiety przed lustrem, mężczyźni ubrani w smokingi wpatrujących się pożądliwie w kobiety w gorsetach.

– Marsz na górę – rozkazał Bobby Quilty i z jego gardła wydobyło się charczące, mokre kasznięcie.

– Znaczy co?

– Znaczy marsz na górę.

– Po co?

– Chcesz u mnie pracować, czy nie chcesz?

– Wyhamuj. Już ci mówiłam.

– No to jak chcesz u mnie pracować, to robisz, co mówię, a jak mówię „marsz na górę”, to migiem zasuwasz.

Kyna zerknęła na schody, a później na Quilty’ego. Skinął głową, wskazując w górę, jakby chciał podkreślić wydany rozkaz.

Wahała się przez parę sekund. Wiedziała, że to, co zdarzy się na piętrze, nie będzie przyjemne. Miała wybór. Nie była oficjalnie na służbie. Robiła to tylko dlatego, że Katie błagała ją o pomoc; wyraźnie dała jej jednak do zrozumienia, że nie będzie miała pretensji, jeśli Kyna postanowi się wycofać. Ale jeśli podejmie taką decyzję, a John zostanie oślepiiony, okaleczony lub zamordowany? Jak będzie mogła spojrzeć Katie w oczy?

Zrobiła jeden krok, potem drugi. Wchodząc, wciąż czuła ciągnięcie szwów w miejscu na brzuchu, które chirurdzy zaszyli po tym, jak ją postrzelono. Quilty obserwował ją i palił papierosa; dopiero kiedy znalazła się w połowie wysokości schodów, ruszył za nią ociężale.

Dotarła do szczytu. Pomieszczenia na piętrze urządzone w tym samym bezdusznym, nowoczesnym stylu co salon na dole. Wszędzie leżała jasnoszara wykładzina, w każdej sypialni znajdowała się biała garderoba z lustrem, a łóżka przykryte były biało-czarnymi narzutami w romby. Także i tam wisiały na ścianach reprodukcje prac Jacka Vettriana, a na niektórych

parapetach stały białe gliniane donice z suszonymi chryzantemami. W powietrzu unosił się mocny zapach jaśminowego odświeżacza do wykładzin, który miał zapewne niwelować smród dymu papierosów Quilty'ego, od którego łyzy zbierały się w oczach.

Gospodarz wskazał główną sypialnię; najwyraźniej chciał, żeby Kyna weszła do środka. Zrobiła to i skierowała się prosto do okna. Przez wysokie, oplecione bluszczem drzewa na końcu ogrodu dostrzegała przyciemniony srebrzysty poblask rzeki Lee i sylwetkę pomarańczowego tankowca, który sunął w kierunku terminalu Shella.

– Masz stąd super widok – powiedziała.

Quilty podszedł i stanął blisko za nią.

– Możesz wyciągać dziesięć razy więcej. Wiesz o tym, prawda?

– Tak? – Nie odwracała się. Bała się tego, co za chwilę usłyszy.

– Może byś ściągnęła te spodnie? – zasugerował. Dym z papierosa snuł się nad jej ramieniem, słyszała flegmę charczącą w jego płucach. Chciała się odwrócić, ale złapał ją mocno za prawe ramię i nie pozwolił. – Podziwiaj krajobrazy, skarbie. Ściągaj portki i patrz, jak płyną statki.

– Są za ciasne – odparła, starając się panować nad głosem. – Przez całe rano je wciągałam.

Bobby Quilty wyciągnął rękę i rozpiął jej pasek z imitacji krokodylej skóry. Poczowała na plecach nacisk jego brzucha.

– Co ty robisz? – zaprotestowała.

– Pokazuję ci, dlaczego wołają na mnie Duży. I sprawdzam, czy zawsze będziesz robiła to, co ci każę, wszystko, bez żadnych ale.

– A jak ci powiem, żebyś zabrał ode mnie swoje brudne łapska, ty tłusty śmierdzący gnoju?

W tej samej chwili Quilty zdzielił ją z tyłu w głowę tak mocno, że miała wrażenie, iż pęka jej czaszka. Zatoczyła się w przód i ugięły się pod nią kolana; musiała chwycić się obiema rękami parapetu, żeby nie stracić równowagi. Przez ułamek sekundy napinała wszystkie mięśnie, gotowa mu oddać. Mimo że jeszcze

nie całkiem wydobrzała, była sprawna i dobrze wyszkolona w taekwondo, mogła się okręcić i kopnąć go w łeb niczym w piłkę ustawioną na barkach.

Nie zrobiła jednak tego; stała dalej w tym samym miejscu z zaciśniętymi powiekami i zębami, trzymając się parapetu. On nie jest tego wart, myślała, mimo że dzwoniło jej w głowie. Quilty nosił na palcach kilka ciężkich sygnetów i już czuła, że ją poharatał. Myśl o Johnie. A przede wszystkim o Katie.

– Odezwij się tak do mnie, kurwa, jeszcze raz, skarbie, a przysięgam na Józefa i Maryję, że przywalę ci w łeb sto razy mocniej, zobaczysz! – warknął Quilty i mocno capnął ją z tyłu za szyję.

Myślała, że urwie jej się film, i przez kilka sekund czuła na plecach, jak gmera rękami. Nagle poczuła dotknięcie ostrego scyzoryka; Quilty brutalnie rozcinał pasek jej dżinsów. Usłyszała, jak prują się szwy. Puścił jej szyję i obiema rękami rozerwał dżinsy, a następnie ściągnął je w dół. Były ciasne, a mimo to zdołał je opuścić prawie do kolan.

– Morda w kubel i ani mi się rusz! – zakomenderował. Jego słowa nie były wyraźne, bo wciąż trzymał papierosa w ustach. – Nawet o tym nie myśl!

Kyna znowu poczuła, że gmera za jej plecami, i słyszała jego sapanie. Później chwycił ją za pośladki i szeroko je rozsunął jakby otwierał książkę. Paznokcie wbiły się w jej skórę tak mocno, że mimo woli wciągnęła raptownie powietrze. Poczowała, że wciska jej członka między uda, drugi raz wciągnęła powietrze i krzyknęła z bólu. Jego członek był sztywny i rzeczywiście ogromny; przechwałki Quilty'ego okazały się uzasadnione. Był także suchy jak drewniany wałek, musiał więc siłą wciskać go do jej, również suchej, pochwy centymetr po centymetrze. Stękał przy każdym pchnięciu, strząsając popiół i wydmuchując dym. Miała zaciśnięte zęby i trzymała się mocno parapetu, ale zadawał jej coraz większy ból. Nie wiedziała, czy długo jeszcze to zniesie.

– Jezu, lalka, masz cipę suchą jak Sahara! – rzucił z pretensją.

Zrobił jeszcze trzy albo cztery pchnięcia, ale osiągnął tylko tyle, że raz po raz dociskał Kynę do ściany.

– Nie mogę, kurwa, uwierzyć – powiedział, wysuwając członek. Wyjął papierosa z ust i splunął na palce, żeby ją nawilżyć. Nim jednak zdołał ponownie się ustawić, penis zaczął mu opadać. Przycisnął go do warg sromowych Kyny, ale był zbyt miękki. Mimo że próbował go wepchnąć z całej siły, nie udawało mu się to. – No i masz. – Cofnął się o krok. Kyna odwróciła się i zobaczyła, jak schyla się, żeby podciągnąć spodnie. – W życiu takiej suchej dziwki nie widziałem, przysięgam na Boga. Wcale bym się nie zdziwił, gdybyś miała wielbłądy w pipie.

Podciągnęła rozdarte dzinsy i zapięła pasek.

– Chyba dasz mi kasę na nową parę – powiedziała. – To są spodnie z River Island.

– Powiem ci, co z tobą zrobię, ty lodowata suko. – Chwycił ją za nadgarstek i mocno go skręcił, a kiedy próbowała się odsunąć, uniósł drugą rękę, jak gdyby się przymierzał, żeby ją znów uderzyć.

– Chcesz znowu dostać? Bardzo proszę, z wielką chęcią.

Szarpnął ją, zaprowadził do drzwi łazienki i je otworzył.

– Lodowata suka – powtórzył i wepchnął ją do środka.

Łazienka była wyłożona od dołu do góry kafelkami w różowe flamingi, a w rogu znajdowała się ogromna wanna jacuzzi i kabina prysznicowa z zaokrąglonymi szklanymi drzwiami. Quilty pociągnął Kynę do prysznicza.

– Włącz tam.

– Co?

– To twoja ostatnia szansa, skarbie. Chcesz u mnie pracować czy nie? Jeśli chcesz, to rób, co mówię. A że jesteś za zimna nawet na ruchanie, to będziesz mi musiała załatwić to inaczej, nie? No włącz.

Miała na nogach szpilki, mimo to weszła do kabiny i stanęła, w obronnym geście krzyżując ręce na piersiach.

– Na kolana – rzucił Bobby Quilty. Papieros wypalił się aż do filtra, on jednak wziął ostatniego sztacha, po czym uniósł klapę

i wrzucił go do sedesu.

Kyna uklęknęła nieporadnie. Woląca nie myśleć, co robi teraz Quilty. Odkręci prysznic i obleje ją lodowatą wodą? Kiedy jednak uniosła głowę, zobaczyła, że opuszcza luźne szorty. Wyjął i podetknął jej przed twarz zwiotczonego penisa. Wyglądał jak pognieciony robak z naburmuszoną miną.

– Głowa w górę – rozkazał chrapliwym głosem, w którym słychać było podniecenie. – Patrz w górę, otwórz usta i nie zamykaj.

O nie, pomyślała Kyna. Quilty drgnął i zaczął oddawać mocz. Kierował go prosto na jej twarz; poczuła pieczenie oczu, kwaśny płyn zalewał jej usta. Wypluła go raz, a potem znowu i potrząsnęła głową, ale on dalej na nią sikał. Mocz spływał jej po brodzie i uszach, czuła, jak ciepłym strumieniem leje się po różowej koszulce z napisem *Kłopoty*.

Kiedy skończył, nie ruszyła się z miejsca i nie otwierała oczu; ociekała moczem i starała się nie wdychać jego alkoholowego smrodu.

– No, grzeczna dziewczynka. Chyba możemy powiedzieć, że zaliczyłaś egzamin z wyróżnieniem – powiedział, zapinając szorty. – Zostań tu, skarbie, każę Margot przynieść ci suche ubranie.

Wychodząc z łazienki, zostawił otwarte drzwi. Gdy tylko zniknął, Kyna pozbierała się na nogi, zdjęła buty i wyrzuciła je z kabiny; dzinsy poleciały za nimi. Płakała z odrazy, a kiedy zdejmowała mokrą koszulkę, zrobiło jej się niedobrze i gdyby zjadła śniadanie, wymiotowałyby.

Rozebrana do naga, odkręciła prysznic na cały regulator, ustawiając najgorętszą wodę, jaką zdołała wytrzymać, po czym namydliła się żelem do kąpieli, który wisiał na kurku. Pachniał lawendą i wiedziała, że już nigdy nie powącha lawendy bez uczucia mdłości.

Nadal stała pod prysznicem, kiedy weszła Margot z dzinsami i jakąś górą. Kobieta czekała cierpliwie za drzwiami, podczas gdy Kyna raz za razem zmywała włosy.

Przez zaparowaną szybę Margot wyglądała jak współczujący duch.

Rozdział 17

W porze lunchu Katie pojechała do schroniska dla kobiet o nazwie Walnut Tree, do którego powstania przyłożyła rękę. Ośrodek mieścił się przy Lavitt's Quay w zniszczonym trzykondygnacyjnym gmachu z XIX wieku, w którym kiedyś był sklep muzyczny; wymagał wymiany instalacji elektrycznej i innych prac remontowych, ale dzięki darowiznom naprawiono cieknący dach, a w pięciu z siedmiu pokoi sypialnych położono tapety i wykładziny.

Katie zaniepokojona o Johna i Kynę, omal nie odłożyła tych odwiedzin. Rano jednak zadzwoniła do niej kierowniczka ośrodka, Blathnaid O'Keeffe, i oznajmiła, że wczoraj późnym wieczorem przyjęła nową rodzinę; matka, Neala Murphy, bardzo chciała poznać Katie i jej podziękować.

Nacisnęła dzwonek, stojąc przed pomalowaną na czerwono ścianą, i Blathnaid otworzyła niemal natychmiast, jakby czekała na nią w przedpokoju.

W powietrzu unosił się zapach pizzy dostarczonej z jakiegoś baru, słychać było biegające na górze i śmiejące się dzieci. W Walnut Tree zawsze panowała rodzinna atmosfera. Katie od samego początku podkreślała, że mieszkańcy powinni się tu czuć jak u przyjaciół w domu, a nie jak uciekinierzy chroniący się przed aktami przemocy. Zdarzały się płacze i kłótnie, lecz kobiety zawsze mogły liczyć na współczucie terapeutki, która je pocieszy i otrze z oczu łzy.

Weszła do pokoju dziennego, w którym siedziały trzy młode kobiety z dziećmi i oglądały telewizję. Znała wszystkie po imieniu. Znała także ich partnerów, i to aż za dobrze. Rudowłosa

matka bliźniaczek nazywała się Moira, a siniaki wokół jej oczu, teraz żółtawej barwy, przypominające narciarskie gogle, były dziełem jej chłopaka Flynn'a. Fiona miała zaledwie trzydzieści sześć lat, ale jej włosy zupełnie posiwiały. Mąż Michael przypalał ją papierosami w okolicy łonowej i na udach; na dodatek połamał jej rękę tak dotkliwie, że teraz trzymała ją niczym gołąb skrzydło.

Aoife uśmiechnęła się przelotnie do Katie, ale nic nie powiedziała. Jej mąż, również Michael, za ugotowanie posiłku, który mu nie smakował, zamykał ją w szafie pod schodami, czasem na całe dni.

– Widziałam cię w telewizji, Katie – zagadnęła ją Fiona. – Chyba nieźle się wściekłaś na tę dziennikarkę.

– Przecież mnie znasz – odparła Katie. – Muszę komuś dowalić i dopiero wtedy poprawia mi się humor.

Jedna z córek Moiry podeszła do niej i pokazała miękkiego różowego misia. Czterolatka miała splątane blond włosy i była ubrana w wyblakłą koszulkę ze świnką Peppą.

– Różowa misia płakała – oznajmiła bardzo poważnie.

– Ojej. A to dlaczego?

– Zepchnęli ją ze schodów i bardzo mocno uderzyła się w główkę.

– To straszne. Ktoś ją zepchnął?

Gdy dziewczynka pokręciła głową, włosy spadły jej na buzię.

– Nie wolno jej mówić.

– Mam nadzieję, że czuje się już lepiej. – Katie delikatnie dotknęła ramienia malutkiej. Nie przeszła szkolenia z psychiatrii dziecięcej i zdawała sobie sprawę, że nie powinna wdawać się w takie rozmowy z dziećmi pochodzącymi z domów dotkniętych przemocą.

– Neala jest na górze – poinformowała ją Blathnaid. – Chcesz wejść z nią pomówić?

– Oczywiście. – Katie ruszyła schodami za szeroką pupą kierowniczkę opiętą brązowymi spodniami.

Neala z dwójgiem dzieci dostała jeden ze świeżo odnowionych pokoi we frontowej części domu, z widokiem na Lavitt's Quay

i rzekę. Sufit był spadzisty, bo pokój znajdował się pod dachem, lecz pomieszczenie było jasne i słoneczne. Około trzyletni chłopczyk klęczał przy wnęcie okiennej i bawił się dwoma samochodzikami, a dziewczynka w wieku mniej więcej sześciu lat leżała na łóżku i ssała kciuk.

Neala była spiętą, rozdygotaną młodą kobietą z kręconymi czarnymi włosami zebranymi w kucyk z tyłu głowy. Miała pociągłą twarz o ostrych rysach, ogromne brązowe oczy i nadgarstki cienkie jak rączki drewnianych łyżek. Nosila krótką koszulkę i bardzo obszerną czarną spódnice, o trzy rozmiary za dużą. Chciała wstać, kiedy dwie kobiety weszły do pokoju.

– W porządku, Neala, wyluzuj – powstrzymała ją Katie.

– Miałam nadzieję, że pani przyjdzie – odezwała się Neala głosem ochryplym od napięcia i papierosów. – No, ale jeśli mam być szczerą, to z drugiej strony miałam nadzieję, że pani nie przyjdzie.

– Śliczne masz dzieci. Jak mają na imię?

– Peter i Donna.

Katie uśmiechnęła się do Donny, dziewczynka jednak patrzyła na nią poważnie i dalej ssała kciuk.

– Nie wiem, jak się do pani zwracać – powiedziała Neala.

– Mów do mnie Katie. To nie jest komenda policji, a ty nie jesteś aresztantką.

– Właśnie dlatego chciałam się z tobą spotkać. – Neala rozglądała się, jakby się bała, że ktoś się kryje za zasłonami lub pod łóżkiem i ją słyszy.

– Dobrze się czujesz? – zapytała Katie. – To znaczy, fizycznie.

– Ma parę kontuzji – wtrąciła Blathnaid. – Doktor Mulroney przyjdzie później i ją przebadą, dzieci także.

– On zawsze się pilnuje, żeby nie zostawiać sińców tam, gdzie każdy może je zauważyć – odparła Neala, spoglądając na Donnę. Uważała, że nie ma sensu unikać przy dzieciach mówienia o aktach przemocy męża, bo i tak codziennie były ich świadkami.

– Chcesz złożyć na niego oficjalną skargę? – spytała Katie. – Jeżeli tak, przyślę do ciebie funkcjonariusza, żeby spisał zeznanie.

Funkcjonariuszkę, kobietę.

Neala energicznie pokręciła głową.

– Tak się nic nie wskóra. On już stawał w sądzie i kończyło się tym, że dostawał grzywnę i ostrzeżenie, a potem jeszcze gorzej mnie tłukł.

– Mimo to nie powinnaś mu odpuszczać – mówiła Katie. – To, że jest twoim mężem, nie jest okolicznością łagodzącą.

– Wiem o tym. I dlatego chciałam z tobą porozmawiać, uciąć to raz a dobrze.

– No więc mów – zachęciła ją Katie. Widziała, że Neala jest pobudzona i chce jej przekazać coś bardzo ważnego, ale obawia się konsekwencji.

– Chodzi o tego detektywa, który zginął na moście Brian Boru... no wiesz, tego, w którego wjechał samochód.

– Detektyw Barry, tak. Nadal poszukujemy kierowcy.

Neala rozejrzała się, a potem położyła dłoń na sercu, jakby zamierzała przysiąc albo jakby dotknięciem przypominała sobie o wszystkich krzywdach, które wyrządził jej mąż.

– To był Darragh. Mój Darragh.

– Twój mąż prowadził pojazd, który wjechał w detektywa Barry'ego?

– Zgadza się. Sam mi powiedział. Pokazywali to w wiadomościach, a on mówi: „To ja byłem”, i śmiał się z tego. Ja na to: „Chyba sobie żartujesz, co?”. A on: „Nie, poważnie mówię, ja prowadziłem, a Bobby siedział na przednim fotelu. Kazał mi zgnieść świnię i tak zrobiłem”.

– Jesteś pewna, że to nie były czcze przechwałki, że nie chodziło mu o to, żeby cię postraszyć?

– Darragh nie musi mówić takich rzeczy, żeby mnie straszyć. Tego dnia spóźnił się na podwieczorek. Mieszkamy w Parklands, a on pracuje w warsztacie samochodowym w Blackpool, ale powiedział, że się spóźnił, bo musiał pojechać aż do Boycestown i pozbyć się auta. Mówił, że je podpalił. Był z siebie zadowolony jak nie wiem co, uwierz mi.

Katie teraz była już przekonana, że Neala mówi prawdę, że mąż nie usiłował jej po prostu nastraszyć. Zgodnie z jej poleceniem biuro prasowe Gardy nadal nie ujawniło, że znaleziono spalonego land rovera, który wjechał w detektywa Barry'ego. Prawie zawsze, kiedy policja prowadziła śledztwo w sprawie zabójstwa, zwłaszcza jeśli ofiarą był funkcjonariusz, jakiś narwaniec się do niego przyznawał, więc za każdym razem pilnowała, by kluczowe szczegóły nie przedostały się do dziennikarzy.

– On się nie dowie, że to ja ci powiedziałam? – spytała Neala. – Jeśli się dowie, przysięgam na Boga, że mnie zatłucze. Albo on, albo Bobby Quilty. To wcielony diabeł, ten Quilty. To podły człowiek, naprawdę podły.

– Nie martw się, to, że dałaś nam cynk o Darraghu, nie musi wyjść na jaw – zapewniła ją Katie. – W każdym razie nie udałoby się nam doprowadzić do jego skazania wyłącznie na podstawie twoich zeznań. Musimy najpierw znaleźć dowody, bo inaczej mógłby się tego po prostu wyprzeć albo udawać, że żartował. Prawo nie zabrania żartować, choć czasem mi się zdaje, że powinno.

– Znaczy, co niby? Jaki to miałby być dowód?

– Coś, co moglibyśmy pokazać sędziemu, coś, co potwierdziłoby, że twój Darragh naprawdę prowadził pojazd w czasie, gdy zginął detektyw Barry. No wiesz, coś takiego jak odciski palców, butów, DNA albo naoczny świadek, który by go rozpoznał i powiedział, że to on. Ale teraz wiemy przynajmniej, kogo mamy zidentyfikować, i to nam bardzo ułatwi zadanie.

– No nie wiem – zmartwiła się Neala. – Może niepotrzebnie ci mówiłam. Mam Donnę i Petera, muszę o nich dbać, i strasznie się boję, że on się dowie, gdzie jesteśmy, i tu przyjdzie.

– Nic ci tu nie grozi, wierz mi – uspokoiła ją Katie. – Nigdy nie wpuszczają nikogo do domu bez sprawdzenia tożsamości, a w razie kłopotów mają alarm, który jest połączony bezpośrednio z komendą Gardy.

Neala zaczęła obgryzać paznokcieć kciuka. Katie położyła jej rękę na ramieniu.

– Nie martw się, proszę. Obronimy cię, daję słowo.

Poczekwała dłuższą chwilę, a potem uśmiechnęła się do Donny i zeszła na parter, żeby porozmawiać z innymi pensjonariuszkami. Przejrzała zapiski Blathnaid dotyczące rodzin, które w tym tygodniu przyjęto do Walnut Tree, i dziesięć minut później wyszła. Kiedy jednak wsiadła do samochodu, nie odjechała od razu. Siedziała i patrzyła na odbicie swoich szmaragdowych oczu w lusterku; czuła gniew i frustrację.

Gdyby mogła od razu wystąpić o nakaz aresztowania Darragha Murphy’ego, zrobiłaby to. Zdawała sobie jednak sprawę, że każdą czynność śledczą mającą związek z morderstwem Barry’ego musi podejmować z nadzwyczajną ostrożnością. Nie mogła aresztować Murphy’ego na podstawie podejrzenia, bo domyśliłyby się, jak zdobyła informacje, a ona nie miała na razie żadnych dowodów. Naraziłaby tylko na straszliwe niebezpieczeństwo życie Neali i jej dzieci, a także Johna. Nie mogła nawet ściągnąć Murphy’ego do komendy, żeby przeprowadzić okazanie bezpośrednio. Bobby Quilty zwierzyłby, że prowadzi śledztwo przeciwko niemu, i Bóg jeden wie, w jaki sposób by się zemścił. I miałyby przekonanie, że jest usprawiedliwiony: „To pani złamała pakt, detektyw Maguire, nie ja”.

Nawet gdyby znalazła dość dowodów pozwalających wsadzić Darragha Murphy’ego za zabicie policjanta, a Quilty’ego za to, że go do tego nakłonił, Neali i Johnowi i tak groziłaby zemsta ze strony innych członków gangu bądź współpracującej z nim organizacji o nazwie Autentyczna IRA. W ostatnim tygodniu stycznia zabili dwóch mężczyzn podejrzanych o przynależność do Oglaiigh na hEireann, którzy usiłowali porwać ciężarówkę wyładowaną papierosami Quilty’ego. Egzekucja nosiła charakterystyczne cechy stylu Quilty’ego: obu strzelono między nogi, po czym związano, zakneblowano i zrzucono z mostu Daly

do rzeki Lee. W samym środku dnia spłynęli przez centrum miasta, unosząc się na wodzie.

Katie widziała zwłoki obu na własne oczy i na myśl o tym ścisnęła ją w żołądku.

Całkowicie rozumiała, dlaczego Neala pragnie, by Darragh poniósł karę za maltretowanie jej, dlaczego chce posłać go do więzienia, żeby jej nigdy więcej nie zagroził; uważała jednak, że dziewczyna nie jest świadoma, co to będzie oznaczało dla niej i dzieci. Resztę życia będą musieli spędzić jako chronieni świadkowie pod przybranymi nazwiskami, nawet jeżeli opuszczą kraj i zostaną umieszczeni gdzieś w Anglii. Najbardziej lukratywne interesy Quilty robił na papierosach szmuglowanych z Ringaskiddy do Swansea albo z Dundalk do Liverpoolu, miał więc na pęczki angielskich kumpli, którzy z największą ochotą wyświadczyliby mu przysługę i skrzywdzili Nealę za to, że go sypnęła.

A John, co jemu by zrobili? Katie mogłaby go nigdy więcej nie zobaczyć, albo, gdyby go oślepił, on już nigdy by nie ujrział jej, nawet gdyby zdołała ocalić mu życie.

Uruchomiła silnik i wtedy zadzwieczał jej iPhone, sygnalizując nadejście wiadomości. SMS był od Kyny i brzmiał po prostu: Weszłam. BZSNMD.

Wiedziała, co ten skrót oznacza, bo Kyna używała go, kiedy wpadała w trudną, niebezpieczną lub bardzo przykrą sytuację. Boże, zlituj się nad moją duszą.

Katie miała pokusę, by powiedzieć dziewczynie, żeby się wycofała, jeśli ryzyko jest zbyt duże, jeśli nie zdoła utrzymać przykrywkę czy z jakiegokolwiek innego powodu. Teraz wiedziała jednak, że to Bobby Quilty stoi za morderstwem Barry'ego, więc infiltrowanie jego imperium było jeszcze ważniejsze.

Dojechała na Anglesea. Wcześniej planowała, że pójdzie do bufetu i zamówi sobie bułkę z szynką i sałatką, ale mdliło ją tak, że niczego nie zdołałaby przełknąć.

Rozdział 18

Bill Phinner i Eithne weszli razem do gabinetu Katie. Eithne niosła pod pachą dużą kopertę z przezroczystej folii, a Bill trzymał w ustach niezapaloną fajkę.

– Bill! – Katie uniosła głowę znad papierów. – Nie wiedziałam, że pali pan fajkę!

– No bo właściwie nie palę – odparł. – W każdym razie rzadko. Nie wolno mi palić w laboratorium, w pubie też nie, a żona nie pozwala mi w domu; przez większość czasu pada deszcz i naprawdę mało w tym radochy, kiedy się sterczy pod płotem ogródka i podtrzymuje żar w fajce, a tu z nieba kapie. Dobre w tym jest tylko to, że dzięki fajce nie zagryzam zębów. Poza tym mój brat mówi, że z fajką prezentuję się ciut inteligentniej. Można na przykład wskazać coś fajką i od razu człowiek wygląda, jakby się znał na rzeczy.

– Co tam dla mnie macie? – spytała Katie.

Eithne uniosła kopertę.

– Ostateczne wyniki badań DNA zwłok z Millstream Row. Nie ma wątpliwości, to jest rodzina Langtrych.

– Nie będę pani zanudzał drobiazgami – podchwycił Bill. – W każdym razie pozyskano profile genetyczne zwłok i przeprowadzono szczegółową analizę statystyczną, żeby określić prawdopodobieństwo spokrewnienia z żyjącymi potomkami Langtrych. I wyniki plasują się znacznie powyżej progu identyczności z pochodzenia.

Katie wzięła teczkę i ją otworzyła. W ubiegłym roku była na ośmiodniowym kursie kryminalistycznym i wiedziała, co

oznacza identyczność z pochodzenia. W tym wypadku była niezaprzeczalna.

– No dobrze, dzięki. To oczywiście stawia mnie wobec pytania, w jaki sposób Stephen Langtry wysyłał listy i kartki z Ameryki, skoro jego trup leżał pod podłogą w Blarney.

– Ja bym powiedział, że to był fortel – odparł Bill, wyjmując fajkę z ust. – Przez jakiś czas nikt nie miał się dowiedzieć, że zostali zamordowani. Ciała cuchnęły przez parę tygodni, ale w latach dwudziestych w większości domów śmierdziało z powodu braku higieny osobistej; poza tym ogrzewano je torfem, palono papierosy, a na palenisku przez całe dni bulgotał garnek z podrobami. I oczywiście zabójcy drżeli ze strachu, bo nie przyszło im do głowy, że ciała zaschną. Nie wzięli pod uwagę warunków atmosferycznych, jakie panowały pod podłogą. Wątpię, by przemknęło im przez myśl, że nie zostaną odkryte przez dziewięćdziesiąt pięć lat.

– No cóż, chyba jest dość oczywiste, że to ktoś inny, a nie Stephen Langtry wysyłał te listy – zgodziła się Katie. – Mnie tylko ciekawi, kto to robił i z jakiego powodu. Trwała wojna, ludzie ginęli z obu stron, ale na ogół zabijano się raczej otwarcie. Kiedy zastrzelono Michaela Collinsa, nikt nie ukrywał jego zwłok, prawda? I nie przysyłał listów z Nowego Jorku, tworząc pozory, że Collins znudził się polityką i postanowił wyemigrować.

– To by był super pomysł na film – orzekł Bill. – Zwłaszcza gdyby namówili Liama Neesona, żeby znowu zagrał Collinsa.

– Powiem Mathew, żeby po południu zorganizował konferencję prasową – oznajmiła Katie. – Spodziewam się, że Fionnuala Sweeney będzie wydziwiała, ale na to nic nie poradzimy. Może komuś otworzy się klapka w głowie, może sobie przypomni coś, co dziadkowie mówili mu o rodzinie Langtrych.

– Nigdy nie wiadomo – przyznał Bill. – Mój dziadek stale plótł o tym, jak to jego starszy brat ukrywał na farmie w Inniscarrze karabiny dla kapitana Franka Busteeda i jego ferajny. Jak się go

słuchało, człowiek gotów był pomyśleć, że Phinnerowie na własną rękę wygrali wojnę o niepodległość.

– Otóż to, Bill, nigdy nie wiadomo. Każę detektywowi Ó Doibhlinowi zwrócić się do Amerykańskiego Urzędu Imigracyjnego. Szanse są jak jeden do dziesięciu milionów, ale Amerykanie mają fantastyczne archiwa historyczne i może nam powiedzą, czy jakiś Stephen Langtry został wpuszczony do USA w tysiąc dziewięćset dwudziestym pierwszym, z żoną i dziećmi lub bez nich. A nowojorska policja stanowa być może sprawdzi, czy niejaki Stephen Langtry naprawdę pracował w Glenside Woolen Mills. Byłoby to tym łatwiejsze, gdyby fabryka dalej funkcjonowała.

– Więc myśli pani, że jakaś inna rodzina mogła wyjechać do Ameryki i podawać się za Langtrych?

– Naprawdę nie mam pojęcia, Bill. Nie sądzę, by to było bardzo prawdopodobne, ale musimy brać pod uwagę każdą możliwość. Langtry'owie zostali zamordowani bardzo dawno temu, ale zasługują na sprawiedliwość, a zabójca musi być wymieniony z nazwiska i pohańbiony. A tak w ogóle to świetna robota z analizą DNA.

Bill zerknął w stronę okna.

– Na dworze wciąż jest ładnie i pogodnie. Chyba wyjdę i sobie zapalę, żeby uczcić sukces.



Konferencję zwołano na szesnastą trzydzieści, żeby RTÉ oraz lokalne stacje radiowe miały dużo czasu na podanie informacji w serwisach o osiemnastej, gazety zaś na napisanie artykułów do porannych wydań.

Stawiła się naturalnie Fionnuala Sweeney i zajęła miejsce w pierwszym rzędzie; był także Dan Keane z „Examinera” z tradycyjnie zatkniętym za ucho niedopalonym papierosem oraz Branna MacSuibhne z „Echa”, która za pomocą lakieru ufryzowała blond włosy w dwa sztywne bawole rogi. Katie dostrzegła również kogoś nowego: bardzo chudą brunetkę z ogromnymi brązowymi oczami. Miała na ramieniu wzorzystą

torebkę, a na pasku na szyi plakietkę z nazwą *Newstalk*, jakkolwiek na dziennikarkę radiową wyglądała zbyt młodo.

W ostatniej chwili do sali konferencyjnej wszedł komendant MacCostagáin i usiadł przy stole obok Katie; jego mina sugerowała, że jest jeszcze bardziej rozkojarzony i nieswój niż zwykle. Już wcześniej dała mu wyniki badań DNA. Komendant niezbyt często brał udział w rutynowych konferencjach prasowych, podzielał jednak obawy Katie co do politycznych następstw sprawy Langtrych i najwyraźniej chciał się dowiedzieć, jak zareagują przedstawiciele mediów.

– Dzień dobry, panie i panowie – zagała Katie, wstając. – Nasza sekcja techniczna zakończyła testy DNA czterech ciał znalezionych pod podłogą przy Millstream Row w Barney i ustaliła ponad wszelką wątpliwość, że są to Stephen i Radha Langtry oraz dwoje ich dzieci, Aideen i Clearie.

Zauważyła, że Fionnuala Sweeney z satysfakcją kiwa głową, zignorowała ją jednak i skierowała wzrok na młodą nowicjuszkę z *Newstalk*.

– Będziemy kontynuowali dochodzenie na podstawie tych dowodów. Spróbujemy się dowiedzieć, w jaki sposób zamordowano rodzinę i kto mógł być za to odpowiedzialny, muszę jednak podkreślić, że nie nadaję tej sprawie priorytetowej rangi. Moi detektywi mierzą się ze znacznie pilniejszymi śledztwami, zwłaszcza w takich obszarach jak handel narkotykami, prostytutka, kradzieże i oszustwa. Mogę zatem uspokoić opinię publiczną, że pełną uwagę kierujemy na aktualne dochodzenia.

Fionnuala Sweeney uniosła rękę.

– Czy znaleźli państwo dowody potwierdzające bądź obalające pogłoski, że Radha Langtry miała romans z oficerem armii brytyjskiej?

– Wiadomo mi o tak zwanej lokalnej legendzie, Fionnualo, ale jak dotąd nie natrafiliśmy na bezsporne dowody, które by ją potwierdzały.

– Ale macie jakieś dowody tego rodzaju, prawda?

– Nie.
– A odznaka armii brytyjskiej owinięta w liścik miłosny?
– Owszem, dysponujemy tymi przedmiotami, lecz nie ma jednoznacznego dowodu potwierdzającego, że należały do Radhy Langtry.

Młoda kobieta z Newstalk uniosła rękę.

– Gdyby jednak do niej należały i gdyby miała romans z brytyjskim oficerem, mógłby to być dla Brytyjczyków motyw, by zastrzelić tę rodzinę, prawda?

– Jak się pani nazywa? – zapytała Katie.

– Muireann. Muireann Bourke.

– A zatem, Muireann. Ilekroć ktoś zostaje zabity wbrew prawu, charakter mojej pracy wymaga, bym stawiała hipotezy co do tego, kto mógł to zrobić i dlaczego. Jednakże każdą taką hipotezę weryfikuję, na ile to możliwe, i gromadzę niezbite dowody na jej poparcie, zanim zacznę ją publicznie rozgłaszać. Bez względu na to, co sugeruje owa lokalna legenda, nie mogę stwierdzić na pewno, czy Radha Langtry romansowała z brytyjskim oficerem, czy nie, i z pewnością nie mam żadnych podstaw, by sugerować, że armia brytyjska zabiła z tego powodu rodzinę tej kobiety.

– Gdyby jednak się tak stało, byłby wstrząs, prawda? Proszę pomyśleć o reperkusjach!

– Muireann, wolno mi odnosić się jedynie do faktów, a nie do szalonych spekulacji, a pani powinna mieć świadomość, że takie pytania są nie na miejscu.

Muireann Bourke zarumieniła się i z zawstydzieniem spuściła wzrok na podłogę. Nauczy się, pomyślała Katie. Sama kiedyś dawała takie plamy, kiedy była jeszcze młodą i zieloną policjantką, i została za to skarcona.

– Nawet jeżeli wykryjecie sprawcę zabójstwa Langtrych, jakie to może mieć znaczenie praktyczne? – dociekał Dan Keane. – Co pan o tym myśli, panie komendancie? Nie sądzi pan, że czasem roztropniej jest nie wywoływać wilka z lasu?

– Wilka z lasu może i tak – odparł MacCostagáin. – W tym wypadku mamy jednak do czynienia z psami, a nie z wilkiem. Psy zastrzelono, tak samo jak zastrzelono rodzinę Langtrych.

– Oczywiście, ale to się stało bardzo dawno temu.

– Nie ma przedawnienia w sprawach zabójstw, Dan, nawet jeśli sprawcy już nie żyją. Jeśli odbiera się komuś życie, trzeba zawsze odpowiedzieć przed prawem, nawet jeżeli sprawca tłumaczy się już przed Bogiem.

– Jasne, rozumiem – przytaknął dziennikarz. – Ale skoro już mowa o odpowiadaniu przed prawem i Bogiem, może nam pan zdradzić, jakie zrobiliście postępy w śledztwie dotyczącym zabójstwa detektywa Barry’ego i czy w ogóle są jakieś postępy? Jutro ma się odbyć jego pogrzeb.

Katie odwróciła głowę i posłała komendantowi ostrzegawcze spojrzenie. Znała aż za dobrze Keane’a i jego dziennikarską metodę: „Keane znaczy dociekliwy”, tak głosił podpis w stopce pod jego nazwiskiem w „Examinerze”. Rzadko zadawał pytanie, jeśli nie był przygotowany na odpowiedź, którą usłyszy.

MacCostagáin zaczął odpowiadać z dużą dozą ostrożności:

– Nadal jesteśmy na etapie badania dowodów przez nasze laboratorium kryminalistyczne i gromadzenia zeznań naocznych świadków. Jutro rano zwrócimy się za pośrednictwem mediów z apelem o zgłaszanie wszelkich informacji. Z tego, co wiem, zastępca komendanta głównego pan O’Reilly zaproponował, a w Phoenix Park tę propozycję zaakceptowano, by za każdą informację, która doprowadzi do skazania sprawcy, została wypłacona nagroda. Dokładna jej wysokość nie została jeszcze ustalona, ale spodziewam się, że wyniesie ona w granicach dziesięciu tysięcy euro.

– Więc jeszcze nie zlokalizowaliście land rovera, który przejechał detektywa Barry’ego?

– Na ten temat nie mam nic do powiedzenia, Dan. Nie teraz.

– Ale zlokalizowaliście jakiegoś porzuconego land rovera?

– Nie mam nic do powiedzenia na ten temat, Dan.

– Słusznie, panie komendancie. Rozumiem, że dochodzenie trwa i nie możecie ujawniać każdego drobnego tropu, na który wpadliście. Ale gdybyście znaleźli tego land rovera, którym zabito detektywa Barry’ego, to byłby to dość ważny dowód, prawda? Mogę zatem przypuszczać, że ten konkretny land rover nie ma nic wspólnego z morderstwem i że nie podaliście mediom żadnej informacji na jego temat?

Katie ani trochę się nie podobało, że rozmowa przybiera taki obrót, i zdawała sobie sprawę, że komendantowi nie uda się wymigać od odpowiedzi na każde pytanie dziennikarza za pomocą formułki „bez komentarza”.

– O którym land roverze pan mówi, Dan? – spytała.

– To chyba bez znaczenia, prawda? Jeśli samochód nie ma związku ze śledztwem dotyczącym zabójstwa detektywa Barry’ego? – Dan Keane uniósł brwi, a jego twarz przybrała wyraz wyższości; był już przekonany, że zdołał osaczyć Katie.

– Wczoraj znaleziono samochód marki Land Rover na farmie na północ od Boycestown – powiedziała po chwili Katie. – Był całkowicie spalony i w związku z tym prawdopodobnie nie uzyska się z niego żadnych istotnych dowodów kryminalistycznych, mimo to nasi technicy wciąż go badają. Poza tym sprawdzamy, skąd pochodził i kto mógł nim jechać.

– Więc nie zaprzecza pani, że to mógł być ten sam land rover, który zabił detektywa Barry’ego?

– Ani nie zaprzeczam, ani tego nie potwierdzam.

– Ależ pani detektyw, na tym wozie wisiały tablice rejestracyjne. Jak możecie nie być pewni, skoro macie nagranie z kamer monitoringu, na którym widać land rovera jadącego za detektywem Barrym, kiedy ten pokonuje most Brian Boru?

– Proszę wybaczyć, Dan, ale skąd ma pan pewność, że na tym samochodzie były tablice rejestracyjne? – odparowała Katie. Konferencja nie była wprawdzie relacjonowana na żywo w telewizji ani radiu, lecz ona poważnie się zaniepokoiła. Liczyła na to, że Kyna dowie się, gdzie przetrzymywany jest John, zanim dowody przeciwko Quilty’emu staną się tak obciążające, że nie

pozostanie jej nic innego, jak tylko go aresztować. Dla Johna konsekwencje tego byłyby prawdopodobnie katastrofalne. Nie miała wątpliwości, że kilka minut po tym, jak detektywi staną u drzwi domu Quilty'ego z nakazem aresztowania, John zostanie zabity, a ona już nigdy nie zobaczy jego ani jego zwłok.

Dan Keane uniósł iPhone'a.

– Kiedy wychodziłem dzisiaj z redakcji i wybierałem się tutaj, złapał mnie szef działu fotograficznego i powiedział, że rano zgłosili się do niego dwaj holenderscy rowerzyści. Robili sobie rajd po Cork i Kerry i właśnie jechali do Kinsale, kiedy zauważyli palącego się land rovera i dwóch mężczyzn, którzy stali obok i patrzyli. Holendrzy pstryknęli parę zdjęć, ale jak to Holendrzy, nie oglądali serwisu informacyjnego w telewizji ani nie czytali gazety, więc nie zdawali sobie sprawy, że mogli być świadkami ważnego zdarzenia.

– Dlaczego mimo to nie zameldowali tego policji? – chciała wiedzieć Katie.

– Jak powiedziałem, nie sądzili, że miało to jakieś znaczenie. Jakiś land rover zapalił się nie wiadomo dlaczego, a dwaj bezradni faceci nie mogli go ugasić. Przynieśli nam te zdjęcia, ponieważ kończyły im się pieniądze i myśleli, że zapłacimy im parę euro. No i zapłaciliśmy, bo kilka z tych fotek robi wrażenie. Na jednej widać wielką kulę ognia, musiała powstać, kiedy eksplodowało paliwo w baku land rovera.

– A dlaczego pan nie przyniósł nam tych zdjęć?

– Właśnie je przynoszę. Wcześniej nie mogłem. Są tu, w moim telefonie. Od razu się nimi z państwem podzielę.

– Trudno nie zauważyć, że starannie wybrał pan moment.

– Pani nadkomisarz, przysięgam pani na grób świętego Franciszka Salezego, że nawet nie miałem czasu, żeby im się dokładnie przyjrzeć. Ale mogę pani powiedzieć, że widać wyraźnie twarz przynajmniej jednego z tych mężczyzn, więc jeśli go znacie, będziecie mogli stwierdzić, kto to taki.

Katie otworzyła laptopa.

– No więc proszę. Ma pan w kontaktach mój adres, prawda?

W sali konferencyjnej rozległ się szmer poruszenia. Fionnuala Sweeney wstała.

– Mam nadzieję, że udostępni pani te zdjęcia wszystkim obecnym?

– Jeszcze nie teraz, Fionnualo – odparła Katie. – Najpierw musimy je zbadać i sprawdzić, czy uda nam się ustalić tożsamość jednego z tych mężczyzn albo obu.

Laptop Katie zapiszczał i pojawił się e-mail od Dana Keane'a z linkiem do siedmiu zdjęć. Na wszystkich widać było land rovera palącego się na wąskiej wiejskiej drodze; były z niego gęste kłęby czarnego dymu. W pewnej odległości stało dwóch mężczyzn; do połowy skrywała ich trawiasta skarpa. Najmocniejsze wrażenie robiła przedostatnia fotografia, która ukazywała pomarańczowe płomienie wznoszące się ku niebu. Jeden z mężczyzn odwrócił głowę od wybuchu, więc obiektyw aparatu mógł dobrze uchwycić jego twarz.

– Dziękuję, Dan – powiedziała Katie. – Od razu przyjrzymy się tym zdjęciom i damy państwu znać, jak tylko będziemy gotowi, by wydać komunikat. Tymczasem będę wdzięczna, jeśli nie będzie ich pan publikował.

– No nie wiem – rzucił Keane. – Przecież zapłaciliśmy za nie. Dwieście pięćdziesiąt euro. W gotówce.

– Rozumiemy to – wtrącił komendant MacCostagáin. – Te zdjęcia kwalifikują się jednak jako dowód w trwającym śledztwie policyjnym. Jeżeli opublikuje je pan przedwcześnie, a widoczni na nich mężczyźni zorientują się, że ich szukamy, i umkną przed wymiarem sprawiedliwości, może to być uznane za utrudnianie śledztwa.

– Chyba będę musiał to omówić z naszymi prawnikami – odparł dziennikarz. – A czy mogą państwo teraz potwierdzić, że to jest land rover, który wjechał w detektywa Barry'ego? Bo numery rejestracyjne widoczne na tych zdjęciach pasują, prawda?

– Zarzekał się pan, że nie miał pan czasu dokładnie ich obejrzeć – przypomniała mu Katie.

– Bo nie miałem. Ale nie mogłem się powstrzymać, żeby nie zerknąć raz czy dwa na tablice. Są na nich oznaczenia BXZ, z Armagh.

– No dobrze – odezwał się MacCostagáin, zwracając się do wszystkich dziennikarzy. – I mogą mnie państwo cytować. Owszem, potwierdzam, że zlokalizowaliśmy land rovera, który wygląda tak samo jak pojazd, który wjechał w detektywa Barry’ego. Poza tym nie mam teraz nic więcej do dodania na ten temat.

– Głównym celem tej konferencji było poinformowanie państwa, że dokonano jednoznacznej identyfikacji zwłok znalezionych w Blarney – powiedziała Katie. – Są to ciała Stephena Langtry’ego i jego rodziny. Jeśli zdołamy ustalić, kto mógł ich zabić i jakie motywy nim kierowały, oczywiście damy państwu znać. Dziękuję za przybycie.

– Bobby Quilty pochodzi z Armagh, prawda? – spytał Keane. – A detektyw Barry próbował aresztować jego dealera, kiedy zginął.

Katie zamknęła komputer i wstała.

– Gdyby wolno nam było skazywać na podstawie takich dowodów, Dan, trzy czwarte ludności Cork siedziałoby w więzieniu.

– Tak, pani nadkomisarz Maguire, i byłoby to bardzo niesprawiedliwe. Ale niech pani sobie wyobrazi, jak spokojnie robiłoby się zakupy w Tesco na Paul Street w sobotę po południu.

Rozdział 19

Kyna zeszła na parter i zobaczyła Bobby'ego Quilty'ego, który siedział w salonie na kanapie pokrytej imitacją skóry; miał skrzyżowane nogi, bujał jedną swobodnie i stukał w ekran iPhone'a. Stała w drzwiach i czekała, aż ją zauważy. Ostatecznie poniżył ją w okropny sposób i pokazał, że on tu rządzi.

Jej mokre włosy były zaczesane do tyłu i miała na sobie wyblakłe džinsy od Margot; musiała je podwinąć aż do kostek, bo były o wiele za długie; włożyła także luźny biały top bez rękawów, pod którym nie miała stanika. Margot nawet mrugnięciem oka nie okazała zdziwienia tym, co zrobił jej Quilty; po prostu zabrała rzeczy Kyny do prania.

Quilty nie spojrzał na nią wprost, tylko skinął i ruchem telefonu wskazał miejsce na fotelu obok. Usiadła i bez słowa czekała, aż skończy pisać SMS-a. Brała już udział w wielu śledztwach z wykorzystaniem detektywa działającego pod przykryciem i miała świadomość, na czym polega ta robota: nie należało się zachowywać jak osoba, pod którą detektyw się podszywa, lecz nią być. To nigdy nie jest łatwe. Kiedyś zbierała dowody przeciwko właścicielce burdelu w Dublinie i tak się w niej zadurzyła, że była gotowa ją ostrzec przed aresztowaniem i dać czas na ucieczkę.

– Wracając do ciebie – odezwał się Quilty i pociągnął nosem.

Kyna zrobiła obojętną minę i milczała.

– No więc jest tak – mówił. – Wczoraj w nocy odebraliśmy nową dostawę szluzów i jest sarta zamówień od stałych klientów. Ger pojedzie z tobą do garażu i je weźmiecie, a potem

cię obwiezie, będziesz zanosila towar klientom i odbierała należność.

– To znaczy, że nie sprzedajesz szlugów wyłącznie na ulicy?

Bobby Quilty wytrząsnął papierosa z paczki, zapalił i wydmuchnął dym.

– E, nie, no skąd. Większość utargu pochodzi ze sklepów, barów i biur. Na ulicy sprzedają je po to, żeby złapać nowe kontakty handlowe. No wiesz, ludzi, co dotąd nie wiedzieli, że mogą kupić dwie setki szlugów za ćwierć ceny. Jak się już dowiedzą, gdzie je opychamy, zawsze przychodzą po więcej. Ty byś nie przyszła? Dziesięć euro za paczkę szlugów, przecież to, kurwa, nieludzkie!

– Co, nie ufasz mi, nie chcesz, żebym sprzedawała? Myślisz, że prysnę z twoimi szlugami i już nie wrócę?

– O, wydaje mi się, że mogę ci zaufać. Zapuściłem oko do twojego telefonu, dziewczyno, tak dla pewności. Nie, chcę tylko, żeby Ger cię obwiózł i pokazał, na czym to polega, i żebyś spotkała się twarzą w twarz ze stałymi klientami. Wszystkim się spodobaś, uwierz mi. Jesteś miła dla oka. Przydasz się w biznesie, ja to mówię.

– Mogę dostać telefon z powrotem?

– A, tak. – Quilty sięgnął ręką do stolika ustawionego za kanapą i rzucił Kynie aparat. – Dryndnąłem do paru twoich koleśki z salonu masażu i bardzo cię chwalili, a nawet więcej. Jeden powiedział, że jak tylko wyświetliło mu się na ekranie twoje imię, zaraz się rozochocił.

W drzwiach pojawił się Ger, tuż za nim szedł Benny. Gdy Ger zdjął kapelusz i otarł spocone czoło; poczuła odór jego ciała. Kojarzył jej się ze zdechłym kotem, którego znalazła kiedyś w szafce kuchennej pewnej starszej pani, przeszukując jej dom w Dolphin's Barn.

– No i jak – spytał Quilty. – Zeszło coś w parku?

Ger wsunął rękę do kieszeni i podał mu gruby zwitek pomiętych banknotów euro.

- W sumie sprzedaliśmy trzydzieści siedem paczek. Sprzedałoby się więcej, ale psy zaczęły się nami interesować.
- Nie mówiłem ci, żebyś się nie przejmował psami? Jesteśmy ubezpieczeni, wiesz o tym. Zrobiłem z nimi porządek, a jak. Mogą sobie węszyć, ale cię nie zgarną.
- Możesz sobie tak mówić, Bobby, ale ty nie przekiblowałeś dwóch lat w pudle. Na widok glin dostaję, kurwa, palpacji. Quilty liczył pieniądze, co jakiś czas oblizując kciuk.
- Dziewięćset trzydzieści euro – oznajmił Ger. – Jeden gość nie miał drobnych, ale powiedział, że mam się nie martwić.
- No dobra, jest git – rzucił Bobby Quilty, kiedy skończył liczyć utarg i pieczołowicie ułożył banknoty w tę samą stronę. – Teraz możesz znowu załadować i wziąć Sidhe, zrobicie zrzuty w Blackpool i Shandon. O, i w tym kiosku na MacCurtain. A w drodze powrotnej wstąpisz do Chisela i sprawdzisz, czy naszemu koleźce nie udało się czasem odśrubować.
- No to chodź, dziewczyno – zwrócił się Ger do Kyny. – Idziesz do pracy. Może i masz smakowity tyłeczek, ale nie możesz siedzieć na nim przez cały dzień.



Pojechali do Blackpool. Benny siedział z tyłu ze słuchawkami w uszach i Kyna słyszała nikły szmer rapu. Ger prawie wcale się nie odzywał, tylko bluźnił na każdego rowerzystę, który manewrował przed maską auta, oraz na każdego kierowcę, który za wolno ruszał po zmianie świateł na zielone. Jego pot cuchnął tak mocno, że musiała opuścić okno i odwrócić głowę.

Skrećili w bramę między zdewastowanymi sklepami i domami przy Dublin Street, a następnie pojechali wzdłuż szeregu nędznie wyglądających garaży z opuszczanymi drzwiami.

– Idź na róg i pilnuj – polecił Ger Kynie. – Ja i Benny załadujemy wóz. Jeśli zobaczysz gliny, nie krzycz ani nic, tylko podejdź tutaj, machając ręką, jakby ci się beknęło.

Wzruszyła ramionami i spełniła polecenie. Stała pod bramą i udawała, że wypatruje policji, a Ger tymczasem otworzył

kluczem jeden z garaży i uniósł drzwi, które zapiszczały niczym zarzynany knur. Nawet z odległości trzydziestu metrów widziała, że wewnątrz aż po azbestowy dach zastawione jest kartonami papierosów, charakterystycznymi czerwono-białymi paczkami lucky strike'ów, westów i marlboro, a także marek Goal, NZ Gold, Jin Ling i innymi, których nie rozpoznawała.

Gery i Benny napełniali nimi czarne foliowe torby, Kyna zaś ukradkiem wyjęła telefon i kciukiem wystukała SMS-a do Katie. Napisała jej, że Quilty pchnął ją na rundę z towarem, ale kazał także zobaczyć, co się dzieje z kimś, kogo określił mianem koleżki; mieli sprawdzić, czy ta osoba przypadkiem, jak to określił, się nie odśrubowała.

Właśnie skończyła pisać wiadomość, kiedy na Dublin Street pojawił się radiowóz i zaczął wolno sunąć w jej stronę. Schowała się w bramie, bo funkcjonariusze mogli ją rozpoznać, zatrzymać się i zapytać, dlaczego sterczy w tym miejscu.

Radiowóz przejechał jednak i nawet nie zwolnił, a kilka sekund później Ger gwizdnął na Kynę, jakby przywoływał psa.

Zanim ruszyli w drogę, spojrzął na wydartą skądś kartkę papieru z wypisaną ręcznie listą klientów.

– No to pierwszy przystanek mamy w Ali's Corner Store na Thomas Davis Street, potem jest O'Grady's, u bukmacherów i w Scissor Shop, a później u fryzjera.

Dotarłszy do Thomas Davis Street, wskazał narożny sklep i Kyna wysiadła. Benny zrobił to samo, otworzył bagażnik i wręczył jej dwie pękate czarne torby. Ger gwizdnął na nią ponownie z samochodu.

– Uśmiechnij się, jak będziesz dawała szlugi Alemu, dobra? I niech myśli, że może cię wziąć na zaplecze i zaliczyć numerka.

– Co? Przecież to Pakistaniec, nie?

– Nie w tym rzecz, Sidhe. Chodzi, kurwa, o to, że to jest gardłowy biznes, handel papierosami, a my chcemy, żeby kupował u nas, a nie u Dugganów albo O'Flynnów. Czyli wiesz, puść do niego oko i zakręć dupcią, kiedy będziesz od niego brała

kasę. I tak nie znajdziesz czasu na to, żeby go ruchnąć. Mamy jeszcze ze dwadzieścia zrzutów.

Kyna w milczeniu wzięła torby od Benny'ego i przepchnęła się między siatkowymi workami z cebulą i mopami, które wisiały w drzwiach sklepu. W środku cuchnęło kozieradką, a przejścia były ciasno zastawione olbrzymimi skrzyniami z detergentami, puszkami piżmianu i przecenionymi szczotkami do mycia naczyń, oraz regałami pełnymi chrupek; Kyna z trudem przecisnęła się między nimi do lady.

Stał za nią brodaty Azjata w żółtej czapce baseballowej, skupiony na telefonie komórkowym, który naprawiał.

– Ty jesteś Ali? – zagadnęła go. – No to masz, chłopak. To są te szlugi, co zamówiłeś u Dużego.

Ali odłożył miniaturowy śrubokręt i uśmiechnął się do niej, szczerząc zęby; brakowało mu dwóch siekaczy.

– No proszę, proszę – powiedział z silnym akcentem z północnego Cork. – Duży pierwszy raz przysłała taką fajną laskę z dostawą szlugów.

– Duży dba o to, żeby ci dogadzać.

– Nie wiem, czy Duży by mi dogodził, ale ty byś chyba mogła. Jak ci na imię?

– Sidhe. S-i-d-h-e, tak jak „się wie”, a nie tak jak „ta, co się puszcza”. I pięćset jojo poproszę.

– Jasne, ale skąd mam wiedzieć, że szlugów jest tyle, ile zamówiłem? Może byś została chwilę i pomogła mi je policzyć, Sidhe, tak dla pewności. Bo jak zabraknie jednej paczki? Jak w kartonie będzie szparka? A ja bym tam wolał inną szparkę.

Kyna z przesadą wyduła usta.

– Straszny z ciebie zbok. Nie dzisiaj, Ali, roboty mam po łokcie, tyle jest dostaw. Może kiedyś, jak nie będzie takiego ruchu.

– Nie będę mógł się doczekać, skarbie.

Otworzył szufladę i odliczył pięćset euro. Nie dał ich jednak Kynie, tylko wyszedł zza lady, objął ją ramieniem w pasie i odprowadził do drzwi. Trzymał pieniądze poza jej zasięgiem i pocałował ją w usta. Daszek jego czapki stuknął o jej czoło.

– Chryste na dwóch kółkach! – zapał Benny, kiedy wsiadała do samochodu. – Aleś go zakręciła!

Ger aż się uśmiechnął; jego oczy ukryte były za olbrzymimi ciemnymi okularami.

– Po czymś takim w życiu nie zamówi szługów u Micky’ego Duggana, mówię ci! Jak było?

Miała ochotę splunąć i otrzeć usta, lecz Ali wciąż stał w drzwiach sklepu i patrzył; poruszył lekko palcem.

– Wyobraź sobie, że w misce curry usiadł przypadkiem borsuk – odparła. – Później curry się zeschło i stwardniało, a ty cmoknąłeś borsuka w dupę. Tak było.

Ger parsknął cienkim, chrapliwym śmiechem i Kyna wiedziała już, że zyskała jego zaufanie.



Przez następne trzy i pół godziny objeżdżali Blackpool, Shandon i Gurranabraher, dostarczając czarne torby pełne kartonów z papierosami do sklepów, pubów, biur i prywatnych domów. Kyna zniosła nawet jedną kierownikowi domu starców w Sunday’s Well, a także do tylnych drzwi kliniki dentystycznej przy Commons Road w Farranree.

Za każdym razem witano ją uśmiechami wdzięczności i uniesionymi kciukami, a dwóch klientów zaproponowało jej randki: młody pryszczaty agent obrotu nieruchomościami i właściciel pubu z białą brodą, który mógł być jej dziadkiem. Pieniądze zawsze przekazywano bez chwili wahania, a kiedy dostarczyła ostatnie trzy worki do baru Golden Shamrock w Blackpool, oszacowała utarg na grubo ponad jedenaście tysięcy euro.

Wreszcie Ger zatrzymał wóz przed pomalowanym na ceglasty kolor domem na skrzyżowaniu Leitrim Street i Pine Street, naprzeciwko pubu O’Keefe. Kiedyś mieścił się w nim sklep, teraz jednak duże okna wystawowe zaciągnięte były brudnymi, upstrzonymi przez muchy zasłonami.

– Po co tu stajemy? – zapytała Kyna. – Przecież szlugi już nam wyszły, co nie?

– Pilnuj swojego nosa, dziewczyno, i czekaj tu na mnie – nakazał Ger, wysiadając z samochodu; nie podszedł jednak do drzwi frontowych, tylko do bocznej furtki, otworzył ją i zniknął w środku.

– Co tam jest, Benny? – odezwała się Kyna, lecz chłopak miał słuchawki w uszach i jej nie słyszał. Po paru minutach nagle je zdjął.

– Ale mi, kurwa, zaschło w gębie. Język mam jak Gandhi fajfusa. Muszę sobie colę przynieść.

– Mnie też byś przyniósł, jak już idziesz.

Benny wysiadł i skierował się do baru Brannagan's, który był dwa budynki dalej. Kyna poczekała trochę, lecz chłopak długo nie wracał, więc ona także wysiadła. Spojrzała w górę na ceglasty dom, ale nie zauważyła, by ktoś wyglądał na nią z okien na piętrze. Zbliżyła się do bocznej furtki, otworzyła ją i szybko weszła. Znalazła się na zagraconym podwórzu z koszami na kółkach i rowerem; leżała tam sterta okien z popękkanymi szybami, była także klatka dla królika, którą ktoś rozwalil na pół, a później naprawił byle jak za pomocą sklejk i kawałka poszarpanego kabla. Królik siedział na warstwie bobków i wpatrywał się w Kynę wyłupiastymi ślepiami, jakby miał próżną nadzieję, że przyszedł go oswobodzić.

Tylne drzwi domu były otwarte i Kyna widziała kuchenny zlew z brudnymi talerzami i wyszczerbione drzwiczki szafki. Słyszała jakieś głosy: kobieta skarżyła się na coś głośno i natarczywie, a dwa męskie głosy zlewały się ze sobą; jeden z nich należał do Gera.

Podeszła do drzwi i pchnęła je lekko. Tamci najwyraźniej byli na piętrze, więc ruszyła ostrożnie, przecięła kuchnię i weszła do korytarza. Dom był rozpaczliwie zaniedbany. Tapeta w kwiaty, przylepiona do wilgotnych ścian, całkowicie się odbarwiła, a jasnoczekoladowy chodnik na schodach był przetarty i czerniły się na nim plamy pleśni. Kyna zbliżyła się do schodów i spojrzała w górę. Głosy brzmiały tak, jakby dobiegały z pokoju tuż obok schodów po lewej stronie, i choć drzwi były zamknięte, snuł się

zza nich dym papierosowy. Była prawie pewna, że jest tam Ger i z kimś rozmawia, prawdopodobnie z osobą, którą Bobby Quilty nazwał Chiselem.

Serce biło jej bardzo mocno, bo istniała możliwość, że Ger otworzy raptem drzwi i ją zobaczy. Nie było jednak sensu zawracać. Benny zapewne już wrócił z colą, zobaczy, że Kyna wychodzi z domu i tak czy owak powie o tym Gerowi.

Miała w pogotowiu pretekst, którym wytłumaczyłaby się z tego, że weszła za Gerem, lecz żeby się nim posłużyć, musiała iść dalej. Chwyciła poręcz, wahała się przez kilka sekund, a potem ruszyła schodami w górę. Skrzypiały głośno, ale nieznajoma kobieta zrzędziła, a Ger ją beształ, więc na pewno nie słyszeli kroków.

Wspięła się na szczyt schodów, na palcach podeszła w prawo i uchyliła pierwsze drzwi. Była to łazienka z podwiniętym linoleum oraz wanną z ciekącymi kurkami. Wnętrze sedesu zaszło rdzawym brązem, drewniana deska odpadła i stała z boku oparta o ścianę.

Kyna otworzyła następne drzwi, musiała to zrobić ostrożnie, bo obluzowana klamka zachrobotła przy poruszeniu. Pomieszczenie cuchnęło, jakby ktoś w nim spał. Źle dopasowane pomarańczowe zasłony były zaciągnięte, na podłodze zaś leżał pełnowymiarowy materac ze zwiniętym prześcieradłem; na poduszkach widać było odciski dwóch głów. Zamszowy fotel zawalony był ubraniami, męskimi i damskimi; były wśród nich duże poplamione białe majtki.

Właśnie zamykała drzwi, kiedy doszły do niej słowa Gera:

– Jak się trzyma nasz koleżka, Sorcia? Robił ci jakieś wstręty?

Kobieta powiedziała coś, czego Kyna nie zdołała usłyszeć, ale po chwili tamta musiała się odwrócić, bo dobiegły jej słowa:

– ...krzyczy, jęczy i stęka, więc daję mu paracetamol i każę się zamknąć. Mam to w nosie. Nie lubię, jak ktoś tak cierpi.

Pamiętam, jak mama była...

Kyna zamarła, wciąż stojąc na palcach, i wstrzymała oddech. Ger i kobieta znajdowali się blisko drzwi; słyszała ich wyraźnie.

Odezwał się także ten drugi mężczyzna, lecz nie rozróżniła jego słów; zorientowała się tylko, że ma silny akcent z południowego Cork.

Podeszła do kolejnych drzwi. Na ścianie obok nich wisiał oprawiony w ramkę wyblakły obrazek przedstawiający papieża Pawła VI, który unosił dwa palce w geście błogosławieństwa. Nacisnęła klamkę; drzwi były zamknięte, ale tkwił w nich klucz. Otworzyła je i pchnęła powoli.

Wewnątrz panował ponury półmrok; zasłona była zaciągnięta. Smród był jeszcze gorszy niż w tamtym pokoju, kwaśny i cierpki, lecz z mdlącą słodkawą domieszką. W powietrzu latało kilka much plujek, parę innych brzęczało i tłuło się o szybę.

Nie od razu poznała Johna, mimo że spotkali się sześć lub siedem razy i widziała dziesiątki jego zdjęć w czasie, gdy mieszkał z Katie. Spał na pojedynczym łóżku, całkowicie obnażony. Jego twarz, zatrważająco biała i lśniąca od potu, przypominała marmurowy posąg; usta miał jednak otwarte i chrapał.

Zbliżyła się do niego, zatykając dłonią nos i usta, i zobaczyła, że obie jego stopy zostały przymocowane do drewnianej deski na końcu łóżka za pomocą metalowych bolców. Wokół krwawych stygmatów tłoczyły się lśniąca zielone muchy. Zabrudził materac i widać było, że wewnętrzna strona ud usmarowana jest ciemnożółtymi odchodami.

Położyła mu rękę na ramieniu i potrząsnęła nim delikatnie.

– John? – szepnęła. – John, słyszysz mnie?

Poruszył się i jęknął jak trzeszczące drzwi, ale nie otworzył oczu. Kyna potrząsnęła go drugi raz, mocniej.

– John, zbudź się! John!

Wydał sapiący dźwięk i otworzył ciemnoniebieskie oczy; patrzył na nią pustym wzrokiem.

– Wydostaniemy cię stąd. Więc bądź silny, dobrze? Katie o tobie nie zapomniała, ona cię kocha. Rozumiesz mnie?

Ściągnął brwi.

– Kyna... to ty? – Rozejrzał się po pokoju. – Gdzie jestem?

– Trzymają cię tu w zamknięciu, ale wkrótce cię wydostaniemy, przyrzekam.

Usłyszała kaszel Gera i głos kobiety. Wyszła na palcach z pokoju i zamknęła drzwi. Była w połowie schodów, kiedy drzwi na górze nagle się otworzyły i ukazał się chudzielec w czarnej koszulce, z paskiem splątany w supeł dla podtrzymania dżinsów. Tuż za nim wynurzył się Ger i piersiasta młoda kobieta w chuście. Musieli wszyscy troje palić, bo wychynęli w obłoku dymu niczym postacie w pantomimie.

– Sidhe, co ty tu robisz, na Boga? – zapytał Ger. – Kazałem ci czekać w samochodzie, nie?

– Pęcherz mi pęka, muszę siknąć – odparła Kyna. – Przecież na ulicy się nie wysikam.

– Mogłaś iść do pubu, kurwa.

– Och, daj dziewczynie spokój, co? – odezwała się cycata. – Skąpiradło z ciebie, Ger, zakonnicy byś nie dał skórki od chleba!

– Dostyc tego, Sorcia, bo ci przywałę! – warknął Ger. – Nie wchodziłaś tam, Sidhe, co?

– Gdzie? – odpowiedziała pytaniem Kyna.

– Tam. – Wskazał zamknięte drzwi, za którymi był John. – Do jego pokoju.

– Po co? Chcę tylko iść do kibla.

Ger uśmiechnął się oblesnie i spomiędzy jego zębów wysączyła się smużka dymu z papierosa, którego przed chwilą wypalił.

– A to dziwne, bo myślałem, że to ty jesteś kibel.

Chudzielec parsknął jak osioł, ale Sorcia otworzyła drzwi łazienki.

– Proszę, kochana. Tam jest. Wybacz, że taki syf. Chisel stale obiecuje, że naprawi deskę, ale zawsze woli sobie najpierw walnąć w żyłę i potem nie wie, gdzie jest początek śrubokrętu, a gdzie koniec.

– Święty Jezu, Sorcia, dostyc się już ciebie nasłuchałem! – zaprotestował Chisel.

Kyna weszła do łazienki i zamknęła drzwi. Odkręciła kurek w umywalce, żeby słycać było strumień wody, a później wyjęła telefon i wysłała do Katie wiadomość tekstową. Podała jej numer domu i położenie pokoju, w którym znajdował się John; napisała także o tym, że ma stopy przyśrubowane do łóżka. Poza Chiselem i Sorcią nikogo innego w budynku nie zauważyła, nie widziała również broni palnej, co jednak nie znaczyło, że jej nie mają ani że ktoś z gangu Quilty'ego nie pilnuje domu.

Ger zapukał w drzwi łazienki.

– Gazem, gazem, kurwa, bo nie będziemy tu sterczeć cały dzień!

– Już idę! – odkrzyknęła Kyna i nacisnęła rączkę zbiornika.

– Teraz lepiej? – spytał, kiedy wyszła. Mimo że przed chwilą się na nią złościł, miała pewność, że ją lubi i robi niemal wszystko, jeśli go poprosi. Największą przyjemność sprawiłby jej, kładąc się przed nią na ziemi tak, by mogła mu nadepnąć z całej siły na gębę.

Rozdział 20

Katie rozmawiała z Mathew McElveyem w biurze prasowym komendy, kiedy zadzwęczał jej iPhone i zobaczyła SMS-a od Kyny.

– Absolutnie się zgadzam z panią nadkomisarz. W sprawie Langtrych musimy postępować bardzo dyplomatycznie. Nie chcemy, żeby Garda rozdzierała dawne rany, ale z drugiej strony, tak jak wspomniała pani w czasie konferencji, wolelibyśmy nie marnotrawić pieniędzy podatników na poszukiwanie mordercy, który od dawna leży w grobie. Mimo to uważam, że istnieje w społeczeństwie ogromna potrzeba, by wiedzieć, kto zamordował Langtrych i dlaczego, zwłaszcza jeśli się okaże, że Radha Langtry miała romans z brytyjskim oficerem, i to Brytole ich zastrzelili. Odebrałem dzisiaj rano telefon od Stephena Wrighta z londyńskiego „Daily Mail”, bardzo chciałby się dowiedzieć, czy...

– Proszę wybaczyć, Mathew, że panu przerywam – wpadła mu w słowo Katie. – Mam pilną sprawę, którą natychmiast muszę się zająć. Później się do pana odezwę, jeśli można.

– Dobrze, oczywiście. Ale trzymam kciuki za to, co powiedzą w serwisie informacyjnym, naprawdę.

Katie pomknęła do swojego gabinetu i natychmiast zadzwoniła do detektywa inspektora O'Rourke'a, detektywa sierżanta Begleya i do detektywów O'Donovana, Dooleya i Scanlan. Włączyła komputer stacjonarny i otworzyła mapę miasta Cork, a następnie zrobiła zbliżenie na ulicę z budynkiem, w którym więziono Johna.

Pierwszy raz od czasu, gdy Bobby Quilty złożył jej wizytę i oznajmił, że uprowadził Johna, poczuła w żyłach adrenalinę. Znowu panowała nad sytuacją, mimo że nadal targał nią niepokój o los Johna. *J. ma stopy przyśrubowane do łóżka*, napisała w SMS-ie Kyna. Stopy przyśrubowane do łóżka? Nawet sobie nie wyobrażała, jakie to muszą być dla niego tortury. Może Kyna miała na myśli to, że jego kostki są skrępowane kajdankami. Tylko się modlić, żeby tak było.

Czekając na przybycie O'Rourke'a i czterech pozostałych detektywów, zadzwoniła do Billa Phinnera. Bill już wyszedł, ale odebrał Tyrone Daley. Nie zdążył jeszcze powiększyć zdjęć land rovera w Boycestown oraz dwóch mężczyzn, którzy obserwowali, jak się pali, ale kiedy Katie powiedziała mu, że stało się to bardzo pilne, dał słowo, że rzuci wszystko inne i poświęci sprawie całą uwagę.

O'Rourke przyszedł z wypitą do połowy herbatą w plastikowym kubku, O'Donovan zaś niósł dużą torbę ze sklepu odzieżowego i puste pudełko po kanapkach; widać było, że szykował się, by iść do domu.

– To Bobby Quilty – powiedziała, kiedy wszyscy znaleźli się w jej gabinecie. Wstała i odwróciła monitor tak, żeby widzieli obraz. – Wypadki potoczyły się szybciej, niż przypuszczałam.

– Znaczą, jakie wypadki? – zdziwił się inspektor O'Rourke. – Mamy przecież przymykać oczy na Quilty'ego? Taki przykaz padł z ust naszego pana i władcy Jimmy'ego O'Reilly'ego we własnej osobie.

– Jeszcze pięć minut temu przymykaliśmy oko, Francis. Ale Jimmy O'Reilly robił to z zupełnie innych powodów niż te, którymi ja się kieruję. Jemu zależało, żebyśmy nie aresztowali ulicznych handlarzy Quilty'ego, bo sądy i tak puszczają ich wolno lub całkowicie uchylają zarzuty. Moim celem było uratowanie pewnej osoby przed okaleczeniem albo nawet śmiercią.

– To znaczy kogo konkretnie?

– Znaczą go. Nazywa się John Meagher. Mój były, można to tak określić.

W dużym skrócie, trzymając emocje pod kontrolą, wytłumaczyła, jak Quilty wziął Johna na zakładnika i zagroził, że go oślepi lub zamorduje, jeśli ona nie zaprzestanie działań skierowanych przeciwko jego szmuglerskiemu biznesowi i nie zrezygnuje z poszukiwania dowodów świadczących o tym, że Quilty miał związek ze śmiercią detektywa Barry'ego.

– Ale ja nie mogłam tak po prostu usiąść i mu odpuścić. – Opowiedziała detektywom o tym, jak poprosiła Kynę, żeby przeniknęła do gangu Quilty'ego i ustaliła dokładnie miejsce, w którym przetrzymywano Johna. – Miałam wielkie opory przed tym – dodała. – No pewnie, że miałam. Ale nie znałam nikogo innego, komu mogłabym na tyle zaufać i kogo Bobby Quilty by nie rozpoznał.

Detektyw sierżant Begley pokręcił z podziwem głową.

– Ale zuch dziewczyna z tej Kyny. Matko święta, przecież ona jeszcze nie wyzdrowiała po postrzale.

Żaden z obecnych nie zakwestionował sposobu postępowania Katie, jakkolwiek znała Begleya i z jego miny wyczytała, że zrobiłby coś zupełnie innego. Nie bacząc na to, że naraża swoją karierę zawodową, zgarnąłby Quilty'ego i poddał takiemu „przesłuchaniu”, że ten bez wahania ujawniłby miejsce pobytu Johna. Katie niewiele o tych przesłuchaniach wiedziała poza tym, że czasem odbywały się z użyciem kija od szczotki i kleszczy do drewna.

– To jeszcze nie wszystko – ciągnęła. – Jestem prawie pewna, że znam tożsamość kierowcy, który zabił detektywa Barry'ego.

– Co, ktoś sypanął? – zapytał O'Donovan.

– Niezupełnie. Ale dzisiaj rano przyjęto do schroniska Walnut Tree pewną kobietą, ofiarę przemocy domowej. Powiedziała, że jej mąż pochwalił się, że to zrobił. Nie dość na tym, bo mówił jeszcze, że był z nim wtedy Bobby Quilty, siedział na fotelu pasażera i w sposób jednoznaczny go do tego nakłaniał. Mąż nazywa się Darragh Murphy. Któremuś z was kojarzy się to nazwisko? Darragh Murphy.

– Mnie się kojarzy, pani nadkomisarz, i to jak – odezwała się detektyw Scanlan, podnosząc rękę, jakby była w szkole. – Musiałam go zgarniać cztery czy pięć razy, kiedy zajmowałam się klubami, przeważnie za handel koką, w której było siedemdziesiąt pięć procent środka przeczyszczającego dla dzieci. Starzy klienci przezywali go Darragh Sraczka. O ile mi wiadomo, mieszka nadal w Parklands.

– Owszem, to się zgadza – potwierdziła Katie. – Żona opowiedziała mi o nim, bo bije ją tak dotkliwie, że chce go posłać za kratki. Samo jej słowo nie wystarczy, żeby mu postawić zarzuty i liczyć na wyrok skazujący, ale teraz mamy zdjęcia od tych holenderskich cyklistów. Widać na nich dwóch facetów podpalających land rovera. Są bardzo zamazane, ale Tyrone właśnie je obrabia. Przy odrobinie szczęścia uda nam się jednego z nich zidentyfikować i prawdopodobnie będzie to Darragh Murphy.

– A więc jaki jest plan, pani nadkomisarz? – chciał wiedzieć Dooley.

– Pomówię teraz z komendantem MacCostagáinem i nadkomisarzem Pearse'em. Myślę o tym, żeby jutro z samego rana, jeśli to możliwe, zorganizować równocześnie trzy naloty. Jeden oddział zgarnąłby Quilty'ego, drugi Darragha Murphy'ego, a trzeci uratowałby Johna Meaghera.

– Ale to będzie wymagało niesamowitej organizacji. – O'Rourke westchnął i zerknął na zegarek. – Dochodzi siedemnasta trzydzieści. Będzie bardzo mało czasu, jeśli Jimmy O'Reilly w ogóle się zgodzi, a znacie go przecież. Będzie kwękał i stękał, a to że logistyka, a to że koszty nadgodzin, a to że dowody niepewne, a ile kosztuje stanik na English Market.

– Wiem – przyznała Katie. – Ale w tej sytuacji nie wolno nam się ociągać. Im dłużej zwlekamy, tym większe jest zagrożenie dla Kyny i Johna. Tak, ma pan rację, nie będzie łatwo taką akcją zorganizować, bo musi być idealnie skoordynowana, jestem jednak pewna, że damy radę. Mówiąc „równocześnie”, miałam na myśli to, że wszystkie naloty muszą być zsynchronizowane co

do sekundy. Nie mam cienia wątpliwości, że jeśli Bobby Quilty zwietrzy, co planujemy, zanim uda nam się go zgarnąć, każe zabić Johna w odwecie za to, że zламаłam umowę. Darragha Murphy'ego również, żeby nie mógł przeciw niemu zeznawać.

– Naprawdę pani myśli, że poszedłby na takie ryzyko? – spytał O'Rourke.

– Zna pan Quilty'ego lepiej niż ja. Jeśli coś robi, należy liczyć się z najgorszym, co może się zdarzyć, a następnie pomnożyć to przez dwa. Zanim wkroczymy do któregoś z lokali, będę musiała mieć pewność, że facet jest u siebie. Muszę też wiedzieć, że jego stałe łącze telefoniczne jest odcięte, a telefon komórkowy zablokowany, a zatem, po pierwsze musimy go osaczyć, po drugie całkowicie uniemożliwić mu komunikację.

W tej chwili zadzwonił jej telefon. Tyrone informował, że wysłał na jej adres e-mailowy jedenaście podrasowanych zdjęć, które zrobili holenderscy rowerzyści.

– Wszystkie zdjęcia są przymulone – tłumaczył. – Zastosowałem filtry i wyostrzenie. I w końcu udało mi się uzyskać całkiem niezły kontrast dzięki nowemu gadżetowi Fuji, który Bill niedawno zakupił, no, rewelacja.

– Da się wyraźnie zobaczyć twarze tych mężczyzn? – chciała wiedzieć Katie.

– Tak, da się. Jednego widać z profilu, stoi jakby bokiem, ale chyba można go będzie jednoznacznie zidentyfikować, bo rysy są bardzo charakterystyczne. Nochala ma tak długiego, że pies by mógł po nim spacerować. Drugiego widać en face, gdy odwraca głowę w czasie eksplozji baku, a kiedy podostrzyłem obraz, zdjęcie wygląda prawie jak policyjna fotka. Prawdziwy zakapior, mówię pani. Takiemu to lepiej nie rozlać przypadkiem drinka w barze.

Katie podeszła do biurka i kliknięciem powiększyła zdjęcia na ekranie. Widać było trawiastą polną drogę, płonącego land rovera, unoszący się z niego gęsty czarny dym i dwóch mężczyzn, którzy się temu przyglądają. Ten, który odwrócił głowę w stronę aparatu, miał na sobie czarną koszulkę z białym

napisem *Cork Hurling*; taką samą nosił kierowca land rovera, którego zarejestrowała kamera monitoringu. Obaj się śmiali. Tyrone zdołał w większości zniwelować zamazanie spowodowane ruchem i zdjęcia były wyjątkowo ostre – tak wyraźne, że sąd dopuściłby je jako dowody w rozprawie.

Detektyw Scanlan podeszła i stanęła obok Katie.

– O mój Boże, to Darragh Murphy, bez dwóch zdań! Zapamiętał brodę od tego czasu, kiedy go ostatnio widziałam, ale to on we własnej osobie. I wiem, co to za jeden, ten gość obok, ten z wielkim nosem. Najlepszy kumpel Darragha, Murty Jakiś-tam, nie pamiętam, jak się nazywa. Chyba w ogóle nie poznałam jego nazwiska. Ale wiem, że wszędzie się włóczy za Darraghiem i jęczy przez ten swój nochal: „Gdzie teraz idziemy, Darragh?”, „Co teraz robimy, Darragh?”, „Daj pociągnąć łyk z puszki, Darragh”; tamten co rusz wali go po łbie, ale jemu to jakby nie przeszkadzało.

– Teraz potrzebna jest tylko jedna postronna osoba, która tego dnia widziała Darragha za kółkiem – powiedziała Katie. – Będziemy mieli wszystkie dowody potrzebne do postawienia mu zarzutów.

– Zakładając, że znajdziemy osobę postronną, która nie będzie się bała stanąć w sądzie i oświadczyć, że go widziała – zauważył O'Rourke.

– Ten most pokonamy, kiedy do niego dotrzemy – odparła Katie i zaraz tego pożałowała, uprzytomniwszy sobie, w jakim miejscu zabito Barry'ego. – Pójdę teraz do komendanta. Później wszyscy się spotkamy i ustalimy szczegółowo, jak zorganizować tę akcję.

– Wyobrażam sobie, że trzeba będzie wezwać uzbrojone wsparcie – odezwał się Begley.

– Oczywiście – potwierdziła Katie. – Co najmniej trzech oprychów Quilty'ego siedziało już za posiadanie broni i nie mam powodu sądzić, że i teraz jej nie mają. Będziemy potrzebowali minimum trzech regionalnych jednostek wsparcia, co najmniej jednej na każdą lokalizację. Sean, jeśli Padragain ściągnie plany

terenu i zdjęcia satelitarne, może pan oszacować, jak liczna grupa będzie nam potrzebna? Lepiej, żeby nikt z ludzi Quilty'ego nie wymknął się tylnymi drzwiami tylko dlatego, że nie rozmieścimy tyłu funkcjonariuszy, by wystarczyło do otoczenia całego budynku.

Inspektor O'Rourke spojrział na nią z uwagą.

– Pani nadkomisarz, modłę się, żeby wszystko ułożyło się po pani myśli.

Dotknęła jego ręki i ruchem ust powiedziała „Dziękuję”. Następnie wzięła laptopa i wyszła z gabinetu, żeby rozmówić się z MacCostagáinem i nadkomisarzem Pearse'em.

Idąc korytarzem, wzięła trzy głębokie oddechy, żeby się uspokoić. To nie będzie łatwe. Komendant zaplanował sobie od jutra trzydniowy urlop, miał grać w golfa w Fota, nadkomisarza zaś zaproszono na kolację w loży masońskiej przy Tuckey Street; miał tam wygłosić mowę i sposobił się do tego od tygodni.

Bóg jeden mógł wiedzieć, jak ci dwaj zareagują, kiedy Katie oznajmi im, że chce zorganizować wielką akcję, której celem ma być uratowanie Johna i jednoczesne aresztowanie Quilty'ego i Murphy'ego. Co więcej, chciała zaproponować, by akcja odbyła się nazajutrz rano, przed świtem. Słońce wzejdzie o piątej dwadzieścia siedem, a to znaczyło, że czeka ich cała noc gorączkowych przygotowań.

Rozpaczliwie żałowała, że nie może się skontaktować z Kyną. Wiedziała, gdzie znajduje się telefon komórkowy należący do „Sheelagh Danehy”, bo zleciła jednemu z techników komunikacyjnych, żeby ją namierzał; nie powiedziała jednak, kto ma w tej chwili ten aparat. Choć szczerze mówiąc, nie wiedziała na pewno, czy Kyna nadal go ma, a nawet gdyby mogła to sprawdzić, nie była w stanie określić, w jakim dziewczyna jest położeniu. Nawet wysłanie zakodowanej wiadomości mogło ją narazić na niebezpieczeństwo. Bobby Quilty przez trzydzieści lat unikał więzienia dzięki temu, że paranoicznie nie ufał nikomu, kto znalazł się w jego pobliżu, i że szybko i bezwzględnie rozprawiał się z każdym, kogo podejrzewał o zdradę.

Gdyby w chwili aresztowania Quilty'ego była z nim Kyna, policja musiałaby ją także aresztować, dla jej bezpieczeństwa; w każdym razie Kyna nigdy więcej nie mogłaby służyć w Cork. Przynajmniej rozwiązałyby to jej problemy emocjonalne, skonstatowała ze smutkiem Katie.



– No, chyba sobie kpisz – rzucił komendant MacCostagáin. – Proszę cię, powiedz, że to jest żart.

Właśnie zapinał zatrzaski aktówki, kiedy Katie zapukała do drzwi jego gabinetu. Weszła i nakreśliła plan operacji Trójzęb; taki kryptonim postanowiła nadać akcji, kiedy szła korytarzem.

– Bardzo bym tego chciała – odparła. – Ale mam nadzieję, że rozumie pan, dlaczego nie powiedziałam wcześniej o uprowadzeniu Johna. Poczuliście się pan zobligowany do tego, by zorganizować poszukiwania, zwłaszcza że ma pan w pamięci sprawę O'Briena. A moim zdaniem byłoby to stanowczo zbyt ryzykowne.

Określenie „sprawa O'Briena” dotyczyła porwania sprzed trzech lat; na żądanie porywacza MacCostagáin zgodził się wtedy, że nie będzie poszukiwał ofiary, żony zamożnego dewelopera budowlanego z Cork. Okup zapłacono, ale kobieta nie wróciła i nie odnaleziono jej zwłok. Komendant dostał surową naganę i omal nie stracił posady.

– Mógłbym zarządzić poszukiwania albo mógłbym nie zarządzić – odparł. – Mam zaufanie do twojej intuicji, Katie, wiesz o tym. Powinnaś była mi to zgłosić od razu. A ty zachowałeś to dla siebie, posłużyłaś się detektyw sierżant Ni Nuallán, żeby znaleźć porwanego. Wszystko to było wysoce nieregulaminowe. A jeżeli ta akcja nie wypali, odłamki znowu spadną na mnie.

– Zdaję sobie z tego sprawę, panie komendancie. Jednak moim głównym celem było to, by uratować Johna. Chciałam, żeby wyszedł z tego żywy i cały, i ten cel się nie zmienił. Poza tym, jeśli zdołam go ocalić, Quilty nie będzie już miał na mnie haka. Ale jest kwestią newralgiczną, żebyśmy zgarnęli Quilty'ego, zanim wyśle wiadomość do osoby, która trzyma Johna pod

kluczem. Musimy także zgarnąć Darragha Murphy'ego, choćby dla jego własnego bezpieczeństwa.

Nie dodała, że wcale nie ma przekonania, że na Anglesea można się czuć bezpiecznie. Nadal podejrzewała, iż są funkcjonariusze, którzy pobierają opłaty od przestępców w zamian za pożyteczne cynki. Bała się, że nawet jeśli w ciągu paru godzin uda się ruszyć z operacją Trójzab, Quilty dowie się, że Katie zdobyła wystarczające dowody, by go aresztować, i że odkryła, gdzie przetrzymywany jest John.

– Jestem gotowa trwać przy swojej decyzji, w stu procentach – oznajmiła. – Myślę, że w tej sytuacji postąpiłam całkowicie słusznie. Proszę się zastanowić. Jeśli akcja przebiegnie zgodnie z planem, upieczemy trzy pieczenie na jednym ogniu. Ocalimy Johna, aresztujemy Quilty'ego i Murphy'ego za zabójstwo i położymy kres szmuglowi papierosów.

MacCostagáin usiadł przy biurku.

– No dobrze – odezwał się w końcu tonem człowieka, który myśli: No i zegnaj golfowy weekendzie. – Pokaż te zdjęcia. I byłoby dobrze, żeby Michael też je zobaczył. Szlag go trafi, co do tego mogę cię zapewnić.



Jak się okazało, nadkomisarz Pearse wcale nie był zły, że będzie musiał odwołać wystąpienie w siedzibie loży wolnomularskiej. Mógł zlecić operację Trójzab inspektorowi O'Halloranowi, zwłaszcza że ten miał ośmioletnie doświadczenie w organizowaniu równoczesnych nalotów na gangi handlarzy narkotyków i transgranicznych złodziei samochodów; on jednak nalegał, że osobiście pokieruje aresztowaniem Quilty'ego.

– Nie będę robił z tego tajemnicy, Katie – mówił. – To sprawa osobista. Kiedy ostatnio zwinąłem Bobby'ego Quilty'ego... no, przecież pamiętasz... wyszedł z sądu i pokazał mi dwa uniesione palce, bo nic nie mogłem udowodnić. Mojego głównego świadka znaleziono utopionego w dokach Tivoli i nie dało się udowodnić, że nie popełnił samobójstwa; a pozostali dwaj całkiem zniknęli

z powierzchni ziemi. Pięć lat minęło, a ja do dziś dnia nie wiem, co się z nimi stało.

– Szkoda tylko, że nici z twojego przemówienia, Michael – wtrącił cierpko komendant.

– Cóż, to drugi powód, dla którego chcę wziąć na siebie tę operację. Bałem się tego, szczerze ci powiem. Na ślubie córki musiałem wstać i wygłosić mowę, i marnie wypadła. Ta miała być zatytułowana „Przyszłość wymiaru ścigania w mieście Cork i okolicy, ze szczególnym uwzględnieniem ludności napływowej i relacji społecznych”.

– Jestem pewny, że członkowie loży będą zdruzgotani – powiedział MacCostagáin. – Ale wiesz, Michael, takie wspaniałe przemówienie nie musi pójść na marne. Kiedy znów nie będę mógł zasnąć, zadzwonię do ciebie, a ty odczytasz mi je przez telefon.

Po tej wymianie zdań nie było więcej przekomarzania się. Mimo że obaj nie pochwalali metody, dzięki której Katie ustaliła miejsce pobytu Johna, musieli przyznać, że nadarza się rzadka okazja, by wsadzić Quilty’ego za kratki.

Katie i nadkomisarz siedzieli cierpliwie i czekali, a tymczasem komendant toczył długą rozmowę telefoniczną z zastępcą komendanta głównego O’Reillym, który przebywał tego dnia w Dublinie. Obszernie wyjaśniał, co zaszło i co zamierzają przedsięwziąć, oraz jakie mogą być koszty w porównaniu z wynikami.

Wreszcie odłożył słuchawkę.

– Mamy zielone światło. Jimmy zgodził się, że jeśli uda nam się skazać Quilty’ego za morderstwo policjanta i ukrócić przemyt papierosów, będziemy mieli powód do dumy nie tylko w Phoenix Park, ale także przed rządem. Bo ostatecznie władzom nic to nie daje, że podnoszą cenę fajek, jeśli nie można tego później egzekwować.

Teraz, mając aprobatę zastępcy komendanta głównego, musieli działać szybko. Nadkomisarz Pearse wezwał pięciu najstarszych stopniem mundurowych, którzy mieli wziąć udział

w operacji Trójzab. W niespełna dwadzieścia minut zebrali się przy stole konferencyjnym na naradę, której przewodniczyła Katie. Potem nastąpiła krótka odprawa dla sześćdziesięciu trzech funkcjonariuszy, którzy mieli otoczyć wszystkie trzy lokale. Podzielono ich na trzy oddziały: pomarańczowy, zielony i biały. W ich skład weszło także ośmiu detektywów i pięć uzbrojonych regionalnych jednostek wsparcia, z których dwie przyjechały z komendy Gardy przy Henry Street w Limerick. Na Leitrim Street miała stanąć karetka, w razie gdyby John potrzebował pomocy medycznej.

– Chcę z całą mocą podkreślić, jak ważna będzie koordynacja czasowa tej akcji – powiedziała Katie na zakończenie narady. – Musimy wkroczyć do wszystkich trzech lokali punktualnie o czwartej trzydzieści. Kluczową rolę odegrają elementy szybkości i zaskoczenia. Jeśli nie będziecie mogli się dostać do środka, nie naciskacie dzwonków, tylko od razu wyważacie drzwi i używacie broni szturmowej. Chcę, żeby wszystkie trzy naloty zakończyły się w czasie poniżej trzech minut i żeby przed piątą aresztanci byli tutaj, gotowi do postawienia zarzutów i przesłuchania.

– Nie poinformuje pani mediów? – spytał Mathew McElvey. – Wyszłyby z tego fantastyczne newsy do serwisów informacyjnych.

– Nie ma mowy, Mathew, przykro mi. Im mniej osób wie z wyprzedzeniem o akcji, tym lepiej. Oświadczenie wydamy, kiedy Quilty i Murphy będą siedzieli w celach. Wszyscy już usłyszeli ostrzeżenie, żeby nie informować rodzin ani znajomych, dlaczego jesteście dzisiaj na służbie. Tym bardziej dotyczy to każdego dziennikarza, którego znacie.

Po odprawie cała trójka wróciła do gabinetu komendanta. Jego osobista asystentka przyniosła kanapki, kawę oraz dwie butelki wody mineralnej. Katie stała przy oknie i pijąc kawę, patrzyła na światła Cork. Ani trochę nie odczuwała głodu.

– Postanowiłaś już, z którym oddziałem pójdziesz? – spytał MacCostagáin, siadając przy biurku i odgryzając kęs kanapki.

– Z pomarańczowym. Chcę osobiście aresztować Quilty’ego. Poza tym właśnie dostałam uaktualnione namiary telefonu Kyny. Jest znów w jego domu przy Tivoli Glanmire Road, w Tivoli Park czy jak to się tam nazywa. Muszę dopilnować, by wróciła cała i zdrowa.

– Więc nie pojedziesz z białymi, żeby ratować swojego Johna?

– Nie mogę być w dwóch miejscach naraz, panie komendancie.

MacCostagáin milczał dłuższą chwilę.

– Znam to uczucie, Katie. Tkwię tutaj w terażniejszości, a chciałbym być w przeszłości.

Mathew McElvey zapukał do drzwi i wszedł.

– Chociaż raz Taoiseach wyświadczył nam przysługę!

– Jaką przysługę? – zdziwił się komendant. – Słyszałem, że miał lekki atak serca.

– Owszem, na naradzie europejskich ministrów finansów, a jakże. Ale to znaczy, że historia z rodziną Langtrych zeszła na drugi plan obu wydań dzisiejszych wieczornych serwisów.

– Ale wspomniano o niej? – chciała wiedzieć Katie. – Byłam zbyt zajęta naradą. Zapomniałam obejrzeć.

– Mam ją tutaj – oznajmił McElvey, unosząc tablet. Włączył go i Katie zobaczyła Fionnualę Sweeney, która stała na Anglesea przed komendą.

Policja w Cork potwierdziła w dniu dzisiejszym, że cztery ciała znalezione pod podłogą w Blarney należały do rodziny Langtrych, która w tajemniczych okolicznościach zaginęła w tysiąc dziewięćset dwudziestym pierwszym roku. Ojciec, matka i dwoje dzieci zostali zabici strzałami w tył głowy. Zastrzelono także psy należące do rodziny. Policja wszczęła śledztwo, którego celem jest ustalenie, kto mógł być odpowiedzialny za ten mord, jednak detektyw nadkomisarz Kathleen Maguire podkreśliła, że sprawa ma ponad dziewięćdziesiąt lat i nie nadaje się jej statusu priorytetowego.

– Co za ulga – rzucił komendant. – Ani słowa o potajemnych romansach z brytyjskimi oficerami czy o innych tego rodzaju

wariactwach. Jutro mamy przeprawę jak cholera, więc lepiej, żeby przeszłość nie kąsała nas w tyłki.

Rozdział 21

O czwartej dwadzieścia rano trzy zespoły biorące udział w operacji Trójzab były już rozlokowane w wyznaczonych punktach: pomarańczowy w Tivoli, zielony w Parklands, a biały na Leitrim Street.

Katie siedziała w nieoznakowanym granatowym opłu z detektywami O'Donovanem i Scanlan. Jakies dwieście metrów dalej przy Middle Glanmire Road, naprzeciwko wjazdu do Tivoli Park, widać było białe volvo XC70; czterech uzbrojonych funkcjonariuszy z regionalnej jednostki wsparcia czekało w nim na sygnał, by ruszyć do akcji. Pięciu innych, także wyposażonych w broń, zajęło pozycje w zagajniku za ogrodem domu Bobby'ego Quilty'ego; mieli dopilnować, żeby nie uciekł tamtą drogą.

– Trudno skapować, ile osób jest w środku. – O'Donovan nachylił się ku przednim fotelom. – Nie widziano nikogo wychodzącego, od kiedy zaczęliśmy obserwować dom, więc detektyw sierżant Ni Nuallán pewnie wciąż tam jest, podobnie jak dziewczyna Quilty'ego, Margot Beeney. Ale nie wiemy, czy jacyś ochroniarze zostali na noc.

– Cóż, wkrótce wejdziemy i przekonamy się – odparła Katie. – Miejmy nadzieję, że ktokolwiek tam jest, nie sprawi nam kłopotów.

Na sekundy przed rozpoczęciem akcji specjalnie przeszkoleni funkcjonariusze odetną linię telefoniczną i zablokują wszystkie telefony komórkowe mieszkańców domu. Normalna procedura polegała na tym, że najpierw pukano lub dzwono do drzwi, żeby podejrzany miał szansę otworzyć; Katie obawiała się jednak, że Quilty może mieć jakieś inne środki komunikacji,

i dlatego rozkazała po cichu wyważyć drzwi, nie ostrzegając go zawnazsu, że wkracza policja. Alarm antywłamaniowy miał zostać zablokowany, lecz jeśli gangster zainstalował system wysokiej jakości, ten prawie na pewno wykryje blokadę i zacznie dzwonić. Tyle tylko, że syreny większości alarmów zaczynają wyć dopiero po dwóch minutach, a tyle czasu powinno aż nadto wystarczyć pomarańczowym, by wedrzeć się do wnętrza domu.

O'Donovan uniósł głowę.

– Panie, czy ty prowadzisz nasłuch? Mam nadzieję, że nie kimasz sobie teraz na chmurce, bo będzie nam potrzebna pomocna dłoń tu, na dole.

Katie odwróciła się.

– Proszę pamiętać, że pańskie zadanie numer jeden polega na tym, by odszukać detektyw sierżant Ni Nuallán i zapewnić jej ochronę.

– Może pani na mnie liczyć, pani nadkomisarz – odparł. – Ja tylko składałem wnioszek o odrobinę boskiego wsparcia.

Do wschodu słońca zostało niewiele ponad godzinę, a mimo to niebo nadal było atramentowoczarne; utrzymywało się gęste zachmurzenie, prognoza zaś mówiła o tym, że chmury będą niskie i przez cały dzień będzie padało. Wczoraj było ciepło i pogodnie, ale kiedy Katie czekała na chwilę, gdy aresztuje Quilty'ego, łatwo jej było uwierzyć, że lato dobiegło już końca.

Nie dostała następnych SMS-ów od Kyny, ale ostatni sygnał z jej iPhone'a wskazywał, że aparat znajduje się wewnątrz domu. Usiłowała zepchnąć ją na margines świadomości – ją i Johna. Wcześniej pomodliła się do świętego Leonarda, żeby miał oboje w opiece; w tej chwili tylko tyle mogła zrobić.

W słuchawce, którą miała w uchu, zatrzeszczał głos inspektora O'Rourke'a:

– Zespół zielony na stanowisku i gotów do wejścia.

O'Rourke znajdował się na osiedlu Parklands na peryferiach Blackpool, przed domkiem bliźniakiem, w którym mieszkał Darragh Murphy. Gdy tylko Katie dostała zielone światło, by rozpocząć operację Trójzab, skierowała dwóch funkcjonariuszy

w cywilnych ubraniach do obserwacji budynku. Poinformowali, że Murphy przyjechał o dwudziestej trzeciej siedemnaście i musiał być pijany, bo rąbnął samochodem w niski betonowy murek odgradzający podwórze od frontu, a następnie w bramę garażu. Zdołał jakoś wysiąść z auta i dowlec się do drzwi, a potem przez ponad trzy minuty usiłował wetknąć klucz do zamka.

– Zespół biały gotów – zameldował detektyw sierżant Begley z Leitrim Street. Także i ten dom był przez cały wczorajszy wieczór pod obserwacją. Nie widziano, by ktoś wchodził lub wychodził, lecz funkcjonariusze jeszcze po północy słyszeli krzyki oraz kłótnie dwojga osób.

– Za szeregowymi domkami, obok podwórza za barem Brannagana, biegnie alejka – poinformował detektyw sierżant Begley. – Zabezpieczyliśmy ją. Jeśli nie mają helikoptera, który wylądaje na dachu, nikt nie wymknie się z tego miejsca tak, żebyśmy go nie dorwali.

– Jeszcze dwie i pół minuty, pani nadkomisarz – oznajmił O'Donovan.

– Dobra – rzuciła Katie. – Bierzmy się za nich.

Wysiadła z samochodu i w tej samej chwili minęło ją truchtem pięciu policjantów; zmierzali do domu Bobby'ego Quilty'ego, szeleszcząc mundurami bojowymi, grzechocząc pistoletami i stukając o chodnik butami na gumowych podszewkach. Wszyscy nosili czarne hełmy z goglami ochronnymi oraz czarne maski. Dwaj posuwali się za resztą, holując ciężki pojemnik, w którym był taran hydrauliczny.

Jeden funkcjonariusz przemknął chyłkiem między trzema lśniącymi samochodami zaparkowanymi przed domem i skierował się prosto do bocznej bramy, gdzie ulokowana była telefoniczna skrzynka przekaźnikowa. Drugi przykucnął w alejce dojazdowej, wyjął dwa przenośne, niewiele większe od paczki papierosów urządzenia do blokowania telefonów komórkowych oraz sygnałów radiowych i włączył je.

O'Donovan spojrzął na zegarek.

– Super. Jeżeli Quilty nie trzyma w sypialni gołębia pocztowego, jest kompletnie odcięty od świata zewnętrznego.

Katie spojrzała na okna sypialni domu. We wszystkich były zaciągnięte firanki i zasłony, i wszędzie było ciemno; tylko jedno górne światło paliło się na schodach na pierwszym piętrze.

– Myśli pani, że śpią? – zapytał O’Donovan.

– O, raczej tak, na pewno. Tamto światło zostawiają chyba na wypadek, gdy któreś musi w nocy skorzystać z kibelka. Bobby Quilty potrafi wyłopać tyle, że i kopuła katedry Świętego Pawła by tego nie pomieściła.

Katie miała na sobie kamizelkę kevlarową, a w jej kaburze biodrowej tkwił rewolwer Smith & Wesson; zajęła stanowisko w pewnym oddaleniu od obiektu. Pierwsze pięć sekund od siłowego wkroczenia do lokalu było bardzo nieprzewidywalne. Zatrzęsła się, mimo że noc była ciepła. Wiedziała z doświadczenia, że podejrzani bywają na ogół zbyt zaskoczeni, pijani lub naćpani, by stawić czynny opór, jednak raz na jakiś czas rozpętywało się piekło i następowała szaleńcza, chaotyczna wymiana ognia. Gdy służyła drugi tydzień w stopniu detektywa, jej kolega zginął od rykoszetu, a siedział w radiowozie po drugiej stronie ulicy.

– Trzydzieści sekund, pani nadkomisarz. Dwadzieścia. Piętnaście.

Funkcjonariusz, który zablokował sygnały telefonów komórkowych, włączył nadajnik radiowy zaprogramowany na zneutralizowanie alarmu. Katie obawiała się, że może to spowodować natychmiastowe włączenie systemu, ale panowała całkowita cisza. Raptem tankowiec na rzece Lee wydał donośny, pełen żalości ryk niczym wielorybia matka, która straciła młode.

– O rany! – jęknęła detektyw Scanlan siedząca tuż za Katie. – Aż mi serce zadygotało!

Dwaj funkcjonariusze, którzy obsługiwali taran hydrauliczny, wnieśli go szybko na ganek i umieścili poprzecznie jego potężny tłok. Czterej szturmowcy z regionalnej jednostki wsparcia

ustawili się w linii obok nich, gotowi wbiec do środka, gdy tylko otworzą się drzwi.

O'Donovan uniósł prawą rękę.

– Dziesięć. Pięć. Zero. Dobra, start!

Po trzech uderzeniach tarana rozległ się ostry trzask podobny do wystrzału i futryna została rozepchnięta. Później jedno kopnięcie przewróciło drzwi, które z głuchym łoskotem runęły na podłogę w przedpokoju. Czterej funkcjonariusze wbiegli do środka z okrzykiem:

– Uzbrojona policja!

Powtarzając okrzyk raz po raz, dopadli do schodów i zaczęli po nich wbiegać.

Katie wolałaby, żeby podczas wchodzenia do domu zachowali całkowitą ciszę, powstał jednak niedawno pewien problem natury prawnej, kiedy funkcjonariusze bez przedstawienia się wkroczyli do burdeli i dziupli narkotykowych w Cork; nie chciała, żeby Quilty miał choćby najmniejszą szansę wywinięcia się od wyroku skazującego. Wolała również nie dawać mu pretekstu do strzelania do policjantów, którzy wtargnęli bez ostrzeżenia do jego sypialni.

Weszła po wyważonych drzwiach do przedpokoju, a O'Donovan i Scanlan posuwali się tuż za nią. Spojrzała na brązową kołatkę i zobaczyła, że ma postać warczącego wilka. Drzwi wychodziły na zachód, co oznaczało, że kołatka w takim kształcie służy do odpędzania *Sluagh*, dusz umarłych grzeszników.

O'Donovan od razu skierował się w lewo do salonu i skinął na młodą funkcjonariuszkę O'Leary, żeby za nim podążyła. Katie wyznaczyła tej dwójce zadanie odnalezienia Kyny i jak najszybszego wyprowadzenia jej z budynku. Urządzenie namierzające sygnał z telefonu komórkowego, które miał O'Donovan, pokazywało, że aparat Sheelagh Danehy znajduje się na parterze w tylnej części domu.

Katie dotarła do samego końca korytarza i usłyszała chrapliwe krzyki dochodzące od schodów.

– Chodźmy! – rzuciła do Scanlan. Była w połowie wysokości schodów, kiedy na ich szczycie ukazał się Bobby Quilty prowadzony z obu stron przez uzbrojonych funkcjonariuszy. Był już skuty kajdankami. Miał na sobie przepoconą różową koszulkę i rozciągnięte szare bokserki; jego nalana, zaczerwieniona twarz ze złości pokryła się plamami.

– A, to ty, nadkomisarz Maguire! Mogłem się, kurwa, domyślić! Co, do kurwy nędzy, się tu dzieje? Człowiek nie może się przyzwoicie wyspać we własnym domu, bo zgraja psów wywała drzwi i ściąga go z wyrka jak wór z brudnym praniem! Lepiej, żebyś miała, kurwa, dobry powód, i to cholernie dobry, bo zaraz wezwę swojego adwokata, a on tak samo jak ja nie będzie, kurwa, zachwycony, że się go budzi o wpół do piątej rano!

– Przeszukaliśmy wszystkie pokoje, pani nadkomisarz – zameldował uzbrojony funkcjonariusz. – Oprócz niego nikogo więcej tu nie ma.

– Nikogo? Margot Beeney też?

– Nie, proszę pani. Zaglądaliśmy nawet do szaf wnękowych. Miał całą chatę tak jakby dla siebie.

Katie wchodziła dalej. Stała naprzeciwko Quilty’ego i przez kilka sekund patrzyła na niego bez słowa. Jego wielki bebecz unosił się i opadał przy oddychaniu, Quilty cuchnął stęchłym alkoholem i dezodorantem, wydzielał też jakąś oleistą woń, której Katie nie umiała zidentyfikować, ale która kojarzyła jej się z oliwą od puszkowanych sardynek. Po raz pierwszy zauważyła, że boki jego kluchowatego nosa upstrzone są czarnymi wągrami.

Wzięła głęboki oddech.

– Robercie Bolandzie Quilty, aresztuję pana za podżeganie do morderstwa detektywa Geralda Barry’ego. Aresztuję pana również za nielegalne uwięzienie Johna Patricka Meaghera. Nie musi pan nic mówić, chyba że pan sobie tego życzy, ale wszystko, co pan powie, zostanie zapisane i może być wykorzystane w trakcie procesu.

Przez chwilę marszczył czoło, jak gdyby nie zrozumiał, lecz potem jego wargi stopniowo wykrzywiły się w uśmiech jak

w halloweenowej dyni.

– A co to za dyrdymały, laluniu?

– Mam panu powtórzyć? Jest pan aresztowany. A teraz proszę się ubrać, zabieramy pana.

– Jaja sobie chyba robisz, co? Już ci mówiłem, że nie mam nic wspólnego z tym, że przewaliło waszego detektywa. Czepiasz się mnie, bo nikt inny nie przychodzi ci do głowy. I kim, na Boga, jest ten John Patrick Meagher? W życiu o kimś takim nie słyszałem. Myszki masz we łbie, pani nadkomisarz Maguire, i tyle.

– Omówimy to na komendzie, dobrze? – odparła Katie.

– Najpierw chcę zadzwonić do adwokata, żeby tam na mnie czekał. Bez adwokata nie powiem ani słowa.

– Może pan to zrobić, kiedy pana aresztujemy i postawimy oficjalne zarzuty.

Quilty coś jej złośliwie odpyskował, lecz Katie nie usłyszała, bo nagle odezwał się głos w słuchawce, którą miała w uchu.

Inspektor O'Rourke dzwonił z Parklands.

– Pani nadkomisarz? Halo? Właśnie znaleźliśmy Darragha Murhpy'ego.

– Jak to, znaleźliście? Nie aresztowaliście go?

– On nie żyje, pani nadkomisarz. Siedział przed telewizorem i ktoś strzelił mu w tył głowy.

– Co? Poważnie pan mówi?

– Jak najbardziej. Pół głowy mu odleciało. Zabójca chyba użył tłumika, bo nasi obserwatorzy nic nie usłyszeli.

– Dobrze. – Katie starała się nie okazać przed Quiltem żadnej reakcji. – Przed chwilą zatrzymaliśmy pana Quilty'ego, więc mogę tam być za jakieś dwadzieścia minut. Kontaktował się pan z Billem Phinnerem?

– Detektyw Markey właśnie do niego dzwoni. Ciut za wcześniej, żeby pukać do drzwi i rozpytywać świadków, ale zaczniemy, jak tylko pora pozwoli.

– Tylko niczego nie ruszajcie, a jeśli przyjadą nasi ludzie z sekcji technicznej, proszę im przekazać, żeby też niczego nie

dotykali. Chcę wszystko zobaczyć na własne oczy. Czy w domu był ktoś jeszcze?

– Nie, pani nadkomisarz. W sypialni były damskie ubrania. Bielizna i takie tam. Druga szczoteczka do zębów w łazience, ale nic więcej. Oczywiście przeszukamy dokładnie lokal, kiedy da pani zielone światło, ale pomyślałem, że chciałaby pani wiedzieć, że Darragh Murphy zniknął z układanki.

– Tak, dziękuję, Francis. Proszę mi dać parę minut, zadzwonię do pana.

– Jakies kłopoty? – zapytał Quilty z tym samym wstrętnym uśmiechem.

– Pana to nie dotyczy – ucięła. – Proszę się ubrać. Ci funkcjonariusze pana odprowadzą. Nie chcę, żeby wyskoczył pan oknem i zrobił sobie krzywdę.

– Chyba żaden nie jest gejem, co? Nie chciałbym, żeby jakiś homo glina oglądał mnie bez gaci!

Mundurowi wprowadzili go z powrotem do sypialni, O'Donovan wspiął się tymczasem schodami na piętro; za nim szła O'Leary. W obleczonej w lateksową rękawiczkę dłoni detektyw trzymał błyszczącego różowego iPhone'a.

– Znaleźliśmy to w kuchni w koszu na śmieci, pani nadkomisarz. Karty SIM brak.

– Sheelagh nigdzie nie było? – zapytała, rozglądając się; Bobby Quilty był w sypialni, poza zasięgiem słuchu.

O'Donovan pokręcił głową.

– Na dole nic. Patrzyliśmy w ogrodzie, koledzy przeszukują zagajnik. To może przedwczesny wniosek, ale mam wrażenie, że jej tu w ogóle nie ma.

Katie poczuła, że robi jej się zimno w brzuchu. Ojciec zawsze mówił, że kiedy akcja zmierza w złym kierunku, człowiek czuje się, jakby stał na pokładzie *Lusitanii*: zdajesz sobie sprawę, że statek tonie ci pod stopami, ale nic nie możesz na to poradzić. Zaplanowała, że operacja Trójzab zakończy się sukcesem w ciągu paru minut, a tymczasem wszystko się sypało. Jeśli Darragh Murphy nie żyje, Katie straciła jedyne świadka, który mógł

zeznać, że Quilty podzegał go do morderstwa. A gdzie jest Kyna? Jeśli nie ma jej tutaj, dlaczego się nie skontaktowała? I co z Johnem?

Właśnie miała dzwonić do detektywa sierżanta Begleya na Leitrim Street, kiedy ten sam się zgłosił.

– Przed chwilą skończyliśmy przeszukiwać budynek, pani nadkomisarz. Od góry do dołu. Piwnica, strych, podwórze na tyłach, wszystko. Ani śladu pani Johna.

– Żadnego, w ogóle? Jak to możliwe? Powiedziano mi, że miał stopy przymocowane do łóżka. Przyśrubowane, chociaż nie wiem, co to znaczyło.

– W budynku nie ma łóżek, tylko stary zbutwiały materac, na którym śpi dwoje mieszkańców. Charles Rearden, bezrobotny, i Sorcia MacKenna, fryzjerka na pół etatu. W każdym razie sama tak się przedstawia.

– I nic im nie wiadomo o Johnie?

– Zaprzeczają, jakoby widzieli kogoś w tym budynku, od kiedy się wprowadzili przed pięcioma miesiącami.

– Kto jest właścicielem?

– Są squatterami, tak mówią. Dom był pusty, więc postanowili się wprowadzić. Obiekt należy do przedsiębiorstwa zarządzającego nieruchomościami, które mieści się w Dublinie, nazywa się Watergrass Holdings.

Katie mogła mu zadać jeszcze sto pytań, ale nie było na to czasu.

– Oddzwonię do pana za parę minut – rzuciła i odwróciła się do O'Donovana. – Proszę wysłać wóz do mieszkania detektyw sierżant Ni Nuallán, dobrze? Trzeba się upewnić, że nie ma jej w domu. Dzwoniłam do niej kilka razy. Nie odbiera, ale nigdy nie wiadomo.

Nie powiedziała tego głośno, lecz istniała znikoma ewentualność, że Kyna nie wytrzymała napięcia związanego z zadaniem, które otrzymała; być może zrezygnowała i wyjechała do Dublina, a nie miała odwagi poinformować o tym Katie. Bo przecież musiała sobie radzić nie tylko z Quiltem:

jeszcze nie zdążyła dojsć do siebie po groźnym postrzale i nadal cierpiała na dotkliwe problemy emocjonalne.

Katie nie wierzyła, że Kyna mogła tak postąpić, ale nawet gdyby, i tak by jej wybaczyła. Najbardziej zależało jej na bezpieczeństwie dziewczyny.

– Padragain, czy mogłaby pani skontaktować się z rodzicami detektyw sierżant Ni Nuallán i zapytać, czy mieli od niej wiadomość? – poleciła detektyw Scanlan. – Proszę się postarać ich nie wystraszyć. Niech pani powie, że urwał się z nią kontakt, może siadł jej akumulator w telefonie, może została na noc u koleżanki, ale że to jest ważne, że musimy się z nią skontaktować.

Pojawił się Bobby Quilty; był ubrany w ten sam pognieciony garnitur z zielonego lnu, który miał na sobie, gdy informował Katie o tym, że uprowadził Johna, oraz w jasnozieloną koszulę.

– A więc do zobaczenia na komendzie, co skarbie? – Wyszczrzył do niej zęby, kiedy mundurowi prowadzili go schodami na dół. – Wystawię ci rachunek za naprawę drzwi.

Katie milczała. Do bólu pragnęła go zapytać o miejsce pobytu Kyny, ale przecież miała nie wiedzieć o istnieniu Sheelagh Danehy. Dopóki Kyna nie będzie bezpieczna, nie mogła ryzykować ujawnienia jej prawdziwej tożsamości. Skoro Darragh Murphy nie żył, niewykluczone, że w ciągu paru godzin trzeba będzie zwolnić Quilty’ego z aresztu.

Zadzwoił inspektor O’Rourke. Kazał odciąć ulicę w Parklands, przy której stał dom Murphy’ego, i zawiadomił koronera.

– Wciąż ani śladu Johna?

– Żadnego, pani nadkomisarz. Przykro mi.

Rozejrzała się po domu i wyszła na dwór. Rozpadało się; lekka siąpiąca mżawka przemoczyła jej włosy, zanim dotarła do samochodu. Quilty’ego aresztowano i wszystkie radiowozy miały teraz włączone migające niebieskie światła. Deszcz lśnił w ich blasku i Katie miała wrażenie, że ciemność zaroїła się od jasnoblękitnych robaczków świętojańskich.

Rozdział 22

O tak wczesnej porze na ulicach prawie w ogóle nie było samochodów i dojazd do położonej w północno-zachodniej części miasta dzielnicy Parklands zajął im tylko kwadrans. Katie zostawiła O'Donovana w domu Quilty'ego; miał pokierować dokładną rewizją, a co najważniejsze sprawdzić, czy oprócz telefonu komórkowego są inne dowody świadczące o tym, że Kyna tam przebywała, lub wskazujące na to, gdzie może być teraz.

Zabrała ze sobą detektyw Scanlan. Miała świadomość, że Padragain nigdy jeszcze nie była na miejscu zabójstwa, jakkolwiek widywała nieboszczyków w kostnicy, pokieroszowane zwłoki rodzin, które padły ofiarą wypadków samochodowych, a także spuchnięte ciała nastolatków o poszarzałych twarzach wydobyte z nurtu rzeki Lee. Jednakże miejsce zabójstwa to coś zupełnie innego. To milczący zapis chwili, w której ktoś z jakiegoś powodu odbiera życie drugiemu człowiekowi. „Są jak otwarta książka”, mawiał zawsze ojciec Katie.

Wóz sunął mokrymi opustoszałymi ulicami; detektyw Scanlan dodzwoniła się pod numer państwa Ni Nuallán w Dublinie.

– O, witam, przepraszam, że tak wcześnie dzwonię. Tu detektyw Padragain Scanlan z policji w Cork. Z kim rozmawiam?
Zakryła telefon ręką.

– Siostra detektyw Ni Nuallán, Bridget – zwróciła się do Katie i po chwili kontynuowała: – Potrzebna jest nam informacja o śledztwie, nad którym pracowała pani siostra, i nie możemy jej

złapać. Pomyśleliśmy, że może pojechała do domu rodzinnego, żeby trochę odsapnąć. Nie? A kontaktowała się z panią w ogóle? Jasne. Rozumiem. Nie ma sprawy. Bardzo przepraszam, że panią obudziłam. Tak, oczywiście. Tak. Do widzenia.

Prawie w tej samej chwili Katie odebrała telefon od funkcjonariusza, którego O'Donovan skierował do mieszkania Kyny przy Wellington Road.

– Nie ma jej tu, pani nadkomisarz. Rozmawialiśmy ze współlokatorką. Powiedziała, że od dwóch dni jej nie widziała. Nie ma pojęcia, gdzie jest. Twierdzi, że jej nigdy nie zadawała takich pytań, bo detektyw Ni Nuallán nie wolno tego ujawniać, tak mówiła.

– Dzięki. – Katie przez chwilę obgryzała paznokiec. Jej niepokój zamienił się w desperację, gdyż zniknięcie Kyny i zabójstwo Darragha Murphy'ego prowadziły do nieuniknionego wniosku: ktoś uprzedził Quilty'ego o operacji Trójzęb.

Jego arogancja od pierwszej chwili nasunęła jej podejrzenie, że dostał cynk; świadczyło o tym i to, że oprócz niego w domu nikogo nie było. Nie wierzyła, że zazwyczaj nie spędza nocy z kochanką i że nie trzyma w domu przynajmniej jednego ochroniarza, który miał go zabezpieczać przed napadem. Zbyt wielu miał wrogów w Cork – a także na Północy – zarówno w przestępczym półświatku, jak i politycznych. Ochotnicze Siły Ulsteru dwukrotnie próbowały zorganizować zasadzkę na jego samochód, kiedy przebywał w Armagh, a jego najmłodszy bratanek został zastrzelony przez Obrońców Czerwonej Ręki, kiedy wychodził ze sklepu Spar Loughgall Road w Portadown.

Gdy dojechały do domu Darragha Murphy'ego, niebo już się rozjaśniało; latarnie jeszcze się jednak nie wyłączyły. Ulica została odgradzona niebiesko-białą taśmą; stały na niej trzy radiowozy, dwie furgonetki sekcji technicznej oraz ambulans. Mimo wczesnej pory i deszczu na rogu zebrało się ponad trzydziestu gapiów. Katie dostrzegła w oddali co najmniej dwa samochody należące do miejscowych dziennikarzy.

Inspektor O'Rourke czekał na nią pod osłoną ganku. Był zmęczony i znudzony, przestępował z nogi na nogę niczym odźwierny hotelowy. Wnętrze domku było już rzęsiście rozświetlone lampami halogenowymi, mimo że trzech technicy, którzy przyjechali na miejsce zbrodni, stali w kuchni w pękatych białych kombinezonach; było z nimi pięciu funkcjonariuszy, trzech mundurowych i dwóch po cywilnemu. Wszyscy czekali na Katie, która zapowiedziała, że chce zobaczyć ciało Darragha Murphy'ego w takim stanie, w jakim je znaleziono.

O'Rourke popatrzył na Scanlan.

– Jadła już pani śniadanie? Jeśli nie, to dobrze, bo ładny widok to nie jest.

– Proszę się nie martwić, Padragain – uspokoiła ją Katie. – Może pani wyjść na dwór i zaczerpnąć powietrza, kiedy tylko pani zechce.

Ruszyli gęsiego korytarzem, inspektor szedł pierwszy. Wnętrze domku było ciasne, na podłodze leżała przetarta wykładzina, farba na ścianach była mocno podrapana; Katie dostrzegła ślady przemocy domowej. W drzwiach pokoju stołowego brakowało jednego panelu, a ciemniejszy prostokąt na tapecie w korytarzu znaczył miejsce, w którym wisiał kiedyś obrazek. Na parapecie stał porcelanowy piesek, który niegdyś był prawdopodobnie od pary. Mimo ubytków wyposażenia było tu czysto i Katie wywnioskowała, że Neala ze wszystkich sił starała się dbać o zadowolenie Darragha, aż do ostatniego razu, kiedy ją pobił.

Salon wyłożony był bladozieloną tapetą z wzorem w romby, w oknach wisiały pluszowe zasłony w ciemnym odcieniu zieleni; jedna opadała w miejscu, w którym zerwano ją z plastikowych haczyków. Na niskiej szafce w rogu pokoju stał płaski czterdziestodwucalowy telewizor, wciąż jeszcze włączony; właśnie nadawano poranny serwis informacyjny, ale głos był ściszony.

– Jezu – wyszeptała detektyw Scanlan, która stała tuż za Katie.

Darragh Murphy siedział wyprostowany w dużym fotelu przykrytym pomarańczową tkaniną syntetyczną. Był w jasnoszarych spodniach z zaschniętą ciemną plamą na kroczu oraz w brudnej żółtej koszulce polo. Na podłodze obok fotela wałały się trzy puszki piwa. Czwarta spadła między stopy w szarych skarpetach; ciemne piwo rozlało się na dywan. Było oczywiste, że właśnie pił, kiedy go zastrzelono.

Pośrodku pokoju stał trójnożny, zrobiony ze sklejki stolik w kształcie palety malarskiej. Na blacie leżał zabrudzony wczorajszy numer „Racing Post”, a obok stała szklana popielnica barowa zapełniona niedopałkami; była także piąta puszka piwa, również otwarta.

– Wygląda na to, że przed śmiercią poczęstował mordercę piwem – stwierdziła Katie.

– Owszem – zgodził się O’Rourke. – Niektórzy to nie mają za grosz wdzięczności, co?

Detektyw Scanlan usiłowała nie patrzeć na zwłoki, lecz co kilka sekund mimo woli na nie zerkała, jakby chciała się upewnić, że widzi coś realnego, a nie rekwizyt stworzony przez dział efektów specjalnych dla potrzeb krwawego horroru.

Murphy’emu strzelono z tyłu prosto w nasadę szyi. Katie domyśliła się, że sprawca klęczał za fotelem, kiedy oddawał strzał, choć mogła jedynie zgadywać, czym wytłumaczył swoje postępowanie, jeśli w ogóle je wytłumaczył. Może udał, że upuścił coś na podłogę, i przyklęknął, żeby to podnieść. Murphy musiał go znać, a w każdym razie nie czuł z jego strony zagrożenia, bo inaczej nie dałby mu piwa. Ten mógł jednak poczęstować się sam po dokonaniu zabójstwa, żeby się nagrodzić lub uspokoić nerwy.

– Padragain, proszę się dobrze przyjrzeć ranie wlotowej – odezwała się Katie. – Pocisk wszedł tuż poniżej podstawy czaszki niezupełnie pod kątem prostym. Wokół rany są chropowatości od prochu i ciemny efekt rozprysku tuż pod skórą. Świadczy to o tym, że strzał oddano z bardzo bliska, choć wylot lufy nie

dotykał celu. Efekt został spowodowany przez dym i gazy wybuchowe, które dostały się między skórę a czaszkę.

– Tak, rozumiem – rzuciła detektyw Scanlan, zbyt mocno kiwając głową. W czasie szkolenia kryminalistycznego widziała dziesiątki zdjęć rozmaitych ran postrzałowych, zdjęcia nie są jednak w stanie oddać krwawej realności błyszczącej posoki ani przenikliwego swędu prochu. Bill Phinner stwierdził kiedyś bez cienia uśmiechu, że zawsze cuchnie tak, jakby ofiara puściła bąka w chwili, kiedy do niej strzelono.

Poza raną wlotową głowa Darragha Murphy’ego była od tyłu nienaruszona. Reszta wyglądała, jakby wewnątrz eksplodował granat. Pozbawiona oczu maska twarzy była pochylona pod ostrym kątem, żuchwa zaś opadła tak, że porośnięty szczecina zarostu podbródek opierał się o kołnierzyk koszulki. Boki głowy zostały rozłupane niczym kłapy tekturowego pudła, z jednej strony nadal tkwiło ucho. Mózg zamienił się w galaretowate grudy w beżowym kolorze, rozprute zatoki nosa oraz tkanki wyglądały jak płatanina szkarłatnych sznurków.

– Typowy efekt użycia pocisku wysokiej prędkości – wyjaśniła Katie. – Rana wlotowa jest niewielkich rozmiarów, ale wewnątrz czaszki zostaje roztrzaskane. Technicy będą w stanie zobaczyć wszystkie fragmenty i odłamki, kiedy prześwietlą głowę rentgenem. Mają na to nawet swoje określenie: ołowiana burza.

– Człowiek się zastanawia, co w tym mózgu było, no nie? – odezwał się O’Rourke. – Pomyślcie, ile tam tkwiło obciążających informacji. Teraz już za późno na ich odzyskanie.

Detektyw Scanlan zakryła usta dłonią i stęknęła, jakby ją zemdliło.

– Proszę wyjść na dwór, Padragain – poradziła jej Katie. – Zaraz do pani dołączę, pogadam tylko z Billem Phinnerem.

Bill czekał na nią w przedpokoju. Ze zrezygnowanym półuśmiechem odprowadził wzrokiem Scanlan, która zaczęła wymiotować, nim dopadła do drzwi.

– No i ma pani ukoronowanie poranka, pani nadkomisarz.

– Co tam słyhać, Bill? Przepraszam, że bladym świtem wyrwałam pana z łóżka.

– E, nic się nie stało. Wczoraj wieczorem w komendzie aż huczało, schodzili się ludzie, którzy nie mieli dyżuru, inni szykowali broń. Przewidziałem, że będę w nocy potrzebny, więc specjalnie położyłem się wcześniej. Spałem jak dziecko. Nie obudziłem się, nawet kiedy żona się położyła, a ona fika i podskakuje jak na wyścigach konnych.

– Jest kilka rzeczy, które aż kłują w oczy i proszą się o zbadanie – powiedziała Katie. – Puszka piwa na stoliku, niedopałki papierosów. Ale... no nie wiem. Mam wrażenie, że nic tu do siebie nie pasuje.

– W jakim sensie?

Katie odwróciła się w stronę kuchni.

– Funkcjonariusz O’Leahy, prawda? – zagadnęła mężczyznę w cywilnym ubraniu.

– Tak, pani nadkomisarz.

– Widział pan, jak Darragh Murphy przyjeżdża do domu. O której to było godzinie? Po jedenastej, prawda?

– O jedenastej siedemnaście, ale drzwi udało mu się sforsować o jedenastej dwadzieścia. Taki był zmarnowany, że ledwo stał na nogach.

– Więc nie mógł pan przeoczyć, jak wchodzi do domu?

– Rąbnął w drzwi garażu jak grom z nieba, mówię pani. Połowa mieszkańców ulicy rozsuwała zasłony, pewnie myśleli, że bomba wybuchła. Chyba tylko głuchy by tego nie usłyszał.

– I jest pan pewien, że to był on?

– Samochód był na pewno jego, a on miał na sobie tę beżową kurtkę, która wisi tam przy drzwiach, i tamtą czapkę.

Obserwowaliśmy go z drugiej strony ulicy, a oświetlenie nie jest najlepsze, ale zanim wszedł do domu, nie paliło się ani jedno światło, więc kto inny to mógł być?

– O czym pani myśli? – zapytał inspektor O’Rourke i skinieniem głowy wskazał zwłoki spoczywające w fotelu. – Nie

sądzi pani chyba, że to nie jest Murphy? I że rozwalili mu w ten sposób łeb, żebyśmy nie mogli stwierdzić, czy to on, czy nie on?

Katie pokręciła głową.

– Nie, Francis, nie mam wątpliwości, że to jest Darragh Murphy. Jestem też całkiem pewna, że to Bobby Quilty zorganizował jego likwidację. Murphy jako jedyny mógł zeznać, że Quilty namawiał go do zabicia detektywa Barry’ego, a Murphy lubił rozpuścić język. Jeśli pan sugeruje, że Quilty kazał w jego miejsce zabić kogoś innego, a prawdziwego Darragha Murphy’ego odstawił w bezpieczne miejsce, to wcale to nie pasuje do stylu Quilty’ego. Dlaczego miałyby to zrobić, skoro Murphy mógł w którymś momencie nagle postanowić, że go sypnie? Poza tym Bobby Quilty robi wprawdzie wrażenie, że nie umie liczyć inaczej niż na palcach, ale bynajmniej nie jest głupi. Doskonale zdaje sobie sprawę, że zrobimy badanie DNA Murphy’ego i w ciągu paru godzin stwierdzimy, czy to jest on, czy nie.

– No, zgadzam się w całej rozciągłości – potwierdził inspektor.

– Zastanawiałem się tylko, czemu pani uważa, że coś tu nie gra.

– Mamy taki oto scenariusz wydarzeń: Nasi obserwatorzy twierdzą, że Darragh Murphy dotarł do domu nawalony i nie mógł nawet wetknąć klucza w zamek. Co by pan zrobił, gdyby przyszedł do domu bardzo pijany? Wątpię, żeby powiesiłby pan kurtkę i czapkę jak należy przy drzwiach, potem przyniósł sobie z lodówki sześciopak piwa i zasiadł przed telewizorem, żeby oglądać nocne programy.

– Słusznie – przyznał O’Rourke. – Dobre parę lat minęło od czasu, kiedy ostatni raz wróciłem do domu w takim stanie. Moja żona by nie pozwoliła. Ale owszem. Facet rzuciłby raczej kurtkę na podłogę, wtoczył się do sypialni i zwałił w łachach na łóżko. To znaczy, gdyby najpierw nie musiał zrobić wycieczki do ubikacji i sobie rzygnąć. Ja tak zawsze robiłem.

– Nie czas jeszcze na wyciąganie wniosków – stwierdziła Katie.

– Myślę jednak, że powinniśmy brać pod uwagę inną możliwość, mianowicie taką, że Murphy’ego zastrzelono o wiele wcześniej,

po południu. Ten, kto go zabił, mógł po paru godzinach wsiąść do jego samochodu i przyjechać tutaj. Albo zabójca, albo ktoś inny. Jeśli Murphy już nie żył, nie robiło to różnicy. Odegrał widowiskową komedię, żeby zwrócić na siebie uwagę tych, którzy śledzili dom, i doprowadzić ich do przekonania, że to Murphy przyjechał. Mógł wyjść od razu przez kuchnię, a my oczywiście nie mieliśmy wtedy nikogo, kto obserwował dom od tyłu.

– Tyrone! – zawołał Bill Phinner. – Mógłby pan sprawdzić drzwi kuchni? W rękawiczkach proszę. Zamknięte są czy nie?

Technik nacisnął klamkę i drzwi się otworzyły.

– Nie są zamknięte, proszę pana.

– Wobec tego niech wszyscy uważają, żeby nie deptać ziemi na podwórzu, nawet jeśli ktoś ma ochotę na dymka. Trzeba będzie zbadać, czy w ogródku są świeże odciski stóp.

– Może warto by było wezwać ekipę z psami – zasugerowała Katie. – Mogliby ustalić, czy ostatnia osoba, która siedziała w samochodzie Darragha Murphy’ego, wyszła tylnymi drzwiami, i którędy weszła. Dużo więcej nam zapewne nie powiedzą, bo tego człowieka prawdopodobnie zabrano do samochodu i dokądś zawieziono. Jeśli tak, to znaczy, że samochód musiał czekać gdzieś niedaleko i mógł go zauważyć ktoś, kto tutaj mieszka. W Parklands dzieje się niewiele rzeczy, na które nie gapiłaby się połowa osiedla.

– Co racja, to racja, pani nadkomisarz – przytaknął O’Rourke. – Ale może Murphy po powrocie do domu trochę otrzeźwiał. Może, no wie pani, naprawdę usiadł z paroma puszkami piwa, żeby pooglądać telewizję. Może napastnik już czekał na niego w domu albo wszedł tylnymi drzwiami, kiedy tamten rozsiadł się w fotelu. Może otworzył zamek wytrychem albo Murphy zapomniał go przekręcić. W końcu nie ma tu nic takiego, co warto byłoby tknąć.

Katie odwróciła się do Phinnera.

– Bill, gdyby podał mi pan dokładny czas zgonu, bardzo by to nam pomogło.

Patolog spojrział na rozłupaną głowę Murphy'ego. Światło lampy halogenowej ustawionej za fotelem przechodziło przez otwory, w których tkwiły kiedyś oczy ofiary; na dywan padał cień podobny do upiornego pyska.

– Zmierzymy temperaturę jego wątroby i stopień stężenia pośmiertnego. Oczywiście zbadamy też poziom alkoholu we krwi, co pozwoli stwierdzić, czy naprawdę był pijany, kiedy przyszedł do domu... jeśli to faktycznie był on. Najdokładniejsze szacowanie będzie można zrobić na podstawie temperatury. Tutaj jest dosyć ciepło, więc można odnieść wrażenie, że nie jest martwy tak długo, jak był w rzeczywistości.

Katie spojrzała na zegarek.

– W takim razie zostawiam was z tym. Chcę pojechać i rozejrzeć się w domu, w którym był ponoć przetrzymywany John Meagher.

Bill Phinner skinął na swoich ludzi i wszyscy szybkimi krokami weszli do pokoju, niosąc metalowe walizki z przyrządami, próbkami i odczynnikami chemicznymi. Od razu przystąpili do działania; z użyciem flesza fotografowali zwłoki Darragha Murphy'ego pod najróżniejszymi kątami, robili również zdjęcia pomieszczenia. Ostrożnie zdjęli ze stolika puszkę z piwem, tak samo postąpili z popielniczką i gazetą; wszystkie przedmioty pakowali do plastikowych pojemników.

Katie obserwowała ich przez chwilę, po czym skierowała się do drzwi. Czekala tam na nią detektyw Scanlan; jej twarz straciła kolory, a dwie plamy różu na policzkach wyglądały niczym makijaż klauna. Miała na sobie wodoodporną kurtkę o barwie lawendy i ścisnęła ją dłońmi tuż pod szyją.

– Jak się pani czuje? – zagadnęła Katie.

– Troszkę lepiej, dzięki – odparła dziewczyna. – Przepraszam. To już się nie powtórzy.

– Och, proszę tego nie obiecywać. Widywałam o wiele gorszych niż ten, panią też to czeka.

Bill Phinner wyszedł tuż za Katie i oboje stanęli w deszczu.

– Moim zdaniem miała pani rację co do czasu zgonu. Murphy został zastrzelony nie o tej godzinie, którą nam się sugeruje. Ta scena zbrodni tutaj... jak tylko wszedłem, od razu nabrałem podejrzeń. Wszystko wygląda na teatrzyk.

Katie widziała, że Phinner chce jeszcze coś powiedzieć, ale ma jakieś opory w związku z obecnością młodszej policjantki.

– No, niech pan to wreszcie wydusi. Nie ma wątpliwości, prawda? Bobby Quilty wiedział o akcji wiele godzin przedtem, jeszcze zanim skończyliśmy przygotowania.

Podszedł inspektor O'Rourke.

– Jasne, że tak – rzucił i Katie nigdy nie słyszała w jego głosie tyle gniewu. – Znowu nam Quilty wywinął ten numer, prawda? Jesteśmy w kropce, nie mamy dowodów, żeby postawić mu zarzuty, a dziennikarzom też nie możemy wiele ujawnić, bo wyjdziemy na bandę frajerów lub skorumpowanych glin, albo jedno i drugie. Albo narazimy się na proces sądowy o zniesławienie.

– Francis, będziemy musieli o tym później porozmawiać – oznajmiła Katie. – A tymczasem muszę się czym prędzej dowiedzieć, gdzie są John Meagher i detektyw sierżant Ni Nuallán.

– Proszę nie tracić nadziei, tylko tyle mogę pani powiedzieć – odparł O'Rourke.

Zerknęła w drugą stronę ulicy i zobaczyła Dana Keane'a z „Examinera”, który czekał na nią ubrany w długi prochowiec w stylu IRA i palił papierosa; były tam także Branna MacSuibhne z „Echa” i Muireann Bourke z radia Newstalk.

– Chcę, żebyśmy się wszyscy pilnowali, ujawniając cokolwiek na temat tej sprawy. Jeśli ktoś spośród dziennikarzy informował Quilty'ego, na pewno się domyśli, że ich podejrzewamy, ale nie chcę, żebyśmy otwarcie mówili, że istnieje choćby podejrzenie przecieku. Wolę utrzymywać, że operacja Trójzęb nie wypaliła przeze mnie, bo za słabo sprawdziłam materiały, coś w tym rodzaju. Niech wtyka będzie dalej pewna siebie i przekazuje

Quilty'emu kolejne informacje, ale kiedy zrobi to następnym razem, musi wpaść w nasze sidła. On albo ona, bez różnicy.

– Wie pani co? – odezwał się inspektor O'Rourke. – Tą wtyką mógłbym być ja na przykład. I co wtedy?

– Jeżeli tak, to jakoś cię rozpracuję, Francis, przysięgam. I, na Boga, będziesz za to cierpiał, słowo daję.

Rozdział 23

W drodze na Leitrim Street odebrała dwie informacje, mimo że przejazd do śródmieścia trwał zaledwie dziesięć minut.

Do Parklands wysłano ekipę z psami, która miała sprawdzić, czy zabójca wydostał się z domu Darragha Murphy'ego kuchennymi drzwiami i ewentualnie w którą stronę później poszedł. Kilka sekund potem zadzwonił komendant MacCostagáin i oznajmił, że właśnie dostarczono mu poranną gazetę.

– Katie, cała pierwsza strona jest o Langtrych.

– Moim zdaniem to nic zaskakującego. Historia jest niezwykła.

– Tak, ale to są banialuki o tym, że pani Langtry romansowała z oficerem armii brytyjskiej po to, by wyciągnąć od niego informacje. Cytują profesora Pendle'a, który mówi, że jest wysoce prawdopodobne, że to Brytole za karę wykonali na rodzinie egzekucję. Nikt nie jest uszczęśliwiony, wierz mi. Jimmy O'Reilly już mi siedzi na głowie.

– Pendle, o Jezu – jęknęła Katie. Sean Pendle był emerytowanym wykładowcą historii Irlandii na Uniwersytecie Cork; słynął ze skrajnie republikańskich przekonań i z tego, że przeinacza fakty historyczne tak, by pasowały do jego poglądów. Wydał kontrowersyjną książkę zatytułowaną *Chwała Fenianu*, której sprzedaży odmówiło wiele księgarń w Irlandii Północnej. Uparcie zabiegał o popularność i Katie nie wątpiła, że w wieczornych serwisach informacyjnych będzie po swoim tłumaczył, w jaki sposób i dlaczego rodzina Langtrych została zastrzelona i pogrzebana pod podłogą. – Porozmawiamy o tym, kiedy dotrę na komendę. Tymczasem, żeby jeszcze bardziej pana

uszcześliwić z samego rana, chcę poinformować, że operacja Trójzab okazała się totalną klapą, od początku do końca.

W największym skrócie opowiedziała komendantowi o Bobbym Quiltem, o morderstwie Darragha Murphy'ego oraz zniknięciu Kyny i Johna. MacCostagáin milczał, ale prawie czuła w sposób namacalny, jak narasta jego przygnębienie.

– No dobrze, Katie – rzucił w końcu. – Zdaje się, że to jest jeden z tych dni, o których najchętniej byśmy zapomnieli.

Gdy dojechała na skrzyżowanie Leitrim i Pine, policjanci już ściągali taśmy i otwierali ulicę dla ruchu. Przed pomalowanym na ceglasty kolor budynkiem, w którym podobno więziono Johna, stał detektyw sierżant Begley i rozmawiał z sierżantem z regionalnej jednostki wsparcia z Limerick.

– Dzień dobry, pani nadkomisarz – odezwał się. – To jest sierżant Norden z Henry Street.

– Tak, już się poznaliśmy – powiedziała Katie. – Pana nazywają Buzz, prawda? Jestem bardzo wdzięczna za wsparcie, którego nam udzieliliście. Tak się złożyło, że nic nie przebiegło zgodnie z naszym planem.

– Hm, wie pani, co mówią o najlepszych planach. – Sierżant był roslym mężczyzną, a kamizelka kevlarowa jeszcze dodawała mu gabarytów. Właśnie z tego powodu koledzy nadali mu przydomek od postaci Buzza Astrala z filmu *Toy Story*. Ogolona skóra na jego głowie lśniła niebieskawo; miał wytrzeszczone oczy i oddychał z wysiłkiem, jakby przed chwilą zakończył forsowny trening ze sztangą.

– Chce pani pogadać z tymi squatterami? – zapytał Begley. – Siedzą na górze, kopcą jak szaleni i co dwie minuty pytają, kiedy się stąd zmyjemy i damy im wreszcie spokój.

– Nie ma najdrobniejszego śladu, który by wskazywał, że trzymano tu Johna?

– Tak jak pani mówiłem, nie ma żadnych łóżek oprócz spleśniałego starego materaca, na którym śpi tych dwoje łajzów. Są w sumie trzy pokoje. Jeden tak zawalony rupieciami, że ledwo można drzwi otworzyć. W drugim musiało kiedyś spać dziecko,

ale teraz nie ma łóżeczka; jest odcisk na wykładzinie w miejscu, w którym stało.

– Pójdę na górę i rozejrzę się. A przy okazji zamienię parę słów z naszymi przyjaciółmi.

– No to powodzenia – rzucił sierżant Norden. – Mało brakowało, a oboje bym aresztował pod zarzutem udawania ludzi.

Detektyw Begley pokazał Katie dwa pokoje na parterze, w których mieścił się kiedyś sklep. Nic w nich nie było poza kilkoma skrzyniami i przewróconym krzesłem.

– Nic nie świadczy o tym, by w którymś z tych pomieszczeń kiedykolwiek stało łóżko – wyjaśnił. – Zważywszy na to, ile kurzu jest na podłodze, można pomyśleć, że od lat nikt nie postawił tutaj stopy.

Weszli na piętro. Mały korytarz był zasnuty dymem papierosowym; Begley wskazał drzwi po lewej stronie.

– Punch i Judy są w środku. Według moich obliczeń wypalili po pięćdziesiąt szlucgów na głowę od czasu, kiedy tu wkroczyliśmy.

– Najpierw rzucę okiem na pozostałe pomieszczenia – powiedziała Katie. – Nie mam cienia wątpliwości, że John Meagher był gdzieś tutaj przetrzymywany, zapewne jeszcze do wczorajszego wieczora.

– Więc pani informator był rzetelny?

– Najlepszy, proszę mi wierzyć.

Begley otworzył drzwi łazienki, a następnie ponurej klitki, w której spędzali noce Chisel i Sorcia. Odór przesiąkniętego potem posłania był tak mocny, że Katie musiała zatkać nos ręką; na wykładzinie pod oknem leżały dwa zużyte kondomy.

– Boże – westchnęła, potrząsając głową. – Kto powiedział, że nie ma już romantyczności?

W drugim pokoju znajdowały się skrzynie, a także zdezelowana drewniana deska do prasowania oraz wyszczerbiony podgrzewacz na parafinę. Trzeci był wąski i podłużny, ściany wylepione były tapetą w statki kosmiczne

i planety. Na samym końcu znajdowało się małe okienko; zgodnie ze słowami Begleya na fioletowej wykładzinie odznaczały się cztery głębokie odciski po kwadratowych nogach jednoosobowego łóżka.

Katie uklękła na jednym kolanie i dotknęła wykładziny.

– Tu jest wilgotna plama, czy ktoś ją zauważył?

– Raczej nie, pani nadkomisarz. Ci dwoje bez przerwy tu łazili i truli nam nad uchem; poza tym kopcili jak wulkany.

– Hm, w tym miejscu mógł się znajdować koniec łóżka. Mój informator powiedział, że stopy Johna były przyśrubowane do łóżka. Myślałam, że chodzi o to, że były związane łańcuchem albo skute kajdankami, ale one naprawdę były przykręcone.

– Więc na wykładzinie mogła być krew i stąd się wzięła wilgoć?

Katie wstała.

– Poproszę Billa Phinnera, żeby przysłał tu dwóch techników. Wykładzinę można szorować do sądnego dnia, ale DNA nigdy się z niej nie usunie.

Podeszła do okna i wyjrzała. Wyjęła z kieszeni czarne rękawiczki, włożyła je i otworzyła szeroko okno. Rozpadało się jeszcze mocniej i deszcz stukał, ciekąc ze złamanej rynny gdzieś na dole.

– Jest tutaj kabel zabezpieczający, ale ktoś go odkręcił – stwierdziła Katie. – I to niedawno. Proszę spojrzeć, jeden wkręt został na parapecie.

Cofnęła się i spojrzała na podłogę; szukała wzrokiem drugiego wkrętu, ale zauważyła śrubokręt z czerwoną rączką leżący przy bocznej ścianie komody. Zostawiła go na miejscu, bo chciała, żeby narzędzie sfotografowano i schowano do torebki na dowody; wskazała je sierżantowi Begleyowi.

– Nasuwa się parę pytań – rzuciła. – Czemu dwoje squatterów miałoby sobie zadawać trud i ściągać kabel zabezpieczający? A jeśli już, to dlaczego rzucili później śrubokręt na podłogę? Widzę, jakie z nich flejtuchy, ale takie postępowanie jest nienaturalne.

– Myśli pani, że zrobili to w pośpiechu?

Katie wychyliła się za okno. Zobaczyła potłuczone dachówki, z których kilka było przesuniętych. Pęknięta rynna biegła bezpośrednio pod nimi.

– Rozejrzyjmy się na zewnątrz. Potem porozmawiam z tą parką.

Zeszli na dół i przez kuchnię wydostali się na zagracone tylne podwórze. Królik zaczął fukać i drapać siatkę klatki.

– O Jezu, w jakim ty jesteś stanie, biedaku – powiedziała Katie, schylając się i zaglądając do wnętrza klatki. – Sean, proszę później zadzwonić do Lisy O’Donovan z ISPCA, dobrze? Jeśli istnieje okrucieństwo wobec zwierząt, to to biedne stworzenie z pewnością padło jego ofiarą. Ta klatka to ruina. Wygląda, jakby...

Wyprostowała się, osłoniła oczy przed deszczem i ściągając brwi, spojrzała na pękniętą rynnę. Obok klatki królika piętrzył się stos starych okien, niektóre szyby były stłuczone.

– Mogę pożyczyć pana latarkę? – zwróciła się do Begleya.

Zaświeciła na strzaskane okno leżące na samej górze sterty; widać było na nim rozprysnięte półprzezroczyste plamy o barwie bursztynu.

– To może być krew. Każę technikom sprawdzić. Ma pan coś, czym można by to przykryć?

– O, tak. Mam w samochodzie kawał plastiku. Co pani o tym sądzi?

– Nie jestem pewna. Ale wszystkie znaki wskazują, że ktoś wyszedł przez okno i spadł w tym miejscu. Może wyszedł sam, a może go wypchnięto.

– Więc mógł być nieprzytomny albo nieżywy?

– To możliwe. Ale dlaczego po prostu nie znieśli go schodami? Musieli tamtędy wynieść łóżko, więc po co mieliby kogoś wypychać oknem, martwego lub żywego?

Detektyw sierżant Begley pokręcił głową.

– Mnie proszę nie pytać. I wątpię, czy tych dwoje squatterów ma rozum w mózgowicach. Nie sądzę, by któreś mogło liczyć

na występ w programie *Mastermind*.



– Można otworzyć okno? – zapytała Katie, wchodząc do pokoju, w którym siedzieli Chisel i Sorcia. Klęby dymu snuły się leniwie w powietrzu.

Chisel miał na sobie czarną koszulkę z krótkimi rękawami i bokserki w zielone pasy; Sorcia była w żółtym obszarpanym szlafroku. Oboje mieli oczy spuchnięte od palenia i niewyspania.

Funkcjonariusz stojący w kącie, który pilnował obojga, otworzył okno i dym stopniowo ulotnił się w padający deszcz.

– Jestem detektyw nadkomisarz Kathleen Maguire, kieruję śledztwem, które ma na celu ustalenie miejsca pobytu Johna Meaghera. Mam bardzo uzasadnione powody, by sądzić, że wbrew swojej woli był przetrzymywany w tym domu i że państwo dopomagali i brali udział w jego przetrzymywaniu.

Chisel i Sorcia spojrzeli na siebie, jakby wcale nie rozumieli, o czym mowa.

– No właśnie – podjęła Katie. – Był trzymany w tamtym pokoju, na łóżku. Wczoraj wieczorem pozbyliście się łóżka i wyczyściliście dywan. Chcę wiedzieć, dokąd zabrano Johna Meaghera i kto go zabrał.

– Jaki John Meagher? – odezwał się Chisel. – Nic nie wiem o gościu, co się tak nazywa. Tu nikogo nie ma. Tylko ja i Sorcia.

– Więc dlaczego pozbyliście się łóżka?

– Łóżka? Jakiego łóżka? Nic nie wiem o żadnym łóżku.

– Nie udawaj pan głupiego. W tamtym pokoju stało łóżko, a jeśli sam go pan nie wyniósł, musi pan wiedzieć, kto to zrobił.

– Nie mogę pomóc – odparł Chisel. – Jeśli było łóżko, a nie mówię, że było, może samo wzięło i wyniosło się. No wie pani, łóżka mają nogi.

Uśmiechnął się szelmowsko, zadowolony z własnego żartu, a potem zaczął gwałtownie kaszleć. Sorcia klepnęła go w plecy.

Katie czekała, aż mu przejdzie, kiedy do na wpół otwartych drzwi zapukał detektyw O'Mara.

– Pani nadkomisarz? – Trzymał wiertarkę elektryczną z wiszącym przewodem. – Przed chwilą to znalazłem w szafce pod schodami, w skrzynce narzędziowej.

– Co to jest? – zakaszła Chisel. – Ja nic o tym nie wiem.

– Na skrzynce jest wypisane imię i nazwisko: Charles Rearden – oznajmił O'Mara. – To przecież pan, panie Rearden, prawda?

– Tak, to jest moje, zgadza się – potwierdził Chisel. – Jakiś szmacciarz parę miesięcy temu zaiwanił mi skrzynkę i zastanawiałem się, gdzie ona, kurwa, jest. Jak wsadził tam swoje klamoty, to ja nie mam z tym nic wspólnego. Nic a nic. Co to jest... tamto? Wiertarka? Nigdy nie miałem takiej wiertarki, nie.

– To wygląda jak zaschnięta krew i resztki skóry – powiedział detektyw i podsunął narzędzie Katie, żeby mogła się przyjrzeć. Miał rację. Na uchwycie tkwiły grudki zaschniętej krwi o barwie śliwki, a na gwint wiertła nawinęły się skrawki skóry podobne do papieru.

– Nigdy w życiu tego nie widziałem – zapewnił Chisel.

– Mówmy poważnie, panie Rearden. Czy ja wyglądam, jakby mnie dopiero co wiatr przywiał? Aresztuję pana i panią MacKennę w związku z podejrzeniem, że bezprawnie więziliście Johna Patricka Meaghera. Niczego nie musicie mówić, jeśli nie chcecie, ale wszystko, co powiecie, zostanie zapisane i może być wykorzystane jako dowód. Proszę się ubrać, zabieramy was na komendę.

– Jezu, Chisel, ale z ciebie, kurwa, niechluj! – warknęła Sorcia. – Inaczej wcale by się nie skapnęli.

– Obawiam się, że się pani myli, pani MacKenna – powiedziała Katie. – Jest mnóstwo dowodów na to, że pani i pani partner pomagaliście więzić Johna Meaghera. Chcę, żebyście mi powiedzieli, na czyje polecenie to robiliście.

– Ja tam nic nie mówię – rzuciła Sorcia.

– Mogą sobie państwo oszczędzić bardzo dużo kłopotów, jeśli mi powiecie, kto to był, zapewniam was. Może nawet nie będziecie w ogóle oskarżeni.

– Mmm... mmm – wymamrotała Sorcia, potrząsając głową z utlenionymi na blond włosami i mocno zaciskając usta.

– Czy to aby nie był Bobby Quilty?

– Kto?

– Bobby Quilty. Nie udawajcie, że nie znacie Quilty’ego. Jeśli to był on, może pani kiwnąć głową. To wystarczy. Nic więcej nie będzie pani musiała mówić.

– Kurwa, nie może pani prosić, żeby ktoś kablował na Quilty’ego – odezwał się Chisel. – To tak, jakby mu zaproponować, żeby wskoczył do rzeki Lee z cegłami w kieszeniach.

Sorcja ze zdesperowaną miną przewróciła oczami. Wsunęła rękę do kieszeni po paczkę papierosów, na chwilę odsłaniając pierś, na której miała wytatuowany celtycki krzyż z różą i kolcami.

– Daj no mi ognia, ciulu – powiedziała. – Podejrzanej wolno przecież zająrać ostatniego szluga.

Rozdział 24

Od rana padał ulewny deszcz, a na dodatek wzmógł się wiatr i dał wściekłymi porywami. Z tego powodu odwołano tradycyjny mecz piłkarski, który miał się odbyć w szkole Sunday's Well Boys' z okazji zakończenia roku szkolnego. Kevin Doherty tuż przed południem zabrał syna Toma i jego małą siostrzyczkę Sibeal na lunch w McDonalddie przy St Patrick's Street.

Siedzieli przy oknie i patrzyli na ludzi z zakupami, którzy zataczali się na chodniku jak pijani, z parasolami wywiniętymi na drugą stronę.

– No to jak myślisz, Tom, dasz radę Big Macowi? – zapytał Kevin. – Swoją pierwszą szkołę masz już za sobą. Jesteś teraz prawie mężczyzną. Zaczynasz w nowej po wakacjach.

– Panna Cashman się popłakała – odparł z powagą chłopiec. – Mówiła, że byliśmy najlepszą klasą, jaką uczyła, i będzie za nami tęsknić.

Kevin wyciągnął rękę nad stołem i poklepał syna po dłoni. Był to szczupły, zamyślony chłopiec z krótkimi ciemnymi włosami sterczącymi z tyłu głowy, bardzo dużymi brązowymi oczami i odstającymi uszami. Babcia mówiła zawsze, że jak urośnie, zostanie poetą jak W.B. Yeats, lecz tak naprawdę najbardziej interesowała go ochrona dzikiej przyrody. Zbudował w ogrodzie domek dla jeża i umieścił nad wejściem tabliczkę z napisem *Gráinneog*, ale jak dotąd żaden jeż się tam nie zagnieździł. Jego kolega Charlie powiedział, że to dlatego, że jeże pierwotnie pochodziły z Anglii i nie umieją czytać po irlandzku.

Kevin widział, że Tom wprawdzie się nie rozplącze jak jego nauczycielka, lecz już do niego dotarło, że nie pójdzie więcej do

Sunday's Well, że przestał być starszakiem w najwyższej, szóstej, klasie. W następnym semestrze zostanie nowicjuszem w pierwszej klasie szkoły North Monastery. Lata dzieciństwa dobiegły końca.

– Ja chcę kurczaka, ale liści sikawca nie – oznajmiła Sibeal.

Miała cztery lata, niebieskie oczy i długie, splątane blond loki. Wyglądała jak miniatúrka Órli, swojej matki, i była tak samo uparta. Ścisnęła w dłoni rudą lalkę z jednym okiem i szaleńczym wyrazem twarzy. Sikawiec to inaczej mlecz, ale ona mówiła tak na sałatę.

– A magiczne słowo? – zapytał Kevin.

Sibeal zmarszczyła czoło i wypaliła:

– Abrakadabra! – Po czym parsknęła śmiechem.

Kevin czuł lekki smutek, że syn tak szybko rośnie, ale w sumie był zrelaksowany i w dobrym nastroju. Bardzo lubił zabierać dzieci do miasta, zwłaszcza kiedy w pracy miał mniej stresu. Po dwóch miesiącach przeciągania liny zamknął wczoraj sprzedaż trzykondygnacyjnego budynku komercyjnego przy North Main Street, w którym mieściła się niegdyś filia Allied Irish Bank, a transakcja dzierżawy dużego obiektu na rogu Tuckey Street była bliska zawarcia.

Miał niesforną falującą czuprynę i trochę za duży nos, ale był atrakcyjnym mężczyzną, szczupłym i eleganckim; jego twarz rozjaśniał uśmiech człowieka, którego kariera zależy od tego, czy inni będą się w jego towarzystwie czuli dobrze. W kwietniu stuknęła mu czterdziestka i z początku go to przygnębiało, lecz teraz poczuł się dojrzały i pewny siebie; miał wrażenie, że panuje nad swoim życiem. Pewnego ranka obudził się i nagle naszała go myśl: Jestem szczęśliwy. Jezu, jestem naprawdę szczęśliwy. Właśnie tak to jest być szczęśliwym.

– Za tydzień i trzy dni lecimy na Gran Canaria – oznajmił. – Słoneczko, kąpiele w morzu. Będziemy mieli frajdę jak jeszcze nigdy w życiu.

– Ja chcę wziąć Blossoma – powiedziała Sibeal. Blossom to był jej konik na biegunach.

– Nie, kochanie, nie możesz wziąć Blossoma. Jest o wiele za duży i nie zmieści się w samolocie. Tatuś kupi ci dmuchanego konika tam, na miejscu.

Kevin pomógł córce pokroić kurczaka. Śpiewała przy jedzeniu z pełną buzią, a Tom machał chudymi nogami, zajadając burgera i wyglądając przez okno.

Nie mieli daleko do domu. Mieszkali w trzykondygnacyjnym szeregowcu z tarasem przy Military Road; wjeżdżało się tam pod górę z St Luke's Cross, miejsca, w którym Katie spotkała się z Kyną. Dotarłszy na miejsce, Kevin zezłościł się na widok zdezelowanej zielonej furgonetki, która ustawiła się na wprost bramy, tam gdzie zwykle parkował; musiał się zмагаć parę minut z kierownicą, nim zmieścił swoje audi kombi za furgonetką, tak że samochody prawie się stykały.

– Ach, ci ludzie. Nie przyjdzie im do głowy, że ktoś może chcieć postawić samochód przed własnym domem. To na pewno pani Doody znowu ściągnęła ekipę remontową. Ta kobieta nie wytrzyma miesiąca, żeby nie zmienić tapety na ścianie.

– A ja lubię panią Doody – powiedziała Sibeal. – Daje mi żelki śmieszki.

– Nie powinnaś ich od niej brać. – Kevin pomógł jej zejść z fotelika dla dzieci. – Mama mówi, że od nadmiaru cukru robisz się hiperaktywna.

– Co to znaczy „ktywna”?

Szli ścieżką pokrytą białą-brązową kostką i Kevin zdziwił się, że Órła nie czeka w otwartych drzwiach; zwykle tak robiła, kiedy przywoził Toma ze szkoły, a dziś był jego ostatni dzień w Sunday's Well. Sibeal raz po raz naciskała dzwonek, lecz ojciec wyjął swój klucz.

– Órła! – zawołał, kiedy weszli do przedpokoju. Nikt nie odpowiadał, więc krzyknął po raz drugi. – Órła, kochanie, gdzie jesteś?!

W domu panowała cisza. Órła przeważnie miała włączony telewizor, bo lubiła, żeby coś szumiało w tle, mimo że prawie

wcale nie zwracała uwagi na programy. Najprawdopodobniej poszła do sklepu po parówki.

– Możesz już zdjąć mundurek, Tom – zwrócił się do syna. – Przyniesź później na dół, bo mama będzie chciała go uprać; zaniemiemy go do szkoły, żeby jakiś inny chłopiec mógł go sobie wziąć.

– Chce mi się pić – oznajmiła Sibeal.

– Dopiero co piłaś w MacDonalddie.

– Chcę jeszcze.

– No dobrze, ale tylko wody. Wypiłaś już dosyć tanory jak na jeden dzień. Będiesz skakała po domu jak kangurek. I co powie na to mamusia? A magiczne słowo?

Kevin już miał zaprowadzić córkę do kuchni, ale nagle poczuł jakiś dziwny zapach. Gdy wyjeżdżał z dziećmi na obiad, żona właśnie robiła barmbrack i między innymi dlatego nie pojechała z nim po Toma; jednak woń, która do niego doleciała, nie była podobna do ciepłego, owocowego aromatu pieczonego ciasta. Przypominała zatechły zapach używanych ubrań w sklepie dobroczynnym, zaprawiony silnym odorem taniego płynu po goleniu.

– Órla? – powtórzył cicho. Dębowe drzwi salonu były uchylone, a w ich domu zazwyczaj trzymało się je otwarte na oścież.

– Myślisz, że mama się schowała? – zapytała konspiracyjnym szeptem Sibeal, spoglądając na tatę.

Kevin nie odpowiedział. Cały zamienił się w słuch. Órla nigdy nie robiła takich żartów, nie leżało to w jej naturze. Organizowała dla dzieci imprezy z gramami i malowaniem twarzy, śpiewała z nimi piosenki, ale nigdy nie pozwalała sobie na sztubackie wygłupy. W ich małżeństwie dochodziło niegdyś do tarć z powodu jej powagi i lekkomyślności Kevina; między innymi dlatego ich dzieci urodziły się w odstępie ośmiu lat. Sibeal została poczęta przypadkowo, lecz jak się okazało, był to szczęśliwy przypadek, bo córeczka ponownie zbliżyła do siebie rodziców.

Kevin wysunął rękę ku drzwiom salonu i już miał je pchnąć, kiedy usłyszał ciche szuranie; zawahał się.

– Myślisz-że-mamusia-tam-jest? – wyszeptała Sibeal.

Uciszył ją, kładąc sobie palec na ustach. To był jego dom, powinien pchnąć drzwi, wejść i przekonać się, czy żona naprawdę bawi się w chowanego. Z jakiegoś powodu, którego nie potrafił zrozumieć, wyczuwał, że coś jest nie tak, i to bardzo. Albo Órła była w salonie i zachowywała się niezgodnie ze swoim charakterem, albo nikogo tam nie było. Dlaczego więc nękała go obawa?

Nawet nie obawa, tylko prawdziwy strach. Ale czemu? Órła stoi pewnie teraz przy ladzie w sklepie i za pięć minut wróci. Lecz dlaczego drzwi są przymknięte? I co to za zapach?

Ostrożnie dotknął drzwi i w tej samej chwili usłyszał męski głos.

– Kevin! – zawołał ktoś z mocnym akcentem z Antrim. – No, czego nie wchodzisz, dryblasie? Co tak stoisz za drzwiami. Chyba się nie drażnisz, co?

Sibeal spojrzała z lękiem na ojca.

– Wszystko gra, kochanie – powiedział, mimo że drgnęło mu serce. Pchnięciem otworzył szeroko drzwi, ale nie wszedł od razu do środka.

Órła stała na owalnym dywaniku pośrodku salonu. Miała na sobie długi brązowy fartuch, a jej ręce wciąż uwalane były w białej mące. Miękkie rudawe włosy wystawały pierzastymi kosmykami spod chustki, a biała skóra jej twarzy miała odcień kości słoniowej; wyraźnie odcinały się od niej brązowe piegi na grzbiecie nosa i blade różowe usta.

Przy jej bokach stało dwóch mężczyzn. Ten po prawej, łysy, miał mięsistą gębę byłego boksera ze skrzywionym nosem, klatkę piersiową szeroką jak beczka i krótkie nogi; w obwisłej czarnej marynarce wydawał się jeszcze niższy, prawie jak karzeł.

Mężczyzna stojący po lewej stronie Órli był chudszy i roślejszy, miał potargane siwe włosy i pociągłą, pooraną zmarszczkami twarz. Wąsko rozstawione oczy błyszczały,

a haczykowany nos był ostry jak stalaktyt. Jego ubranie składało się z taniej brązowej bluzy z materiału syntetycznego i wąskich dżinsów, które ciasno opinały nogi. Bardziej przypominał ogromnego drapieżnego ptaka niż mężczyznę.

Obaj trzymali pistolety, niski w lewej dłoni, wysoki w prawej. Kevin łagodnym ruchem przesunął Sibeal za siebie.

– No chodź, Kevin – odezwał się ten niski, machając pistoletem. – Nie ma się co denerwować. Składamy ci tylko wizytę towarzyską, od dawna spóźnioną, i tyle.

– Kim jesteście? – spytał Kevin. – Órla, zrobili ci coś? Nie, Sibeal, zostań za mną, kochanie.

Żona patrzyła na niego z rozpaczliwym wyrazem twarzy i zaciśniętymi w pięści dłońmi białymi od mąki, ale milczała.

– Jeśli jej coś zrobiliście... – zaczął, odwracając się w stronę niższego z mężczyzn.

– E, weź przestań – rzucił tamten. – Nie przyszliśmy was skrzywdzić. Wszystko pójdzie bezboleśnie, słowo ci daję.

– Kim wy jesteście? Czego chcecie? Mam trochę pieniędzy na górze, jeśli o to wam chodzi, ale poza tym nic szczególnie cennego.

– O, i tu bym się z tobą nie zgodził, dryblasie. Masz coś, co w Irlandii jest najcenniejsze. Stare rachunki do wyrównania.

– O czym ty mówisz, na Boga? Czego chcecie?

Roślejszy mężczyzna odezwał się powoli, ponurym głosem, prawie jakby wygłaszał kazanie. On także miał akcent z Antrim, ale wysławiał się poprawniej niż jego towarzysz, jak ktoś wykształcony.

– Zdawało mi się, że wy, katolicy, bardziej skrupulatnie przyznajecie się do swoich win – dodał. – Bo Pan miłuje sprawiedliwość i nie opuszcza swych świętych; nikt z nas nie wyginie, a potomstwo występnych będzie wytępione.

– Co takiego? O czym ty mówisz?

– Dokładnie tak, jak powiedziałem: o wytępieniu potomstwa występnych. Grzechy ojców spadną na dzieci, i słusznie. Jeśli jest w Irlandii coś, czego nie robimy nigdy, to nie zapominamy tym,

którzy wobec nas zawinili. Żaden grzesznik nie powinien ujść bezkarnie, a jeżeli już ujdzie, to należy ukarać potomstwo za to, co zrobił, nieważne, w którym pokoleniu.

– Nadal cię nie rozumiem. Jacy grzesznicy?

– Wszyscy grzesznicy. Każdy morderca z IRA, który miał krew na rękach, i możesz sięgać tak daleko wstecz, jak ci się podoba. Ilu oponentów Traktatu nie pojmano w czasie wojny o niepodległość i nie pociągnięto do odpowiedzialności? Setki! Można twierdzić, że od dawna nie żyją, ale nie ma powodu, by ich spadkobiercy, ich potomstwo nie poniosło sprawiedliwej kary za wszystkie bestialstwa.

– Czy ja dobrze słyszę? Uważasz, że powinno się wsadzać ludzi do więzień za to, co ojcowie i dziadkowie zrobili sto lat temu, nawet jeśli ci ludzie nic o tym nie wiedzą?

– Nie mówiłem o więzieniu, Kevin. Mówiłem o sprawiedliwości. Oko za oko i kulka za kulkę. Słuchaj, dzisiejsi politycy to mięczaki, łagodnie traktują morderców, ogłaszają amnestie, wypuszczają ich z Maze i dogadują się z nimi. Ale fakt pozostaje faktem, że oni nadal są mordercami, że mają krew na rękach! Nigdy nie uzyskają przebaczenia Pana Boga naszego, choćby nie wiem ile lat minęło, nie przebaczą im pogrążone w żałobie rodziny tych, którym zabili rodziców, dziadów, pradziadów, i tak bez końca. Dlaczego dzieci mordercy mają wieść szczęśliwe życie, skoro ci, których zamordowali, zostali pozbawieni wszystkich lat, jakie im zostały, i nie mieli szans patrzeć, jak dorastają ich dzieci?

Kevin położył dłoń na ramieniu Sibeal.

– Stój i nie ruszaj się, kochanie. Zostań tam. Wypowiadam magiczne słowo. Proszę, zostań na miejscu, skarbie.

Wszedł do salonu i stanął na wprost żony, tak blisko, że mógł wyciągnąć rękę i jej dotknąć. Usłyszał za sobą kaszlnięcie i pociągnięcie nosem; odwrócił się i zobaczył, że przy oknie wychodzącym na ogród siedzi trzeci mężczyzna: młody, w oliwkowej wełnianej czapce naciągniętej na czoło, w bluzie i spodniach z dzinsu. Wyglądał na osiemnaście lat, miał wściekle

czerwone pryszczki na policzkach i cienkie czarne wąsiki. On także był uzbrojony, półautomatyczny karabinek Kałasznikow leżał ukośnie na jego kolanach.

– Może jestem bardzo głupi – zaczął Kevin, z wielkim trudem panując nad swoim głosem i nie odrywając wzroku od Órli – ale jeśli nie przyszlście tu po to, żeby nas okraść, to bardzo chciałbym wiedzieć, dlaczego jesteście w tym domu, co tutaj robicie, dlaczego grozicie mojej żonie i rodzinie. Co ma znaczyć ta mowa o wyrównywaniu rachunków i karaniu? Chcę tylko, żebyście wynieśli się z mojego domu i zostawili nas w spokoju, i klnę się na życie moich dzieci, że nie puszczę o tym pary z ust.

– Coś podobnego nawet mi przez myśl nie przeszło, wiesz? Że puścisz o tym parę z ust! – odezwał się z udawanym zdziwieniem ten niski. – Bo niby jak można puścić parę z ust, jeżeli się nie oddycha, dryblasie?

Kevin wpatrywał się w niego i nie mógł uwierzyć własnym uszom; jednakże niski nawet nie uniósł głowy. Był zaabsorbowany wyjmowaniem magazynku z pistoletu; ściągnął brwi, po czym z metalicznym szcęknięciem wcisnął go z powrotem na miejsce.

– Przyszlście tu po to, żeby mnie zabić? Co ja komu zrobiłem? No co? Zastrzelicie mnie tak po prostu, w obecności żony i dzieci? Nawet nie wiem, kim jesteście!

– No tak, tu masz rację, nie wiesz, kim jesteśmy – potwierdził ten wysoki. – Ale cała rzecz w tym, że my wiemy, kim ty jesteś. Czyżbyś nie słuchał wiadomości i nie czytał ostatnio gazet?

Kevin wpadał w stan hiperwentylacji. Órli zaczęła bezgłośnie płakać, łzy płynęły po jej policzkach. Otwierała i zamykała usta, jakby chciała mu powiedzieć coś ważnego, ale była zbyt roztrzęsiona, żeby wydobyć z siebie słowa. Sibeal, która stała w przedpokoju, także się popłakała; z całej siły trzymała lalkę w rączkach.

– Gdybyś zwracał uwagę na serwisy informacyjne, Kevin, wiedziałbyś, że policja odkryła zwłoki pod podłogą pewnego

domu w Blarney. Ciała całej rodziny: ojca, matki i dwojga dzieci, a nawet psów.

– Słyszałem o tym, oczywiście. Ale oni nie żyją od prawie dziewięćdziesięciu lat, prawda? Tak chyba mówiono w telewizji. Więc co to ma wspólnego ze mną?

– Wszystko, Kevin, wszystko. Langtry'owie, bo tak się nazywała ta rodzina, zostali zastrzeleni przez członków twojej rodziny.

– Odbiło ci! – zawołał Kevin. – Moja rodzina nigdy nie miała z czymś takim nic wspólnego!

– Może nie opowiedzieli ci o tym, ale owszem, miała. Langtry'owie przyjechali z Dripsey do pracy w przędzalni wełny w Blarney. Wszystkim mówiono, że po prostu czmychnęli pod osłoną nocy. Ale teraz wiemy, że zostali zastrzeleni przez twojego pradziadka Martina Doherty'ego, twojego stryjeczny dziadka Killiana Doherty'ego oraz paru innych.

– Rozum ci odebrało? Mój pradziadek był sklepikarzem! Miał sklep spożywczy w Coachford. Nigdy nikogo nie zastrzelił. Nie wiem, jak zarabiał na życie mój stryjeczny dziadek, ale wydaje mi się, że był jakoś związany z transportem.

Wysoki wzruszył ramionami.

– Było w tamtych czasach wielu, którzy za dnia byli sklepikarzami, a nocą żołnierzami. Twój pradziadek był jednym z nich. Wiedziałaś, że po zasadzce w Dripsey w tysiąc dziewięćset dwudziestym pierwszym brytyjskie wojsko wsadziło go do więzienia, przesłuchiwało prawie przez miesiąc i dopiero potem go wypuściło?

– Nie wiedziałem – przyznał Kevin. – Wiem o nim tylko tyle, że był sklepikarzem, podobnie jak dziadek. Ostatecznie dziadek sprzedał sklep, a później jakiś czas prowadził pub Mills Inn w Ballyvourney.

Wysoki mężczyzna podszedł i stanął obok niego. Zamiast dołeczka na brodzie miał dużą brązową brodawkę. Kiedy się zbliżył, Kevin już wiedział, że to za jego sprawą w salonie cuchnęło jak w sklepie dobroczynnym.

– Mów sobie, co chcesz – powiedział ten wysoki. – Moja rodzina wiedziała z najlepszych źródeł, że Martina Doherty’ego i Killiana Doherty’ego wysłano, żeby zlikwidowali Langtrych. Nigdy nie wierzyliśmy, że zrobili to Brytole. Rozkaz wydał kapitan Frank Busted ze sztabu IRA w Kilcullen.

Kevin nie wiedział, co odpowiedzieć. Czuł się tak, jakby otworzył drzwi i wkroczył do świata, którym zawładnął totalny obłąd. Był przerażony i pewny, że ci nieznajomi uparli się, by go zabić, ale nie miał najmniejszego pojęcia dlaczego.

– Brytole zwolnili twojego pradziadka z jednego tylko powodu – ciągnął wysoki. – Od Langtrych przyszedł list z Ameryki i było w nim napisane, że wyemigrowali, że wszyscy żyją i są zdrowi. W tych okolicznościach Brytole nie mogli go oskarżyć o morderstwo, prawda? Nasza rodzina nigdy jednak nie uwierzyła do końca, że tamci naprawdę wyjechali. Ale co mogliśmy zrobić? Langtry’owie przysyłali kolejne listy z Ameryki, nie było ich nigdzie w Blarney, nie znaleziono grobów, spalonych zwłok ani ciał utopionych w bagnie. Musieliśmy przyjąć, że naprawdę są w Nowym Jorku. W tamtych czasach nie było poczty elektronicznej. Nie było nawet telefonów.

Zrobił krótką pauzę.

– Możesz się domyślić, dlaczego tak nas zdruzgotała informacja o tym, że ich zwłoki się odnalazły, prawda? Po tylu latach wyszło na jaw, że nasze podejrzania były od początku słuszne i że Langtry’owie zostali zamordowani przez IRA.

– Mimo to dalej nie rozumiem, jak możecie mnie obwiniać o to, co się stało – powiedział Kevin. – Nigdy tego nie pojmę. – Uniósł wyzywająco brodę; chrapki nosa unosiły mu się i opadały.

– Kpiny sobie robisz? Oczywiście, że możemy cię obwiniać! Twoja rodzina wymordowała jedną z naszych rodzin, wszystkich, nawet dzieci. Nawet psy. Człowieku! Przyszedł czas rozrachunku.

– Ale wy nie jesteście Langtry’owie, prawda?

– Nie, jasne, że nie. Crothersowie jesteśmy. Nasza rodzina służyła w tamtych czasach w Leemount House, w domu pani

Mary Lindsay. Mój prapradziadek Payton zajmował się ogrodem. Prapraprababcia Aideen gotowała, a ich najmłodsza córka Radha pomagała jej i sprzątała dom.

– Nadal nie rozumiem... – odezwał się Kevin, lecz ten wysoki nie pozwolił mu dokończyć.

– Radha wyszła za Stephena Langtry’ego i skończyła pod podłogą. – Głos drżał mu z oburzenia. – Była kwiatuszkiem tej rodziny, tak ją nazywali. Mogłem przynieść jej zdjęcie, to sam byś zobaczył, jaka z niej była piękność. Najśliczniejsza dziewczuszka, jaką sobie można wyobrazić. Ale twój pradziadek, twój pradziadek... którego krew płynie w twoich żyłach, wdarł się do domu Radhy, tej pięknej młodej kobiety, i zastrzelił ją bez wahania.

Żeby podkreślić swoje oburzenie, uniósł pistolet i przyłożył lufę do czoła Kevina.

– Zastrzelił ją – powtórzył. – Zabił.

Kevin uniósł ręce, pokazując, że jest mu przykro z powodu tego, że Radha i jej rodzina zostali zamordowani, ale nie przychodzi mu do głowy, w jaki sposób może za to zadośćuczynić, nawet jeśli za zbrodnię odpowiedzialny był jego pradziadek. Gdyby Radha nie zginęła od kuli, i tak by już teraz nie żyła, choćby nie wiem jak była piękna.

Przez niemal pół minuty nikt się nie odzywał. Deszcz terkotał o szyby okien, Órla dalej łkała boleśnie, cicho; Sibeal przestała szlochać i stała w milczeniu, raz po raz przełykając ślinę, jakby ją mdliło.

Nagle usłyszeli, że Tom zbiega z tupotem po schodach.

– Tato! Nie mogę znaleźć niebieskiej bluzy! Wiesz, gdzie jest moja niebieska bluza? Nie wkładałem jej do prania!

Kevin zamarł na sekundę, po czym podszedł do drzwi i w chwili, gdy syn zeskoczył ze schodów na podłogę, zawołał:

– Tom! Jak najprędzej uciekaj z domu! Biegnij do pani Doody i każ jej wezwać policję! Idź!

Chłopiec zawahał się i zamrugnął. Był w czarnych spodniach od dresu i białym podkoszulku; przyciskał do piersi szary szkolny

mundurek.

– Biegnij! – nakazał Kevin, tym razem prawie krzyząc.

Niski mężczyzna wyszedł z salonu i brutalnie pociągnął Kevina za rękaw.

– W co ty, kurwa, pogrywasz, dryblasie?

– Tom! Idź i wezwij policję!

Chłopiec upuścił mundurek na wycieraczkę i wyciągnął rękę do klamki. W tej samej chwili mężczyzna wymierzył do niego z pistoletu, który miał w lewej dłoni, bo prawą wciąż trzymał rękaw koszuli Kevina. Odległość między lufą pistoletu a głową chłopca wynosiła niespełna trzy metry.

W filmach strzały padają w zwolnionym tempie, więc Kevin miałby czas na to, by skrócić rękę i wyrwać się napastnikowi, po czym rzucić się w kierunku syna i powalić go na podłogę chwytem rugbisty, podczas gdy pocisk przebiłby drzwi, nie robiąc nikomu krzywdy.

Tymczasem Kevin usłyszał ostry trzask i w tej samej chwili na drzwiach przed twarzą Toma pojawiła się plama jasnoczerwonej krwi. Chłopiec zawahał się na ułamek sekundy, wciąż trzymając klamkę, a następnie runął bokiem na schody. Osunął się bez życia na sam dół, jego bezwładne ręce i nogi się splątały, twarz odwróciła się ku Kevinowi. Miał otwarte oczy, ale czoło nad brwiami było oderwane i wierzch głowy wypełniony był jasnoczerwonymi grudkami, które przypominały ugniecione ziemniaki.

Być może Sibeal krzyknęła; Kevin nie był w stanie nic usłyszeć. Pistolet miał nałożony tłumik, a mimo to wystrzał był głośny. Kevin nie usłyszał nawet własnego, narastającego jęku. Opadł ciężko na kolana obok Toma, wziął go w ramiona i przycisnął do piersi. Chłopiec był ciepły, wciąż jeszcze ciepły, a gdy ojciec mocno go przytulił, z jego ust uleciało westchnienie.

Wysoki mężczyzna wyszedł do przedpokoju i zobaczył, że Kevin garbi się nad ciałem syna i to unosi głowę, to ją opuszcza niczym skruszony pokutnik. Z wyraźnym niesmakiem spojrzał

na krew na dłoniach Kevina i jego koszuli; jej rozbryzgi utworzyły na drzwiach plamę w kształcie wiatraka.

– Ojej, facet, patrz, co się porobiło. Posprzątać tutaj to będzie urwanie dupy.

W jego głosie nie było więcej emocji niż w głosie dekoratora wnętrz, który okazuje dezaprobatę po tym, jak klient wybrał kolor farby.

– Chłopak leciał po gliny – wyjaśnił niski mężczyzna. – Co miałem zrobić?

– Nie obchodzi mnie, gdzie on leciał, nie musiałeś tak naświnić. No, ale my przecież nie będziemy trzymać tej rodziny w ukryciu przez dziewięćdziesiąt lat.

Kevin uniósł głowę. Był prawie oślepiiony łzami, ból ściągnął w dół kąciki jego ust.

– No dalej, możecie mnie zabić, jeśli po to przyszlście. Ale nie róbcie krzywdy mojej żonie, mojej córce. Zabraliście mi syna, podłe gnoje, nie dosyć wam?

Wysoki mężczyzna spojrział na niego spod ciężkich powiek.

– Chyba nie pojąłeś, dryblasie. Oko za oko, tak powiedziałem. Kulka za kulkę. Ojciec, matka, syn i córka. A w kuchni zauważyłem parę kotów. Musicie zapłacić w pełni. Dzyń-dzyń – wydał dźwięk podobny do kasy sklepowej.

Kevin popatrzył na otwarte oczy Toma i krwawą miazgę, w którą zamieniła się jego głowa.

– To nie dzieje się naprawdę – wyszeptał. – To jest zły sen. To wszystko zły sen.

– Podejrzewam, że Radha też tak mówiła, albo coś podobnego – rzekł ten wysoki. Niski chwycił Kevina pod pachę i pociągnął do góry.

Rozdział 25

Przed rozpoczęciem przesłuchania Quilty'ego Katie pojechała do domu. Chciała wziąć prysznic, przebrać się i coś zjeść; na to, żeby się zdrzemnąć, nie było szans.

Natychmiast po dotarciu na Anglesea zainicjowała ogólnokrajowe poszukiwanie Kyny i Johna: kazała rozesłać biuletyny informacyjne do wszystkich sześciu regionalnych komend policji w Irlandii oraz do jedenastu okręgów Służby Policyjnej Irlandii Północnej. Później poszła do gabinetu komendanta MacCostagáina, żeby pokrótce zrelacjonować mu katastrofę operacji Trójzab. Nie próbowała znajdować wymówek. Powiedziała mu jednak, że Bobby Quilty musiał zostać ostrzeżony o nalocie.

– Myślisz, że był przeciek? – zapytał. – Czy to jest ktoś od nas, z komendy?

Katie mogła jedynie wzruszyć ramionami.

– Jeszcze nie wiem, panie komendancie. Naprawdę nie mam pojęcia. Ale się dowiem, może pan być tego pewny.

Tego ranka w telewizji i radiu odbyło się szereg dyskusji poświęconych sprawie Langtrych. Profesor Pendle powtórzył tezę, że członków rodziny zastrzeliło brytyjskie wojsko, a Oraltih Mac Aindriú z patrii Sinn Fein oznajmił, że najwyższy czas, by Brytyjczycy przyznali się do zbrodni, których dopuścili się w latach dwudziestych ubiegłego wieku. Jak dotąd nie było jednak reakcji Londynu. Katie przekazała krótki suchy komunikat Mathew McElveyowi z biura prasowego, aby chwilowo uspokoić media; bała się, że dojdzie do ujawnienia informacji o aresztowaniu Quilty'ego.

Przechodziła właśnie obok dyżurki, kiedy odebrano telefon z kancelarii prawnej przy South Mall, która reprezentowała Quilty'ego. Machnęła ręką i ruchem ust powiedziała „Nie!”. Operatorka oznajmiła, że pani nadkomisarz ma ważną naradę i oddzwoni później. Katie znała aż za dobrze jego adwokatów Fairleya i O'Counihana, zwłaszcza tego drugiego, był to wysoki, przystojny drań z włosami zaczesanymi do tyłu, reprezentujący wielu najbogatszych biznesmenów w Cork, również tych szemranych.

Przyjechała do domu prawie równocześnie z sąsiadką Jenny Tierney. Jenny mimo deszczu wyprowadziła Barneya na spacer. Była to drobna, energiczna kobietka, której usta nigdy się nie zamykały. Opatulona w nylonową różową chustkę i żółty płaszcz przeciwdeszczowy, w jaskrawoczerwonych tenisówkach na nogach, wyglądała jak zaniedbana rosyjska matrioszka, w którą ktoś tchnął życie.

– Och, naprawdę ci dziękuję, Jenny. Prawdziwa święta z ciebie – powiedziała Katie, biorąc do ręki smycz. Barney przywarł do jej nóg, a potem otrząsnął się tak mocno, że opryskał ją deszczówką. – Barns! Teraz jestem cała mokra, głuptasie!

– Pracowałaś wczoraj do późna, Kathleen? – chciała wiedzieć Jenny, kiedy Katie otwierała drzwi. – Zdrzemnęłaś się chociaż trochę? Ja bym tak nie mogła bez snu. Zasnęłabym w środku dnia, gdybym nie przekimała swoich pełnych ośmiu godzin. Ale mój mi nie pomaga tym swoim chrapaniem, czuję się, jakbym była w tartaku.

Katie wyłączyła alarm.

– Fajnie było na spacerku, Barns? Dokąd poszliście?

– Wcale nie był chętny, żeby wychodzić na deszcz – powiedziała Jenny. – Ale w zeszłym tygodniu dla odmiany poszliśmy do samego końca Whitepoint Drive, nad wodę, no wiesz, i mieszka tam taka jedna suczka golden retrieverka; spodobała mu się i od tej pory chodzi chętnie, nawet jak deszcz leje. Wystarczy, że powiem „No chodź, Barney, idziemy do

Oony”. Gdyby sam umiał sobie zapiąć smycz, migiem by to zrobił.

– Barns! – zdziwiła się Katie. – Nic nie wspominałeś, że jesteś zakochany!

– Och, zabujał się po swoje kudłate uszyska, ale Oona też z nim flirtuje. Żebyś ich widziała razem! Jeszcze chwila i parlament przegłosuje prawo psów do małżeństw, wcale bym się nie zdziwiła, skoro gejów już zalegalizowali! Pewnie jesteś skonana, ale może wstąpiłabyś do mnie na chwilę i posiedziała? Zrobię pyszną herbatkę.

– Bardzo miło z twojej strony, Jenny. Ale mam teraz masę spraw na głowie. Liche byłoby ze mnie towarzystwo.

– No, może to jeszcze przemyślisz. Mam piwne pierniki od siostry, a jeśli się z kimś nie podzielę, sama wszystkie wykończę.

Mówiła dalej, aż Katie zdjęła płaszcz, powiesiła go, jeszcze raz podziękowała z uśmiechem i powoli, lecz stanowczo zamknęła drzwi. Weszła do salonu, usiadła na kanapie i ściągnęła buty. Czowała się wyczerpana. Bolała ją głowa, miała spuchnięte kostki; oddałaby wszystko, żeby móc się położyć, zamknąć oczy i przespać resztę dnia. A tymczasem wszystkie jej myśli zaprzętały Kyna i John. Zdawała sobie sprawę, że Quilty gdzieś ich wyekspediował, lecz nie była w stanie wyobrazić sobie, co im zrobił: gdzie ich ukrywa i czy wyrządził im jakąś krzywdę; nie wiedziała nawet, czy nadal żyją. Gnębiło ją niemiłe poczucie winy wobec obojga, zwłaszcza wobec Kyny. Niepotrzebnie kazała jej zinfiltrować gang Quilty’ego, powinna była przewidzieć, że skończy się to tragedią. Nawet jeśli Kyna się zgodziła, to przecież jej życie było warte sto razy tyle co żywot Bobby’ego Quilty’ego.

Ze zdjęcia ustawionego na kominku uśmiechał się do niej John; patrzyła na jego szmaragdowe oczy i czarne kręcone włosy. Niemal czuła bryzę, która wiała tego dnia, kiedy zdjęcie zostało zrobione na plaży Dingle Bay; słychać było jedynie szmer fal i stukot kopyt pięciu koni, na których jeźdźcy przegalopowali po piasku nieopodal.

Nagle zdała sobie sprawę, że płacze.

Barney pił wodę w kuchni, ale przydreptał do salonu i patrzył na nią, oblizując pysk.

– Nic się nie przejmuj, ogólnie jest super – uspokoila go, wierzchem dłoni ocierając oczy. – Zmęczona jestem i trochę mnie emocje dopadły. Ale w końcu płacą mi za tę robotę. A ty co? Myślałam, że miałeś już dosyć wody, przecież odwiedziłeś w deszczu swoją wybrankę.

Weszła do sypialni, odpięła kaburę i położyła pistolet na toaletce. Był to nowy smith & wesson airweight kalibru .38, który dopiero niedawno pobrała w miejsce rewolweru. Wolala go, bo był lżejszy od broni, którą miała wcześniej; ważył zaledwie czterysta dwadzieścia pięć gramów, niespełna połowę tego, co automatyczne SIG sauery P226, w które uzbrojona była większość funkcjonariuszy regionalnych jednostek wsparcia. Miał również osłonięty kurek, co chroniło przed przypadkowym zaplątaniem się broni w ubranie. Katie jeszcze ani razu nie wystrzeliła z niego na służbie, ale ćwiczyła co tydzień od dnia, w którym go wyfasowała. Miał mocny odrzut, gdyż był lekki, lecz już się nauczyła, jak sobie z tym radzić, a rękojeść świetnie leżała w jej drobnych dłoniach.

Rozebrała się i weszła do łazienki, żeby wziąć prysznic. Spojrzała w lustro wiszące nad umywalką i zobaczyła, że wcale nie wygląda na zmęczoną i roztrzęsioną. W gruncie rzeczy wyglądała jak osoba nienaturalnie spokojna i opanowana; nowa fryzura, którą zrobił jej fryzjer Denis, z włosami cieniowanymi przy szyi, ani trochę się nie zmierzwiła.

Po prysznicu owinęła się grubym białym szlafrokiem i położyła na wznak z rękami skrzyżowanymi na piersiach, niczym średniowieczny święty na grobowcu. Zamknęła oczy, ale po paru sekundach musiała je otworzyć. Zdawała sobie sprawę, że nie zdoła usnąć, musiała więc zażyć dwie lub trzy pigułki kofeinowe, jeśli miała zachować świeżość i skupienie podczas konfrontacji z Bobbym Quiltem.

Nie była daleka od tego, by zapytać Boga, dlaczego stworzył takich jak Quilty. Może po to, by wystawiać na próbę wiarę

i moralną odwagę ludzi takich jak ona.

– A wystarczyło mnie zapytać, czy w Ciebie wierzę – powiedziała do sufitu. Barney usłyszał jej głos i zamruczał, jakby chciał potwierdzić, że zgadza się z panią.

Już miała wstać i ubrać się, kiedy telefon odegrał melodyjkę *Buile Mo Chroi*. Głos inspektora O'Rourke'a, chrapliwy i zmęczony, zabrzmiał tak, jak ona się czuła.

– Co tam u pani nadkomisarz? Przed chwilą odebrałem telefon od emerytowanego inspektora policji z Irlandii Północnej.

– Tak? I czego chciał?

– Były kolega z wydziału operacji kryminalnych w Belfaście powiedział mu o biuletynie, który pani rozesłała w związku z zaginięciem detektyw Ni Nuallán i Johna Meaghera.

– Tak. I co?

– Jeśli ci dwoje żyją, to on ma uzasadnione podejrzenia co do miejsca, w którym są. Albo nawet jeżeli nie żyją.

Katie usiadła.

– Serio? Musi mieć kontakty z czasów czynnej służby.

– Zdaje się, że mniej więcej na tym to polega, pani nadkomisarz. Tak czy siak, powiedział, że musi się z panią rozmówić osobiście, jeśli to możliwe. Chyba zapamiętał panią po tym, jak pojechała pani do Belfastu, żeby im pomóc rozbić tę siatkę pedofilską.

– Jak się nazywa?

– Harte. Alan Harte. Mówi, że mieszka teraz w Cherryvalley, we wschodniej części Belfastu.

– W Cherryvalley? Musiał dostać niezłą odprawę, jak szedł na emeryturę. Ale nie jestem pewna, czy go w ogóle pamiętam.

– Podam numer i sama z nim pani pogada.

– Później do pana zadzwonię, Francis, jak tylko się z nim skontaktuję. Poczekaj pan chwilę, muszę znaleźć długopis.

Zanotowała numer północnoirlandzkiego inspektora i zatelefonowała od razu, kiedy O'Rourke się rozłączył. Aparat dzwonił i dzwonił i myślała, że nikt nie odbierze. Już miała

odłożyć, kiedy odezwał się jakiś mężczyzna; mówił tak, jakby miał zatkałe gardło.

– Alan Harte. – Odchrząknął i powtórzył równie cicho, ale wyraźniej: – Alan Harte.

– O, witam pana, Alan. Tu detektyw nadkomisarz Kathleen Maguire z komendy w Cork. Podobno chciał się pan ze mną skontaktować.

– Ho, ho, nadkomisarz Maguire! Dzięki, że pani dzwoni! Nie wiem, czy mnie pani w ogóle kojarzy. Poznaliśmy się dwa lata temu, kiedy przyjechała pani do Belfastu i pomogła nam zgarnąć tych szmacciarzy z gangu Khana-Norrisa.

– Szkoda, że nie zadzwoniłam przez Skype’a, wtedy mogłabym pana zobaczyć. – Katie nie dodała, że jest w samym szlafroku, więc ona musiałaby mieć wyłączoną kamerę. – Nic nie szkodzi. Detektyw inspektor O’Rourke mówi, że być może ma pan informacje o dwóch osobach, których poszukujemy.

– Owszem. Pewien stary kolega z Lisnasharragh zadzwonił, jak tylko przeczytał wiadomość od pani. Zawsze obiecywał, że da mi znać, gdy tylko wypłynie pewne nazwisko, no i wypłynęło, wielkie, tłuste i nie do przeoczenia. – Emerytowany policjant zacytował urywek z biuletynu, który rozesłała Katie: – „Te dwie osoby uznano za zaginione po akcji Gardy, która odbyła się o godzinie czwartej trzydzieści rano. Jej celem było zatrzymanie Roberta Bolanda Quilty’ego w związku z podejrzeniem, że je więził”.

– Więc rozumiem, że zna się pan od dawna z Bobbym Quilty, tak?

– O, taa, znamy się kopę lat. Jak pani myśli, dlaczego musiałem odejść z policji? Próbowaliśmy przyskrzynić Quilty’ego, kiedy szmuglował prochy przez Larne. Do dzisiaj nie wiem, komu dał w łapę albo komu zagroził, ale pod dachem mojego garażu znaleziono ukrytą heroinę wartą prawie siedemdziesiąt pięć tysięcy funtów. A ja nijak nie umiałem wytłumaczyć, skąd się tam wzięła. Odszedłem z powodów zdrowotnych, w cudzysłowie, rozumie pani, i sprawę wyciszono.

Ale oczywiście to Bobby Quilty mnie wrobił i przysięgam na Boga, że pewnego dnia go dopadnę, przybiję mu jaja gwoździami do podłogi, tak będzie. Pani wybaczy, że się brzydko wyrażam.

– Więc może trafia się panu wielka szansa. Jeśli ustalimy miejsce pobytu Johna Meaghera i detektyw sierżant Ni Nuallán i okaże się, że żyją, powinni nam dostarczyć wszystkich dowodów przeciwko Quilty’emu, których potrzebujemy.

– Powinni ich dostarczyć, nawet jeśli nie żyją – wtrącił Alan.

– Na razie staram się nie brać tej ewentualności pod uwagę.

– Tak, rozumiem. Ale oboje musimy chyba podchodzić do sprawy realistycznie. Wiemy przecież, do czego jest zdolny Bobby Quilty.

– No dobrze. Skupmy się na Johnie Meagherze i detektyw sierżant Ni Nuallán. Gdzie pana zdaniem można ich znaleźć?

– To nie jest pewne na sto procent, pani nadkomisarz, ale nie jest to też czysta zgadywanka.

– Och, mówmy sobie po imieniu. Jesteś teraz cywilem, a ja nie jestem w nastroju do formalności. Nie będę przed tobą ukrywała, że John Meagher i Kyna Ni Nuallán są mi osobiście bardzo bliscy.

– No więc dobrze, Katie. Jak powiedziałem, to jest coś więcej niż zgadywanka. Bobby Quilty zawsze zazdrościł Chunkowi O’Connellowi, bo domek O’Connella stoi okraciem na granicy i mówiło się, że aby uniknąć aresztowania, Chunk musi tylko przejść z jednego końca podwórza w drugi. Jakies pięć lat temu Quilty kupił bardzo podobną nieruchomość w południowym Armagh. Mówię kupił, ale tak naprawdę to była wymuszona transakcja. Przekonał właścicieli, że dla ich zdrowia będzie lepiej, jeśli sprzedadzą mu posesję za śmieszłą sumę i wyniosą się.

– Gdzie ona leży dokładnie, ta posesja?

– Zaraz obok Shean Road, niedaleko Forkhill. Widać ją wyraźnie, kiedy się przejeżdża, mimo że stoi trochę w głębi. W żadnych urzędowych dokumentach nie znajdziesz informacji, że należy do Quilty’ego. Właścicielem jest jakiś trust należący do przedstawicielstwa, które z kolei jest własnością jakiegoś holdingu. Nawet ja to odkryłem dopiero jakieś dwa czy trzy

tygodnie przed tym, jak mnie zmuszono do odejścia. Ale układ jest taki sam jak u Chunka O'Connella: jeśli policja się zjawia, żeby go zgarnąć, przechodzi z salonu do kuchni i nie można go tknąć. Może stać o krok od nich i jeść sobie parówki, a oni zgodnie z prawem nie mogą mu nic zrobić, bo przebywa na terytorium innego kraju.

– Myślisz, że John Meagher i Kyna Ni Nuallán mogą tam być?

– Powiedzmy, że kiedy pracowałem w wydziale kryminalnym, wyświadczyłem przysługi kilku osobom z południowego Armagh. Od samego początku byłem zdania, że dobry policjant to taki, który przymyka oko na sprawy pomniejszych drani, bo mogą pomóc złapać dużych drani. Co byś wybrała? Dziesięć wyroków za kradzieże używanych samochodów czy jeden wyrok za to, że ktoś planuje podłożyć trzykilową bombę w dużym centrum handlowym?

– Tak, rozumiem – rzuciła Katie, lekko już zniecierpliwiona.

– W każdym razie – ciągnął Alan – jeden z moich pomniejszych drani pracuje teraz na pół etatu w barze w Welcome Hill w Forkhill. Kiedy wieczorem przejeżdża na rowerze obok domu Quilty'ego i zauważy, że dzieje się tam coś nietypowego, obojętnie co, przysyła mi SMS-a z informacją. A ja w zamian milczę o paru numerach, które wyciął ze swoimi dwoma braćmi po tym, jak zawarto porozumienie wielkopiątkowe. Wszyscy należeli do drugiego batalionu Provosów. Koleś nigdy sam nikogo nie zabił, ale przesmuglował materiał wybuchowy użyty do bomby, która owszem, zabiła.

– Chcesz mi powiedzieć, że wczoraj wieczorem zauważył coś nietypowego?

– No właśnie. Nie przeczytam ci tej wiadomości dosłownie, za nic byś się w tym nie połapała, ale powiedział, że wczoraj tuż przed północą zobaczył czarnego albo granatowego vana, który skręcił do domu Quilty'ego i zaparkował. Wysiadło dwóch gości i otworzyło tylne drzwi. Wynieśli nosze, na których leżał mężczyzna, ale potem wyskoczyła jakaś dziewczyna i rzuciła się pędem w stronę szosy. Pogonił za nią jeden z tamtych dwóch

i szybko ją dopadł, bo zdaje się, że miała związane ręce i nie mogła szybko biec. Zaciągnął ją do domu, a później wyszło jeszcze trzech gości i pomogli wnieść nosze do środka.

– Czy informator mówił, jak ta dziewczyna wyglądała?

– Powiedział, że miała krótkie blond włosy, to wszystko. Hm, jeśli chodzi o ścisłość, to napisał „krutkie osy błąd”, ale można spokojnie uznać, że to miał na myśli.

– W biuletynie tego nie podałam, ale dostałam informację, że Johna Meaghery przyśrubowano do łóżka – powiedziała Katie. – Jeśli rzeczywiście miał śruby w kostkach lub stopach, to należałoby się spodziewać, że będzie niesiony na noszach, prawda?

– A detektyw sierżant Ni Nuallán jest blondynką?

– Wszystko do siebie pasuje – potwierdziła Katie. – Jeżeli dojechali do domu Quilty’ego o północy, to znaczy, że z Cork wyjechali około ósmej, i czasowo to także się zgadza.

Nie wspomniała o tym Alanowi, ale o dwudziestej przygotowania do operacji Trójzęb szły już pełną parą. Jeśli Bobby Quilty dostał cynk od razu po odprawie taktycznej, miał mnóstwo czasu na to, by kazać usunąć łóżko z domu przy Leitrim Street i umieścić Johna i Kynę w wanie; później jego ludzie pojechali autostradą M8 na północ w kierunku Dublina, a potem prawdopodobnie skręcili na Dundalk, ku granicy.

– Nie mogę udawać, że to będzie bułka z masłem – przyznał Alan. – Prokuratura i najwyższe szarże na Knock Street są teraz szczególnie uczuleni na punkcie działań dotyczących Bobby’ego Quilty’ego. Sama komendant Shields powiedziała, że to gorsze niż ściganie gniazda os. Nijak nie można namówić świadków, żeby przeciwko niemu zeznawali, nawet za pieniądze i obietnicę ochrony do końca życia. Nie uwierzyłyabyś, ile razy pozywał policję za nękanie lub nieuzasadnione aresztowanie. I wygrywał w sądzie. Ostatnim razem przyznano mu piętnaście tysięcy euro odszkodowania.

Katie wiedziała, że Alan ma rację. Mimo ogromu obciążających go informacji, które zebrały policja i służby

wywiadowcze po obu stronach granicy, ani Garda Siochána ani Służba Policyjna Irlandii Północnej nie zdołały postawić Quilty'emu zarzutu, który utrzymał się w sądzie choćby przez pięć minut.

Na domiar wszystkiego Katie wątpiła, czy komendant MacCostagáin lub komendant Shields zezwolą jej na zorganizowanie nalotu na dziuplę Quilty'ego w Forkhill, jakkolwiek współpraca między Garda Siochána i SPIP układała się ostatnimi czasy doskonale i często dochodziło między nimi do wymiany funkcjonariuszy.

Jak wytłumaczy, że znowu chce ścigać Quilty'ego? Już sobie wyobrażała rozmowę z komendantem.

„Jestem głęboko przekonana, że Bobby Quilty więzi detektyw sierżant Ni Nuallán i Johna Meaghera w domu w południowej części Armagh”.

„Czyżby? A jakie masz dowody na uzasadnienie swojego głębokiego przekonania?”

„Powiedział mi o tym były detektyw inspektor SPIP”.

„Były detektyw inspektor?”

„Odszedł ze służby w związku z podejrzeniem o handel narkotykami, ale twierdzi, że wrobił go Bobby Quilty”.

„A skąd wziął tę informację?”

„Od byłego członka Provosów, który pracuje w miejscowym pubie. Kiedy detektyw inspektor był w czynnej służbie, kilka razy nie postawił mu zarzutów o posiadanie materiałów wybuchowych. W zamian facet ma oko na Quilty'ego, żeby pomóc inspektorowi w dokonaniu zemsty”.

„I to są te twoje dowody?”

Zdawała sobie sprawę, jak to będzie wyglądało, zwłaszcza w oczach zastępcy komendanta głównego Jimmy'ego O'Reilly'ego i paru innych mizoginów wśród starszych funkcjonariuszy na Anglesea. Pomyśleliby, że poczuła się upokorzona z powodu fiaska operacji Trójzęb, dostała hormonalnego ataku wściekłości i usiłuje dopaść Quilty'ego za wszelką cenę, nie bacząc na wątpliwość materiału dowodowego.

„Też mi policjantka z PMS”, rzucił kiedyś Jimmy O’Reilly, gdy Katie straciła nad sobą panowanie wobec pewnego alfonsa z Cork, który pozwalał sobie na uszczypliwe uwagi.

A jeżeli dostałaby pozwolenie na to, by zorganizować nalot? I gdyby skończył się tak samo jak operacja Trójzęb? Gdyby Quilty znów dostał zawczasu ostrzeżenie, a kiedy policja wtargnęłaby do jego domu, nie byłoby tam śladu po pobycie Kyny i Johna? Dla Katie zakończyłoby się to postępowaniem dyscyplinarnym: obserwacją, zawieszeniem, może nawet degradacją. Jimmy O’Reilly nie byłby uradowany, gdyby Garda wypadła jak banda niezgułów, zwłaszcza wobec SPIP.

Z rozpaczą myślała o Kynie i Johnie, ale musiała zachować rozsądek. Jeśli nie zdoła ich uratować przy pierwszej próbie i odsuną ją od sprawy, szansa na ich ocalenie będzie minimalna.

– Wiem, jakie myśli chodzą ci po głowie – odezwał się Alan. – Rozmawiałem ze starym kumplem z Lisnasharragh, zanim do ciebie zadzwoniłem, był tego samego zdania. Mając do czynienia z takim cwanymp oprychem jak Quilty, nie można po prostu wparować z armatami do lokalu, jeśli się nie wie zawczasu, co z tego wyniknie. Informator widział faceta na noszach i dziewczynę z blond włosami, ale bądźmy poważni: nie wiemy na pewno, czy to są ci, których szukamy, a nawet jeśli tak, to skąd możemy mieć pewność, że nadal tam są i czy będą, kiedy wkroczymy?

– Co zatem sugerujesz? Dalszą obserwację?

– Otóż to. Sam się tam wybiorę i rozejrzę. Spróbuję porobić zdjęcia, a jeśli będą jakieś dowody rzeczowe, to je pozbieram. Wiesz, czasem można się dowiedzieć zaskakujących rzeczy, kiedy ma się uszy otwarte.

– Chcesz powiedzieć, że zhakujesz ich telefony komórkowe i podepniesz się do linii naziemnej?

– Dajże spokój, Katie! Jak bym śmiał coś takiego zrobić!

– Oczywiście, że nie, nie jako cywilna osoba i bez nakazu. Kto wie, co byś mógł podsłuchać?

– Katie, odezwę się do ciebie, kiedy tylko będę mógł. Byłbym ostrożny tak czy owak, ale teraz, skoro wiem, że tych dwoje tak dużo dla ciebie znaczy, zachowam maksymalną ostrożność, masz moje słowo. Parę lat temu jeden nasz sierżant naraził się Quilty’emu i Autentycznej IRA... Wolałabyś nie wiedzieć, co mu zrobili. Powiem tylko, że wykorzystali jego pałkę, którą mocno owinęli drutem kolczastym.

– Masz rację, nie chcę słyszeć, co mu zrobili – przyznała. – I tak trudno mi jest trzymać w ryzach myśli o tym, jak mogą się obchodzić z Kyną i Johnem.

Rozdział 26

– Bardzo żałuję, że nie przyszło mi do głowy, by wziąć z nami księdza – odezwał się wysoki. – Wielkie to z mojej strony niedopatrzenie, że nie pomyślałem. Przecież wy, katole, potrzebujecie namaszczenia i tak dalej.

– Pozwól mi go chociaż okryć – poprosił Kevin. Stanął na nogi, chwytając się zakrwawioną ręką poręczy. Zęby szczękały mu tak, jakby przemarzł.

Wysoki mężczyzna podszedł do wieszaka i zdjął długi szary prochowiec Kevina. Ten wziął go i delikatnie położył na ciele syna. Słyszał dobiegający z salonu płacz Órli i Sibeal. Szlochały tak rozpaczliwie, że ich głosy brzmiały niczym zawodzenia fok, których młode zatłuczono pałkami.

– Proszę, możecie zrobić ze mną wszystko, ale nie krzywdźcie mojej żony i córeczki – powiedział Kevin. – Błagam was. Jeśli macie w sobie odrobinę ludzkiego miłosierdzia, nie róbcie im krzywdy.

Wysoki odwrócił głowę, jak gdyby zaprzętało go coś zupełnie innego, na przykład pytanie, czy jego samochód przeszedł obowiązkową kontrolę.

Kevin czekał, kołysząc się z lekka jak człowiek w szoku.

– No dobra, zbierzmy was razem – rzucił po chwili wysoki mężczyzna. – Ruszaj, dryblasie.

– Błagam cię. – W gardle Kevin miał tak sucho, że z trudem wydobywał słowa.

– Co? Tak jak Stephen Langtry błagał o Radhę, co jest wielce prawdopodobne, i o dzieci też? No, dalej, wchodź, załatwmy to i będzie po krzyku.

Niski położył mocno rękę na ramieniu Kevina i pchnął go do salonu. Órła i Sibeal stały przytulone obok kominka; ich oczy były spuchnięte, po twarzach ciekły łzy. Najmłodszy z mężczyzn oparł kałasznikowa o okno i rolował okazały czerwony dywan z afrykańskim wzorem, który leżał na środku podłogi. Potem wyszedł i Kevin usłyszał, że otwiera drzwi. Zjawił się po chwili z dużą rolką przezroczystej folii, długą na prawie dwa metry.

– Nie możecie tego zrobić – rzekł Kevin. – To pospolite barbarzyństwo.

– Ech, w Irlandii od lat dzieje się tak wiele barbarzyństwa. – Wysoki nawet na niego nie spojrział. – Ale jest sposób, by to zakończyć, pewnie, że jest, trzeba tylko za każdy akt barbarzyństwa płacić takim samym barbarzyństwem. Wiem dobrze, że ty jesteś niewinny, Kevin, podobnie jak twoja żona i wasze dzieci, ale Langtry'owie też byli niewinni i ktoś musi ponieść karę za mord na nich. A jeśli nie wy, to kto?

Młody mężczyzna rozwinął pomarszczoną płachtę i rozciągnął ją na wypolerowanych dębowych deskach. Kevin sam je cyklinował i lakierował, kiedy się wprowadzali.

Miał świadomość, że to nie sen, choć wszystko, co się działo, miało posmak nierealności. Przypominało stan ciężkiego upicia, a nie senną marę. Zdarzało mu się kiedyś mieć świadomość, że jest pijany, choć tego nie chciał; nie był w stanie należycie się wysłowić ani chodzić, potykał się na schodach.

Płachta została rozwinięta na podłodze i wysoki mężczyzna dotknął lekko jego głowy.

– Uklęknij.

Kevin uklękł z rękami przy bokach. Nie umiał powstrzymać łez, choć w obecności Órli i Sibeal pragnął okazać odwagę. Nie chciał na nie spojrzeć. Nie chciał zobaczyć strachu na ich twarzach, ale nie zdołał się powstrzymać. To mogły być ostatnie sekundy, kiedy je widzi.

Niski podszedł i stanął za jego plecami. Kevin spodziewał się, że lada chwila strzeli mu w głowę, i zastanawiał się, co poczuje. Czy w ogóle coś poczuje? A może człowiek czuje, jak mózg

wybucho, tak jak wybuchł mózg Toma? Czy powraca wszystko, co człowiek kiedykolwiek pomyślał i czego się nauczył, czy też doświadcza się pęknięcia takiego jak wybuch supernowej? Czy bardzo boli?

Wciąż czekał na strzał, kiedy wysoki podszedł do kominka, wziął Órlę pod rękę i zaprowadził na środek pokoju. Chciała wykręcić rękę, ale trzymał ją zbyt mocno.

– Uklęknij – nakazał. Zawahała się, a on powtórzył tym samym beznamiętnym tonem: – Uklęknij.

Órła zrobiła to. Była blisko, Kevin mógł wyciągnąć rękę i jej dotknąć, ale kiedy ją uniósł, wysoki wydał wargi i pokręcił głową.

– Mamusiu! – zaszlochała Sibeal.

– Nic się nie martw, malutka – powiedział wysoki. Podszedł, położył rękę na jej ramionach i łagodnie skierował tak, żeby stanęła obok matki.

– A teraz uklęknij, skarbie, tak jak w kościółku, kiedy modlisz się do Matki świętej. „Zdrowaś Mario, łaski pełna, czemuś taka z siebie zadowolona?”

Sibeal uklękła niezręcznie, lecz w tej samej chwili Kevin zaczął się podnosić.

– Tknij ją palcem! Tknij jednego włosa na jej głowie, a dopadnę cię w piekle! Znajdę cię w piekle, ty gnoju, i postaram się, żebyś cierpiał przez całą wieczność!

Niski chwycił go za ramiona i przycisnął ku dołowi; Kevin boleśnie uderzył rzepką lewego kolana o podłogę.

– Może i skończę w piekle, Kevin, ale ty mnie nie znajdziesz. Ty będziesz z rodziną w raju, dryblasie, będziesz się przechadzał z jednej chmurki na drugą, a o mnie zapomnisz. A nawet jak nie zapomnisz, to mi przebaczysz. Przecież wy, katole, tak robicie, prawda? Przebaczacie?

– Nie waż się zrobić jej krzywdy! – zawołał Kevin.

– Ech, ona nic nie poczuje – powiedział wysoki. Uniósł pistolet, odciągnął kurek i wymierzył prosto między oczy Sibeal.

Kevin nie zdążył się odezwać, bo tamten nacisnął spust i wystrzelił jej prosto w czoło. Krew bryznęła na szklaną szafkę

z porcelaną, opryskała mały oprawiony obrazek świętej Felicji. Dziewczynka osunęła się plecami na podłogę, ale jej nogi pozostały w tej samej pozycji, jakby były na zawiasach. Niebieskie oczy miała wciąż otwarte i tak jak święta Felicja patrzyła w sufit. Różniła ją jednak od świętej czarna rana wlotowa między brwiami. Duży trójkątny fragment odpadł od tylnej części czaszki i masa mózgowa zmieszała się z włosami.

Órła krzyknęła i chciała wstać, lecz niski wyciągnął ręce w jej stronę, a kiedy się odwróciła, żeby stawić mu opór, wypalił z przystawienia w jej lewe oko. Pocisk nie przebił czaszki na wylot, zniekształcił lewą stronę głowy, część twarzy opadła i wyglądała jak karykatura. Órła osunęła się bokiem na podłogę obok kolan Kevina, krew wypłynęła z jej oczodołu na grzbiet piegowatego nosa. Órła miała na ręce cienką srebrną bransoletkę, którą podarował jej na trzydzieste urodziny, bo tylko na to było go stać.

Zacisnął mocno powieki. Zabijcie mnie, myślał, no już, i tak mnie zabijecie, nie mam teraz po co żyć. Ale nie powiedział tego na głos.

Wysoki stał bardzo blisko. Kevin nie czuł jego woni, gdyż powietrze wypełniał swąd prochu, ale wyczuwał jego obecność.

– Dziwna rzecz, zemsta, nieprawdaż? – odezwał się wysoki. – Najśłodszy kęs w ustach, jaki wysmażyło piekło. Tak to określił sir Walter Scott.

Kevin nadal milczał. Słyszał krople deszczu dzwoniące o szyby, a w oddali słaby warkot samolotu startującego z lotniska w Cork. Więc tak zakończy się moje życie, myślał. Do tej chwili cały czas wiódł mnie los.

Przywołał na pamięć ten pierwszy raz, kiedy zobaczył Órlę. Stała za ladą w piekarni Ryana, w blasku słońca była blada i eteryczna, wyglądała bardziej jak duch pięknej dziewczyny niż prawdziwa dziewczyna.

– Bierze pan? – zapytała.

Otworzył oczy. Wysoki gapił się na niego z miną, jakiej Kevin nigdy, przenigdy nie widział na czyjejs twarzy. Bardziej wyrażała

bezradność niż jakiegokolwiek inne uczucie; jakby tamten nie miał innego wyboru, gdyż dzieje Irlandii żadnego innego nie pozostawiały.

– Tak, już – powiedział Kevin.

Wysoki mężczyzna oczywiście nie wiedział, że jest to odpowiedź na pierwsze pytanie, które zadała mu Órla, i że nie ma to nic wspólnego z krwawą tragedią, jaka dokonała się w tym domu.

Powoli okrążył Kevina, foliowa płachta zaszeleściła pod jego butami. Zatrzymał się i Kevinowi zdawało się, że stoi tam godzinę, ale była to niespełna minuta. Potem uniósł pistolet, aż tłumik znalazł się centymetr od głowy ofiary.

– To za Radhę – rzucił i nacisnął spust. Twarz Kevina pękła od środka na dwie połowy.



Wysoki i niski zawinęli szczelnie wszystkie cztery ciała w foliowe płachty i okleili je srebrną taśmą samoprzylepną. Najmłodszy z mężczyzn podważył w tym czasie łomem sześć desek pośrodku salonu.

Wspólnie umieścili ciała między legarami, a następnie przybili gwoździami deski. Ułożyli dywan na swoim miejscu i postawili na nim fotele.

Zajęło im to prawie dwie godziny, a później musieli jeszcze poświęcić dwadzieścia minut na usunięcie krwi Toma z przedpokoju. Odłamki pocisku przeszły na wylot przez głowę chłopca i zarysowały prawy górny panel drzwi, ale najmłodszy z trójki wpadł na pomysł i przyczepił z wierzchu listę sprawunków, którą sporządziła Órla i przykleiła do lodówki.

– Przecież nie wejda i nie pomyślą z miejsca: Aha, nalepiła swoją rozpiskę na drzwiach, bo chciała zasłonić dziury po kulce?

Rozejrzeli się ostatni raz. Dom Dohertych był cichy; taka sama cisza musiała pewnie zapaść w domu Langtrych, kiedy mordercy poprzybijali deski podłogowe nad zwłokami ofiar i usuwali krew. Później zamknęli drzwi, wsiedli do vana i odjechali.

Nadal padało, nawet jeszcze mocniej. Deszcz sunął przez miasto, jak gdyby Bóg ciągnął ulicami mokre całuny.

Rozdział 27

Było już po czternastej trzydzieści, kiedy Katie przyjechała znów na Anglesea. Na Jack's Hole nawaliła ciężarówka z żywymi tucznikami i sznur pojazdów ciągnął się aż do Euro Business Park. Poza tym lało tak mocno, że Katie musiała ustawić wycieraczki na maksymalne obroty, a i tak nie widziała dalej niż na trzydzieści metrów.

Wysiadając z windy, prawie zderzyła się z detektywem Ó Doibhilinem.

– O, pani nadkomisarz – przywitał ją. – Wracam właśnie z pani gabinetu, bo nie zastałem tam pani, ale widzę, że już pani jest.

– Co słyhać, Michael? – odpowiedziała i ruszyła rażno w kierunku swojego gabinetu. Ó Doibhilin truchtał za nią, machając zielonym foliowym folderem.

– Odezwał się do mnie niejaki Bracewaite, który jest czymś w rodzaju nieoficjalnego historyka Regimentu Manchesterskiego. Wszystkie archiwa jednostki są trzymane w Centrum Lokalnych Badań Historycznych i Archiwów w Ashton-under-Lyne koło Manchesteru.

– Wiedział, kim mógł być ten Gerald, który podpisał się pod listem?

– Ma co do tego stuprocentową pewność. To porucznik Gerald Seabrook, którego rodzina pochodziła z miejscowości pod Manchesterem o nazwie Hale Barns. Służył we Francji w czasie pierwszej wojny światowej, a w tysiąc dziewięćset dziewiętnastym przydzielono go do Ballincollig.

Katie zdjęła kurtkę przeciwdeszczową i powiesiła ją.

– Naprawdę chodzi nam o to, by wiedzieć, czy istnieje jakiś dokument świadczący o tym, że ten człowiek romansował z Radhą Langtry.

Usiadła, a detektyw Ó Doibhilin otworzył folder i podał go jej.

– Konkretnego dokumentu niby nie ma, ale jest kopia listu, który został wysłany tuż przed Bożym Narodzeniem tysiąc dziewięćset dwudziestego z kwatery głównej regimentu w Manchesterze do dowódcy porucznika Seabrooka tu, w Irlandii. Powiedziałbym, że jest w nim co najmniej sugestia wskazująca, że porucznika coś łączyło z Radhą Langtry.

Katie wyjęła drukowany list i szybko go przeczytała. Major D.R. Kettering z koszar Ladysmith w Ashton-under-Lyne wysłał go do podpułkownika F.H. Dorlinga, dowódcy Pierwszego Batalionu Regimentu Manchesterckiego w Ballincollig. Był datowany siedemnastego grudnia 1920 roku.

Panie Pułkowniku!

Otrzymałem wiadomość od pani J. Seabrook, żony porucznika G.K. Seabrooka, która pilnie prosi o informacje co do stanu zdrowia i miejsca pobytu męża. Od ponad trzech miesięcy się do niej nie odezwał, nie dostała też od niego miesięcznej wypłaty na pokrycie kosztów utrzymania domu i opiekę nad dwojgiem małych dzieci.

Jej zmartwienie jest tym większe, że zbliżają się święta Bożego Narodzenia.

Byłbym zobowiązany, gdyby poruszył pan tę kwestię z porucznikiem Seabrookiem i poinformował mnie o jego stanowisku względem kontaktów z żoną oraz świadczeń finansowych na rodzinę.

– To wszystko? – spytała Katie, unosząc list. – Czy major Kettering dostał odpowiedź?

– Niestety, to wszystko, pani nadkomisarz, znaczy się wszystko, co jest w archiwum. Ani słowa więcej o tym, dlaczego porucznik Seabrook nie utrzymywał kontaktu z żoną. Jest jednak informacja o tym, co się z nim stało.

– Ach tak? Co mianowicie?

– Zaginął w marcu tysiąc dziewięćset dwudziestego pierwszego roku. Wtedy myślano, że zdezerterował, bo w tym samym czasie nie stawiało się na służbie czterech szeregowców. Oto ich nazwiska: Pincher, Mason, Caen i Roughley. Bracewaite twierdzi, że zdezerterowało wtedy mnóstwo brytyjskich żołnierzy, bo od razu po powrocie z Francji, gdzie walczyli z Niemcami, przyszło im toczyć boje z IRA. Napięcie i całkowicie odmienne okoliczności, w których musieli walczyć, okazały się dla części z nich nie do wytrzymania. Wie pani, w tamtych czasach nikt jeszcze nie myślał o stresie pourazowym. Dopiero co odkryli szok powybuchowy.

– Ale on nie zdezerterował, ten porucznik Seabrook?

– Nie, pani nadkomisarz, ale ci czterej szeregowcy też nie zdezerterowali. A nawet gdyby tak było, to byśmy tego nie zweryfikowali. W archiwum regimentu jestteczka z etykietką *Areszty i nielegalne absencje*, ale jest zapieczętowana na sto lat i nikomu nie wolno do niej zaglądać. Nie, w tysiąc dziewięćset dwudziestym trzecim Brytole i IRA kontynuowali targi polityczne i w ramach ustępstw wobec Brytoli bojownicy IRA powiedzieli im, że porucznik Seabrook i czterej szeregowi zostali uprowadzeni i zastrzeleni, a ich ciała pogrzebano pod żywopłotem w Muskerry.

– Więc od kul zginęła nie tylko Radha i reszta rodziny Langtrych. Gerald także?

– Na to wygląda. Początkowo zwłoki wszystkich czterech żołnierzy upchnięto do jednej trumny i pogrzebano w Bandon, ale po kolejnych negocjacjach w tysiąc dziewięćset dwudziestym czwartym zostali niby odkopani i wysłani do kwatery głównej regimentu w Ashton-under-Lyne. Ciała porozdzielano i pochowano z żołnierskimi honorami na cmentarzu Hurst, gdzie nadal są.

Katie przerzucała listy i papiery, które Ó Doibhilinowi przysłało e-mailem z Anglii. Było wśród nich nawet zdjęcie porucznika Geralda Seabrooka. Przedstawiało go stojącego latem w ogrodzie, z przymkniętymi oczami, bo oślepiało go słońce. Nie

wydawał się wysoki; mógł mieć jakieś metr siedemdziesiąt wzrostu, może trochę więcej. Był jednak przystojny, z przedziałkiem pośrodku lśniących czarnych włosów, miał szelmowską urodę Toma Cruise'a i atrakcyjny uśmiech.

– Aż dziw pomyśleć, że nie żyje od ponad dziewięćdziesięciu lat, prawda? – odezwała się Katie. – Urowadzony, zastrzelony i zakopany pod żywopłotem. I proszę spojrzeć, nadal szczyrzy zęby jak ktoś wolny od wszelkich zmartwień.

Poczuła, że motyw zabójstwa Langtrych stopniowo nabiera wyrazistości; tak jakby ktoś zdierał kolejne warstwy brudnego werniksu z bardzo starego malowidła. Informacje, które detektyw Ó Doibhilin uzyskał z archiwum Regimentu Manchesterskiego, nie pomogły wiele, ale przynajmniej potwierdziły tożsamość Geralda. Bojownicy IRA mogli go zastrzelić tylko dlatego, że był oficerem armii brytyjskiej, ale Katie nabierała coraz większego przekonania, że zabili go z zemsty za zasadzkę w Dripsey i że Langtrych mogli uśmiercić z tego samego powodu.

Na razie mogła jedynie spekulować, lecz jeśli te spekulacje miały sens, warto było za nimi pójść i przekonać się, czy pozwolą rozjaśnić obraz. Stephen Langtry należał do IRA. A jeżeli powiedział żonie o zasadzce? Mógł to zrobić w trosce o jej bezpieczeństwo albo po to, by ostrzegła swoją pracodawczynię panią Lindsay i powiedziała jej, że tego dnia ma się nie zbliżać do Godfrey's Cross. Gdyby coś złego stało się pani Lindsay, Radha straciłaby pracę, a w tamtych czasach nie było łatwo o bezpieczną posadę. Właściwie o żadną nie było łatwo.

A jeżeli Radha romansowała z Geraldem Seabrookiem i ostrzegła go przed zasadzką, żeby nie zginął? Jeśli informatorką brytyjskich wojsk nie była pani Lindsay, jak uważali bojownicy IRA i co wciąż sugerują książki historyczne, a przynajmniej nie jedyną?

Bez względu na to, czy o zasadzce uprzedziła Brytyjczyków pani Lindsay czy Radha, czy też obie, Katie rozumiała, dlaczego bojownicy IRA pragnęli zemścić się za akcję, która skończyła się

tak katastrofalnie. Większość z nich zdołała się wymknąć, gdyż doskonale znali okoliczne tereny, ale jeden odniósł śmiertelną ranę, a ośmiu schwytano; z tej ósemki pięciu otrzymało wyroki śmierci, które zostały wykonane.

W odwecie IRA wprowadziła i zastrzeliła panią Lindsay oraz jej szofera. Ale jeśli później dowiedzieli się, że przeciek wyszedł od Radhy, było więcej niż prawdopodobne, że zechcą dopaść także Geralda Seabrooka i Langtrych. Była to oczywiście tylko kolejna spekulacja, i Katie zdawała sobie sprawę, że być może nigdy nie znajdzie dowodów na jej potwierdzenie. Tak czy inaczej, Langtrych zamordowano z powodu porachunków z jakąś inną rodziną – takie wyjaśnienie zdawało się najbardziej logiczne.

W końcu, myślała, zabójstwo to stanowiło klasyczny przykład kary wymierzonej przez IRA: ludzi chwymano, rozstrzeliwano i grzebano, i nikt ich więcej nie widział ani nie miał pojęcia, jaki ich spotkał los. Dla rodziny i przyjaciół było to o wiele trudniejsze doświadczenie, niż kiedy mordowano kogoś w otwarty sposób, na oczach świadków. A tak człowiek po prostu znikał i nie miał nawet mogiły, na której można było położyć kwiaty.

– Ten Bracewaite chętnie jeszcze pogrzebie w archiwach, żeby mi pomóc – powiedział detektyw Ó Doibhilin. – Dodał, że może uda mu się zlokalizować rodzinę Seabrooków, zwłaszcza jeśli żyje w okolicy Hale Barns. Z tego, co mi mówił, trzeba być okropnie *flathúl*¹, żeby mieszkać w tej okolicy. Stoją tam same wielkie domiszcza z basenami. Rodziny niezbyt często się stamtąd wyprowadzają.

– Świetnie, proszę kopać dalej. – Katie spojrzała na zegarek na biurku. – Muszę teraz iść zamienić słówko z naszym przyjacielem Bobbym Quiltem. Później zwołam ogólną odprawę podsumowującą operację Trójzab.

– Nie wie pani, co się gada w bufecie o tej operacji – powiedział Ó Doibhilin.

– Owszem, wiem.

– Serio?

– No, słucham. Nie naskoczę na pana, słowo.

– Mówią tak: Dwa minusy nie dają plusa, a trzy zęby poszły w szajs i otręby.

– Nie skomentuję tego. Proszę tylko ostrzec tych, co tak mówią, że jeśli to od kogoś usłyszę, wyślę go w czasie deszczu na parking i każę wylizać mi auto do czysta.

Rozdział 28

Katie wzięła ze sobą do sali przesłuchań detektywa sierżanta Begleya i detektywa O'Donovana. Gdy weszli, Bobby Quilty był pogrążony w głębokiej, toczonej po cichu rozmowie ze swoim adwokatem, Terence'em O'Counihanem; ich głowy prawie się dotykały. Zerknął przelotnie w stronę drzwi, ale nie przestał szeptać i w żaden sposób nie okazał, że zauważył wchodzącą nadkomisarz.

– Panie Quilty, panie O'Counihan – odezwała się Katie, przysuwając sobie krzesło.

Terence O'Counihan odwrócił się, jakby jej widok go zaskoczył, i wstał. Był bardzo wysoki i musiała odchylić głowę, żeby spojrzeć mu w oczy; czuła się przy nim jak dziecko, a nie jak dorosła kobieta. Miał na sobie drogi dwurzędowy popielaty garnitur z wełny fil a fil oraz krawat z niebieskiego jedwabiu z wzorem w drobne czaple. Był bardzo przystojny, aż za gładki; jego czarne włosy pokryła siwizna na skroniach, brwi były nienagannie utrzymane. Kiedy coś go rozbawiło lub zaciekawilo, jedna się unosiła jak skrzydło kruka, który wzbija się z dachu. Miał bardzo prosty nos i lekko opadające powieki. Opaleniznę przywiózł zapewne z miejsca o wiele bardziej egzotycznego niż Santa Ponsa.

– No, no, pani detektyw nadkomisarz Maguire. Musimy zaprzestać spotykania się w takich okolicznościach.

– Zaprzestalibyśmy, panie O'Counihan, gdyby staranniej wybierał pan klientów.

– Uch! – Adwokat uśmiechnął się. – Nadal fruwa pani jak motyl, a żądli jak pszczoła! Jednakże – uniósł rękę, by spojrzeć na

złoty zegarek Patek Philippe – czas nam ucieka, pani nadkomisarz, *tempus fugit*. Muszę się domagać, by albo zwolniła pani pana Quilty’ego za poręczeniem, albo niezwłocznie skierowała sprawę do sądu i wskazała zarzuty, pod jakimi go pani aresztowała.

– Muszę najpierw zadać mu parę pytań – odparła Katie.

– Mój klient nie ma nic do powiedzenia.

– Czy zdaje sobie sprawę z powagi zarzutów? Podżeganie do morderstwa i bezprawne uwięzienie.

– Tak, oczywiście. Ale z całą mocą im zaprzecza. Oskarża go pani o to, że powiedział coś, czego nie powiedział, i że uwięził kogoś, kogo nie zna, a poza tym wcale go przy tym nie było.

– Mamy dowody rzeczowe, które potwierdzają, że John Meagher był przetrzymywany na posesji przy Leitrim Street należącej do pana Quilty’ego.

– Mój klient o tym nie wie i nie ma na ten temat nic do powiedzenia.

Katie trudno było patrzeć na Quilty’ego, on jednak nie odrywał od niej wzroku. Siedział z grubymi palcami splecionymi ciasno jak serdelki, a w jego świńskich oczkach migotał błysk zadowolenia. Co jakiś czas sarkał przez nozdrza i głośno przełykał ślinę. Nie wiedział jeszcze, że Katie zna miejsce, w którym trzymani są Kyna i John, ona zaś nie zamierzała mu tego mówić, bo albo kazałby ich natychmiast przenieść do innej bezpiecznej kryjówki, albo ich zabić; nie miała najmniejszych wątpliwości, że jest do tego zdolny. Czuła gniew, a jednocześnie lęk i co jakiś czas musiała robić pauzę, żeby nie wybuchnąć i nie powiedzieć mu, jaki jest podły i odrażający i jaki budzi w niej wstręt. Detektyw Dooley zawsze mówił o nim „Bobby Hutt”, nawiązując do postaci Jabby Hutta z *Gwiezdnych wojen*.

– Doskonale. Jeśli pan Quilty nie życzy sobie odpowiadać na moje pytania, prawo mu na to zezwala. Jeśli jednak nie powie mi czegoś, co będzie później chciał wykorzystać na swoją obronę, sędziemu z pewnością nie przypadnie to do gustu. I doskonale pan o tym wie, panie mecenasie.

– Moim zdaniem kluczem do tych oskarżeń są dowody, nieprawdaż? – odrzekł ciepłym, gładkim tonem adwokat. – Mogę spytać, kto usiądzie na miejscu świadka i przyzna przed sądem, że mój klient podzegał go do zamordowania pani detektywa? I kto zezna, że mój klient brał jakikolwiek udział w bezprawnym uwięzieniu pana... Jak on się nazywa?

– John Meagher – powiedziała Katie. Zaszło jej w ustach i miała wrażenie, że odczytuje to nazwisko z płyty nagrobkowej.

– Oczywiście, John Meagher – powtórzył Terence O’Counihan i rozłożył szeroko ręce. – Ale miejsce pobytu pana Meaghery wciąż pozostaje nieznane, o ile mi wiadomo. W jaki sposób, poza dowodami rzeczowymi, które, jak pani twierdzi, zebrała policja, a których my jeszcze nie mieliśmy okazji zobaczyć i podważyć, może pani udowodnić, że człowiek ten w ogóle jest więziony? Mój klient w żaden sposób nie odmówił współpracy i nie uchylał się od odpowiedzi na pani pytania. Fakty są po prostu takie, że nie ma na co odpowiadać.

– No cóż, przekonamy się, co ma na ten temat do powiedzenia sędzia – odparowała Katie. – Tymczasem przedłużam okres zatrzymania pana Quilty’ego do chwili, aż wyznaczymy jego przesłuchanie w sądzie.

– Muszę się temu sprzeciwić – powiedział adwokat.

– Pański sprzeciw został odnotowany, panie O’Counihan.

Katie odwróciła się i wtedy Quilty świsnął przenikliwie między przednimi zębami, jakby przywoływał psa. Skinął na O’Counihana, a gdy ten nachylił się do niego, Quilty powiedział mu coś cicho do ucha. Adwokat wstał.

– Mój klient chce zamienić z panią słówko prywatnie, pani nadkomisarz, jeśli jest to możliwe.

– Co to znaczy, słówko prywatnie?

– Pyta, czy w budynku jest miejsce, gdzie mógłby z panią porozmawiać poufnie, tak aby nikt nie słyszał, bez mikrofonów i sprzętu nagrywającego. Prywatnie.

– Dlaczego? – spytała Katie, nie patrząc na Quilty’ego.

– Mówi, że to sprawa osobista. Ale ma pewien związek z zarzutami, które są mu stawiane.

Gdyby inny przestępca zażyczył sobie poufnej rozmowy o sprawie nazwanej „osobistą”, Katie kategorycznie by odmówiła. Kyna i John byli jednak w jego domu w Forkhill w południowym Armagh i Bóg jeden wiedział, w jakim są stanie i jak są traktowani. Od rozmowy z Alanem Hartem ścisnęło ją w żołądku, czuła w ustach smak żółci połączonej z poranną kawą.

– Dobrze – rzuciła. – Jeśli to ma pomóc w wyjaśnieniu sprawy...

– Zapraszam do mojego samochodu, jest na parkingu – powiedział Terence O’Counihan. – Tam będzie możliwa taka rozmowa.

– Nie – odparła Katie. – Może pan mieć w środku urządzenie nagrywające.

– Albo nawet bombę – dodał Begley, ale nikt się nie roześmiał.

– Możemy wejść na czwarte piętro i wyjść na balkon. Jeden z funkcjonariuszy będzie mógł nas obserwować ze środka, ale nikt nie usłyszy, co mówimy.

– Zgadza się z panią detektyw nadkomisarz – powiedział O’Counihan. – Fruwa jak motyl, żądli jak pszczoła. I ostra jest jak brzytwa, powinienem dodać.



Katie i Bobby Quilty wjechali na najwyższe piętro budynku komendy w towarzystwie rosnącego i muskularnego funkcjonariusza, który ledwo zmieścił się do windy.

– Och, jakie intymne zbliżenie – odezwał się Quilty, trzymając się obiema rękami za brzuch. – Ale ta mina, pani detektyw nadkomisarz! Wyglądasz jak przyczajona łasica!

Katie nie odpowiedziała, tylko uśmiechnęła się cierpko.

Wyszli na balkon z widokiem na Anglesea Street, lecz nie podeszli do poręczy, gdyż padał deszcz. Funkcjonariusz pozostał w środku i ze skrzyżowanymi na piersi rękami i kamienną twarzą obserwował ich przez okno.

Quilty wyjął z kieszeni paczkę papierosów i wsunął jednego do ust.

– Na komendzie nie wolno palić – zwróciła mu uwagę Katie.

– Do tej pory nie było wolno. – Zapalił papierosa i wydmuchał dym. Funkcjonariusz zrobił krok w kierunku drzwi, lecz Katie powstrzymała go gestem ręki.

– A więc? – rzuciła. – Co to za prywatna i osobista sprawa, o której chciał pan ze mną rozmawiać?

– E, no jasne, że pani o tym wie – odparł Quilty. – Że te oskarżenia za nic się nie utrzymają. Myśli pani, że rzeka wyrzuciła mnie na brzeg w koszyku? Szanuję panią, detektyw nadkomisarz, niech to będzie jasne. Ale umiem przetrwać i wiem, jak zadbać o swoje interesy, musi mi to pani przyznać.

– Niczego panu nie przyznaję, panie Quilty, poza tym, że jesteś pan niebezpiecznym gnojem. Ponosi pan odpowiedzialność za to, że zabito detektywa Barry’ego, i mam powody podejrzewać, że rozkazał pan pozbyć się Darragha Murphy’ego, żeby nie mógł przeciwko panu zeznawać. O tym, że przetrzymuje pan Johna Meaghera, sam mi pan powiedział, więc nie muszę tego udowadniać.

Quilty znowu wydmuchnął dym i z rozbawieniem pokręcił głową.

– Potykasz się o własne nogi, co? Jakbyś mogła mnie zmusić, żebym przyznał się do tego przed sędzią. Nie, laleczko, chcę ci powiedzieć to, co już kiedyś próbowałem ci wytłumaczyć, ale zdaje się, że trafiło na głuche uszy. Ty i ja musimy znaleźć sposób, żeby jakoś orać i nie zawadzać o siebie nosami.

– Na samą myśl o tym, że mogę się otrzeć o pana nos, panie Quilty, robi mi się niedobrze.

Zaśmiał się i chrapliwie wciągnął powietrze.

– Uwielbiam cię, detektyw nadkomisarz, wiesz? Gdybyś nie była, kurwa, gliną, zaproponowałbym ci ślub. Wiem, że musisz egzekwować prawo, za to ci płacą, ale ja też muszę coś dla siebie wykrobać na życie. Więc jeśli nie godzisz się na układ, muszę mieć polisę ubezpieczeniową, żebyś mnie nie goniła i nie psuła

biznesu. Jak mówiłem poprzednio, ja tylko opycham szlugi po ekonomicznej cenie i nikomu nie dzieje się wielka krzywda.

– Nadal przetrzymuje pan Johna Meaghery. To chce mi pan powiedzieć?

– Szybko łapiesz, nie ma co. Tak, pan Meagher nadal jest moim gościem i dalej będzie, dopóki się nie przekonam, że działasz według zasady „żyj i pozwól żyć innym”.

– Jak on się czuje? Nic mu nie jest?

– Jest zdrow jak pies. Powiedziałbym, że pobyt u mnie to dla niego jak wakacje.

– Proszę nie traktować mnie jak idiotki, panie Quilty. Na wykładzinie w domu przy Leirim Street była krew.

– Nic mi o tym nie wiadomo, pani nadkomisarz. Pani człowiek żyje, oddycha i je fasolę z serem na śniadanie. Czego więcej pani chce? Nigdy bym pani nie wziął za idiotkę. Słyszałem, że musicie zdawać różne strasznie trudne egzaminy, żeby się dostać do policji. Znałem nawet takich, co potrafią zliczyć wspak od dwudziestu do jednego i jednocześnie dreptać w przód.

– Nie muszę panu przypominać, że więzienie kogoś to poważne przestępstwo. Już nie wspomnę o tym, że usiłuje pan oddziaływać na funkcjonariuszkę policji za pomocą gróźb.

– Świetnie o tym wiem, oczywiście. Ale nie zostawiłaś mi wyboru, prawda? I dlatego chciałem rozmówić się z tobą prywatnie. I poinformować, że w świetle tego, co zrobiliście w nocy, bo wparowaliście do mojego domu, podwoiłem moją polisę i teraz detektyw sierżant Ni Nuallán też jest moim gościem.

– Nic jej nie grozi? – zapytała Katie. Nie było sensu udawać zaskoczenia. – Nic jej się nie stało?

Quilty pstryknął niedopałek za balkon.

– Chyba jej duma ociupinę się nadwerżyła, ale to wszystko. Zagrała swoją rolę niesamowicie, to muszę jej oddać. Przez jakiś czas wierzyłem, że naprawdę jest jakąś wycieruchą z Gurra. Wysłałem ją nawet na rundkę ze szlugami i chłopaki powiedzieli, że nieźle się uwijała.

– Kto dał panu cynk? – zapytała Katie.

– Nikt mi nie dał cynku, laluniu. – Bobby Quilty stuknął się palcem w bok nosa. – Umiem wyniuchać glinę. Cuchnie tak jakoś na niebiesko, no wiesz, jak zgniła ryba. Trudno to z czymś pomylić.

– A więc mówi mi pan, że wziął pan Johna Meaghera i Kynę Ni Nuallán jako zakładników?

– Zakładnicy! Właśnie tego słowa, kurwa, szukałem i za nic nie przychodziło mi do głowy. Otóż to, detektyw nadkomisarz! Zakładnicy!

– Czego chce pan w zamian?

– W zamian za to, że mają łóżko i wikt i nie dostają regularnie lania, wycofasz wszystkie zarzuty przeciwko mnie, a oprócz tego dostanę rekompensatę za moje rozwalone drzwi.

Katie długo mu się przyglądała. Za jego głową, na południowym zachodzie, szare niebo stopniowo przybierało jaśniejszą barwę, niemal srebrzystą.

– A jeżeli odmówię?

– Hm, tak sobie pomyślałem, że o to zapytasz. I dlatego chciałem pogadać prywatnie, żeby nikt nie nadstawiał uszu. Jeżeli odmówisz...

Nie dokończył zdania, lecz przeciągnął palcem po gardle i otworzył szeroko oczy. Następnie skinął głową raz i drugi, dając wyraźnie do zrozumienia, jaki jest jego zamiar.

Rozdział 29

Bobby Quilty wrócił pod eskortą do sali przesłuchań, Katie zaś poszła na górę do komendanta MacCostagáina.

– Katie! Co jest grane? O której godzinie robisz stypę po operacji Trójzęb? Zaraz potem zwołujesz konferencję prasową, tak?

– Tak jest, panie komendancie. Ale chciałam panu powiedzieć, że postanowiłam wycofać zarzuty wobec Quilty’ego. Wydaje mi się, że popełniłam błąd, podejmując decyzję o jego aresztowaniu.

MacCostagáin spojrział na papiery rozłożone na biurku, a potem znów na Katie. Wyraz jego twarzy był jeszcze bardziej żaloszny niż zwykle.

– To nie przysłuży się dobrze naszemu wizerunkowi, prawda? Bóg jeden wie, jak bardzo staraliśmy się udowodnić mieszkańcom Cork, że jesteśmy sprawni i kompetentni i że robimy postępy w walce z przestępczością zorganizowaną. To nam zaszkodzi, i to bardzo.

– Owszem, chwilowo może nam zaszkodzić – przyznała Katie.
– Ale jestem całkowicie przekonana, że uda mi się zebrać dowody przeciwko Quilty’emu i ponownie go zgarnąć. Zrobię to szybko i postawię mu zarzuty, które doprowadzą do wyroku skazującego.

Komendant wstał i podszedł do okna.

– Niech to pozostanie między nami, Katie, ale wiem, że jesteś realistką. Jeden z głównych problemów polega na tym, że jesteś kobietą, i zapewne doskonale zdajesz sobie sprawę, że w szeregach policji istnieje twardy beton, który był przeciwny twojemu awansowi i nadal jest. Ci ludzie wykorzystają każdą

szansę, żeby ci go odebrać albo nawet doprowadzić do usunięcia cię z policji, a to, co się stało, oczywiście nie spodoba się Dublinowi. Komendant O'Sullivan żyły sobie wypruwała, żeby funkcjonariuszki miały równe szanse awansu, ale ciebie akurat nie muszę przekonywać, że w rzeczywistości kobiety nadal muszą się spisywać dwa razy lepiej niż mężczyźni. Ta zawierucha z Bobbym Quilty'ym ani trochę nie pomoże w jej staraniach. Szczerze powiedziawszy, to jest katastrofa z opóźnionym działaniem.

– Tak jest, panie komendancie. Nie szukam wymówek. Ale myślę, że nasza reputacja ucierpiałyby jeszcze bardziej, gdybyśmy postawili Quilty'ego przed sądem na podstawie dowodów, które w tej chwili mamy, a raczej których nie mamy. Zrobiłyby z tego wielki show medialny, a później byłoby nam jeszcze trudniej go ścigać, bo oskarżyłyby nas o to, że go nękamy.

– I co? – zapytał MacCostagáin, odwracając się od okna.

Lata doświadczenia pozwoliły mu wyrobić sobie bardzo czuły słuch i Katie zauważyła, że wychwycił coś w jej głosie, jakieś niewypowiedziane słowo zdradzające, że ma ważniejsze powody do tego, by wycofać oskarżenia wobec Quilty'ego; że nie chodzi jej wyłącznie o to, by na pierwszej stronie „Examinera” nie pojawił się niepocholebny nagłówek.

– I... nic – odparła. – Nawet jeśli się okaże, że krew, którą znaleźliśmy na wykładzinie w domu przy Leirim Street, jest krwią Johna, nie mamy możliwości udowodnienia, że Bobby Quilty tam był, a nawet gdybyśmy tego dowiedli, nie udowodnimy, że odpowiada za jego uprowadzenie. Nie ma szans, by tych dwoje squatterów zeznawało przeciw niemu... chociaż nie wiadomo, czy naprawdę są squatterami... Chyba że chcą skończyć z przestrelonymi głowami tak jak Darragh Murphy.

– Więc co planujesz? – zapytał komendant.

– Ścisłe współpracuję z G2, oczywiście, mamy masę dowodów poszlakowych na Quilty'ego i wszystkich jego współników: materiały z podsłuchu telefonów, e-maile, zdjęcia z obserwacji. Ale oprócz tego liczę na to, że zdobędę więcej szczegółowych

informacji od SPIP. To niemożliwe, żeby ktoś przez dwadzieścia lat uskutecznił szmugiel transgraniczny i nie zostawił jakichś dowodów obciążających.

– No dobrze, Katie – powiedział komendant MacCostagáin swoim smutnym głosem. – I powodzenia w starciu z dziennikarzami.



Atmosfera w sali konferencyjnej była dość ponura. Czuło się mocną woń ubrań przesiąkniętych dymem papierosowym i wilgocią; Katie zależało, by stypa po akcji trwała krótko i żeby mówić wprost.

– Chcę podziękować wszystkim, którzy wzięli udział w operacji Trójzab. Wykonaliście swoje zadania w sposób profesjonalny. Szczególnie chciałabym podziękować funkcjonariuszom regionalnej jednostki wsparcia, którzy wykazali się skutecznością i samokontrolą. Biorę na siebie całkowitą odpowiedzialność za wynik operacji, który oczywiście nie był zgodny z moimi oczekiwaniami. Mogę jedynie przyznać się do tego, że w niewłaściwy sposób odczytałam informacje, które do mnie trafiły.

Miała świadomość, że nie działa na swoją korzyść, biorąc na siebie winę za fiasko operacji Trójzab. Jeśli jednak wśród zgromadzonych był ktoś, kto przekazywał informacje Quilty’emu, wolała mu nie sugerować, że z jeszcze większą determinacją będzie dążyła do tego, by go aresztować, oskarżyć i wsadzić na resztę życia do więzienia o najwyższym rygorze.

– Oczywiście złożę pełny raport w komendzie głównej w Dublinie – ciągnęła. – A na razie chcę, żebyście wiedzieli, że zamierzam wycofać zarzuty wobec Bobby’ego Quilty’ego. Jeśli ktoś natknie się na niego w trakcie pełnienia obowiązków służbowych, proszę go traktować z takim samym szacunkiem, z jakim traktujecie każdego innego obywatela Cork.

Ktoś w końcu sali prychnął drwiąco, paru funkcjonariuszy pokręciło z dezaprobatą głowami, ale oprócz tych gestów nie było reakcji.

Wszyscy uczestnicy odprawy wychodzili już z sali, gdy do Katie podszedł inspektor O'Rourke.

– Nie musiała pani brać na siebie całej winy, pani nadkomisarz. Mogła pani rzucić jakąś prawie prawdziwą bajeczkę o tym, że Quilty coś zwęszył.

– Tak bym zrobiła, gdyby sprawy ułożyły się inaczej – odparła Katie, zatraskując klamry aktówki.

– Inaczej... To znaczy jak?

– Przepraszam, Francis, ale na razie nie ma pan pełnego obrazu sytuacji, a mnie nie wolno go panu przedstawiać. Kiedy to zrobię, od razu pan zrozumie. Powiedzmy, że jeśli mnie zdegradują, to od tego nie umrę. Ale gdybym w najdrobniejszy sposób zasugerowała, że ktoś z komendy kabluje Bobby'emu Quilty'emu...

O'Rourke patrzył na nią dłuższą chwilę zmrużonymi oczami, spodziewając się, że dokończy zdanie, ona jednak tylko uniosła brwi. Domyślił się, o co chodzi, nawet jeśli tylko z grubsza.

Złościła ją ta konieczność zachowania tajemnicy, zwłaszcza że bardzo potrzebowała się komuś zwierzyć, pragnęła czyjś wsparcia. Akurat wychodziła z sali, kiedy zapiszczał jej iPhone, sygnalizując nadejście SMS-a. Ktoś przyszedł do niej z wizytą i czekał na parterze. Nie był umówiony, ale powiedział, że Katie go zna i wie, w jakim celu się zjawił. Nazywał się Alan Harte.

Kiedy dotarła do dyżurki, zobaczyła niskiego rudego mężczyznę, który właśnie wychodził z budynku; pomyślała, że Harte'owi znudziło się czekanie na nią. Potem spojrzała w drugą stronę. Stał tam mężczyzna w długim szarym prochowcu, jego twarz skrywał cień, a na ramionach błyszczały krople deszczu.

– Alan? – odezwała się, kiedy zrobił krok w jej stronę.

– Katie – odpowiedział z tym samym miękkim zaciąganiem, typowym dla mieszkańców Belfastu, które słyszała w trakcie rozmowy telefonicznej. Wyciągnął rękę.

Miał nieco powyżej metra osiemdziesięciu wzrostu; kiedyś musiał być bardzo szczupły, lecz po osiągnięciu wieku średniego jego sylwetka się wypełniła. Miał stalowoszare włosy ostrzyżone

na jeża, oczy o szarawej barwie irlandzkiego nieba, twarz szeroką, z wydatnymi kośćmi policzkowymi i mocno zarysowaną szczęką. Pomyślała, że ma szkockich przodków. Trzymał w ręce czarną walizeczkę.

– Mogłeś dać znać, że przyjeżdżasz.

– Przepraszam, rano jeszcze sam o tym nie wiedziałem.

– Chodź do mojego gabinetu. – Nacisnęła przycisk windy. – Co z Kyną i Johnem? Widziałeś ich?

Alan potwierdził skinieniem głowy.

– Tak, widziałem. Właśnie dlatego tu jestem. Mogłem zadzwonić albo wysłać ci SMS-a, ale nigdy nie wiadomo, kto podsłuchuje twój telefon. Nie chciałem ryzykować. Dzisiaj o pierwszym brzasku pojechałem do Forkhill, mimo że nie było zbyt widno. Postawiłem samochód ponad pół kilometra od domu i poszedłem przez pola, żeby wślizgnąć się na podwórze od tyłu. Lało strasznie, więc nikogo nie było na zewnątrz. Zresztą wątpię, by tamci kogoś się spodziewali.

Nadjechała winda i oboje wsiedli. Z bliska Katie wyczuła woń pieprzu i cynamonu. Może Alan używał płynu po goleniu o tym zapachu, a może żelu pod prysznic.

– Jak wyglądali? – zapytała. – Kiedy twój informator widział Johna, niesiono go na noszach, prawda?

– Byli w dużym pomieszczeniu w tylnej części domu. Twój przyjaciel leżał na tapczanie oparty na poduszce, a detektyw sierżant... Jak jej na imię? Kyna! Więc Kyna siedziała obok na fotelu. Jeśli dobrze widziałem, trzymała miskę i karmiła go łyżką. Nie wiem, jak to świadczy o jego stanie fizycznym. W pokoju było dość ciemno, więc trudno mi było dokładnie im się przyjrzeć. Ale w każdym razie żyli. Właśnie miałem zrobić zdjęcia, kiedy do pokoju wszedł jakiś drobny człowieczek i zaciągnął zasłony.

– Jesteś pewny, że cię nie zobaczyli?

– Nie ma mowy. Chowałem się obok szopy z narzędziami i tak, jak mówiłem, lał deszcz. Zostałem jeszcze z dziesięć minut, próbowałem złapać sygnał telefoniczny, ale na próżno. Nikt nie

wyszedł z domu, więc to pewne, że tamci nie wiedzieli o mojej obecności.

– I nie masz wątpliwości, że to byli oni? Kyna i John?

– Bez dwóch zdań. W pokoju było ciemnowo, ale od razu ich rozpoznałem dzięki zdjęciom, które zamieściłaś w biuletynie. Wyglądali na zmęczonych i roztrzęsionych, ale skoro dostają jedzenie, to jest to optymistyczny sygnał. Gdybyś zamierzała zabić świnię, tobyś ją karmiła, ale człowieka? Nie zaprzętałybyś sobie tym głowy, prawda? Po co jedzenie marnować?

Katie zerknęła na niego z ukosa.

– Nie zabrzmiało to krzepiąco.

– Wiem, przepraszam. Nie o to mi chodziło. Za duży staż gliniarski, to mój problem. Chyba zrobiłem się niewrażliwy na uczucia innych. Nawet nie wiem, czy choć trochę ich we mnie zostało.

– Wycofałam zarzuty przeciwko Bobby’emu Quilty’emu – oznajmiła Katie, kiedy weszli do jej gabinetu i zapaliła światło. – Przede wszystkim, w ogóle nie powinnam była go aresztować. Chyba liczyłam na to, że święty Franciszek wyczaruje mi jakiś cudowny dowód, zanim będę musiała drania puścić.

– Co się właściwie stało? – zapytał Alan.

Katie usiadła przy biurku, lecz on dalej stał. Pokrótce zrelacjonowała mu katastrofalny przebieg operacji Trójzęb, opowiedziała, jak Quilty za każdym razem wyprzedzał ją o krok i dzięki temu wszystkie trzy równoczesne naloty zakończyły się kompromitacją. Skinął głową, gdy powiedziała o zastrzeleniu Darragha Murphy’ego, a później skinął ponownie, kiedy opisała, co znaleźli w domu przy Leitrim Street... a ściśle mówiąc, czego tam nie znaleźli.

– Cynk – orzekł. – Masz tu wtykę, co do tego nie ma wątpliwości.

– No jasne, żadnych – zgodziła się Katie. – Sęk w tym, że nie mam pojęcia, kto to może być. Zaledwie garstka osób wiedziała o tym, że poprosiłam Kynę, by pod przykryciem zgłosiła się do pracy u Bobby’ego Quilty’ego. Niestety, w nocy musieliśmy

uprzedzić funkcjonariuszy regionalnej jednostki wsparcia, że Kyna może tam być. Żeby w razie wymiany ognia nie zastrzelili jej przypadkowo.

– Uwierz mi, to samo Bobby Quilty robił w Armagh – powiedział Alan. – Ma kontakty w najrozmaitszych środowiskach, wśród polityków, dyrektorów firm, prostytutek, kryminalistów, i dlatego tak trudno go zgarnąć. Zna wszystkich od Bamba's Crown po Cranfield Point. Zna szefów banków, więc może się łatwo dowiedzieć, który funkcjonariusz policji ma kłopoty finansowe. Zna hotelarzy, a ci mówią mu, kto romansuje z kobietą, z którą nie powinien romansować. Zna właścicieli klubów i handlarzy narkotyków i dzięki temu zawsze wie, czy ktoś uzależnił się od prochów. Ma co najmniej trzech czy czterech zabiedzonych gliniarzy, udzielających mu informacji albo za gotówkę, albo za milczenie, albo za to, że nie wrzuci na Twittera ich zdjęć pornograficznych, które mogłyby zobaczyć żony. Ma co najmniej jedną wtykę na Anglesea, a możliwe, że więcej. Ale jak sama powiedziałaś, sęk w tym, żeby dowiedzieć się, kto nią jest. To może być każdy, od najwyższej szarży do najniższej.

– Hm, mam parę pomysłów na to, jak ich wywabić – powiedziała Katie. – A tymczasem, co twoim zdaniem powinniśmy zrobić, jeśli chodzi o Kynę i Johna?

– Ja bym zalecał, żeby w tej chwili nie robić nic. Quilty jest pewny siebie, dopóki trzyma zakładników, więc lepiej dać mu spokój. Nie jest tak głupi, żeby zabijać kurę, dzięki której dostaje złote jaja. Podobną sytuację mieliśmy w Belfaście w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym ósmym. Provosi uprowadzili właściciela dużego sklepu i zagrozili, że uwolnią go tylko pod warunkiem, że wypuścimy dwóch ich ludzi, których Ulsterski Departament Policji złapał tydzień wcześniej. Biedak dostał udaru serca i zmarł, więc Provosi stracili kartę przetargową. Bobby Quilty wyciągnął wnioski z tamtej lekcji.

– Więc co cię tutaj sprowadza? – zapytała Katie. – Nie przyjechałeś tylko po to, żeby mi powiedzieć o Kynie i Johnie?

– Szczerze mówiąc, Katie, pomyślałem, że może uda mi się jakoś pomóc ci rozprawić się raz na zawsze z Bobbym Quilty. Przyznaję, że sprawa ma charakter osobisty, ale ten człowiek stanowi zagrożenie dla ogółu. Jeśli pozwolisz mi przejrzeć wszystkie materiały, jakie masz na jego temat, może się zorientuję, jakie interesy prowadzi tu, w Cork. Może uda mi się zauważyć coś, co przeoczyłaś. Jeśli pomogę ci zebrać mocne dowody przeciwko niemu, takie, które utrzymają się w sądzie, i zobaczę, jak ten drań idzie na dno, to będzie dla mnie jak pięć gwiazdek naraz, mówię ci.

– Rozumiesz, że nie mogę ci na to udzielić oficjalnego pozwolenia? Garda i SPIP wprawdzie często wymieniają się funkcjonariuszami, ale ty już nie pracujesz w policji, a wszystkie materiały na Quilty’ego mają klauzulę wysokiej poufności. Jeżeli ci je udostępnię, dowiesz się, jak je uzyskaliśmy, poznasz nazwiska naszych informatorów, a one też są objęte tajemnicą.

– Rozumiem, Katie. A ja nawet nie jestem emerytowanym policjantem. Jestem zwolnionym policjantem. Ale mamy do czynienia z bardzo nietypowym problemem i trzeba sięgnąć do nadzwyczajnych środków, żeby go rozwiązać.

– Nie wiem... Będę musiała to poważnie przemyśleć. Wątpię, by komendant MacCostagáin się na to zgodził. On trzyma się ściśle regulaminu, a nie odszedł ze służby w glorii chwały... wybacz, że to mówię.

– Rozumiem, oczywiście. Ale miałem nadzieję, że przyjmiesz mnie w roli nieoficjalnego doradcy. Spójrzmy prawdzie w oczy, Katie. Jakie są możliwości? Gdy tylko powiesz komuś tutaj, że Kyna i John są trzymani jako zakładnicy i chcesz zrobić nalot na dom Quilty’ego, żeby ich ocalić, on się o tym dowie i w najlepszym razie znajdziesz ich zwłoki. Skutek byłby dokładnie taki sam, gdybym chciał przekonać do tego samego komendanta Shieldsa w Armagh.

– Wiem – powiedziała Katie. Zdawała sobie sprawę, że Alan ma rację.

Stał i obserwował ją przez chwilę, nic nie mówiąc. Otworzyła folder na biurku, zawierający długi raport poświęcony uszczelnieniu kontroli na granicy między Republiką Irlandii i Zjednoczonym Królestwem; powodem było to, że wielu nielegalnych imigrantów wykorzystywało Irlandię jako tylne drzwi do Wielkiej Brytanii. Przeczytała pierwsze dwa akapity i zamknęła folder.

– Gdzie się zatrzymasz?

– Pewnie w Jury's przy Western Road. Wziąłem szczoteczkę do zębów i gatki na zmianę.

– Za dziesięć minut mam konferencję prasową – powiedziała Katie. – Nie powinna długo potrwać. Zaprowadzę cię do kantyny, jeśli chcesz, możesz tam poczekać i wypić kawę. Później będziemy mogli porozmawiać.

– W porządku. Czego jak czego, ale czasu mi nie brakuje.



Na konferencję przyszło jak zwykle wielu reporterów i dziennikarzy wolnych strzelców; nie było jednak Dana Keane'a z „Examinera”, bo poszedł do szpitala na prześwietlenie płuc i zastępowała go Roisin Magorian – cicha, szczupła kobieta o ostrych rysach, ubrana w kostium z ciemnozielonego lnu. Prawie zawsze miała zaciśnięte usta, toteż detektyw sierżant Begley ochrzcił ją „Temperówką”.

Były Fionnuala Sweeney, Branna MacSuibhne z „Echa” i Muireann Bourke z Newstalk.

Nadkomisarz Pearse przyszedł, żeby wspierać Katie i objaśnić logistykę operacji Trójzęb.

– Wszystko przebiegło zgodnie z planem – powiedział na zakończenie. – Nie użyto broni palnej, żaden funkcjonariusz nie odniósł ran i ani przez chwilę nie było zagrożenia dla ludności cywilnej. Była to podręcznikowa akcja od początku do końca.

– Ale jeden pistolet wypalił, prawda? – zapytała Roisin Magorian, unosząc ołówek. – Ten, z którego zabito Darragha Murphy'ego.

– Pani wybaczy, ale to stało się kilkanaście godzin przed początkiem operacji Trójzab – zauważył nadkomisarz. – I to nie my strzelaliśmy.

– Mówi pan, że była to podręcznikowa akcja, ale męczyzna, którego chcieliście aresztować za zabójstwo detektywa Barry’ego, został zamordowany, zanim go złapaliście. Poza tym w domu przy Leitrim Street nie było zakładnika, choć mieliście takie podejrzenie. Aresztowaliście Bobby’ego Quilty’ego, a później wycofaliście oba zarzuty i go zwolniliście. Tak wygląda podręcznikowa akcja?

– To, że operacja Trójzab nie zakończyła się dla nas w sposób zadowolający, jest wyłącznie moją winą – odezwała się Katie. – Otrzymałam pewne informacje i zinterpretowałam je najlepiej, jak umiałam, ale okazało się, że informacje były mylące, mówiąc najłagodniej. Co nie znaczy, że nie powinniśmy byli na ich podstawie podejmować czynności ani że akcja została źle przeprowadzona. Gdyby informacje były rzetelne, a my nie podjęlibyśmy odpowiednich działań, wtedy byłibyśmy winni poważnego zaniedbania obowiązków i mogłoby to skutkować tym, że ktoś zostałby okaleczony lub nawet zabity.

Zrobiła pauzę i spojrzała w obiektyw kamery.

– Nie jestem nieomylna – kontynuowała. – Nikt taki nie jest. Ale wolę popełnić błąd w ocenie, niż doprowadzić do śmierci kogoś niewinnego, poprzez zaniechanie działania po tym, jak otrzymałam informację, która wydawała się autentyczna.

– Przed przyjściem tutaj rozmawiałam z panem Quilty’em – oznajmiła Roisin Magorian. – Proszę wybaczyć, że zacytuję go mniej lub bardziej dosłownie, ale powiedział, że miejscowa policja stoi ze sterzącą przez okno pewną częścią ciała, a babcie rzucają w nią śnieżkami.

– Panu Quilty’emu wolno wyrażać opinie w dowolny sposób, byleby nie używał określeń wulgarnych i oszczerczych.

– Twierdzi jednak, że nie jest mściwy i że ufa, iż jego przyszłe relacje z Gardą będą poprawne. A nawet ciepłe. Zgodziłaby się pani z tym?

– Garda Siochána będzie traktowała pana Quilty’ego w taki sam sposób, w jaki traktuje każdego innego obywatela Cork, bez względu na to, kim jest.

– Więc nie będzie szczególnego traktowania, jeżeli pozwie was za bezprawne aresztowanie?

– Bez komentarza – odparła Katie. – Pytanie jest tego rodzaju, że nie zasługuje na odpowiedź.

– Nie ma się na co obruszać, pani detektyw nadkomisarz – powiedziała Roisin Magorian. – Ja tylko pytałam. Nie może pani zaprzeczyć, że w przeszłości Garda traktowała pewne osoby w sposób preferencyjny, nazwisk nie będę wymieniała.

– Można wiedzieć, czy poczyniliście jakieś postępy w sprawie morderstwa Darragha Murphy’ego? – wtrąciła się Branna MacSuibhne.

– Jak dotąd nie udało nam się odkryć nic konkretnego – odparł inspektor O’Rourke. – Wielu mieszkańców Parklands widziało żółtawe volvo kombi parkujące na końcu alejki biegnącej za domami przy ulicy, na której mieszkał. Stało tam co najmniej dwadzieścia minut z pracującym silnikiem i między innymi dlatego zwrócili na nie uwagę. Pewna pani zeznała, że zauważyła chudego mężczyznę w szarej bluzie z kapturem, który wyszedł z alejki, wszedł do volvo i momentalnie odjechał.

O’Rourke zajrzał do notatek.

– „Ten człowiek szedł bardzo szybko, jakby mu diabeł na pięty następował, powiedziała naszemu funkcjonariuszowi, ale nie chciał się oglądać, tylko wskoczył do auta i od razu ruszył, a opony zapiszczały jak nietoperze w piekle”.

– Czy to mogło być to samo volvo kombi, którego szukaliście po morderstwie detektywa Barry’ego? – dopytywała Branna.

– Nie zaprzeczam, że jest to możliwe. Żaden ze świadków w Parklands nie zapisał jednak numerów rejestracyjnych pojazdu. Nadal mamy nazwisko i adres właściciela volva, który mógł brać udział w wypadku, w wyniku którego zginął detektyw Barry, ale jeszcze nie ustaliliśmy miejsca jego pobytu. Charles Daly z Rathpeacon. Adres był prawdziwy, ale nie mieszka tam

osoba o nazwisku, na które zarejestrowano pojazd. Nadal prowadzimy dochodzenie, oczywiście.

– Chcieliście rozmawiać z Darraghiem Murphym w związku ze śmiercią detektywa Barry’ego? – zapytała Muireann Bourke. – Skoro on już nie żyje, czy to znaczy, że sprawa została zamknięta? A może spodziewacie się innych podejrzanych?

– Sprawa jest jak najbardziej otwarta – powiedziała Katie. – Do tej pory nie mamy bezspornych dowodów ani na to, że Darragh Murphy był odpowiedzialny za śmierć detektywa Barry’ego, ani na to, że przyczyniły się do tego inne osoby. To na razie wszystko, co mam do powiedzenia.

Konferencja dobiegła końca i Katie zmierzała do bufetu, kiedy dogoniła ją Roisin Magorian.

– Co tam, Roisin? Mogę pani jeszcze czymś służyć?

Dziennikarka zagłębiła rękę w dużej pękatej torbie z zielonej skóry i wyjęła kołnотatnik.

– To nie ma nic wspólnego z operacją Trójzab, pani detektyw nadkomisarz. Chodzi o całkiem inny materiał, nad którym pracuję.

– Słucham.

Roisin założyła na koniec nosa okulary, które nosiła zawieszona na szyi.

– Kolega mojego kolegi – zaczęła – ma kolegę, który pracuje jako księgowy w kasynie Diamond Club. Zdradził mi w zaufaniu, że pewne wpływowe osoby z Cork mają gigantyczne długi hazardowe, niektóre sięgają sześciocyfrowych kwot.

– Wcale mnie to nie zaskakuje – powiedziała Katie. – Pamięta pani sprawę, nad którą pracowaliśmy w zeszłym roku, prawda? Tego menedżera z AIB? Stracił majątek na grze w ruletkę, więc żeby nie połamali mu nóg, pożyczył sobie z kont klientów ćwierć miliona euro. Użyłam słowa „pożyczył”, ale on nie zamierzał zwracać tych pieniędzy.

– Ta sprawa jest w pewnym sensie o wiele poważniejsza – odparła Roisin Magorian. – Wielu polityków narobiło ogromnych długów hazardowych i zapożyczyli się, żeby wierzyciele nie

wsiedli im na karki. Co najmniej trzech radnych hrabstwa i jeden deputowany do parlamentu. Zresztą rzecz dotyczy nie tylko polityków. Jest pewien urzędnik skarbowy wyższego szczebla oraz audytor w resorcie zdrowia i ubezpieczeń. I... starszy rangą funkcjonariusz Gardy z Cork. Właśnie dlatego zwracam się z tym do pani.

– Wie pani, kto to taki? – spytała Katie.

– Nie. Mój znajomy z Diamond Club nie podał nazwisk, bo zbyt drogo by go to kosztowało. I wiązałoby się ze zbyt dużym ryzykiem. Większość pieniędzy na pokrycie długów hazardowych pochodzi ze źródeł, które mogą mieć swoje własne powody, by trzymać w szachu polityków i urzędników, na przykład od deweloperów zabiegających o zezwolenia na plany inwestycyjne lub firm farmaceutycznych, które chcą, aby służba zdrowia nabywała ich produkty po rozbuchanych cenach. A także od przestępców, którzy nie byliby zadowoleni, gdyby wyszło na jaw, komu pożyczyci pieniądze.

– Ma pani dowody na to wszystko, oprócz ustnych informacji od tego faceta z Diamond Clubu?

– Trochę. Ale dzień po dniu gromadzę kolejne. Chciałam tylko zapytać, czy ma pani jakieś poszlaki, które by te informacje potwierdzały, i czy zdaje pani sobie sprawę, że co najmniej jeden z wyższych oficerów Gardy siedzi po uszy w długach hazardowych.

– Ryzykuje pani, prawda? Bo to może być funkcjonariuszka, a nie funkcjonariusz. Mogłabym to być ja na przykład.

– Nie. Nazwiska jeszcze nie znam, ale to nie jest kobieta.

Katie zauważyła, że inspektor O'Rourke czeka na nią, żeby porozmawiać.

– Proszę wybaczyć, Roisin. Wie pani o tej sprawie więcej niż ja. I nie mogę obiecać, że jeśli się czegoś dowiem, podzielę się z panią tą wiedzą.

– No cóż, zobaczymy – rzuciła dziennikarka. – Może jednak pani to robi... w zamian za informację ode mnie. Wprawdzie nie

wiem, kim jest ten hazardzista z Gardy, ale jestem raczej pewna co do osoby, która pożyczyła mu forszę.

Katie czekała, aż tamta coś jeszcze doda, lecz Roisin Magorian schowała notes do swojej obszernej torby.

– Zatem powodzenia, detektyw nadkomisarz Maguire – powiedziała i odeszła.

Katie kusilo, żeby ją zawołać, ale przypuszczała, że niczego więcej się nie dowie. Razem z O'Rourke'em skierowali się do bufetu, gdzie czekał na nią Alan.

– Jak pani ocenia przebieg konferencji? – zapytał inspektor.

– Nie tak źle, jak się spodziewałam. Ale poczekajmy na jutrzejsze poranne serwisy informacyjne i tytuły w gazetach.



Alan uniósł głowę znad „Echa”, które właśnie czytał.

– I jak poszło?

– Tak jak należało oczekiwać – odparła Katie, przyciągając sobie krzesło i siadając naprzeciw niego. – Coś pomiędzy desperacją a katastrofą.

– Dostałaś już jakieś sygnały z góry?

– Na razie nic, ale na pewno będą. Jimmy O'Reilly nie przepuści okazji, żeby zrobić halo z takiej kosztownej akcji. Dla niego liczy się tylko budżet. Co za człowiek! Oszczędzałby nawet na Bożym Narodzeniu.

Sama nie wiedziała, dlaczego rozmawia w ten sposób z Alanem. W końcu prawie go nie znała. Nawet nie sprawdziła, czy naprawdę był detektywem w SPIP. Wyczerpały jednak ją zmartwienia i bardzo potrzebowała sojusznika. Poza tym jako jedyny wiedział, gdzie są John i Kyna i czy grozi im niebezpieczeństwo, a wszystko, co dotąd powiedział, brzmiało wiarygodnie.

– Zmęczona jesteś, jeśli wolno mi zauważyć – powiedział.

Katie przeciągnęła dłonią po włosach.

– Kompletnie wykończona, jeśli chcesz wiedzieć.

– W takim razie może odłożymy to do jutra? Jeśli nie chcesz mnie tu widzieć za często, możemy się spotkać na śniadaniu.

– Nie, i tak nie będę mogła zasnąć, dopóki nie ustalimy, jak to wszystko rozegrać. Stale pojawia mi się w głowie ten obraz, który opisałeś: John leży na tapczanie, a Kyna go karmi. Bo przecież... Boże... John był bardzo sprawnym mężczyzną.

– Musimy do tego podejść ostrożnie, Katie. Jeśli spróbujemy coś przyspieszyć, skończy się tak jak operacja Trójzęb, tylko gorzej. Musimy przyszpilić Bobby’ego Quilty’ego, zanim zrobimy jakiś ruch, i to przyszpilić pewnie.

– Bez obawy, dopilnuję, żebyś dostał kopie wszystkich materiałów, jakie na niego mamy – zapewniła Katie. Uświadomiła sobie, że inni w bufecie wiedzą, że z nim rozmawia; na pewno zachodzili w głowę, kto to taki i dlaczego okazuje mu tyle zaufania. Jej życie osobiste fascynowało kolegów na Anglesea bardziej niż cotygodniowa czteroodcinkowa dawka serialu *Fair City*. – Jak się tutaj dostałeś? Przyjechałeś samochodem?

– Pociągami. Nie miałem ochoty zasuwać cztery i pół godziny w taką pogodę, a poza tym na pięciokilometrowym odcinku E dwieście jeden, koło Two-Mile Borris, trwają prace remontowe.

Nawet jeśli nie był detektywem policyjnym, na pewno mówi tak, jakby nim był, pomyślała Katie.

– Słuchaj, może zamiast do Jury’s przyjechałbyś do mnie do Cobh? Mam wolny pokój i nic nie będzie cię to kosztowało. Muszę wyprowadzić psa na spacer i zrobić sobie coś do jedzenia. Jeśli nie masz nic przeciwko odgrzewanej lasagne... Domowej, nie z Tesco.

– Katie, nie przyjechałem tu po to, żeby ci się narzucać. Widzę, że i tak masz urwanie głowy, naprawdę.

– Ale skąd, żadne narzucanie się. Powiem ci szczerze, że przyda mi się towarzystwo. Rozmowa ze sobą to kiepska pociecha.



Gdy jechali do domu Katie przy Carrig View w Cobh, deszcz padał coraz mocniej. Wysiedli z samochodu i popędzili na ganek; Katie spostrzegła, że zasłona w salonie domu Tierneyów

poruszyła się. To Jenny wyjrzała, żeby zobaczyć, kto się zjawiał. Ależ będzie gadania! Chodź, coś ci powiem, ta policjantka, Maguire, sprowadziła wczoraj wieczorem faceta do domu, został aż do samiutkiego rana.

Barney na powitanie obwąchał podejrzliwie gościa, lecz od razu się zorientował, że pani czuje się swobodnie w jego obecności, więc poszedł do kuchni i zaczął pić wodę z miski, głośno mlaskając językiem.

– Przepraszam za to obwąchiwanie – powiedziała.

– Nic nie szkodzi. Mówią, że pies umie wywąchać u faceta raka prostaty, więc tylko się cieszyć, że zrobił mi inspekcję.

– Masz ochotę na kawę? – zapytała Katie, wchodząc do salonu. Lampy miały włączniki czasowe, ale wcześniej się ściemniło, więc je zapaliła.

– Nie, dzięki. Cały dzień piłem kawę. Jeszcze trochę kofeiny i zacznę gaworzyć jak szympans.

– Więc może piwo?

– No dobrze, skoro naciskasz. Trochę wcześniej jak dla mnie, ale słońce już zaszło. W każdym razie go nie widać.

Katie włączyła telewizor. Za pięć minut zaczynał się serwis informacyjny *Six One News*, a chciała usłyszeć, co Fionnuala Sweeney powie o operacji Trójzab. Przyniosła z kuchni butelkę piwa i szklankę dla Alana, sobie zaś naląła wódki z lemoniadą.

– No to powiedz mi coś o sobie – rzuciła, siadając obok niego z podwiniętymi nogami.

Wzruszył ramionami.

– Nie ma dużo do opowiadania. Może by było, gdybym kiedyś poszedł za głosem serca. Zawsze chciałem muzykować i mieć własny zespół folkowy, nazwałbym go Cuchulains, wiesz? Ale starszy brat wyjechał do Anglii i zaczął pracować w ubezpieczeniach, młodszy dostał stanowisko menedżera w firmie Green Isle Foods, a siostra wyszła za Belga, którego poznała w czasie wakacji... taki wariat trochę, ale miły gość... i zamieszkała z nim w Belgii.

– I co się stało z grupą Cuchulains?

– Niestety, nic z tego nie wyszło. Problem polegał na tym, że tata był głównym inspektorem w policji Ulsteru. Hartowie służyli w północnoirlandzkiej policji od czasów, kiedy pradziadek był inspektorem hrabstwa w Królewskiej Irlandzkiej Służbie Porządkowej w tysiąc dziewięćset dwunastym. Tata uparł się, żeby nazwisko rodzinne było związane z policją z pokolenia na pokolenie.

Katie pokręciła głową.

– Nie musisz mi mówić. Tylko ty jeden zostałeś i nie chciałeś go zawieść. Dokładnie to samo spotkało mnie. Było siedem sióstr Maguire i tylko ja jedna wstąpiłam do Gardy.

– Ale możesz być z siebie dumna. Twój ojciec zresztą też. Mój tata jeszcze żył, kiedy musiałem odejść ze służby. Osłupiał, jak o tym usłyszał!

– Jesteś żonaty? – zapytała Katie, skinieniem głowy wskazując złotą obrączkę na jego palcu.

– W separacji. Już prawie osiem lat. Nie wzięliśmy rozwodu i jakoś tak się złożyło, że nigdy nie zdjąłem obrączki. Sprawdza się jako środek antykoncepcyjny, przynajmniej taki z niej pożytek.

Obejrżeli serwis informacyjny. W destylarni whisky w Midleton wybuchł duży pożar, siedmiu pracowników odniosło obrażenia, trzech wciąż nie odnaleziono. W niższej izbie parlamentu odbyło się kluczowe głosowanie nad ustawą w sprawie dalszych cięć w służbie zdrowia, toteż materiał o operacji Trójzab całkowicie spadł z programu.

– No widzisz, Bóg jednak istnieje – powiedział Alan.

Katie dopiła drinka i wstała.

– Nie byłabym tego taka pewna. Muszę wyprowadzić Barneya na wieczorny patrol, a na dworze leje.

– Hej, pójdę z tobą, no jasne. Dlaczego tylko jedno z nas ma moknąć.

Barney usłyszał, że pani zdejmuje smycz z haczyka w przedpokoju, i wypadł pędem z kuchni.

– Spójrz tylko na niego. – Katie roześmiała się. – Myśli, że zabiorę go aż do Whitepoint Drive, do jego dziewczyny Oony. Wybacz, Barns, ale nie w taki wieczór jak dzisiaj. Idziemy tylko do promu i z powrotem, na tym koniec, a jak przez ten czas nie załatwisz sprawy, będziesz musiał się zakorkować aż do rana.

Alan parsknął śmiechem. Katie odwróciła się do niego i uświadomiła sobie, że po raz pierwszy od wielu dni ona także ma powód do tego, by się uśmiechnąć.

Rozdział 30

– O Jezu! – krzyknął John. W jego głosie brzmiała rozpacz, tak jakby od pół godziny starał się milczeć, ale dłużej nie był w stanie znieść potwornego bólu. – O Jezu, o Jezu, moje nogi!

Kyna otworzyła oczy. Zegar na ścianie w przedpokoju wybił dopiero wpół do ósmej i górne światło wciąż się paliło, ale ona leżała skulona niewygodnie na fotelu i usiłowała zasnąć. Była wyczerpana, choć w dużym, ciemnym pokoju wyklejonym brązową tapetą nie było nic do roboty: ani telewizora, ani radia, ani książek, ani nawet gazet. Na ścianach wisiał jeden jedyny obraz, jesienny pejzaż hrabstwa Fermanagh, który był prawie tak samo brunatny jak tapeta.

Kiedy John zaczął jęczeć, wstała, podeszła do tapczanu i przyklękła obok.

– Ciii, John, jestem tutaj. – Delikatnym ruchem położyła mu dłoń na czole. Miał zimną i spoconą skórę i drżał w niekontrolowany sposób od stóp do głowy.

– Będą musieli wezwać ci lekarza – oznajmiła. – Nie można tak dłużej. Dostaniesz zakażenia, jeśli jeszcze go nie masz. Pokaż stopy.

Pokręcił głową.

– Nie, proszę cię, nie dotykaj ich. Proszę. Pieką jak ogień. Jakby się paliły, i łydki też zaczynają już piec.

– Musisz mi je pokazać. Może uda mi się je przemyć. Jeśli pozostaną owinięte tak jak teraz, stan tylko się pogorszy. Możesz umrzeć na posocznicę.

Był tylko w brudnej niebieskiej koszulce i bokserkach, które miał na sobie, kiedy go porwano w drodze do Hayfield Manor.

Obie stopy spowijały grube białe ręczniki; lewy, o wiele większy od prawego. Na obu widać było brązowe i żółte plamy i oba cuchnęły zaschniętą krwią i ropą.

Kyna przestraszyła się, jeszcze zanim zaczęła je odwijać, bo widziała, że łydki są spuchnięte i czerwone prawie do kolan.

– Zrobię to najdelikatniej, jak można – obiecała.

John skinął głową i chwycił jedną ręką brzeg poduszki; drugą zacisnął w pięść, wcisnął sobie do ust i zagryzł.

Kyna uniosła lewą nogę i zaczęła ostrożnie odwijać ręcznik. John wciągnął głośno powietrze i mocniej zagryzł dłoń. Nie chciała sprawiać mu bólu, ale zdawała sobie sprawę, że nie może pozwolić, by stopy dalej się paprały.

Z każdą odwinietą warstwą brązowożółte plamy robiły się większe i wilgotniejsze, a odór silniejszy. Kyna powstrzymywała odruch wymiotny, bo nie chciała jeszcze bardziej stresować Johna. Od rana zjadła tylko kanapkę z szynką i pomidorem, którą Ger kupił na stacji benzynowej po drodze, toteż do gardła podeszła jej jedynie ślina.

Ściągnawszy ostatni róg ręcznika, zobaczyła wreszcie, jak bardzo zakażona jest stopa. Spuchła w całości, zrobiła się fioletowa, a palce poczerniały. Dziura, którą Chisel przewiercił, była zatkana połyskliwą, zielonkawobeżową ropą.

Kyna patrzyła na nią bezradnie. Nie mogła ponownie zabandażować stopy, nie tym samym brudnym ręcznikiem, ale nie miała jej czym umyć. Zawsze nosiła w torebce chusteczki, lecz Ger zabrał jej torebkę; zresztą i tak by nie wystarczyły do oczyszczenia ropiejących ran. Zostały jej tylko rzeczy, które miała na sobie podczas pierwszego spotkania z Bobbym Quiltem, te, które później uprała Margot: różową koszulkę z napisem *Kłopoty*, sportowy stanik i wąskie czarne dżinsy. Ger pozbawił ją nawet butów.

Spojrzała na twarz Johna. Zagryzał kostki pięści z taką mocą, że krew spływała mu po nadgarstku i oczy były pełne łez. Bolało go tak, że nie mógł nawet na nią patrzeć.

Delikatnie położyła mu dłoń na czole.

– Muszą wezwać lekarza. Musisz iść do szpitala.

Wyjął dłoń z ust.

– Na miłość boską, nie wytrzymam tego dłużej. Mogą mnie zabić, nieważne. Żeby to tylko się skończyło.

Kyna wstała, podeszła do drzwi i uderzyła w nie obiema pięściami.

– Otwierać! Otwierać! Potrzebny jest lekarz! Musicie ściągnąć lekarza!

Zamilkła i nadstawiła uszu, ale słychać było tylko przytłumiony odgłos telewizora w drugim pokoju.

– Otwórzcie te cholerne drzwi, gnoje! – wrzasnęła i zadudniła z jeszcze większą siłą. – Potrzebny jest lekarz! Ten człowiek umiera! Otwórzcie te cholerne drzwi!

Czekała. Tym razem otworzyły się jakieś drzwi i dźwięk telewizora nagle zrobił się głośniejszy. W korytarzu dały się słyszeć kroki. Klucz się obrócił i drzwi pchnięto do środka; Kyna musiała się cofnąć. Za progiem stał Ger ze swoim zakrzywionym nosem i papierosem w ustach, bosy, w pogniecionej koszuli w paski i malinowych szortach. Jak zwykle nosił ogromne ciemne okulary i brudny biały kapelusz, mimo że znajdował się w pomieszczeniu.

– Co to, kurwa, za hałasy, dziewczyno? Hałasujesz jak stado świń w kojcu!

– Chodzi o Johna – powiedziała. – Potrzebuje lekarza, i to natychmiast. Spójrz na jego stopę. No, popatrz na nią! On umrze na zakażenie, jeśli nikt się tym nie zajmie.

Ger zmarszczył nos i spojrzał nad jej ramieniem.

– Nie muszę patrzeć, stąd ją czuję. Cuchnie gorzej niż cipka zdziry. Nie wiem, jak ty to wytrzymujesz. Ale chyba nie masz wyboru, co?

– Musisz zadzwonić po karetkę – oznajmiła Kyna.

– Tak, naprawdę? Zadzwonię po karetkę i co? Sanitariusze będą się pytali, co się stało z jego nogami i co on tu w ogóle robi, nie? A ty chyba nie będziesz trzymała buzi na kłódkę, co, Sidhe? Czy jak ci tam, kurwa, na imię.

Kyna złapała go za rękaw i próbowała wciągnąć do pokoju, żeby zobaczyć z bliska, jak bardzo zakażone są stopy Johna. Ale on wyrwał rękę.

– Spadaj, kurwa, dobra? Gównu mogę na to poradzić. Jak zadzwonię po karetkę, to sam zaraz będę jej potrzebował, nie myśl sobie. A ty pewnie będziesz następna.

– Przynieś mi chociaż miskę z gorącą wodą i coś do zabandażowania stóp. I może jakiś środek dezynfekujący, jodynę, cokolwiek. Nurofen, jeśli masz, albo aspirynę. Cokolwiek. Jego potwornie boli.

– Ty to masz czelność, wiesz? Udawała cichodajkę, a była tajniaczką. Węch mnie zawiódł, bo jeszcze w pubie powinienem wyczuć glinę. Ale pamiętaj, już mi wrócił. A tu cuchnie, że aż strach. Nie kituję, żal by mi cię było, gdybyś nie była gliniarą.

Kyna była bliska płaczu.

– Czy ty w ogóle nie masz serca? Popatrz, w jakim on jest stanie. Proszę cię tylko o trochę wody i środek dezynfekujący, i parę kawałków podartego prześcieradła do obandażowania stóp. Jeśli on umrze, dostaniesz wyrok co najmniej za spowodowanie śmierci.

– Jeśli on umrze, skarbie, nikt go nigdy nie znajdzie i nie będzie wiedział, co się z nim stało, i ciebie to też dotyczy. Dużo nie lubi zostawiać dowodów ani takich, co kłapią japami i opowiadają o tym, co zrobili.

– Proszę – rzuciła błagalnie Kyna.

Przez chwilę palił papierosa i zastanawiał się.

– No dobra – odezwał się w końcu. – Zobaczę, co mogę zrobić. Ale wiesz – zmierzył ją spojrzeniem od góry do dołu – może byś w zamian zrobiła coś dla mnie, jarzysz?

– Wszystko, co chcesz – odparła Kyna. – Przynieś mi tylko coś, żebym mogła mu obmyć stopy.

– Czyli jakby dajesz słowo?

Zamknęła oczy i skinęła głową. Nie wyobrażała sobie, by Gera stać było na coś gorszego niż to, co jej zrobił Quilty.

Gdy wyszedł, uklękła obok Johna i ujęła go za rękę. Drżał, ale zdołał zerknąć na nią dwa lub trzy razy.

– Katie... czy Katie o tym wie?

– Jestem pewna, że tak. Może nie wie dokładnie, gdzie jesteście, ale nas znajdzie. Wiesz, że tak będzie.

– A ty wiesz, gdzie jesteście?

– Niezupełnie. Ale jechaliśmy samochodem co najmniej trzy godziny i sądząc po ich akcencie, jesteście gdzieś na północ od granicy. Zapewne w południowym Armagh, bo właśnie stamtąd pochodzi Bobby Quilty.

– Matko święta, ale mnie boli. Nawet jeżeli nie wezwą lekarza, to muszą mieć jakieś środki przeciwbólowe.

– Poprosiłam go. Ale nie wiem, czy przyniesie.

– Zostawiłem ją – wyznał John.

– Katie? Tak, wiem.

– Mówiła ci dlaczego? Spodziewała się dziecka innego mężczyzny, a ja byłem zazdrosny. Małostkowość, kiedy się teraz na mnie spojrzy, co? Boli tak, że ledwo mogę myśleć, i trudno mi oczekiwać, że mnie uratuje.

– Straciła to dziecko.

– Wiem, słyszałem. Znam jednego technika z pracowni rentgenowskiej w służbie zdrowia. – John zacisnął zęby, jego twarz zastygła z bólu. Po chwili jednak nieco się rozluźniła. – To przychodzi falami. Przez moment jest lepiej, a zaraz potem jakby mnie kremowali na żywo, zaczynając od stóp.

Zacisnął znowu zęby i jęknął gardłowo. Potem odetchnął.

– Ona nie... Nie pozbyła się dziecka z mojego powodu, prawda?

– Nie – odparła Kyna. – Chciała je donosić, rozmawiałyśmy nawet o imionach. Chciała mu dać na imię Brendan, gdyby to był chłopczyk, a dziewczynce Cliona. Podobał jej się pomysł, by dać dziewczynce imię wróżki.

– Martwiłem się, że to z mojej winy.

– Więc chyba nie znasz jej za dobrze. Ona bierze na siebie całkowitą odpowiedzialność za wszystko, co robi, nawet jeśli to

jest coś złego. Nie, miała ostrą szarpaninę z jednym gnojem podczas próby aresztowania i została kopnięta. Jeszcze tego nie przeboleła, do dzisiaj.

John odwrócił głowę i spojrzał na Kynę zmrużonymi z bólu oczami.

– Mówisz tak, jakbyś znała ją lepiej niż ja.

Ścisnęła jego rękę i próbowała się uśmiechnąć.

– Ja ją kocham.

Usłyszeli chrobot klucza w drzwiach i Kyna wstała. Ger wszedł do pokoju z jednym z mężczyzn, którzy wnosili Johna na noszach do domu. Nieznajomy był nieogolony, miał szczupłą twarz z linią włosów na czole w kształcie litery V. Nosił ciemnoszary golf.

Ger niósł na ramieniu brudne białe prześcieradło z flaneli. Zwinął je i rzucił Kynie.

– Masz, nic lepszego na bandaże nie mogłem znaleźć.

– To jest brudne – powiedziała. – Rany jeszcze bardziej się zakażą.

– Hm, i dlatego przyniosłem środek odkażający – oznajmił Ger. Odwrócił się do swojego towarzysza, a ten podał mu niebieską plastikową butelkę z wybielaczem Domestos, która miała już zdjętą nakrętkę. Podszedł do tapczanu, na którym leżał John, i uniósł butelkę, jakby to był znicz olimpijski.

– Co ty robisz? – zapytała Kyna.

John spojrzał na niego z bólem i niedowierzaniem.

– Pierwsza pomoc, tak się to nazywa, nie? – odparł Ger i połał nierozcieńczonym wybielaczem odsłoniętą lewą stopę Johna.

Kyna usłyszała w życiu tylko jeden okrzyk bólu, który był bardziej przenikliwy i przejmujący: kiedy młoda kobieta rzuciła się pod pociąg na dworcu Heuston w Dublinie. John wygiął plecy w łuk, wpił palce w poduszki i kopał lewą nogą raz po raz, tak jakby chciał ją od siebie odrzucić. Ból pozbawił go panowania nad sobą.

Uklękła i gorączkowo próbowała zetrzeć wybielacz z poczerniałej, zasklepionej ropą jamy, w którą zamienił się

otwór wywiercony przez Chisela. Jednak za każdym razem, kiedy jej dotykała, ciałem Johna wstrząsał spazm i zaczynał dyszeć, jakby miał za sobą skrajnie wyczerpujący bieg. Wreszcie chwycił ją za rękę.

– Przestań, Kyna, przestań, nie dotykaj już!

– Ach więc Kyna? – odezwał się Ger. – Tak masz naprawdę na imię? Więc jednak nie Sidhe, co?

– Przynieś gorącej wody! – poleciała, wstając. – Przez twoją głupotę wywołałeś szok, mogłeś go zabić, ty pacanie!

– Jak mnie, kurwa, nazwałaś?! – Ger machnął jej przed twarzą butelką wybielacza. – A gdybym ci tak chlapnął prosto w oczy, panno cichociemna gliniaro?

– Przestań się zachowywać jak gnida, dobrze? I przynieś mi gorącej wody! – wrzasnęła. – Bo jeśli nie, to sama pójde i niech cię szlag trafi!

Zamachnął się ręką, w której trzymał butelkę. Zanim jednak zdążył oblać ją wybielaczem, okręciła się i kopnęła go w twarz, trafiając piętą prawej stopy w lewą kość policzkową z taką siłą, że jego głowa odskoczyła w bok. Ciemne okulary pękły, brudny biały kapelusz spadł z głowy. Zatoczył się do tyłu, robiąc nogami skomplikowany pląs; wypuścił butelkę z ręki i wybielacz rozlał się na nogawkę jego szortów. Ger prawie upadł, lecz ten drugi złapał go za ramię i Ger odzyskał równowagę.

Kyna zobaczyła, że jest prawie łysy, na głowie zostało mu kilka zmierzwionych kępek siwych włosów. I był ślepy na jedno oko. Prawe było całkowicie białe i sterczało z oczodołu niczym ugotowane na twardo jajko.

Schylił się po kapelusz i mocno wcisnął go sobie na bakier, jak gdyby chciał kogoś rozśmieszyć. Jego kompan podniósł okulary z podłogi i podał Gerowi, ale prawe szkielecko wyleciało, więc ten odrzucił je ze złością.

Ruszył w stronę Kyny, unosząc pięści. Stała spokojnie, lecz naprężona, z lekko ugiętymi kolanami i pięściami w górze; było oczywiste, że wcale się go nie boi, jeśli walka będzie prowadzona fair.

– Ger, nie próbuj – ostrzegła. – Nie warto. Niczego nie udowodnisz poza tym, że jesteś starszy, powolniejszy i bardziej ślepy. A ja mogę ci ostro dowalić, jeśli zechcę.

Myślał przez chwilę, po czym otworzył i zamknął usta, jakby chciał coś powiedzieć, lecz zrezygnował. Wolno opuścił pięści i zrobił krok w tył.

– Może masz rację, dziewczyno. Może i masz rację. Za cholere bym nie miał szans z tymi twoimi bajeranckimi sztukami walki, co? Te-kwa-kwo czy jak to się tam, kurwa, zwie.

– Więc mogę wreszcie dostać gorącej wody? – powiedziała Kyna.

– Tak, pewnie. Oczywiście. Jasne, że możesz. Grady, pod zlewem stoi plastikowa miska. Nalej do niej gorącej wody, chłopcze, i przynieś tu, tylko migiem.

Mężczyzna wyszedł, a Kyna uklękła obok Johna i ujęła go za rękę.

– John? Jak się czujesz?

Zamrugnął i obliznął wargi, jakby chciało mu się pić; był jednak ledwie przytomny i nie odpowiedział. Bardzo ostrożnie odwinęła ręcznik, który wciąż spowijał jego prawą stopę i zobaczyła, że ta jest zakażona jeszcze bardziej niż lewa. Od czubków palców do kostki była czarna jak węgiel i lśniła od cienkiej warstwy płynnej ropy przypominającej lakier.

Ger, który stał tuż za nią, aż gwizdnął.

– Jezu Chryste na kółkach! Temu gościowi trzeba będzie wymienić kawałki mięsa tu i ówdzie, jak na mój gust.

Jego kompan wrócił z drugim, młodszym, mężczyzną, który niósł niebieską plastikową miskę do połowy napełnioną parującą wodą. Postawił ją obok Kyny i uśmiechnął się. Miał jasne kręcone włosy z dużą ilością łupieżu i jaskrawoczerwone pryszczki na twarzy; nosił czerwoną czapkę baseballową, założoną tył na przód, i mocno zalatywał marychą.

– Dziękuję – powiedziała Kyna.

– Och, bardzo proszę. – Wstając, chwycił ją za lewą rękę i mocno ścisnął, a ten drugi złapał za prawą.

– Wy dranie! Puszczajcie! Puszczajcie mnie! – krzyknęła przenikliwie, usiłując się wyrwać, lecz tamci byli o wiele za silni i podciągnęli ją do góry. Podkurczyła nogi, żeby musieli ją opuścić, ale ważyła niespełna pięćdziesiąt kilo, więc bez trudu utrzymali ją w górze. Odwrócili ją twarzą do Gera i odgadła po jego minie, że nie przebaczył jej kopniaka w twarz i utraty okularów. Jego lewy policzek zaczerwienił się i obrzmiał, a zdrowe oko także zachodziło opuchlizną.

– Wiesz, co spotkało laleczkę, która poprzednio próbowała mnie walnąć? – spytał z uśmiechem. – Mówię „spróbowała”, bo ty jesteś jedyną laleczką, której się udało. Ale mimo że tylko próbowała, dostała takie manto, że własna matka nie mogła jej poznać, jak żeśmy ją wyrzucili przed domem. Nie kituję, słowo.

Kyna opuściła stopy na podłogę i wzięła głęboki oddech.

– Powiem ci coś, Ger. Nie minęło pół roku, jak dostałam postrzał w brzuch. Rana jeszcze się nie zagoiła. Spójrz, jeśli mi nie wierzysz.

Mimo że mężczyzna z linią włosów w kształcie litery V nadal trzymał jej rękę, zdołała unieść koszulkę i pokazać mu bliznę w kształcie swastyki, którą miała obok pępka.

– No dobra, laleczko, wierzę ci – powiedział Ger. – Ale co ma piernik do wiatraka?

– Jeśli mnie pobijesz, dostanę krwotoku wewnętrznego, nie powstrzymacie go i umrę. Ty pewnie masz to w nosie, ale Bobby Quilty nie. Jak myślisz, po co mu było tyle zachodu, żeby trzymać tu Johna i mnie jako zakładników? Jeżeli mnie zabijesz, on pewnie zabije ciebie, a nawet jeśli tego nie zrobi, ktoś znajdzie moje ciało, a ciebie dorwą za morderstwo.

Ger uśmiechnął się, ale chyba nie było mu do śmiechu.

– Dobrze gadasz, dziewczyno, chyba nikt, kurwa, nie wykręcił się od lania lepszą wymówką.

– Możesz to nazywać wymówką, ale wiesz, że to prawda. – Robiła odważną minę, lecz jej serce waliło o żebra tak mocno, że aż bolało, i poczuła, że ma wilgotne majtki.

Ger stanął bardzo blisko niej, tak że prawie dusił ją smród stęchłego tytoniu i alkoholu. Zawsze jej się marzyło, że umrze w ramionach kochającej kobiety, o zachodzie słońca, w sypialni wypełnionej jego gasnącym pomarańczowym blaskiem, a nie zatłuczona na śmierć w nędznej klitce przez jednookiego kryminalistę z chuchem jak trucizna.

– A więc bez bicia – powiedział Ger. Raptem chwycił ją jednak za ramiona i odwiódł głowę do tyłu. Przez chwilę myślała, że udzieli jej czegoś w rodzaju szyderczego błogosławieństwa, on jednak łupnął ją mocno czołem w twarz. Kość nosowa gruchnęła i z nozdrzy trysnęła krew; nogi ugięły się pod nią. Ci, którzy ją trzymali, pozwolili jej osunąć się na podłogę. Doznała wstrząśnienia mózgu, gałki oczu powędrowały w górę i wyglądały jak ślepe oko Gera.

John również leżał nieprzytomny. Ger spojrzał najpierw na niego, a potem na Kynę.

– No. Niech mają, kurwa, nauczkę. Nie wkurzać Gera Carmody’ego, bo tak się to kończy. Grady, chłopcze, znajdź mi moje patrzyły, co? I to szkiełko, co wyleciało. Spróbuj, może ci się uda złożyć je do kupy.

Gdy wyszedł, Grady i jego młody pryszczaty kompan przepatrywali podłogę w poszukiwaniu ciemnych okularów i brakującego szkła, chichocząc przy tym jak dzieci; znalazłszy je, wyszli z pokoju i zamknęli za sobą drzwi.

Minęło ponad dwadzieścia minut, nim Kynie wróciła orientacja. Widziała podwójnie, a głowa bolała ją tak potwornie, że ledwo mogła myśleć. Z trudem oddychała, więc uniosła rękę do twarzy i poczuła krew, która zaschła jej wokół ust i brody na podobieństwo maski Hannibala Lectera. Bardzo ostrożnie dotknęła grzbietu nosa i wciągnęła powietrze, czując, że pęknięta kość chrupnęła pod palcami.

– Matko – szepnęła do siebie i usiadła niezgrabnie.

John leżał wciąż na tapczanie z zamkniętymi oczami; jego twarz była szara jak azbest, ale słyhać było ciche chrapanie.

Zachciało jej się płakać, lecz zagryzła mocno dolną wargę, gdyż płacz spowodowałby zbyt wielki ból. Nigdy w życiu nie czuła się tak porzucona i odarta z nadziei.

Rozdział 31

Deszcz nieco zelżał, kiedy szli z Barneyem na spacer do przystani Carrigaloe Rushbrooke. Później, gdy wracali, wiał chłodny suchy wiatr i na rzece błyszcząły światła terminalu promowego. Katie od wielu dni nie czuła takiego spokoju.

W głębi jej świadomości nadal czaił się lęk o Kynę i Johna, lecz zdawała sobie sprawę, że Alan ma słuszność. Dopóki oboje pozostawali przy życiu, Bobby Quilty miał gwarancję, że Garda będzie patrzyła przez palce na jego przemytniczy biznes i nie będzie próbowała go powiązać z zamordowaniem detektywa Barry'ego i Darragha Murphy'ego.

Gdy doszli do domu, Katie znów zobaczyła, że zasłona w sąsiednim domu się porusza; Jenny Tierney wyjrzała przez okno i Katie pokiwała jej palcem.

– Wścibska sąsiadka – powiedziała do Alana, otwierając drzwi.
– Ogólnie w porządku, chętna do pomocy, trzeba jej to przyznać. Daje Barneyowi jeść i wyprowadza go na spacer, kiedy późno wracam. Ale lubi być na bieżąco ze wszystkim, co się dzieje.

– Konam z głodu – rzucił Alan, podążając za nią do kuchni. – Od śniadania, na które zjadłem tylko tosta, nie miałem nic w ustach.

– Chcesz jeszcze jedno piwo? – zaproponowała Katie. – Później pokażę ci, gdzie będziesz spał.

Napełniła mu szklanę, a sobie naląła drugą wódkę i zaprowadziła go do wolnego pokoju, który kiedyś był pokojem dziecięcym. Odnowiła go przed niespełna trzema miesiącami, więc nie przypominał już tego, w którym zmarł w kołysce jej mały Seamus. Stało w nim nowe podwójne łóżko, ściany były

pomalowane na kolor kremowy i wisały na nich cztery makatki z różnymi sentencjami.

Alan przeczytał jedną.

– O, ta mi się podoba: *Trzy są rzeczy, których nie da się cofnąć... strzała posłana w kierunku celu... umówiona godzina, która nie mogła czekać... słowo przestrogi za późno wypowiedziane.* Jakie to prawdziwe!

Wbrew sobie, mimo że pokój wyglądał zupełnie inaczej, Katie przypomniała sobie tamten poranek: wchodzi i widzi Seamusa, który leży w łóżeczku zimny, z wilgotnymi ustami i biały jak wosk, a jego mały niebieski miś spoczywa uśmiechnięty tuż obok niego.

Alan spojrzał na nią i ściągnął brwi.

– Czyżbym powiedział coś niestosownego?

– Nie, skąd. – Otworzyła szafę wnękową. – O, tu jest szlafrok, możesz z niego skorzystać.

Był to japoński szlafrok Johna z czarnego jedwabiu, ozdobiony na plecach wizerunkiem *tsuru*, lecącego żurawia. Kupiła mu go, ponieważ żurawie łączą się w pary na całe życie i Japończycy uważają je za symbol wierności.

– Dzięki – powiedział Alan i położył szlafrok na łóżku.

Cała ta scena była w klimacie Jamesa Bonda; Katie zauważyła, że Alana korci, żeby jakoś ją skomentować, może nawet w żartobliwy sposób, ale oparł się pokusie.



Zjedli w kuchni lasagne z sałatą i rozmawiali o Quiltym, o obciążających dowodach, które można mu przedstawić. Alan był zdania, że nawet jeśli nie znajdą nikogo, kto odważy się zeznawać przeciw niemu w sądzie, może uda się przekupić kogoś z jego gangu, by przekazał policji dowody rzeczowe wystarczające do postawienia zarzutów i utrzymania ich przed sądem.

– Wątpię, czy uda nam się dopaść go za podżeganie do morderstwa, ale za porwanie i więzienie... Myślę, że tu mamy

szansę. W końcu przetrzymuje w swoim własnym domu Kynę i Johna.

– Pod warunkiem że udowodnimy, że to jego dom.

– No tak, to jest konieczne. Ale znam w Belfaście prawników, którzy mogą nam pomóc rozwikłać kwestię własności.

Kancelaria Wellings and McCormack przy Victoria Street.

Zaliczyłem ich kiedyś do drobniejszych łotrów i znam sporo ich ciemnych sprawek, więc jestem raczej pewny, że się zgodzą.

Po kolacji poszli do salonu, żeby wypić drinka przed snem; rozmawiali o rodzinach i o tym, jak im się układało w życiu jako funkcjonariuszom policji. Barney usiadł obok Katie i położył łeb na jej kolanach, żeby głaskała go po uszach. Zauważyła, że Alan stanowi lepsze towarzystwo niż jej zmarły mąż Paul. Kiedy sytuacja ekonomiczna Irlandii się pogorszyła, Paul często wchodził w nie do końca legalne układy biznesowe w branży budowlanej i nigdy nie miała pewności, że mówi jej całą prawdę o swoich interesach. Rozmawiała jej się z Alanem łatwiej nawet niż z Johnem, który zawsze był bardzo zazdrosny – nie tylko o mężczyzn, lecz także o jej karierę zawodową. Dała mu jasno do zrozumienia, że Garda Siochána to jej powołanie, że nie może z niego zrezygnować i wyjechać z nim do Ameryki ani gdziekolwiek indziej, i bardzo miał jej to za złe.

– Czy ja czegoś nie zrozumiałem?! – krzyknął na nią kiedyś w środku sprzeczki. – Należysz do mnie, tak? A może nie?

– Jeśli nie liczyć Pana Boga, istnieje tylko jedna osoba, do której należę – odparowała Katie. – Ja nią jestem.

Z Alanem rozmawiała jej się swobodnie, bo kiedyś był detektywem policyjnym, więc nie musiała mu tłumaczyć, jak stresująca jest ta praca; nie musiała także opowiadać, ile niechęci doświadczyła od kolegów, kiedy dostawała awans, podczas gdy oni byli pomijani. Alan rozumiał policyjny regulamin, wiedział, co wolno zrobić w imieniu prawa, a czego nie wolno. Wiedział również, jak naginać przepisy, które dowody były fabrykowane, w jaki sposób i dlaczego. Spędzili na rozmowie prawie cztery godziny, zadała mu dziesiątki pytań i miała pewność, że jeśli ktoś

jest w stanie pomóc jej wyeliminować Quilty'ego z biznesu oraz ocalić Kynę i Johna, to właśnie Alan.

Może mówił prawdę, kiedy opowiadał, dlaczego zmuszono go do odejścia z północnoirlandzkiej policji, i o tym, jak Bobby Quilty go wrobił. Z drugiej jednak strony, nie mogła wykluczyć, że był wplątany w handel narkotykami. Nie była w stanie tego sprawdzić, ale bez względu na to, co kiedyś zrobił, teraz go potrzebowała.

Tuż po północy poszedł wziąć prysznic, a ona oglądała telewizję przy ściszym dźwięku. Wszedł do salonu opatulony w szlafrok Johna; jego szpakowate włosy były mokre i sterczały na wszystkie strony.

– W takim razie powiem dobranoc. I wielkie dzięki, że pozwoliłaś mi u siebie przemocować.

Katie wstała i podeszła, a Alan cmoknął ją w policzek. Nie pachniał już pieprzem i cynamonem, lecz jej brzoskwiniowym żelem do kąpieli.

– Uratujemy twojego Johna i twoją Kynę – dodał z krzepiącym uśmiechem. – Śpij dobrze, zobaczymy się rano. Zrobię ci na śniadanie moje słynne jajko po ulstersku, jeśli chcesz. Masz tartą bułkę?



Długo trwało, nim zasnęła. Wiatr nasilił się jeszcze bardziej, słyszała grzechotanie obrotowego wieszaka do suszenia bielizny na podwórzu. Nie mogła przestać myśleć o Johnie, o tym, co napisała Kyna – że jego stopy są przyśrubowane do łóżka – i o niej. Przecież nie wydobrzała w pełni po postrzale. Pocisk tak poszarpał jelito cienkie dziewczyny, że trzeba było wyciąć z niego ponad siedemdziesiąt centymetrów.

Trzy są rzeczy, których nie da się cofnąć, pomyślała; jednak sentencja wyszyta na makatce ani trochę nie umniejszyła jej poczucia odpowiedzialności za to, co się stało. John i Kyna byli więzieni z jej powodu, a ona nie mogła odwrócić biegu czasu.

Przyśniło jej się, że jest w domu ojca w Monkstown po drugiej stronie rzeki. Był to duży, pomalowany na zielono wiktoriański

dom z ogrodem, który już dawno temu całkiem zarósł zielskiem. W środku było posępnie, zimno i pusto, nigdzie nie było ani śladu ojca. Ogień w kominku wygasł, została jedynie kupka popiołu.

Otworzyła frontowe drzwi i już miała wyjść, kiedy usłyszała szept na piętrze, jakby ktoś odmawiał modlitwę. Podeszła do schodów i spojrzała w górę. Było tam ciemno, więc przeraziła ją myśl, co może zobaczyć, kiedy wejdzie po schodach. Szept nie ustawał; wiedziała, że nie może odejść, dopóki się nie dowie, kto się modli.

„Tato?! – zawołała. – Tato, czy to ty?!”

Nikt nie odpowiedział, słychać było tylko szept. Niechętnie ruszyła schodami w górę. Gdy stawiała jeden krok, zdawało się jej, że przybywają dwa stopnie, miała więc wrażenie, że wejście na górę trwało godzinami. Pokoje były zamknięte poza jednym, w którym poruszyła się ubrana na biało postać. Szept zamilkł i słyszała tylko ciche, lecz uporczywe grzechotanie.

Przepełnęła nad podłogą i przez otwarte drzwi. Wewnątrz panowała nikła srebrzysta poświata, jakby wszystko było radioaktywne. Obok okna stała zakonnica w białej szacie, z twarzą ukrytą za welonem. Modliła się – to paciorki jej różańca grzechotały.

Na środku pokoju stały obok siebie dwa jednoosobowe łóżka, na każdym spoczywały zwłoki okryte białym prześcieradłem. Katie nie musiała podchodzić, by wiedzieć, czyje to ciała. Ze strachu ścisnęło ją w piersi, chciała się odwrócić i uciec. Zawsze jednak okazywało się, że jest zwrócona w tę samą stronę i nie mogła znaleźć drzwi.

Krążyła i krążyła, ale drzwi zawsze były za jej plecami, a ciała przed nią. Zakonnica sunęła ku niej z grzechoczącym różańcem, Katie wiedziała, że za chwilę zdejmie prześcieradła i pokaże jej, kto pod nimi leży. A ona nie chciała ich widzieć. Nie chciała ujrzeć dowodu ich śmierci.

Trzy są rzeczy, których nie da się cofnąć, wyszeptała zakonnica i wyciągnęła rękę do pierwszego prześcieradła.

Katie krzyknęła i znów się odwróciła, i tym razem zobaczyła przed sobą drzwi. Tylko że zanim zdążyła do nich dojść, siostra chwyciła ją za kostki i owinęła je szkaplerzem, wiele razy, tak że Katie nie mogła poruszyć nogami.

„Puszczaj! – zawołała. – Puszczaj!” – Krzyk był tak głośny, że wybudził ją ze snu.

Nie była w domu ojca. Leżała we własnym łóżku, rozgrzana i zalana łzami, zaplątana w kołdrę. Poduszka spadła na podłogę, patchworkowa narzuta także zsunęła się do połowy. Grzechotały nie paciorki różańca, lecz potrząsana wiatrem suszarka do bielizny.

Usłyszała niepewne pukanie do drzwi.

– Katie? – odezwał się Alan. – Katie, co się stało? Wszystko gra?

– Tak, nic mi nie jest! – zawołała. – Miałam zły sen. Możesz wejść, jeśli chcesz.

Zapaliła lampkę nocną obok łóżka. Alan wszedł ubrany w szlafrok Johna, ściśle owinięty paskiem.

– O rany! To musiał być jakiś straszny koszmar, tak krzyczałaś. Myślałem, że ktoś się wdarł do domu i cię morduje, poważnie.

Katie starła łzy narzutą, podniosła z podłogi poduszkę i poprawiła kołdrę.

– Śnił mi się John i Kyna. Oboje nie żyli.

Alan usiadł na brzegu łóżka i ujął jej rękę.

– Rozumiem, że możesz mieć poczucie winy, ale to nie ty ich wprowadziłaś, tylko Quilty.

– Ale nie wprowadziłby ich, gdyby nie ja, prawda?

– Więc wyrzucasz sobie, że przynosisz ludziom pecha, tak?

– A nie powinnam? Przecież tak jest.

Pokręcił głową.

– Z tego, co mi mówiłaś, zbliżyliście się z Johnem między innymi dlatego, że ocaliłaś mu życie. I mów, co chcesz, ale Kyna jest gliną, a gliny zdają sobie sprawę, że wybrali ryzykowną robotę. To, że tych dwoje jeszcze żyje, jest twoją zasługą.

Milczała. Alan odgarnął jej z czoła kosmyk wilgotnych włosów.

– No już dobrze, to był tylko zły sen. Miewałem gorsze, zwłaszcza w czasie Rozruchów². Którejś nocy przyśniło mi się, że Provosi podłożyli bombę w moim aucie i urwało mi obie nogi. Przynieść ci coś? Herbaty może?

– Nie, wszystko jest w najlepszym porządku. Muszę się tylko wyspać.

Alan wstał.

– Dobra. Jak znowu najdą cię takie sny, krzyknij tylko, a ja przyjdę i je pogonię.

– Zostań – powiedziała, zanim doszedł do drzwi.

Staął, ale się nie odwrócił. Katie odsunęła kołdrę.

– Zostań, proszę cię. Naprawdę potrzebuję, żeby mnie ktoś przytulił.

Alan się odwrócił. Trudno było coś odgadnąć z jego twarzy. Wyrażała powątpiewanie, ale i zaciekawienie; uniósł lekko brwi, w jego oczach pojawiły się iskierki.

– Myślisz, że to dobry pomysł?

– Chyba nie muszę składać wniosku do sądu, co? Chcę tylko, żebyś mnie przytulił i pomógł zasnąć.

Nie wiedziała, do czego to może doprowadzić. Zapewne do niczego, ale najzwyczajniej nie chciała gasić światła i leżeć samotnie przez resztę nocy, bojąc się zasnąć.

Alan wahał się jeszcze ułamek sekundy i już miała mu powiedzieć, żeby o wszystkim zapomniał. Podszedł jednak, a ona zrobiła mu miejsce na łóżku. Położył się i leżeli twarzą w twarz, patrząc sobie w oczy.

– Nie spodziewałem się tego, kiedy rano wsiadałem do pociągu – oznajmił.

– Ani ja. – Dotknęła jego policzka z krótkim świeżym zarostem w srebrzystym kolorze. Było w tym mężczyźnie coś, co dawało jej poczucie pewności i bezpieczeństwa. Nie próbował jej podrywać, tak jak to czynili inni. Nawet z nią nie flirtował. Był przystojny w dojrzały sposób; i pewny siebie. Nie musiał zerkać

raz po raz w lusterko, żeby się przekonać, że nadal jest atrakcyjny.

– Muszę ci powiedzieć, że uważam cię za bardzo pociągającą kobietę. Facet mógłby zanurzyć się w tych twoich zielonych oczach, pożeglować i nigdy nie wrócić.

– Myślałam, że jesteś gliną, a nie poetą – zakpiła.

Alan ułożył się wygodniej i otoczył ją ramionami.

– Wybacz, trochę się spociłam.

– O Jezus. – Uśmiechnął się. – Tak szybko na ciebie podziałałam?

Patrzyli na siebie z bliska, końce ich nosów prawie się dotykały. Pocałował ją w czoło, w powieki, w policzki, a na koniec w usta. Ona najpierw cmoknęła go po przyjacielsku, mrużąc lekko oczy, a potem całowała coraz mocniej i dłużej.

Poczuła, że jego członek unosi się pod cienkim jedwabnym materiałem szlafroka, który nosił kiedyś John. Wtedy przestała całować i dotknęła palcem jego ust.

– A teraz muszę się przespać. Jutro będzie długi trudny dzień, a nie chcę wyglądać jak skonana.

Dała mu jeszcze jednego całusa, po czym odwróciła się do niego plecami; sięgnęła za siebie ręką, ujęła nadgarstek Alana i położyła jego rękę na swoim brzuchu. Jego penis uciskał ją mocno od tyłu, lecz Alan nie uniósł jej koszuli i w jakiś sposób czuła, że jest między nimi zrozumienie. Sztywność jego penisa odebrała jako komplement; nie próbował ukrywać, że go podnieciła, ale był gotów czekać, aż ona będzie gotowa.

Zestresowana i wyczerpana, poprosiła go o pociechę, a on jej tego nie odmówił.

Zasnęła po kilku minutach i nie miała więcej koszmarów. Tuż po piątej obudziło ją trąbienie syreny statku i przez chwilę zdawało jej się, że to John leży obok. Odwróciwszy głowę, ujrzała twarz Alana. Poczuła zarazem żal i ulgę. Miał zamknięte oczy, ale widziała, że gałki wędrują to w jedną, to w drugą stronę – coś mu się śniło. Może śni o mnie, pomyślała. Przysunęła się bliżej, wzięła jego lewą rękę i zamknęła ją na swojej piersi.

Rozdział 32

Celia dzwoniła trzy razy i nikt nie otwierał. Za trzecim razem nacisnęła dzwonek i trzymała ponad piętnaście sekund. A i tak się nie doczekała.

Stanęła na palcach, żeby zerknąć przez okno salonu, ale w środku nie było ani Órli, ani żadnego z jej dzieci.

Dziwne, bo przecież dzieci miały wakacje, a była dopiero ósma rano; Órła nie zabierała ich nigdzie o tak wczesnej porze. A nawet gdyby dokądś się wybrali, to w zeszłym tygodniu na pewno uprzedziłaby ją o swoich planach. Kiedy Celia kończyła sprzątać dom, zawsze siadały razem przy herbacie i ucinały sobie pogawędkę.

Jeszcze dziwniejsze było to, że oba samochody Dohertych – audi Kevina i jasnoniebieski ford focus Órli – stały przed domem. Kevin zawsze jeździł samochodem do pracy, a jeżeli Órła wzięła gdzieś dzieci, musiała pójść pieszo, chyba że przyjechał po nich ktoś ze znajomych.

Celia miała jednak własny klucz, więc jeśli Doherty'owie dokądś wyszli, mogła zabrać się do odkurzenia. Sprzątała u nich od ponad pięciu lat i prawie należała już do rodziny.

Otworzyła drzwi i weszła. W domu było cicho, ale Celię od razu uderzył zapach. Był ledwie wyczuwalny, przypominał woń fajerwerków, a w tym domu nigdy tak nie pachniało. Może Kevin zapalił sztuczne ognie, żeby uczcić początek wakacji.

Otworzyła szafę pod schodami i wyjęła swoją podomkę w kwiaty. Podnosząc odkurzacz, znieruchomiała i zaczęła nasłuchiwać; jeszcze raz pociągnęła nosem i rozejrzała się. Nie była przyzwyczajona do tego, że w tym domu panuje cisza, bo

Órła zawsze miała włączony telewizor, obojętnie, co akurat nadawano: seriale *Shortland Street*, *The Doctors* czy też serwis informacyjny RTÉ. Miała przedziwne wrażenie, że coś jest nie tak, jak być powinno.

Kiedy zobaczyła kartkę przypiętą do wewnętrznej strony drzwi, podeszła i przyjrzała się. Była to lista spraw do załatwienia, sporządzona przez Órlę: odebrać pranie, kupić kartki urodzinowe, zapłacić rachunki. Tylko że takie listy zawsze Órła przyklejała do lodówki. Zawsze. Dlaczego nagle postanowiła umieścić ją w przedpokoju?

Celia weszła do salonu i tu również wyczuła coś dziwnego. Dwa fotele stały na dywanie obok siebie pod takim kątem, że osoby na nich siedzące musiały być zwrócone do siebie plecami. Poza tym pedantyczna pani domu nigdy nie stawiała foteli na afrykańskim dywanie.

Patrząc na swoje odbicie w lustrze nad kominkiem i gryząc paznokiec, Celia zaczęła się zastanawiać. Mogła posprzątać, a potem wyjść, ale gdzie zniknęli państwo Doherty? Órła nawet nie zostawiła jej kartki z informacją, kiedy wrócić.

Celia wyszła do przedpokoju i zdjęła kartkę z drzwi. Wtedy zauważyła na nich nierówne pęknięcie i choć nie wiedziała, co mogło je spowodować, od razu się domyśliła, że jej pracodawcy wpadli w jakieś tarapaty. Może się pokłócili i sprzeczka zamieniła się w bójkę. Z tego, co Órła opowiadała jej przy herbacie i ciastkach, wynikało, że w jej małżeństwie nie zawsze dobrze się układało. Może odeszła razem z dziećmi, a Kevin po prostu pojechał do pracy.

Ale dlaczego żadne z nich nie wzięło samochodu?

Poszła do domu pani Doody i zapukała. Długo trwało, zanim gospodyni podeszła do drzwi; Celia przestraszyła się, że i sąsiadka Dohertych mogła zniknąć. Wreszcie jednak otworzyła, trzymając na rękach czarno-białego sznaucera miniaturowego. Na widok nieznamomej pies od razu zaszczekał.

– Uspokoisz ty się, Corky! – skarciła go pani Doody. Siwe włosy upięła w ciasny kok i włożyła jaskrawą letnią sukienkę

w ogromne żółte chryzantemy. Jej głowa była dziwnie malutka, a twarz wąska i pomarszczona, przez co okulary w czarnych oprawkach wydawały się ogromne.

– Przepraszam za kłopot, pani Doody – odezwała się Celia. – Nie widziała pani dzisiaj przypadkiem Kevina albo Órli?

Kobieta zastanowiła się i pokręciła głową.

– Nie, dziewczyno, nie dzisiaj. Órli nie widziałam od wczoraj rana. Przyszła pożyczyć brązowego cukru na barmbrack. Wczoraj po południu zauważyłam przez okno, jak Kevin przywoził dzieci do domu, ale na tym koniec. Wieczorem było u nich bardzo cichutko, muszę ci powiedzieć, a dzisiaj nie było słyhać ani piśnięcia. Przeważnie słyszę ich telewizor, poza tym dzieciaki latają po schodach z góry na dół.

– Hm... teraz nie ma ich w domu, ale proszę spojrzeć, samochody stoją. I dom... No nie wiem, niech pani sama przyjdzie i zobaczy. Coś dziwnego się tam stało, jestem pewna.

– Znajdę tylko kapcie i zaraz przyjdę.

Zniknęła na parę chwil i wróciła ze sznaucerem na rękach; ten znów zaszczekał na Celię.

– Zamknij się, Corky! Och, kiedy się je kupuje, to słyszy pani, jakie to miłe maluchy, ale nikt nie mówi, że ujadają za całe stado.

Obie weszły do domu Dohertych. Pani Doody i jej pies zaczęli węszyć podejrzliwie, gdy tylko znaleźli się w przedpokoju. Corky szczeknął, po czym z głębi jego gardła wydobył się dziwaczny piskliwy odgłos. Wiercił się i kręcił na rękach swojej pani, toteż musiała go postawić na podłodze. Podreptał prosto do salonu.

– Hm, masz rację, niesamowicie to jakoś wygląda – przyznała pani Doody. – Nie wiem, co to za zapach, ale w tym domu zwykle tak nie pachnie, to na pewno. Órli zawsze pryska wszędzie sprayem kwiatowym.

Celia pokazała jej pęknięty panel w drzwiach. Starsza pani nieco uniosła ogromne okulary.

– No, no. To była kula, bez dwóch zdań.

– Kula? Serio?

– Wujek prowadził kiedyś bar Hickey’s w Bandon, na zapleczu było pomieszczenie z boazerią, którą Brytyjczycy przestrelili w czasie wojny. Ślady wyglądały kapka w kapkę tak samo jak te, mówię ci.

– Matko Boska – jęknęła Celia. – Wiem, że Kevin i Órla czasem skakali sobie do gardeł, ale żeby do siebie strzelali. Przecież nie słyszała pani wystrzałów, prawda?

– Nie słyszałam. Ale nic dobrego się tutaj nie zdarzyło, to się widzi i czuje. – Pani Doody wyciągnęła rękę i dotknęła szczeliny w drzwiach. – Corky! Na wszystkie świętości, przestaniesz ty wreszcie!

Pies zaczął znów ujadać wysokim, monotonnym głosem; słychać było, że drapie pazurami o podłogę.

– A co ty znowu wyprawiasz? Corky!

Kobiety weszły do salonu i zobaczyły, że sznaucer podwinął z jednej strony czerwony dywan i drapie zawzięcie deski. Właścicielka wzięła go na ręce i usiłowała zamknąć mu pysk, on jednak wywinął jej się i zeskoczył na podłogę.

Celia uklękła na jedno kolano i przesunęła dłonią po deskach.

– Proszę spojrzeć. Tu są ślady, jakby ktoś je podnosił. O, są dziurki, a gwoździe wbito z powrotem w innych miejscach.

Żadna z kobiet nie mogła powstrzymać psa, który drapał, ujadając, i przyciskał nos do szczelin; węszył mocno, co jakiś czas unosząc nagle łeb.

– Tam coś jest – stwierdziła pani Doody. – On to czuje. To nie jest posokowiec, ale zawsze wywęszy, jak przyniosę w siatce podroby ze sklepu.

– O Boże – odezwała się Celia. – Nie myśli pani...? Oglądała pani ten program w telewizji parę dni temu... o tej rodzinie w Blarney, którą znaleźli pogrzebaną pod podłogą? Ojciec, matka i dzieci. I psy nawet.

– No tak, oglądałam. W „Echu” też o nich pisali. Ale to się stało w latach dwudziestych. Jezu, przecież to było, zanim się urodziłam!

– Wiem. Ale gdzie są Doherty’owie?

– Może się pokłócili, tak jak mówiłaś. – W głosie pani Doody wyraźnie słychać było lęk. – Ale co tam jest...? Pewnie gołąb jakiś utknął, nie sądzisz? Albo kot... szczur może.

Celia po chwili wahania przyklękła i powąchała deski. Natychmiast się wyprostowała i zakryła usta dłonią.

– Tak, coś czuję. Coś jakby słodkiego. Słodkiego, ale zepsutego, rozumie pani? Jakby kupiło się w sklepie kurczaka... nieświeżego.

– Masz numer komórki Órli? – zapytała pani Doody. – Można do niej zadzwonić. Nawet jeśli pokłóciła się z Kevinem, to przecież jest pierwszy dzień wakacji, prawda? Może zwyczajnie poszła z dziećmi do miasta, żeby im kupić letnie ubrania.

Celia wyszła do przedpokoju i wyjęła z torebki telefon komórkowy. Wybrała numer Órli i czekała.

Po chwili odezwał się dzwonek, przytłumiony, ale nie było wątpliwości, skąd dobiega: spod desek podłogowych. Nawet Corky przestał szczekać i nadstawił uszu.

– Dzwon na policję – rzuciła pani Doody. Zrobiła dwa kroki do tyłu i przeżegnała się.

Rozdział 33

Po przebudzeniu otworzyła oczy i wyciągnęła rękę. Alana już nie było.

Leżała chwilę i patrzyła w stronę okna. Wiatr, który wiał prawie przez całą noc, teraz zamarł i na dworze było całkiem widno, chociaż nie słonecznie. Nie słyszała jednak deszczu, co należało uznać za błogosławieństwo.

Pomyślała o Alanie. Nie żałowała, że zaprosiła go do łóżka; potrzebowała pociechy i otrzymała ją od niego. A przy tym potrafił utrzymać się w ryzach. Nie zostali kochankami, może nigdy nimi nie będą, lecz byli sobie tak bliscy, jak może być blisko dwoje znajomych.

Uniosła głowę nad poduszkę i spojrzała na zegar. Było już prawie dziesięć po ósmej; od miesięcy tak długo nie spała; czuła się znakomicie. Na Anglesea miała się stawić dopiero w porze lunchu i spotkać się z zastępcą komendanta głównego O'Reillym oraz komendantem MacCostagáinem; trzeba było ustalić strategię postępowania wobec Quilty'ego i innych przemytników.

Jeszcze się nie zastanawiała, jak im wyjaśni, dlaczego dochodzenie w sprawie zabójstw detektywa Barry'ego i Darragha Murphy'ego tak bardzo się ślimaczy. Zapewne powie, że po fiasku operacji Trójzęb nalegała, by każdy dowód świadczący przeciwko Quilty'emu sprawdzano po trzykroć: odciski palców, próbki DNA, zeznania świadków, materiały z podsłuchów telefonicznych, wszystko.

Zamknęła na kilka sekund oczy, ale stuknęły drzwi sypialni i musiała unieść powieki. Wszedł Alan; wciąż miał na sobie czarny jedwabny szlafrok Johna. Niósł dwa kubki, na jednym był

portret papieża Jana Pawła II, na drugim zaś znak Garda Siochána.

– No super, obudziłaś się! – powiedział z uśmiechem. – Zrobiłem kawy. Domyślam się, że lubisz czarną bez cukru.

– Więc aż tak dobrze mnie nie znasz – odparła Katie, siadając. – Jedna płaska łyżeczka demerary. Jest w brązowym słoiku obok mikrofalówki.

– Pani życzenie jest dla mnie rozkazem, detektyw nadkomisarz. W końcu jesteś wyższa stopniem.

Postawił kubek na stoliku nocnym i poszedł do kuchni. Wrócił, mieszając kawę, i usiadł na brzegu łóżka.

– Wzięłaś sobie papieski kubek – zauważyła Katie.

– Tylko dlatego, że nie masz kubka z arcybiskupem Armagh. Ale nie sądzę, by Bóg cisnął we mnie piorunem za to, że się napiję z katolickiego naczynia. Ostrożnie, jest jeszcze bardzo gorąca.

– Nie zamierzałam jej pić od razu. Nie chcę mieć kawowego oddechu, kiedy mnie będziesz całował.

Alan popatrzył na nią bardzo uważnie. To była chwila, w której mógł odmówić, bo sytuacja robiła się zbyt skomplikowana. Lecz Katie mówiła mu, że go potrzebuje, przynajmniej na razie, lub kogoś takiego jak on. Kogoś, kto będzie na nią czekał w domu na koniec każdego dnia, które zamieniały się w coraz gorsze katastrofy. Kogoś, kto rozumie, z jak wielkim napięciem musi się zmagać, i kto przygarnie ją w środku nocy.

Nachylił się i pocałował ją. Potem jeszcze raz, a ona odwzajemniła pocałunek. Odsunęła się, robiąc mu miejsce na łóżku, i zrzuciła z siebie kołdrę. Podniosła skrzyżowane ręce i zdjęła białą koszulę nocną z krótkimi rękawami. Jej duże, zwłaszcza jak na drobną kobietę, piersi zakołysały się lekko, kiedy unosiła koszulę nad głowę.

Alan wstał, rozwiązał pasek szlafroka, zdjął go i cisnął na podłogę. Miał szerokie barki i był dobrze umięśniony jak na pięćdziesięcioparolatka, choć jego brzuch był lekko zaokrąglony. Włosy na klatce piersiowej były siwe tak jak te na głowie;

układały się w kształt litery V i przypominały szare obłoki. Włosy łonowe także miał siwe i kręcone.

Ułożył się powoli na łóżku obok Katie. Jego członek był już sztywny, a pomarszczona skóra na jądrach napięła się. Katie ujęła penisa w dłoń i przesunęła opuszką kciuka ku górze. Był duży i bardzo twardy; gdy zaczęła ścisnąć go mocniej, żołądź przybrała ciemny śliwkowy kolor.

Alan odchrząknął.

– Masz prezerwatywy?

– Łykam pigułki – odparła Katie.

– Lepiej się zabezpieczyć. Nie chcę odprawiać kolejnego dzieciaka do szkoły.

Brała pigułki od czasu, gdy przypadkowo zaszła w ciążę z byłym sąsiadem, który zaklinał się na swoje życie, że ma zrobioną wazektomię. Nie przypuszczała, że prędko znajdzie innego partnera seksualnego, ale myśl o następnej nieplanowanej ciąży napełniała ją trwogą, aborcji zaś nigdy nie brała pod uwagę. Jej matka zmarła po urodzeniu ostatniej siostry Katie. Ostrzegano ją, że mogą być komplikacje i że powinna przerwać ciążę, ale odmówiła. Tylko Bóg daje życie i tylko Bóg może je odebrać.

Alan pocałował ją znowu w usta, a potem w szyję; ujął jej pierś i pieścił, delikatnie ściskając palcami sutek, aż zeszywniał. Poczula, że jego członek wilgotnieje, więc ułożyła się na poduszce i rozchyliła uda. Z cichym wilgotnym plaśnięciem, podobnym do odgłosu najdelikatniejszego pocałunku, jej wilgotne wargi się rozwarły.

– Jesteś taka piękna, tak piękna – wydyszał Alan. Przesunął lekko palcami po jej boku aż do biodra i Katie zadrżała. Potem wsunął palec między jej uda i pogładził lechtaczkę tak delikatnie, że ledwo to poczuła.

Trzymając jego członka, wprowadziła go sobie między nogi. Alan podniecał ją ruchami palców, doprowadzał ją niemal do obłędu, ale chciała czuć go w sobie jak najgłębiej.

Wszedł w nią do końca i jęknęła z rozkoszy. Wydawał się ogromny, jakby był dla niej za duży, więc rozłożyła szeroko nogi i poczuła dotyk jego jąder. Koniuszek żołądźci dotknął szyjki macicy, Katie drgnęła i znowu zajęczała.

Alan zachowywał się w łóżku zupełnie inaczej niż John, który był zazwyczaj zmysłowy i powolny, senny nieomal, a czasem nachalny – po alkoholu albo kiedy długo się nie kochali. Alan był silny i bezpośredni, rozważny i ciężki; wciskał się w nią raz za razem, coraz mocniej, jakby usiłował wgnieść ją w materac. Jego skóra przypominała gładką powierzchnię nieoszlifowanego marmuru i Katie miała wrażenie, jakby spenetrował ją naturalnej wielkości posąg męczyzny. Sprawiał, że czuła się fizycznie bezradna, podczas gdy w pracy to ona zawsze rządziła; bycie w taki sposób zdominowaną podniecało ją.

Dyszał, jakby pokonał biegiem odległość półmaratonu. Nagle bez ostrzeżenia wyciągnął członek i wytrysnął na jej brzuch. Bliska szczytowania, rozsmarowała nasienie po brzuchu i piersiach; jej nabrzmiące sutki zrobiły się śliskie.

Uniósł się nieco na rękach i położył blisko niej, szybko i lekko muskając palcem łechtaczkę. Była twarda niczym dziobek małego ptaka. Poczowała ściskanie w dole brzucha, które stawało się coraz intensywniejsze. Potem się zatrzęsała, dysząc raptownie, zadrżała i zobaczyła gwiazdy.

Leżeli obok siebie ponad dwadzieścia minut; Katie czuła, jak sperma zasycha na jej brzuchu. Gdy popatrzyła na niego, uśmiechnęła się, uświadomiła sobie jednak, że szuka na jego twarzy jakiejś wskazówki, bardziej jak detektyw niż kochanka. W chwili orgazmu, kiedy na nią wytrysnął, bardzo ją to podnieciło, teraz jednak zastanawiała się, dlaczego nie skończył w niej. Przecież popęd seksualny każe mężczyźnie szczytować jak najgłębiej we wnętrzu kobiety, z którą się kocha, zwłaszcza że był to ich pierwszy raz.

Czyżby chciał ją w jakiś sposób poniżyć, może nawet nie w pełni świadomie? Przecież była detektywem nadkomisarzem w służbie czynnej, a on byłym inspektorem, którego zmuszono

do rezygnacji w atmosferze podejrzeń. Sam powiedział: „Jesteś wyższa stopniem”.

A może był inny powód. Może jej nie uwierzył, kiedy powiedziała, że bierze pigułkę. W końcu dopiero dobiegała czterdziestki, mogła jeszcze urodzić dziecko; kiedy wieczorem rozmawiali, opowiedziała mu, jak straciła Seamusa i jak bardzo wciąż tęskni za synem.

– Kawa pewnie już ci wystygła – odezwał się Alan.

– No trudno, możesz zrobić świeżą, prawda? I co z tym jajkiem po ulstersku? Muszę wziąć prysznic.

– Katie...

Koniuszkiem palca dotknęła jego ust.

– Nic nie musisz mówić. Poczekamy i zobaczymy, w którą stronę to pójdzie. *Trzy są rzeczy, których nie da się cofnąć*, a ta jest czwarta.



Wykąpała się i włożyła jasnoszary kostium. Zanim wysuszyła włosy i nałożyła makijaż, Alan był już umyty i ubrany; miał na sobie koszulę w drobną kratkę i ciemnobrązowe spodnie.

Siedziała z laptopem przy stole w kuchni, on tymczasem zaparzył jeszcze kawy i ugotował cztery jajka.

Obrał i właśnie rozgniatł je z masłem, solą, pieprzem i tartą bułką, kiedy zadzwonił telefon Katie. To był detektyw sierżant Begley.

– Co tam słyhać, Sean?

– Pani nadkomisarz nie uwierzy, ale mamy powtórkę z Blarney.

– Z Blarney? To znaczy?

– W domu przy Military Road odkryto zamordowaną czteroosobową rodzinę. Ojciec, matka i dwoje dzieci, chłopiec i dziewczynka. Zastrzeleni, na to wygląda, cała czwórka, i ukryci pod deskami podłogowymi.

– Matko święta. Jak długo mogli tam być?

– To nie są ciała z innej epoki. Technicy dopiero co oderwali deski i jeszcze nie dotykali zwłok. Wszystkie są owinięte folią.

Pani mieszkająca w sąsiednim domu widziała tych ludzi wczoraj około piętnastej, więc musieli zginąć później.

– Dobra, Sean. Zaraz u was będę.

– Powiedziałem, że to powtórka z Blarney, pani nadkomisarz, bo jest przy nich kartka.

– Ma pan ją przy sobie? Proszę odczytać.

– Idzie tak: „To na znak, że nigdy nie zapominamy swoich.

Langtrych zabiła IRA, a to są krewni tamtych morderców.

Rachunki wreszcie zostały wyrównane *Quis separabit?*”.

– UDA – stwierdziła Katie. – Nie wierzę, po tylu latach. To wszystko?

– To wszystko. Wiadomość wydrukowano na komputerze, nie ma podpisu ani niczego innego.

– *Quis separabit?* To wystarczy za podpis, prawda?

Quis separabit?, czyli „Kto nas rozdzieli?”. Tak brzmiało credo Związku Obrony Ulsteru, protestanckiej grupy paramilitarnej, która walczyła przeciwko Tymczasowej IRA w okresie Rozruchów. Wiadomo było, że z ręki jej bojowników zginęło co najmniej dwieście sześćdziesiąt osób, ale podobno w listopadzie 2007 roku zawiesili działania zbrojne. Jednocześnie wiadomo powszechnie, że niektórzy nadal pielęgnowali w sobie urazę nie tylko wobec Tymczasowej IRA, lecz także wobec niektórych członków własnych szeregów.

Alan stanął przy stole z dwoma kubkami, w których znajdowała się masa jajeczna.

– Tak, wiem, musisz wyjść.

– Przykro mi – rzuciła Katie. – Znaleziono rodzinę zamordowaną w taki sam sposób, w jaki zabito Langtrych. Zastrzelono ich i pogrzebano pod deskami podłogowymi.

– Jezu Chryste.

– Hm, nie sądzę, by on miał z tym coś wspólnego. Raczej UDA.

– Przyjąłem do wiadomości. Chcesz śniadanie?

Pokręciła głową.

– Nie bardzo mam teraz apetyt. Wybacz. Może zrobisz mi te jajka innym razem.

– Dobrze. Ale pojedę z tobą do miasta i zacznę węszyć, może dowiem się czegoś o Bobbym Quiltem. Chyba że wolisz, żebym tu został i wyprowadził Barneya na spacer.

– Nie, Jenny to zrobi. Chyba dałam jej dużo powodów do plotek, to powinno wystarczyć za rekompensatę.

Alan wyrzucił jajka do śmieci, opłukał kubki i włożył je do zmywarki. Katie widziała, że chce jej coś powiedzieć, ale tego zaniechał. Tak jak mu powiedziała: tego, co stało się tego ranka, nie da się cofnąć.

Rozdział 34

Wysadziła Alana na rogu Merchant's Quay i St Patrick's Street. Nachylił się, żeby ją pocałować, lecz w ich stronę właśnie zmierzało dwóch mundurowych, więc położyła mu rękę na ramieniu.

– Chyba dosyć już nabroiliśmy. – Uśmiechnęła się. – Ale zadzwoń później i nie wpakuj się w jakieś kłopoty. Sam wiesz, jacy są ludzie Quilty'ego.

– Zadzwonię i nie wpakuję się – obiecał, wysiadając z auta. Kiedy jednak policjanci przeszli, odwrócił się i posłał jej całusa.

Katie przejechała mostem Świętego Patryka, a później Summerhill dotarła do Military Road. Sama nie wiedziała, co czuje do Alana. Dawał jej pociechę, poczucie bezpieczeństwa, był bardzo męski, lecz ona nie miała do końca pewności, że jest taki, jaki się wydaje. Być może uważał ją za obiekt podboju, a nie za towarzyszkę. A może była przeczulona i męczyło ją poczucie winy ze względu na Johna.

Military Road była zastawiona pojazdami. Stały tam dwie furgonetki sekcji technicznej, cztery radiowozy, dwie karetki pogotowia i kilka innych aut. Katie z ulgą stwierdziła, że wóz transmisyjny stacji RTÉ jeszcze nie dojechał.

Detektyw sierżant Begley i detektyw Dooley czekali na nią przed bramą domu Dohertych. Weszła do środka i zobaczyła w kuchni detektyw Scanlan, która rozmawiała z Celią, sprzątaczką Dohertych, i panią Doody, sąsiadką. Nie było to łatwe zadanie, gdyż pani Doody trzymała na rękach Corky'ego i mimo powtarzanych raz po raz napomnień – „Cicho bądź, dobrze?” – pies nie przestawał szczekać.

W salonie Katie zastała Billa Phinnera, Eithne O'Neill, Tyrone'a Daleya oraz dwóch innych techników; wszyscy byli w białych kombinezonach i maskach. Podważono siedem dębowych desek podłogowych na środku pokoju i ułożono przy ścianie obok kominka. W odsłoniętym miejscu spoczywały cztery ciała ciasno owinięte folią oklejoną srebrną taśmą samoprzylepną. Półprzezroczysta folia pozwalała dojrzeć blade twarze ofiar, kolor ich ubrań oraz rdzawe plamy krwi na głowach. Katie wyczuła charakterystyczną woń odchodów, nieodłącznie towarzyszącą niedawno zadanej śmierci.

– Co jest grane, Bill? – zapytała.

– Dwoje dorosłych, mężczyzna i kobieta, i dwoje dzieci, chłopiec i dziewczynka. Nie trzeba zdejmować folii, bo jest jasne, że wszyscy zginęli od strzałów w głowę. W drzwiach frontowych tkwią fragmenty pocisku, więc jest potwierdzenie, że użyto pistoletu.

– Znamy ich nazwiska?

– Przed oficjalną identyfikacją nie będzie można stwierdzić na pewno, czy wszyscy należą do tej samej rodziny, ale tymczasem zakładamy, że tak jest. Rodzina nazywa się Doherty: Kevin i jego żona Órla, Tom i Sibeal. Kevin był agentem obrotu nieruchomościami w firmie Thomasa Mahoneya przy South Mall.

– Ofiary znalazła pani, która u nich sprząta – dodał detektyw sierżant Begley. – No cóż, jeśli chodzi o ścisłość, to wywęszył je pies sąsiadki.

– Mądry piesek – powiedziała Katie. – Powinien przyjść do nas do pracy w psiej jednostce wsparcia.

– Wątpię, czy wytrzymałoby ten jazgot – zauważył Begley. – Ujada od samego początku, jak tutaj wszedłem. Gorszy jest niż moja ślubna, mówię pani.

– Zrobiliśmy wszystkie potrzebne zdjęcia, pani nadkomisarz – oznajmił Bill. – Wnętrze domu zostało umyte, ale obraz w podczerwieni ujawnił plamy krwi na ścianie w tym pomieszczeniu, w przedpokoju i obok schodów. Teraz

wyniesiemy ciała, ale pozostaną zapakowane tak, jak są, dopóki nie dostarczymy ich do kostnicy. Pewnie ściągnie pani patologa.

– Tak, oczywiście. Ta sąsiadka... Nie zauważyła, by ktoś szczególny przyszedł z wizytą do tego domu? Nic nie usłyszała?

– Mówiła tylko, że u Dohertych było wczoraj wieczorem bardzo cicho. Przeważnie słyszy ich telewizor. Ale oczywiście nie wyobrażała sobie, że stało się coś złego. A na pewno nie to.

– Pani podejdzie i rzuci okiem na drzwi – odezwał się Bill. – Moim zdaniem uderzyły w nie odłamki pocisku z odsłoniętym miękkim wierzchołkiem, ale tylko odłamki. Może to znaczyć, że najpierw przez coś przeszły, na przykład ludzką czaszkę. Świadczyłyby o tym ślady krwi rozprysniętej obok schodów. Sprzątaczką mówiła, że na drzwiach wisiała kartka z listą zakupów, która miała zasłonić uszkodzenie.

– Jak często przychodzi ta sprzątaczką?

– Raz w tygodniu.

– Więc gdyby nie nasz czworonożny przyjaciel, państwa Dohertych być może nie znaleziono by przez wiele dni?

Katie przyjrzała się dokładnie pęknięciu w drzwiach, a następnie weszła do kuchni, żeby przedstawić się Celi oraz pani Doody. Sprzątaczką miała zaczerwienione i zapłakane oczy i ścisnęła chusteczkę.

– To była taka urocza rodzina, mówię pani. Kevin i Órla czasami się pokłócili, ale cudowni byli z nich ludzie. Dlaczego ktoś ich tak strasznie potraktował?

– Kłócili się? – chciała wiedzieć Katie. – O co?

– Och, to nie było nic poważnego. Nie zgadzali się, na jaki kolor umalować sypialnię. Albo ona złościła się na Kevina, bo nigdy nie mógł o czasie zebrać się na mszę do kościoła. Albo dawał Tomowi cukierki pomarańczowe, chociaż mały dostawał po nich małego rozumu.

– Więc Órla się pani zwierzała?

– No tak, zawsze trochę sobie pogadałyśmy, jak już skończyłam sprzątać. Tylko o babskich sprawach... wie pani, takie tam rodzinne plotki.

– Dziękuję pani, Celio. Prawdopodobnie będziemy jeszcze chcieli z panią pomówić. Z panią również, pani Doody. Ale na razie są panie wolne. Musimy załatwić pewną smutną sprawę, to znaczy zabrać stąd zwłoki, i nie sądzę, żebyście chciały to oglądać.

Katie wróciła do salonu.

– Ma pan tę kartkę? – zwróciła się do detektywa Dooleya.

Podał jej foliową torebkę na dowody. Przeczytała raz i drugi wiadomość zostawioną obok ofiar i nagle przyszło jej coś do głowy.

– Jeśli sprawcy naprawdę należeli do UDA, to musieli specjalnie przyjechać z Północy.

– Ale mogą także mieszkać w okolicy, proszę pani, i napisali *Quis separabit?*, żeby nas... hm... zbić z tropu.

– Może i ma pan rację – przyznała Katie. – Tylko że to wydaje się trochę za bardzo przebiegłe. Gdyby chcieli zamarkować, że są z UDA albo z UFF, to chyba podpisałiby się jako UDA albo UFF. Bo ja, na przykład, gdybym była morderczynią i chciałabym udąć, że sprawca pochodził z Gardy, podpisałabym „Garda”, a nie *Jak najlepiej chronić ludzi, dbać o społeczeństwo i bezpieczeństwo państwa*.

– Miło, że umie pani to wszystko spamiętać, bo ja, niestety, nie – powiedział Begley. – Ale co jadłem na śniadanie, tego też nie pamiętam.

Szczęściarz z ciebie, bo przynajmniej je zjadłeś, pomyślała Katie.

– W takim razie zaczniemy pukać do drzwi sąsiadów z ulicy – oznajmił Begley. – Ale jeśli ta starsza paniusia z domu obok nic nie zobaczyła ani nie usłyszała, to wątpię, czy ktoś inny coś zauważył. Ludziska w tej okolicy pilnują swoich spraw.

Katie popatrzyła na owinięte folią ciała i przeżegnała się. Miała nadzieję, że nie cierpieli. Właśnie wychodziła z salonu, kiedy odezwał się Tyrone:

– A, pani nadkomisarz! Powinniśmy już mieć wyniki badań DNA plam krwi, które znaleźliśmy w sypialni przy Leitrim Street.

Zadzwońnię później do pani, jak tylko dojadę do laboratorium.

Katie zamknęła na chwilę oczy. Nie martw się, John, pomyślała. Nie porzuciłam cię.

– Dzięki, Tyrone – odparła i wyszła z pokoju.



Dziennikarzom, którzy czekali na ulicy, niewiele miała do powiedzenia – jedynie tyle, że w domu znaleziono zwłoki czworga ludzi i że prawie na pewno zostali oni zamordowani. Uchyliła się od odpowiedzi, czy chodzi o rodzinę Dohertych, i nie wspomniała, że prawdopodobnie ich zastrzelono. Nie zdradziła również, że obok ciał znaleziono wiadomość.

– Czy w grę wchodzi jakaś tragedia rodzinna? – chciała wiedzieć Fionnuala Sweeney z RTÉ. – To znaczy, czy na przykład ojciec nie pozabijał swoich najbliższych, a później nie zabił siebie? A może policja poszukuje kogoś innego?

– Nie, to nie była tragedia rodzinna. Szukamy osoby lub osób, które odwiedziły ten dom wczoraj po południu około godziny piętnastej lub później, wieczorem. Jeśli ktoś mieszkający w pobliżu zauważył coś podejrzanego lub nietypowego albo ma jakieś informacje, będziemy oczywiście wdzięczni za kontakt.

– Kto znalazł zwłoki? – zapytała Roisin Magorian z „Examinera”. – I czy może nam pani powiedzieć dokładnie, w którym miejscu domu spoczywały?

– Na razie nie mogę odpowiedzieć na pani pytanie. Poproszę biuro prasowe, żeby dali państwu znać, jak tylko zdobędziemy więcej informacji.

– Czy zastanawiała się pani nad tamtą kwestią, o której rozmawialiśmy?

– Nie, Roisin. Jeszcze nie. Ale nie zapomniałam, co mi pani powiedziała.

Rozdział 35

Po drodze do komendy Katie ciągle myślała o hasle *Quis separabit?* Zabójcy nie oparli się pokusie, by pochwalić się swoim czynem, i dali jasno do zrozumienia, że ich zemsta miała charakter polityczny, a nie tylko osobisty.

Analizowała sposób, w jaki wiadomość została sformułowana i podpisana, i w jej głowie rodził się jasny plan działania. Nie był to w żadnym razie konwencjonalny plan, lecz czy Alan nie powiedział, że mierzą się z cholernie nietypowym problemem, a to wymaga zastosowania cholernie niekonwencjonalnych metod?

Zdawała sobie sprawę, że być może wystawia na szwank całą swoją karierę zawodową, ale z drugiej strony mogła tej karierze pomóc. Noirin O'Sullivan nie mianowano na stanowisko komendanta głównego Gardy dlatego, że była ostrożna i niezdecydowana.

Pierwszą osobą, którą spotkała, zmierzając korytarzem do swojego gabinetu, był komendant Denis MacCostagáin; był jeszcze bardziej ponury i zamyślony niż zwykle.

– Ach, Katie. Byłaś na Military Road, tak? Masz jakieś pomysły?

– Trochę na to za wcześnie, panie komendancie. Może pan wierzyć lub nie, ale przy zwłokach leżała kartka z informacją, że ludzi tych zabito w zemście za Langtrych. Podobno Doherty'owie byli spokrewnieni z członkami IRA, którzy zastrzelili Langtrych. I było jeszcze, że „My nigdy nie zapominaemy”. Wiadomość była podpisana dewizą UDA: *Quis separabit?*

– Jezu, to nie do wiary. Po tylu latach? Byli jacyś świadkowie?

Katie pokręciła głową.

– Jak dotąd ich nie znaleźliśmy. Później wydam oświadczenie dla mediów. I będę musiała odłożyć nasze spotkanie z Jimmym O'Reillym. Może byśmy je przełożyli na jutro rano.

– Hm, dla mnie może być – odparł komendant. – Prawdę mówiąc, mam teraz urwanie głowy. Wini się mnie osobiście za te ostatnie ataki na starsze osoby na terenach wiejskich. Na litość boską, to nie moja wina, że musieliśmy pozamykać tyle posterunków Gardy! Są jeszcze te idiotyczne protesty związane z licznikami wody, a na dodatek problemy z imigrantami... Bobby Quilty i jego tanie papierosy to ostatnia rzecz, o której chce mi się teraz myśleć. Ustalisz termin spotkania z Jimmym, czy ja mam to zrobić?

– Proszę sobie tym nie zawracać głowy. Jest parę innych spraw, o których chcę z nim pogadać, więc sama się tym zajmę.

– Dziękuję. Później się do ciebie odezwę.

Katie ruszyła dalej korytarzem w kierunku gabinetu zastępcy komendanta głównego Jimmy'ego O'Reilly'ego. Zbliżywszy się, zauważyła, że drzwi są lekko uchylone; przez szparę słychać było rozmowę, dosyć głośną, jakby ktoś się kłócił. Już miała zapukać, kiedy usłyszała słowa i zawahała się. Nadstawiła uszu.

– Wpędzisz mnie w ruinę, wiesz o tym – powiedział O'Reilly.

– Ale Jezu, Jimmy, dobrze wiesz, co mi zrobią, jeśli nie... – Reszta zdania była niewyraźna, lecz głos należał do młodego mężczyzny. Katie wydawało się, że go rozpoznaje, ale nie miała całkowitej pewności.

Nastąpiła długa pauza.

– Wiesz, że to nie może tak trwać – odezwał się w końcu O'Reilly. – Będziesz musiał w jakiś sposób się powstrzymać.

– Nie dam rady, Jimmy! – Głos młodego mężczyzny zrobił się prawie zawodzący. – W tym cały kłopot! To nie tak, jak rzucić szlugi czy kokę. Koka to jest jakby kwestia fizjologiczna, rozumiesz? Po prostu można przestać wciągać. Ale to... – Głos stał się niewyraźny. – To siedzi w moim mózgu. Nie, to coś więcej. To

jestem ja. Po to żyję. Bez tego mógłbym, kurwa, umrzeć i położyć się w grobie.

Następna długa pauza. Katie już miała zapukać, kiedy Jimmy O'Reilly przemierzył gabinet i zobaczyła jego odbicie w szklanych drzwiczkach biblioteczki, która stała przy lewej ścianie pomieszczenia, niedaleko okna. Odbicie było bardzo ciemne niczym w wodzie stawu, gdyż półki wypełniały oprawione w skórę tomy książek prawniczych. Nie było jednak wątpliwości, że to on: łysina w kształcie sierpa i okulary.

Uniosła rękę, lecz wtedy w szybie ukazało się odbicie młodego mężczyzny, który podszedł i stanął obok O'Reilly'ego. Dostrzegła jego zaczesane włosy i sylwetkę: był to James Elvin, starszy asystent zastępcy komendanta głównego.

– No więc gadaj – warknął O'Reilly. – Ile?

– Tym razem tylko trzy tysiące. Dokładnie trzy tysiące siedemset. Trzy tysiące siedemset trzydzieści dwa.

Cisza trwała bardzo długo. Katie widziała, że O'Reilly odwraca się plecami do Elvina i wygląda przez okno.

– Dobrze. Zdobędę je dla ciebie na jutro rano.

– Na dzisiaj wieczór się nie da? Nie wejdę tam, dopóki się nie spłacę. Nawet mnie do środka nie wpuszczą.

– Nie zaszkodzi ci, jeżeli zrobisz sobie wolny wieczór. Może wyszłoby ci na dobre.

– Och, proszę, Jimmy. Proszę cię!

– No nie wiem. Zobaczą, co się da zrobić.

– Och, dzięki, Jimmy. Tysięczne dzięki, tysięczne. Jesteś moim złotym aniołem.

– Aniołem? Tak myślisz? Raczej złotą skarbonką.

O'Reilly odwrócił się od okna i stanął naprzeciwko Elvina. Katie z niedowierzaniem zobaczyła, że biorą się w ramiona. W pierwszej chwili wyglądało to jak męski uścisk, lecz stali objęci przez niemal dwadzieścia sekund. Nie widziała w szybie, czy się całują, ale milczeli. Kiedy wreszcie się rozdzielili, nic nie mówili, tylko przeszli na drugą stronę gabinetu i ich odbicia zniknęły z jej pola widzenia.

Zaledwie dwa lub trzy razy w ciągu swojej kariery Katie natrafiła przypadkowo na kluczowy dowód. Kiedyś prowadziła śledztwo w sprawie sprzeniewierzenia funduszy publicznych w radzie miejskiej i pewien taksówkarz przyniósł do komendy teczkę zostawioną w jego aucie. Były w niej wyciągi z kont wszystkich urzędników, przeciw którym od miesięcy bezskutecznie próbowała zgromadzić dowody.

Innym razem piła drinka z mężem w pubie Old Oak przy Oliver Plunkett Street, a mężczyzna siedzący tuż za jej plecami pochwalił się koledze, że pobił dealera samochodowego z Togher; ofiara ledwie uszła z życiem i była skazana na wózek inwalidzki.

Nie mogła uwierzyć w to, co przed chwilą zdarzyło się na jej oczach w gabinecie O'Reilly'ego. Gdyby przyszła ułamek sekundy wcześniej, nic by nie usłyszała, zapukałaby i weszła. Może Bóg dzisiaj nade mną czuwa, pomyślała, i przebaczył mi, że naraziłam Johna i Kynę na tak wielkie niebezpieczeństwo. Albo chociaż podsunął mi sposób ich oswobodzenia.

Szybko na paluszkach oddaliła się na jakieś dwadzieścia metrów, a następnie podeszła w pośpiechu do drzwi gabinetu i mocno zapukała złotym pierścionkiem Claddagh, który nosiła na serdecznym palcu prawej ręki.

– Kto tam?! – krzyknął Jimmy O'Reilly.

Weszła do środka.

– Ach, to ty, Katie – powiedział z radością kogoś, kto właśnie ujrzał w drzwiach zapowiedź długich godzin papierkowej roboty.

James Elvin zebrał dokumenty z biurka szefa i wsunął je do zielonego folderu. Uniósł głowę i uśmiechnął się po chłopięcemu do Katie, jakby chciał z nią poflirtować.

– Detektyw nadkomisarz Maguire! Co słyhać w sprawie tych morderstw na St. Luke's?

– Będziemy wiedzieli więcej, kiedy doktor Kelley zbada zwłoki – odparła zbywającym tonem i odwróciła się do jego szefa. – Przykro mi, panie komendancie, ale będę musiała odwołać naszą naradę w sprawie Bobby'ego Quilty'ego. Może moglibyśmy ją odłożyć na jutro?

– Jak najbardziej – odparł. – James, jaki mam plan jutrzejszych zajęć?

– O jedenastej ma pan być w Limerick na pogrzebie sierżanta Mulligana. Później o czternastej trzydzieści jest pan umówiony z Kieranem Fitzgeraldem z biura rzecznika Gardy. A o wpół do siódmej odbywa się przyjęcie na rzecz Cope Foundation.

– A tak, chodzi o wolno myślących. – O'Reilly ściągnął wargi i cmoknął z zamyśleniem. – Przykro mi, Katie. Chyba będziemy musieli poczekać z tym do pojutra. Ale ty też masz pełne ręce roboty, prawda? I nie wydaje mi się, żeby kwestia uchylania się przez Quilty'ego od podatków była priorytetem, co?

– Nie, panie komendancie, ma pan rację – przyznała. – Mamy za mało czasu i pieniędzy. Jest jeszcze jedna sprawa, którą chciałabym z panem omówić, czyli mój budżet.

O'Reilly zerknął na Jamesa Elvina i Katie zauważyła, że tamten marszczy czoło, jakby chciał powiedzieć: „No, Jimmy, przyspiesz trochę. Zegar tyka, a ja potrzebuję kasy”.

Zastępca komendanta głównego zmrużył oczy i spojrzał na zegarek.

– Katie, bardzo chętnie pogadałbym z tobą o budżecie, ale, niestety, wypłynęło coś niespodziewanego, muszę wyjść i raz-dwa się z tym uwinąć. Poza tym potrzeba będzie trochę czasu, żebyś mi powiedziała, ile potrzebujesz, i przedstawiła uzasadnienie, prawda?

– Znowu przyznaję panu całkowitą rację. – Zależało jej tylko na tym, by stamtąd wyjść. Nie chciała w żaden sposób dać po sobie poznać, że zna prawdziwy powód, dla którego nagle zrobiło mu się tak pilno. Albo że ma bardzo silne podejrzenia.

Zdołała nawet uśmiechnąć się do Jamesa Elvina, kiedy wychodził z gabinetu szefa. On zaś nie dość, że odpowiedział jej uśmiechem, to jeszcze puścił do niej oko.

Poczekaj no tylko, ty bezczelny młody przydupasie, myślała, uśmiechając się. Tak cię załatwię, że zamrugasz obydwoma ślepiami.



Weszła do swojego gabinetu, zamknęła drzwi i zadzwoniła do detektywa O'Mary.

– Bryan, proszę słuchać! Zastępca komendanta głównego O'Reilly wyjedzie za chwilę z komendy. Pojedzie pan za nim i zobaczy, dokąd się wybrał. To wszystko. Może pan zrobić zdjęcia adresu, pod którym będzie, ale proszę być bardzo ostrożnym i nie dać się zauważyć.

– Zastępca komendanta głównego O'Reilly? Czy wolno mi wiedzieć, dlaczego mam to zrobić, pani nadkomisarz?

– Powiedzmy, że chodzi o względy bezpieczeństwa.

– Bezpieczeństwa?

– No dobrze, bezpieczeństwa, zdrowia i ochrony. Analiza co, gdzie i kiedy. Oraz wszystko, co przyjdzie panu do głowy. Proszę to zrobić, Bryan, i dać mi znać, jak tylko pan wróci.

– Tak jest, pani nadkomisarz.

Następnie zadzwoniła do Alana. Długo trwało, zanim odpowiedział, lecz kiedy się odezwał, mówił tak, jakby szedł chodnikiem obok ruchliwej jezdni.

– Alan? Wywiedziałeś się czegoś o Bobbym Quiltym?

– Średnio to idzie, ale jakieś postępy zrobiłem. Właśnie miałem dzwonić i ci powiedzieć. Zacząłem od namierzenia dealera szlugów Quilty'ego... stał jeden w bramie Bishop Lucey Park. Chudy szczurek, wyglądał na jakieś czternaście lat. Robił interes, aż huczało, kupowali ci, którzy przyszli do baru na lunch.

– Możesz mówić trochę głośniej? Słyszę cię tak, jakbyś siedział w studni.

– Wolałbym za bardzo nie krzyczeć na środku ulicy! O, zaczekaj, tu jest brama biurowca, mogę wejść. Teraz lepiej. Więc znalazłem tego małego chudzielca i kupiłem od niego dwieście szlugów, żeby z nim trochę pogadać. Chciałem mieć pewność, że jest parobkiem Quilty'ego. Raczej nie chciał mi dużo mówić, Quilty prawdopodobnie mu zabronił. Ale udałem, że jestem świetnym kumplem Quilty'ego, że znamy się kopę lat, i chłopak zaraz mi się pochwalił, ile zgarnął od rana, i że będzie musiał wziąć od Bobby'ego więcej towaru.

- Więc oczywiście z nim poszedłeś?
- No nie, bo oczywiście nie chciałem wpaść na Bobby’ego. On nie zapomina twarzy i nie przebacza. Ale zachowując odległość, poszedłem za tym szczeniakiem aż do parkingu na Keefe Street.
- Tak, znam to miejsce. Dość podupadłe.
- Stał tam czarny nissan navara i jakiś typ wyglądający na twardziela trzymał przy nim wartę. Napełnił torbę chłopaka kartonami marlboro i smarkacz odszedł.
- Czarny nissan navara? Tak, to wóz Bobby’ego Quilty’ego. Zanotowałeś numery rejestracyjne?
- Owszem, ale właściwie nie było to potrzebne. Pokręciłem się tam jeszcze z pół godziny i z budynku naprzeciwko wyszedł sam Bobby z dwoma innymi bandziorami i jakąś rozmemłaną kobitą. Zamienił parę słów z wartownikiem, a potem wszyscy weszli znowu do budynku.
- Quilty nie ma ani nie wynajmuje żadnej nieruchomości przy Keefe Street, o ile wiem. Ale z nim to człowiek nigdy nie ma pewności. Jest zapewne właścicielem połowy Cork, pod różnymi nazwiskami.
- Udało mi się pstryknąć parę zdjęć, pokażę ci, jak się spotkamy.
- Gdzie teraz jesteś?
- Parę minut od ciebie, na Copley Street. Pomyślałem, że wpadnę do pubu naprzeciwko i strzelę sobie zimne piwko.
- Market Tavern. Dobrze. Ale nie strzelaj tych piwek za wiele. Przed chwilą dowiedziałam się czegoś zupełnie przypadkiem i może będę później chciała, żebyś jeszcze trochę pochodził. Daj mi znać, kiedy już tam będziesz, przyjdę i wszystko ci opowiem.
- Katie...
- Co?
- Nic. To może poczekać. Do zobaczenia później!



Odłożyła telefon, po czym stała kilka sekund i patrzyła na niego, jakby się spodziewała, że Bóg do niej zadzwoni i poinstruuje, co ma dalej robić. Kompromitujące informacje

o Jimmym O'Reillym spadły jej jakby prosto z nieba, więc czy Pan Bóg nie mógłby jej udzielić zapewnienia, że to, co zamierza z tą informacją zrobić, nie okaże się szaleństwem, albo, co jeszcze gorsze, do niczego nie doprowadzi? Miała wrażenie, że jej kariera zawodowa nie wytrzymałaby drugiej operacji Trójzab.

Uprzytomniła sobie, że mogła źle zinterpretować sprzeczkę O'Reilly'ego z Elvinem, a odbicia w szybie biblioteczki były przecież dość niewyraźne. Jednakże to, co usłyszała, pasowało do sugestii, które przekazała jej Roisin Magorian. Co więcej, mogło stanowić klucz do jednego z najtrudniejszych i najniebezpieczniejszych śledztw, z jakimi kiedykolwiek się zmagала.

Weszła do łazienki, żeby uczesać włosy i poprawić makijaż. Miała spuchnięte oczy i mogła tylko mieć nadzieję, że nie wygląda tak szmatławo, jak się czuje. W domu trzymała zawsze w lodówce dwie łyżeczki i przykładala je do skóry wokół oczu, kiedy obrzmiały.

No, Zielonooka, powiedziała do siebie, spoglądając w lustro, wygrasz tę rozgrywkę. I nie jesteś szmatą. Każdy potrzebuje czasem ukojenia, zwłaszcza kiedy dźwiga świat na barkach tak jak ty, a życie dwojga osób, którzy się dla niego naprawdę liczą, zależy od jego pewności i odwagi.

Kiedy wyszła, czekał na nią Tyrone. Patrzył przez okno na szary dzień i wyglądał jak młodzieniec pogrążony w marzeniach.

– Tyrone! – odezwała się, a on drgnął i odwrócił się.

– Przepraszam, pani nadkomisarz, byłem daleko stąd. To przez tę rodzinę, którą rano oglądaliśmy, Dohertych. Nie mogę przestać o nich myśleć, wie pani?

– Tak, to straszne. Gorsze niż straszne. Jest ciężko, kiedy jedna osoba z rodziny umiera albo zostaje zabita. A kiedy zostaje zamordowana cała rodzina... no nie wiem... to jak grecka tragedia.

– No, taak – zgodził się z nią Tyrone, nie miała jednak pewności, czy wie, czym jest grecka tragedia.

Uniósł wydruk, który trzymał w dłoni.

– Mam wyniki DNA z Leitrim Street. Plama na wykładzinie to krew, była też w niej śladowa ilość flunitrazepamu. DNA pasuje do włosów z grzebienia Johna Meaghery, które nam pani dostarczyła. Więc on tam był, to pewne. Domyślam się, że zadaje pani sobie pytanie, gdzie przebywa teraz?

Katie potwierdziła skinieniem głowy.

– Dzięki, Tyrone. Jestem naprawdę wdzięczna. Chyba za rzadko mówię wam, specom, jak bardzo na was polegam. Gdyby nie wy, nadal czołgalibyśmy się po podłodze ze szkiełkiem powiększającym jak Sherlock Holmes.

Tyrone oblał się rumieńcem.

– To nasza robota, pani nadkomisarz. Ale Bill Phinner powiedział mi, że John Meagher był... pani przyjacielem, więc to badanie dużo dla pani znaczyło.

– Owszem. Bardzo bliskim przyjacielem. Miejmy nadzieję, że nadal można mówić, że nim jest.

Po wyjściu Tyrone'a zadzwoniła do detektywa sierżanta Begleya.

– Sean, chodzi mi o tę parkę tak zwanych squatterów z Leitrim Street. Tego gościa, który przedstawia się jako Chisel, i jego pyską kobitę. Mógłby pan przywieźć ich na przesłuchanie, oboje? Proszę zabrać ze sobą Scanlan. Nie dzisiaj, może być jutro wcześniej rano. Tyrone przed chwilą potwierdził, że krew na dywanie pochodziła od Johna Meaghery.

– Wątpię, czy coś pani z nich wydobydzie, jeśli mam być szczery.

– Ja też w to wątpię. Właściwie to jestem pewna. Ale DNA to jednoznaczny dowód, że John Meagher tam był, i nie wolno mi go pominąć.

– Proszę mi to zostawić, pani nadkomisarz. Zabiorę tam kogoś z samego rana i przywieziemy ich na śniadanie.

Katie miała całkowitą pewność, że ani Chisel, ani jego dziewczyna nie odpowiedzą na żadne pytanie, i właśnie dlatego postanowiła zaryzykować i ich sprowadzić. Technicy przedstawili dowody z badań DNA, mogła więc pokazać komendantowi

i przedstawicielom mediów, że podejmuje kroki w celu ustalenia, kto uprowadził Johna i gdzie go przetrzymuje. Pierwszy raz zamierzała w czasie śledztwa udawać, że wie mniej, niż naprawdę wiedziała, a nie na odwrót.

Rozdział 36

Alan czekał na nią w Market Tavern po przeciwnej stronie ulicy. Ściany tawerny pokryte były gołą żółtą cegłą i ozdobione lusterkami z symbolami browarów oraz proporczykami GAA; wyposażenie stanowiły sosnowe sprzęty w rustykalnym stylu. W barze często panował tłok, przychodzili głównie studenci, lecz teraz, w środku dnia, było prawie pusto; tylko usadowiona w kącie para młodych ludzi intensywnie spierała się o coś szeptem. Alan siedział pod zdjęciem Muhammada Alego, który nokautuje Joego Fraziera; stała przed nim butelka Satza i czytał „Echo”.

Złożył gazetę, wstał i ucałował ją w oba policzki.

– No i jak tam? Wyglądasz, jakbyś znalazła sto euro na ulicy.

– Można powiedzieć, że padłam ofiarą szczęśliwego wypadku – odparła, siadając. – O, dla mnie tylko sok pomarańczowy.

Pokrótce zrelacjonowała mu to, co zobaczyła i podsłuchiwała przed gabinetem O’Reilly’ego. Alan słuchał, nie przerywając jej.

– Przyszło ci kiedyś na myśl, że Jimmy O’Reilly może być gejem? – spytał, gdy skończyła.

Pokręciła głową.

– Był żonaty, ale żona go zostawiła dla menedżera sklepu z sieci Dunne’s, tak mi się zdaje. Nigdy w gruncie rzeczy się nad tym nie zastanawiałam. Myślałam po prostu, że jest z niego żaloszny cienias i tyle.

– Hm... może jest tak, że facet tańczy na obie strony, nigdy nie wiadomo. Z pewnością wygląda na to, że ten młody z jakiegoś powodu wyłudza od niego pieniądze. Najbardziej prawdopodobny wydaje się szantaż. Może się dowiedział, że

Jimmy O'Reilly to jego ojciec, którego nie znał, albo że O'Reilly podrasowuje statystyki wyników regionalnej komendy policji. Przyczyn może być wiele.

– Oczywiście – przyznała Katie. – I nie dzielę jeszcze skóry na niedźwiedziu. Posłałam za nim O'Marę, żeby się dowiedzieć, skąd bierze forszę. To może być bank i wtedy będę musiała przemyśleć sprawę. Ale Roisin Magorian z całą pewnością sugerowała mi, że kogoś w komendzie finansuje jakiś podejrzany typ i że ten typ żąda od tego kogoś więcej, niżby to wynikało ze wspólnoty interesów, które ich łączą.

– Nie wiedziałem, że snujesz takie teorie – powiedział z uśmiechem Alan.

– Bo ich nie snuję. Zwykle nie. Ale szukam sposobu, by uratować Johna i Kynę, a dopóki w komendzie jest wtyka, nie odważę się zrobić niczego oficjalną drogą. Nie urządzę nalotu na dom Quilty'ego tylko po to, żeby się przekonać, że tych dwoje rozpląnęło się w powietrzu albo że już nie żyją.

Alan skinął głową i przez chwilę kreślił palcem wzór na blacie stolika, zawijasy przypominające tor lotu motyla.

– Chcę cię o coś prosić – odezwał się w końcu. – Pomyślałem, że mógłbym rzucić okiem na ten obiekt przy Keeffe Street.

– Co to znaczy rzucić okiem? Włamać się do środka i powęszyć?

– To znaczy odwiedzić go po zmroku bez wiedzy i zgody właściciela. Interesuje mnie wszystko, co mogłoby świadczyć o związkach Quilty'ego z handlem narkotykami i finansowaniu przez niego Autentycznej IRA, ale oczywiście, jeśli znajdę jakiegokolwiek inne obciążające dowody, coś, co ma związek z Johnem i Kyną, od razu dam ci znać.

– A jeśli cię przy tym nakryją?

– Właśnie dlatego proszę cię o przysługę. Jeśli ktoś mnie przy tym nakryje i aresztuje, możesz się postarać, żeby sprawa nie trafiła do akt i przycichła.

– A jeżeli dorwie cię Bobby Quilty lub któryś z jego zbirów?

– Katie, nie złapią mnie. Wejdę tam, przeszukam obiekt i wyjdę. To wszystko. Nie powinno mi to zająć więcej niż pół godziny, z grubsza. Nikt się nie dowie, że tam w ogóle byłem. Ale jeśli znajdę dowody, które pomogą nam usadzić raz na zawsze Bobby’ego Quilty’ego...

– Nie, Alan – wpadła mu w słowo Katie. – Nie mogę ci na to zezwolić. To jest stanowczo zbyt niebezpieczne. Dla ciebie, ale też dla Johna i Kyny. Nie myśl sobie, że nikt nas razem nie widział. Jeśli Quilty cię tam nakryje albo dowie się później, że się tam kręciłeś, obwini za to mnie.

Alan wydał policzki i fuknął cicho na znak rezygnacji.

– No dobra. To w końcu twój rewir i dlatego w ogóle prosiłem cię o zgodę.

– Nie chodzi o to, że nie chcę, abys to zrobił – odparła Katie, ujmując jego rękę. – Ale w tej chwili to jest jeszcze zbyt niebezpieczne. Posuwajmy się do przodu krok po kroku. Cicho, po cichutku, i coś tam się złapie.

– Nie ma sprawy – odparł, odsuwając dłoń. – Rozumiem bardzo dobrze, czym się kierujesz. – Odwrócił się bokiem, skrzyżował nogi i zwrócił wzrok ku barowi; nie próbował ukrywać, że jest rozczarowany.

– Alan... – zaczęła Katie, lecz po chwili pomyślała: Nie mów tego, nie idź w tę stronę.

Możesz się mylić, a potrzebujesz go w tej chwili. Jeśli mu powiesz, co naprawdę sądzisz – że na oczyszczeniu własnego nazwiska zależy mu o wiele bardziej niż na ocaleniu Johna i Kyny – możesz się okazać bardzo niesprawiedliwa, a on może ci odmówić dalszej współpracy.

– Poza tym – podjęła, starając się nadać głosowi pojednawczy ton – chcę, żebyś śledził Jamesa Elvina, kiedy wyjdzie wieczorem z komendy. Sprawdź, dokąd pójdzie. Jeśli dobrze zrozumiałam ich rozmowę, wybierze się gdzieś na hazard. Może nawet przyjdzie tutaj. W każdą środę urządzą tutaj tak zwane Teksaskie Wieczory. Ale wydaje mi się, że pójdzie do The Bank

przy Clarke's Bridge albo do Diamond Club przy Father Mathew Street.

– Dobrze, zgoda. O której godzinie on zwykle kończy?

– O siedemnastej trzydzieści mniej więcej, chyba że Jimmy O'Reilly przytrzyma go dłużej z jakiegoś powodu. Jeśli poczekaś przed dyżurką, zobaczysz, jak wychodzi z komendy, i pójdziesz za nim.

– Ma samochód? A jeśli odjedzie? Co wtedy zrobię?

– Wątpię, czy to prawdopodobne, bo przed klubami hazardowymi strasznie trudno jest znaleźć miejsce do parkowania, a idzie się tam pięć minut.

– No dobrze. Super. Będę w kontakcie i dam ci znać, jeśli wejdzie do klubu hazardowego. Ale jeszcze jedno ci powiem. Zostanę dzisiaj na noc w mieście.

– Zostawiłeś torbę u mnie w domu. Skąd weźmiesz ubranie na zmianę? A maszynka do golenia i szczoteczka?

– Marks and Spencer's. Dam sobie radę.

– Czy coś powiedziałam? Nie musimy razem spać, jeśli nie chcesz. Możesz skorzystać z wolnego pokoju.

– Nie, Katie. Nic z tych rzeczy. Myślę, że masz rację.

Posuwajmy się do przodu krok po kroku. Cicho, po cichutku, i tak dalej.

– Zdenerwowałam cię.

– Nie zdenerwowałaś. Jesteśmy dorośli, prawda? A do tego jesteśmy policjantami. Ty w każdym razie.

Na długą chwilę zapadła między nimi niewygodna cisza.

– Życzą sobie państwo jeszcze coś do picia?! – zawołał barman.

– Nie, dziękujemy – odparł Alan. – Wieczorem mam służbę.



Siedziała przy swoim biurku zaledwie pięć minut, kiedy do drzwi zapukał detektyw O'Mara.

– Nie widział mnie – rzucił trochę zadyszany. – Chyba nikogo nie widział, Bogiem a prawdą, tak zasuwał chodnikiem, spychając ludzi z drogi.

– I dokąd poszedł?

– Ledwo za nim nadążałem, powiem pani. Miał na sobie taką czerwonawą marynarkę, w której go jeszcze nigdy nie widziałem, i szary kapelusz nasunięty prawie na oczy. Gdybym nie wiedział, że to on, tobym go nie rozpoznał.

– No więc... dokąd poszedł?

– Mostem Trinity, a później Morrison's Quay.

– Nie musi pan mówić. Poszedł na Keefe Street.

O'Mara spojrział na nią z irytacją, jakby chciał spytać: „Skoro wiedziałaś, dokąd zasuwa Jimmy O'Reilly, to po kiego kazałaś mi za nim, kuźwa, gonić w takie mokre popołudnie?”

– Zgadza się – potwierdził. – Poszedł na Keefe Street. Bo stoi tam taki odrapany stary biurowiec po lewej stronie, naprzeciwko parkingu, i on w nim zniknął. Nie wszedłem za nim, ale przez chwilę mignął mi w oknie na którymś piętrze; dalej miał kapelusz na głowie. Wszedł... no, nie więcej jak po dziesięciu minutach, i przyszedł prosto tutaj.

– Czy coś niósł? Torbę, aktówkę?

– Jak szedł w tamtą stronę, niósł w kieszeni marynarki foliową reklamówkę, ale wracając, miał coś w środku, ale nie widziałem, co to było.

– Dziękuję, Bryan. To była świetna robota.

Detektyw O'Mara wahał się przez chwilę.

– Nie powie mi pani, o co chodzi? Zastępca komendanta głównego O'Reilly idzie pieszo na Keefe Street, ubrany jak uliczny grajek, a potem wraca na komendę z napchaną reklamówką.

Katie uśmiechnęła się do niego.

– Powiem panu, jak tylko będę mogła. Przyniósł mi pan do gabinetu kawałek układanki, którego brakowało. Jeszcze dwa lub trzy, i będę miała całość.

– No dobrze, pani nadkomisarz, skoro pani tak mówi.



Dochodziła osiemnasta, kiedy zadzwonił Alan.

– O mało go nie przeoczyłem. Musiałem wejść do kibla, a kiedy wyszedłem, on był już prawie za głównymi drzwiami. Ale

już jestem za nim. Rzeczywiście idzie pieszo. Zatrzymał się przy parkingu i myślałem, że wejdzie, ale z kimś pogadał i ruszył dalej.

– Dzięki, Alan. Zadzwoń, jak tylko dotrze do celu.

– Nie ma sprawy.

Katie zamknęła folder i wstała. Powinna pójść do bufetu na kawę, bo miała przecucie, że czeka ją praca do późna. Była już prawie przy drzwiach, kiedy telefon ponownie zaćwierkał.

– Detektyw nadkomisarz Maguire? Tu doktor Kelley.

– Och, pani doktor. Jak się pani miewa? I jak idzie praca?

– Pomału. Usunęliśmy już folię ze wszystkich czterech ofiar.

Chciałam tylko powiedzieć pani, że jeden z braci Kevina Doherty'ego przyjechał, aby ich zidentyfikować. Rzeczywiście jest to cała rodzina Dohertych: Kevin i jego żona Órla, z domu Cronin, i dwoje ich dzieci, Thomas i Sibeal. Cała czwórka poniosła śmierć w wyniku rozległych ran od strzałów w głowę.

– Boże... – westchnęła Katie.

– Pracuję obecnie z dwoma technikami. W najbliższych dniach nie będziemy mieli oczywistych wyników, tak myślę, ale próbujemy odtworzyć scenę zbrodni na podstawie kątów ran wlotowych pocisków i ułożenia plam krwi na ubraniach. Wygląda na to, że znajdowali się bardzo blisko siebie, kiedy ich zastrzelono, i prawdopodobnie klęczeli. Tylko tyle mogę pani w tej chwili powiedzieć, no i jeszcze to, że wszystkich zastrzelono wydrążonymi pociskami kalibru trzydzieści osiem milimetrów.

– To by się zgadzało z uszkodzeniem drzwi frontowych – zauważyła Katie.

– No właśnie. Jak tylko technicy zbadają wyłobienia na pociskach... to co z nich zostało... będziemy wiedzieli na pewno, ilu pistoletów użyto.

– Jutro rano postaram się przyjechać i zobaczyć to na własne oczy – zapowiedziała Katie. – A tymczasem bardzo dziękuję.

Zeszła do bufetu i kupiła sobie latte oraz kanapkę z sałatką z kurczaka. Zdążyła zjeść dwa kęsy, kiedy zadzwonił Alan.

– Katie? Trafiłaś w dychę. Diamond Club przy Father Mathew Street, dwa numery od Gospel Hall. Chciałem za nim wejść, ale

w drzwiach stał odźwierny i nie chciał mnie wpuścić, chyba że zostanę członkiem. Mówię odźwierny, ale to był umięśniony neandertalczyk w smokingu. Bardzo był chętny, żeby od razu mnie zapisać, ale pomyślałem, że lepiej będzie, jeśli najpierw do ciebie zadzwonię. Twój chłoptaş James mógł nas zauważyć na komendzie, więc nie chciałem wchodzić do środka, bo jeszcze by mnie rozpoznał i pokrzyżował ci szyki.

– To fantastycznie, Alan, dziękuję. Pewnie by nie wiedział, kim jesteś, ale lepiej wybrać bezpieczniejszą opcję. Słuchaj, czy mógłbyś poobserwować ten obiekt przez godzinę, zorientować się, czy facet wychodzi? Zamierzam się tam wybrać.

– Żartujesz sobie, prawda? Rozpozna cię, jak tylko staniesz w drzwiach.

– Słowo ci daję, że nie rozpozna.

– No więc dobrze, skoro tak mówisz. Naprzeciwno Father Mathew Street jest wiata autobusowa. Usiądę tam i będę czytał gazetę, będzie wyglądało, że czekam na autobus.

– Alan... – Katie była świadoma, że traktuje go jak kogoś ze swojego zespołu detektywów, a nie chciała, by poczuł się poniżony. – Dzięki ci za wszystko. Naprawdę. Chodzi o to, że nikomu oprócz ciebie nie mogę ufać. Nie w tej chwili.

– Nic się nie przejmuj. Bylebyśmy tylko przygwoździli Dużego.

Wezwała taksówkę i dopiła szybko kawę, mimo że nadal była za gorąca. Zostawiła resztę kanapki. I tak jadła ją tylko na wypadek, gdyby później miała poczuć głód.

W normalnych okolicznościach poprosiłaby któregoś z funkcjonariuszy, żeby ją podwiózł, ale nie chciała, by ktokolwiek w komendzie wiedział, dokąd zmierza – choć pewnie nikt nie odgadłby jej planów. Bóg lub los podsunął jej cenną poszlakę, która mogła dopomóc w ocaleniu Johna i Kyny, a ona nie chciała jej zmarnować.

Przed komendą czekała na Katie czerwona taksówka Sun Cabs. Drogę do St Patrick's Street mogła pokonać pieszo w niespełna dziesięć minut – tyle, co trwał dojazd tam – ale

wieczorne powietrze wciąż było wilgotne, a nie chciała zjawić się na miejscu zaczerwieniona i zgrzana.

Wysiadła przed centrum handlowym Brown Thomas.

Wnętrze było jasne od świateł i pachniało perfumami. Wjechała ruchomymi schodami na piętro, do sklepu z damskimi ciuchami. Płynnym krokiem wyszła jej naprzeciw chuda ekspedientka w średnim wieku, z anielskim uśmiechem i złożonymi dłońmi.

– Tak, proszę pani? Poszukuje pani czegoś konkretnego?

Wyglądała tak świątobliwie, że Katie aż korciło, żeby odpowiedzieć: „Zbawienia”. Ale tylko ściągnęła brwi i spojrzała na wieszaki pełne eleganckich sukienek.

– Czegoś przykuwającego wzrok, wie pani, co mam na myśli? Seksownego i trochę dla mnie za młodego.

– Przykuwającego wzrok? Rozumiem. Ma pani jakieś preferencje co do stylu bądź koloru?

– Chyba czerwony. Tak, czerwony byłby doskonały. I niech będzie krótka. Z odsłoniętymi ramionami. Krzykliwa. Taka, która mówi: „Spójrz na mnie, chcę się zabawić”.

Ekspedientka zamrugała.

– To tak tylko, dla wygłupu – rzuciła Katie. – Robimy sobie babską imprezkę.

– Rozumiem. Hm... wobec tego może zerknęłaby pani na sukienki Carven? Niektóre bardzo przykuwają wzrok. I są... zabawowe.

W niespełna pięć minut Katie wybrała szkarłatną sukienkę mini z tafty. Była bardzo krótka, powiewna na dole, na górze odsłaniająca lewe ramię.

– Jest krzykliwa, prawda? – powiedziała ekspedientka, kiedy Katie wyszła z przebieralni i zakręciła się przed lustrem. – Ale nie za młoda dla pani. Powiedziałabym nawet, że wygląda w niej pani jeszcze młodziej.

Sukienka kosztowała trzysta dziewięćdziesiąt euro, lecz Katie zamierzała ją odnieść nazajutrz, kiedy przestanie być potrzebna. Zapłaciła i zeszła na parter do sklepu z butami, gdzie kupiła do kompletu czerwone szpilki Kurta Geigera. Ich cena wynosiła sto

dwadzieścia euro, ale pomyślała, że je sobie zachowa, bo pasowały do jej czerwonej sukienki z zamszu. Zawsze mogła je wpisać do rubryki wydatków zatytułowanej „Specjalne obuwie do akcji pod przykryciem”.

Spojrzała na zegarek. Zakupy trwały już dwadzieścia pięć minut, a nie chciała, żeby Alan długo czekał na przystanku. Kupiła za czterdzieści pięć euro niesfornie wyglądającą blond perukę i poszła z torebkami do damskiej toalety; zamknęła się w kabinie i przebrała. Usłyszała cichy płacz kobiety dochodzący zza przepierzenia; w normalnych okolicznościach zapytałaby, co się stało, ale nie miała czasu.

Do centrum handlowego weszła jako bizneswoman z ciemnorudymi włosami, ubrana w popielaty kostium. Wychodząc na St Patrick’s Street, wyglądała jak blond ekshibicjonistka w prowokacyjnej szkarłatnej sukience, gotowa zaszaleć. Nie zmieniła jeszcze butów. Wiedziała, że prędzej dojdzie pieszo na South Mall, gdzie czekał na nią Alan, niż dojedzie taksówką, a nie chciała się chybotać na dziesięciocentymetrowych szpilkach. Na Winthrop Street paru młodych mężczyzn obejrzało się za nią, rozległy się dwa czy trzy gwizdy podziwu. „Hej, skarbie! – krzyknął ktoś. – Nie poszłabyś ze mną do Voodoo Rooms?”

O, tak, pomyślała Katie. Już sobie wyobrażam, co by twoi koledzy powiedzieli, gdybyś przyprowadził policjantkę do jednego z najbardziej szalonych klubów nocnych w Cork.

Skręcając w South Mall, zobaczyła Alana, który siedział pod szklaną wiatą na przystanku autobusowym. Trzymał w ręce gazetę i długopis; udawał, że rozwiązuje krzyżówkę, Katie widziała jednak, że obserwuje, co się dzieje po drugiej stronie Father Mathew Street.

Założyła złote okulary przeciwsłoneczne z różowymi szklami i usiadła obok niego. Zerknął na nią, lecz od razu spojrzał znów na krzyżówkę.

– Co słyhać, kochanie? – odezwała się gardłowym głosem. Uniósł głowę i popatrzył.

– Jezu, Katie! Myślałem, że mnie zaczepiasz! Już ci miałem powiedzieć, że mnie na ciebie nie stać!

Gapił się na nią i kręcił głową.

– Ale z ciebie superlaska, nie ma co! Gdybyś nie otworzyła ust, mógłbym koło ciebie siedzieć cały wieczór i bym cię nie poznał.

– I o to chodzi. Wejdę teraz do Diamond Club i zobaczę, co uda mi się wywiedzieć o Jamesie Elvinie. To chyba moja pierwsza robota pod przykryciem od siedmiu lat.

– A ja? Co ja mogę zrobić?

– Niewiele więcej, Alan, aż do jutra. Wtedy się przekonamy, czy wszystko zaczyna się składać. Jeśli w ogóle się złoży. Trzymam kciuki za to, żeby pewni ludzie postępowali zgodnie ze swoim charakterem, ale jak wiesz, nie zawsze tak robią.

– Och, wiem o tym świetnie, uwierz mi. W takim razie pójdę i zarezerwuję sobie pokój w Jury's. Chcesz, żebym wziął te torby?

– Możesz spędzić tę noc u mnie w domu. Nie musimy... no wiesz.

Wsunął gazetę do kieszeni marynarki i schylił się po reklamówki Katie.

– Nie, chyba lepiej nie. Co nie znaczy, że nie uważam, że wyglądasz oszalałająco. Przecież wiesz. I nie żebym nie chciał. Ale czasem myślę, że dwoje ludzi poznaje się i może się nawzajem pociągać, nawet silnie, a jednak nie są dla siebie odpowiedni. Kończy się tym, że później tylko ranią się bez żadnego powodu.

Katie zdjęła płaskie buty i wrzuciła je do reklamówki.

– To właśnie przydarzyło ci się z żoną... Jak ona miała na imię?

– Alison. Tak, mniej więcej. O mało byśmy się rozszarpali się na strzępy. Nie chciałbym przechodzić tego po raz drugi, Katie.

– Tak myślisz? Że rozszarpalibyśmy się na strzępy?

– Nie, raczej nie. Ale jestem po prostu ostrożny i tyle. Kto raz się sparzył...

Katie milczała. Nie oczekiwała, że zwiąże się z Alanem na dłużej, ale myślała, że to będzie coś więcej niż jednorazówka.

Było jednak jasne, że on boi się zaangażowania. Może to tłumaczyło, dlaczego wycofał się w ostatniej sekundzie, kiedy się kochali.

Podejrzewała jednak, że jest w tym coś więcej. Może nie poczuje się znów w pełni mężczyzną, dopóki nie przebiję harpunem swojego Moby Dicka. Bobby Quilty go zniszczył, a on w odwecie pragnął zniszczyć Quilty'ego, właśnie tego pragnął.

– Zadzwońię później – oznajmiła. – Może wpadnę do Jury's, jeśli nie będzie za późno, i moglibyśmy wypić drinka w barze.

Wstali i pocałował ją. Dotknęła palcami jego drapiącego policzka i spojrzała mu w oczy; chciała się przekonać, czy zdoła w nich wyczytać jego prawdziwe myśli, lecz spowijała je mgła. Takie samo odczucie miała w szare mgliste dni, kiedy patrzyła na ujście rzeki i nigdy nie wiedziała, gdzie jest ląd, a gdzie morze.



Katie przeszła na drugą stronę. Father Mathew Street była wąska, ciemna i pachniała wilgocią, po obu jej stronach stały wysokie budynki. Diamond Club znajdował się niemal w połowie jej długości; nad wejściem migał fioletowy neon. Za drzwiami wejściowymi był niewielki hol z fioletową wykładziną, recepcją i palmą w donicy; tam właśnie czekał neandertalczyk w smokingu, z dłońmi założonymi na genitalia. Mocno załatywało od niego płynem po goleniu.

– Szef u siebie? – zagadnęła go Katie.

– Możliwe. A kto chce wiedzieć?

– Pracy szukam jakby...

– A, pracy? Jako kto?

– Krupierka od blackjacka. Pracowałam w Gold Rush na MacCurtain Street, ale... no, po jakimś czasie miałam tam dosyć.

Bramkarz rozejrzał się po ulicy.

– Dobra. – Wziął telefon z biurka. – Panie Kerrigan? Jest tu dziewczyna, mówi, że jest krupierką od blackjacka i szuka roboty. Taak. Nie. Taak. No, powiedzmy, że nie wykopałby jej pan z łóżka za to, że je chipsy. No dobrze. Taak.

Mężczyzna odłożył aparat.

– Może pani wejść na górę. Pan Kerrigan jest trochę w tej chwili zajęty, ale nie powinna pani czekać dłużej niż dziesięć, piętnaście minut, tak mówi. Może pani przez ten czas wziąć sobie drinka na koszt firmy.

– Tak? A chipsy też?

– O chipsach nic nie mówił, tylko o drinku.

Katie uznała, że nie warto tłumaczyć żartu. Wspięła się wąskimi schodami, które biegły za recepcją. Za małym górnym podestem było wejście zasłonięte fioletową kotarą i sznurami zielonych szklanych paciorków. Weszła wśród ich grzechotania i znalazła się w długim, niskim pomieszczeniu z fioletową wykładziną; z sufitu zwisały fioletowe lampy Tiffany’ego. Wzdłuż ściany po prawej stronie były stoliki karciane przykryte czerwonym sukniem i połączone krzesła. Pośrodku stały dwa stoły do blackjacka, a na samym końcu znajdował się stół do ruletki.

Po lewej biegł bar, za którym stał niski, tęgi barman w białym smokingu. Wyrzucał w górę pieczone orzeszki i łapał je w usta, poruszając głową w jedną i drugą stronę niczym foka w popisie cyrkowym.

Było jeszcze wcześniej, toteż klub prawie ział pustkami. Czterech mężczyzn grało w pokera, sześciu lub siedmiu zebrało się wokół ruletki; byli z nimi trzy znudzone dziewczyny w wydekolowanych czerwonych sukienkach. Krupierka miała włosy zaczesane w stylu Amy Winehouse i nosiła obcisłą bluzkę z fioletowej satyny. Między dwiema dziewczynami, zwrócony bokiem do Katie, stał James Elvin. Poluzował sobie krawat, a jego czoło lśniło od potu. Jeden czy dwóch mężczyzn obejrzało się, kiedy Katie weszła do klubu, lecz uwagę Elvina przykuwała ruletka.

Kulka zaterkotała i znieruchomiała.

– Czerwone, dwunastka – ogłosiła krupierka.

James Elvin nie odezwał się, tylko uniósł pięść do ust i przygryzł kostki. Jeden z mężczyzn zakrzyknął z cicha.

Katie podeszła do baru. Barman chybił przy łapaniu ostatniego orzeszka i orzeszek odbił się od blatu.

– Szszlag – powiedział. – Wybacz, dziewczyno. Co tam słyhać?

Był zezowaty, więc Katie trudno było ocenić, czy patrzy prosto na nią. Górną wargę zdobił wąski czarny wąsik, który mąż Katie, Paul, nazywał „spragniona brewka”. Jego fioletowa muszka na gumce była tak utłuszczona, że zrobiła się prawie czarna.

– Co ci mogę podać?

– Wódkę z tonikiem, jeśli wolno, kolego – odparła Katie z wysokim zaśpiewem z Mayfield. Diamond Club, podobnie jak szereg innych kasyn w Cork, nie miał zezwolenia na sprzedaż alkoholu, lecz barman wyjął z oświetlonej neonem szafki na ścianie dużą butelkę smirnoffa i nalał do szklanki solidną porcję; następnie dolał toniku z Tesco i wrzucił sfatygowany plasterek limonki.

– Pierwszy raz tu jesteś? – zapytał, kiedy usiadła na stołku, skrzyżowała nogi i podwinęła brzeg sukienki. – Nie widziałem cię tu jeszcze.

– Pomyślałam, że spróbuję. – Odchyliła okulary na perukę. – Myślałam że zanudzę się na śmierć w Bank i Gold Rush, czujesz? Co wieczór te same stare gęby.

– No, tu też są stali oczywiście – powiedział barman. – Ale wieczorami przeważnie robi się żywiej, w weekendy też.

Katie się rozejrzała.

– Tak, podoba mi się. Ma to... jak to się nazywa... no wiesz? Klimat.

– No i dobrze, nie? Bo inaczej byśmy się, kurde, zanudzili na śmierć – podchwycił barman.

Żartowniś, pomyślała Katie. Boże, oszczędź.

– Jak ci na imię? – zapytała.

– Bertie... to moje imię... Bertie. Ale wszyscy wołają na mnie Wąsik.

– Miło cię poznać, Bertie. Ja jestem Nessa.

– Miło cię poznać, Nessa. Więc co porabiasz, Nessa, oprócz tego, że byłaś krupierką? A może jesteś wolną kobietą?

– Bym chciała. Pracuję teraz w Clarion. Jestem recepcjonistką. No co, muszę jakoś wiązać koniec z końcem, czaisz? Rozeszliśmy się z mężem, będzie już pół roku, a on nie pali się do tego, żeby mi zapewnić utrzymanie.

– Przykro słyszeć – powiedział Wąsik. – Więc pewnie chcesz sobie dorobić, stojąc przy stolikach?

– To też, a oprócz tego złapać dzianego przystojniaka, który weźmie mnie pod swoje skrzydła na resztę życia.

Barman zatoczył wzrokiem po klubie i pokręcił głową.

– Na razie nie ma nikogo, kto by do tego rysopisu pasował, dziewczyno. Będziesz musiała poczekać na najpóźniejszy rzut klienteli. Jest jeden dealer samochodowy, przychodzi zwykle koło jedenastej, Paddy McGuigan. Może ci się spodobać.

Wątpię, pomyślała Katie. Kiedy była detektywem w stopniu sierżanta, aresztowała Paddy’ego McGuigana za przekręty na odszkodowaniach ubezpieczeniowych.

Skinieniem głowy wskazała stół do ruletki.

– Ten blond koleś tam, między tymi dwiema laskami. Przystojny facet.

Wąsik prychnął z rozbawieniem, a potem skinął na Katie, żeby przysunęła się do baru.

– On by ci nie przypasował, kotku, i to z dwóch powodów – powiedział konfidencjonalnie. – Raz, że zawsze przegrywa, i to grubo. Przychodzi co wieczór, a jak wychodzi, to jest lżejszy o setki, czasem tysiące jojo. Ale na jego korzyść muszę przyznać, że zawsze wraca następnego dnia i ma kasę na wyrównanie. Nie powiem ci, skąd ją bierze, ale nie z gry w ruletkę, to wiem na mur.

– Czyli musi mieć kasę – stwierdziła Katie. – Nie wadzi mi, że gość przegrywa, byleby miał co przegrywać.

– Taak, ale on by ci nie pasował jeszcze z jednego powodu. Bo to gej, na sto procent.

– No kitujesz, nie? On? Wcale nie wygląda.

– Uwierz mi na słowo – zapewnił Wąsik. – Lubi chłopaczków, bez dwóch zdań. Przychodzi czasem z innymi gejami i rąk nie

mogą od siebie oderwać. Nakryłem go kiedyś nawet, jak przelatywał jakiegoś facia w kiblu.

– Co za marnotrawstwo!

– Nie ty pierwsza to mówisz, dziewczyno, i nie ostatnia pewnie. Dziwię się, że pan Kerrigan go czasami toleruje, zwłaszcza jak gość zaliczy parę drinków i świruje jak czubek jakiś. Nie wiem, jak on zarabia na życie, ale ma wysoko postawionych kolegów, tak myślę, i dlatego pan Kerrigan się na niego nie skarży, nigdy.

– No cóż... Tajemnicze są drogi Pana naszego.

– Jak tam twój drink? Dolewkę pewnie byś chciała, co?

– Nie, dobrze jest – odparła, choć zapewne drugi drink by jej nie zaszkodził. Tonik zwietrzył, a wódka była rozwodniona.

– Ten starszawy gość naprzeciwko twojego faworyta, ten jest dziany – odezwał się barman.

Katie uważnie obserwowała Jamesa Elvina i ledwie słyszała słowa. Kulka zaterkotała, krupierka obwieściła zwycięski numer, a Elvin znów przygryzł kostki dłoni.

– ...a na dodatek zawsze ma passę – ciągnął barman. –

Bogatemu chłopu to zawsze obrodi. Zapytałem go kiedyś, po co przychodzi dzień w dzień, bo przecież kasy mu nie potrzeba. A on na to, że próbuje trzymać się z dala od klubu, ale nogi same go tu przynoszą. Klubowe nogi ma niby. Jarzysz? Tak jakby miał...

– Przepraszam? – odezwała się Katie.

Wąsik już miał zacząć opowieść od nowa, kiedy drzwi obok stołu do ruletki otworzyły się i buchnął z nich kłęb dymu. W drzwiach stanęło dwóch mężczyzn, obaj palili papierosy; włożyli je do ust i uścisnęli sobie dłonie.

Jeden z mężczyzn był wysoki i chudy, miał bujne, zaczesane do tyłu, falujące rude włosy, siwiejące na bokach. Był w kremowym garniturze z poduszkami na ramionach, który miał co najmniej piętnaście lat. Katie domyślała się, że jest to Fintan Kerrigan, właściciel Diamond Club, a w każdym razie jego

menedżer. Drugim mężczyzną, ubranym w garnitur z jasnozielonego lnu, był Bobby Quilty.

Katie siedziała dalej na stołku, ale opuściła na oczy okulary z różowymi szklami.

– Może orzeszków? – zaproponował Wąsik. – Mam naturalne albo z chili.

– Nie, dzięki – odparła.

Quilty zamienił ostatnich kilka słów z Kerriganem, po czym uniósł rękę jak w salucie i odszedł, mijając po drodze stół do ruletki. Zatrzymał się obok Jamesa Elvina. Coś powiedział, tamten zareplikował, a Katie bardzo żałowała, że nie potrafi czytać z ruchu warg.

Przed odejściem Quilty położył ręce na ramionach Elvina i uściśnął go jak ojciec syna albo jak trener drużyny piłkarskiej swojego ulubionego zawodnika.

Podszedł do baru.

– No i co tam, Wąsik? – rzucił głośno. – Jak tam fałdy na brzuchu?

– O, super jest, Duży – odrzekł barman. – Walniesz coś przed wyjściem?

Quilty stał teraz obok Katie; był tak blisko, że czuła jego zapach. Dym z papierosa wysnuwał się z jego nosa niczym z nozdrzy smoka.

– Hm, widzę, że mamy tu coś lepszego niż twoje typowe cichodajki. – Wyszczrzył do niej zęby i wypuścił przez nie dym.

Katie milczała.

– Bobby, to jest Nessa – odezwał się Wąsik. – Znudziło jej się w Bank, więc przyszła, żeby spróbować u nas. Teraz jest posucha, ale powiedziałem jej, że później się rozbuja.

– Szkoda wielka, że nie mogę zostać – oznajmił Quilty, przechylając głowę i wcale nie kryjąc, że próbuje zajrzeć Katie w dekolt. – Inaczej bym powiedział, że jesteś wyrwana.

Nadal się nie odzywała. Quilty gapił się na nią dalej, jakby podejrzewał, że już ją gdzieś widział, ale nie wie, gdzie i kiedy.

– Język ci wcięło, Nessa? Nie co dzień mówię kobiecie taki komplement.

Poczuła, że ściska ją w piersi. Miała pistolet w torebce obok kosmetyczki, a mimo to czuła się zagrożona. Przerażenie budziła potężna sylwetka Quilty’ego, a także jego oczywista pewność, że wolno mu powiedzieć wszystko do każdego. Przypomniało jej się to, co czytała w szkole o rzymskim cesarzu Kaliguli, który w czasie kolacji oznajmił gościom, że może w każdej chwili kazać zabić dowolnego z nich bez żadnego powodu, dlatego tylko, że naszła go ochota.

– A co byś chciał usłyszeć? – Trochę przesadziła z akcentem z Mayfield, który imitowała już podczas rozmowy z Wąsikiem.

Quilty spojrzał na nią, zwięzając oczy.

– Pewna jesteś, że się nie znamy? – spytał.

– Chybabym cię zapamiętała, facet. Niełatwo cię zapomnieć, co?

Nastąpiła długa pauza.

– Zdejmij no te szkiełka – powiedział Quilty.

– Taa, akurat.

– Zdejmuj. Niech no na ciebie dobrze spojrzę.

Wyciągnął rękę do jej twarzy, ale Katie była szybsza. Chwyciła go bardzo mocno za nadgarstek, wbijając nasadę kciuka w ścięgna jego ręki.

Chwila była bardzo napięta. Quilty usiłował zbliżyć rękę do jej twarzy, lecz Katie mu na to nie pozwoliła. Milczał, ale miała wrażenie, że słyszy jego myśli: Skąd ta cichodajka ma taki refleks i tyle siły?

Uniósł nieco lewą rękę i przez ułamek sekundy Katie bała się, że będzie chciał ją walnąć. Na szczęście w tej chwili zagrzechotała kotara z paciorków i wszedł siwy mężczyzna w brązowej marynarce.

– Szefie? Samochód czeka, ale blokuje ulicę i policjanci kazali mi go przestawić.

– Dobra, już idę – rzucił Bobby Quilty.

Przestał napierać i Katie puściła jego nadgarstek. Dalej jednak wlepił w nią oczy, jakby miał w nich rentgen i mógł zobaczyć, jak wygląda bez okularów.

– Jestem, kurwa, pewny, że cię znam.

– Może znasz, może nie znasz.

Gapił się na nią jeszcze przez chwilę, a potem odszedł, tupiąc nogami; przebił się jak taran przez zasłonę z paciorków i zszedł za kierowcą na dół.

– Powodzenia, Duży! – krzyknął Wąsik, po czym odwrócił się do Katie. – Jezu, co to niby miało znaczyć? Żebyś tylko tak nie działała na każdego faceta, który tu przyjdzie!

Do baru podszedł Fintan Kerrigan.

– Ty jesteś tą młodą damą, która szuka pracy, tak?

Barman spojrzał na nią ze zdumieniem, lecz Katie zsunęła się ze stołka.

– Dzięki za drinka, Wąsik, i za ploty – powiedziała i podążyła za Kerriganem do jego biura.

Rozdział 37

Rozmowa kwalifikacyjna w sprawie posady krupierki trwała, zgodnie z oczekiwaniami Katie, niespełna pięć minut; bez względu na to, jaką pensję chciał jej zaproponować Fintan Kerrigan, zamierzała mu odpowiedzieć, że to za mało.

– Do tego dojdą ci napiwki – próbował ją zachęcić, zapalając następnego papierosa i rozpierając się na czarnym skórzanym fotelu. – Ładna dziewczyna taka jak ty powinna zarobić co najmniej dwa razy tyle, ile będę ci płacił. A w dobry wieczór znacznie więcej.

– A jak będzie bardzo spokojnie, tak jak dzisiaj? To co wtedy?

– Wcześniej jeszcze jest. Później lokal się zaczerni.

– Wąsik też tak mówił. Ale nie wiem... I mówisz, że będę musiała się ubierać na fioletowo? Fiolet nigdy mi się nie podobał.

– Wszystkie dziewczyny u mnie tak się ubierają, to jest Diamond Club.

– Muszę to przemyśleć. Fiolet... wiesz... Wcale mi nie pasuje. Kojarzy mi się z pogrzebami, jarzysz?

Fintan Kerrigan oparł się na fotelu, dym z jego papierosa snuł się do góry.

– Ty nie chcesz naprawdę tej roboty, co? – zapytał po chwili.

– Niby co to znaczy?

– Przysłał cię Denny z Bank, prawda? Chce wybadać, ile teraz płacę moim krupierkom.

– Wcale nie.

– O, tak, kurwa. Uważasz mnie za ćwoka? Wynocha mi stąd! I płacisz dychę za drinka.

Katie wstała, otworzyła torebkę i rzuciła na biurko dwa banknoty po pięć euro.

– Woda podrożała ostatnio, że strach, co?



Spotkała się z Alanem w barze hotelu Jury's. Wyglądał na steranego, ona zaś wcale nie czuła się zmęczona. Może podziałała na nią stymulująco sukienka, nowe szpilki i fantazyjna blond peruka. Przez trzy godziny zaliczyła więcej komplementów i pełnych podziwu spojrzeń niż w ciągu minionych trzech miesięcy. Może blondynkom naprawdę weselej się żyje, zwłaszcza jeśli noszą bardzo krótkie czerwone kiecki.

– Wcale mnie to nie zaskakuje, że Bobby Quilty cię nie rozpoznał – powiedział Alan, nalewając sobie piwa do szklanki. – Sam ledwo cię rozpoznałem.

– Cieszę się z tego jak cholera – odparła Katie. – To mogło wszystko popsuć. Może dodaję dwa do dwóch i wychodzi mi pięć i pół, ale wydaje mi się, że mam aż nadto dowodów, że albo James Elvin, albo sam Jimmy O'Reilly dawali cynki Quilty'emu. A możliwe, że obaj.

– Tak to wygląda, zgadzam się. Ale nawet jeśli, to co planujesz z tym zrobić? Jeżeli teraz wskażesz ich palcem, po prostu się wyprą. I nie mów mi, że Quilty pożyczał O'Reilly'emu gotówkę, którą można namierzyć. Gdybyś nie zobaczyła i nie podsłuchiwała O'Reilly'ego i Elvina, nigdy byś nie zgadła, co jest grane, prawda? Poza tym sama powiedziałaś, że nie wykluczasz, że mogłaś źle zinterpretować to, co mówili i jak się zachowywali.

– Wiem – przyznała. – Ale jestem pewna, że się nie pomyliłam i że mogę to udowodnić. Dni Jimmy'ego O'Reilly'ego są policzone, zapamiętaj moje słowa. A wydaje mi się, że mogę przy okazji przyszpilić Quilty'ego.

– No więc co zamierzasz? – spytał Alan. – Zdaję sobie sprawę, że bardzo się martwisz o Johna i Kynę, ale czy nie przesadzasz z pośpiechem? Jeśli zgarniesz Quilty'ego, musisz mieć pancerne dowody, na sto dziewięćdziesiąt procent, bo inaczej jego

adwokaci zrobią z ciebie miazgę. Mówię to z własnego gorzkiego doświadczenia.

– Sam mi powiedziałaś, że Bobby Quilty zna prawie wszystkich na Północy. Jak podejrzewam, dotyczy to także prawie całej IRA i wszystkich paramilitarnych ugrupowań lojalistycznych.

– Oczywiście, że tak. Dobrze wiesz, że należał do Provosów, dopóki nie złożyli broni, w każdym razie nie złożyli oficjalnie. Później przyłączył się do Prawdziwej IRA, ale doszło między nimi do sporu o to, kto czym rządzi, zwłaszcza jeśli idzie o finanse. Wtedy nagle odkrył, że może dalej prowadzić walkę, a przy okazji zarobić dla siebie masę forsy. I stąd wzięła się Autentyczna IRA.

Alan wziął łyk piwa.

– Wierz mi, Katie, ja bym nie powiedział, że zna się z prawie wszystkimi ugrupowaniami paramilitarnymi. On zna tam z imienia każdego jednego koleś. Nie tylko tych, którzy noszą broń, ale synów i córki mężczyzn noszących broń, babcie i dziadków mężczyzn noszących broń i ich złote rybki. Zna wszystkich po obu stronach: republikańskich i pomarańczowych, i wszystkie odcienie pośrednie. Jeśli przypadkiem nie zna kogoś osobiście, będzie go znał jeden z jego przybocznych.

– Na to właśnie liczyłam – rzuciła Katie. – Jeżeli zna tyłu lojalistów, to zapewne będzie wiedział, kto zastrzelił Dohertych.

– O, na pewno. Zabójcy pochwalili się w liście, kim są, prawda? Napisali *Quis separabit?*, nie podpisali się tylko nazwiskami. I wierz mi, jeszcze głośniejszą będą się tym chełpili w Falls Road czy Sandy Row albo tam, skąd pochodzą. Quilty wkrótce się o nich dowie, jeśli już nie wie. Co nie znaczy, że podzieli się tą wiedzą z tobą albo z policją z Irlandii Północnej. Bo ma to w nosie.

– A gdybym tak to urządziła, żeby nie miał w nosie?

– Słucham? Nie nadążam za tobą. Jak można nakłonić gnoja bez serca, takiego jak Bobby Quilty, żeby zależało mu na czymś, co w najmniejszym stopniu go nie dotyczy?

– Masz rację, nie da się – przyznała Katie. – W normalnych okolicznościach. Ale przypuśćmy, że morderstwa Dohertych by go dotyczyły, i to osobiście? A gdyby Doherty'owie byli z nim spokrewnieni, gdyby byli jego dalekimi krewnymi? Jak by wyglądał Duży, gdyby pozwolił, żeby banda lojalistów zastrzeliła z zimną krwią czwórkę jego krewnych i nie poniosła za to kary?

– To jasne – odparł Alan. – Wytropiłby ich i rozwalił im łby. Ale drobny problem polega na tym, że oni nie byli z nim spokrewnieni, prawda? – Zrobił krótką pauzę i spytał: – Bo nie byli, prawda?

– To bez różnicy – odrzekła Katie. – Jeśli tylko Bobby Quilty uwierzy, że byli...

– Jak go o tym przekonasz? Nie możesz ogłosić mediom, że byli jego krewniakami. Poza tym rodzina Dohertych mogłaby łatwo sprawdzić w Generalnym Urzędzie Osobowym, że ściemniasz. A na tym twoja opinia by ucierpiała, prawda?

– Pamiętaj, że większość irlandzkich akt publicznych przepadła podczas spalenia czterech sądów w tysiąc dziewięćset dwudziestym drugim, więc nie powinno być bardzo trudno okazać nieco kreatywności, jeśli chodzi o drzewo genealogiczne Dohertych. Poza tym nie ujawniłabym tego mediom.

Poinformowałabym o tym zastępcę komendanta głównego Jimmy'ego O'Reilly'ego. Nikogo innego, tylko jego.

– O Jezu, a ja myślałem, że moja Alison jest przebiegła. A jeśli to nie O'Reilly jest wtyką?

– Wtedy będę musiała się postarać, żeby Quilty dowiedział się inną drogą.

– I co później?

– Jeżeli postąpi zgodnie ze swoim charakterem, na co liczę, dopadnie morderców. Przed wykonaniem egzekucji będzie chciał im wygłosić swoją perorę. Jemu nie chodzi tylko o to, żeby być kimś ważnym, ale i o to, by cała Irlandia o tym wiedziała.

– Czy ja dobrze rozumiem, Katie? Zamierzasz podsunąć fałszywą informację Quilty'emu i liczysz na to, że doprowadzi cię do tych, którzy zamordowali Dohertych?

– Otóż to. Powinieneś być gliną, wiesz?

Alan zignorował tę lekką drwinę i otworzył usta ze zdziwienia.

– On ich zabije. Ukatrupi ich, a ty będziesz za to odpowiedzialna. Nie dość, że zniszczysz sobie karierę, to jeszcze możesz wylądować w mamrze.

– Nie pozwolę mu ich zabić. My mu nie pozwolimy, ty i ja. Możemy go wyśledzić i powstrzymać, zanim będzie za późno. A wtedy dowiemy się, kto zastrzelił Dohertych, aresztujemy ich i dopadniemy Quilty’ego za usiłowanie zabójstwa.

– Na miłość boską. A jeśli ani Jimmy O’Reilly, ani James Elvin nie są wtykami? Jeżeli zwęszą pułapkę i nie powiedzą Quilty’emu, że jest spokrewniony z Dohertymi? Jeśli mu nie powiedzą z jakiegokolwiek innego powodu? Albo mu powiedzą, a on będzie miał to gdzieś?

– Wtedy będę musiała ciągnąć śledztwo w sprawie zabicia Dohertych zwykłym, mozolnym trybem. Ale w takiej sytuacji wykrycie sprawców będzie praktycznie niemożliwe, zwłaszcza jeśli przyjechali z Północy. Będzie mi potrzebna pełna współpraca SPIP, ale nie sądzę, żeby oni byli szczególnie wstrząśnięci, że w Cork zastrzelono paru katolików. I wciąż nie będę miała nic na Bobby’ego Quilty’ego.

– Tak wiele jest tych znaków zapytania, Katie, to mnie martwi – powiedział Alan. – A jeżeli Quilty nie będzie osobiście ścigał zabójców Dohertych? Jeśli zadzwoni do któregoś ze swoich pomagierów w Belfaście i każe mu załatwić brudną robotę? I ci zabójcy zostaną zastrzeleni i pogrzebani pod podłogą tak jak Langtry’owie i Doherty’owie, i nikt ich nie znajdzie przez następne dziewięćdziesiąt lat?

– Alan, ja muszę coś przedsięwziąć. Nie mogę po prostu dreptać z samymi dowodami z kryminalistyki i zeznaniami świadków i liczyć na łut szczęścia. Już mi się trafił, bo podsłuchałam rozmowę O’Reilly’ego i Elvina. Muszę spróbować to wykorzystać, nawet jeśli mi się nie powiedzie. Jeżeli coś się stanie Johnowi i Kynie, a ja nawet nie podejmę próby...

Alan wyciągnął rękę nad stolikiem i ujął ramię Katie.

– W porządku, jestem z tobą. Sądzę, że pomysł jest szalony, kompletnie wariacki, i może się okazać niebezpieczny. Ale jestem gotów z tobą spróbować, ubezpieczać cię i pilnować, żeby nic ci się nie stało. Kiedy zamierzasz powiedzieć O'Reilly'emu, że Quilty jest spokrewniony z Dohertymi?

– Rano jadę do kostnicy i pomówię z doktor Kelley, patolożką. Powiem mu, jak wrócę na komendę. On i tak jest jutro w Limerick na pogrzebie funkcjonariusza, wróci najwcześniej o czternastej.

– Żałuję, że zostaję tutaj na noc i nie jadę do ciebie – powiedział Alan. Katie miała wrażenie, że jest przygnębiony i zmęczony; wyglądał starzej niż wtedy, gdy go pierwszy raz zobaczyła na komendzie przy Anglesea, ubranego w prochowiec błyszczący od deszczu.

Prawie miała w uszach słowa babci Aileen, która mawiała zawsze: „Takie po prostu jest życie. Miele cię jak kamień młyński, dzień po dniu, tydzień po tygodniu, rok po roku, aż pewnego dnia jesteś zmielona na proch. Wiatr tylko dmuchnie – szuu! – i znikasz na dobre!”.

– Proszę – odezwał się Alan, podając jej reklamówki oparte o nogi krzesła. – Będzie lepiej, jeśli odzyskasz swoją prawdziwą tożsamość.

Rozdział 38

Jadąc wieczorem do domu, Katie zatrzymała się przed domem ojca w Monkstown, żeby sprawdzić, jak dochodzi do siebie po niedawnym zabiegu usunięcia halluksa. Ze zdziwieniem zobaczyła, że podjazd blokuje zielony hyundai jej siostry Moirin; swój samochód musiała zaparkować na ulicy.

Nacisnęła dzwonek i otworzyła jej młodsza siostra, Siobhán. Była wyższa od Katie, pulchniejsza i miała burzę kręconych rudych włosów. Miała na sobie różową bluzkę z krótkimi rękawami i dzinsy, a włosy zaczesła do tyłu; od dawna tak ładnie nie wyglądała.

– Katie! – pisnęła, porwała siostrę w ramiona i nie chciała jej puścić. Ta po chwili złapała oddech i powiedziała:

– Ja też cię kocham, Siobhán, naprawdę, ale chcę wejść i zobaczyć tatę.

– Mam teraz kotka. – Siobhán wzięła Katie za rękę; ruszyły korytarzem w kierunku salonu. – Nasi sąsiedzi, Finneganowie, mieli pięć kociąt, sześć właściwie, ale jedno umarło. Dali mi jedno za darmo.

Katie widziała, że w domu była sprzątaczką, Bláithín, bo pachniało lawendowym środkiem do czyszczenia mebli, a na parapecie stał wazon świeżych pomarańczowych gladioli. Ojciec siedział w kuchni, a Moirin hałaśliwie zmywała naczynia w zlewie.

– Nie wstawaj, tato – powiedziała Katie.

Ucieszyła się, widząc, że jego policzki trochę się zaróżowiły i przybrał nieco na wadze, od kiedy widziała go ostatnio. Pod jasnoszarym swetrem pojawiły się nawet zaczątki brzuszka.

Przypisała to temu, że Bláithín dbała o jego posiłki; gotowała w klubie Roaring Donkey, który znajdował się niedaleko domu Katie, przynosiła mu więc zapiekanki i puddingi, które zostały w kuchni.

– Jak tam twój halluks? – zagadnęła Katie, a on dźwignął prawą nogę, pokazując grubo obandażowaną stopę.

– W ogóle nie mam już halluksa, dzięki doktorowi Murphy’emu. Jak tylko się zagoi, będę mógł nosić buty w tym samym rozmiarze. Ostatnio musiałem zawsze kupować dwie pary i chodziłem w ósemce na jednej nodze, a w dziesiątce na drugiej.

– Mówiłam ci, że mam kotka? – zapytała Siobhán.

– Tak, kochanie, mówiłaś – odparła Katie. – Jak ma na imię?

– Żyrafa Zebby.

– Wyjątkowo dziwne imię dla kotka. Jakie ma umaszczenie?

– To jest ona. Ma szaro-czarno-białe paski i różowy nosek.

I różową dziurkę w pupci.

– Siobhán – napomniała ją Moirin.

Siobhán skończyła już trzydzieści lat, ale podczas pobytu u Katie napadła ją i mocno uderzyła młotkiem w głowę zazdrosna żona kochanka. Doznała nieodwracalnego uszkodzenia mózgu i umysłowo była na poziomie sześć-, siedmiolatki. Od tej pory opiekowali się nią Moirin i jej mąż Kevin.

– Cześć, Moirin, co nowego? – powiedziała Katie.

Starsza siostra wytarła ostatni miedziany rondel i powiesiła go obok innych, aż uderzyły o siebie i zabrzęczały. Zdjęła fartuch.

– Spóźniłaś się na kolację, Kathleen. Był pieczony kurczak.

– Nie przyjechałam na kolację. Chciałam zobaczyć, jak się czuje tata.

– No to dobrze. Bo i tak dla wszystkich by nie starczyło.

– A gdzie Kevin? Przeszła mu już ta straszna wysypka? Co było przyczyną, papryka?

– Już mu lepiej, ale bez obawy, niedługo znów dostanie na coś uczulenia. Na gluten, bluszcz albo paszteciki z wołowiną. Kevin

nigdy nie jest zadowolony, jeśli go coś nie swędzi. Pojechał do Waterford na konferencję agentów obrotu nieruchomości. Trzy dni spokoju. No, jeśli nie liczyć Siobhán.

– Znam jeden dowcip – oznajmiła Siobhán.

– To dobrze – powiedziała Katie. – Może nam opowiesz?

– O rany... – jęknęła Moirin. – Żałuję, że rzuciłam palenie.

– No, Siobhán. – Katie się uśmiechnęła. – Opowiedz nam ten dowcip.

Ta wstała jak uczennica podczas szkolnego występu.

– Starszy gość stoi sobie nad kałużą przed pubem. Trzyma kijek z kawałkiem sznurka na końcu i szarpie ten kijek raz w górę, raz w dół, o tak.

– No dobrze – wtrąciła Katie. – I co dalej?

– Podchodzi drugi facet. „Co pan robi?” „Ryby łapię”. Facetowi zrobiło się go żal, wziął go do pubu i postawił mu drinka. I pyta: „Ile pan dzisiaj złapał?” A ten starszy na to: „Pan jesteś numer osiem”.

Katie się roześmiała.

– To dobry dowcip, Siobhán. Kto ci go opowiedział?

– Pan, którego spotkałam w Ogrodzie Czasu. Moirin mnie tam zabiera. Są fontanny.

Moirin wyduła usta z dezaprobatą.

– Między nami mówiąc, chodziło mu nie tylko o to, żeby ją rozśmieszyć. Nie ma nic bardziej kuszącego niż umysł dziecka w kobiecym ciele.

– To mnie nie rozśmieszyło – wyznała Siobhán. – Nie rozumiem.

– Więc dlaczego, na Boga, powtarzasz ten dowcip każdemu, kogo spotkasz? – warknęła na nią siostra.

– Bo każdy się śmieje.

Moirin zakończyła zmywanie i przeszły do salonu. Katie naląła ojcu whisky, a sobie wódki z colą i usiadła obok niego na kanapie. Moirin zajęła się szydełkowaniem – robiła dla przyjaciółki czapkę z pomponem – Siobhán zaś usiadła na podłodze i bawiła się z dwiema lalkami przedstawiającymi

postacie z filmu *Kraina lodu*, Elszą i Anną; udawała, że rozmawiają ze sobą piskliwymi głosikami.

Ojciec ujął dłoń Katie.

– Co się stało, kochanie? Nie wpadłaś tylko po to, żeby zapytać o mój halluks, prawda?

– Tak mówisz, jakby mi na tobie nie zależało.

– Wiem, że ci na mnie zależy. Jesteś tutaj pierwsza, kiedy czegoś potrzebuję. Ale coś cię gryzie, prawda? Coś poważnego.

Nachyliła się do niego i bardzo cicho opowiedziała mu o Johnie i Kynie, o tym, że Bobby Quilty więzi ich w swoim domu w południowej części Armagh, oraz o swoim planie uratowania ich.

– Boję się, że wszystko zależy od urywka rozmowy, który podsłuchałam, stojąc przed drzwiami gabinetu Jimmy’ego O’Reilly’ego, i od odbicia w szybie biblioteczki. Może oni wcale się do siebie nie przytulali, tylko stali bardzo blisko siebie, ale z tamtego miejsca wyglądało to tak, jakby się przytulali.

– Ale Jimmy poszedł później i spotkał się z Quilty’em, prawda? A potem wrócił z reklamówką pełną pieniędzy?

– Nie wiem na pewno, czy to były pieniądze.

– Wątpię, by przyniósł kiełbaski. Och, Katie, czasem musisz zaufać instynktowi, i wydaje mi się, że w tym przypadku instynkt dobrze ci podpowiada.

– Boże drogi, taką mam nadzieję. Wszystko może się łatwo schrzanić i aż strach pomyśleć, co Quilty zrobiłby wtedy Johnowi i Kynie. Skopałam operację Trójzab i ani trochę nie dodaje mi to pewności siebie.

– Dobrze wiesz, że akcja poszłaby jak po maśle, gdyby ktoś nie uprzedził Quilty’ego. Działałaś zdecydowanie i śmiało. Zorganizowałaś wszystko w parę godzin. To była dobra policyjna robota, Katie, nie powinnaś w to wątpić.

– Dzięki za komplement, tato, ale policyjną robotę ocenia się po wynikach, a w tym wypadku była to całkowita klapa. Naprawdę nie wiem, czy powinnam ryzykować jeszcze bardziej, usiłując zgarnąć Quilty’ego i morderców Dohertych i za jednym

zamachem zdemaskować jeszcze Jimmy'ego O'Reilly'ego.
Martwię się, że może z tego wyjść ciąg dalszy operacji Trójzęb.

Ojciec zerknął na Moirin, która, jak się wydawało, była wciąż skupiona na robótce, nachyliła jednak lekko głowę w ich stronę, jakby chciała uchwycić rozmowę ojca i siostry. Siobhán śpiewała piosenkę *Let It Go*, fałszując falsetem, więc Moirin trudno było cokolwiek dosłyszeć. Katie wiedziała, że ojciec ufa jej starszej siostrze, podobnie jak wszystkim siedmiu córkom, ale wystarczyło, by ta wypowiedziała niewłaściwe słowo w obecności niewłaściwej osoby, i plan Katie mógłby się znaleźć w poważnym niebezpieczeństwie.

– Masz rację co do O'Reilly'ego – odezwał się, nie patrząc na nią, prawie z zamkniętymi ustami niczym brzuchomówca. – Oczywiście był zaledwie sierżantem, kiedy go znałem, ale zawsze krążyły o nim plotki. Nigdy nie widziało się go z dziewczyną, a w wolnym czasie był instruktorem skautów. Przepraszam, jeśli zabrzmiał to niepoprawnie politycznie, ale niektórzy na komendzie wołali na niego Jimmy O'Dupaili.

– Samo to, że należał do skautów, nie znaczy, że jest gejem albo że kogoś molestował – zauważyła Katie. – W Irlandzkim Ruchu Skautowskim obowiązują najściślejsze przepisy o ochronie dzieci. Wszystkich instruktorów prześwietla Centralna Jednostka Kontrolna Gardy, prawda? Nie wolno im włożyć mundurków, dopóki nie przedstawią dwóch rekomendacji.

– Jimmy O'Reilly jakoś prześlizgnął się przez sito – odparł ojciec Katie, wciąż na sposób brzuchomówcy. – Któregoś roku zdarzył się pewien incydent w czasie letniego obozu na wyspie Fota. Nie wiem dokładnie, o co go oskarżono, ale został zmuszony do odejścia ze skautów i trafił do jednostki w Limerick. Sprawę wyciszono, bo był sierżantem policji, ale na komendzie wszyscy wiedzieli.

– Ale był żonaty, prawda? – spytała Katie.

– Owszem, z kobietą, która pracowała w bibliotece w Dooradoyle. Miała na imię Beibhinn. Była o parę ładnych lat

starsza od Jimmy'ego i myślę, że straciła nadzieję na zamążpójście. Pamiętam, jak jedna dziewczyna powiedziała, że wolałaby już złożyć śluby zakonne, niż wyjść za najżałośniejszego geja w Irlandii.

– A więc raczej mamy pewność, że Jimmy O'Reilly jest gejem. Ale to jeszcze nie potwierdza mojego podejrzenia, że przekazuje informacje Quilty'emu.

Ojciec odwrócił się do Katie i spojrzał jej prosto w oczy.

– Jeśli się mylisz, to się mylisz i wkrótce się to okaże, jeżeli Bobby Quilty nie dobierze się do morderców Dohertych. Wtedy potrzebny ci będzie plan B. Ja mogę ci tylko poradzić, żebyś rozegrała sprawę w najgłębszej tajemnicy. Ten gość ze SPIP, który ci pomaga... Jak on się nazywa?

– Alan, były detektyw inspektor Alan Harte.

– Pewna jesteś, że możesz mu zaufać? Z tego, co mówiłaś, wynika, że on realizuje coś w rodzaju osobistej wendety na Quiltym. Jeżeli tylko to się dla niego liczy, może mu nie zależeć zbyt wiele na Johnie i detektyw sierżant Ni Nuallán. Więc na twoim miejscu bym na niego uważał. Skoro wylano go z policji, z jakiegokolwiek powodu...

Zamilkł na chwilę, po czym spytał:

– Ty go lubisz, prawda?

Katie machnęła nań ręką.

– Kto by chciał mieć za ojca byłego gliniarza? Boże, tato, czytasz we mnie jak w aktach dowodowych. Tak, lubię go. Ale owszem, masz rację, nie jestem go całkowicie pewna.

– Mam parę starych kontaktów w policji w Ulsterze, ludzi, którzy mogą go znać albo którzy mogą to i owo sprawdzić.

– No nie wiem, tato... Jeśli on pomyśli, że sprawdzałam go za jego plecami...

– Puszczaj! – śpiewała Siobhán coraz głośniej, prawie wrzeszcząc. – Jestem wiatrem i niebem! Nigdy nie ujrysz moich łez!

– Pewnie nie dasz rady zająć się nią przez dzień lub dwa, co Katie? – odezwała się Moirin. – Ta piosenka mnie rozwała!

– Bardzo bym chciała. Zamknę tylko śledztwo, nad którym teraz pracuję, i do ciebie dryndnę. Może wezmę ją do Kerry i zanocujemy w Parknasilla. Czasem foki wychodzą na brzeg zaraz koło hotelu, żeby się powygrzewać na słońcu. To by ci się podobało, prawda, Siobhán?

– Puszczaj! – zaśpiewała młodsza siostra, nie słysząc pytania; Elsa i Anna tańczyły w jej dłoniach w powietrzu. – Mróz nigdy mi nie przeszkadzał!

Rozdział 39

– Konam z głodu! – zawołał Chisel. Leżał na wznak na kanapie z gazetą „Racing Post”, którą miał rozpostartą na brzuchu; jego paluchy wystawały z dziur w skarpetkach, paznokcie domagały się obcięcia. – Zjadłbym dekoracje z karawanu, mówię ci!

– Znaczy chcesz, żebym ci coś ugotowała? – spytała Sorcia, która siedziała w fotelu przed telewizorem. Trzymała stopy oparte o puf pokryty skórą, jej żółty szlafrok był szeroko rozchylony. Niezapalony papieros poruszał się w ustach kobiety, kiedy mówiła.

– Nie, no skąd – prychnął Chisel. – Chcę, żebyś zatańcowała po pokoju, gwizdząc cipką melodię *Broad Black Brimmer*. A jak myślisz?

– I tak bym nie dała rady, bo mi tam teraz kwitnie. Poza tym nie chce mi się gotować i nie ma nic do ugotowania, poza puszką tuńczyka i buraczkami, co wyglądają jak dupa babci.

– Jezu, ale z ciebie, kuźwa, leń jest, Sorcia. Gdyby robota była w łóżku, tobyś na podłodze spała. Możesz zadzwonić do baru, żeby coś przynieśli, nie? Która godzina? Golden Wok będzie jeszcze otwarty.

– Albo Murphy’s chipper.

– Nie, ryby nie chcę. Jezu, przez cały dzień cię wachałem.

Sorcja wyłączyła fonię w telewizorze i sięgnęła po swój telefon komórkowy, który leżał na podłodze.

– Coś ci powiem, Chisel. W życiu, kuźwa, nie znałam takiego romantycznego faceta jak ty.

– Dla mnie chow mein z kurczakiem i żeberka chili. I nie zapomnij o ryżu z jajkami tak jak ostatnio.

Sorcja zadzwoniła do restauracji Golden Wok, a Chisel poszedł do kuchni i wziął z lodówki kolejne dwie puszki piwa. Otworzył je, dał jedną Sorcii, po czym położył się na kanapie i zapalił następnego papierosa.

– Co to za szajs oglądasz? – spytał.

– Nie wiem. Taki jakiś film o jednym gościu... jego brat jest trochę przymulony.

– Może włącz z powrotem głos, co?

– Nie jarzę, o czym oni, kuźwa, gadają, dlatego nie włączam.

– To dlatego, że z tobą też ciut nietęgo.

– Och, weź się odpindol.

– Ty byś mogła to zrobić, brudna zdziro, ale nie.

Sorcja już miała mu się odciąć, kiedy oboje usłyszeli, że drzwi na dole się otwierają. Otworzyły się i po chwili trzasnęły.

– Kto to?! – zapytał Chisel, siadając.

– A niby skąd mam wiedzieć? – odpowiedziała pytaniem Sorcia. – Nie zostawiłeś czasem otwartych?

– Nigdy nie wychodzę od frontu, nie? Zawsze od tyłu.

– To nie znaczy, żeś nie zostawił otwartych. Już ja cię znam.

Gaci byś zapomniał, gdyby ci się do dupy nie przylepiły.

Usłyszeli ciężkie tupanie stóp na schodach; były co najmniej dwie osoby, może trzy. Chisel wstał.

– Chryste, oby to nie były znowu gliny. Zostawiłem gnata na kiblu.

– Cały ty. – Sorcia usiadła i owinęła się dokładniej szlafrokiem.

– Kto tam?! – zawołał ściśniętym głosem Chisel. – To prywatna posesja! Wchodzicie nielegalnie!

Drzwi pokoju dziennego otworzyły się i wszedł Bobby Quilty. Był ubrany inaczej niż zwykle: miał na sobie czarny garnitur z szerokimi ramionami, białą koszulę z jedną połą wystającą ze spodni oraz pstrokaty czerwony krawat.

Cuchnął płynem po goleniu Davida Beckhama.

– Wiem, że to jest prywatna własność, Chisel – odezwał się z uśmiechem. – Bo to jest moja prywatna własność. Nie można nielegalnie wejść na swoją prywatną własność, co?

– O, to ty, Bobby! I co tam? Nie spodziewałem się ciebie dzisiaj.

Bobby Quilty skinął Sorcii głowę.

– W porządku, Sorcia? Dobry szajs ci dałem, co?

Ta jeszcze mocniej naciągnęła szlafrok na piersi.

– Mogłeś uprzedzić, Bobby. Bym się dla ciebie ubrała.

– Nie trudź się, lalka. Szczura byś z kanału wypłoszyła, obojętnie jak ubrana.

W normalnej sytuacji Sorcia by mu odpyskowała, ale wyczuła, że to nie jest wizyta towarzyska. Ostrożnie postawiła piwo na podłodze i wstała, nerwowo paląc papierosa krótkimi zaciągnięciami i wydmuchując dym na boki.

Chisel usiłował podejrzeć, kogo Quilty ze sobą przyprowadził. Dwaj mężczyźni stali na podeście schodów; obaj byli ogoleni na łyso, jeden miał na sobie czarną koszulkę z nadrukiem demonicznej twarzy, drugi zaś luźną dżinsową koszulę, która była na niego o dwa rozmiary za duża. Nie weszli do pokoju i nie odzywali się. Było ciemno, a ich twarze krył cień, lecz Chisel był pewny, że nigdy dotąd ich nie widział.

– Kogoś tam ze sobą ściągnął, Bobby? – zapytał, przekrzywiając głowę, żeby zobaczyć tamtych wyraźniej.

– Wspólnicy w interesach – odparł Quilty. – Bo ty i ja mamy mały interes do załatwienia.

– Co to za interes? Myślałem, że wszystko jest między nami wyrównane.

Quilty zrobił krok i położył rękę na kościstym ramieniu Chisela. Ten zerknął niepewnie, jak gdyby usiadło tam tłuste drapieżne ptaszysko.

– Prosiłem cię, żebyś coś zrobił, nie? Kiedy zabieraliśmy tego całego Johna Meaghery. Prosiłem cię, żebyś uprzątnął lokal, nie? Żeby psy się nie połapały, że go tu trzymaliśmy.

– Sprzątnęliśmy, Bobby. Wszystko żeśmy dokładnie wyszorowali, przysięgam na Boga. Wszystko żeśmy dokładnie wyszorowali, co nie, Sorcia?

Ta wypuściła dym i skinęła głową. Było po niej widać, że naprawdę się boi.

– Kłopot w tym, Chisel, że za słabo żeście szorowali. Bo widzisz, na wykładzinie w pokoju była plama krwi.

– Wiem, Bobby. Widziałem ją i szorowaliśmy. Nawet wybielaczem ją żeśmy szorowali... tę plamę. Jak skończyliśmy, tobyś nie poznał, że była tam wcześniej plama krwi.

Bobby się skrzywił.

– Może ty byś nie wiedział, że tak wygląda krew, ale gliny wiedziały. Pobrali próbkę, sprawdzili DNA i teraz mają dowód, że John Meagher tu był, i możesz się zarzekać ile chcesz, że go nie było.

– Nic na to nie mogłem poradzić, Bobby! Ja i Sorcia, my zrobiliśmy wszystko, żeby lokal był czyściutki. Ja nawet nie wiem, jak wygląda to D i A, bo tak to byśmy je też wyskrobali.

– To jest DNA i nijak, kurwa, nie wygląda, ty matole! To jest mikro-kurwa-skopia! Było zdjąć całą, kurwa, wykładzinę i wywalić ją na śmietnik!

– Nie miałem pojęcia, Bobby. Szczerze, na Boga, słowo... Jakbym wiedział, że tam jest coś mikroskopowego, tobym zdjął wykładzinę razem z łóżkiem. Całą sypialkę bym, kuźwa, wywalił, gdybym mógł.

– Wiesz ty co, Chisel? Czasem mnie zdumiewasz. Gdybyś nie istniał, chybaby cię musieli wynaleźć, żeby udowodnić, jak można być głupim.

– No weź przestań, Duży – odparł Chisel z potulnym uśmiechem. W jego głowie zaświtała myśl, że Quilty przyjechał tylko po to, żeby mu dać ochrzan, i to wszystko. Tamten jednak wciąż trzymał dłoń na jego ramieniu i nagle twarz Quilty'ego przybrała bardzo poważny wyraz, tak jakby złą wiadomość zachował na sam koniec.

– Kłopot w tym, Chisel, że jutro skoro świt do tych drzwi zapukają gliny i zgarną cię na przesłuchanie.

– Nic im nie powiem, Bobby! Przecież wiesz! Ani słowa nie powiem! Jezu, nigdy nie kablowałem i nie podkabluję!

– Tak, Chisel, wiem o tym. Ale widzisz, oni mają to DNA i cokolwiek powiesz, mogą udowodnić w sądzie, że John Meagher tu był. I mogą wezwać świadków, żeby udowodnić, że ty i Sorcia byliście tutaj dokładnie w tym samym czasie.

– Jakich świadków? Kto może udowodnić, żeśmy tu byli? Powiemy, że nas nie było i już!

– Więc jeśli tu was nie było, to gdzieście byli? I co powiecie, jak wezmą na świadków dostawców z barów w połowie Blackpool i zapytają, kto otwierał drzwi, kiedy dowozili wam pizzę z kielbasą albo kebaby z kurczaka?

– Nic nie musimy mówić, Bobby. Takie jest prawo. Gliny nie mogą cię zmusić, żebyś sam siebie dyskryminował.

– A co będzie, jak powiedzą tobie i Sorcii, że jesteście winni przetrzymywania tutaj Johna Meaghery wbrew jego woli, i nawet jeśli nic nie powiecie, i tak was za to wsadzą, oboje. I jeśli powiedzą tak: „Chisel, misiu, jeśli wyznasz jak na spowiedzi, żeś go tu trzymał, jeśli to przyznasz i powiesz nam, kto cię o to poprosił, wtedy wycofamy zarzuty i oboje wyjdziecie stąd wolni jak ptaszki”. Co będzie, jeśli tak do ciebie powiedzą, Chisel? Myślisz, że nawet wtedy utrzymasz buzię zamkniętą?

– No pewnie, Bobby. A co ty myślisz? Nie pisnęłabyś, co? Sorcia? Ani ja. Możesz na nas liczyć, Duży, mówię ci.

– Odsiedziałeś trochę na Rathmore Road, co, Chisel? Podobało się? Do jedzenia schabowe dawali, tak? A koledzy spod celi? Sami porządni kolesie, no nie? Żaden nie chciał z tobą jechać w kakałko? A ty, Sorcia? Jak by ci się podobało w damskim skrzydle w Limerick? Słyszałem, że jest tam niezła banda zdesperowanych lesb.

Chisel usiłował zdjąć rękę Quilty’ego ze swojego barku, ale ten zacisnął ją jeszcze mocniej i Chisel się skrzywił.

– Co jeszcze mogę ci powiedzieć, Bobby? Jeśli gliny mają przyjść rano, może mógłbyś nas zamelinować na jakiś czas... no wiesz, aż sprawa się rozwieje.

– To się nigdy nie rozwieje, Chisel. Gdziekolwiek byś pojechał, gliny cię znajdą, zwłaszcza z tym durnowatym tatuażem, co go

masz na szyi.

Sorcia zdusiła papierosa w popielniczce, w której już piętrzył się stos niedopałków.

– Więc co z nami zrobisz, Bobby? – zapytała zduszonym głosem. – Do rzeki nas machniesz czy co?

– E, no coś ty, byliście super w dobrych czasach i w złych czasach też byliście super. Rzeka jest taka zamulona... Nigdy bym wam tego nie zrobił. Załatwię to szybko i łatwo, nic nie poczujecie.

– Zabijesz nas?

– Sorcia, laleczko, nie przyszedłem tutaj na filiżankę herbaty. Gdybym mógł, dałbym wam obojgu bilety na Malediwy albo co najmniej na Lanzarote, ale z kasą jest teraz cienko jak w kaczej dupie. Nie mogę ryzykować, że gliny was przesłuchają, i to by było na tyle. O swoim biznesie muszę myśleć, o wszystkich ludziach, którzy na mnie polegają.

– Wiesz, kim ty jesteś, Bobby Quilty? – powiedziała Sorcia. – Jesteś samym Diabłem, oto kim jesteś. Diabłem wcielonym. Pójdiesz do piekła, kiedy umrzesz, boś stamtąd przylazł. Wrócisz do domu, po prostu.

Zrobiła dwa kroki i splunęła mu w twarz. Grudka zabarwionej tytoniem śliny spłynęła po jego policzku i skapnęła na kołnierz koszuli.

Quilty otarł policzek wierzchem dłoni, a dłoń o rękaw. Nie zrobił w odwecie żadnego ruchu, ale patrzył na Sorcię wzrokiem, który mógł zabić.

– Bryan, Feilim – rzucił przez ramię. – Chodźcie no tu, chłopcy, i przytrzymajcie mi tę dwójkę. Ale spokojnie, bo to moi dobrzy i lojalni przyjaciele, co, Chisel?

– Bobby, nie musisz tego robić, naprawdę – odezwał się Chisel. – Możemy z Sorcią pojechać do Ringaskiddy i odpłynąć pierwszym promem, jeszcze zanim się rozwidni. Znikniemy i nigdy nas nie zobaczysz, póki będziesz żył.

– A jak myślisz, czego dowodzi ucieczka? To to samo co przyznanie się do winy. I myślisz, że gliny nie odkryły jeszcze

telefonu? Zadzwoń tylko do brytyjskich glin i powiedzą, żeby patrzyli za faciem z parą grab wytatuowaną na szyi i za zdziwą jarającą jednego szluga za drugim. Wylądujecie w areszcie, zanim zdążycie powiedzieć, że gówno jest gęstsze niż woda, a wy macie mózgi gęstsze niż gówno.

– Bobby, błagam cię. Nie rób tego. Myślałem, że ty i ja jesteśmy jak bracia.

– Miałem kiedyś brata. Jeśli musisz wiedzieć, to byliśmy bliźniakami. Urodził się martwy, a mama nigdy mi nie przebaczyła, nigdy, aż do swojej śmierci, tak jakbym to ja go udusił w jej łonie, żeby zawsze dostawać to, co najlepsze.

– Bobby...

– Przymknij dziób – warknęła Sorcia. – Paplesz tak, jakbyś musiał kucać do sikania. Wiesz, że Duży przyszedł tu, żeby nas załatwić, cokolwiek powiesz, więc może byśmy to już skończyli?

Odwróciła się do Quilty'ego.

– No dawaj, złamasie. Zrób to, po co żeś przyszedł. A może chcesz, żebyśmy wyszli na ulicę i wpadli sami pod autobus, żeby nie wyglądało, że to ty nas kropnąłeś?

– Dziwna jesteś, Sorcia, tyle ci powiem. – Quilty pokręcił głową. – Chodźcie, chłopcy, bierzemy ich do sypialni.

Dwaj ogoleni na łyso mężczyźni weszli do pokoju. Przy świetle okazało się, że – o dziwo – są młodzi i wcale nie wyglądają na twardzieli, choć takie sprawili wrażenie, gdy pojawili się na schodach. Temu w czarnej koszulce z demoniczną gębą brakowało z przodu zęba i nosił okrągłe złote kolczyki w uszach, a jego towarzysz w dżinsowej koszuli miał czerwoną bliznę po zajęczej wardze.

– O Jezu! Skąd ty żeś wyciągnął tych dwóch gamoni? – zapytała Sorcia. – Cyrk ich zgubił po drodze?

– Do sypialni – powtórzył Quilty, wciąż gapiąc się na nią, jakby z największą chęcią zabił ją na miejscu.

– Nie tykaj mnie, kuźwa – zwróciła się do mężczyzny w czarnej koszulce, kiedy ten się do niej zbliżył. – O własnych siłach pójdę, dzięki wielkie.

Przepchnęła się obok Quilty'ego i przeszła koło schodów do otwartych drzwi. Mężczyzna w dżinsowej koszuli zbliżył się do Chisela, ten jednak machnął ręką i podążył za Sorcią. Miał zaciśnięte usta i łzy w oczach. Mijając Quilty'ego, patrzył na niego błagalnym wzrokiem, ale on klepnął go tylko po plecach.

– Będzie super, Chisel, nie bój nic. Na wszystkich nas to przychodzi, wiesz, prędzej czy później. Pomyśl o moim bracie. On nawet przez jeden dzień nie oglądał blasku słońca.

Cała piątka wcisnęła się do zabałaganionej sypialni i stanęła wokół materaca ze skotłowanym, poplamionym prześcieradłem. Jedyne światło padało z różowej porcelanowej lampki bez abażuru, stojącej na podłodze obok materaca.

– No dobra, rozbierać się – polecił Quilty.

– Co?

– Chcę, żebyście byli na golasa, oboje.

– A, rozumiem, chcesz mnie zabić i do tego zgnoić. Zapomnij, złamasie. Nie ma, kuźwa, mowy.

– Feilim! – powiedział Quilty i mężczyzna w dżinsowej koszuli przebiegł w butach po materacu.

Sorcja z całej siły trzymała rękami poły szlafroka, on jednak chwycił je i rozwarł. Następnie szorstkim ruchem obrócił ją, szarpnął kołnierz w dół i wyciągnął jej ręce z rękawów. W parę sekund Sorcja stała obnażona, blada i piegowata. Jej okrągły brzuch zdobił wielobarwny tatuaż przedstawiający papugę z rozpostartymi skrzydłami. Wzbijała się z jej włosów łonowych niczym z gniazda, a sznurek tamponu wyglądał jak jej ogon. Nogi były posiniaczone i widać było na nich niebieskie żyłki.

Sorcja nie usiłowała się zakryć; stała w wyzywającej pozie z dłońmi opartymi na biodrach, jakby mówiła: „Rób, co chcesz, ty Diable, a i tak nie pozwolę się zawstydzić”.

Chisel bez ponaglenia skrzyżował ręce, podciągnął brudną od potu pomarańczową koszulkę polo, rozpiął pasek i zdjął wyblakłe niebieskie dżinsy. Został w dziurawych skarpetkach; majtek nie nosił. Oprócz dwóch duszących dłoni na szyi miał jeszcze inne tatuaże, całe jego ciało pokryte było węzami, lwami i nagimi

kobietami; na zapadniętym mostku widniało oblicze Jezusa w cierniowej koronie, lecz bardziej przypominało wizerunek Boba Geldofa niż Jezusa.

– Kładźcie się na łożku – rozkazał Quilty.

– Bobby, błagam cię, człowieku. Popatrz na mnie, jestem goły do jaj, Sorcia też, nic ci nie zagrażamy. Robimy, co każesz. Naprawdę myślisz, że podkablujemy na ciebie glinom?

– Kładźcie się.

Chisel i Sorcia położyli się niezręcznie obok siebie z rękami przy bokach, lecz ich wzrok skakał we wszystkie strony: z Quilty’ego na mężczyznę w czarnym T-shircie, to znów na tego w dżinsowej koszuli. Chisel usiłował ująć dłoń Sorcii, lecz ta ją wyszarpnęła.

– Odwróćcie się plecami – powiedział Bobby Quilty.

– Co? Znaczy jak?

– Znaczy połóżcie się plecami do siebie, bardzo blisko, żeby wasze głowy się stykały.

Wykonali polecenie, ale Chisel, odwracając się, parsknął nagle piskliwym, dziewczęcym śmiechem. Przyszło mu na myśl, że to tylko rozbudowany żart, który miał ich nastraszyć. U nikogo nie widział broni. Wiedział na pewno, że Bobby Quilty nigdy nie nosi przy sobie pistoletu, na wypadek gdyby policja zatrzymała go i zrewidowała; żaden z nieznajomych nie wyglądał na uzbrojonego, chyba że ten w dżinsowej koszuli miał pistolet wetknięty za pasek.

– Dobrze, Chisel – rzucił Quilty. – Głowy razem. Bombowo jest.

Podszedł do drzwi, otworzył je szerzej i zbliżył się do schodów. Na chwilę zapadła cisza, tylko Sorcia co jakiś czas kaszłała, a mężczyzna w czarnym T-shircie jednostajnie pociągał nosem. Poza tym słyhać było jedynie przytłumiony odgłos ulicy.

Chisel miał ochotę krzyknąć i zapytać Bobby’ego, czy długo jeszcze mają tak leżeć goli jak noworodki, z głowami przyciśniętymi do siebie niewygodnie; spocone pośladki Sorcii przywarły do jego pośladków.

Zaczerpnął powietrza i wtedy usłyszał kroki na schodach, lekkie, szybkie i zdecydowane. Quilty powiedział coś w rodzaju: „Gotowe, Sandy”. Sandy? Kto to jest, kuźwa, Sandy?

Drzwi sypialni otworzyły się, pchnięte raptownie, i uderzyły o ścianę. Do środka wszedł chudy mężczyzna w czarnym swetrze i szarych spodniach, podobny do długonogiego człowieka-szczoryka, z głową całkowicie zakrytą czarną kominiarką. Opadł na kolana obok materaca i zanim dwójka leżących zdążyła zareagować, chwycił Chisela za włosy.

– Au! – jęknął Chisel, ale tamten bez wahania mocno przystawił lufę pistoletu z tłumikiem do jego czoła i wypalił.

Głowa Chisela rozszerzyła się, krew i szara substancja trysnęły przez ucho. Głowa Sorcii także napęczniała jak balon i jej twarz wybuchła na poduszkę.

Mężczyzna w czarnym T-shircie zwymiotował, zakrył usta dłonią i powiedział: „Jezu Chryste!”. Ten w dżinsowej koszuli patrzył na krwawą dziurę, która była kiedyś twarzą Sorcii; jego ręka powędrowała do czoła, jakby go oszołomiło. Żuchwa kobiety wisiała szeroko rozwarta, więc wydawało się, że Sorcia robi zdziwioną minę. Brązowe oko zawisło na brzegu poduszki na nitce nerwu wzrokowego i patrzyło z niepokojem na podłogę.

Quilty wszedł do sypialni i spojrzał na dwa nagie ciała leżące na materacu, z głowami w strzępach. Jego twarz nie zdradzała żadnych emocji, ale język poruszał się w ustach, jakby szukał kawałków posiłku, które mogły mu ugrzęznąć między zębami.

– Superrobot, Sandy – pochwalił. – Nie ma to jak wspólne samobójstwo na rozwiązanie czyichś problemów, szczególnie moich.

Sandy szybko odkręcił tłumik i schował go do kieszeni. Następnie uniósł prawą rękę Chisela i jeden po drugim zagiął palce na rękojeści pistoletu, zostawiając na koniec ten, który naciska spust. Następnie ustawił ramię Chisela i jego nadgarstek tak, by wyglądało, że ten strzelił sobie w czoło, zabijając równocześnie Sorcię.

– Fajny gnat, ten SIG sauer – stwierdził. – Cholerna szkoda go zostawiać.

– Nie bój nic – uspokoił go Bobby Quilty. – Płacę ci tyle, że będziesz mógł sobie kupić takich pięć. A teraz spadaj.

Sandy wyprostował się i wyszedł. Quilty rozejrzał się szybko i wraz ze swoimi „wspólnikami” opuścił pokój. Ich kroki zastukały na schodach. Właśnie wychodzili na ulicę, gdy przy krawężniku zatrzymał się hałaśliwy skuter. Młody człowiek zsiadł i zaczął odpinać duży czerwony pojemnik do przewożenia posiłków, który tkwił na tyle pojazdu.

– Co tam masz, misiu? – zapytał go Bobby Quilty.

– Zamówienie z Golden Wok od Chisela.

Quilty wysunął dolną wargę i pokręcił głową.

– Żaden Chisel tu nie mieszka. Już nie, w każdym bądź razie.

Rozdział 40

Kiedy Katie przyjechała do kostnicy, doktor Kelley właśnie zamykała ziejące nacięcie w kształcie litery Y, które zrobiła w klatce piersiowej Órli Doherty; robiła drobne ścięgi niemal tak sprawnie jak krawcowa.

– Dzień dobry, pani detektyw nadkomisarz Maguire – powiedziała, unosząc głowę i prostując się. Była to wysoka wiotka kobieta w wieku czterdziestu kilku lat, z pociągłą twarzą o egzotycznej urodzie. Miała bardzo ciemne oczy, bez makijażu, i piękny łuk brwi. Była w długim białym fartuchu laboratoryjnym; mimo to przypominała Katie postać ze starożytnego egipskiego malowidła ściennego. – Prawdziwa tragedia, to ci się stało – dodała. – Myślałam, że po latach się uodporniłam, wie pani? Ale zobaczyć maluchy zamordowane w taki sposób, z powodu jakiejś starej urazy...

Katie skinęła głową. Ciała pozostałych członków rodziny Dohertych leżały obok siebie przy ścianie, okryte ciemnozielonymi prześcieradłami. Z półprzezroczystych okien, wysoko nad podłogą, padały na nie smugi światła słonecznego; wyglądało to tak, jakby zwłoki spoczywały w kaplicy.

– Są inne obrażenia oprócz ran po postrzałach w głowy?

– Parę świeżych zasinień na ramionach mężczyzny i kobiety, wskazujących, że używano wobec nich siły. Technicy zrobili zdjęcia i stwierdzili, że na podstawie sińców na lewym bicepsie mężczyzny można będzie zidentyfikować zabójcę, gdyż napastnik nosił na dłoni dwa sygnety.

Katie podeszła do stalowego stołu autopsyjnego i niechcący stuknęła o wagę, na której wazono wycięte organy: wątrobę czy

mózgi. Metalowa miska zadźwięczała żałobnie niczym dzwon pogrzebowy.

Oczy Órli były zamknięte, a kiedy się patrzyło na jej twarz zniekształconą pociskiem można było odnieść wrażenie, że kobiecie śni się jakiś surrealistyczny sen.

– Należałoby sprawdzić w jej rejestrze medycznym, czy o tym wiedziała, ale widać wczesne objawy skurczowej choroby serca – powiedziała doktor Kelley. – Gdyby jej nie leczono, za parę lat doznałaby poważnego, może nawet śmiertelnego ataku serca.

– Teraz już nie musi się tym przejmować – rzuciła smutno Katie. Podobnie jak patolożka widziała dziesiątki zwłok, również dzieci, ale widok tej rodziny był wyjątkowo przejmujący. Jeżeli tych ludzi naprawdę zabito w odwecie za Langtrych, żal jej było Irlandii. Czy w tym kraju wciąż są ludzie z tak długą pamięcią, a zarazem tak bardzo pozbawieni zdolności przebaczenia?

– Zamknę panią Doherty i na tym będzie koniec – oznajmiła doktor Kelley. – Przyślę pani pełny raport, jak tylko go napiszę, ale najkrócej rzecz ujmując, wszyscy czworo zginęli od pojedynczych ran po strzałach w głowę. Chłopiec został trafiony w tył głowy, i nie z przyłożenia tak jak pozostali, więc jest możliwe, że próbował uciec, kiedy go zastrzelono. Technicy mają swoją hipotezę dotyczącą kolejności zabijania ofiar.

– Później z nimi porozmawiam – odparła Katie. – A tymczasem dziękuję pani za pracę, którą pani tutaj wykonała. Módlmy się, żeby nie było więcej takich spraw.



Katie wsiadała do samochodu, żeby ruszyć na Anglesea, kiedy zadźwięczał jej iPhone. To był SMS od Alana: *Pick-up BQ @ Keeffe St. DoZo Pniej.*

Odpisała mu, że dojedzie do komendy w ciągu kwadransa.

Zanim uruchomiła silnik, zadzwonił detektyw sierżant Begley.

– Jestem na Leitrim Street, pani nadkomisarz, ale nikt nie otwiera. Krzyczymy i walimy pięściami w drzwi tak, że umarły by się obudził, a tu ani pisku. Przyjechaliśmy około wpół do szóstej. Tamci nie otworzyli, więc pomyśleliśmy, że leżą

nieprzytomni, że najarali się albo nachlali i nie mogą się ocknąć. Wróciliśmy na miejsce ze dwadzieścia minut temu i próbowaliśmy od nowa, ale dalej nic. Nie chcę pakować się siłą bez nakazu, tym bardziej że mieliśmy kłopoty po operacji Trójzab.

– Słusznie pan zrobił, Sean, mądrzej będzie się wstrzymać. Sądy bardzo krzywo patrzą ostatnio na naloty bez nakazu, a poza tym nie chcę znowu kasać Bobby’ego Quilty’ego, w każdym razie jeszcze nie teraz. Proszę tam postawić mundurowego, niech pilnuje lokalu, dobrze? W razie gdyby tych dwoje się napatoczyło. I niech się pan postara o nakaz od sędziego. Wracam na komendę z Wilton, więc później się zobaczymy.

Jechała South Link Road na wschód i czuła coraz większy niepokój. To, że nie można było dobudzić Chisela i Sorcii, szczególnie jej nie martwiło. Wcale by się nie zdziwiła, gdyby Quilty wysiadał ich z domu przy Leitrim Street; a może detektyw sierżant Begley miał rację i oboje byli zbyt pijani, by się obudzić. Powinna jednak wprowadzić swój plan w życie i traciła przekonanie, że się powiedzie. Tak wiele elementów mogło pójść nie tak. A jeżeli całkowicie pomyliła się w ocenie O’Reilly’ego i Jamesa Elvina? Nie mogła tego zupełnie wykluczyć, podobnie jak tego, że Bobby Quilty nie postąpi zgodnie z jej oczekiwaniami. Przypominało to skomplikowaną zabawę konstrukcyjną, w której kulka stacza się po pochylni i spada na młoteczek, ten zaś uruchamia katapultę, która przewraca szereg kostek domina.

Skręciła na parking komendy. Problem polegał na tym, że nie umiała wymyślić innego planu ocalenia Johna i Kyny, który nie wiązałby się z ryzykiem, że porywacze przeniosą ich w inne miejsce – takie, w którym nigdy nie zostaną odnalezieni – albo nawet zginą. Quilty’ego trzeba było wyeliminować z akcji szybko i skutecznie oraz zgodnie z prawem, jeśli to możliwe. Katie zdecydowała jednak, że o legalność swoich działań będzie się martwić, kiedy się powiodą.

Ucieszyła się i poczuła ulgę na widok Alana, który czekał przed dyżurką. Był w jasnobrązowej marynarce, najwyraźniej

nowej, i wyglądał tak, jakby dobrze przespał noc. Zanim do niego podeszła, zwróciła się do sierżanta w dyżurce:

– Czy zastępca komendanta głównego O'Reilly już przyjechał?

– Jakies dziesięć minut temu, pani nadkomisarz.

– Dziękuję – rzuciła Katie i podeszła do Alana.

– Widzę, że się martwisz – powiedział, wstając. Uniósł trochę ręce, jakby chciał ją objąć, pocałować i zapewnić, że wszystko będzie dobrze, ale oczywiście nie mógł tego zrobić w obecności dyżurnego sierżanta, innych funkcjonariuszy i gości, którzy wchodzili i wychodzili.

– Chodźmy na górę do mojego gabinetu. Mam dla ciebie przygotowany nadajnik i teczkę.

– Dobrze. Po drodze mijalem Keeffe Street. Pick-up Quilty'ego nadal stoi w tym samym miejscu i pilnuje go ten sam podejrzany typ.

– Poświęcę ci piętnaście minut, a później idę do Jimmy'ego O'Reilly'ego. To będzie jak podpalenie lontu.

– Jesteś pewna, że chcesz zrealizować plan?

– Nie mam wyboru. Jeśli nie wyjdzie, to nie wyjdzie. Ale muszę spróbować.

Kiedy wjechali windą na piętro, znowu poczuła od Alana pieprzowo-cynamonowy zapach, lecz nie dotykali się ani nie spoglądali na siebie jak bliscy sobie ludzie. W windzie znajdowała się kamera monitoringu, w korytarzach było ich więcej.

Po dotarciu do gabinetu Katie podeszła od razu do biurka, otworzyła górną szufladę i wyjęła czarne urządzenie GPS o gabarytach i kształcie małego telefonu komórkowego.

– Proszę. MicroMagnetic Four, jeden z najnowszych modeli. „Pożyczyłam” go sobie wczoraj od zespołu narkotykowego. Możesz go przypiąć pod błotnikiem albo gdziekolwiek. Już zainstalowałam mapkę kontrolną w laptopie i aplet w telefonie. Jak tylko Quilty odjedzie, będziemy wiedzieli, dokąd zmierza, urządzenie będzie sygnalizowało jego pozycję co pięć sekund.

Podala nadajnik Alanowi wraz z tanią brązową teczką, w której upchanych było trzydzieści lub czterdzieści arkuszy

papieru A4.

– Nie przejmuj się, jeśli zgubisz te dokumenty. To jest protokół z ubiegłorocznej narady w ratuszu poświęconej ochronie przeciwpowodziowej.

– Dobrze – powiedział Alan. – Daj mi jakieś piętnaście minut, to nie powinno być trudne. Tak czy inaczej, wyślę ci SMS-a, kiedy skończę.

W gabinecie nie było kamery i Katie kusilo, żeby go pocałować. Nawet jeśli powodowała nim chęć zemsty, był odważny i pomagał jej. Dotknęła palcami ust i uśmiechnęła się.

– Po prostu bądź ostrożny, to wszystko.

– Ostrożny? Wiesz, jak mnie nazywali koledzy? „Ubezpieczeniowiec”. Zanim wyruszyliśmy na akcję, zawsze się upierałem, żebyśmy zrobili przegląd wszystkich możliwych zagrożeń. Pokpiwali sobie ze mnie, ale dzięki tej ostrożności zostało uratowane niejedno życie.

– Postaraj się, żeby zadbać teraz o swoje – powiedziała Katie. Dotknął ust w taki sam sposób jak ona, po czym wyszedł.



Było jasne ciepłe popołudnie, porywista bryza fałdowała szarą powierzchnię południowej odnogi Lee. Alan w ciągu niespełna pięciu minut doszedł do Copley Street, przemierzył rzekę i dotarł do Morrison's Quay; stamtąd skierował się ku Keeffe Street. Maszerował szybko, trzymając kciuki za to, by Quilty nie zakończył na dzisiaj pracy i nie odjechał jeszcze do domu.

Znalazłszy się u celu, zobaczył, że nissan navara parkuje na placu rozbiórki, a srogo wyglądający ochroniarz stoi oparty o niego ze skrzyżowanymi na piersi rękami; sprawiał wrażenie śmiertelnie znudzonego.

Alan wszedł na plac i ruszył wolnym krokiem między dwoma szeregami zaparkowanych aut. Zatrzymał się w odległości mniejszej niż dwadzieścia metrów od pick-upa Quilty'ego i wyjął komórkę, jakby odbierał połączenie.

– Tak, tak! – powiedział głośno. – Oczywiście, Bill! Nie, kolego, mam przy sobie! Chwilę, zaraz ci to znajdę!

Z zamierzoną niezgrabnością wetknął sobie telefon między ucho i uniesiony bark, podniósł teczkę i ją otworzył. Wyjął arkusze papieru i zaczął je przesuwając.

– Mam to gdzieś tutaj, Bill! Tak, poczekaj chwilę, dobra?

Ochroniarz Quilty’ego nie okazał mu najmniejszego zainteresowania, tylko ziewnął ostentacyjnie.

Alan dalej szperał w papierach i kiedy wiatr zawiał nieco mocniej, upuścił cały plik. Frunęły we wszystkie strony, łopocząc i tańcząc po placu. Niektóre zatrzymały się na kołach pick-upa Quilty’ego, inne znikły pod nim. Kilka owinęło się wokół kostek ochroniarza, a on odkopnął je ze złością.

– Przepraszam! Przepraszam! Moja wina! Przepraszam! – mówił Alan, schylając się raz po raz jak mnich pokutnik i bezskutecznie usiłując łapać niesione wiatrem arkusze. Ochroniarz także zaczął je zbierać, zwłaszcza te, które oparły się o koła pick-upa.

Alan okrążył samochód i opadł na czworaki, żeby sięgnąć po kartki, które utkwily pod spodem. Jednocześnie wyjął z kieszeni urządzenie z magnesem i wcisnął je w małe prostokątne zagłębienie obok rury wydechowej. Nawet jeśli ktoś obejrzy podwozie auta za pomocą lusterka, będzie mu bardzo trudno wykryć nadajnik.

Wreszcie z pomocą ochroniarza udało mu się zebrać wszystkie arkusze z wyjątkiem trzech, które sunęły w kierunku Fitton Street.

– Stokrotne dzięki – powiedział, kiedy tamten wręczał mu dwie garście pogniecionych papierów. – Zgrabny jestem jak świnia na wstecznym biegu. Ciągłe mi coś z rąk wylatuje. Wczoraj upuściłem sobie na stopę kubek z gorącą kawą. Dzięki.

– Może niech pan łapie tamte – odparł ochroniarz wskazując kartki, które wiatr już porwał z pola widzenia.

– Tak, dzięki! Jeszcze raz dziękuję! – zawołał Alan i ruszył truchtem, upychając papiery do teczki. Nim jednak skręcił, zerknął za siebie i zobaczył, że ochroniarz stoi znowu oparty

o pick-upa w tej samej pozycji co przedtem, nieświadomy, co naprawdę się zdarzyło.

Alan wyjął komórkę i wysłał wiadomość do Katie:

Przyczepiony!



Zastępca komendanta O'Reilly rozmawiał przez telefon, kiedy Katie zapukała do drzwi.

– Wejść! – krzyknął, a gdy przekroczyła próg, wskazał jej miejsce naprzeciwko biurka. – O tak, bardzo to było wzruszające – powiedział do słuchawki. – Należycie oddano cześć wyśmienitemu funkcjonariuszowi. Tak. Do zobaczenia w przyszłym tygodniu, jak przyjadę na Phoenix Park. Zgadza się, w czwartek. No dobrze, Diarmuid. A więc powodzenia.

Odłożył telefon i spojrzał uważnie na Katie; ułożył dłonie w daszek i lekko przechylił głowę na bok.

– Czy mogę ci jakoś pomóc, Katie?

– Niezupełnie, panie komendancie, ale powinien pan o czymś wiedzieć, w razie gdyby doszło do jakichś reperkusji, no wie pan, tak jak po operacji Trójzęb.

– No cóż, ja też mam ci coś do powiedzenia w związku z operacją Trójzęb. Bobby Quilty chyba jest gotów wycofać skargę z powodu włamania do jego domu i nieuzasadnionego aresztowania, jeśli wyrównamy mu finansowo szkody, których doznała jego posesja. Poprosił także, żebyśmy wydali za pośrednictwem mediów komunikat mówiący o tym, że działaliśmy na podstawie mylnych informacji i że nie ciąży na nim żadne podejrzenie popełnienia przestępstwa ani wykroczenia.

– Matko święta... I czego jeszcze chce? Uroczystego bankietu i rocznej prenumeraty magazynu „Ireland's Own”?

– Tylko bez cynizmu, Katie. Rozumiem, że chcesz bronić operacji Trójzęb, ale jeśli Bobby Quilty chce puścić sprawę w niepamięć, to ja chętnie na to przystanę, podobnie jak zastępczyni komendanta głównego do spraw operacyjnych.

– Omawiał pan to z nią?

– Oczywiście. Muszę powiedzieć, że okazuje o wiele więcej wyrozumiałości, niż ja bym okazał na jej miejscu, ale ostatnimi czasy jest tak, że dziewczyny trzymają sztamę, prawda? Od Frances Fitzgerald w dół. Pod warunkiem że wyciągniemy z tego nauczki i nie będzie więcej niewypałów takich jak operacja Trójzab.

Słowo „niewypałów” wypowiedział, przeciągając sylaby.

– Tego nie mogę zagwarantować – odparła Katie. – W tej robocie nigdy nie wiadomo, czy ktoś nam nie podsunie fałszywej informacji, prawda?

– Mogę jedynie poprosić, byś postarała się, żeby to się więcej nie powtórzyło. No więc, o czym to chciałaś mnie poinformować?

– Sprawa dotyczy Dohertych, panie komendancie.

– Ach tak... Bardzo smutny przypadek, owszem... Ale o co konkretnie chodzi?

– W liście, który znajdował się obok ciała, napisano, że zostali zastrzeleni w odwecie za mord na Langtrych, których zabito w tysiąc dziewięćset dwudziestym pierwszym roku.

Sprawdziliśmy w związku z tym ich drzewo genealogiczne. No, wie pan, żeby się zorientować, czy naprawdę byli spokrewnieni ze znanymi w owym czasie bojownikami IRA. Liczyliśmy przy okazji, że może to nam pomóc ustalić, kto ich zastrzelił i dlaczego.

– I pomogło? – O'Reilly otwierał i zamykał szuflady w biurku, jakby czegoś szukał albo chciał pokazać Katie, że nie jest zainteresowany jej rewelacjami.

– Niestety, nie. Ale przeżyliśmy wielkie zaskoczenie, bo okazało się, że Doherty'owie byli bezpośrednimi potomkami Nialla Quilty'ego, jednego z ludzi kapitana Franka Busteeda... wie pan... tego z oddziału IRA, który zorganizował zasadzkę w Dripsey.

Jimmy O'Reilly przestał otwierać i zamykać szuflady i spojrzał na Katie.

– Nialla Quilty’ego? Nie chcesz mi chyba powiedzieć, że on był jakoś spokrewniony z Bobbym Quilty’em?

Katie pokazała kartkę wyrwaną z notatnika.

– Wszystko tu mam, panie komendancie. Drzewo genealogiczne Quiltych świadczy, że Niall Quilty był kuzynem dziadka Bobby’ego Quilty’ego. Jedna z jego córek wyszła za Doherty’ego, a ich najmłodszy syn był dziadkiem Kevina Doherty’ego, więc pokrewieństwo z Bobbym Quilty’em nie jest wcale takie dalekie. Zaledwie trzy pokolenia.

– Ach, rozumiem. To rzeczywiście niespodzianka – przyznał. – Więc jak przebiega śledztwo w sprawie zabójstwa Dohertych? Ma pani jakieś podejrzenia?

– Poza treścią listu i sugestią, że sprawcy mogą należeć do UDA lub UFF, nic jak dotąd nie mamy. Doktor Kelley dopiero co zakończyła autopsję, technicy pracują nad balistyką, ale dowodów z kryminalistyki ani świadków właściwie nie mamy.

– Na ile oceniasz szanse, że ich złapiemy?

– W tej chwili uważam, że są zerowe – odparła Katie. – Ale to dopiero początek. Będę w kontakcie ze SPIP, może dadzą nam jakiś trop.

– Marne szanse, jeśli sprawcy naprawdę są z UDA.

Tylko bez cynizmu, miała ochotę powiedzieć Katie, ale zmilczała. O’Reilly wstał, podszedł do okna, po czym znowu usiadł. Widziała, że jej słowa mocno go pobudziły. Zabębnił palcami o biurko, jakby podejmował decyzję co do swoich dalszych poczynań. Mogła się domyślić, nad czym duma. Nad tym, czy powiedzieć Bobby’emu Quilty’emu, że Doherty’owie byli z nim spokrewnieni, czy nic mu nie mówić? A jeśli nie powiem i to później wyjdzie na jaw? Tak sobie wyobrażała dylematy trapiące zastępcę naczelnika. No, ale mogła się mylić.

– Co to jest? Drzewo genealogiczne, tak? – odezwał się w końcu, wskazując papiery, które trzymała.

– Zgadza się. Oczywiście większość archiwów sprzed tysiąc dziewięćset dwudziestego drugiego roku przepadła w pożarze

czterech sądów, ale powiązanie rodów Quiltych i Dohertych znaleźliśmy w rejestrze parafialnym w Inniscarra.

– Możesz zrobić odbitkę?

– Proszę wziąć to. – Katie podała mu kartkę z notatnika. – Pomyślałam, że powinien pan o tym wiedzieć, w razie gdyby Bobby’ego Quilty’ego oskarżono o coś jeszcze innego, czego nie popełnił.

– To nie są żarty, Katie – rzucił O’Reilly. – Wiemy doskonale, do czego jest zdolny Bobby Quilty, ale wszystko sprowadza się do kadr i budżetu. Niech skarbówka sobie z nim radzi. On jest problemem bardziej dla nich niż dla nas.

Katie wstała.

– Proszę więc robić swoje, panie komendancie. Dziękuję za informację dotyczącą operacji Trójzęb. Jestem wdzięczna.

Jimmy O’Reilly ze zmarszczonym czołem przypatrywał się kartce, którą mu zostawiła.

– Hm – mruknął i uniósł rękę, kiedy Katie wychodziła z jego gabinetu.

Rozdział 41

Pół godziny później, gdy przeglądała papiery piętrzące się na jej biurku, usłyszała piknięcie z laptopa: był to sygnał, że pick-up Quilty'ego właśnie odjeżdża z parkingu przy Keffe Street. Śledziła wzrokiem niebieską ikonkę pojazdu migającą co pięć sekund na siatce mapy. Zobaczyła, że samochód przekracza most Michaela Collinsa i skręca na północ w Ship Street. Zastanawiała się, czy pojedzie dalej w kierunku północnym, zatrzymał się na końcu Ship Street, ale potem skręcił na wschód w Lower Glanmire Road i sunął dalej ku Tivoli i domowi Quilty'ego.

Alan na śniadanie wypił tylko kawę, poszedł więc do Market Tavern, żeby się czegoś napić i zjeść beefburgera. On także dzięki aplikacji w telefonie komórkowym śledził ruchy Quilty'ego. Wysłał Katie SMS-a: *Duży w drodze. Wygląda na to, że jedzie do domu.*

Może Jimmy O'Reilly nie skontaktował się z nim jeszcze, myślała Katie. A może już to zrobił, ale Quilty'ego nie interesuje historyczna wendeta. Albo go interesuje i jest wściekły, lecz zamierza zlecić brudną robotę komuś innemu. A może bardzo się pomyliłam co do O'Reilly'ego, i nigdy by nie ujawnił nikomu poufnej informacji, zwłaszcza takiemu bandziorowi jak Bobby Quilty, choćby był pod nie wiadomo jakim naciskiem osobistym.

Prawie ogarnęło ją poczucie winy z powodu swoich podejrzeń. Co z tego, że jest homoseksualistą i że James Elvin go szantażuje i żąda pieniędzy? To wcale nie oznaczało, że jest gotów złamać zasady bezpieczeństwa obowiązujące w Gardzie, by ocalić swoją reputację. O'Reilly w końcu może się poszczycić imponującymi osiągnięciami zawodowymi, nawet jeśli jest

wyznawcą starej szkoły i nie toleruje, kiedy kobiety awansują w policji na stanowiska wyższe niż te, które wymagają parzenia herbaty i kontrolowania pieszych na przejściach.

Pick-up Bobby'ego Quilty'ego skręcił w Tivoli Park i zatrzymał się. Katie mogła teraz jedynie czekać i liczyć na to, że nagle odjedzie. Alan przysłał SMS-a: *Nie panikuj. Może jeszcze się nie dowiedział. Albo dzwoni i sprawdza, kto to zrobił.*

Fajnie, że jesteś taki pewny! – odpisała mu Katie.

Po chwili odpowiedział: *To się nie skończy, dopóki nie zgarniemy grubasa.*

Powróciła do papierkowej roboty. Musiała pozalaćwiać zażalenia od ofiar przestępstw na terenach wiejskich; funkcjonariusze Gardy zbyt późno reagowali na zgłoszenia o kradzieżach i napaściach albo wcale się nie pojawiali. W niektórych wsiach zamknięcie posterunku Gardy wywołało falę przestępczości: kradziono sprzęt rolniczy wart setki tysięcy euro, napadano starsze osoby i rabowano ich domostwa.

Teraz nigdy nie otwieram drzwi po zmroku – napisał ktoś. – *Nigdy nie wiem, kto tam może stać: sąsiad, który przyszedł poplotkować, ksiądz, który przyszedł, żeby się pomodlić, czy oprych, który przyszedł, żeby mnie okraść.*

Katie robiła notatki. Myślała, w jaki sposób można skrócić czas reakcji na zgłoszenie, nie powodując dodatkowych kosztów, a nie było to łatwe. Gdyby działalność Quilty'ego ograniczała się tylko do przemytu papierosów, zgodziłaby się z Jimmym O'Reillym, że przy obecnych ograniczeniach budżetowych ściganie go jest nieopłacalne z ekonomicznego punktu widzenia. Jak wczoraj słusznie zauważył detektyw Dooley: „W końcu to tylko forsa, nic więcej, i zdrowie społeczeństwa, a od kiedy to nam zależy na jednym albo drugim? A dania typu smażonka dziadunia w bistro? Osiem parówek, sześć plasterków boczku i cztery kaszanki! Wiem, że chodzi o akcję dobroczynną, ale gdzie tu zdrowie?”.

Pracując nad raportem, co jakiś czas patrzyła na mapkę na ekranie laptopa, ale pick-up Bobby'ego Quilty'ego nie ruszał się

spod jego domu.

Kończyła właśnie pisać, kiedy zadzwonił detektyw sierżant Begley. Po jego głosie poznała momentalnie, że stało się coś bardzo złego.

– Sean! Zdobył pan ten nakaz?

– Och, tak, zdobyłem. Sędzia Coughlan marudziła z początku, ale kiedy jej powiedziałem, że gromadzimy materiał przeciwko Bobby’emu Quilty’emu, od razu go wystawiła. Mam wrażenie, że reaguje na Dużego alergicznie.

– Wiem o tym. Dwa razy musiała go uwolnić w zeszłym roku od zarzutów o wymuszanie haraczu, bo nie mogliśmy znaleźć odważnych świadków, którzy zeznawaliby przeciw niemu. No więc, co pan tam znalazł? Cokolwiek. Zakochane ptaszki wyfrunęły z gniazdka?

– Nie, dalej tu są, oboje.

– I co? Przywiezie pan ich?

– Oboje są martwi, pani nadkomisarz. Strzał w głowę. Wygląda na samobójstwo, ale jeśli Bobby Quilty jest w coś zamieszany, to nigdy nie wiadomo, prawda?

– Martwi? Matko! Gdzie ich pan znalazł?

– Na łóżku, leżą plecami do siebie, głową w głowę. Chisel przestrzelił sobie mózg i jej też, jednym pociskiem. Świńska rąbanka, mówię pani. Chwileczkę, wejdę do sypialni i będzie pani mogła zobaczyć sama.

Po chwili przerwy na ekranie monitora Katie ukazał się widok sypialni przy Leitrim Street; zakołysał się, kiedy Begley podchodził do materaca i powoli przesuwiał aparat nad dwoma nagimi ciałami spoczywającymi plecami do siebie. Następnie zbliżył kamerę do ręki Chisela, żeby Katie mogła zobaczyć pistolet, który w niej tkwił.

– Jak pan sądzi, od kiedy są martwi? – zapytała.

– Oba ciała są w pełni stężałe, pewnie leżały tu już, kiedy przyjechaliśmy o świcie. Wezwaliśmy techników, więc pewnie podadzą nam dokładny czas, jak zmierzają temperaturę i tak dalej.

– Jest jakiś list pożegnalny?

– Nie, nic. Ale wątpię, czy któreś z tych dwojga umiało czytać i pisać.

– Żadnych świadków? Nikt nic nie słyszał, nie widział?

– Jak dotąd na nikogo nie natrafiliśmy. Skrzyżowanie Leitrim i Pine jest cholernie hałaśliwe, zwłaszcza wczesnie rano, więc to nic zaskakującego.

– Ale ten pistolet to SIG sauer 2022, prawda, Sean? Fajna broń, ale nie najcichsza na świecie.

Begley obszedł powoli materac, tak aby Katie miała panoramiczny widok na obydwa białe ciała, a następnie zrobił zbliżenie zdeformowanej twarzy Sorcii. Widząc jamy zatok w kolorze surowego befsztyku i opadniętą szczękę, Katie ucieszyła się, że nic nie jadła.

Zerknęła ponownie na siatkę mapy. Samochód Quilty’ego stał w tym samym miejscu.

– Dobrze, Sean – rzuciła do słuchawki. – Zaraz tam będę. Jest z panem detektyw Scanlan, tak?

– Scanlan i dwaj mundurowi. Już dzwoniли do nadkomisarza Pearse’a, żeby przysłał wsparcie.

– Wszystko w porządku ze Scanlan?

– Super się trzyma. Prawdę powiedziawszy, jej żołądek jest chyba mocniejszy niż mój. Kiedy tutaj wszedłem pierwszy raz i zobaczyłem tych dwoje squatterów leżących z rozwalonymi głowami, zrobiło mi się niedobrze. Jezu, oni już za życia cuchnęli, a teraz...

– Wezmę ze sobą Dooleya – oznajmiła Katie. – On też ma żołądek z żelaza.

Zadzwoiła do Alana, poinformowała go o tym, co się stało, i powiedziała, że jedzie na miejsce zdarzenia.

– Dobrze, że ty, a nie ja – odparł i czknął do słuchawki. – Przepraszam, dopiero co skończyłem wielkiego beefburgera i chyba za szybko go połknąłem.

– Pilnuj mi Quilty’ego, dobrze? I zadzwoń albo puść SMS-a, jak tylko zauważysz ruch.

– Nic się nie martw – powiedział i znów czknął. – Ruszy się o centymetr, a ja od razu będę o tym wiedział.

– Wstrzymaj oddech i policz do stu – doradziła Katie. – Później do ciebie zadzwonię.



Stała przy drzwiach i patrzyła, jak trzech techników z sekcji Billa Phinnera prowadzi oględziny zwłok i pomieszczenia. Jeden robił zdjęcia Chisela i Sorcii, dwaj pozostali chodzili na czworakach z ręcznymi oscyloskopami cyfrowymi. Centymetr po centymetrze oglądali w promieniach podczerwonych i ultrafioletowych wykładzinę, boazerię i ściany; szukali odcisków stóp i innych śladów, a także włosów, włókien i płynnych wydzielin.

Bill Phinner stał za Katie ze zmarszczonym czołem i raz po raz wsysał ustami powietrze, jakby okazywał, że wolałby być jak najdalej od tego miejsca. Katie spryskała perfumami chusteczkę do nosa i zakrywała nią nos i usta. Sypialnia cuchnęła duszącą wonią stęchłego dymu papierosowego, kału i zdechłych ryb; blada skóra i tatuaże Chisela i Sorcii kojarzyły się Katie z babkami piaskowymi, które ojciec łowił kiedyś u ujścia rzeki Lee. Nigdy ich nie jadł, bo zajmowały najniższe miejsce w łańcuchu pokarmowym. Całkiem jak Chisel i Sorcia, przemknęło przez głowę Katie, choć nie było to myślenie po chrześcijańsku.

– O której godzinie zginęli pana zdaniem? – zapytała Billa. – Kiedy detektyw sierżant Begley włamał się do domu, wystąpiło już stężenie pośmiertne. On twierdzi, że musieli już nie żyć, zanim przyjechał tutaj o wpół do szóstej rano.

– Sądząc po stopniu stężenia i temperaturze ciała, powiedziałbym, że co najmniej osiemnaście godzin temu. Pobraliśmy próbki krwi, żeby dokładniej określić godzinę, ale można szacować, że zgon nastąpił wczoraj o dwudziestą drugą lub dwudziestą trzecią.

Do pomieszczenia wszedł Begley i stanął za Katie.

– Lampka nocna się paliła, kiedy wchodziliśmy do pokoju, więc można przypuszczać, że nastąpiło to nocą.

Katie odsunęła chusteczkę od twarzy, ale starała się nie oddychać głęboko.

– Spójrzmy prawdzie w oczy, podwójne samobójstwa nie zdarzają się często, prawda? A większość popełnianych jest przez pary starszych osób, kiedy jedna lub obie są śmiertelnie chore, i praktycznie w każdym przypadku przedawkowują leki.

– Ech, mieliśmy parę wyjątków – zauważył Bill Phinner. – Pamięta pani tych dwoje biedaków, którzy w ubiegłym roku wskoczyli pod pociąg na dworcu Kent, trzymając się za ręce?

– Oczywiście. A ta para, która wjechała samochodem do Lough Magon i siedziała, kiedy tonął? Co nie zmienia faktu, że podwójne samobójstwa są bardzo rzadkie. Ale ilekroć w grę wchodzi broń, prawie zawsze mężczyzna strzela najpierw do kobiety, a potem do siebie. Nigdy nie widziałem podwójnego samobójstwa popełnionego w taki sposób, jednym strzałem. Skąd ten facet mógł wiedzieć, że ona w ostatniej chwili nie usiądzie, i on zabije tylko siebie, a jej nie?

Za plecami Begleya stanęła detektyw Scanlan. Katie zauważyła, że jest trochę blada i ma podkrążone oczy.

– Chce pani nadkomisarz rzucić okiem na duży pokój? Wydaje mi się, że nasuwa się więcej wątpliwości niż odpowiedzi, wie pani?

– Tak, pójdę od razu – odparła Katie. – Chyba i tak potrzebuję odetchnąć.

– Jakoś nie mam pani tego za złe – powiedział Bill Phinner. – Zalatuje tu trochę, co? Uwierzyłaby pani, że zanim wybrałem kryminalistykę, chciałem iść do pracy w Topps w Ballincollig? Robią tam lizaki i dropsy. Może robota nie byłaby tak ważna, ale, na Boga, zapachy byłyby słodsze.

Katie przeszła do dużego pokoju, gdzie detektyw Dooley coś notował, a jeden z techników Phinnera robił zdjęcia.

– O jakich wątpliwościach mówiłaś? – spytała, choć od razu zauważyła, że telewizor nadal gra, jakkolwiek z wyłączonym dźwiękiem; na podłodze leżały otwarte puszki piwa i paczki papierosów, stały także dwie przepełnione popielniczki i numer

„Racing Post”. Widok przywodził na myśl okoliczności morderstwa Darragha Murphy’ego: zwyczajny wieczór, który przerwano w sposób nagły i brutalny.

– To cholernie dziwne, że tych dwoje siedziało tutaj, popijało piwo, paliło fajki i oglądało telewizję, a potem nagle wstali, poszli do sypialni, rozebrali się do naga i zabili. Te dwie puszki są prawie pełne, jakby je dopiero otwarto.

– No, zgadza się – przyznał detektyw Dooley. – Jeśli to naprawdę był akt samobójczy, należałoby przypuszczać, że siedząc tutaj, dokończą piwo. Ostatni toast za życie, coś w tym rodzaju, prawda? A jeśli ich nie dokończyli, bo doszło między nimi do ostrej awantury, to nie położyliby się w łóżku oparci o siebie plecami i ten facet nie zastrzeliłby siebie i jej. Jedno zastrzeliłoby drugie, on albo ona, a następnie siebie.

– Rozmawiałam z panią, która mieszka w sąsiednim domu – oznajmiła detektyw Scanlan. – Mówiła, że ciągle skakali sobie do gardeł, a niektóre ich awantury były naprawdę dzikie. Bluzgi fruwały na wszystkie strony. Ich słownictwo zawstydziłoby hycła, tak powiedziała. Ale nie słyszała, by kłócili się wczoraj wieczorem ani dziś rano.

– Nie usłyszała także wystrzału z pistoletu – dodał Dooley. – A skoro słyszała, jak na siebie klną, to na pewno usłyszałaby także, jak rozwalają sobie głowy strzałem z SIG sauera, bo hałas przekracza sto czterdzieści decybeli. Ale z drugiej strony... stale trzaskali drzwiami i rzucali w siebie sprzętami, więc może nie wiedziała, że to był strzał, a nie krzesło.

– Myślicie więc, że...? – Katie rozejrzała się. Smród papierosów był tak mocny, że łzawiły oczy. Dym wniknął we wszystko: w zasłony, wykładzinę, meble. Sufit zrobił się brązowy od nikotyny, tak jak kiedyś sufity w pubach.

– Pani zawsze nam powtarza, żeby nie wyciągać przedwczesnych wniosków – odezwała się detektyw Scanlan. – Ale w tym przypadku Dooley też uważa, że tych ludzi zamordowała osoba trzecia... a najprawdopodobniej osoby. I zaatakowano ich zniemacka jakby, bo na spłuczce w toalecie

znaleźliśmy browninga Hi-Power, który zapewne należał do Chisela. Stary typ, z rękojeścią owiniętą taśmą samoprzylepną, ale naładowany i gotowy do użytku. Więc Chisel mógłby się bronić przed napastnikiem, gdyby miał czas.

– Drzwi na dole były pozamykane, frontowe i tylne – wtrącił Dooley. – I nie otwarto ich siłą. Jeśli to nie było samobójstwo, a uważamy, że nie było, to są cztery możliwości. Pierwsza, że jedne drzwi były niezamknięte na klucz, więc napastnicy mogli zwyczajnie wejść. Druga, że Chisel lub Sorcia im otworzyli, bo ich znali. Trzecia, że otworzyli drzwi, chociaż nie znali przybyszów i zostali zmuszeni, by ich wpuścić. Czwarta jest taka, że zabójcy mieli klucz.

– Myślę, że ma pan rację – przyznała Katie. – Ten dom, choć nieoficjalnie, należy do Bobby’ego Quilty’ego i wydaje mi się, że najbardziej prawdopodobna jest czwarta możliwość.

– Czy Bobby Quilty nie zadałby sobie trudu, żeby zatrzeć po sobie ślady? – spytał Dooley. – Zostawiłby włączony telewizor, do połowy opróżnione puszki z piwem? Toż to czysta amatorszczyzna.

Katie wzruszyła ramionami.

– Może nie brał w tym osobiście udziału. Z drugiej strony sposób zabicia tych dwojga nosi wszelkie cechy odwetu... tak samo jak mord na Darraghu Murphym. No, może nie tyle odwetu, co zabezpieczenia: chodziło o to, żeby uniemożliwić tym dwojgu złożenie przeciwko niemu zeznań i zastraszenie każdego, kto brałby to pod uwagę.

Po chwili namysłu dodała:

– Sądzę, że to jego sprawka, i mam przecucie, że tutaj był, tylko że takie drobiazgi jak telewizor i reszta po prostu mu wiszą. Potrzebował jedynie alibi na wypadek, gdybyśmy zgarnęli go na podstawie podejrzeń: „To było samobójstwo, Wysoki Sądzie, nie miałem z tym nic wspólnego”. A nie znajdzie się nikt dość odważny, by temu zaprzeczyć.

Do pokoju wszedł Bill Phinner ze zmarszczonym czołem; zawsze miał kwaśną i poważną minę, wiecznie otaczała go aura

profesjonalnego rozczarowania.

– Słyszałem, co pani mówiła, i absolutnie ma pani rację. To nie było samobójstwo. Mężczyzna trzyma wprawdzie pistolet, ale pod oscyloskopem widać, że na jego palcach nie ma ani śladu osadu prochowego, więc to nie on oddał strzał. Wystrzał z tej broni powoduje czasami zaczerwienienie na tkance między palcem a kciukiem, a tego śladu też nie ma. Oprócz tego na skórze wokół rany wlotowej na czole mężczyzny jest półokrągły odcisk, który nie pasuje do obwodu lufy pistoletu, lecz do obwodu tłumika, mocno przyciśniętego. Mój ekspert od broni pewnie się popisuje, ale uważa, że mógł to być tłumik Griffin Revolution albo Gemtech Tundra, lekki, idealny do SIG sauera 2022. Osobiście wątpię, czy zdołamy ustalić jednoznacznie markę tłumika. Bez względu na to wiadomo, że w chwili strzału był zamocowany na pistolecie, a tłumiki mają około dwudziestu centymetrów długości. Więc ofiara... ten mężczyzna nie mógłby przyłożyć broni do swojej głowy pod takim kątem.

– Czyli to było morderstwo – podsumowała Katie.

– Bez wątplenia – potwierdził Bill Phinner. – Jako naukowiec poszedłbym nawet dalej i powiedział, że była to egzekucja.

Niemal w tej samej chwili, gdy wypowiedział to słowo, zadzwieczał iPhone Katie.

– Przepraszam – rzuciła. Alan przysłał SMS-a.

BQ w drodze. Jedzie N8 na wschód.

– No dobrze – zwróciła się do wszystkich. – Muszę się zbierać. Wezwanie z góry. Bill, jak zwykle dziękuję panu. Sean, Michael, Padragain, zostawiam was tutaj, dokończcie robotę. Zobaczymy się później na komendzie.

Zbiegła schodami na dół i wyszła na Leitrim Street.

Nadjechały kolejne dwa radiowozy i pięciu mundurowych otoczyło chodnik wokół wejścia do budynku. Schyliła się pod niebiesko-białą taśmą i podeszła do samochodu.

Jeżeli Bobby Quilty kierował się N8 na wschód, to mógł po prostu jechać do Fota na partyjkę golfa. W końcu był członkiem

klubu. Ale jeśli na drugim rondzie skręci w lewo, to wjedzie na M8 i będzie się kierował na północ do Belfastu.

Uruchomiła silnik, lecz zanim ruszyła, odpisała Alanowi:

Jadę. 5 min.

Rozdział 42

Właśnie skręcała w MacCurtain Street, kiedy Alan przysłał następną wiadomość: *BQ wjeżdża na M8. Kierunek P.*

Katie zabębniła palcami w kierownicę; stała na światłach przy końcu mostu Brian Boru, tam gdzie samochód zmiażdżył detektywa Barry'ego. Jeśli Bobby Quilty wybierał się na północ, to może sprawy toczyły się zgodnie z jej planem, przynajmniej częściowo. Jadący przed nią kierowca wolno ruszał na zielonym świetle i kilka razy musiała na niego zatrąbić. Odwrócił się i gapił na nią, jakby zakłóciła mu odmawianie nowenny do świętej Moniki, patronki cierpliwości.

Alan czekał na nią przed Market Tavern. Zanim wsiadł, podniosła z siedzenia pasażera swojego laptopa i podała mu go, gdy zapiął pas.

– Proszę... samochód jest już wpisany do programu mapującego.

Alan pokazał jej aplet w swoim telefonie.

– Właśnie minął Rathcormac. Za parę minut będzie przejeżdżał przez Fermoy. Naprawdę daje po garach.

Małeńka ikonka samochodu migiała co pięć sekund na ekranie. W aplecie wyglądało to tak, jakby Bobby Quilty stopniowo piał się ku północy, ale w rzeczywistości musiał pędzić ponad sto trzydzieści kilometrów na godzinę, przekraczając dozwoloną prędkość o co najmniej dziesięć kilometrów. Wbrew zawodowemu instynktowi Katie modliła się, żeby zwolnił, bo wcale nie chciała, by zatrzymano go za przekroczenie prędkości.

Kierując się wzdłuż rzeki na wschód, zadzwoniła do detektywa inspektora O'Rourke'a. Odebrał i słyhać było, że

mówi z pełnymi ustami:

– Co tam, pani nadkomisarz?

– Francis, przepraszam, że wcześniej pana nie uprzedziłam, ale mam drobny kryzys rodzinny i będę musiała wziąć wolne na resztę dnia, jutro pewnie także. Czy detektyw sierżant Begley informował pana o dwojgu zabitych na Leitrim Street?

– Tak, owszem. Proszę się tym nie martwić. Chce pani, żebym wydał komunikat dla mediów? Mogę to zrobić wspólnie z nadkomisarzem Pearse'em, jeśli się pani zgodzi.

– W tej chwili trzeba tylko im powiedzieć, że podejrzewamy zabójstwo i że prowadzimy dalsze dochodzenie – odparła Katie. – I oczywiście proszę zaapelować do świadków, żeby się zgłaszali. Jak idzie z protestem w sprawie liczników wody?

– Odwołali go, Bogu dzięki. W każdym razie, tymczasem. Jak długo pracuję w policji, nie miałem do czynienia z taką bandą oszołomów, mówię pani. Gadają tak, jakby mierniki wody były wynalazkiem szatana.

– Dzięki, Francis. Jeśli pojawi się coś pilnego, może się pan kontaktować w dowolnym czasie. Wyślę panu SMS-a, jak tylko będę wiedziała, kiedy wrócę.

Alan śledził wzrokiem mapkę w telefonie.

– Mija teraz Fermoy. Wciąż kieruje się M osiem na północ. Przejeżdża mostem nad Blackwater. I nadal przekracza prędkość.

– Odwrócił się do Katie. – Doskonała kłamczucha z ciebie, wiesz? Kryzys rodzinny... Prawie uwierzyłem, kiedy to mówiłaś!

– W pewnym sensie to prawda. John to tak jak rodzina, Kyna również. Zajrzyj do skrytki.

– Co?

– Zajrzyj do schowka. Zobacz, co tam jest. Tylko ostrożnie.

Alan otworzył schowek, wsunął rękę i wyjął dwie czarne wełniane kominiarki, a następnie policyjny pistolet automatyczny SIG Sauer.

– Naprawdę zamierzasz zrealizować ten plan, prawda?

– A co myślałeś? Że będę ścigać Bobby'ego Quilty'ego aż do Belfastu, a później zadzwonię na policję i to wszystko?

– Nie, oczywiście, że nie. Ale diabelnie ryzykujesz. Okropnie groźna z ciebie kobieta. Mówił ci to ktoś już? Chyba boję się ciebie bardziej niż Quilty’ego.

– Używałeś już SIG sauerów, prawda?

– O, tak. Szkolenie z broni palnej robiłem na modelu Carry dwa dwadzieścia.

– Będziemy się musieli streszczać, Alan. I to bardzo, bardzo mocno. Żadnego wahania. Nie będzie czasu na procedury, formułki ostrzegawcze i wzywanie wsparcia.

– Jestem z tobą na całego. Wiesz o tym, prawda? Zrobiłem w swoim czasie parę rzeczy, których nie było w regulaminie, że się tak wyrażę. Ale to... huuu...

– Gdzie on teraz jest? – chciała wiedzieć Katie. Zbliżali się właśnie do Fermoy, lecz zachowywała dozwoloną prędkość. Nie było potrzeby siedzieć na ogonie pick-upa Quilty’ego, skoro mieli go na mapce cyfrowej.

– O, właśnie minął zjazd do Mitchelstown. W ciągu paru minut przekroczy granicę hrabstwa Cork i znajdzie się w Limerick.

Katie domyślała się, jaką odległość zdążył pokonać Bobby Quilty, ale chciała zmienić temat rozmowy. Sama miała ogrom wątpliwości co do swoich poczynań i wołała, żeby Alan nie pytał jej, czy nie jest aby lekkomyślna.

Gdy wyjeżdżali z miasta, widziała w lusterku wstecznym ciężkie szare chmury, które sunęły za samochodem, wlokąc zasłony deszczu. Jeszcze zanim dojechała do rzeki Blackwater, chmury wisiały już nad nim niczym olbrzymi szary koc i o przednią szybę stukały wielkie krople. Kiedy znalazła się w Limerick, zaczęło lać i Katie musiała ustawić wycieraczki na maksa; droga przed nimi zniknęła w wodnej mgiele.

– Nie kusilo cię nigdy, żeby wyjechać z Johnem do Ameryki? – spytał Alan. – Choćby z powodu tej pogody.

Wzruszyła ramionami.

– Dalej budzę się czasem w nocy i myślę, że popełniłam straszny błąd. Mogłam mieszkać w San Francisco, być szczęśliwą

żoną i pracować w agencji Pinkertona. Mogłam nawet mieć dziecko. Kto wie?

– Co zdecydowało? Przecież na pewno nie tylko poczucie obowiązku. Bo ja czuję coś takiego, to coś, co sprawia, że ludzie zostają policjantami. Ale podejmuję także masę egoistycznych decyzji.

– Postanowiłeś, że nie będziesz więcej ze mną spał. Czy to była egoistyczna decyzja?

– Nie... Tak... W pewnym sensie. Powiedzmy, że chodziło o przetrwanie.

– Czyli o co, mówiąc ściślej?

– O to, że uważam cię za niewiarygodnie pociągającą, seksowną kobietę, silną i zdecydowaną, i że pewnie bym się w tobie zakochał, jeśli to się już nie stało. I jak wcześniej powiedziałem, związek z tobą zapewne poszarpałby nas na strzępy. Mnie w każdym razie.

Milczała przez prawie pół minuty, a wycieraczki trzepały wściekle z jednej strony na drugą; malutka ikonka samochodu na mapce cyfrowej migiała co pięć sekund.

– Nie ufasz mi? – zapytała w końcu Katie.

– Oczywiście, że ci ufam. Ale nie jestem pewny, że dałbym sobie z tobą radę. To, co teraz robimy... Nie wiem, jak odważyłaś się coś takiego wymyślić, nie mówiąc już o realizacji. Z tego, co mi mówiłaś, wynika, że musiałaś walczyć zębami i pazurami, żeby uzyskać awans na nadkomisarza, a teraz narażasz całą karierę zawodową, że nie wspomnę o życiu. Wszystko to dla mężczyzny, którego nigdy naprawdę nie kochałaś.

– Nie powiedziałam, że go nie kochałam.

– Ależ nie musiałaś tego mówić. Gdybyś go naprawdę kochała, byłabyś teraz w San Francisco, opalałabyś się w słońcu z dzieckiem na kolanach, a nie zasuwała w sikającym deszczu przez Limerick, goniąc za tłustym odrażającym posrańcem, takim jak Bobby Quilty.

Katie już miała odpowiedzieć, ale tego nie zrobiła. Może Alan miał rację. Ubóstwiała Johna. Nadal jeszcze, gdy zamknęła oczy,

przypominała sobie, jak się kochali, jaki był silny i jak rytmicznie się poruszał; czasem miała wtedy wrażenie, że jest w łodzi albo na grzbiecie łagodnej fali, a nie w łóżku. Wciąż jeszcze widziała go stojącego nago przy oknie w sypialni i wyglądającego na zewnątrz. Pamiętała też jednak jego oczy, skupione na czymś dalekim, a nie na podwórzu; i pamiętała to stale wracające poczucie, że go stopniowo traci. Kiedy mężczyzna wyjeżdża z Irlandii, nigdy nie jest mu łatwo wrócić, nie na dobre. Lecz teraz Johnowi groziło straszliwe niebezpieczeństwo i nawet sobie nie wyobrażała, jaka będzie zdruzgotana, jeśli go utraci.

– Wjeżdża do hrabstwa Tipperary – powiedział Alan.



Deszcz spowolnił Bobby'ego Quilty'ego i pick-up jechał teraz dziewięćdziesiąt kilometrów na godzinę, lecz laptop Katie wciąż pokazywał, że nieubłagane przesuwają się na północ. Po dwóch godzinach dojechała do Kildare i zatrzymała się, ostro hamując na poboczu drogi; zamieniła się miejscami z Alanem, żeby mógł przez jakiś czas poprowadzić. Ulewa wciąż szalała, więc przemknęli w pośpiechu niczym postaci z niemej komedii filmowej.

– Cholera! – jęknął Alan, zapinając pas. – W taką pogodę szybciej by się jechało motorówką niż samochodem!

– Zamknę na chwilę oczy – powiedziała Katie. – Obudź mnie, jeśli Quilty zrobi coś dziwnego.

– Przyszło ci na myśl, że pick-upem może jechać nie Quilty, tylko na przykład dwóch jego przydupasów?

– To on, na pewno – odparła.

– Skąd ta pewność?

– Jedzie do Belfastu pokazać całemu krajowi, że z nim ani z jego rodziną nie ma żartów. A może tego dokonać tylko osobiście. Uważa, że ktoś rzucił mu wyzwanie, a on nie pozwoli, żeby uszło mu to na sucho.

– Ale jeśli to nie on? Jeśli Jimmy O'Reilly w ogóle mu nie powiedział i Quilty wysłał jednego ze swoich opryszków z jakąś sprawą?

- To znaczy, że dałam plamę.
- Albo ciała.
- Co?
- Mówi się dałam ciała albo dałam plamę.
- Jeśli pick-upem nie jedzie Bobby Quilty, to dałam jednego i drugiego.

Katie nie sądziła, że zdoła zasnąć, ale monotonne szuranie wycieraczek i klikanie laptopa po pewnym czasie ją zmorzyły. Śniło jej się, że jedzie samochodem w deszczu, a potem, że siedzi w kuchni w domu i rozmawia z matką.

Czuła miłe zaskoczenie, że matka nadal żyje. Była bardzo podobna do Katie, miała miedzianorude włosy uplecione w luźny, nierówny warkocz oraz intensywnie zielone oczy. Nosiała długą kremową tunikę z koronkowym kołnierzykiem, którą miała na sobie dzień przed tym, jak odwieziono ją do szpitala. Tam urodziła Moirin i zmarła.

„Myślę, że popełniasz okropny błąd”, powiedziała matka, nie odrywając wzroku od haftu.

„Dlaczego? Ja go kocham”.

„Zdaje ci się, że go kochasz, ale nigdy nie kochałaś, więc nie wiesz, czym jest miłość. Prawdziwa miłość. Nie wiesz, jak kochamy się tata i ja. Poza tym to desperat. Wiesz o tym. Nie pomoże ci to w Gardzie, jeśli wyjdiesz za takiego mężczyznę”.

„Mamo, nie obchodzi mnie, co myślisz. Ja i Paul pobieramy się i na tym koniec. Paul! Chodź, idziemy stąd!”

– Kim jest Paul? – zapytał Alan.

Katie drgnęła i otworzyła oczy. Zesztywniało jej ramię od opierania się o drzwi, zaschło jej w ustach. Deszcz wciąż padał i wycieraczki zaciekle miotają się z jednej strony na drugą.

– Powiedziałam „Paul”? Śniło mi się. Kłóciłam się z matką o mojego pierwszego męża. Hm... mojego jedynego męża. Już nie żyje. – Spojrzała przez okno. – Jak długo spałam? Myślałam, że nie zasnę! Gdzie jesteśmy?

– Wyłączyłaś się na co najmniej pół godziny. Przed chwilą minęliśmy Rathcoole. Za parę minut wjedziemy na obwodnicę

Dublina... Boże, dopomóż. Miejmy nadzieję, że nie będzie za ciasno.

– Gdzie jest...? – zaczęła Katie, lecz Alan uniósł laptopa, który leżał między siedzeniem kierowcy a pasażera.

– Śledziłem Dużego na mojej komórce – odparł. – Nadal zmierza na północ.

Katie otworzyła laptopa i zobaczyła, że pick-up Quilty'ego ominął centrum Dublina obwodnicą M50 i przejeżdżał przez Swords. Stamtąd w ciągu godziny dojedzie do granicy z Irlandią Północą, a w ciągu następnych pięćdziesięciu minut dotrze do Belfastu. Sięgnęła do tylnego siedzenia, na którym zostawiła dużą skórzaną torebkę, i wydobyła dwie butelki wody Celtic Pure. Otworzyła jedną i podała Alanowi.

– Dzięki – rzucił. – Zimne piwo byłoby strzałem w dychę, ale i to wystarczy.

Samochody na M50 sunęły ślamazarnie; była to istna parada czerwonych świateł stopu. Poruszały się jednak i jak tylko okrążyli Dublin, Alan mógł dodać gazu. Deszcz stopniowo słabł, a gdy dojechali do krętej rzeki Boyne między hrabstwami Meath i Louth, niebo zaczęło się przecierać. Pojawiło się kilka ostatnich srebrzystych mieczy światła, nim słońce utonęło za dalekimi drzewami.

Wreszcie dotarli do południowych peryferii Belfastu. Alan został za kierownicą, bo świetnie znał miasto, Katie tymczasem trzymała na kolanach otwartego laptopa i dawała mu wskazówki.

– Skręca z głównej trasy w lewo, na A pięćdziesiąt pięć.

– To obwodnica do Monagh, biegnie na zachód – wyjaśnił Alan. – W tamtych stronach wielu lojalistów nie znajdzie.

Pick-up Quilty'ego zwolnił i byli teraz niespełna dwa kilometry za nim.

– Jedzie Springfield Road – rzuciła Katie.

– Chyba wiem, dokąd się wybiera. Jego kuzyn Maxy O'Mara mieszka tu niedaleko, w Dunboyne Park. Maxy zawsze mu coś załatwiał. Broń, kiedy była potrzebna, albo samochód z numerami, których nie można było namierzyć; wynajmował

dla niego dziupłę, w której Quilty mógł składować przemycone szlugi, jeśli za dużo ich przerzucił. O rany... Maxy O'Mara. Zgarnialiśmy go nie pamiętam ile razy, ale nigdy nam się nie udało postawić go przed sądem.

– Nawet przed sądem Diplocka?

Alan pokręcił głową.

– Ściśle rzecz biorąc, O'Mara nie był terrorystą i w tym tkwił kłopot. Nigdy nie mogliśmy zebrać przeciw niemu wystarczającej ilości materiału dowodowego, który dopuściłby sąd. Pamiętasz wiersz: „Spotkałem wczoraj na schodach człowieka, spotkałem, choć wcale nie było tam człeka”? Właśnie tak nazywaliśmy Maxy'ego O'Marę, kiedy jeszcze pracowałem w policji: Człek Którego Wcale Nie Było. Świadek zeznawał, że Maxy gdzieś był, a on umiał znaleźć dwóch innych, którzy twierdzili, że go tam nie było.

Pick-up Quilty'ego skręcił ze Springfield Road w Highcain Drive. Przejechał kilkanaście metrów, po czym skręcił w lewo w krótką ślepą uliczkę, Dunboyne Park, tak jak przewidział Alan. I tam się zatrzymał.

Zjechali do zatoczki przed stacją benzynową, jakieś półtora kilometra przed Highcain Drive.

– No dobrze. I co teraz robimy? – spytał Alan.

– Będziemy musieli po prostu czekać – odparła Katie. – Może zrobił sobie przerwę fizjologiczną. Znając go, powiem, że to wręcz pewnik. Ale wszystko zależy od tego, co zrobi później.

– Wydaje mi się, że dzisiaj wieczorem raczej nic nie robi – powiedział Alan. – Może już wie, kto zastrzelił Dohertych. Ale jeśli to byli lojaliści, co wyraźnie dali do zrozumienia, to nawet on powinien uważać, wkraczając o tak późnej porze do ich rewiru. Chyba że ten jest otoczony ogrodzeniem, które się na noc zamyka.

– Szczerze mówiąc, to mnie również przydałaby się przerwa fizjologiczna – wyznała Katie. – Miej go na oku, dobrze? To nie potrwa długo.

Kiedy wróciła z toalety stacji benzynowej, Alan stał obok samochodu, a jej otwarty laptop spoczywał na dachu auta.

– Jakiś ruch? – zapytała.

– Nie, ani o centymetr się nie przesunął. Chyba mam rację i zostanie tam do rana. Słuchaj, nie będziemy siedzieć całą noc w samochodzie, prawda? Może pojechalibyśmy do mnie? To tylko dwadzieścia minut stąd i moglibyśmy obserwować go na zmianę. Upichcę nam coś do jedzenia.

Katie się zastanowiła. Ryzyko było bardzo duże. Jeśli Bobby Quilty postanowił dopaść morderców Dohertych jeszcze tej nocy, a oni mieszkaliby w jednej z najbliższych enklaw lojalistycznych, takich jak Ainsworth Avenue czy Highfield Estate, wystarczyłoby mu na to parę minut, a zanim ona i Alan przybyliby na miejsce, mogłoby być za późno. Z drugiej jednak strony mordercy mogli mieszkać dalej; poza tym domyślała się, że Bobby Quilty zechce jakiś czas posmakować swojej zemsty i postarać się, żeby jego ofiary zrozumiały dobitnie, jak fatalny popełniły błąd, zabijając kogoś spokrewnionego z rodziną Quiltych.

– No, nie wiem – odparła. – Zaczynam myśleć, że rozum mi odebrało, kiedy się na to decydowałam.

– Ja też – przytaknął Alan. – No, ale cóż... jak się nie uda, to się nie uda i będziemy musieli obmyślić inny sposób, żeby wyratować Johna i Kynę. – Położył rękę na ramieniu Katie. – Słuchaj, jeżeli wolisz zostać w pobliżu i pilnować Quilty’ego całą noc, to w porządku. Nieraz trzymałem taką wartę, chociaż byłem wtedy o parę lat młodszy. Na stacji sprzedają kanapki i napoje, jest toaleta. Czego więcej nam potrzeba?

Katie uśmiechnęła się, mimo że była spięta i skołowana.

– Nie... Jedźmy do ciebie. Żebyśmy tylko mogli się pozbierać, kiedy Quilty zrobi ruch. Czuję, że masz rację, on do jutra nic nie zrobi.

– Jesteś pewna? Bo ty tu rządysz.

Spojrzała na niego i pierwszy raz wyczytała z jego twarzy, że Alan godzi się z faktem, iż ona ma wyższy stopień, choć nie służył już w policji. Był gotowy zrobić to, co ona mu każe. Mimo woli

zaciekało ją, co by się stało, gdyby teraz poszli do łóżka, czy kochałby się z nią inaczej niż za pierwszym razem.

– Tak, jestem pewna – powiedziała. – Ale najpierw objeźmy Dunboyne Park i rzućmy okiem.

Alan uruchomił silnik i pojechali Springfield Road aż do Highcain Drive. Po lewej stronie drogi stał niski murek i żywopłot. Po prawej – za pasem nierównej trawy – znajdowało się kolczaste stalowe ogrodzenie, a za nim dwa ciągi szeregowy. Na murze domu widniały namalowane wizerunki zamaskowanych mężczyzn z karabinami, odznaki lojalistów i skrót UFF, oznaczający Ulster Freedom Fighters, Bojowników Wolności Ulsteru.

Katie była w Belfaście wiele razy, ale przeważnie w centrum miasta, bo tam odbywały się narady w wydziale operacji kryminalnych. Już zapomniała, jak zapiekła jest ciągle wrogość między republikanami i lojalistami. Skrót UFF nijak nie dało się przełożyć na przebaczenie i puszczenie w niepamięć.

Osiedle Dunboyne Park składało się z dwóch równych szeregów czerwonych murowanych domów z pieczołowicie wypielęgowanymi ogródkami od frontu. Mniej więcej w połowie długości uliczki Katie spostrzegła nissana navarę Quilty’ego; jeden z jego ludzi stał oparty o samochód i palił papierosa. Mijając powoli wjazd w uliczkę, zobaczyła, że mężczyzna odchodzi i znika w jednym z domów.

– No dobrze – powiedziała. – Miejmy nadzieję, że wszyscy siedzą przy sutej kolacji i przytupują w takt przebojów Wolfe Tones.

– Szkoda, że cię nie poznałem ileś lat temu.

W lustrze rzeki Lagan, kiedy nad nią przejeżdżali, migotały odbite światła ulicznych latarni. Skręcili w King’s Road w dzielnicy Cherryvalley, gdzie stały duże domy mieszkalne z lat trzydziestych; była to zamożna protestancka część miasta. Następnie wjechali w alejkę z nowoczesnymi blokami mieszkalnymi na końcu.

– Mój dom – oznajmił Alan.

Uwagę Katie przykuwał laptop; pilnowała, czy pick-up Quilty'ego nadal stoi przed domem Maxy'ego O'Mary.

– O, już jesteśmy. Szybko to poszło.

Alan wprowadził ją do środka i weszli do jego mieszkania na trzecim piętrze. Otworzył drzwi i zapalił światło.

– Przepraszam za bajzel. Ciągłe przymierzam się do sprzątanania, ale jakoś nigdy nie mogę się zebrać.

Mieszkanie było małe, ale bardzo nowoczesne, z drewnianą podłogą na wysoki połysk, kuchnią z sosnowymi szafkami i czarnymi marmurowymi blatami. Salon był pusty, stała w nim tylko fioletowa kanapa, szklany stolik i biblioteczka. Jedynymi widocznymi oznakami bałaganu była kupka pogniecionych koszul na końcu kanapy, stos zapełnionych bazgraniną notesów na stoliku oraz opróżniony do połowy kubek kawy i papierek po batoniku.

– Kiedy powiedziałem, że mieszkam w Cherryvalley, pewnie sobie wyobraziłaś willę – powiedział Alan, wziął koszule z kanapy i wyniósł je do sypialni.

Katie zauważyła podwójne łóżko, nieposłane, z jasnożółtą narzutą, i zabudowaną szafę; między łóżkiem a ścianami było tak mało miejsca, że ledwie dało się przejść.

Alan wyszedł z sypialni.

– Kiedy byłem żonaty, mieliśmy dom z trzema sypialniami, ogrodem i tak dalej. A zgadłabyś, ile kosztowała ta dziupla? Sto dwadzieścia dziewięć tysięcy euro! Za lokum nie większe od przystanku autobusowego!

Katie usiadła. Zaczynała odczuwać potworne zmęczenie.

– Co ci mogę podać? Herbata? Kawa? Wino? Piwo?

– Wystarczy herbata. Nie piję w czasie służby.

Gdy to powiedziała, oboje spojrzeli na mapkę cyfrową na ekranie laptopa. Bobby Quilty nadal był w Dunboyne Park. Katie nie mogła się nawet domyślać, co mówił, co robił, co planował.



Wzięła prysznic i włożyła znowu czarne spodnie i szarą bluzkę. Zawsze nosiła w torebce czystą bieliznę, bo nigdy nie

wiedziała, czy nie przyjdzie jej spędzić nocy poza domem.

Nakładając makijaż przed lustrem w łazience, pomyślała, że nic nie jest bardziej wymowne niż samotna szczoteczka do zębów stojąca w szklance.

– Co ci zrobić do jedzenia? – spytał gospodarz, kiedy wyszła z łazienki. – Mam pizzę w lodówce. Albo mogę ubić parę jajek i usmażyć omlet z serem. Moje omlety serowe cieszą się renomą w całym Ulsterze.

– Wstaw do mikrofalówki pizzę i będzie super – odparła Katie.

– Zawsze jem pizzę, kiedy jestem zbyt zmęczona, żeby gotować.

– No dobrze, będzie pizza. Później możemy na chwilę zmrużyć oko, ale trzeba to będzie robić na zmiany.

– To nam rozwiązuje dylemat moralny – stwierdziła Katie.

Alan ujął ją za ramiona i pocałował ją.

– Dylemat owszem, ale raczej niemoralny. – Uśmiechnął się i wskazał niebieską ikonkę samochodu na mapce na ekranie laptopa. – Quilty, sukinsynu, spróbuj się ruszyć o centymetr, zanim coś zjem, a wyzeruję ci facjatę, bez żartów. Własny ojciec nie pozna... Ale przecież on i tak cię nigdy nie widział.



Alan pierwszy położył się spać, całkowicie ubrany, tylko bez butów; Katie tymczasem powstrzymywała się przed snem, oglądając telewizję z maksymalnie ściszonej dźwiękiem. Otwarty laptop stał na stoliku tuż obok niej.

Po jakimś czasie wstała, żeby rozprostować nogi i zerknąć na książki w biblioteczkę Alana. Większość stanowiły powieści sensacyjne z pozaginanymi rogami – Clive’a Cusslera czy Jamesa Pattersona – ale było też kilka książek o historii Irlandii, a nawet *Hunger Strike* pod redakcją Danny’ego Morrisona: antologia utworów różnych pisarzy, poświęconych tak zwanym brudnym protestom i protestom głodowym więźniów, zwolenników republiki, do których doszło w latach siedemdziesiątych w więzieniu Maze. Katie zdziwiła się, widząc tę książkę u byłego funkcjonariusza SPIP. Być może chciał spojrzeć na okres Rozruchów z obu punktów widzenia.

Zobaczyła również zdjęcie w owalnej srebrnej ramce; przedstawiało kobietę, ładną, ale smutną. Katie spojrzała na odwrotną stronę fotografii, lecz nie znalazła tam podpisu. Alan mówił, że on i jego żona Alison omal nie rozszarpali się na strzępy. Czy to mogła być ona?

Nastawił budzik na trzecią w nocy. Gdy zabrzączał, Katie usłyszała, że Alan porusza się i stęka. Po dłuższej chwili wszedł do salonu, szurając nogami; mrugał przy tym powiekami i drapał się po karku.

– Twoja kolej – oznajmił. – Ale mam nadzieję, że nie będą ci się śniły takie koszmary, jakie przed chwilą miałem.

– Nie, chyba wolę nie zamykać oczu – odparła. – Lada chwila się rozwidni, a jeśli teraz się położę, po przebudzeniu będę wykończona.

– W takim razie zaparzę kawy.

Wrócił z dwoma kubkami espresso.

– Zauważyłam, że masz książkę Danny’ego Morrisona o strajkach głodowych.

– Kupiłem ją, kiedy się ukazała, zgodnie z zasadą poznaj swojego wroga.

– Ale teraz nie myślisz już o nich jak o wrogach, prawda?

– Trudno tak nie myśleć. Nasz sąsiad Tommy był strażnikiem więziennym i pewnego dnia go zastrzelili, kiedy wyszedł po zakupy z pięcioletnią córeczką.

– Więc jak to jest twoim zdaniem? Naprawdę zapominamy, czy tylko tak udajemy?

– Jeśli masz rację co do Quilty’ego, to nawet nie udajemy. Wiesz, ile ogrodzeń mamy w Belfaście?

– Pięćdziesiąt? Sześćdziesiąt? Wiem, że jest ich sporo.

– Jeszcze dzisiaj jest ich dziewięćdziesiąt dziewięć. Jacy ludzie w mieście, które uważa się za cywilizowane, potrzebują się odgradzać betonowymi murami, bramami i drutem kolczastym?

Katie właśnie miała zapytać Alana o kobietę ze zdjęcia, kiedy jej komputer wydał dźwięk podobny do odgłosu owada. Była piąta jedenaście i choć niebo zaciągnęło się chmurami, robiło się

już widno. Pick-up Quilty'ego dotarł do końca Dunboyne Park i zawrócił. Wyjechał na Highcain Drive, skręcił w Springfield Road i kierował się na wschód ku śródmieściu.

– Zaczęło się – powiedział Alan, sięgając pod kanapę po buty. – Ruszył w drogę!

Katie włożyła buty, wstała, zapięła pas z kaburą i narzuciła krótką czarną kurtkę. Wzięła laptopa i oboje wyszli w pośpiechu z mieszkania.

Podbiegli do samochodu i wsiedli. Katie czym prędzej zapięła pas i otworzyła komputer.

– Właśnie skręcił w prawo w Cupar Way. Dokąd może się kierować?

– Do Sandy Row... gdzieś tam. To jądro terytorium lojalistów.

Boże, pomyślała Katie. Bobby Quilty naprawdę chwycił przynętę. Nie wiedziała, czy się cieszyć, czy bać.

Rozdział 43

Pick-up Quilty'ego skręcił w prawo na Blythe Street, a następnie w Felt Street w dzielnicy Blackstaff. Pokonał jedną trzecią długości ulicy i zatrzymał się.

– Jest na Felt Street – poinformowała Katie swojego partnera. Poczekala na dwa kolejne kliknięcia i dodała: – Nie ruszył się. To chyba jego punkt docelowy.

– Felt Street to rewir lojalistów – rzucił Alan. – Wisi tam więcej flag Unii niż prania.

– Jak długo zajmie nam dojazd na miejsce?

– Dziesięć minut, jeśli wcisnę gaz.

– Więc wciskaj. On tam wciąż jest.

Ponownie przejechali nad rzeką Lagan. Było bardzo wcześnie, toteż w centrum prawie w ogóle nie było ruchu; jechała tylko zamiatarka i kilka autobusów z robotnikami zmianowymi o bezbarwnych twarzach, którzy nieruchomo spoglądali przez okna.

Katie i Alan dotarli do Felt Street w niespełna osiem minut; był to długi ciąg szeregowców z czerwonej cegły. Pick-upa Quilty'ego zobaczyli od razu, jak tylko skręcili w uliczkę.

Alan podjechał do białej furgonetki należącej do robotników budowlanych i zaparkował za nią. Katie otworzyła schowek i podała mu czarną kominiarkę oraz SIG sauera.

– No dobra – rzucił. – Więc jaki jest plan działania?

– Nie ma żadnego planu działania poza jednym: jak tylko zobaczymy Quilty'ego, musimy go zneutralizować, zanim użyje telefonu.

– Co znaczy zneutralizować...?

– Zmusić go, żeby rzucił na ziemię telefon i broń, którą może mieć, choć z moich doświadczeń wynika, że zwykle nie jest uzbrojony. To jego przybocznicy noszą broń.

– A jeżeli odmówi?

– Alan, nie dałam ci tego gnata dla zabawy.

– Jak sobie życzysz. A więc do dzieła, tak? Tylko na miłość boską, Katie, bądź ostrożna. Zaliczyłem już zbyt wiele pogrzebów.

Wyciągnęła rękę, a on mocno ją uściskał.

– Dobrze – powiedziała. – Akcja.

Naciągnęli na głowy kominiarki. Alan spojrzął na Katie.

– Jasny gwint! A ja myślałem wcześniej, że trzeba się ciebie bać. Szkoda, że się nie widzisz. Powtórka z Halloween!

Wysiedli z samochodu i ramię w ramię ruszyli ulicą. Flagi Unii wisiały prawie na każdym domu, a nawet na latarniach. Nie było jednak wiatru, więc zwisały bezwładnie pod niebem szarym jak ludzkie prochy.

Jeden z ludzi Quilty’ego stał przed domem obok pick-upa. Miał ogoloną głowę i ciasną białą koszulkę, która uwydatniała jego muskulaturę kulturysty. Katie wyjęła rewolwer, lecz mięśniak stał odwrócony plecami. Zbliżyli się szybko i cicho; zobaczył ich dopiero wtedy, gdy dotarli prawie do metalowej bramy ogrodowej.

– Hej, co jest, kurwa... – odezwał się, ale Katie wymierzyła mu pistolet prosto w twarz.

– Stul pysk i ani mru-mru. Wchodź do środka.

– Co?

– Do środka, powiedziałam. Ruszaj. Ale nie, nie podnoś rąk. Idź normalnie.

Umalowane na bordowo drzwi były uchylone, w przedpokoju paliło się górne światło. Ogolony drab pchnął drzwi i wszedł. Katie podążała za nim, Alan tuż za nią. Odbezpieczył pistolet i trzymał go w obu dłoniach.

Przedpokój był wąski, na podłodze leżał dywan w kwiaty, na ścianach wisiały obrazki z motywami kwiatowymi w złotych ramach. Po prawej stronie biegły strome schody, a w końcu

przedpokoju było dwoje otwartych drzwi; lewe prowadziły do pokoju dziennego, prawe do kuchni. Katie już chciała zapytać mięśniaka, gdzie jest Duży, kiedy usłyszała charakterystyczny głos Bobby'ego Quilty'ego dochodzący z salonu. Wyczuła również dym z papierosa.

– ...no i spójrzcie teraz na siebie, misiaczki! – mówił Quilty. – Nie jesteście aż tacy straszni, co?

Katie szturchnęła łysola w plecy lufą rewolweru.

– No, dalej. Wchodź.

Mężczyzna zerknął przez ramię i było widać, że mimo swojej postury boi się – zapewne bardziej Quilty'ego niż jej. Miał złoty kolczyk w uchu, a koszulka, choć bardzo biała, cuchnęła nieświeżym potem.

– Głuchy jesteś, facet? – odezwał się Alan. – Właż, bo ta pani cię przedziurawi.

– Kto tam?! – zawołał Quilty. – Murtagh, to ty?

Łysol niechętnie przekroczył próg pokoju. Katie wkroczyła za nim, a następnie pchnęła go mocno między łopatkami nasadą lewej dłoni. Mężczyzna zrobił kilka chwiejnych kroków, co pozwoliło Katie odstąpić zręcznie w bok i wymierzyć z rewolweru prosto w Quilty'ego. Alan postępował za nią, trzymając uniesioną broń, jak James Bond, tak aby móc ją skierować na tego, kto będzie stanowił zagrożenie.

– Co, do kurwy nędzy...? – rzucił Bobby Quilty. Stał przed kominkiem z brązowych kafelków, tak że tył jego okrągłej jak kula głowy odbijał się w lustrze. Miał na sobie luźną kremową marynarkę, obwisłe dżinsy i koszulę z wielbłędami, piramidami i zachodami słońcami. Do dolnej wargi przywarł mu papieros i kiedy Quilty mówił, długi okruch popiołu spadł na dywan.

Stolik z imitacji onyksu zabrano z podłogi i postawiono na kanapie, żeby zrobić miejsce dla trzech mężczyzn, którzy siedzieli plecami do siebie na środku pokoju. Jeden był łysy, miał mięsiste ramiona i złamany nos. Drugi, chudy, miał rozczochrane szpakowate włosy i zapadnięte policzki. Trzeci, z rzadkimi czarnymi włosami, był najmłodszy i pryszczaty. Ten

był w pizamie w zielono-białe pasy, dwaj pozostali mieli na sobie tylko majtki, ten ze złamanym nosem – duże białe slipy; pryszczaty – różowe bokserki.

Katie widziała ich ręce, skrępowane za plecami nylonowymi kajdankami, takimi samymi, jakich używała Garda. Między nimi, pośrodku, stała czarna poobcierana aktówka.

W fotelu przy oknie siedział człowiek Quilty'ego ze skrzyżowanymi nogami i palił papierosa. Miał jasnopomarańczowe włosy, ostrzyżone tak krótko, że sterczały jak szczotka ryżowa. Jego twarz przypominała szurczy pysk, niebieskie oczy były zimne jak lód, a przednie zęby sterczały.

Quilty trzymał w dłoni telefon komórkowy.

– Rzuć to, Bobby. Rzuć ten telefon.

– Bo co, laluniu? Zastrzelisz mnie?

– Powiedziałam: rzuć ten telefon.

Bobby Quilty spojrział na komórkę, jakby jej widok go zaskoczył.

– Ach, z tym może być drobny kłopot.

– Liczę do trzech.

– Daj sobie na wstrzymanie i słuchaj. Kłopot polega na tym, że odwiedziliśmy dzisiaj tych trzech kolesi po to, żeby wyrównać rachunki. To są Crothersowie. Sam Crothers to ten łysy, Stephen wygląda jak miotła po wybuchu bomby, a ten młody to Kenny MacClery, bratanek.

– Nie obchodzi mnie, kim oni są – oznajmiła Katie. – Rzuć telefon.

Quilty uniósł lewą rękę w geście papieża, który udziela błogosławieństwa.

– Prosiłem, żebyś dała na wstrzymanie i mnie wysłuchała. Ci trzech kolesie wyrządzili mojej rodzinie straszną krzywdę i muszą ponieść za to karę. Oko za oko i tak dalej. Tak się składa, że teczka, którą widzisz między nimi, zawiera czterysta pięćdziesiąt gramów C cztery, a także ponad sto dziesięciocentymetrowych gwoździ. Detonator, który spowoduje eksplozję ładunku, jest aktywowany... Przez co? No, zgadniesz, laluniu?

Uniósł wyżej telefon komórkowy i wyszczerzył do niej zęby w uśmiechu.

– Jeśli go upuszczę, będzie buum! Ci trzej kolesie oraz wszyscy inni, którzy się tu znajdują... hm, zrobi się z nas pasztet.

– W takim razie połóż ostrożnie telefon na podłodze i odsuń się o krok.

– Bo co? Zastrzelisz mnie? I jak myślisz, co się stanie, jak mnie stukniesz? Mogę ze złości nacisnąć klawisz detonujący bombę. Albo upuszczę go na podłogę. Tak czy owak, buuum!

Katie domyślała się, że szansa, by Quilty zdetonował bombę, upuszczając telefon na ziemię, jest znikoma, jeśli nie zerowa. Mimo to nie wiedziała dokładnie, jakiego rodzaju połączenie istnieje między aparatem a detonatorem bomby – jeśli to naprawdę była bomba.

– Połóż telefon na podłodze, delikatnie – rozkazała.

– Dlaczego? – spytał ostro Quilty. – Co to wszystko, kurwa, ma wspólnego z tobą? Kto ty jesteś? Nie mów mi, że bojowniczką z Sandy Row wróciły znowu do gry.

Przez prawie pół minuty nikt się nie ruszył ani nie odezwał; z każdą mijającą sekundą w pomieszczeniu rosło napięcie. Bobby Quilty patrzył pogardliwie na Katie, a jego trzy skute kajdankami ofiary siedziały na środku pokoju i spoglądały na nią z rozpaczą. Mężczyzna z pomarańczowymi włosami dalej tkwił w fotelu w tej samej pozycji, ze skrzyżowanymi nogami, ale teraz jego ciało było trochę bardziej spięte; z papierosa unosiła się smużka dymu, ale on się nie zaciągał. Łysol w białej koszulce ostrożnie zrobił dwa kroki w tył, jakby to miało jakieś znaczenie, gdyby bomba naprawdę wybuchła.

Katie nie widziała Alana, gdyż stał tuż za nią, lecz słyszała jego ciężkie i szybkie dyszenie. Brzmiał prawie tak jak tyczkarz, który energetyzuje się przed rozbiegiem.

– Meara niedługo wróci z dziewczynkami – powiedział chrypliwym głosem Stephen Crothers. – Nie możesz ich skrzywdzić. One są niewinne. Zrób z nami, co chcesz, ale musisz oszczędzić Mearę i dziewczynki.

– Tak jak ty oszczędziłeś dzieci Dohertych? – odpowiedział pytaniem Bobby Quilty.

– To było co innego. Stary dług, który trzeba było spłacić. Myśleliśmy, że potem rachunek będzie na dobre wyrównany.

– No to źle żeś myślał, co? – odparował Quilty. – To byli moi krewni, bliscy krewni, a ty ich załatwiłeś. Nikt nie tknie bezkarnie palcem członka mojej rodziny, musi za to zapłacić. I popatrzcie teraz na siebie, żałośni frajerzy. Myśleliście, że tworzycie historię, co? O tak, knęę się na Boga, ale nie w taki sposób, jak wam się zdawało. Trumien będzie sześć, a jakże, ale nie będą wiedzieli, który kawałek do której wsadzić. Po tym, co się z wami stanie, będą was mogli zakopać w garnkach.

– Nic im się nie stanie – powiedziała Katie. – Odłóżysz ten telefon, a ja wezwę policję.

Bobby Quilty nagle ściągnął brwi. Wyjął papierosa z ust i spojrzał na nią zwięzonymi oczami.

– To ty, nie? To, kurwa ty, nie kto inny.

– Nie rozumiem?

– To ty, detektyw nadkomisarz Maguire. Wydawało mi się, że rozpoznaję to miauczenie z Cork. Mam rację, co nie? W co ty sobie, kurwa, pogrywasz?

– Jasna cholera – odezwał się mężczyzna z pomarańczowymi włosami. – Chyba sobie jaja robisz, co? Ona jest tą gliniarą, o której żeś gadał?

Katie zdjęła kominiarkę i wcisnęła ją do kieszeni.

– Brawo, panie Quilty. I tak właśnie miałam panu powiedzieć, kim jestem, zanim pana aresztuję za usiłowanie zabójstwa i zamiar użycia materiałów wybuchowych w celu pozbawienia życia.

– To jest Belfast, laluniu, w razie gdybyś nie zauważyła – powiedział Bobby Quilty. – Nie jesteś w Cork.

– Bez różnicy. Mam prawo pana tutaj aresztować i jestem pewna, że SPIP z przyjemnością pomoże mi postawić panu zarzuty.

– Nie wierzę, kurwa. Zastawiłaś na mnie pułapkę, co? Wzięłaś i zastawiłaś na mnie pułapkę. A ten pacan z tobą to kto?

Alan zdjął kominiarkę.

– Poznajesz mnie, Bobby? Kopę lat.

Quilty klepnął się dłonią w czoło.

– Ożeż w mordę, nie wierzę! To jakiś, kurwa, zły sen!

Detektyw inspektor Alan Harte! Hardzi Pierdzi, tak żeśmy cię nazywali! Dużo wiatru i zero akcji!

– Alan – odezwała się Katie. – Wezwij wsparcie. I powiedz, że potrzebny jest nam oddział saperski.

– Hej, zaraz, dosyć tego – zaprotestował Quilty śmiertelnie poważnym tonem. – Mamy układ, pani detektyw nadkomisarz Maguire, prawda? Na twoim miejscu zrobiłbym w tył zwrot, wyszedł i zapomniał o wszystkim, co tu widziałem, bo jeśli nie, to wiesz, jakie będą konsekwencje, prawda?

Uniósł aparat telefoniczny.

– Wystarczy, że zadzwonię do mojego kumpla Gera, i nie będę musiał słowa powiedzieć, on będzie dobrze wiedział, dlaczego dzwonię i co ma zrobić.

– Już dłużej na tym nie ujedziesz, Bobby – powiedziała Katie. – Alan, dzwoń, proszę.

– Nie robiłbym tego, detektywie inspektorze Hardzi Pierdzi – ostrzegł Quilty. – Nie wiem, czy detektyw nadkomisarz Maguire zawiadomiła cię o układzie między nami. Naciśnij tylko ten klawisz w telefonie, a ja nacisnę w swoim ten, który da sygnał mojemu kumpłowi Gerowi, żeby załatwił jej przyjaciół.

– Dobrze, Alan – rzuciła Katie. – Wstrzymaj się chwilę.

– Nie mieści mi się w głowie, dlaczego cię tu przyniosło, detektyw nadkomisarz Maguire. – Bobby Quilty, wciąż trzymając telefon, wyjął z kieszeni koszuli paczkę papierosów, włożył jednego do ust i zapalił lewą ręką. – Myślałem, że nasz układ jest korzystny dla obu stron.

– Dlatego że nie mogłam znaleźć nikogo dość odważnego, kto zdobyłby się na to, żeby świadczyć przeciwko tobie. Ale myślę, że już znalazłam.

– Co, tych trzech frajerów tutaj? To są mordercy, laluniu. To oni zastrzelili Dohertych. Zastrzelili ojca, matkę i biedne małe dzieci też. Wiem to na pewno, bo znam gnoja, który sprzedał im gnaty, a oni na dodatek przechwalali się tym w całym Blackstaff. Kto im uwierzy, nawet jeśli odważą się gadać?

– Och, zdziwiłbyś się. Sąd im uwierzy, jeśli ich relacja zabrzmie wiarygodnie. A myślę, że się odważą, jeśli będzie to oznaczało znaczne obniżenie wyroków za zastrzelenie Dohertych.

Nastąpiła długa, pełna napięcia chwila niezręcznej ciszy.

– Może dałabyś spokój, co, detektyw nadkomisarz Maguire? – odezwał się Bobby Quilty. – Zapomnij, że tu w ogóle byłeś. Tym sposobem dwoje twoich przyjaciół będzie bezpiecznych i dalej będziemy sobie żyli jakby nigdy nic.

– A jeśli tak zrobię, to co wtedy? Wysadzisz tych ludzi? Ich i ich dzieci?

– To się nazywa kara. Sprawiedliwość. Oni nam coś zrobili, my zrobimy im to samo.

– Langtrych i Dohertych zastrzelono i pogrzebano pod podłogą. Nie wysadzono ich w powietrze.

Bobby Quilty wydmuchnął długą smugę dymu.

– To jest pewien zgrzyt. Chciałem tak zrobić, słowo, chciałem ich pogrzebać pod podłogą. Tak by było lepiej z punktu widzenia historycznej ścisłości, prawda? Ale kiedy tu przyjechałem, powiedziano mi, że we wszystkich domach przy tej ulicy są betonowe podłogi, a nie mogliśmy siedzieć tu trzy dni i młócić młotami pneumatycznymi, no nie? A później mieszać zaprawę, żeby ich zalać.

Nagle odezwał się mężczyzna z pomarańczowymi włosami. Miał cienki zachrypnięty głos.

– Coś ci jeszcze powiem, pani glina. Jak chcesz coś pokazać w tym mieście, to najlepsza zawsze jest bomba. O strzelaninie zapomną po paru tygodniach. Strzelanina to małe piwo. Ale jak wysadzisz w powietrze pół ulicy, zapamiętają to na długo.

Katie puściła to mimo uszu i zwróciła się do Quilty'ego:

– Więc co właściwie chcesz tutaj udowodnić, Bobby?

– Udowadniam, że nikt nie może zamordować członków mojej rodziny i za to nie zapłacić, to wszystko. Bez względu na powody.

– Doherty wcale nie byli z tobą spokrewnieni.

– Byli. Mam drzewo genealogiczne na dowód.

– A skąd je wzięłeś?

Bobby Quilty zmrużył oczy, chroniąc je przed dymem z papierosa.

– Z bardzo rzetelnego źródła. Bardzo rzetelnego.

– Bobby, ja wymyśliłam to drzewo genealogiczne specjalnie po to, żebyś tu przyjechał i wskazał mi ludzi, którzy zastrzelili Dohertych.

– Przestań! – zachnął się Quilty. – Nie mówisz tego poważnie.

– Nigdy w życiu nie mówiłam poważniej. A teraz połóż ostrożnie telefon na podłodze i odsuń się od niego. Robercie Bolandzie Quilty, aresztuję pana na mocy Ustawy z tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego siódmego roku o nieprzedawnianych przestępstwach wobec osób, za usiłowanie zabójstwa lub poważne uszkodzenie ciała innej osoby. Nie ma pan obowiązku czegokolwiek mówić, chyba że pan sobie tego życzy, ale wszystko, co pan powie, zostanie zapisane i może być wykorzystane jako dowód.

Atmosfera już wcześniej była napięta, ale teraz stała się tak naładowana, że Katie niemal się spodziewała, że popękają szyby. Mężczyzna z pomarańczowymi włosami wyprostował nogi i powoli wstał, jakby kolana miał tak samo sfatygowane jak głos. Trzej skuci kajdankami mężczyźni w panice i zdumieniu kręcili głowami, spoglądając to na Katie i Quilty’ego, to na mężczyznę z pomarańczowymi włosami.

– Rozczarowałaś mnie, detektyw nadkomisarz Maguire – odezwał się Quilty. – Jestem, kurwa, naprawdę rozczarowany. Myślałem, że mam do czynienia z kobietą, która dotrzymuje słowa, a ty przez cały czas co robiłaś? Knuliś podstępnie! To właśnie robiłaś. Ale teraz przekonasz się, że ja jestem człowiekiem, który dotrzymuje złożonych obietnic.

– Mówię ci po raz ostatni, Bobby. Odłóż telefon.

Quilty przełożył aparat do lewej ręki i wyzywającym gestem ustawił go tak, by Katie widziała ekran. Następnie uniósł wskazujący palec prawej dłoni.

– Teraz dostaniesz nauczkę, detektyw nadkomisarz Maguire. Nauczysz się, żeby nie zadzierać z Bobbym Quilty. Egzekucja przez telefon. I nigdy się nie dowiesz, co spotkało twoich przyjaciół ani gdzie są pogrzebane ich ciała, i niczego mi nie udowodnisz, bo ja tego nie zrobiłem i mnie tam nie było, sama jesteś tego świadkiem.

Katie mierzyła w klatkę piersiową Quilty’ego, ale wiedziała, że go nie zastrzeli. Nie zagrażał bezpośrednio jej życiu, bo nie był uzbrojony, i wydawało się, że nie sposób jest udowodnić, że stanowił zagrożenie dla życia Johna i Kyny. Zagrażał wprawdzie życiu trzech członków rodziny Crothersów oraz ich dzieci, kiedy te wrócą do domu, co było poważnym przestępstwem, ale czy to wystarczało, żeby mogła do niego strzelić i być może zabić, to już była zupełnie inna kwestia.

Po raz pierwszy od chwili, gdy obmyśliła plan powstrzymania Quilty’ego, zawahała się. Wszystko sprowadzało się do wyboru między ocaleniem Johna i Kyny albo trzech domniemanych morderców. Była gotowa zaryzykować karierę, zastawiając tę pułapkę na Quilty’ego, ale nie była gotowa go zabić i pójść za to do więzienia.

Mogła wyjść i wezwać SPIP, ale wtedy Bobby Quilty prawie na pewno kazałby zlikwidować Johna i Kynę.

– Słuchaj, Bobby, dam ci wybór. Wyjdę stąd, jeśli ty też wyjdiesz i zabierzesz ze sobą walizkę. Doprowadziłeś mnie do zabójców Dohertych, na co liczyłam, i sama mogę się nimi zająć. Nie unikną kary, mogę ci to obiecać.

Zaciągnął się głęboko papierosem, a kiedy się odezwał, dym sączył się z jego ust i nozdrzy z pobrązowiałymi obwódkami.

– Skąd mam wiedzieć, że mi nie wstawiałaś kitu, kiedy mówiłaś, że Doherty’owie wcale nie są ze mną spokrewnieni?

– Będziesz musiał uwierzyć mi na słowo.

– Dostałem informację z bardzo rzetelnego źródła, laluniu, a to bardzo rzetelne źródło nic o tobie nie wspomniało.

– Nic w tym dziwnego. On nie jest fanem funkcjonariuszy płci żeńskiej.

Oczy Quilty'ego zwęziły się, ale nie odpowiedział. Katie mogła jedynie zgadywać, że jego bardzo rzetelne źródło to wysoki oficer Gardy, i usiłować podstępem wyciągnąć od niego informację, kim on jest.

– No więc co odpowiesz? – zapytała Katie. – Umowa stoi czy nie?

– Powiem ci, co myślę, detektyw nadkomisarz Maguire. Jeśli stąd wyjdę i pozwolę tym trzem frajerom żyć, rozniesie się, że byle szumowina może załatwić krewnych Bobby'ego Quilty'ego, a on nie ma jaj, żeby się odegrać. O to chodzi, tak? Chcesz mnie skompromitować. Ty zbierzesz oklaski za złapanie morderców Dohertych, a ja wyjdę na cieniasa.

– Boże, Bobby, ile razy mam ci to powtarzać? Nie jesteś spokrewniony z Dohertymi. Zmyśliłam to.

– Nie wierzę ci. Na własne oczy widziałem drzewo genealogiczne. Quilty służył w IRA w Kilcullen i ożenił się z Doherty.

– Nie służył i nie ożenił się. Ja to wymyśliłam.

Pokręcił głową z niedowierzaniem i odwrócił się do mężczyzny z pomarańczowymi włosami.

– Jaka jest twoja opinia, Sandy? Bo ja zdecydowanie uważam, że bierze się nas tutaj za przygłupów, prawda?

Bobby Quilty odwrócił głowę i w tej samej chwili Alan chwycił Katie za lewe ramię i gwałtownie pociągnął ją za siebie, jak gdyby byli parą, która rozpoczyna szalony taniec flamenco. Zaskoczył ją tym całkowicie i uderzyła mocno barkiem o futrynę drzwi; upuściła rewolwer, który potoczył się do przedpokoju. W jej głowie przemknęła nagła myśl: Boże, on mnie wykołował, jest po stronie Quilty'ego.

Opadła na kolana, żeby podnieść broń, i usłyszała ogłuszający huk, potem jeszcze jeden i jeszcze jeden. Odwróciła się

i zobaczyła coś, co przypominało inscenizację z nieruchomymi figurami woskowymi. Tak jakby czas stanął i wszyscy zastygli w bezruchu. Przez snującą się zasłonę dymu widziała Alana, który trzymał pistolet w obu dłoniach i mierzył prosto w Bobby'ego Quilty'ego. Zobaczyła także Quilty'ego z otwartymi ze zdziwienia ustami i papierosem wiszącym u dolnej wargi. Barwne wizerunki zachodów słońca na koszuli nie pozwalały ocenić, czy dostał, lecz był przygarbiony, a ręce miał rozłożone tak, jakby szykował się do skoku z góry. Upuszczony telefon potoczył się po podłodze.

Mężczyzna z pomarańczowymi włosami szarpnął połę musztardowej kamizelki i wydobywał zza paska duży pistolet. Ten z ogoloną głową wyciągał ręce ku Alanowi; jego usta skrzywiły się w milczącym krzyku. Trzej mężczyźni skuci kajdankami na środku pokoju schylali głowy i ramiona i mieli zamknięte oczy, gdyż pociski wystrzeliwane przez Alana śmigły zaledwie centymetry nad nimi.

– Alan! – krzyknęła Katie i z ledwością usłyszała własny głos, bo huk strzałów częściowo odebrał jej słuch. Mężczyzna z pomarańczowymi włosami dobył już pistoletu, odbezpieczał go i mierzył do Alana.

Katie podniosła rewolwer i na czworakach wyczołgała się do przedpokoju. Usłyszała następny strzał, bardziej dudniący, a potem ostry trzask SIG sauera Alana. Stanęła na nogi, podeszła do otwartych drzwi i ostrożnie, trzymając wysoko broń, nachyliła się i zajrzała do wnętrza pokoju.

Mężczyzna o pomarańczowych włosach siedział znów na fotelu z rozpostartymi rękami i nogami, na jego kamizelce widać było krew. Łysol w białej koszulce wskoczył Alanowi na plecy, chwycił go za prawy nadgarstek i usiłował wyrwać mu pistolet.

– Wyciągnij nas stąd! – wrzasnął Sam Crothers, rzucając się to w jedną, to w drugą stronę i próbując się uwolnić z plastikowych kajdanek. Kenny MacClery podskakiwał na tyłku, chcąc w ten sposób pokonać długość pokoju. Stephen Crothers, skupiony, zaciskając zęby z bólu, także usiłował wyrwać ręce z kajdanek.

Katie zamierzała wejść i wymierzyć do łysola w białej koszulce, żeby puścił Alana, lecz nagle zobaczyła Quilty'ego. Leżał bokiem na palenisku kominka; na jego marynarce czerwieniła się trójkątna plama, krew ciekła mu także z nosa. Miał wytrzeszczone oczy i dyszał, ale udawało mu się centymetr po centymetrze wydostawać z kominka na dywan; jednocześnie wysuwał przed siebie zakrwawioną prawą rękę.

O sekundę za późno Katie uświadomiła sobie, że chce sięgnąć do telefonu komórkowego, który spadł blisko bosej stopy Sama Crothersa. Stuknął dwa razy palcem wskazującym, chybiając, ale zdołał przeczołgać się o kilkanaście centymetrów bliżej.

– Alan! – krzyknęła i chciała wejść do pokoju, lecz Alan i ogolony na łyso mężczyzna szarpali się i rzucali, tarasując wejście; kiedy spróbowała się przepchnąć obok nich, wpadli na nią, dysząc i stękając, i wypchnęli ją z powrotem do przedpokoju.

Wracała później myślą do tej chwili, ale nie mogła jej sobie przypomnieć, by słyszała eksplozję. Cały dom zadrżał jak od wstrząsu tektonicznego i z drzwi pokoju poleciała masa przedmiotów: cegły, kafelki, fragmenty mebli, zasłon, a także grad błyszczących gwoździ i duże kawały ludzkich ciał. Alana i łysego oderwało od podłogi i rzuciło przez przedpokój aż do kuchni. Runęli z podwójnym łoskotem, krew rozprysła się na zielone szafki kuchenne.

Katie poleciała do tyłu, prawie do drzwi frontowych. Wyciągnęła rękę, chcąc się złapać wieszaka i powstrzymać upadek, ale wieszak też się przewrócił i na chwilę utonęła pod kurtkami i dziecięcymi płaszczykami. Wybuch rozpruł tapetę i wszystkie obrazki pospadały, lecz nie był na tyle silny, by spowodować zawalenie się ściany.

Pozbierała się na nogi i zobaczyła gęstą szarą chmurę dymu i kurzu, która buchała drzwiami pokoju. Katie była ogłuszona i z ledwością mogła coś dojrzeć. Stała chwilę nieruchomo, dla równowagi opierając się ręką o ścianę, po czym schowała rewolwer do kabury; wyjęła z kieszeni kominiarkę i zatkała nią sobie nos i usta.

Trzęsąc się od szoku, ostrożnie kroczyła nad kawałkami cegieł i tynku; doszła do kuchni. Nie musiała wchodzić do środka, by wiedzieć, że Alan i łysol nie żyją. Leżeli twarzą w twarz, zalani krwią, i patrzyli na siebie szeroko otwartymi oczami niczym dwaj bokserzy przed pojedynkiem na ringu.

Nie chciała zaglądać do salonu, ale wiedziała, że musi. W drzwiach leżał tułów bez głowy, oparty o ścianę. Serce i oklapłe płuca wciąż w nim tkwiły, a poszarpane sznury beżowego jelita łączyły go z miednicą i nogami, które nadal siedziały pośrodku pokoju. Katie nie widziała głowy, ale po białych majtkach rozpoznała Sama Crothersa.

Wybuch zmiotł frontową ścianę pokoju, mogła więc wyrzecć na ulicę. Zawaliła się połowa sufitu i ogródek utonął pod stosem cegieł, kawałków okiennic i poszarpanych fragmentów tynku. Na chodniku, wciąż usadowiony w fotelu, spoczywał mężczyzna z pomarańczowymi włosami. Rozerwało mu twarz, więc wyglądał, jakby założył na nią maskę ze świńskiej wątroby.

Przed domem stał zaparkowany pick-up Quilty'ego. Miał potraskane okna, drzwi były powgniatane i upstrzone dziurami.

Katie kręciło się w głowie, przed oczami migały jej drobniutkie kłujące gwiazdki. Metaliczny smród krwi, kału i oparów po eksplozji C4 wywoływał u niej odruch wymiotny. Weź się w garść, powiedziała sobie. To twój zawód i ty doprowadziłaś do tego, co się tu stało.

Sam Crothers, Stephen Crothers i Kenny MacClery siedzieli plecami do walizki; to w nich uderzyła cała siła wybuchu i masa gwoździ. Oprócz bioder i nóg nie zostało z nich prawie nic poza splątanymi kupkami wnętrzości, żeber i rozwleczonych szmat czerwonego mięsa.

Ciało Bobby'ego Quilty'ego prawie nie ucierpiało. Detonując bombę, leżał na boku, a Crothersowie zasłonili go przed główną siłą eksplozji i morderczą nawałnicą gwoździ. Miał zamknięte oczy i choć jego podbródek zalała krew, a przód marynarki był przesiąknięty krwią, można było pomyśleć, że śpi z ukontentowaniem.

Katie spojrzała na niego. Zawsze wiedziałeś, że w ten sposób zakończy się twoje życie, co? – myślała. I że nie będziesz umierał sam. Musiałeś zrobić sobie tę przyjemność i zabrać ze sobą innych bandziorów, zwłaszcza że uważałeś, że cię okłamują i że to oni zamordowali twoich krewnych.

Siłą woli przestawiła się na profesjonalny tryb działania. Słyszała okrzyki na ulicy, jakaś kobieta wrzeszczała. Policja i straż pożarna będą na miejscu w kilka minut; Katie powinna się stamtąd ulotnić, zanim ktoś zacznie pytać, kim jest i co tam robi. Doznała głębokiego wstrząsu, ale musiała myśleć o Johnie i Kynie. Pachołki Quilty’ego usłyszą niebawem, że ich szef nie żyje, i będą sami decydowali, co zrobić z zakładnikami. Bobby Quilty przetrzymywał ich, żeby zabezpieczyć się przed poczynaniami Gardy, ale dla nich będą tylko zbyt ciężkim obciążeniem.

Schyliła się i uniosła rękę Quilty’ego, by wyjąć z niej telefon. Ręka przypominała świńską racicę, palce były lepkie i nadal ciepłe. Wrzuciła aparat do kieszeni i poszukała wzrokiem SIG sauera, który dała Alanowi. Nie dostrzegła go wśród rumowiska w pokoju, musiała więc przejść do kuchni. Nie chciała oglądać martwego Alana, ale nie mogła się powstrzymać. Wyraz jego twarzy się zmienił, teraz nie było już na niej gniewu, tylko smutek. Wiedziała, że od razu po śmierci skóra wiotczeje i dopiero później następuje stężenie; jednak od tamtej nocy, kiedy poszli ze sobą do łóżka, uważała, że Alan jest z jakiegoś powodu smutny.

Pistolet leżał pod kuchenką gazową; widać było jedynie rękojeść. Katie zabezpieczyła go i wsunęła sobie za pas. Nie chciała odjeżdżać bez tej broni, ponieważ zarejestrowała ją na Anglesea i łatwo można było ją namierzyć na podstawie numeru kodowego.

– Jest tam kto?! – zawołał jakiś mężczyzna. – Halo? Jest tam ktoś w środku?

Usłyszała jeszcze czyjś głos, ale nie zrozumiała słów. Zapewne było to ostrzeżenie, żeby nie zbliżać się do budynku, dopóki

oddział saperski nie ustalili, że nie podłożono drugiej bomby z zamiarem uderzenia w tych, którzy pierwsi przybędą na miejsce wybuchu.

Obok kuchni znajdowało się małe pomieszczenie użytkowe z pralką i stojącą suszarką. Były także drzwi prowadzące na tylne podwórze. Katie wyszła czym prędzej i zamknęła je za sobą. Podwórze było zagracone – była tam stara emaliowana wanna, rower bez kół, zepsute ogrodzenie i dwie wytarte opony samochodowe – jednak przez furtkę można było wyjść na ulicę. Otworzyła ją i z ulgą zobaczyła, że uliczka jest pusta. Żaden świadek nie zauważy rudowłosej kobiety ubranej na czarno, która ucieka z domu po eksplozji.

Szybkim krokiem doszła do głównej ulicy i do Felt Street, gdzie stał jej samochód. SIG sauera i kominiarkę wrzuciła do schowka w desce rozdzielczej, telefon Quilty'ego również. Uruchomiła silnik, zawróciła szybko na trzy razy i odjechała. Kiedy skręcała w Blythe Road, minął ją radiowóz, który pędził z migającymi światłami i wyjąca syreną. Tuż po nim przejechał następny, a potem wóz strażacki.

Wciąż trzęsła jej się ręka, kiedy ustawiała nawigację satelitarną na Forkhill. Głos oznajmił, że w obecnych warunkach przejazd potrwa nieco mniej niż godzinę. Modliła się, żeby Quilty, który za pomocą telefonu komórkowego odpalił bombę w walizeczce, nie zdążył zawiadomić swoich ludzi przetrzymujących Johna i Kynę.

Gdy wjeżdżała na trasę M1, w lusterku wstecznym nadal widziała chmury brudnego dymu unoszące się nad dachami przy Felt Street. Dziwnie się poczuła, oddalając się od miejsca zbrodni, a nie jadąc do niego. Było to całkowicie sprzeczne ze wszystkim, co знаła ze szkolenia i z doświadczenia, a także z naturalnym odruchem.

Jej plan jak dotąd sprawdzał się, mimo że okazał się bardziej tragiczny w skutkach, niż to sobie wyobrażała. Musi doprowadzić go do samego końca ze względu na Johna i Kynę, i w hołdzie dla Alana.

Mijała Loughbrickland, kiedy znów się rozpadało; nie była to ulewa, ale łagodna, choć uporczywa mżawka. Katie miała suche oczy. Czas na łzy przyjdzie później.

Rozdział 44

Jechała wolno z powodu pogody, a do tego zepsuta ciężarówka do przewozu samochodów osobowych zablokowała jeden pas drogi pod Newry; mimo to było dopiero dziesięć po ósmej, gdy dotarła do Forkhill.

Minęła Welcome Inn, gdzie pracował jeden z pomniejszych drani Alana – młody człowiek, który zauważył Johna i Kynę przed domem Bobby’ego Quilty’ego. Było jeszcze wcześniej i zajazd był zamknięty; jedyną osobą na ulicy wioski była kobieta w płaszczu z kapturem, która mijała sklep McCreesh General Store and Funeral Director, prowadząc na smyczy chuderlawego kundelka.

Alan powiedział jej dokładnie, gdzie znajduje się dom Quilty’ego – zaledwie dwa i pół kilometra dalej na południe, tuż przy granicy. Przejechała tamtędy, żeby zobaczyć, czy stoją przed nim zaparkowane samochody. Dostrzegła za drzewami tylko jeden: volvo w musztardowym kolorze. Mogła się założyć o sto euro, że tym samym wozem zatarasowano drogę funkcjonariuszom Gardy, którzy jechali, aby pomóc detektywowi Barry’emu, gdy ten gonił MacCurtain Street handlarza papierosów; i że właśnie to samo „żółtawe” volvo widziano w Parklands po tym, jak został zastrzelony Darragh Murphy.

Bobby Quilty powiedział, że zadzwoni do swojego kumpla Gera, żeby ten rozprawił się z Johnem i Kyną. Katie zgadła, że ma na myśli Gera Carmody’ego, którego знаła jako jednego z jego najbliższych cyngli i który pilnował spraw szefa w Cork, kiedy ten wyjeżdżał do Irlandii Północnej.

Po przeciwnej stronie szosy, kilka metrów dalej w kierunku południowym, biegła wąska wiejska droga z rozrośniętym żywopłotem po obu stronach. Katie dojechała nią tak daleko, aż znikł jej z pola widzenia dom Quilty'ego. Zaparkowała na poboczu na wypadek, gdyby dróżką chciał przejechać ciągnik, jakkolwiek wyglądała już na nieużywaną.

Alan mówił jej, że kiedy tam przyjechał, by zobaczyć Johna i Kynę, zakradł się do domu od tyłu; Katie postanowiła zrobić tak samo. Przeszła na drugą stronę drogi, pokonała jakieś sto pięćdziesiąt metrów obok niskiego kamiennego murku i dotarła do ogrodzenia. Rozejrzała się. Widziała tylko niewielkie pagórki oraz pola. Następne domostwo stało ponad trzysta metrów dalej. Deszcz wciąż siąpił i w zasięgu wzroku nie było nikogo. W tym momencie mogła uwierzyć, że jest jedyną osobą, która została na świecie.

Wspięła się na mur, zeskoczyła i ze spuszczoną głową ruszyła wzdłuż ogrodzenia jak na pastwiskach ku tyłom posesji. Wokół podjazdu rosły krzaki i zasłaniały ją przed spojrzeniem tych, którzy mogli wyglądać z okien na dole; na piętrze było jedno, ale z zaciągniętą zasłoną.

Katie przeszła przez płot do ogrodu. Zeskoczyła i znieruchomiała. Tyłne drzwi domu otworzyły się i pojawił się mężczyzna w białym kapeluszu, okularach przeciwsłonecznych i rozciągniętej czarnej marynarce. Ger Carmody – upačkany biały kapelusz stanowił coś w rodzaju jego znaku rozpoznawczego. Zaciągnął się końcówką papierosa i cisnął go do ogrodu. Katie przykucnęła, licząc, że jej nie zobaczy w wysokiej skórzastej trawie. Wydmuchnął dym, wszedł do domu i zamknął drzwi.

Odczekała dłuższą chwilę i ruszyła. Stała tam szopa, obok której przyczał się Alan, żeby przez duże okno zajrzeć do salonu. Właśnie przez nie zobaczył Johna i Kynę. W salonie panowała ciemność, więc Katie widziała jedynie odbicie ogrodu i pagórki w oddali.

O Boże, proszę, nie mów mi, że Bobby Quilty zdążył zadzwonić i że ich zastrzelono albo zabrano w inne miejsce.

Nie miała pewności, co robić dalej. Może powinna zaryzykować i wejść. Jeśli dopisze jej szczęście, Ger Carmody zostawił tylne drzwi niezamknięte i uda jej się otworzyć je kopniakiem. Ale jeśli jej się to nie uda? Czy powinna podejść od frontu, zapukać i jako funkcjonariuszka Gardy zażądać, by ją wpuścił? A jeżeli John i Kyna już tam nie przebywają i nie ma śladu, że w ogóle tam byli?

Stała skulona obok szopy. Zbierało jej się na dreszcze, mimo że ranek nie był zimny, lecz tylko wilgotny. Dopiero teraz w pełni odczuła szok po wybuchu bomby na Felt Street i wiedziała, że tak naprawdę potrzebuje ciepłego napoju, uspokojenia i długiego porządnego snu.

Skoro Bobby Quilty już nie żył, być może powinna zrezygnować z dążenia do tego, by samodzielnie uratować Johna i Kynę, może lepiej będzie zadzwonić po policję; to jednak wciąż mogło być bardzo niebezpieczne. Przed domem stało tylko jedno auto, ale nie wiedziała, ilu ludzi Quilty'ego może być w kryjówce. Poza tym Ger Carmody miał w aktach zapisy świadczące o stosowaniu skrajnej przemocy, a gdyby udowodniono mu, że bezprawnie więził ludzi, groziłoby mu dożywocie. Jeśli więc przed dom podjechałyby radiowozy, mógłby poczuć, że nie ma nic do stracenia. Bobby Quilty odszedł w glorii wybuchu, było zatem możliwe, że jego przyboczny Ger Carmody postąpi tak samo, zabierając ze sobą Johna i Kynę.

Alan miał rację, pomyślała. Jej plan był od początku najeżony zbyt wieloma znakami zapytania i on przez to zginął. Katie musiała bardzo nad tym pracować, żeby o nim nie myśleć, nie widzieć go, jak leży na podłodze w kuchni z twarzą przepełnioną smutkiem.

Wciąż zastanawiała się, co dalej robić, kiedy dostrzegła niewyraźny ruch w salonie. Ktoś szedł do okna i wyglądało, że jest to kobieta. Gdy znalazła się bliżej, Katie zobaczyła, że to Kyna. Na ramionach miała beżowy koc; jej włosy były w nieładzie. Katie zaszokował widok jej twarzy. Wokół prawie zamkniętych oczu były fioletowe ślady, a nos miała spuchnięty.

Johna nie było widać, lecz informator Alana widział, że wnoszą go do domu na noszach, więc może wciąż nie mógł chodzić.

Katie podjęła natychmiastową decyzję. Wyjęła rewolwer z kabury i na ugiętych kolanach podbiegła do okna. Na jej widok Kyna zrzuciła koc z ramion i zamachała szaleńczo rękami, jakby mówiła: „Chodź, chodź szybko”. Jej twarz wyrażała zaskoczenie i ulgę, ale Kyna była policjantką i Katie wiedziała, że nie spanikuje. Coś powiedziała, lecz Katie jej nie usłyszała. Po chwili Kyna uniosła jeden palec, sygnalizując, że domu pilnuje jeden mężczyzna. Katie dała ręką znak, że zrozumiała, a następnie podeszła do tylnych drzwi i nacisnęła klamkę. Ger Carmody zostawił je niezamknięte. Bobby Quilty najwyraźniej nie zadzwonił, on zaś jeszcze się nie dowiedział, że szef nie żyje.

Otworzyła drzwi, weszła i znalazła się w ponurej kuchni z sosnowym stołem pośrodku. Stół zavalony był pustymi pudełkami po pizzy, kubelkami z KFC, brudnymi kartonowymi tackami, puszkami po piwie i kubkami po kawie; w dwóch popielniczkach piętrzyła się masa niedopałków, które wyglądały jak larwy. Wyłożona płytkami podłoga była lepka i podeszwy butów zatrzeszczały, kiedy Katie zmierzała do przedsionka.

Drzwi były do połowy otwarte, ale zatrzymała się i nasłuchiwała, zanim otworzyła je dalej. Słyszała telewizor, lecz nie mogła rozróżnić, na jaką stację jest nastawiony.

Poczekala jeszcze trochę, lecz gdy wyciągnęła rękę do drzwi, z przedsionka dobiegł odgłos kroków – szybkich, głośnych, jakby ktoś w butach na skórzanych podeszwach szedł, by przekazać pilną wiadomość.

Usłyszała skrzypienie otwieranych drzwi i mimo że w uszach dalej dźwięczało jej po wybuchu, wyraźnie wychwyciła głosy. Kyna powiedziała: „Jezus, czego ty znowu chcesz, gnoju?”. Mówiła tak, jakby była przeziębiona.

– O rany, ale wali od tego twojego chłopca – powiedział mężczyzna głębokim, szorstkim głosem z mocnym akcentem z Cork. Katie domyśliła się, że to Ger.

– Jest bardzo chory – odparowała Kyna. – Prawie umiera, a w tobie nie ma nawet tyle ludzkiego serca, żeby wezwać lekarza.

– Teraz już nie ma sobie czym zawracać głowy. Pozmieniało się. Wygląda na to, że ty i twój zaśmierdły kolega jesteście niepotrzebną nadwyżką.

– O czym ty mówisz?

– Skończone, skarbie. Duży kupił sobie farmę na tamtym świecie.

– Że co?

– Przed chwilą mówili w wiadomościach w telewizji. W Belfaście rąbnęła bomba i siedmiu kolesi załatwiła, w tym Dużego.

– Nie mówisz serio.

– Było o tym w telewizji parę minut temu. Czy może być bardziej serio?

– Nie wierzę. I co teraz będzie?

– Jesteście, jak powiedziałem, zbędną nadwyżką. Ja stąd spadam, ale nie potrzebuję ciebie i twojego kumpla śmierdziela.

– Nie możesz... – zaczęła Kyna, lecz Ger musiał zamknąć drzwi salonu, bo Katie nie dosłyszała następnych słów. Ale i nie potrzebowała. Zamiar Gera był porażająco jasny.

Otworzyła drzwi kuchni. Te do salonu znajdowały się obok, po prawej stronie, i otworzyła je kopniakiem, po czym weszła, trzymając uniesiony rewolwer.

Kyna stała przy oknie owinięta kocem. Ger przemierzył pokój, doszedł do kanapy, na której leżał John i zaczął kołysać w dłoni dużego colta, jak gdyby go ważył. Nogi Johna okryte były prześcieradłem z brązowymi i bursztynowymi plamami krwi i ropy, pełzały po nich muchy; wyglądał koszmarnie. Twarz miał bladą jak śmierć, ciemniejsze były tylko kręgi pod jego oczami. Szczęka opadała, a ręce były skrzyżowane na piersi jak u posągu na średniowiecznym grobowcu. Otwarte oczy kierował w sufit i nawet mrugnięciem nie dał sygnału, że dostrzegł Katie. Jego

zainfekowane stopy gniły pod prześcieradłem, w pokoju wisiał gęsty, mdły odór.

– Odłóż broń! – krzyknęła Katie głosem, który jej samej wydał się zbyt piskliwy.

Ger drgnął zaskoczony.

– Chryste na kółkach, to ty! A mnie się zdawało, że smród wali tylko od gir tego facia.

– Powiedziałam odłóż broń, bo strzelę.

Ger wymierzył colta w głowę Johna.

– O, nie. To ja mam przewagę, skarbenku. Jeśli nie odłożysz tej swojej pukawki, puszczę łeb twojego przyjaciela w drogę do Dundalk.

– I tak chciałeś to zrobić. Więc odłóż broń, inaczej zabiję cię na miejscu, uwierz mi.

– Nie zrobisz tego, bo nie chcesz patrzeć, jak twój przyjaciel ginie. A zginie, jeśli do mnie strzelisz, wiesz o tym.

Kyna upuściła koc na podłogę.

– Ger, posłuchaj. Chcesz stąd zwiać, prawda? Powiem ci, co zrobić. Pójdę z tobą jako zakładniczka, żebyś mógł się oddalić. Ty nie zginiesz, John też nie zginie, i jak Bóg da, ja też nie zginę.

– Jeśli się na to zgodzisz, odłożę broń – oznajmiła Katie.

– Nawet jeśli tak, skarbie, to i tak będziesz mnie ścigała, prawda? I będziesz miała dwoje świadków przeciwko mnie.

– Ger, jeżeli mi się uda cię dopaść i postawić przed sądem, to lepiej dla ciebie, żebyś odpowiadał za bezprawne uwięzienie osób niż za podwójne zabójstwo z zimną krwią.

Dalej celował w głowę Johna, ale było oczywiste, że jest niezdecydowany.

– Mów sobie, co chcesz – rzucił. – Ale nie ma mowy, żebym wylądował znów w zafajdanym kryminale Portlaoise. Wolę umrzeć, niż wrócić do tej, kurwa, dziury piekielnej.

– Jeśli wyjdiesz stąd spokojnie i żadnemu z nas nie wyrządzisz krzywdy, będę zeznawała na twoją korzyść – obiecała Katie. – To znaczy jeśli cię złapię, a prawdopodobnie nie złapię. Jeżeli masz trochę rozumu, zwiejesz z kraju i nigdy nie wrócisz.

Minęło prawie pół minuty. Ręka Katie trzęsa się od długiego trzymania pistoletu i czuła w ustach smród gnijących stóp Johna.

W końcu Ger pokręcił głową.

– Nieee... Nie ma mowy. Znam ja cię, detektyw nadkomisarz Maguire. Wyglądasz tak, jakbyś miała buźkę z masła, ale są w niej diabelnie ostre ząbki. Gdzie bądź się ruszę, postarasz się mnie zgarnąć. Jimmy Malone... on był na Gran Canarii, no nie? A ty i tak go ekstragowałaś, a co zrobił?

– Jimmy Malone podpalił dom, w którym było sześcioro dzieci.

– Nie jego wina, że umarły. Nie wiedział, że są w domu.

– Ger, bądźmy rozsądni – odezwała się Kyna, zbliżając się do niego z rozłożonymi rękami. – Nie możemy tak debatować cały dzień. Niedługo wróci reszta chłopaków, prawda? A masz do nich zaufanie? Chcesz, żeby byli świadkami, jak nas zabijasz? Podkablują cię, zanim się obejrzysz. Będzie o wiele lepiej, kiedy po powrocie nas tu nie zastaną.

Spojrzała na Katie.

– Jest ich jeszcze czterech w sumie. Rano pojechali na zakupy do Newry, bo skończyły im się szlugi, bekon i piwo. No wiesz, trzy nieodzowne składniki cywilizowanego życia.

Katie nie spuszczała oczu z Gera. Przemawiał twardo i prawie nie była w stanie odczytać wyrazu jego twarzy za ciemnymi okularami. Mimo to, obserwując jego niezdecydowanie i mowę ciała, zaczynała wyczuwać, że się jej boi – a przynajmniej tego, co sobą reprezentowała. Patrzył na nią i widział zakład karny o zastrzonym rygorze w Portlaoise, co czyniło go nieprzewidywalnym. Z doświadczenia wiedziała, że przestraszony prędzej naciśnie spust, a jeżeli zabije Johna, podskoczy mu adrenalina; wtedy poczuje euforię i łatwiej mu będzie zabić Kynę i ją.

Podeszła do biblioteczki i położyła na niej pistolet.

– Zobacz – serce biło jej tak szybko, że traciła dech – teraz wystarczy tylko, że stąd wyjdiesz. Kyna zaproponowała, że z tobą odjedzie, żebyś mógł się oddalić. Przyrzekam, że nie

będziemy cię zatrzymywali ani ścigali, a ja nie roześlę informacji o tobie przez co najmniej dobę. Masz na to moje słowo, Ger.

Odsunął pistolet od głowy Johna, wciąż jeszcze się wahając. W tej samej chwili Kyna zrobiła piruet i kopnięciem wytrąciła mu broń z ręki.

– Szlag! – zawołał i zatoczył się w tył. Ona jednak ruszyła za nim, zadając mu ciosy pięściami i nogami tak szybko, że Katie widziała tylko rozmazaną plamę. Dziewczyna kopnęła go mocno w krocze, a gdy się zgiął – w podbródek. Szczeka pękła, kapelusz spadł z głowy. Ger runął do tyłu między kanapę i ścianę, Kyna zaś oparła się o brzeg kanapy jak o łęk konia i wskoczyła mu nogami na klatkę piersiową w miejscu, gdzie znajduje się serce.

Katie okrążyła ją i podniosła z podłogi pistolet Gera, podeszła do biblioteczki i wzięła swój rewolwer. Kyna tymczasem raz po raz kopała Gera w bok głowy. Wreszcie całym ciężarem stanęła na jego twarzy, aż pękły ciemne okulary i trzasnęła kość.

– Jezu, Kyna! Chyba już wystarczy! – zawołała Katie.

– Gnój jeden! – krzyknęła dziewczyna zdławionym głosem. – Kompletny, skończony gnój! Błagałam go, żeby wezwał karetkę do Johna, ale on nie chciał. Rąbnął mnie z główki i złamał mi nos.

Katie popatrzyła na Gera, na jego potrzaskane ciemne okulary, pęknięty nos i krew ciekącą strumieniami po całej twarzy.

– Teraz już niewiele może zrobić, żeby nas tu zatrzymać – stwierdziła. Uklękła obok Johna i ujęła jego lodowate dłonie.

Patrzył na nią, ale jej nie rozpoznawał.

– John, to ja, Katie. Rozumiesz mnie? Jestem Katie.

Przyjechałam, żeby cię stąd zabrać.

Dalej się w nią wpatrywał i coś szepnął, ale w pierwszej chwili nie zrozumiała.

– Już dobrze, John. Wszystko będzie dobrze. Zawieziemy cię do szpitala, połatamy nogi i wydobrzejesz.

– Barney – wyszeptał John. – Pora wziąć Barneya na spacer.

Oczy Katie wypełniły się łzami. Ścisnęła mu ręce.

– Tak, tak. I niedługo sam go wyprowadzisz. Tylko podniesiemy cię z tej kanapy. Kyna? Możesz mi pomóc? On sam nie pójdzie.

Kyna schyliła się nad Gerem, który wciąż leżał bez ruchu. Dotknęła palcami jego szyi, żeby sprawdzić puls.

– Chyba nie żyje – rzuciła.

– Poważnie?

– Nie czuję pulsu, a on nie oddycha. Zdaje się, że złamałam mu kark.

– Boże, jeszcze tylko tego nam brakowało.

– Zasłużył, tak samo jak Bobby Quilty. Przed chwilą mi powiedział, że Bobby Quilty zginął od wybuchu bomby czy coś w tym rodzaju. Dlatego przyszedł nas zabić. Już nie byliśmy potrzebni. „Zbyteczna nadwyżka”, tak powiedział.

– Wiem. Słyszałam, jak ci mówił o Quiltem. To prawda. Byłam tam, kiedy wybuchła bomba.

– Co? Naprawdę tam byłaś?

– O mało sama nie zginęłam. Sześć osób zostało zabitych. Ale opowiem ci o tym później. Jesteś pewna, że on nie żyje?

Kyna schyliła się nad twarzą Gera, by jeszcze raz sprawdzić, czy oddycha.

– Tak, wykitował – odparła. – Założę się, że siedzi już w piekle.

– Po kilku sekundach wyprostowała się. – Jesteś tutaj sama? – zapytała. – Znaczy... to nie jest oficjalna akcja? Na dworze nie ma innych funkcjonariuszy?

– To jest bardzo nieoficjalny rajd jedno-kobieco-osobowy. I musimy zrobić stąd nagły wypad, zwłaszcza jeśli te bandziory wrócą zaraz z Newry z zakupami.

Kyna rozejrzała się po salonie.

– Nie możemy tak tego zostawić. Jest mnóstwo odcisków, krwi i próbek DNA, zidentyfikują nas dziesięć razy. Co się stanie, jeśli przyjadą tu gliny, znajdą Gera w takim stanie z odciskami moich stóp na gębie? Chyba że chcesz złożyć oficjalne zawiadomienie i do wszystkiego się przyznać.

– Jeżeli to zrobię, mogę przy okazji złożyć rezygnację. Ta akcja jest nie tylko nieoficjalna, ale i prawdopodobnie nielegalna. Na pewno jest nielegalna. Właśnie zabiłaś człowieka.

– W samoobronie. Żałuję, że mnie tam z tobą nie było, i że nie załatwiłam także Bobby’ego Quilty’ego.

Katie zobaczyła, że w rogu stoi stary piecyk naftowy; prawdopodobnie miał łagodzić przeciągi, które w środku zimy wpadały oknem od północnego wschodu. Podeszła, odchyliła przednią płytę i po stanie wskaźnika stwierdziła, że jest w ponad połowie pełny.

– Żartujesz, prawda? – spytała Kyna.

– Dlaczego nie? Bobby Quilty nie żyje, więc nie będzie składał zażaleń.

– Jejku...

Katie wyjęła z piecyka zbiornik paliwa i odkręciła wieczko. Zapach nafty przypomniał jej dzieciństwo; ojciec trzymał piecyk naftowy na pięttrze obok schodów, żeby ogrzewać sypialnię. Miała świadomość, że popełnia szaleństwo, lecz cały plan ocalenia Johna i Kyny był szaleńczy od samego początku; lepiej było doprowadzić go do obłąkańczego finału, niż usiłować go teraz zakończyć zgodnie z wymogami regulaminu. Zbyt wiele razy była świadkiem, jak akcje spalały na panewce dlatego, że policjanci w krytycznej chwili nie potrafili się zdobyć na złamanie zasad.

Przemierzyła salon od końca do końca, chlustając naftą na dywan i zasłony. Dotarłszy do kanapy, odstawiła zbiornik i delikatnie uniosła poplamione prześcieradło ze stóp Johna. Jęknął piskliwie i chwycił ją za rękę; wiedziała dlaczego. Obie stopy były czarne jak atrament i pokryte ropiejącymi bąblami, czerń sięgała prawie do kolan.

– Pomóż mi go dźwignąć – poprosiła Kynę.

– Nie mogę – wyszeptał John. – Zostaw mnie tu.

– Musisz – powiedziała Katie. – Spalimy tę dziuplę.

– Więc niech się spalę razem z nią. Nie mogę.

Objęły go i postawiły wspólnymi siłami. John dyszał i trząsł się, wciąż zamykał oczy z bólu, jednak z pomocą Kyny zdołał ustać.

Katie czym prędzej spryskała naftą kanapę i zakrwawione prześcieradło. Uklękła i, krzywiąc się z odrazy, przeszukała obwisłe kieszenie czarnej marynarki Gera; znalazła jego plastikową zapalniczkę. Odwróciła zbiornik do góry nogami i wylała na Gera resztkę nafty. Zwłoki nie spalały się tak, by nie można było ustalić jego tożsamości, ale może ogień strawi ślady osoby, która pozbawiła go życia.

– Dobrze – powiedziała z oczami łzawiącymi od oparów nafty.
– Wynośmy się stąd.

Chwyciły Johna pod pachy i na wpół go niosąc, na wpół wlokąc, doprowadziły do drzwi. Katie przy każdej okazji ćwiczyła w sali gimnastycznej, ale krzepa Kyny jej zaimponowała. Dziewczyna zdołałaby chyba samodzielnie wytaszczyć Johna z domu.

Gdy znaleźli się w przedsionku, Katie wróciła do salonu. Pstryknęła zapalniczką Gera i podpaliła zasłony, a następnie brzeg zakrwawionego prześcieradła na kanapie. Kiedy zapaliła dywan, płomienie przebiegły po podłodze i zajęły się od nich zasłony na drugim końcu. Wreszcie, kaszląc od duszących oparów, stanęła nad Gerem.

Mimo że był kryminalistą i brutalem, czuła niepokój, podpalając jego zwłoki. Nie w taki sposób ludzie powinni kończyć życie: pokiereszowani, samotni i zamieniani w popiół niczym śmieci. Dręczyła ją przy tym irracjonalna obawa, że kiedy tylko ogarną go płomienie, Ger nagle wrzaśnie i zerwie się na równe nogi.

– No dalej! – ponagliła ją Kyna. – Musimy już iść. Biedny John lada chwila padnie.

Katie schyliła się i podpaliła mankiet marynarki Gera. Momentalnie spowiły go niebiesko-zielone płomienie. Rzadkie siwe włosy się skurczyły, plastikowe oprawki ciemnych okularów stopiły się i spłynęły po policzkach niczym czarne łzy.

Temperatura w salonie raptownie wzrosła i podsyciła ogień. Płomienie skakały po zasłonach niczym złe psy i lizały sufit; poliestrowe obicie na kanapie zajęło się i z piankowego wypełnienia zaczęły bić gęste brązowe tumany żrącego dymu.

Katie wyszła do przedsionka i ułożyła sobie na ramionach lewą rękę Johna. Wyglądało, że jest bliski utraty przytomności; jego głowa wciąż opadała do przodu; wspólnie z Kyną niosły go do drzwi frontowych. Minęły pokój, w którym Ger, oglądając serwis informacyjny, dowiedział się o śmierci Quilty'ego. Odbiornik wciąż był włączony, lecz teraz pokazywano prognozę pogody. Synoptycy zapowiadali uporczywe opady deszczu w Irlandii Północnej mające trwać przez cały dzień i nazajutrz.

Kyna otworzyła drzwi i wyniosły Johna na zewnątrz; jego bosa czarne stopy wlekły się po żwirze.

– Mój samochód stoi tam, po drugiej stronie drogi, nieco w prawo – powiedziała Katie, mrużąc oczy przed mżawką.

Obejrzała się za siebie; z tylnej części domu wzbijał się coraz gęstszy dym, w przedsionku mignęły płomienie.

Pokonali zaledwie jedną trzecią długości podjazdu, gdy od strony Forkhill nadjechał granatowy van i skręcił w kierunku domu.

– O Boże – jęknęła Kyna. – Chłopaki wróciły z Newry.

Katie zatrzymała się, dysząc ciężko z wysiłku. Prawą ręką trzymała Johna w pasie, lewą mocno ścisnęła jego rękę; nie mogła dobyć pistoletu, nie puszczając chorego. Kyna być może zdołałaby go sama utrzymać, ale ona również się zadyszała. Pozostawała tylko jedna możliwość: położyć go na mokrej żwirowej drodze.

Granatowy van zatrzymał się w odległości około trzydziestu metrów. Katie widziała trzech mężczyzn, którzy gapili się przez przednią szybę; wycieraczki piszczały monotonnie, odgarniając siąpiący deszcz. W końcu znieruchomiały i mężczyźni wysiedli z auta. Dwaj z nich trzymali ręce Kyny, kiedy Ger uderzył ją głową w nos: jeden miał linię włosów w kształcie litery V, drugim był pryszczaty młodzik; trzecim wysoki mężczyzna z kasztanową

brodą. Katie widziała na tylnym siedzeniu jeszcze jednego; ten jednak nie ruszył się z miejsca.

– Hej! A wy to dokąd się wybieracie?! – krzyknął mężczyzna z linią włosów w kształcie litery V. – Patrzcie, Jezu, cała, kurwa, chata w ogniu! Gdzie jest Ger?

Katie nie odwróciła się, ale czuła dym; wiatr niósł mżawkę z południowego zachodu i słyszała trzaskanie, pęknięcie i brzęk pękających szyb. Trzej mężczyźni ruszyli wolno w stronę uciekinierów, ale Katie widziała, że nie są pewni siebie.

Domyślała się powodu. Nie było Gera, który powiedziałby im, co mają robić; dom trawił pożar, a oni nie wiedzieli, czy powinni wzywać straż. Strażacy zadzwoniliby na policję, to zaś oznaczało, że funkcjonariusze dowiedzieliby się o bezprawnym przetrzymywaniu Johna i Kyny – a także o innych nielegalnych poczynaniach, w które tamci byli uwikłani, takich jak przemyt papierosów, handel narkotykami i magazynowanie broni dla Autentycznej IRA.

Katie zamierzała powiedzieć Kynie, żeby przez chwilę pottrzymała Johna, kiedy będzie wyjmowała broń.

– Kyna, czy możesz... – zaczęła, gdy nagle z tyłu dał się słyszeć ogłuszający grzmot; poczuła na plecach podmuch, który targnął również trójką mężczyzn niczym nagły poryw wichury. W następnej chwili zasypały ich odłamki cegieł, dachówek i błyszczącego szkła.

Obejrzała się i wtedy nastąpiła druga eksplozja, jeszcze głośniejsza niż pierwsza; połowa dachu jakby podskoczyła, a następnie runęła w dół. W deszczowe powietrze wzbił się tuman siwego dymu i nastąpił trzeci wybuch, a potem czwarty. Na koniec rozległ się odgłos przypominający odpalenie setki fajerwerków. Część fasady domu się nachyliła; został tylko słup komina, a później i on się zachwiał i upadł w rumorze cegieł.

To, co zostało z domu, nadal się paliło, w płomieniach stanęły nawet niektóre drzewa wokół garażu. Olbrzymi opleciony bluszczem dąb został wyrwany z korzeniami przez podmuch

i runął na musztardowe volvo Gera, miażdżąc dach i roztrzaskując szyby.

– Boże! – zawołała Kyna; obie były teraz ogłuszone. – Dziupła z arsenałem Bobby’ego Quilty’ego!

Trzej mężczyźni, którzy zmierzali w kierunku zabudowań, pierzchli do vana. Wsiedli i zatrzasnęli drzwi, samochód cofał się i ślizgał na mokrej drodze, a potem odjechał na pełnym gazie, kierując się na północ.

Nastąpiła seria dziesięciu lub jedenastu ostrych łupnięć i Katie rozpoznała wybuchy granatów ręcznych. W powietrze poleciały kolejne odłamki gruzu i zaterkotały na podjeździe.

– Więcej! – krzyknęła Katie. – Tym razem Bóg był chyba po naszej stronie!

Rozdział 45

Katie dojechała do domu, zdążyła poklepać Barnaya po łbie i przytulić go, kiedy zadzwonił detektyw inspektor O'Rourke.

– Co z pani problemem rodzinnym, pani nadkomisarz?

– Wszystko załatwione, dziękuję, Francis. Jutro skoro świt będę przy biurku.

– No to super. Nie chciałem pani głowy zawracać, ale pojawiło się parę rzeczy. Pewnie pani słyszała o Bobbym Quiltym?

– Owszem. Cóż za nagła i pozytywna zmiana.

Powiedziałabym, że to akt bożej łaski.

– Tak czy siak, po obu stronach granicy jest pewnie masa ludzi, którzy odetchnęli z ulgą na wieść, że fiknął.

– Ja na pewno – oznajmiła Katie. – Są już jakieś informacje o tym, kto się do tego przyczynił?

– Chwilowo sprawa wydaje się dość tajemnicza. Oczywiście policja wciąż bada dom, w którym to się stało, ale zadzwonił do mnie detektyw inspektor Humphreys z Knock Road i powiedział, że Quilty z jakiegoś niewyjaśnionego powodu chciał uśmiercić mieszkańców tego domu, tak to wygląda. Związał ich i zamierzał wysadzić w powietrze przy użyciu walizki napełnionej plastikowym materiałem wybuchowym i gwoździami.

– I co poszło niepomyślnie? A raczej pomyślnie?

– Jeszcze tego nie wiedzą na pewno. Nie mogą rozpracować, w jaki sposób zdetonowano bombę, prawdopodobnie za pomocą sygnału z telefonu komórkowego. Podam pani wszystkie szczegóły, kiedy jutro będzie pani na komendzie.

– Wiadomo, kim byli ci ludzie, których Quilty chciał zabić?

– Rodzina o nazwisku Crothers. Mieli bardzo mocne powiązania lojalistyczne, ale to nie dziwota. Mieszkali w dzielnicy Blackstaff, która jest bardziej pomarańczowa niż butelka tanory.

– A mają już jakąś koncepcję, dlaczego pragnął ich śmierci?

– Jeszcze nie. Ale jedna rzecz była dziwna. Quilty nie dość, że wyleciał w powietrze, to jeszcze do niego strzelano, chociaż nie wiadomo, kto strzelał. Jedną z siedmiu ofiar wybuchu jest były funkcjonariusz SPIP, ale zdaje się, że nie miał broni. Oczywiście dowiemy się więcej, kiedy skończą analizy kryminalistyczne i zbiorą zeznania naocznych świadków, tylko że wie pani, jacy są ludzie w Belfaście. Bardzo małomówni raczej.

– Dziękuję, Francis. Jestem teraz w domu, więc może pan dzwonić w każdej chwili.

Położyła iPhone’a na stoliku, a Barney patrzył na nią wyczekująco, machając ogonem. Jego pełne nadziei oczy mówiły: „Spacer, spacer! No, powiedz spacer!”.

Podrapała go za uszami, lecz zanim go wyprowadzi, chciała wiedzieć, że John i Kyna są pod opieką lekarzy, zwłaszcza John. Zadzwoiła do kliniki i porozmawiała z pielęgniarką z OIOM-u.

– John Meagher jest w bardzo złym stanie, muszę to pani z przykrością powiedzieć. Jego stopy i dolna część nóg są dotkliwie zakażone. Cierpi także na silne odwodnienie. Doktor O’Connell zarządził szereg badań i jutro po południu powinniśmy dostać ich wyniki. Oczywiście będziemy z panią w kontakcie.

Następnie zadzwoniła do Kyny. Ona również trafiła do kliniki; leczono ją na infekcję skóry.

– Zapisali mnie na przyszły tydzień, będą mi odbudowywać nos. Nie martw się. Za dwa albo trzy tygodnie będę piękna jak kiedyś.

– Jak się czujesz? – zapytała Katie.

– Chcesz wiedzieć, jakie są moje odczucia w związku z Gerem? Bardzo mieszane. Nienawidziłam go i chciałam mu się odpłacić za to, że mnie w taki sposób zranił, a najbardziej za to, że nie dał podleczyć Johna. Ale naprawdę nie chciałam go zakatrupić.

Wolałabym, żeby znowu trafił do Portlaoise. Cierpiałby do końca życia, a ja bym nie miała takiego poczucia winy.

– W każdym razie dbaj o siebie dobrze – powiedziała Katie. – Zostajesz w szpitalu czy wysyłają cię do domu?

– Czekam na tabletki, a później mnie wypisują.

– Mogłabyś do mnie przyjść i zostać jakiś czas. Przydałoby mi się towarzystwo.

Nastąpiła bardzo długa chwila ciszy. Katie słyszała szpitalne odgłosy w tle, jakaś kobieta zawołała: „Siostro!”.

– Dzięki, Katie, ale nie... – odezwała się w końcu Kyna. – Myślę, że narobiłyśmy sobie nawzajem dosyć problemów.

– Jakoś już się tym nie przejmuję.

– A powinnaś. W tym mieście żyłoby się o wiele gorzej, gdyby nie ty.

– Więc do zobaczenia jutro – powiedziała Katie. – Może zjemy razem lunch. Może w Elbow Lane?

– No, nie wiem. Im częściej cię widuję, tym bardziej chcę zostać w Cork, a nie jestem pewna, czy korzystnie na siebie działamy. Może w innym życiu... w którym będziemy kwiaciarkami albo projektantkami mody. Będziemy miały jakieś dziewczynskie, nieszkodliwe zajęcie. Poza tym nie chcę się pokazywać w mieście z taką buźką.

– Wyglądasz, jakbyś weszła na drzwi, nic więcej.

– Wymówka każdej maltretowanej kobiety. Nie, Katie, dajmy temu spokój na jakiś czas. Nigdy ci się nie nadziękuję za to, co zrobiłaś, żeby nas wyratować, za ryzyko, które podjęłaś. Jesteś niesamowita. Ale muszę trochę pomedytować, znowu się pozbierać, na ciele i duchu.

– Dobrze – odparła trochę smutno Katie. – Ale zadzwoń, kiedy będziesz gotowa, zgoda?

– Obiecuję.

Katie wyłączyła telefon i spojrzała na Barneya. Wyczuł, że dzieje się coś złego, bo przechylił łeb, a z jego gardła wydobywało się charakterystyczne kwilenie.

– No dobra, Barns – powiedziała, wstając. – Chodźmy na dwór i przemoknijmy.



Czytała akta, które zostawiono jej na biurku, kiedy rozległo się nierównomierne stukanie do drzwi gabinetu. Uniosła głowę i zobaczyła zastępcę komendanta głównego O'Reilly'ego.

– Katie – odezwał się. – Francis O'Rourke mówi, że miałaś kłopoty rodzinne.

– Już je rozwiązałam, dziękuję, panie komendancie.

Stał przez chwilę, a następnie odchrząknął.

– Cholernie dramatyczna wiadomość... ta o Bobbym Quilty, prawda?

– Tak, panie komendancie.

– Co nie znaczy, że dużo się zmieni, moim zdaniem. Ktoś inny przejmie szmugiel papierosów, nie ma wątpliwości, i inne machlojki, którymi kierował Duży.

– Jest paru pretendentów – odparła Katie. – Matty Fegan na przykład. Uważnie go obserwuję. Gruby Matty Fegan.

– Ale wygląda na to, że Bobby Quilty wyświadczył nam jedną przysługę – podjął O'Reilly. – Dopadł gości, którzy zastrzelili Dohertych, choć zagrał przy tym rolę sędziego, przysięgłych i kata, a przy okazji wykonał wyrok na sobie. Wątpię, czy za milion lat byśmy znaleźli tych Crothersów.

– Zastanawiam się tylko, dlaczego się do nich dobrał – powiedziała Katie.

– Mnie o to pytasz? Dobrał się do nich dlatego, że zamordowali jego krewnych. Dla Bobby'ego Quilty'ego to było jak wyzwanie. Nie mógł pozwolić, żeby uszło im to na sucho. Daj spokój, Katie, znałaś Bobby'ego Quilty'ego tak jak każdy tutaj. Dla niego to było nie do pomyślenia.

– Ale skąd wiedział, że to byli oni.

– Miał przecież dużo kontaktów w Belfaście, prawda? Znał wszystkich: republikanów, lojalistów i wszystkich pomiędzy. Północnoirlandzka policja robi dokładne badania zwłok Crothersów, oczywiście, i tego, co zostało z ich domu. Wczoraj po

południu rozmawiałem telefonicznie z detektywem głównym inspektorem MacReadym. Jest przekonany, że to Crothersowie zabili Dohertych. Zdaniem niektórych jego informatorów chwalili się tym w miejscowym pubie.

– Chodziło mi o to, w jaki sposób Bobby Quilty dowiedział się, że jest spokrewniony z Dohertymi?

Jimmy O'Reilly ściągnął brwi.

– Skąd mam wiedzieć? Może zawsze wiedział. Może zobaczył drzewo genealogiczne. Teraz można to znaleźć w internecie, prawda? Sprawdź KtoJestTwojąBabcią.com czy coś w tym rodzaju.

Katie stuknęła długopisem w biurko miarowo niczym metronom. Wiedziała, co za chwilę powie, ale miała świadomość, że musi to sformułować bardzo ostrożnie.

– Popełniłam błąd – oznajmiła.

– Nie rozumiem. Jaki błąd?

– Pomyliłam się, sprawdzając genealogię Dohertych.

– I co? – spytał O'Reilly. Najwyraźniej wyczuł, że Katie wodzi go za nos, i zaczynał się złościć. – Co właściwie chcesz mi powiedzieć?

– Bobby Quilty nie był krewnym Dohertych. Owszem, Niall Quilty służył pod kapitanem Frankiem Busteedem, ale Brytyjczycy zastrzelili go, kiedy miał zaledwie siedemnaście lat, nie ożenił się i nie miał córki. Pomyliłam go z kimś innym.

Jimmy O'Reilly wpatrywał się w Katie, jakby była lekarką i właśnie mu zakomunikowała, że omyłkowo nie zdiagnozowała mu guza na szyi i zostało mu mniej niż sześć tygodni życia.

– Pomyliłaś go z kimś innym?

– Tak, głupi błąd. Pracowałam późno w nocy i byłam przemęczona. Ale jedyną osobą, której powiedziałam, że Bobby Quilty jest spokrewniony z Dohertymi, był pan.

– Dałaś mi drzewo genealogiczne – przypomniał jej.

– Owszem, ale zawierało mylną informację. I rozumiem, dlaczego pan uwierzył, że Bobby Quilty i Doherty'owie byli

spokrewnieni. Nie rozumiem natomiast, dlaczego Bobby Quilty również w to uwierzył.

– Pojęcia nie mam. To musiał być zbieg okoliczności.

– Zbieg okoliczności?

O'Reilly nagle się rozgniewał.

– Przecież ci mówię: nie mam pojęcia! Może miał inną urazę do Crothersów! Co chcesz mi powiedzieć, Katie? No, wykrztuś to! Oskarżasz mnie o to, że przekazywałem poufne informacje Bobby'emu Quilty'emu?

– Tak.

– Podaj choć jeden powód, dla którego miałbym to robić. No, słucham!

Katie wstała.

– Mogę ich podać tysiące, panie komendancie, tysiące banknotów euro. Stale pożyczal pan pieniądze od Bobby'ego Quilty'ego, żeby regulować długi hazardowe swojego chłopaka. Quilty trzymał pana w kieszeni, podobnie jak James Elvin. Ten drugi nadal pana trzyma. Wystarczyłoby, że ujawniłby mediom, dlaczego tak pobłażliwie traktował pan szmugiel papierosowy Quilty'ego, i byłby pan skończony.

Popatrzył na nią zwięzionymi oczami i podszedł do okna. Spoglądał chwilę na strugi deszczu płynące po szybie.

– Czego teraz ode mnie oczekujesz? Co mam zrobić?

– Nic. Nie ja jestem zastępcą komendanta głównego i nie ja jestem rzecznikiem Gardy. Cóż, jest jedna rzecz, którą mógłby pan zrobić: przestać dawać Jamesowi Elvinowi forszę. Może wprawdzie ujawnić sprawę mediom, ale to jest ryzyko, które musi pan podjąć.

– Wiedźma z ciebie, Katie, wiesz? – Jimmy O'Reilly nadal patrzył na krople deszczu na szybie. – Od samego początku mówiłem, że jesteś wiedźmą, ale nikt mnie nie słuchał. W Phoenix Park wszyscy bardzo chcieli być poprawni politycznie i pokazać, że Garda idzie z duchem czasu.

Odwrócił się.

– Ty coś zrobiłaś, prawda? Wykręciłaś, kuźwa, jakąś diabelską sztuczkę. Nie wiem, co i w jaki sposób, ale przysięgam na Boga, że kiedyś się dowiem i spłoniesz na stosie, jak na wiedźmę przyszło.

Po tych słowach wyszedł z gabinetu, nie zamykając za sobą drzwi.

Katie usiadła. Lekko drżała, ale przyczyną tego było zmęczenie i opóźniony szok po wypadkach wczorajszego dnia. W nocy śnił jej się Ger z gilotatymi czarnymi łzami z plastiku i płomieniami, które płasząc, buchały z jego twarzy. Przyśnił jej się także Alan, który podniósł z podłogi w kuchni głowę i zapytał: „Nie kochasz mnie, prawda? Więc dlaczego mnie w sobie rozkochalaś?”.

Ledwo wypowiedział te słowa, i z jego ust bluznął ogromny strumień jasnoczerwonej krwi i rozprysnął się na całej posadzce.



Była już prawie pora lunchu, kiedy do Katie przyszedł detektyw Ó Doibhilin. Po rozmowie z zastępcą komendanta głównego O'Reillym nie miała od niego dalszych wiadomości, a kiedy poszła do gabinetu komendanta MacCostagáina, żeby pomówić o nowym gangu rumuńskich alfonsów, którzy założyli stronę internetową o nazwie Magic Massage, wyjrzała przez okno na parking i zobaczyła, że nie ma jego samochodu.

Ó Doibhilin trzymał foliowy folder.

– Ma pani nadkomisarz chwilę? Dzisiaj rano odezwał się do mnie ten Bracewaite z Manchesteru... no, wie pani, ten historyk, który poszukiwał informacji o poruczniku Seabrooku i Radhie Langtry.

– I co znalazł?

– List. To tylko jeden list, ale myślę, że wstrząsający.

Podszedł do biurka, położył folder i go otworzył. W środku znajdowały się zeskanowane kopie dwóch arkuszy papieru. Były wypełnione zdecydowanym, wyrobionym charakterem pisma; w taki sposób uczono kaligrafii w szkołach w epoce późnowiktoriańskiej.

Nagłówek brzmiał: *Koszary Ballincollig, 23 lutego.*

Najdroższa Jane!

Jestem świadom, ile bólu sprawiłem Ci swoją niewiernością, i błagam o przebaczenie. Mogę się tłumaczyć jedynie tym, że okropieństwa walki na froncie i nienaturalne napięcie spowodowane walką z Fenianami przywiodły mnie, bym szukał pociechy w ramionach innej; na to nie mam żadnej wymówki, mogę tylko przyznać się do własnej słabości.

Teraz jednak wydarzyła się tragedia, a Ty jesteś jedyną osobą, której mogę wyrazić swój żal – żal spotęgowany tym, że Cię zdradziłem. Muszę się z kimś podzielić wiedzą o straszliwych wypadkach minionych trzech tygodni, bo inaczej zwariuję. Nie mogę się zwierzyć podpułkownikowi Evansowi, gdyż to nieuchronnie skończyłoby się dla mnie degradacją.

Młodą kobietą, z którą wdałem się w romans, była pani Radha Langtry. Jej mąż Stephen był członkiem Irlandzkiej Armii Republikańskiej. Dowiedziała się od męża, że na nasz regularny piątkowy patrol z Macroom do Cork zaplanowano zasadzkę w miejscu o nazwie Godfrey's Cross. Mąż poinformował ją o tym, bo codziennie chodziła tamtędy do pracy do Leemount House, należącego do pani Mary Lindsay; ostrzegł ją, żeby wybrała inną drogę.

Radha nie chciała, żebym ucierpiał, i dlatego przekazała mi tę informację, ale ja oczywiście nie miałem wyboru; musiałem uprzedzić o planowanej zasadzce podpułkownika Evansa. Ona jednak ostrzegła także swoją pracodawczynię, panią Lindsay, ponieważ ta miała tego dnia jechać samochodem przez Godfrey's Cross do koszar w Ballincollig na kontrolę wojskową. (Nowe rozporządzenie związane z tym, że wiele samochodów zostało ostatnio zarekwirowanych przez IRA).

Pani Lindsay powiadomiła o zasadzce miejscowego księdza, ojca Neda Shinnicka, on zaś ostrzegł dowództwo IRA, że ich planowany atak nie jest już tajemnicą. Niestety, ksiądz znany był z sympatii lojalistycznych i nie dano mu wiary.

Następstwa okazały się katastrofalne. Być może przeczytałaś w gazetach, że oddział IRA został zaskoczony i otoczony i ośmiu jego członków pojmano. Są przetrzymywani w koszarach Victoria w Cork, stanęli przed sądem i uznano ich za winnych; bardzo możliwe, że zostaną rozstrzelani.

Jako że pani Lindsay jest zdeklarowaną lojalistką, IRA obarczyła ją winą za tę katastrofę (sic!), i porwała ją wraz z siostrą. Przypuszczam, że pani Lindsay pod wielkim naciskiem poinformowała porywaczy, że to Radha ostrzegła ją przed zasadzką.

Próbowałem skontaktować się z Radhą, ale bez powodzenia. W końcu dowiedziałem się od księdza z Blarney, ojca Thomasa, że rodzina Langtrych pod wpływem chwili postanowiła wyemigrować do Ameryki. Trudno mi było w to uwierzyć, gdyż Radha nigdy nie wspomniała, by ona i jej mąż mieli takie zamiary.

Ksiądz domyślił się, że jestem wielce zaniepokojony, i ulitował się nade mną. W największej tajemnicy oznajmił mi, że Langtry'owie tak naprawdę nie wyemigrowali, lecz że miejscowy dowódca IRA rozkazał, by ukarać ich za poinformowanie Brytyjczyków o zasadzce. Przyjaciele i krewni mieli sądzić, że rodzina wyjechała do Ameryki, bo sympatycy IRA w Nowym Jorku mieli regularnie przysyłać stamtąd listy do Irlandii.

Usiłowałem nakłonić ojca Thomasa, by powiedział mi, jaka kara mogła spotkać Langtrych, on jednak nic więcej mi nie zdradził. Mimo że oczywiście nie jestem katolikiem, udzielił mi rozgrzeszenia, ale jaki z tego pożytek?

Ze wszystkich sił staram się wierzyć, że Langtrych zmuszono, by przeprowadzili się do innego regionu Irlandii, ale w głębi serca, najdroższa Jane, wiem, że tak się nie stało. Wiem, że ich zastrzelono, a ciała pogrzebano gdzieś w górach albo na bagiennym torfowisku i nigdy nie zostaną odnalezione. Co stało się z dwojgiem ich dzieci, nie potrafię odgadnąć.

Znienawidzisz mnie za to, Jane, ale zawsze Cię kochałem i nadal kocham, mimo mej zdrady. Dławi mnie żal i gorzko płaczę; przed swoimi podkomendnymi muszę udawać, że mam infekcję oka.

Ty zapewne spalisz ten list i zapomnisz, że mnie znałaś, ale muszę się z kimś podzielić tą katuszą, a także powiedzieć Ci, jak naprawdę doszło do tego, że udaremniono zasadzkę IRA.

Gdyby nie mój romans z Radhą, nasi żołnierze ponieśliby śmierć; jednak z tego samego powodu ośmiu Irlandczyków prawie na pewno zostanie straconych, a Radha z pewnością nie żyje. Czy Bóg może istnieć, skoro tylko takie możliwości dał mi do wyboru?

Płaczę teraz, najdroższa moja, kiedy piszę do Ciebie te słowa. Tak bardzo żałuję tego, co uczyniłem, ból jest nie do wytrzymania. Przekaż moje najcieplejsze wyrazy miłości Kitty oraz Jamesowi.

Twój Gerald

Katie przeczytała powtórnie list i wyprostowała się.

– Boże... Gdzie ten pana historyk to wygrzebał? To rzuca zupełnie nowe światło na zasadzkę w Dripsey. Wygląda na to, że biedna pani Lindsay i jej szofer nie ponosili żadnej winy.

– Znalazł go w archiwum kancelarii adwokackiej tej rodziny – wyjaśnił detektyw Ó Doibhilin. – Podobno z innej korespondencji rodziny Seabrooków z tego okresu wynika, że wszyscy o tym wiedzieli, ale nie chcieli szargać nazwiska, tym bardziej że porucznik parę tygodni później poległ. Woleli, żeby Jane Seabrook była pogrążoną w żałobie wdową po bohaterze wojennym, a nie porzuconą żoną niewiernego mężczyzny, który uwikłał się w konszachty z IRA.

– Będę musiała porozmawiać o tym z komendantem MacCostagáinem – oznajmiła Katie. – Może to jest coś, co należało odłożyć do akt i puścić w niepamięć. Wystarczająco wiele osób straciło życie dlatego, że porucznik Seabrook „szukał pociechy w ramionach innej”.

– Więc zostawiam to pani.

– Dzięki, Michael. Zrobiłeś niewiarygodną robotę. Dopilnuję, żebyś dostał za to pochwałę.

Po wyjściu Ó Doibhulina Katie wzięła list i ponownie go przeczytała. Miłość, myślała, do jakich tragedii może prowadzić miłość. Gdyby porucznik Seabrook nie zakochał się w Radhie,

Doherty'owie wciąż by żyli, a gdyby Katie nie kochała Johna i Kyny, Bobby Quilty nie wziąłby ich na zakładników i nie pociągnęłoby to za sobą tylu śmiertelnych ofiar, zwłaszcza Alana.

Zacwierkał jej telefon. Dzwonił detektyw O'Donovan.

– Patrick! Co tam sływać?

– Właśnie otrzymaliśmy wiadomość od SPIP. Wczoraj zdarzył się poważny pożar domu w wiosce Forkhill niedaleko Newry. Nie tylko pożar, ale i seria silnych eksplozji. Oni uważają, że dom był dziuplą, składem broni jakiejś odnogi IRA, chociaż nie podają żadnych nazwisk, z wyjątkiem jednego.

– No, mów. To był ktoś, kogo znamy?

– Ger Carmody, spalony na popiół. Sądzą, że to on, bo przed domem stał jego samochód i znaleźli resztkę jego kapelusza.

– Ger Carmody? A co on robił w południowym Armagh?

– Pojęcia nie mam. Ale co za dzień, pani nadkomisarz, nie sądzi pani? Jakie żniwo! Bobby Quilty i Ger Carmody w odstępie kilku godzin udają się na spotkanie ze Stwórcą. Nie modliła się pani przypadkiem do świętego Bonawentury?

– Dlaczego akurat do świętego Bonawentury?

– Bo jest patronem chorób jelitowych. Pani wybaczy słownictwo, ale mój staruszek powiadał, że rozprawia się z wszelkim gównem.

Rozdział 46

Nazajutrz rano Katie pojechała najpierw do kliniki uniwersyteckiej. W nocy lał deszcz, ale teraz się roz pogodziło; było słonecznie i wilgotno.

Wcisnęła przycisk windy, kiedy jej telefon zagrał melodyjkę *Buile Mo Chroi*.

– Detektyw nadkomisarz Maguire? – odezwał się jakby dochodzący z daleka głos.

– Tak, kto mówi?

– Inspektor Wallace z wydziału operacji kryminalnych w Belfaście.

– Ach, tak. Jak mogę panu pomóc, inspektorze?

– Jestem przyjacielem Alana Harte’a. To ja przekazałem mu pani biuletyn o dwojgu zaginionych. Słyszała pani o Alanie?

– Co mianowicie?

– Przykro mi to mówić, ale nie żyje. Na pewno pani wie o bombie, która wybuchła w Belfaście. Tej, która zabiła Bobby’ego Quilty’ego i sześć innych osób. Cóż... Alan był jedną z nich.

– O Boże. To tragedia.

– Wiem. Przykro mi, że przekazuję pani taką złą wieść.

Wspominał, że jest z panią w kontakcie. Po tym, kiedy powiedziałem mu o pani biuletynie i zrozumiał, że ściga pani Bobby’ego Quilty’ego, świerzbilo go, żeby z panią pogadać. Nie mógł się doczekać.

– Tak, przyjechał do mnie do Cork – potwierdziła Katie. – Wymieniliśmy się informacjami o Quilnym, ale tylko tyle

możliśmy zrobić. Quilty'ego nigdy nie było łatwo osaczyć, sam pan wie.

– Dalej przeszukujemy dom, w którym to się stało, parę dni jeszcze nam zajdzie – oznajmił Wallace. – Ale jedna rzecz nas bardzo zastanowiła, mianowicie to, że Bobby Quilty został postrzelony i odniósł śmiertelną ranę, zanim wybuchła bomba. Z początku myśleliśmy, że to Alan mógł do niego strzelić, ale nie ma śladu po pistolecie, którego użył. Inna ofiara miała broń, ale nie tego samego kalibru co ta, z której zabito Quilty'ego. I wystrzelono z niej raz tylko, a Quilty dostał trzy razy.

– Może ktoś inny wszedł do domu, zastrzelił go i wyszedł, zanim bomba eksplodowała.

– Tak, to możliwe. Ale chciałbym wiedzieć, kto miał silniejszy motyw, by zastrzelić Bobby'ego Quilty'ego niż Alan.

– Owszem, mówił mi o tym, że Quilty wrobił go z narkotykami – rzekła Katie.

Nastąpiła długa pauza.

– Z narkotykami? – odezwał się inspektor Wallace. – O jakich narkotykach mowa?

Katie poczuła się zdezorientowana.

– Alan powiedział mi, że Quilty podłożył heroinę w jego domu, żeby rzucić na niego podejrzenie o handel prochami, i że właśnie z tego powodu musiał odejść z policji.

– Nie wiem, dlaczego pani to powiedział. Może nie chciał wymienić prawdziwego powodu.

– To znaczy, że to nie była prawda? Nie taka była przyczyna jego rezygnacji?

– Odszedł, bo nie mógł już sobie poradzić z robotą. Był na krawędzi załamania nerwowego. Myślał tylko o tym, żeby zabić Bobby'ego Quilty'ego. Pewnie się pani do tego nie przyznał, bo pomyślałaby pani, że ma obsesję, że jest niezrównoważony, i nie chciałaby pani z nim współpracować.

– Więc dlaczego tak się zawniżył, żeby zabić Quilty'ego? – spytała Katie.

– Zgromadził solidny materiał dowodowy przeciwko niemu, dotyczący przemytu narkotyków. Quilty zdawał sobie sprawę, że Alan ma dowody, a nawet paru świadków, i że jest bliski jego aresztowania. Wysłał mu więc wiadomość, że jeśli się nie odczepi, zacznie mordować osoby z jego rodziny, a pierwsza będzie żona.

– Myślałam, że rozwiódł się z żoną.

– Żartuje pani? Byli absolutnie nierozłączni. Gdyby go poprosiła, przeleciałby się na golasa po Falls Road. Alan uznał jednak, że Quilty blefuje, i dalej zbierał na niego dowody. Pewnego dnia Alison wychodziła z Wyse Byse, a jakiś typ podszedł do niej i strzelił jej w głowę.

Katie nie wiedziała, co odpowiedzieć. Nagle całe postępowanie Alana stało się jasne. I teraz już wiedziała, kim jest kobieta z oprawionego zdjęcia w jego biblioteczce.

– Detektyw nadkomisarz Maguire? – odezwał się Wallace.

– Ach, przepraszam. Słucham? Zaskoczyło mnie to, co pan powiedział.

– Przyszło mi na myśl, że może zechce pani przyjechać na pogrzeb Alana. Nie znam jeszcze daty, oczywiście, ale mogę panią zawiadomić.

– Tak, bardzo proszę. I dziękuję, że pan zadzwonił.

Znów nastąpiła pauza, po czym Wallace zapytał:

– Chyba pani nie zasmuciłem, co?



Wjechała windą na OIOM. W dyżurce pielęgniarek spotkała się z nią pani Abara, drobna, ciemnowłosa kobieta z wielkimi brązowymi oczami, mówiąca spokojnym tonem. Katie widziała ją już kilka razy i myślała, że gdyby tamta nie poszła do szkoły pielęgniarskiej, złożyłaby śluby zakonne.

Abara poprowadziła ją korytarzem do sali, w której leżał John.

– Teraz śpi – oznajmiła. – Podajemy mu bardzo duże dawki antybiotyków, a jednocześnie rozważamy rozmaite warianty leczenia.

Weszły do środka. John leżał na wznak z zamkniętymi oczami. Miał założoną maskę tlenową i był podłączony do dwóch kroplówek. Twarz pod maską była tak blada, jakby ją pomalowano gruntem malarskim. Dolna część koca sterczała, gdyż umieszczono tam specjalną klatkę chroniącą stopy i łydki.

Katie podeszła do łóżka, stanęła i patrzyła, jak John oddycha. Był pogrążony w głębokim śnie; można było pomyśleć, że nigdy się nie obudzi.

– No więc, jakie są te warianty?

– Doktor O’Connell może je pani przedstawić bardziej szczegółowo później, kiedy przyjdzie. Obie nogi Johna aż do kolan są dotknięte gangreną i będą wymagały radykalnej kuracji. Jeden wariant to oczyszczanie, polegające na chirurgicznym odcięciu tkanki gangrenowej. Jest również kuracja larwami, bardzo skuteczna w przypadkach gangreny.

– Tak, słyszałam o tym. Nie wiedziałam, że ją tu stosujecie.

– Owszem, hodujemy w laboratorium maleńkie larwy wolne od bakterii. Przyciskamy je mocno za pomocą bandaża do tkanki gangrenowej i ją zjadają. Cudowne w larwach jest to, że nie dotykają zdrowej tkanki i wydzielają substancje, które zabijają bakterie i ułatwiają gojenie.

– Czy jest inna opcja? – chciała wiedzieć Katie.

– Tak, oczywiście, i obawiam się, że doktor O’Connell sądzi, że nie będzie miał wyboru.

Katie wyciągnęła rękę do czarnych kręconych włosów Johna, ale ich nie dotknęła. Zastanawiała się, czy śni i o czym. Kiedy raz wyjechałeś z Irlandii, nigdy nie zdołasz powrócić. Nie na dobre. Wszystko, co tutaj kochałeś, zniszczy cię w końcu. Twoje wspomnienia, twoi przyjaciele – by nie wspomnieć o muzyce i deszczu.

– Mówi pani o amputacji – domyśliła się Katie.

Abara skinęła głową.

– Poniżej kolan, miejmy nadzieję – powiedziała.

– Obie nogi?

– Tak.

- A później co? Protezy?
- Są teraz naprawdę doskonałe. Nawet jeśli trzeba będzie amputować nogi, co jest prawdopodobne, John nadal będzie mógł normalnie żyć.
- Katie wzięła głęboki oddech.
- Czy on wie?
- Owszem, doktor O’Connell rozmawiał z nim o tym krótko.
- I co John odpowiedział?
- Że ma szczęście, że przeżył, i że zawdzięcza życie pani, choć tego nie wyjaśnił.
- To wszystko?
- Nie. Mówił też, że nie boi się przyszłości, nawet jeżeli straci obie nogi. Ocaliła go pani i teraz już wie, że zawsze będzie się pani nim opiekowała.



Katie nie chciała czekać na doktora O’Connella. Przemierzyła szybkim krokiem korytarz i wsiadła do windy. Znowu się trzęsła, bardziej niż po eksplozji. Odwracała głowę od lustra, żeby nie musieć na siebie patrzeć. Tak jakby doznała okaleczenia po ciężkim wypadku.

„Poniżej kolan, miejmy nadzieję... teraz już wie, że zawsze będzie się pani nim opiekowała”.

Właśnie mijiała dyżurkę, gdy w obrotowych drzwiach odbił się blask słońca i weszła Kyna w luźnym białym swetrze i dżinsach, z plastrem na nosie.

Katie podeszła do niej bez słowa, wzięła ją w ramiona i mocno przytuliła. Minęło ich parę osób i patrzyło, lecz ona ich nie widziała, bo oślepiały ją łzy.

Przypisy

¹ *Flathúl* (irl.) – bogaty.

² *The Troubles* (ang.) – rozruchy, kłopoty, zamieszki; potoczne określenie konfliktu na tle narodowościowo-religijnym, który toczył się w Irlandii Północnej od lat 60. XX w. do 1998 r.